

# KSIĘGA ZMARŁYCH

PATRICIA CORNWELL

SERIA ZBRODNI, JAKICH NIE POWSTYDZIŁBY SIĘ SAM HANNIBAL LECTER...



**PATRICIA CORNWELL**

**KSIEGA ZMARLYCH**

(Book of the dead)

Przełożyła: Maria Frąc



2009

# Spis treści

Karta tytułowa

Podziękowania

Dedykacja

Rzym

ROZDZIAŁ 1

ROZDZIAŁ 2

ROZDZIAŁ 3

ROZDZIAŁ 4

ROZDZIAŁ 5

ROZDZIAŁ 6

ROZDZIAŁ 7

ROZDZIAŁ 8

ROZDZIAŁ 9

ROZDZIAŁ 10

ROZDZIAŁ 11

ROZDZIAŁ 12

ROZDZIAŁ 13

ROZDZIAŁ 14

ROZDZIAŁ 15

ROZDZIAŁ 16

ROZDZIAŁ 17

ROZDZIAŁ 18

ROZDZIAŁ 19

ROZDZIAŁ 20

ROZDZIAŁ 21

ROZDZIAŁ 22

ROZDZIAŁ 23

# Podziękowania

Jestem szczególnie wdzięczna doktor Staci Gruber, adiunktowi psychiatrii, z Harvardzkiej Szkoły Medycznej, i zastępcy dyrektora Laboratorium Neuroobrazowania Kognitywnego w Szpitalu MacLeana.

*Książkę dedykuję mojemu wydawcy,  
Ivanowi Heldowi*

# Rzym

Plusk wody. Wanna z szarych mozaikowych płytek tonie głęboko w podłodze z terakoty. Woda cieknie powoli ze starego mosiężnego kranu, a przez okno wlewa się ciemność. Po drugiej stronie starego falistego szkła jest piazza, fontanna i noc.

Dziewczyna siedzi spokojnie w wannie, choć woda jest w niej bardzo zimna, pełna topiących się kostek lodu. Jej oczy wyrażają niewiele – już nic w nich nie pozostało. Z początku jej oczy były jak wyciągnięte do niego ręce, błagające, żeby ją oszczędził. Teraz mają siną barwę zmierzchu. Cokolwiek w nich było, prawie odeszło. Niebawem dziewczyna zaśnie.

– Proszę – mówi do niej, podając jej kieliszek wódki, dmuchany i formowany ręcznie w Murano.

Jest zafascynowany tymi częściami jej ciała, które nigdy nie widziały słońca. Są blade jak wapień. Przykręca kurek i woda sączy się wąską strużką. Patrzy, jak ona szybko oddycha, i słucha klekotu jej zębów. Jej piersi unoszą się pod powierzchnią wody, delikatne niczym białe kwiaty. Sutki, stwardniałe z zimna, przypominają różowe pączki. Potem myśli o ołówkach. O obgryzaniu różowych gumek, gdy chodził do szkoły i mówił ojcu, czasami matce, że nie potrzebuje gumek, bo nie robi błędów. Prawda wyglądała tak, że lubił je obgryzać. Nie mógł się powstrzymać, i to też była prawda.

– Zapamiętaj moje nazwisko – mówi do niej.

– Nie zapamiętam. Mogę zapomnieć. – Dziewczyna dzwoni zębami.

Mężczyzna wie, dlaczego to mówi: jeśli nie zapamięta jego nazwiska, jej los zostanie przemyślany na nowo jak zły plan bitwy.

– Jak ono brzmi? – pyta. – Powiedz, jak mam na imię.

– Nie pamiętam. – Płacze, drży.

– Powiedz – nalega, patrząc na jej opalone ramiona pokryte gęsią skórą z nastroszonymi jasnymi włoskami, na jej młode piersi i ciemność pomiędzy zanurzonymi nogami.

– Will.

– A reszta?

– Rambo.

– I myślisz, że to zabawne – mówi, siedząc nago na klapie sedesu.

Dziewczyna energicznie kręci głową.

Kłamie. Żartowała z niego, gdy się przedstawił. Parsknęła śmiechem i powiedziała, że Rambo jest wymysłem, nazwiskiem filmowym. Powiedział, że jest szwedzkie. Ona na to, że on nie jest Szwedem. Powtórzył, że to szwedzkie nazwisko. Prawdziwe. „Jasne, jak Rocky” – zaśmiała się. „Sprawdź w Internecie. To prawdziwe nazwisko” – powiedział, niezadowolony, że musi wyjaśniać. Było to dwa dni temu i nie miał jej tego za złe, ale nie zapomniał. Wybaczył jej, bo wbrew temu, co mówi świat, dziewczyna znosi niewysłowione cierpienia.

– Moje nazwisko będzie echem – mówi. – Bez żadnego znaczenia, najmniejszego. Tylko dźwięk już przebrzmiały.

– Nie powiem go, nigdy. – Panika.

Jej usta i paznokcie są sine i nie może opanować drżenia. Wytrzeszcza oczy. Każe jej wypić więcej, a ona nie śmie odmówić. Wie, co się stanie w przypadku najdrobniejszego nieposłuszeństwa. Jeden cichy krzyk, a wie, co się stanie. On siedzi spokojnie na klapie sedesu, z rozchylonymi nogami, żeby widziała jego erekcję i bała się go. Dziewczyna już nie błaga ani nie proponuje, żeby z nią zrobił, co chce, jeśli z tego powodu została jego zakładniczką. Już tego nie mówi, bo wie, co się stanie, gdy go obrazi i



zasugeruje, że nie mógłby jej przelecieć, gdyby nawet wiedział, jak to zrobić.

– Zdajesz sobie sprawę, że prosiłem grzecznie – mówi.

– Nie wiem. – Szczękanie zębów.

– Wiesz. Prosiłem, żebyś mi podziękowała. To wszystko, o co prosiłem, i byłem dla ciebie miły. Prosiłem grzecznie, a wtedy ty musiałaś to zrobić. Musiałaś mi to zrobić. Rozumiesz. – Wstaje i patrzy na swoją nagość w lustrze nad gładką marmurową umywalką. – Twoje cierpienia kazały mi to robić – mówi jego nagość w lustrze. – A ja nie chcę tego robić. Więc mnie krzywdzisz. Czy rozumiesz, że wyrządzasz mi wielką krzywdę, zmuszając mnie, żebym to robił? – pyta jego nagość w lustrze.

Dziewczyna zapewnia, że rozumie, i jej oczy rozsypują się jak latające odłamki szkła, gdy on otwiera skrzynkę na narzędzia, i jej rozsypane spojrzenie wbija się w noże i piły z drobnymi zębami. Wyjmuje niewielką torebkę z piaskiem i kładzie ją na krawędzi umywalki. Wyjmuje ampułki kleju lawendowego i też je ustawia.

– Zrobię, co tylko chcesz. Dam ci wszystko, co chcesz. – Powtarzała to wiele razy.

Zakazał jej to mówić. Ale właśnie to zrobiła.

Zanurza ręce w wodzie i kąsa go chłód, gdy chwytą ją za kostki i podnosi. Podnosi ją za zimne, opalone nogi z zimnymi, białymi stopami i czuje jej przerażenie w rozedrganych mięśniach, gdy mocno trzyma zimne kostki. Trzyma ją trochę dłużej niż zeszłym razem, a ona szamocze się i gwałtownie bije wodę rękami, zimna woda chlupocze głośno. Puszczą ją.

Dziewczyna sapie, kaszle, wydaje zduszone krzyki. Nie skarży się. Nauczyła się nie skarżyć – zabrało to trochę czasu, ale się nauczyła. Nauczyła się tego wszystkiego dla własnego dobra i jest wdzięczna za ofiarę, która zmieni jego życie – nie jej, tylko jego – w sposób, który nie

jest dobry. Nie był dobry. Nie może być dobry. Powinna być wdzięczna za jego dar. Podnosi worek na śmieci napełniony lodem z lodówki w barku i wylewa zawartość do wanny. Ona patrzy na niego, łzy spływają jej po twarzy. Żal. Widać ciemny skraj żalu.

– Wieszaliśmy ich z sufitu – mówi. – Kopaliśmy w stawy kolanowe, z boku, raz za razem. Ciągle. Wszyscy wchodziliśmy do małego pokoju i kopaliśmy ich w kolana. To strasznie boli i okalecza, i oczywiście niektórzy umarli. To drobiazg w porównaniu z innymi rzeczami, jakie tam widziałem. Nie pracowałem w tym więzieniu, rozumiesz. Nie musiałem, wokół było mnóstwo tego typu rzeczy. Ludzie nie rozumieją, że filmowanie nie jest głupie. Ani fotografowanie. To nieuniknione. Musisz. Jeśli nie, będzie tak, jakby to nigdy się nie stało. Dlatego ludzie robią zdjęcia. Pokazują je innym. Wystarczy, że zobaczy jedna osoba. Wtedy zobaczy cały świat.

Dziewczyna patrzy w obiektyw kamery na marmurowym blacie stołu pod otynkowaną ścianą.

– W każdym razie zasłużyli na to, prawda? – mówi mężczyzna. – Zmusili nas, żebyśmy stali się okrutni, choć przedtem tacy nie byliśmy, więc czyja to wina? Nie nasza.

Ona kiwa głową. Drży, dzwonią jej zęby.

– Nie zawsze uczestniczyłem. Patrzyłem. Z początku było to trudne, wprost straszne. Byłem temu przeciwny, ale to, co nam robili... Z tego powodu musieliśmy robić to samo, więc to ich wina, bo nas zmusili, i wiem, że to rozumiesz.

Kiwa głową, płacze i drży.

– Bomby na poboczach. Porwania. Znacznie więcej, niż słyszałaś. Człowiek się przyzwyczaja. Jak ty do zimnej wody, prawda?

Nie jest przyzwyczajona, tylko zdrętwiała, na najlepszej drodze do hipotermii. Głowa jej pęka, serce chce wyskoczyć z piersi. Mężczyzna

podaje jej wódkę.

– Otworzę okno – mówi. – Usłyszysz fontannę Berniniego. Słyszałem ją przez większą część życia. Noc jest cudowna. Powinnaś zobaczyć gwiazdy.

– Otwiera okno i patrzy w noc, na gwiazdy, fontannę Czterech Rzek i piazza. O tej porze jest tu pusto. – Nie będziesz krzyczała.

Kręci głową. Klatka piersiowa unosi się ciężko, gdy dziewczyną wstrząsa niedające się opanować drżenie.

– Myślisz o swoich przyjaciółkach. Wiem. Z pewnością one również myślą o tobie. To niedobrze. Nie ma ich tutaj. Nigdzie ich nie widać. – Mężczyzna patrzy na pusty plac i wzrusza ramionami. – Co miałyby tu robić? Odeszły. Dawno temu.

Cieknie jej z nosa, łzy płyną z oczu, drży. Oczy są puste – widział w nich coś, gdy ją poznał, i ma do niej żal za zniszczenie osoby, jaką dla niego była. Wcześniej, znacznie wcześniej, mówił do niej po włosku, ponieważ dzięki temu mógł uchodzić za nieznajomego, co było konieczne. Teraz mówi po angielsku, bo to już nie ma żadnego znaczenia. Ona zerka na jego podniecenie. Jej spojrzenia obijają się o niego jak ćma o lampę. Czuje ją tam. Ona boi się tego, co tam jest. Ale nie tak bardzo jak wszystkiego innego – wody, narzędzi, piasku, kleju. Nie rozumie, co oznacza gruby czarny pas wijący się po bardzo starych płytkach podłogi, a tego powinna obawiać się najbardziej.

Podnosi pas i mówi jej, że bicie ludzi, którzy nie mogą się bronić, jest prymitywnym popędem. Dlaczego? Nie odpowiada. Dlaczego? Patrzy na niego z przerażeniem, światło w jej oczach jest przygaszone, pokryte siecią spękań, jak strzaskane lustro. Wstaje, gdy każe jej wstać, i stoi chwiejnie, ledwo trzyma się na nogach. Stoi w lodowatej wodzie, a on zakręca kurek. Jej ciało przypomina mu łuk z napiętą cięciwą, jest taka gibka i mocna. Woda ścieka po jej skórze, gdy stoi przed nim.

– Odwróć się. Nie bój się. Nie zbiję cię pasem. Nie zrobię tego.

Woda faluje cicho w wannie, gdy dziewczyna odwraca się plecami, twarzą do starego, spękanego tynku i zamkniętej okiennicy.

– Teraz uklęknij w wodzie. I patrz na ścianę. Nie patrz na mnie.

Kłeka twarzą do ściany, a on podnosi pas i przesuwa koniec przez sprzączkę.

# ROZDZIAŁ 1

*Dziesięć dni później.*

*Dwudziesty szósty kwietnia dwa tysiące siódmego roku.*

*Piątkowe popołudnie.*

W auli rzeczywistości wirtualnej siedzi dwunastu najważniejszych włoskich policjantów i polityków, których nazwisk lekarka sądowa Kay Scarpetta w większości nie może spamiętać. Tylko ona i psycholog sądowy Benton Wesley nie są Włochami. Przybyli tutaj jako konsultanci Międzynarodowego Zespołu Śledczego, specjalnego oddziału Europejskiej Sieci Instytutów Medycyny Sądowej (ENFSI)\* [European Network of Forensic Science Institutes.]. Rząd włoski znalazł się bowiem w trudnym położeniu.

Dziewięć dni temu zamordowano amerykańską gwiazdę tenisa, Drew Martin, przebywającą tu na wakacjach. Jej nagie, okaleczone ciało znaleziono w pobliżu Piazza Navona, w sercu historycznej dzielnicy Rzymu. Sprawa wywołała międzynarodową sensację, telewizja bez przerwy podaje szczegóły o życiu i śmierci szesnastoletniej tenisistki, paski na dole ekranu pełną powoli i wytrwale, powtarzając te same informacje, których nie szczędzą spikerzy i eksperci.

Doktor Scarpetta, spróbujmy uporządkować ten wielki zamęt, który zdaje się tutaj panować. Według pani Martin zmarła przed drugą lub trzecią tamtego popołudnia – mówi kapitan Ottorino Poma, *medico legale* w Arma dei Carabinieri, policji wojskowej kierującej dochodzeniem.

– Nie według mnie. – Doktor Scarpetta zaczyna tracić cierpliwość. – Według pana.

Poma marszczy brwi w słabym oświetleniu.

– Byłem pewien, że zaledwie parę minut temu mówiła pani o treści żołądka i poziomie alkoholu. I o tym, że wyniki wskazują, iż zginęła w ciągu paru godzin od chwili, gdy ostatni raz widziały ją koleżanki.

– Nie powiedziałam, że zmarła przed drugą lub trzecią. Sądzę, że pan to powtarza, kapitanie Poma.

Choć młody, zyskał sobie renomę, aczkolwiek ma niezbyt dobrą opinię. Gdy Scarpetta poznała go dwa lata temu w Hadze na dorocznym zjeździe ENFSI, nazywano go drwiąco Doktorem Elegantem i charakteryzowano jako nadzwyczaj kłótliwego zarozumialca. Jest przystojny, naprawdę robi wrażenie, ma upodobanie do pięknych kobiet i markowych ubrań. Dziś nosi granatowy mundur z szerokimi czerwonymi lampasami i srebrnym szamerowaniem, a do tego wypucowane buty z czarnej skóry. Gdy rankiem dostojnie wkroczył do auli rzeczywistości wirtualnej, miał na głowie przepisową czapkę z czerwoną podszewką.

Siedzi na wprost Kay, pośrodku pierwszego rzędu, i rzadko odrywa od niej oczy. Na prawo od niego zasiada Benton Wesley, który milczy przez większość czasu. Wszyscy obecni noszą maski w postaci okularów stereoskopowych zsynchronizowanych z Systemem Analiz Miejsca Przystępstwa, kapitalną innowacją, która sprawia, że agencje ochrony porządku publicznego na całym świecie zazdroszczą Unitr per l'Analisi del Crimine Violento w Polizia Scientifica Italiana.

– Chyba musimy omówić to jeszcze raz, żeby dokładnie zrozumiał pan moje stanowisko – mówi Scarpetta do kapitana Pomy, który teraz wspiera podbródek na dłoni, jakby prowadził z nią intymną rozmowę przy kieliszku wina. – Gdyby została zamordowana o drugiej lub trzeciej po południu, to w chwili znalezienia ciała, co miało miejsce około ósmej trzydzieści nazajutrz rano, byłaby martwa co najmniej od siedemnastu godzin. Przeczy temu *livor mortis*, *rigor mortis* i *algor mortis*. Laserowym wskaźnikiem

kieruje uwagę zebranych na trójwymiarowy błotnisty plac budowy na ekranie, który zajmuje całą ścianę. Widzowie mają wrażenie, że stoją pośrodku miejsca zbrodni, patrząc na zmasakrowane zwłoki Drew Martin wśród śmieci i sprzętu do robót ziemnych. Czerwona kropka lasera przesuwa się wzdłuż lewego ramienia, lewego pośladka, lewej nogi i bosej stopy. Prawy pośladek zniknął, podobnie jak część prawego uda, jakby zaatakował ją rekin.

– Jej *livores*... – zaczyna Scarpetta.

– Znów muszę przeprosić. Mój angielski nie jest tak dobry jak pani. Nie jestem pewien znaczenia tego słowa – przerywa jej kapitan Poma.

– Użyłam go wcześniej.

– Wtedy też nie byłem pewien.

Śmiech. Poza tłumaczką Scarpetta jest tutaj jedyną kobietą. Według nich dwóch kapitan wcale nie jest zabawny, ale mężczyźni są innego zdania. Z wyjątkiem Bentona, który tego dnia nie uśmiechnął się ani razu.

– Zna pani włoski odpowiednik? – pyta kapitan Poma.

– A co z językiem starożytnego Rzymu? Przecież to łacina. Terminologia medyczna ma w większości łacińskie korzenie. – Nie mówi tego niegrzecznie, ale jest rzeczowa, ponieważ doskonale zdaje sobie sprawę, że jego angielski zaczyna kuleć, gdy jest mu to na rękę.

Poma zwraca ku niej swoje okulary trójwymiarowe, przywodząc jej na myśl Zorro.

– Po włosku proszę – mówi. – Nigdy nie byłem dobry z łaciny.

– Podam panu w obu językach. Po włosku *livor* to *livido*, czyli siność. *Mortis* to dopełniacz rzeczownika *mors*, czyli śmierć. *Livor mortis* to sino-czerwone plamy opadowe, które pojawiają się po śmierci.

– Znacznie lepiej, gdy mówi pani po włosku. Posługuje się nim pani tak dobrze.

Scarpetta nie zamierza robić tego tutaj, choć zna włoski na tyle dobrze, by dać sobie radę. W czasie zawodowych dyskusji woli angielski, bo niuanse bywają trudne do oddania w obcym języku, a poza tym tłumaczka przecież przekłada każde jej słowo. Kłopoty językowe wraz z naciskiem politycznym i stresem, a także bezustannymi, enigmatycznymi błazeństwami kapitana Pomy powiększają to, co niezależnie od wszystkiego już jest poważną katastrofą. W tej sprawie zabójca działał w sposób nietypowy, a więc nie pasuje do żadnego precedensu ani do zwykłych profili. Wprawia ich w konsternację. Nawet nauka staje się źródłem irytującej dyskusji – jakby rzucała im wyzwanie, okłamywała ich, zmuszając Kay do przypomnienia sobie i wszystkim innym, że nauka zawsze mówi prawdę. Nie popełnia błędów. Nie zwodzi ich świadomie ani z nich nie drwi.

Kapitan Poma tego nie rozumie. A może tylko udaje. Może nie jest poważny, gdy nawiązuje do zwłok Drew jak do niechętniej do współpracy, konfliktowej osoby, jakby coś go z nią łączyło. Twierdzi, że zmiany pośmiertne mogą mówić jedno, a alkohol we krwi i treść żołądka co innego, lecz na przekór stanowisku Scarpetty jedzeniu i picciu zawsze można zaufać.

– To, co zjadła i wypła Drew, ujawnia prawdę. – Poma powtarza swoje słowa z płomiennego oświadczenia wstępnego.

– Ujawnia prawdę, tak. Ale nie pańską prawdę – odpowiada Kay, a ton jej głosu jest bardziej uprzejmy niż jej słowa. – Pańska prawda jest błędną interpretacją.

– Sądzę, że już to przedyskutowaliśmy – odzywa się Benton z cieni pierwszego rzędu. – Sądzę, że doktor Scarpetta wyraziła się absolutnie jasno.

Trójwymiarowe okulary kapitana Pomy – i rzędy innych okularów trójwymiarowych – wciąż są skierowane na nią.



– Przykro mi, jeśli nudzę pana powtarzaniem faktów, doktorze Wesley, ale musimy znaleźć w nich sens. Dlatego proszę o wyrozumiałość. Siedemnastego kwietnia Drew zjadła okropne lazanie i wypła cztery kieliszki okropnego chianti pomiędzy jedenastą trzydzieści a dwunastą trzydzieści w turystycznej trattorii w pobliżu Schodów Hiszpańskich. Zapłaciła rachunek i wyszła, potem na Piazza di Spagna rozstała się z dwiema przyjaciółkami, obiecując, że za godzinę dołączy do nich na Piazza Navona. Nie pojawiła się. Tyle wiemy na pewno. Wszystko inne pozostaje tajemnicą. – Poma patrzy na Scarpette przez okulary w ciężkich oprawkach, potem obraca się na siedzeniu i mówi do rzędów za sobą: – Częściowo z powodu opinii naszej szacownej koleżanki ze Stanów Zjednoczonych, jakoby Drew nie zmarła krótko po lunchu albo nawet tego samego dnia.

– Tak twierdzą od początku. Jeszcze raz wyjaśnię dlaczego, ponieważ wydaje się pan dezorientowany – mówi Kay.

– Musimy przejść do dalszych kwestii – oponuje Benton.

Ale nie mogą przejść dalej. Kapitan Poma, uznana sława, cieszy się takim szacunkiem Włochów, że może robić, co chce. Prasa nazywa go Sherlockiem Holmesem Rzymu, choć jest lekarzem, nie detektywem. W tej chwili wszyscy jakby o tym zapomnieli, łącznie z commandante generale carabinieri, który siedzi w kącie z tyłu i więcej słucha, niż mówi.

– W normalnych okolicznościach – kontynuuje Scarpetta – posiłek zostałby w pełni strawiony w ciągu kilku godzin po lunchu, a poziom alkoholu z pewnością nie sięgałby dwóch promili, jak wykazało badanie toksykologiczne. Więc tak, kapitanie Poma, treść żołądka i toksykologia sugerują, że dziewczyna zmarła krótko po lunchu. Ale *livor mortis* i *rigor mortis* sugerują, raczej dobitnie, pozwolę sobie dodać, że Drew zmarła prawdopodobnie dwanaście do piętnastu godzin po lunchu w trattorii, i tym artefaktom pośmiertnym powinniśmy poświęcić największą uwagę.

– Oto, dokąd doszliśmy. Z powrotem do *livor*. – Kapitan wzdycha. – To słowo, które przysparza mi tylu kłopotów. Proszę jeszcze raz je wyjaśnić, nie radzę sobie ze zrozumieniem tego, co nazywa pani artefaktami pośmiertnymi. Jakbyśmy byli archeologami przekopującymi ruiny. – Znów wspiera podbródek na rękę.

– *Livor mortis*, hipostaza pośmiertna, plamy opadowe, wszystko jedno. Gdy pan umrze, krążenie ustanie, a wówczas wskutek grawitacji krew zacznie się gromadzić w naczyniach położonych najniżej, jak osad opadający w zatopionym statku. – Kay czuje, że Benton patrzy na nią przez trójwymiarowe okulary. Nie ma odwagi na niego spojrzeć. Benton nie jest dzisiaj sobą.

– Proszę kontynuować. – Kapitan Poma podkreśla coś kilka razy w notesie.

– Jeśli po śmierci położenie zwłok nie ulegnie zmianie przez dostatecznie długi czas, powstaną plamy opadowe, *livor mortis*, będące jednym z artefaktów, czyli znamion śmierci – tłumaczy Scarpetta. – W końcu *livor mortis* się utrwała, nadając tym obszarom ciała kolor fioletowo-czerwony, z bladymi wzorami spowodowanymi przez ucisk twardej powierzchni albo ograniczenia w postaci ciasnego ubrania. Czy możemy zobaczyć zdjęcia z autopsji? – Sprawdza listę na pulpicie. – Numer dwadzieścia jeden.

Ścianę zapełnia widok ciała Drew na stalowym stole sekcyjnym w prosektorium na Uniwersytecie Tor Vergata. Zwłoki leżą na brzuchu. Scarpetta przesuwa czerwoną plamkę lasera po plecach, po sino-czerwonych plamach opadowych i bladych obszarach spowodowanych uciskiem. Musi jeszcze zająć się szokującymi ranami, które wyglądają jak ciemnoczerwone kraterki.

– Jeśli można, proszę o następną scenę. Tę, gdy wkładają ją do worka na zwłoki – mówi.

Ścianę znowu wypełnia trójwymiarowe zdjęcie budowy. Tym razem śledczy w białych kombinezonach z polietylenu, w rękawiczkach i ochraniaczach na butach chowają bezwładne, nagie ciało Drew do leżącego na noszach czarnego worka z podszewką. Wokół nich inni funkcjonariusze trzymają dodatkowe płachty, osłaniając zwłoki przed wzrokiem ciekawskich i paparazzich, którzy tłoczą się wokół miejsca zdarzenia.

– Porównajcie to ze zdjęciem, które widzieliście przed chwilą. Gdy została poddana autopsji jakieś osiem godzin po znalezieniu, proces był prawie zakończony – wyjaśnia Scarpetta. – Ale tutaj, na miejscu zdarzenia, widać wczesne etapy. – Czerwona plamka przesuwa się po różowawych obszarach na plecach Drew. – Podobnie jak w przypadku *rigor mortis*.

– Wyklucza pani wczesne wystąpienie *rigor mortis* wskutek stężenia kataleptycznego? Spowodowanego na przykład forsownym wysiłkiem przed śmiercią? Może z nim walczyła? Dlaczego nie wspomniała pani dotąd o tym fenomenie? – Kapitan Poma podkreśla coś w notesie.

– Nie ma powodu mówić o stężeniu kataleptycznym – oznajmia Scarpetta. Dlaczego nie rzygasz do kuchennego zlewu? – ma ochotę dodać. – Czy się forsowała, czy nie, stężenie pośmiertne nie było utrwalone, gdy została znaleziona, więc stężenie kataleptyczne nie wchodzi w rachubę...

– Chyba że *rigor* pojawił się i zniknął.

– Niemożliwe, ponieważ w kostnicy w pełni się zakończył. *Rigor* nie może pojawiać się i znikać, a potem znów się pojawiać.

Tłumaczka powstrzymuje się od uśmiechu, gdy przekłada te słowa na włoski. Parę osób parska śmiechem.

– Wyraźnie widać – Scarpetta wskazuje laserem zwłoki Drew w czasie przenoszenia ich na nosze – że mięśnie zdecydowanie nie są sztywne. Są

całkiem giętkie. Oceniam, że znaleziono ją w niespełna sześć godzin po śmierci, możliwe, że znacznie wcześniej.

– Jest pani ekspertem na skalę światową. Skąd więc ten brak precyzji?

– Nie wiemy, gdzie przebywała, w jakiej temperaturze i warunkach, zanim porzucono ją na terenie budowy. Ciepłota ciała, *rigor mortis*, *livor mortis* mogą znacznie się różnić w każdym przypadku i dochodzą do tego różnice indywidualne.

– Na podstawie stanu zwłok twierdzi pani, że to niemożliwe, by została zamordowana niedługo po rozstaniu z przyjaciółkami? Może zginęła w czasie, gdy szła na Piazza Navona, żeby do nich dołączyć?

– Nie wierzę, że tak się stało.

– W takim razie proszę mi to wytłumaczyć jeszcze raz. Jak pani wyjaśni obecność niestrawionego pokarmu i dwa promile alkoholu we krwi? To sugeruje, że zmarła niedługo po lunchu z koleżankami, a nie piętnaście, szesnaście godzin później.

– Możliwe, że niedługo po rozstaniu z koleżankami piła alkohol, a przerażenie i stres zahamowały procesy trawienne.

– Co? Teraz pani sugeruje, że spędziła z zabójcą dziesięć, dwanaście, piętnaście godzin, i że z nim piła?

– Mógł ją zmusić do picia, żeby była osłabiona i łatwiejsza do opanowania. Jak podawanie narkotyku.

– Więc zmuszał ją do picia alkoholu być może przez całe popołudnie, całą noc i wczesny ranek, a ona była taka przerażona, że jedzenie nie zostało strawione? Przedstawia nam to pani jako wiarygodne wyjaśnienie?

– Widziałam już wcześniej podobne przypadki – mówi Scarpetta.



Animowany teren budowy po zmroku.

Okoliczne sklepy, pizzerie i restauracje są oświetlone i pełne ludzi. Samochody i skutery parkują po obu stronach ulicy, na chodnikach. Hałas pojazdów, kroków i głosów wypełnia aulę rzeczywistości wirtualnej.

Nagle światła w oknach gasną. Zapada cisza.

Warkot i sylwetka samochodu. Czterodrzwiowa czarna lancia parkuje na rogu Via dell'Anima. Otwierają się drzwi po stronie kierowcy i wysiada animowany mężczyzna. Jest ubrany na szaro. Twarz nie ma rysów i podobnie jak ręce jest szara, z czego każdy w auli wnioskuje, że policja nie zna wieku, koloru skóry ani żadnych cech fizycznych zabójcy. Dla uproszczenia zabójcę przedstawiono jako mężczyznę. Szary mężczyzna otwiera bagażnik i wyjmuje ciało owinięte w niebieski materiał z deseniem w kolorze czerwonym, złotym i zielonym.

– Materiał zrekonstruowano na podstawie jedwabnych włókien zebranych z ciała i błota – wyjaśnia kapitan Poma.

Benton Wesley uzupełnia:

– Włókna znaleziono na całym ciele. We włosach, na rękach, stopach. Najwięcej przykleiło się do ran. Możemy wyciągnąć wniosek, że była owinięta od stóp po głowę. Dlatego oczywiście musimy brać pod uwagę dużą płachtę kolorowego jedwabiu. Może prześcieradło, może zasłona...

– Do czego pan zmierza?

– Nasuwają się dwa wnioski: nie należy zakładać, że to było prześcieradło, ponieważ nie powinniśmy zakładać niczego. Poza tym jest możliwe, że owinał ją w coś, co zabrał z miejsca, gdzie mieszka lub pracuje, albo gdzie ją przetrzymywał.

– Tak, tak. – Okulary kapitana Pomy wpatrują się w scenę na ścianie. – Wiemy też, że znaleziono włókna wykładziny dywanowej, które odpowiadają włóknom wykładziny w bagażniku lancii z roku dwa tysiące piątego, której opis odpowiada pojazdowi, który odjechał z tego obszaru

około szóstej rano. Wspomniałem o świadku. Kobieta w pobliskim mieszkaniu wstała, żeby zobaczyć, co się dzieje z jej kotem, bo... jakie to było słowo?

– Miauczał? Miauknął? – podsuwa tłumaczka.

– Wstała, bo kot miauczał, i przypadkiem spojrzała przez okno. Ciemny luksusowy sedan odjeżdżał z placu budowy jak gdyby bez pośpiechu. Powiedziała, że skręcił w prawo, w jednokierunkową Via dell'Anima. Proszę kontynuować.

Animacja ożywa. Szary mężczyzna wyjmuje z bagażnika owinięte w kolorowy materiał ciało i niesie je do pobliskiej aluminiowej kładki. Przesłupuje nad sznurem, który broni wstępu na kładkę, i znosi ciało po desce na teren budowy. Kładzie je przy desce, w błocie, kuca w ciemności i szybko odwija zwłoki. To nie animacja, ale trójwymiarowe zdjęcie Drew Martin. Każdy widzi wyraźnie jej znaną twarz, potworne rany na smukłym, wysportowanym nagim ciele. Szary mężczyzna zwija kolorowy materiał i wraca do wozu. Odjeżdża z normalną prędkością.

– Sądzymy, że niósł, a nie włókł ciało – wyjaśnia kapitan Poma – bo włókna były tylko na zwłokach i na ziemi pod nimi. Nie znaleziono ich nigdzie indziej i choć nie stanowi to dowodu, z pewnością sugeruje, że jej nie ciągnął. Pozwolę sobie przypomnieć, że scena została odwzorowana z pomocą laserowego systemu mapowania, więc perspektywa i położenie poszczególnych obiektów są całkowicie precyzyjne. Oczywiście, animowane są tylko te osoby i obiekty, takie jak zabójca i jego wóz, które nie zostały zarejestrowane kamerą albo sfotografowane.

– Ile ważyła? – pyta z tylnego rzędu minister spraw wewnętrznych.

Scarpetta odpowiada, że Drew Martin ważyła sześćdziesiąt kilogramów.

– Musi być dość silny.

Animacja zostaje wznowiona. Cisza, plac budowy we wczesnym świetle dnia. Szum deszczu. Okna w okolicy są ciemne, sklepy i restauracje zamknięte. Na ulicach jest pusto. Potem wycie motocykla. Coraz głośniejsze. Czerwony ducati pojawia się na Via di Pasquino, motocyklista jest animowaną postacią w płaszczu przeciwdeszczowym i kasku przysłaniającym twarz. Skręca w prawo na dell'Anima i nagle hamuje, motor przewraca się z hukiem i silnik gaśnie. Przestraszony motocyklista przestępuje nad maszyną i z wahaniem wchodzi na aluminiową kładkę, jego buty dudnią na metalu. Ciało w błocie wygląda bardziej szokująco, bardziej makabrycznie, ponieważ trójwymiarowe zdjęcie zestawione jest z nienaturalną animacją motocyklisty.

– Jest prawie wpół do dziewiątej, pochmurno i deszczowo, jak widać – mówi kapitan Poma. – Proszę przejść do profesora Fioraniego na miejscu zdarzenia. Obraz czternasty. Doktor Scarpetta, może pani, jeśli chce, zbadać ciało wraz z naszym droгим profesorem, którego niestety nie ma dzisiaj z nami, bo, zgadłaby pani? Jest w Watykanie. Zmarł jakiś kardynał.

Benton patrzy na ekran. Kay czuje, jak smutek ściska jej serce, bo jest taki nieszczęśliwy i nawet nie chce na nią spojrzeć.

Ekran wypełniają nowe obrazy, trójwymiarowe nagrania wideo. Mrugają niebieskie światła. Wozy policyjne i należący do karabinierów granatowy van techników kryminalistyki. Karabinierzy z pistoletami maszynowymi strzegą granic placu budowy. W obrębie kordonu oficerowie śledczy po cywilnemu zbierają dowody, robią zdjęcia. Słychać trzask migawek, ściszone głosy i gwar tłumów na ulicach. Dudnienie policyjnego helikoptera nad głową. Profesor – najbardziej szanowany lekarz sądowy w Rzymie – jest ubrany w biały, ubłocony kombinezon z polietylenu. Zbliżenie z jego punktu widzenia: ciało Drew. Oglądane przez okulary stereoskopowe jest takie prawdziwe, takie dziwne. Scarpetta ma wrażenie,

że mogłaby dotknąć zwłok i ziejących ciemnoczerwonych ran, zabłoconych i lśniących w deszczu. Długie jasne włosy są mokre, przylepione do twarzy. Powieki mocno zaciśnięte, oczy pod nimi wybałuszone.

– Doktor Scarpetta, może ją pani zbadać – powtarza kapitan Poma. – Proszę nam powiedzieć, co pani widzi. Oczywiście przestudiowała pani raport profesora Fioraniego, ale niech pani podzieli się z nami swoją opinią, patrząc na trójwymiarowy obraz zwłok na miejscu zdarzenia. Nie będziemy pani krytykować, jeśli nie zgodzi się pani z orzeczeniem profesora.

Uważanego za nieomylnego jak papież, którego balsamował kilka lat wcześniej.

Czerwona plamka lasera przesuwana się zgodnie z życzeniem Scarpetty, która mówi:

– Pozycja zwłok. Po lewej stronie ręce złożone pod brodą, nogi lekko ugięte. Sądzę, że układ ciała jest zamierzony. Doktorze Wesley? – Patrzy na grube szkła Bentona, skierowane nie na nią, lecz na ekran. – To odpowiedni moment na pański komentarz.

– Zgadza się. Zabójca upozował ciało.

– Jakby się modliła? – sugeruje komendant główny policji państwowej.

– Jakiego była wyznania? – pyta zastępca dyrektora policji kryminalnej.

Grad pytań i domysłów ze skąpo oświetlonego teatru.

– Rzymskokatolickiego.

– Była niepraktykująca, jak rozumiem.

– Niezbyt.

– Może jakieś powiązania religijne?

– Tak, też się zastanawiam. Plac budowy leży blisko kościoła Męczeństwa Świętej Agnieszki.

Kapitan Poma wyjaśnia:



– Dla niezorientowanych... – spogląda na Bentona – święta Agnieszka to dwunastoletnia męczennica, torturowana i zamordowana, gdyż nie chciała poślubić poganina takiego jak ja.

Salwy śmiechu. Dyskusja o morderstwie o podłożu religijnym. Ale Benton zaprzecza.

– To upokorzenie seksualne. Jest upozowana, naga, zostawiona na widoku niedaleko miejsca spotkania z przyjaciółkami. Zabójca chciał, żeby ją znaleziono, i chciał zaszokować ludzi. Religia nie stanowi motywu nadrzędnego. Jest nim podniecenie seksualne.

– Nie znaleźliśmy dowodów gwałtu – przypomina szef laboratoriów kryminalistycznych karabinierów.

Mówi dalej po włosku, a tłumaczka przekłada jego słowa na angielski. Zabójca nie zostawił śladów spermy, krwi, śliny, chyba że zostały zmyte przez deszcz. Ale pod paznokciami znaleziono DNA z dwóch różnych źródeł. Na razie profile są bezużyteczne, ponieważ, niestety, rząd włoski nie zezwala na pobieranie próbek DNA od przestępców, uważając to za naruszenie praw człowieka. Jedynymi profilami, jakie można obecnie wprowadzić do włoskiej bazy danych, są te uzyskane z dowodów, a nie pobrane od ludzi.

– Tak więc we Włoszech nie ma bazy danych ułatwiających poszukiwania – dodaje kapitan Poma. – W tej chwili możemy tylko powiedzieć, że próbki DNA spod paznokci Drew nie pasują do żadnego przestępcy zarejestrowanego w bazach danych poza Włochami, łącznie ze Stanami Zjednoczonymi.

– Ustalono, że źródłami DNA spod jej paznokci są mężczyźni pochodzenia europejskiego, innymi słowy, rasy białej – mówi Benton.

– Tak – przyznaje dyrektor laboratorium.

– Doktor Scarpetta, może pani kontynuować? – pyta kapitan Poma.

– Mogę prosić o zdjęcie z autopsji numer dwadzieścia sześć? Widok od tyłu w czasie badania zewnętrznego. Zbliżenie ran.

Ekran wypełniają dwa ciemnoczerwone kraterzy z poszarpanymi skrajami. Scarpetta wskazuje laserem, czerwona kropka przesuwa się po rozległej ranie w miejscu, gdzie był prawy pośladek, potem wędruje na prawe podudzie, skąd też wycięto ciało.

– Zadane ostrym narzędziem tnącym, być może z ząbkowanym ostrzem, które przecięło mięsień i drasnęło kość.

Okaleczenia pośmiertne, sądząc po braku reakcji tkanki na zranienie. Innymi słowy, rany są żółtawe.

– Okaleczenie pośmiertne wyklucza torturowanie, przynajmniej torturowanie przez cięcie – dodaje Benton.

– Jeśli nie tortury, to jak brzmi wyjaśnienie? – pyta go kapitan Poma.

Dwaj mężczyźni patrzą na siebie jak zwierzęta, które są naturalnymi wrogami. – Z jakiego powodu ktoś miałby zadawać takie sadystyczne i, ośmielę się zasugerować, szpecące rany drugiemu człowiekowi? Proszę nam powiedzieć, doktorze Wesley, czy w czasie swojej kariery spotkał się pan z podobnymi przypadkami? Może gdy był pan sławnym twórcą portretów psychologicznych w FBI?

– Nie – ucina Benton krótko. Każdą wzmiankę o dawnej pracy w FBI uważa za rozmyślną obrazę. – Widziałem okaleczenia. Ale nigdy czegoś takiego. Zwłaszcza nie to, co zrobił z jej oczami.



Zabójca usunął je i wypełnił oczodoły piaskiem. Później skleił powieki.

Scarpetta wskazuje laserem i opisuje, a Bentona znowu przenika chłód. Wszystko w tej sprawie mrozi go, wytrąca z równowagi i fascynuje. Jaka

jest symbolika? Przypadki wydłubywania oczu nie samu obce. Ale sugestie kapitana Poma wydają się naciągane.

– *Pankration*, sztuka walki starożytnych Greków? Może słyszeliście – kapitan Poma zwraca się do słuchaczy. – W *pankrationie* zawodnik używał wszelkich możliwych metod, żeby pokonać przeciwnika. Powszechnie było wyłupywanie oczu i zadawanie śmierci przez zakłucie bądź uduszenie. Oczy Drew zostały wyłupione i uduszono ją.

Generał karabinierów za pośrednictwem tłumaczki pyta Bentona:

– Czy ten przypadek jest powiązany z *pankrationem*? Czy o tym myślał zabójca, gdy usuwał jej oczy i dusił?

– Nie sędzę.

– Jakże zatem jest wyjaśnienie? – Generał, podobnie jak kapitan Poma, nosi wspianą mundur, ale ma więcej od niego srebrnych szamerunków na mankietach i stójce.

– Bardziej wewnętrzne. Bardziej osobiste.

– Może zaczerpnął pomysł z wiadomości. Tortury. Irackie szwadrony śmierci, które wyrywają zęby i wyłupiają oczy.

– Mogę tylko przypuszczać, że poczynania zabójcy są manifestacją jego psyche. Innymi słowy, nie sędzę, by to, co zrobił, było aluzją do czegoś choćby trochę oczywistego. Poprzez rany zadane Drew możemy zajrzeć do jego wewnętrznego świata – mówi Benton.

– To spekulacje – odzywa się kapitan Poma.

– To wgląd psychologiczny oparty na doświadczeniu zdobytym w ciągu wielu lat rozpracowywania brutalnych przestępstw.

– Ale polega pan na intuicji.

– Ignorujemy intuicję tylko na własne ryzyko.

– Czy mamy zdjęcia, które pokazują ją od przodu w czasie badania zewnętrznego? – pyta Scarpetta. – Zbliżenie szyi. – Sprawdza listę na

podium. – Numer dwadzieścia.

Trójwymiarowy obraz wypełnia ekran: Drew na stole sekcyjnym z nierdzewnej stali, skóra i włosy mokre po myciu.

– Jeśli spojrzeć tutaj... – Kay wskazuje laserem szyję – można zobaczyć poziomy ślad podwiązania. – Plamka przesuwa się w poprzek szyi.

Przerywa jej szef departamentu turystyki rzymskiej:

– Później wyjął jej oczy. Po śmierci. Nie za życia. To ważne.

– Tak – zgadza się Scarpetta. – Z raportów wynika, że jedyne obrażenia przedśmiertne to stłuczenia na kostkach i te spowodowane przez duszenie. Mogę prosić zdjęcie z sekcji szyi? Numer trzydzieści osiem.

Czeka. Po chwili pojawia się obraz. Na stole leży krtań i tkanka miękka z obszarami wylewu. Język.

Scarpetta pokazuje.

– Uszkodzenia tkanki miękkiej i leżących poniżej mięśni, a także złamanie kości gnykowej wskutek duszenia wyraźnie wskazują, że obrażenia zostały spowodowane za życia.

– Petocje w oczach?

– Nie wiemy, czy były wybroczyny spojówkowe. Nie ma oczu. Ale raporty wspominają o wybroczynach punktowych powiek i twarzy.

– Co zrobił z jej oczami? Zna pani coś podobnego z doświadczenia?

– Widziałam ofiary z wyłupionymi oczami. Ale nigdy nie słyszałam o zabójcy wypełniającym oczodoły piaskiem, a potem sklejającym powieki klejem cyjano-akrylowym, jak wynika z waszego raportu.

– Superglue – uściśla kapitan Poma.

– Ogromnie interesuje mnie piasek. Zdaje się, że nie pochodzi z okolicy. Co ważniejsze, użycie elektronowego mikroskopu skaningowego ze spektrometrem analizy rentgenowskiej pozwoliło znaleźć ślady czegoś, co

wygląda na cząstki GSR\* [Gunshot residua – ślady pozostałości po wystrzale.], czyli pozostałości po wystrzale. Ołów, antymon i bar.

– Na pewno nie z lokalnych plaż – oświadcza kapitan Poma. – Chyba że wielu ludzi strzela tam do siebie, a my nic o tym nie wiemy.

Śmiech.

– W piasku z Ostii byłyby bazalt – podejmuje Scarpetta. – Również inne składniki charakterystyczne dla aktywności wulkanicznej. Sądzę, że wszyscy macie wydruki linii widmowych piasku z ciała i linii widmowych piasku z plaży w Ostii.

Szelest papieru w auli. Błysk małych latarek.

– Obie próbki przeanalizowano metodą spektroskopii Ramana, używając lasera czerwonego o mocy ośmiu miliwatów. Jak widać, widma piasku z miejscowych plaż Ostii różnią się od widma piasku znalezione w oczodołach Drew Martin. Dzięki elektronowemu mikroskopowi skaningowemu możemy zobaczyć skład piasku, a obrazowanie elektronów wstecznie rozproszonych pokazuje nam cząsteczki GSR, o których mówimy.

– Plaże Ostii są popularne wśród turystów – mówi kapitan Poma. – Ale nie za bardzo o tej porze roku. Miejscowi i przyjezdni zwykle czekają, aż się ociepli. Koniec maja, nawet czerwiec. Wtedy tłoczy się tam mnóstwo ludzi z Rzymu, bo dojazd zajmuje tylko trzydzieści, może czterdzieści minut. To nie dla mnie. – Jakby ktoś go pytał o osobisty stosunek do plaż Ostii. – Moim zdaniem czarny piasek plaż jest brzydki, w życiu nie wszedłbym tam do wody.

– Sądzę, że ważne jest pochodzenie piasku, co jak dotąd stanowi zagadkę – odzywa się Benton. Jest już późne popołudnie i wszyscy są niespokojni. – I dlaczego w ogóle piasek? Piasek, wybór tego konkretnego

piasku, ma jakieś znaczenie dla zabójcy i być może powie nam, gdzie została zamordowana Drew, skąd pochodzi zabójca albo gdzie spędza czas.

– Tak, tak – mruży kapitan Poma z nutką zniecierpliwienia. – Oczy i te straszne rany też coś dla niego znaczą. Na szczęście szczegóły te nie są publicznie znane. Udało nam się zachować je w tajemnicy przed dziennikarzami. Gdyby więc doszło do podobnego morderstwa, będziemy wiedzieli, że nie popełnił go naśladowca.

## ROZDZIAŁ 2

Siedzą w trójkę w oświetlonym świecami kącie Tullio, popularnej trattorii z fasadą z trawertynu, w pobliżu teatrów, niedaleko Schodów Hiszpańskich.

Zalane blaskiem świec stoliki okryte są bladozłotymi obrusami, a wyłożona ciemną boazerią ściana za nimi obstawiona jest butelkami wina. Na innych ścianach wiszą akwarele rustykalnych scen włoskich. Panuje cisza, zakłócana tylko przez pijanych Amerykanów przy jednym stoliku. Nie zważają na nic, czymś zaabsorbowani, podobnie jak kelner w beżowej marynarce i czarnym krawacie. Nikt nie ma pojęcia, o czym dyskutują Benton, Scarpetta i kapitan Poma. Gdy ktoś podchodzi na tyle blisko, żeby słyszeć rozmowę, zmieniają temat na niewinny, a zdjęcia i raporty chowają do teczek.

Kay sący biondi santi brunello, rocznik tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiąty szósty, bardzo drogie wino, lecz wybrałaby inne, gdyby ją poproszono, a zwykle jest o to proszona. Odstawia kieliszek na stół, nie odrywając oczu od zdjęcia leżącego obok kanapki z białej pizzy z szynką parmeńską i melonem, po której kelner poda strzępiela z rusztu, a następnie fasolę w oliwie z oliwek. Może maliny na deser, chyba że coraz gorszy humor Bentona odbierze jej apetyt. A to możliwe.

– Może wyjdę na ograniczoną – zaczyna cicho – ale wciąż uważam, że umyka nam coś ważnego. – Postukuje palcem wskazującym w zdjęcie Drew Martin.

– Więc teraz nie skarży się pani, że powtarzamy coś setki razy – mówi kapitan Poma, jawnie z nią flirtując. – Widzi pani? Dobre jedzenie i wino.

Staniemy się mądrzejsi. – Stuka się w głowę, naśladowując ruch jej palca.

Scarpetta jest roztargniona, jak wtedy, gdy wychodzi z pokoju i nie wie, dokąd idzie.

– Coś tak oczywistego, że jesteśmy na to kompletnie ślepi, każdy jest ślepy – kontynuuje. – Często czegoś nie widzimy, bo jak się mówi, leży na widoku. Co to jest? Co ona nam mówi?

– Świetnie. Spójrzmy na to, co leży na widoku – cedzi Benton. Kay nieczęsto widziała u niego taką jawną wrogość i zamknięcie w sobie. Benton nie ukrywa pogardy do kapitana Pomy, teraz ubranego w nieskazitelny garnitur w prążki. W blasku świecy połyskują złote spinki do mankietów z godłem karabinierów.

– Tak, na widoku. Każdy centymetr jej obnażonego ciała, zanim ktokolwiek go dotknął. Powinniśmy przestudiować je w tym stanie. Nietknięte. Dokładnie takie, jak zostawił – mówi kapitan Poma, patrząc na Scarpettę. – A jak je zostawił, to cała historia, prawda? Ale, zanim zapomnę, to nasze ostatnie wspólne chwile w Rzymie. Przynajmniej na razie. Powinniśmy spełnić za nie toast.

Wznoszenie kieliszków wobec martwej młodej kobiety, której nagie okaleczone ciało w pewnym sensie leży na stoliku, nie wydaje się stosowne.

– I wypić za FBI – kontynuuje kapitan Poma. – Za determinację, z jaką obracają tę zbrodnię w akt terroryzmu. Zdecydowanie łatwy cel, amerykańska gwiazda tenisa.

– Wspominanie o tym jest stratą czasu – stwierdza Benton i podnosi kieliszek nie po to, żeby spełnić toast, ale się napić.

– W takim razie niech pan powie swojemu rządowi, żeby przestał to sugerować. Powiem wprost, skoro jesteśmy sami. Wasz rząd rozpowszechnia tę pogłoskę zakulisowo. Nie dyskutowaliśmy o tym



wcześniej, bo dla Włochów to śmieszne. Żaden terrorysta nie ponosi odpowiedzialności za to morderstwo. Że też FBI mówi takie rzeczy. To głupie.

– FBI tu nie ma. My jesteśmy. Nie należymy do FBI, a ja mam dość pańskich aluzji do FBI.

– Ale przez większą część życia zawodowego pracował pan w FBI. Dopóki pan nie odszedł i nie zniknął z pola widzenia jak martwy. Z jakiegoś powodu.

– Gdyby to był akt terroryzmu, ktoś już by się przyznał. Wolałbym, żeby nie wspominał pan więcej o FBI ani o mojej osobistej historii.

– Nienasycony apetyt pańskiego kraju na rozgłos, zastraszenie wszystkich innych i rządzenie światem. – Kapitan Poma napełnia kieliszki winem. – Federalne Biuro Śledcze przesłuchuje świadków w Rzymie, pomijając Interpol, my zaś powinniśmy współpracować z Interpolem, mamy tutaj ich przedstawicieli. A oni przysyłają tych idiotów z Waszyngtonu, którzy nas nie znają, o niczym nie mają pojęcia i jeszcze mniej wiedzą, jak rozpracować skomplikowaną sprawę zabójstwa...

– Powinien pan już wiedzieć, kapitanie, że konflikty wewnątrzinstytucjonalne w świecie polityki i sądownictwa wynikają z natury rzeczy – przerywa mu Benton.

– Mówcie do mnie Otto. Jak moi przyjaciele. – Przysuwa krzesło bliżej do Scarpetty, przynosząc z sobą zapach wody kolońskiej, potem przestawia świecę. Spogląda z niesmakiem na stolik ograniczonych, pijących na umór Amerykanów. – Wiesz, że próbujemy was lubić.

– Nie próbujcie – mówi Benton. – Nikt inny nie próbuje.

– Nigdy nie mogłem zrozumieć, dlaczego wy, Amerykanie, jesteście tacy głośni.

– Bo nie lubimy słuchać – odpowiada Kay. – Dlatego wybraliśmy George’a Busha na prezydenta.

Kapitan Poma podnosi zdjęcie leżące przy jej talerzu, przygląda mu się, jakby widział je pierwszy raz.

– Szukam tego, co jest na widoku. I widzę tylko to, co oczywiste.

Benton patrzy na nich, gdy siedzą tak blisko. Jego przystojna twarz wygląda jak wykuta z granitu.

– Lepiej założyć, że nie ma czegoś takiego jak oczywiste. To tylko słowo. – Scarpetta wyjmuje więcej zdjęć z koperty. – Kwestia osobistej percepcji. A moja może się różnić od twojej.

– Sądzę, że zademonstrowałaś to dość wyczerpująco w Komendzie Głównej Policji – mówi kapitan.

Benton wlepia w nich oczy.

Kay patrzy na niego. Jej uporczywe spojrzenie zdradza, że jest świadoma jego zachowania i uważa, iż nie ma ku temu powodów. Nie ma również powodów do zazdrości. Nie sprowokowała zalotów kapitana Pomy.

– Na widoku. Dobrze. Może zaczniemy od palców jej stóp? – proponuje Benton.

Skubnął ledwo kawałek *buffalo mozzarella*, a pije już trzeci kieliszek wina.

– Naprawdę dobry pomysł. – Scarpetta przygląda się zdjęciom Drew. Patrzy na zbliżenie palców bosych stóp. – Staranny pedikiur. Paznokcie pomalowane niedawno, przed wyjazdem z Nowego Jorku. – Powtarza to, co już wiedzą.

– Czy to ważne? – Kapitan Poma wpatruje się w zdjęcie, siedząc tak blisko, że Kay czuje jego ramię, ciepło i zapach. – Nie sądzą. Chyba ważniejsze, w co była ubrana. Czarne dzinsy, biała jedwabna koszula,

czarna skórzana kurtka z czarną jedwabną podszewką. Do tego czarne majtki i czarny biustonosz. – Milknie na chwilę. – Dziwne, że na ciele nie ma włókien z ubrania, są tylko te z prześcieradła.

– Nie wiemy na pewno, czy było to prześcieradło – przypomina mu ostro Benton.

– Nie znaleziono również jej zegarka, naszyjnika, skórzanych bransoletek i kolczyków. Zabójca je zabrał. – Kapitan zwraca się do Scarpetty. – Z jakiego powodu? Może na pamiątkę, Ale porozmawiajmy o pedikiurze, skoro uważasz, że to ważne. Drew pojechała do centrum odnowy biologicznej przy Central Park South zaraz po przylocie do Nowego Jorku. Mamy szczegóły tego spotkania, obciążenie karty kredytowej Drew, a ściśle mówiąc, karty jej ojca. Jak słyszałem, był bardzo pobłażliwy.

– Już wcześniej zostało ustalone, że była zepsuta – przypomina Benton.

– Chyba powinniśmy zachować ostrożność z używaniem takich słów – zaznacza Scarpetta. – Uczciwie zasłużyła na to, co miała, ćwiczyła sześć godzin dziennie, ciężko trenowała, niedawno zwyciężyła w Family Circle Cup i oczekiwano, że zdobędzie...

– Tam mieszkasz – mówi do niej kapitan Poma. – Charleston, Karolina Południowa. Tam odbywa się turniej Family Circle Cup. Dziwne, prawda? Tej samej nocy poleciała do Nowego Jorku. A stamtąd tutaj. Do tego. – Wskazuje zdjęcia.

– Chodzi mi o to, że nie można kupić tytułów mistrzowskich za pieniądze, a zepsuci ludzie zwykle nie pracują z taką pasją jak ona.

– Ojciec ją rozpieszczał, ale nie przejmował się wychowywaniem dzieci – oznajmia Benton. – Podobnie jak matka.

– Tak, tak – zgadza się kapitan Poma. – Którzy rodzice puszczają szesnastoletnią dziewczynę za granicę z dwoma osiemnastoletnimi

przyjaciółkami? Zwłaszcza że była humorzasta. Miała huśtawki nastrojów.

– Kiedy dziecko staje się trudne, lepiej mu ustępować. Nie sprzeciwiać się – mówi Kay, myśląc o swojej siostrzenicy, Lucy. O ich walkach, gdy Lucy była dzieckiem. – Co z jej trenerem? Wiemy coś o ich relacjach?

– Gianni Lupano. Rozmawiałem z nim, powiedział, że wiedział, iż Drew leci do Rzymu, i nie był tym zachwycony, bo za parę miesięcy zaczynają się główne turnieje, takie jak Wimbledon. Niewiele nam pomógł i zdaje się, że był na nią zły.

– W przyszłym miesiącu jest Italian Open w Rzymie – przypomina mu Scarpetta, trochę zdziwiona, że kapitan o tym nie wspomniał.

– Oczywiście. Powinna trenować, nie uciekać z koleżankami. Nie oglądam tenisa.

– Gdzie był trener, gdy została zamordowana?

– W Nowym Jorku. Sprawdziliśmy w hotelu, w którym, jak twierdził, się zatrzymał. Rzeczywiście był tam zameldowany w tym czasie. Powiedział też, że Drew była humorzasta. Jeden dzień w dołku, następny w euforii. Bardzo uparta, trudna i nieprzewidywalna. Nie był pewien, jak długo zdoła z nią pracować. Powiedział, że ma ciekawsze zajęcia niż znoszenie jej fanaberii.

– Ciekaw jestem, czy w jej rodzinie występowały zaburzenia afektywne – wtrąca Benton. – Pewnie nie zadałeś sobie trudu, żeby spytać.

– Nie. Przykro mi, byłem za mało przenikliwy, żeby o tym pomyśleć.

– Warto byłoby wiedzieć, czy miała jakąś historię psychiatryczną, którą rodzina trzyma w tajemnicy.

– Dobrze wiadomo, że walczyła z zaburzeniami odżywiania – mówi Kay. – Wcale się z tym nie kryła.

– Nie wspominała o zaburzeniach afektywnych? A jej rodzice? – Benton kontynuuje przesłuchanie kapitana.

- Nic poza huśtawką nastrojów. Typowe dla nastolatki.
- Masz dzieci? – Benton sięga po wino.
- Nic mi o tym nie wiadomo.
- Wyzwalacz – oznajmia Scarpetta. – Z Drew działo się coś, o czym nikt nam nie powiedział. Może coś, co jest na widoku? Jej zachowanie jest na widoku. Jej picie jest na widoku. Dlaczego? Co się stało?
- Turniej w Charlestonie – mówi do niej kapitan Poma. – Gdzie masz prywatną praktykę. Jak to nazywają? Lowcountry? Co to właściwie jest Lowcountry? – Powoli wiruje winem w kieliszku, nie spuszczać z niej oczu.
- Prawie na poziomie morza, dosłownie: niska kraina.
- A wasza lokalna policja nie jest zainteresowana tą sprawą? Skoro Drew brała udział w tamtejszym turnieju zaledwie dwa dni przed śmiercią?
- Ciekawe, jestem pewna...
- Policja z Charlestonu nie ma nic do gadania w sprawie jej śmierci – wtrąca Benton. – To nie ich jurysdykcja.
- Kay obrzuca go spojrzeniem. Kapitan obserwuje ich oboje. Obserwował ich napięte relacje przez cały dzień.
- Żadna jurysdykcja nie powstrzyma nikogo od wkroczenia i błyskania odznakami – komentuje.
- Jeśli znów robisz aluzje do FBI, to dopiąłeś swego – mówi Benton. – Jeśli nawiązujesz do mojej dawnej pracy w FBI, to zdecydowanie dopiąłeś swego. Jeśli nawiązujesz do doktor Scarpetty i mnie – ty nas zaprosiłeś. Nie zjawiliśmy się ot, tak sobie, Otto.
- To moje osobiste odczucie, czy wino rzeczywiście nie jest najlepsze? – Kapitan podnosi kieliszek i ogląda go niczym diament ze skazą.
- Benton dokonał wyboru wina. Scarpetta lepiej się zna na włoskich winach, on jednak uznał, że dzisiaj musi potwierdzić swoją dominację,

jakby właśnie skoczył o pięćdziesiąt szczebli w górę na drabinie ewolucyjnej. Oglądają następne zdjęcie. Kay czuje, że kapitan Poma jest nią zainteresowany. Cieszy się, że kelner zostawia ich w spokoju, zajęty stolikiem hałaśliwych Amerykanów.

– Zbliżenie nóg – mówi. – Siniaki na kostkach.

– Świeże – stwierdza kapitan Poma. – Może ją za nie trzymał.

– Prawdopodobnie. To nie są ślady więzów.

Wolałaby, żeby kapitan Poma nie siedział tak blisko, ale nie może się odsunąć, chyba że dopchnie krzesło do ściany. Wolałaby, żeby nie ocierał się o nią, sięgając po zdjęcia.

– Nogi niedawno ogolone – kontynuuje. – Powiedziałabym, że w ciągu dwudziestu czterech godzin przed śmiercią. Odrosty ledwo widoczne. Dbała o wygląd, nawet gdy podróżowała z koleżankami. To może być ważne. Czy miała nadzieję kogoś poznać?

– Oczywiście. Trzy młode kobiety szukające młodych mężczyzn – mówi kapitan Poma.

Scarpetta patrzy, jak Benton gestem daje znać kelnerowi, żeby przyniósł następną butelkę wina.

– Drew była sławą. Jak słyszałam, unikała nieznajomych, nie lubiła być niepokojona.

– Jej picie nie ma większego sensu – oznajmia Benton.

– Nałogowe, nie. Patrząc na te zdjęcia, można stwierdzić, że była w nadzwyczajnej formie. Szczupła, znakomicie rozwinięte mięśnie. Jeśli została nałogową pijaczką, to dopiero niedawno, o czym świadczy również jej ostatni sukces. Jeszcze raz musimy się zastanowić, czy ostatnio coś się wydarzyło. Jakiś wstrząs emocjonalny?

– Przygnębienie, niezrównoważenie, nadużywanie alkoholu. Wszystko to sprawia, że człowiek staje się podatny na atak drapieżnika.

– I chyba tak się stało – mówi kapitan Poma. – Przypadkowość. Łatwy cel. Sama na Piazza di Spagna, gdzie spotkała pomalowanego na złoty kolor mima.



Pomalowany na złoto mim robił to, co robią mimowie. Drew wrzuciła monetę do jego kubka, a on wystąpił jeszcze raz ku jej wielkiej ucieście.

Nie chciała iść z koleżankami. Ostatnie słowa, jakie do nich wyrzekła, brzmiały: *„Pod całą tą złotą farbą skrywa się bardzo przystojny Włoch”*. I ostatnie słowa koleżanek do niej: *„Nie bądź taka pewna, że jest Włochem”*. Sensowny komentarz, skoro mimowie nie mówią.

Kazała przyjaciółkom pochodzić po sklepach na Via dei Condotti i obiecała, że spotka się z nimi na Piazza Navona, przy fontannie Czterech Rzek, gdzie czekały na nią bez końca. Powiedziały kapitanowi Pomie, że skosztowały darmowych próbek kruchych gofrów z jaj, fariny i cukru, i chichotały, gdy włoscy chłopcy strzelali w ich stronę z gum balonowych, prosząc o zakup. Zamiast kupić balonówki, przykleiły sobie fałszywe tatuaże i namawiały ulicznych muzyków, żeby grali na fujarkach amerykańskie melodie. Przyznały, że w czasie lunchu trochę wypiły i zachowywały się niemądrze.

Opisały Drew jako „małą pijaczkę” i stwierdziły, że była ładna, ale wcale tak nie uważała. Sądziła, że ludzie gapią się na nią, bo ją rozpoznają, choć często patrzyli z powodu jej urody. „Ludzie, którzy nie oglądają tenisa, wcale jej nie rozpoznawali – powiedziała jedna z nich kapitanowi Pomie. – Ona po prostu nie zdawała sobie sprawy, jaka jest piękna”.

Kapitan Poma peroruje w czasie dania głównego, Benton zaś skupia się przede wszystkim na picciu. Kay wie, co sobie myśli – powinna unikać zalotów kapitana, powinna w jakiś sposób wydostać się z jego zasięgu, co

w rzeczywistości wymagałoby po prostu wstania od stołu i wyjścia z trattorii. Benton uważa, że kapitan chrzani, gdyż to przeczy zdrowemu rozsądkowi, by *medico legale* przesłuchiwał świadków jak główny detektyw, a poza tym Poma ani razu nie wymienił z nazwiska innych osób zaangażowanych w sprawę. Benton nie pamięta, że kapitan Poma jest Sherlockiem Holmesem Rzymu, albo, co bardziej prawdopodobne, nie może strawić tej myśli, bo jest zazdrosny.

Scarpetta sporządza notatki, gdy kapitan szczegółowo omawia długi wywiad z pomalowanym na złoto mimem, który, jak się zdaje, ma niepodważalne alibi. Występował w tym samym miejscu u stóp Schodów Hiszpańskich do późnego popołudnia – długo po tym, jak przyjaciółki Drew wróciły, żeby jej szukać. Twierdził, że słabo pamięta dziewczynę i nie miał pojęcia, kto to taki. Wspomniał, że była pijana, postąpiła chwilę, a potem odeszła. W sumie prawie nie zwrócił na nią uwagi. Gdy nie występuje jako mim, wieczorami pracuje jako portier w hotelu Hassler, gdzie mieszkają Benton i Scarpetta. Hassler, stojący na szczycie Schodów Hiszpańskich, jest jednym z najlepszych hoteli w Rzymie. Benton nalegał, żeby zatrzymać się w penthousie z powodów, jakich jeszcze nie wyjawiał.

Kay ledwo skubnęła rybę. Wciąż patrzy na zdjęcia, jakby widziała je po raz pierwszy. Nie bierze udziału w dyskusji Bentona i kapitana Pomy, dlaczego niektórzy zabójcy groteskowo pozują swoje ofiary. Nie wtrąca ani słowa do rozmowy Bentona o podnieceniu, jakie ci seksualni drapieżcy czerpią z nagłówków w gazetach albo, jeszcze lepiej, z czajenia się w pobliżu lub w tłumie, żeby obserwować dramat odkrycia zwłok i będącą jego następstwem panikę. Przygląda się okaleczonemu nagiemu ciału Drew, leżącemu na boku, nogi razem, kolana i łokcie ugięte, ręce wsunięte pod brodę.

Niemal jakby spała.



– Nie jestem pewien, czy to pogarda – mówi Benton i kapitan Poma przerywają rozmowę.

– Jeśli spojrzeć na to... – podsuwa zdjęcie Bentonowi – bez założenia, że patrzymy na pozę poniżenia seksualnego, można się zastanawiać, czy nie chodzi o coś innego. Nie o religię. Nie o modlitwy do świętej Agnieszki. W sposobie, w jaki została upozowana – wyraża słowami napływające myśli – jest pewna czułość.

– Czułość? Chyba żartujesz! – parska kapitan Poma.

– Jakby spała. Nie dostrzegam tutaj elementów poniżenia seksualnego. Zwykle ofiara leży na plecach, ręce i nogi ma rozłożone i tak dalej. Im dłużej patrzę, tym bardziej jestem przekonana, że nie o to chodzi.

– Może – mruczy Benton, podnosząc zdjęcie.

– Ale jest naga, żeby wszyscy mogli zobaczyć – zaznacza kapitan Poma.

– Przyjrzyjcie się dobrze pozycji ciała. Mogę się mylić, oczywiście, po prostu próbuję otworzyć umysł na inne interpretacje, odkładając na bok uprzedzenia i założenie, że zabójca jest chory z nienawiści. To tylko przeczucie. Sugestia innej możliwości, że być może chciał, żeby ją znaleziono, ale jego zamiarem nie było poniżenie seksualne.

– Nie dostrzegasz pogardy? Wściekłości? – Kapitan Poma nie kryje zaskoczenia, wydaje się przepełniony szczerym niedowierzaniem.

– Myślę, że dzięki temu czuje się potężny. Miał potrzebę pokonania jej. Ma inne potrzeby, lecz w tej chwili nic o nich nie wiemy. Nie sugeruję, że w grę nie wchodzi czynnik seksualny. Nie mówię, że nie ma w nim wściekłości. Po prostu nie sądzę, aby to go napędzało.

– Charleston musi być szczęśliwe, że tam mieszkasz.

– Nie jestem pewna, czy Charleston czuje cokolwiek w tym stylu. A już na pewno nie tamtejszy koroner.

Pijani Amerykanie stają się coraz głośniejsi. To, co mówią, rozprasza Bentona.

– Mieć u siebie eksperta tej miary. Na miejscu koronera byłbym bardzo szczęśliwy. Czy nie korzysta z twoich talentów? – pyta kapitan Poma, ocierając się o nią, gdy sięga po zdjęcie, na które nie musi patrzeć.

– Wysyła swoje przypadki do Uniwersytetu Medycznego Karoliny Południowej, nigdy dotąd nie miał do czynienia z prywatną praktyką patologiczną. Ani w Charlestonie, ani nigdzie indziej. Utrzymuję kontakty z kilkoma koronerami z oddalonych okręgów, gdzie nie ma zakładów medycyny sądowej i laboratoriów – wyjaśnia Kay z roztargnieniem, skupiona na zachowaniu Bentona.

Benton daje jej znać, żeby zwróciła uwagę na to, co mówią pijani Amerykanie.

– ... Myślę, że gdy zataja się to lub owo, to sprawa śmierdzi – peroruje jeden z nich.

– Dlaczego miałyby chcieć, żeby ktoś wiedział? Ja się jej nie dziwię. Była jak Oprah albo Anna Nicole Smith. Ludzie tropią je bez ustanku, zbiegają się całymi stadami.

– Odrażające. Wyobraź sobie, że leżysz w szpitalu...

– Albo, w przypadku Anny Nicole Smith, w kostnicy. Albo w piachu...

– ... i tłumy na chodniku wyrzaskują twoje nazwisko.

– Nie znosisz gorąca, wynoś się z kuchni – takie jest moje zdanie. Cena sławy i bogactwa.

– Co się dzieje? – pyta Scarpetta.

– Zdaje się, że nasza stara przyjaciółka doktor Self miała dzisiaj jakąś pilną sprawę i przez jakiś czas nie będzie jej na antenie – odpowiada Benton.

Kapitan Poma rozgląda się i patrzy na stół hałaśliwych Amerykanów.

- Znacie ją?
- Mieliśmy z nią swoje przepychanki. Głównie Kay – mówi Benton.
- Chyba czytałem coś o tym, gdy zbierałem informacje na wasz temat. Sensacyjne, bardzo brutalne zabójstwo na Florydzie. Braliście udział w tej sprawie.
- Miło mi słyszeć, że zbierałeś informacje na nasz temat. To świadczy o sumienności.
- Chciałem się z wami zaznajomić, zanim tu przyjedziecie. – Kapitan Poma napotyka spojrzenie Scarpetty. – Pewna moja bardzo piękna znajoma regularnie ogląda doktor Self. Powiedziała mi, że jesienią widziała Drew w jej programie. Miało to coś wspólnego z jej zwycięstwem w tym wielkim turnieju w Nowym Jorku. Przyznam, że nie interesuje mnie tenis.
- US Open – podsuwa Scarpetta.
- Nie miałem pojęcia, że Drew wystąpiła w jej show. – Benton ściąga brwi, jakby mu nie wierzył.
- Wystąpiła. Sprawdziłem. To bardzo interesujące. Nagle doktor Self dostaje pilne wezwanie w sprawach rodzinnych. Próbowałem się z nią skontaktować, jeszcze nie odpowiedziała na moje pytania. Czy mogłabyś mnie z nią skontaktować?
- Poważnie wątpię, czy to by pomogło – mówi Kay. – Doktor Self nienawidzi mnie.



Wracają Via Due Macelli w ciemności.

Scarpetta wyobraza sobie Drew Martin idącą tymi ulicami. Zastanawia się, kogo spotkała. Jak wyglądał? Ile miał lat? W jaki sposób zdobył jej zaufanie? Czy już się znali? Był dzień, wokół mnóstwo ludzi, ale jak na razie nie pojawił się żaden świadek z przekonującą informacją, że widział

dziewczynę pasującą do jej rysopisu w czasie, gdy odeszła od mima. Jak to możliwe? Należała do najsłynniejszych tenisistek świata i nikt jej nie rozpoznał na ulicach Rzymu?

– Czy to się stało przypadkiem? Jak uderzenie pioruna? Nie zbliżamy się do odpowiedzi na to pytanie – mówi do Bentona, a gdy idą przez ciepłą noc, ich cienie suną po starych kamieniach. – Jest sama i pijana, może zabłądziła w jakiejś pustej bocznej ulicy i tam ją wypatrzył? I co? Zaproponował, że wskaże jej drogę, i zaprowadził tam, gdzie mógł uzyskać nad nią władzę absolutną? Może do swojego mieszkania? Albo do wozu? Jeśli tak, musi przynajmniej trochę mówić po angielsku. Jak to możliwe, że nikt jej nie zobaczył? Ani jedna osoba.

Benton milczy, ich buty stukają po chodniku, na ulicy panuje hałas, ludzie wychodzą z restauracji i barów, bardzo głośni, skutery i samochody omal ich nie rozjeżdżają.

– Drew nie mówiła po włosku, ledwie parę słów, tak nam powiedziano – dodaje Kay.

Świecą gwiazdy, łagodny blask księżyca pada na Casina Rossa, ozdobiony stiukami dom, w którym Keats zmarł na gruźlicę w wieku dwudziestu pięciu lat.

– Albo ją śledził – mówi dalej. – A może się znali. Nie wiemy i prawdopodobnie nigdy się nie dowiemy, chyba że zrobi to znowu i zostanie złapany. Porozmawiasz ze mną, Benton? Czy mam kontynuować swój raczej niespójny, niepotrzebny monolog?

– Nie wiem, do diabła, co się dzieje między wami, chyba że w ten sposób chcesz mnie ukarać.

– Między mną a kim?

– Tobą i tym cholernym kapitanem. A kim innym, do diabła?!

– Odpowiedź na część pierwszą: nic się nie dzieje i jesteś śmieszny, jeśli myślisz, że jest inaczej, ale wrócimy do tego później. Bardziej interesuje mnie wątek kary w twoim stwierdzeniu. Ponieważ ja nie karzę ani ciebie, ani nikogo innego.

Zaczynają wchodzić na Schody Hiszpańskie, poczucie zranienia i wypite wino utrudniają zadanie. Mijają splecionych kochanków i hałaśliwych młodych ludzi, którzy śmieją się i przechwalają, nie zwracając na nich uwagi. Daleko, wydaje się, że kilometr wyżej, stoi oświetlony, ogromny hotel Hassler, górujący nad miastem jak pałac.

– Jedna rzecz nie leży w moim charakterze – podejmuje Scarpetta. – Karanie ludzi. Ochrona siebie i innych, tak, ale nie karanie. Nigdy tych, na których mi zależy. A już nade wszystko... – wysapuje prawie bez tchu – nigdy nie ukarałabym ciebie.

– Jeśli chcesz widywać się z innymi, jeśli jesteś zainteresowana innymi mężczyznami, nie powiem, że cię winię. Ale powiedz mi. To wszystko, o co proszę. Nie rób przedstawienia, jak dzisiaj przez cały dzień. I wieczór. Nie graj ze mną w pieprzone gierki na poziomie liceum.

– Przedstawienie? Gierki?

– On się do ciebie kleił.

– A ja robiłam wszystko, żeby się od niego odsunąć.

– Leciał na ciebie przez cały dzień. Nie mógłby usiąść bliżej. Gapi się na ciebie, dotyka cię na moich oczach.

– Benton...

– Wiem, jest przystojny, może ciągnie cię do niego. Ale nie będę tego tolerować. Nie na moich oczach. Cholera jasna.

– Benton...

– To samo Bóg wie z kim. Tam na głębokim Południu. Co ja mogę o tym wiedzieć?

– Benton!

Cisza.

– Bredzisz. Od kiedyż to martwisz się, że cię zdradzam? Ale świadomie. Słyszeć tylko tupot ich butów na kamieniach, głośne oddechy.

– Świadomie – powtarza Kay – ponieważ raz byłam z kimś innym, gdy myślałam, że ty...

– Nie żyję – kończy za nią. – Zgadza się. Więc dowiadujesz się, że nie żyję. Minutę później pieprzysz się z jakimś facetem, który mógłby być twoim synem.

– Przestań. – Zaczyna narastać w niej gniew. – Jak śmiesz!

Benton milknie. Nawet po samodzielnie wypitej butelce wina wie, że lepiej nie kontynuować tematu jego upozorowanej śmierci, gdy był zmuszony wziąć udział w programie ochrony świadków. Tego, na co ją naraził. Wie, że lepiej jej nie atakować, jakby to ona stosowała emocjonalne okrucieństwo.

– Przepraszam – mówi.

– Czy to naprawdę ma znaczenie? Boże, te schody...

– Chyba nie możemy tego zmienić. Jak mówisz o *livor* i *rigor*. Ustalone, zakończone. Spójrzmy prawdzie w oczy.

– Nie spojrzę, jakakolwiek by ona była. O ile o mnie chodzi, nie ma żadnej. A *livor* i *rigor* dotyczą ludzi, którzy są martwi. My nie jesteśmy martwi. Przed chwilą powiedziałaś, że ty nie byłaś.

Obojgu brakuje tchu. Serce jej wali.

– Przepraszam. Naprawdę – mówi Benton, nawiązując do tego, co się stało w przeszłości, do swojej zainscenizowanej śmierci i jej zrujnowanego życia.

– Był zbyt troskliwy. Pewny siebie. Co z tego? – odparła Kay.

Benton jest przyzwyczajony, że mężczyźni zwracają na nią uwagę, ale dotąd nie robiło to na nim wrażenia, nawet go bawiło, ponieważ wiedział, kim ona jest, wiedział, kim on jest, znał swoją wartość i był świadom, że ona ma do czynienia z tym samym – z kobietami, które się na niego gapią, ocierają o niego, pragną go bezwstydnie.

– Urządziłaś sobie nowe życie w Charlestonie – mówi. – Nie rozumiem, dlaczego to niweczysz. Nie mogę uwierzyć, że to zrobiłaś.

– Nie możesz uwierzyć...? – I schody, ciągle w górę, bez końca.

– Wiedziałaś, że jestem w Bostonie i nie mogę jechać na Południe. I co nam pozostało?

– Tobie pozostała zazdrość. Mówienie: „pierdolę”, a przecież ty nigdy tego nie robisz. Boże! Nienawidzę schodów! – Scarpetta nie może złapać tchu. – Nie masz powodu, aby czuć się zagrożony. Nie chcę, żebyś czuł się zagrożony przez kogokolwiek. Co się z tobą dzieje?

– Zbyt wiele się spodziewałem.

– Czego się spodziewałeś, Benton?

– To nie ma znaczenia.

– Na pewno ma.

Wchodzą po niekończących się schodach w milczeniu, bo ich związek jest zbyt ważny, żeby o nim rozmawiać, gdy ledwo mogą oddychać. Kay wie, że Benton jest zły, bo się boi. Czuje się bezsilny w Rzymie. Czuje się bezsilny w ich związku, bo mieszka w Massachusetts, dokąd się przeniósł z jej błogosławieństwem. Okazja zajęcia stanowiska psychologa sądowego w Szpitalu MacLeana, który współpracuje z Uniwersytetem Harvarda, była zbyt dobra, żeby ją zmarnować.

– Co sobie wyobrażaliśmy? – pyta go na szczycie schodów i sięga do jego dłoni. – Idealistyczni jak zawsze, przypuszczam.

A ty mógłbyś wlać trochę energii do tej swojej ręki i przynajmniej udawać, że moją też chcesz potrzymać. Przez siedemnaście lat nie mieszkaliśmy w tym samym mieście, co dopiero w tym samym domu.

– I nie wierzysz, że to może się zmienić. – Benton splata palce, bierze głęboki oddech.

– Jak?

– Chyba potajemnie fantazjowałem, że ty się przeprowadzisz. Harvard, MIT, Uniwersytet Tufts. Chyba myślałem, że możesz nauczać. Może na akademii medycznej albo że zostaniesz konsultantem w McLeanie na niepełny etat. Albo może Boston, Biuro Lekarza Sądowego. Może zostałabyś tam szefową.

– Nie mogłabym wrócić do takiego życia. – Wchodzą do holu hotelu, który Scarpetta nazywa belle epoque, ponieważ pochodzi z pięknej epoki. Ale nie zwracają uwagi na marmury, antyczne szkło z Murano, jedwabie i rzeźby, na nic i na nikogo, łącznie z Romeem – naprawdę tak ma na imię – który w ciągu dnia jest złotym mimem, przez większość nocy portierem, a ostatnio atrakcyjnym i posępnym młodym Włochem, który nie życzy sobie dalszego przesłuchiwania w sprawie morderstwa Drew Martin.

Romeo jest uprzejmy, ale nie patrzy im w oczy, i milczy jak mim.

– Chcę tego, co dla ciebie najlepsze – mówi Benton. – Oczywiście dlatego nie wchodziłem ci w drogę, gdy postanowiłaś otworzyć własną praktykę w Charlestonie, ale to mnie zmartwiło.

– Nie mówiłaś mi o tym.

– Nie powinienem mówić ci tego teraz. Wiem, że postąpiłaś słusznie. Od lat czułaś, że tak naprawdę nigdzie nie ma dla ciebie miejsca. W pewnym sensie byłaś bezdomna i pod wieloma względami nieszczęśliwa, odkąd opuściłaś Richmond... gorzej, wybaczone, że ci przypominam, skąd zostałaś wyrzucona.



Ten cholerny dupek gubernator. Na tym etapie życia robisz dokładnie to, co powinnaś. – Wsiadają do windy. – Ale nie jestem pewien, czy zdołam to dłużej wytrzymać.

Scarpetta broni się przed strachem, nieopisanie wielkim strachem.

– Co ja słyszę, Benton? Że powinniśmy się poddać? Czy naprawdę to mówisz?

– Może wręcz przeciwnie.

– Może nie wiem, co to znaczy, i nie flirtowałam. – Wsiadają na swoim piętrze. – Nigdy. Z nikim z wyjątkiem ciebie.

– Nie wiem, co robisz, gdy mnie nie ma przy tobie.

– Wiesz, czego nie robię.

Benton otwiera drzwi do apartamentu w penthousie. Jest wspaniały, z antykami, białym marmurem i kamiennym tarasem, dość dużym, by pomieścić małą wioskę. Dalej starożytne miasto rysuje się na tle nocy.

– Benton, proszę, nie walczmy. Rano lecisz do Bostonu. Ja lecę do Charlestonu. Nie odpychajmy siebie nawzajem, żeby w ten sposób ułatwić rozłąkę.

Benton bez słowa zdejmuje płaszcz.

– Co? Jesteś zły, że wreszcie znalazłam miejsce, w którym mogę osiąść i zacząć wszystko na nowo?

Benton rzuca płaszcz na krzesło.

– Z całą uczciwością – mówi Kay – to ja muszę zaczynać wszystko od nowa, tworzyć coś z niczego, sama odbierać telefony i sprzątać cholerną kostnicę. Nie mam Harvardu. Nie mam wartego miliony dolarów apartamentu na Beacon Hill. Mam Rose, Marina i czasami Lucy. To wszystko, i dlatego przez połowę czasu sama odbieram telefon. Lokalne media. Adwokaci. Jakaś grupa, która chce, żebym wygłosiła mowę na uroczystym lunchu. Tępicieł szkodników. Innego dnia cholerna Izba

Handlowa z pytaniem, ile ich cholernych książek telefonicznych chce zamówić. Jakbym chciała, żeby zamieścili mnie w książce telefonicznej niczym pralnię chemiczną.

– Dlaczego? Rose zawsze filtrowała twoje rozmowy.

– Starzeje się. Niewiele może zrobić.

– Dlaczego Marino nie odbiera telefonów?

– Dlaczego nie robi czegokolwiek innego? Nic nie jest takie, jak było. Udawanie, że nie żyjesz, każdego z nas rozbiło. Powiem wprost. Przez ciebie wszyscy się zmienili, łącznie z tobą.

– Nie miałem wyboru.

– Zabawna rzecz z tymi wyborami. Kiedy nie masz żadnego, nikt inny też nie ma.

– Dlatego zapuściłaś korzenie w Charlestonie. Nie chcesz wybrać mnie. Bo mogę znów umrzeć.

– Czuję się tak, jakbym stała sama w środku pieprzonej eksplozji, wszystko lata wokół mnie, a ja tylko stoję. Zniszczyłeś mnie. Zniszczyłeś mnie, Benton, kurwa mać!

– I kto teraz przeklina?

Scarpetta ociera oczy.

– A teraz przez ciebie płaczę.

Benton podchodzi bliżej, dotyka jej. Siadają na kanapie i patrzą na bliźniacze wieże kościoła Trinita dei Monti, dachy Villa Medici na wzgórzu Pincio, na daleki Watykan. Scarpetta odwraca się w jego stronę. Znów jest pod wrażeniem czystych linii jego twarzy, jego srebrnych włosów i pociągłej, szczupłej elegancji tak sprzecznej z tym, czym zajmuje się zawodowo.

– Jak jest teraz? – pyta go. – Jak się czujesz w porównaniu z tym, co czułeś kiedyś? Na początku.

– Inaczej.

– Inaczej brzmi złowieszczo.

– Inaczej, ponieważ znamy się tak długo i razem przeszliśmy wiele. Teraz trudno mi pamiętać, że cię nie znałem. Trudno mi pamiętać, że byłem żonaty, zanim się poznaliśmy. To był ktoś inny, jakiś facet z FBI, który grał zgodnie z zasadami, nie miał pasji, nie miał życia, do tego poranka, gdy wszedł do twojego pokoju konferencyjnego, ważny twórca portretów psychologicznych, wezwany na pomoc w sprawie zabójcy terroryzującego twoje miasto. Byłaś w kitlu laboratoryjnym, odłożyłaś wielką stertę teczek, uścisnęłaś moją rękę. Pomyślałem, że jesteś najbardziej niezwykłą kobietą, jaką kiedykolwiek spotkałem, nie mogłem oderwać od ciebie oczu. Wciąż nie mogę.

– Inaczej. – Przypomina mu, co powiedział przed chwilą.

– To, co zachodzi pomiędzy dwojgiem ludzi, codziennie jest inne.

– Nie ma sprawy, dopóki czują to samo.

– A ty? Wciąż czujesz to samo? Bo jeśli...

– Bo jeśli co?

– Chciałabyś?

– Co chciałabym? Chcesz coś z tym zrobić?

– Tak. Na dobre. – Benton wstaje i znajduje marynarkę, sięga do kieszeni, wraca do kanapy.

– Na dobre, jako przeciwieństwo złego – mówi Kay z roztargnieniem, patrząc, co Benton trzyma w ręku.

– Nie żartuję. Mówię poważnie.

– Więc nie przekreślasz mnie z powodu jakiegoś głupiego flirtu? – Przyciąga go do siebie i obejmuje mocno. Rozgarnia palcami jego włosy.

– Może. Weź to, proszę.

Benton otwiera rękę, na dłoni leży złożona kartka.

– Puszczaliśmy do siebie liściki w szkole. – Scarpetta boi się rozłożyć kartkę.

– Śmiało. Nie bądź tchórzem.

Rozkłada, widzi jedno słowo: „Chcesz?” – i pierścionek. To antyk, cienka platynowa obrączka z brylantami.

– Mojej prababki – mówi Benton i wsuwa jej pierścionek na palec. Pasuje.

Całują się.

– Jeśli robisz to dlatego, że jesteś zazdrosny, to okropny powód – oznajmia Scarpetta.

– Myślisz, że miałem go przy sobie przypadkiem po tym, jak przeleżał w sejfie pięćdziesiąt lat? Naprawdę oświadczam ci się. Proszę, powiedz, że się zgadzasz.

– A jak damy sobie radę? Po tym całym twoim gadaniu, że każde z nas ma swoje odrębne życie?

– Na miłość boską, choć raz nie bądź racjonalna.

– Jest bardzo piękny. – Kay podziwia pierścionek. – Lepiej, żebyś mówił poważnie, bo ci go nie oddam.

## ROZDZIAŁ 3

*Dziewięć dni później, niedziela.  
Syrena statku lamentuje na morzu.*

Wieżyczki kościoła przeszywają pochmurne niebo o świcie, w Charlestonie zaczyna bić samotny dzwon. Potem dołącza ich cała gromada, podzwaniają w sekretnym języku, który brzmi tak samo na całym świecie. Bicie dzwonów zapowiada pierwsze światło dnia i Scarpetta zaczyna krzątać się po swojej garsonierze, jak cierpko nazywa mieszkanie na piętrze powozowni z początków dziewiętnastego wieku. W porównaniu z okazałym domem, który miała w przeszłości, ten stanowi dziwny kontrast.

Sypialnia i gabinet są połączone, wewnątrz jest tak ciasne, że Kay ledwo może tu chodzić bez wpadania na zabytkową komodę, biblioteczkę czy długi stół nakryty czarnym materiałem, gdzie trzyma mikroskop i szkiełka, lateksowe rękawiczki, maseczki przeciwpylowe, sprzęt fotograficzny i różne rzeczy niezbędne w czasie badania miejsca przestępstwa – dziwnie wyglądające w tym otoczeniu. Nie ma tu szaf, tylko ułożone obok siebie garderoby wyłożone drewnem cedrowym. Z jednej z nich wyjmuje grafitową garsonkę, jedwabną bluzkę w szare i białe paski, a do tego czarne czółenka na niskim obcasie.

Przygotowana na spotkanie z dniem, który zapowiada się ciężko, siada za biurkiem i patrzy na ogród, obserwując, jak zmienia się w świetle i cieniach poranka. Sprawdza pocztę, ciekawa, czy detektyw Pete Marino nie przysłał czegoś, co mogłoby pokrzyżować jej plan dnia. Żadnych wiadomości. Na wszelki wypadek dzwoni do niego.

– Taa – mamrocze półprzytomnie Marino. W tle brzmi głos nieznaej kobiety:

– Cholera. Co znowu?

– Na pewno przyjdiesz? – Scarpetta chce się upewnić. – W nocy otrzymałam wiadomość, że z Beaufort przywiozą ciało, będziesz musiał się nim zająć. Poza tym mamy to spotkanie dziś po południu. Zostawiłam ci wiadomość. Nie zadzwoniłeś.

– Taa.

Kobieta w tle mówi zrzędlwym głosem:

– A czego ona znowu chce?

– W ciągu godziny – mówi Kay ostro. – Albo zaraz ruszysz w drogę, albo w kostnicy nie będzie nikogo, żeby go wpuścić. Dom Pogrzebowy Meddicków. Nie znam ich.

– Taa.

– Będę około jedenastej, żeby zrobić, co jeszcze można, dla tego małego chłopca.

Jakby sprawa Drew Martin nie wystarczała. Jej pierwszy dzień pracy po powrocie z Rzymu przyniósł następny straszny przypadek, morderstwo chłopca, którego imienia wciąż nie zna. Wprowadził się do jej umysłu, ponieważ nie miał dokąd pójść, i kiedy najmniej się tego spodziewa, widzi jego drobną buzię, wychudzone ciało i kędzierzawe brązowe włosy. A potem resztę. Jak wyglądał, gdy skończyła. Po wszystkich tych latach, po tysiącach przypadków, po trosze nienawidzi konieczności tego, co musi robić zmarłym z powodu tego, co wcześniej im zrobiono.

– Taa. – To wszystko, co ma do powiedzenia Marino.

– Marudny, chamski... – mruży Scarpetta, schodząc na dół. – Mam tego serdecznie dość. – Posapuje ze złości.

W kuchni obcasy stukają ostro na terakotowych płytkach, które przez wiele dni układała na kolanach w jodełkę, gdy wprowadziła się do powozowni. Przemalowała ściany na biało, żeby chwytały światło z ogrodu, i odsłoniła cyprysowe belki, które pierwotnie się tu znajdowały. Kuchnia – najważniejsze pomieszczenie domu – została wyposażona w sprzęt ze stali nierdzewnej, miedziane rondle i patelnie (zawsze wypolerowane i błyszczące jak nowe miedziaki), deski do krojenia i ręcznie wykonane niemieckie sztucce poważnego szefa kuchni. Jej siostrzenica, Lucy, powinna zjawić się lada chwila i Kay jest bardzo zadowolona z wizyty, ale też ciekawa. Lucy rzadko dzwoni i wprasza się na śniadanie.

Scarpetta wyjmuje produkty potrzebne do omletu z białek z serem ricotta oraz pieczarkami smażonymi w sherry i niefiltrowanej oliwie z oliwek. Bez pieczywa, nawet bez podpłomyków pieczonych na płycie z terakoty – inaczej *testo* – którą przywiozła z Bolonii w czasach, gdy ochrona na lotniskach nie uważała przyborów kuchennych za broń. Lucy jest na drakońskiej diecie – trenuje, jak mówi. Dlaczego, zawsze pyta Kay. Dla życia, zawsze odpowiada Lucy. Zajęta trzepaniem białek, rozmyśla o tym, co musi dzisiaj zrobić, gdy nagle złowieszcze łupnięcie w okno na górze wyrywa ją z zadumy.

– Błagam, nie! – krzyczy z przerażeniem, rzuca trzepaczkę i biegnie do drzwi.

Wyłącza alarm i wyskakuje do ogrodu, gdzie na starych ceglach tarasu trzepocze się bezradnie szafranka kanarkowa. Podnosi ją ostrożnie, główka zwisa, kołysze się na boki, oczy są na wpół zamknięte. Kay mówi uspokajająco, gładzi jedwabiste piórka, gdy ptaszek próbuje stanąć i odlecieć, lecz nie może podnieść łebka. Jest tylko oszołomiony, zaraz oprzytomnieje, myśli. Ptak upada, trzepocze skrzydłami, główka kołysze się na boki. Może nie umrze. Głupie pobożne życzenie jak na kogoś, kto

wie lepiej. Zabiera ptaka do domu. W zamkniętej na klucz dolnej szufladzie w kuchni leży zamknięte na klucz metalowe pudełko, a w nim butelka chloroformu.



Scarpetta siedzi na ceglanych stopniach na tyłach domu i nie wstaje, gdy słyszy charakterystyczny ryk ferrari.

Wóz wyjeżdża z King Street i parkuje na wspólnym podjeździe przed domem. Lucy wchodzi na taras z kopertą w ręce.

– Śniadanie nie jest gotowe, nie ma nawet kawy – mówi. – Siedzisz tutaj i masz czerwone oczy.

– Alergia.

– Zeszłym razem obwiniałaś alergię, których nie masz, gdy ptak wpadł na szybę. I wtedy też miałaś brudny ręcznik na stole. – Lucy wskazuje stary marmurowy stół w ogrodzie, z leżącym na nim ręcznikiem. W pobliżu, pod pospornicą, widać świeżo skopaną ziemię przykrytą glinianymi skorupami.

– Trznadel – mówi Scarpetta.

Lucy siada obok niej.

– Wygląda na to, że Benton nie przyjedzie na weekend. Kiedy ma przyjechać, masz długą listę zakupów na ladzie.

– Nie może wyrwać się ze szpitala. – Płatki jaśminu i kamelii pływają jak konfetti w małej, płytkiej sadzawce pośrodku ogrodu.

Lucy podnosi liść miszpelnika strącony przez niedawny deszcz, obraca go za ogonek.

– Mam nadzieję, że to jedyny powód. Wróciłaś z Rzymu ze wspaniałymi wieściami i co się zmieniło? Ja nie widzę żadnej różnicy. On jest tam, ty jesteś tutaj. Żadnych planów, żeby to zmienić, prawda?

– Nagle stałaś się ekspertem od związków?



– Ekspertem od tych, które się psują.

– Zaczynam żałować, że ci powiedziałam.

– Znam to z doświadczenia. Podobnie było z Janet. Zaczęliśmy rozmawiać o zaangażowaniu, o zalegalizowaniu związku, kiedy wreszcie stało się to możliwe dla dewiantów mających prawa nie większe niż pies. Nagle nie mogła poradzić sobie z tym, że jest lesbijką. I sprawa została zamknięta, zanim się zaczęła. W nieprzyjemny sposób.

– Nieprzyjemny? A co z niewybaczalnym?

– Ja powinnam być tą, która nie wybacza, nie ty – mówi Lucy. – Ciebie tam nie było. Nie wiesz, jak to jest. Nie chcę o tym rozmawiać.

Posążek aniołka patrzy znad sadzawki. Scarpetta jeszcze nie wie, czego strzeże. Z pewnością nie ptaków. Może niczego. Wstaje i otrzepuje spódnicę.

– Dlatego chciałaś ze mną porozmawiać, czy może tylko przypadkiem wpadło ci to do głowy, podczas gdy ja siedziałam tutaj, czując się okropnie, ponieważ musiałam poddać eutanazji następnego ptaka?

– Nie dlatego zadzwoniłam wczoraj wieczorem i powiedziałam, że muszę się z tobą zobaczyć. – Lucy wciąż bawi się liściami.

Jej włosy, wiśniowo-czerwone z pasemkami różanego złota, są czyste i lśniące, założone za uszy. Nosi czarną koszulkę, podkreślającą piękno jej sylwetki, którą zawdzięcza morderczym ćwiczeniom i dobremu genom. Kay podejrzewa, że siostrzenica dokądś się wybiera, ale nie zamierza pytać. Siada.

– Doktor Self. – Lucy patrzy na ogród wzrokiem osoby, która nie widzi niczego z wyjątkiem tego, co ją trapi.

Scarpetta nie to spodziewała się usłyszeć.

– O co chodzi?

– Mówiłam ci, żebyś ją miała na oku, żebyś zawsze bacznie obserwowała swoich wrogów – mówi Lucy. – Nie posłuchałaś. Nie dbasz, że ona dyskredytuje cię przy każdej nadarzającej się okazji z powodu tamtej sprawy sądowej. Nazywa cię kłamczynią i mówi, że przynosisz hańbę swojej profesji.

Sprawdź w Google'ach. Ja ją tropię, przesyłam ci bzdury, które wypisuje, a ty ledwo rzucasz na nie okiem.

– Skąd możesz o tym wiedzieć?

– Jestem administratorem twojego systemu. Twoim wiernym informatykiem. Cholernie dobrze wiem, jak długo masz otwarty jakiś plik. Mogłabyś się bronić.

– Przed czym?

– Przed oskarżeniami, że manipulowałaś ławą przysięgłych.

– O to chodzi. O manipulowanie ławą przysięgłych.

– Ty to mówisz? A może siedzę z nieznaną osobą?

– Jesteś skrupowana i torturowana, słyszysz wrzaski ukochanych, którzy są maltretowani i zabijani w sąsiednim pokoju, i odbierasz sobie życie, żeby uciec przed tym samym losem. Jak to nazwiesz, Lucy? To nie jest samobójstwo. To morderstwo.

– A w oczach prawa?

– Naprawdę to mnie nie obchodzi.

– Po prostu przywykłaś.

– Nie przywykłam. Nie wiesz, co myślałam przez wszystkie te lata, gdy pracowałam nad rozwiązaniem trudnych spraw kryminalnych i często stwierdzałam, że jestem jedynym adwokatem ofiar. Doktor Self źle postąpiła, skrywając się za swoją tarczą dyskrecji i nie wyjawiając informacji, które mogły zapobiec cierpieniom i śmierci. Zasługuje na

gorszy wyrok, niż dostała. Dlaczego o tym rozmawiamy? Dlaczego mnie denerwujesz?

Lucy spogląda jej w oczy.

– Jak to mówią? Zemsta najlepiej smakuje na zimno? Ona znów jest w kontakcie z Marinem.

– O Boże. Jakby zeszły tydzień był za małym piekłem. Czyżby kompletnie stracił rozum?

– Gdy wróciłaś z Rzymu i rozpuściłaś wieści, czy myślałaś, że będzie uszczęśliwiony? Spadłaś z księżycy?

– Najwyraźniej.

– Jak możesz tego nie widzieć? Marino nagle zaczyna wychodzić i pije co wieczór, podrywa nową kiczowatą laskę. Tym razem naprawdę się postarał. A może nie wiesz? Shandy Snook, jak w „Płonących Chipsach Snooka”.

– Co płonie? Kto?

– Tłuste, przesolone chipsy z *jalapeño* i sosem z ostrej czerwonej papryki. Jej ojciec zbił na nich fortunę. Przeprowadziła się tutaj rok temu. Poznała Marina w Kick ‘N Horse w zeszły poniedziałek i była to miłość od pierwszego wejrzenia.

– On ci to powiedział?

– Jess mi powiedziała.

Kay kręci głową. Nie ma pojęcia, kim jest Jess.

– Właścicielka Kick ‘N Horse. Ulubiona knajpa motocyklistów i wiem, że słyszałaś, jak Marino o niej mówił. Jess zadzwoniła do mnie, bo się o niego martwi z powodu tej jego ostatniej lubej z barakowozu, martwi się, że on traci głowę. Mówi, że nigdy go takim nie widziała.

– Skąd doktor Self miałaby znać adres e-mailowy Marina, o ile on pierwszy się z nią nie skontaktował?

– Jej prywatny adres e-mailowy nie uległ zmianie, odkąd był jej pacjentem na Florydzie. Jego tak. Chyba więc możemy się domyślać, kto napisał pierwszy. Mogę to sprawdzić. Nie znaczy, że mam hasło do jego prywatnego konta w domowym komputerze, choć takie drobne przeszkody nigdy mnie nie powstrzymały. Musiałabym...

– Wiem, co musiałabyś zrobić.

– Uzyskać dostęp fizyczny.

– Wiem, co musiałabyś zrobić, i nie chcę, żebyś to robiła. Nie pogarszaj sprawy.

– Przynajmniej kilka e-maili, które od niej dostał, jest teraz w jego komputerze biurowym, wystawione całemu światu na pokaz – mówi Lucy.

– To nie ma sensu.

– Oczywiście, że ma. Chodzi o to, żebyś zrobiła się zła i zazdrosna.

Odwet.

– A ty zauważyłaś je w jego komputerze, bo...?

– Z powodu drobnego nagłego wypadku zeszłej nocy. Zadzwoił do mnie i powiedział, że odebrał komunikat o włączeniu się alarmu, który sygnalizuje awarię chłodni. Nie było go w pobliżu, więc zapytał, czy mogę sprawdzić. Dodał, że gdybym musiała zadzwonić do firmy instalującej systemy alarmowe, numer jest na liście przyklejonej do ściany w jego biurze.

– Alarm? – mówi Scarpetta, zbita z tropu. – Nikt mnie nie powiadomił.

– Bo nic takiego nie miało miejsca. Pojechałam tam, wszystko było w porządku. Chłodnia działa. Weszłam do jego biura po numer tej firmy, żeby sprawdzić, czy na pewno wszystko jest w porządku, i zgadnij, co znalazłam w komputerze.

– To śmieszne. Marino zachowuje się jak dziecko.

– Nie jest dzieckiem, ciociu Kay. A ty niedługo będziesz musiała go zwolnić.

– I jak sobie wtedy poradzę? Już teraz ledwo ciągnę. Doskwiera mi brak personelu, a na horyzoncie nie ma ani jednej wykwalifikowanej osoby, którą mogłabym zatrudnić.

– To dopiero początek. Z nim będzie coraz gorzej – prorokuje Lucy. – Nie jest człowiekiem, którego kiedyś znałaś.

– Nie wierzę w to i nigdy nie mogłabym go zwolnić.

– Masz rację. Nie mogłabyś. To byłby rozwód. Jest twoim mężem. Bóg świadkiem, że spędzasz z nim znacznie więcej czasu niż z Bentonem.

– Zdecydowanie nie jest moim mężem. Nie prowokuj mnie, proszę.

Lucy podnosi kopertę ze schodów i podaje ciotce.

– Łącznie sześć, wszystkie od niej. Dziwnym zbiegiem okoliczności wymiana e-maili rozpoczęła się w zeszły poniedziałek, pierwszego dnia po twoim powrocie z Rzymu. Tego samego dnia zobaczyliśmy twój pierścionek i jako wielcy detektywi wykombinowaliśmy, że nie pochodzi z paczki chipsów.

– Jakież e-maile od Marina do doktor Self?

– Widocznie nie chciał, żebyś wiedziała, co pisze. Radzę mocno się trzymać. – Lucy wskazuje kopertę i jej zawartość. – Jak się miewa? Tęskni za nim. Myśli o nim. Ty jesteś tyranem, przebrzmiałą sławą, a on musi być nieszczęśliwy, pracując dla ciebie, i jak może mu pomóc?

– Marino się nie dowie? – Sprawa jest taka przygnębiająca.

– Nie powinnaś mu nic mówić. Czyżbyś nie wiedziała, jak to przyjmie?

Scarpetta kieruje spojrzenie na meksykańskie petunie pnące się po północnym murze ogrodu. Patrzy na lawendę. Kwiaty wyglądają jakby na przywiedle.

– Nie przeczytasz tych cholernych listów? – Lucy znowu wskazuje kopertę.

– Nie zamierzam w tej chwili przydawać im takiej wagi. Mam ważniejsze sprawy na głowie. Dlatego włożyłam tę cholerną garsonkę i jadę do cholernego biura w cholerną niedzielę, podczas gdy mogłabym pracować w ogrodzie albo nawet pójść na cholerny spacer.

– Sprawdziłam przeszłość faceta, z którym jesteś umówiona po południu. Ostatnio padł ofiarą napaści. Nie ma podejrzanego. W powiązaniu z tą sprawą został oskarżony o posiadanie marihuany. Oskarżenie zostało wycofane. Poza tym nie dostał nawet mandatu za przekroczenie prędkości. Ale nie sądzę, że powinnaś być z nim sama.

– A co ze zmlaltretowanym chłopcem, który leży zupełnie sam w mojej kostnicy? Skoro nic nie mówisz, zakładam, że poszukiwania w sieci nic nie dały.

– Jakby nie istniał.

– Cóż, istniał. A to, co mu zrobiono, jest jedną z najgorszych rzeczy, jakie widziałam. Może czas postawić wszystko na jedną kartę.

– I co?

– Myślałam o genetyce statystycznej.

– Wciąż nie mogę uwierzyć, że nikt tego nie robi – obrusza się Lucy. – Technologia jest. Była. To wszystko jest niesłychanie głupie. Osoby spokrewnione mają wspólne allele i, co jest faktem w przypadku każdej innej bazy danych, wszystko jest funkcją prawdopodobieństwa.

– Ojciec, matka, rodzeństwo mieliby najwyższy wynik. Pomyślmy i skupimy się na tym. Chyba powinniśmy spróbować.

– Jeśli tak, co będzie, gdy się okaże, że dzieciak został zabity przez osobę spokrewnioną z nim? Używamy statystyki genetycznej w sprawie kryminalnej. Co będzie w sądzie?

– Jeśli dojdziemy, kim jest sprawca, wtedy będziemy martwić się sądem.



Belmont, Massachusetts. Doktor Marilyn Self siedzi przed oknem w swoim pokoju z widokiem.

Nachylone trawniki, lasy, drzewa owocowe i stare ceglane budynki nawiązują do tej eleganckiej epoki, kiedy bogaci i sławni mogli zniknąć ze swojego życia na krótko lub na długo w zależności od potrzeby, a w niektórych beznadziejnych przypadkach na zawsze, i byli rozpieszczani i traktowani z szacunkiem, na jaki zasługiwali. W Szpitalu MacLeana można zobaczyć sławnych aktorów, muzyków, sportowców i polityków, jak spacerują po terenach w stylu wiejskim, zaprojektowanych przez słynnego architekta krajobrazu Fredericka Lawa Olmsteda, autora innych sławnych projektów, takich jak nowojorski Central Park, otoczenie Kapitolu, Biltmore Estate i budynki wystawowe przygotowane na Targi Światowe w Chicago w roku tysiąc osiemset dziewięćdziesiątym trzecim. Widok tych znakomitości jest tutaj absolutnie normalny.

Widok doktor Marilyn Self absolutnie nie jest normalny.

Ale doktor Self nie zamierza tu długo przebywać, a kiedy społeczeństwo w końcu pozna prawdę, jej pobudki staną się jasne. Bezpieczeństwo i odosobnienie, a potem, jak zawsze w jej życiu, przeznaczenie. To, co nazywa „tak było pisane”. Zapomniała, że w McLeanie pracuje Benton Wesley.

*Szokujące tajne eksperymenty: Frankenstein.*

Niech pomyślę. Pisze scenariusz pierwszego programu po powrocie na antenę. *Przebywając w odosobnieniu, aby chronić własne życie, nieświadomie i mimowolnie stałam się świadkiem – gorzej, królikiem*

*doświadczalnym – tajnych eksperymentów i maltretowania. W imię nauki. Jak powiedział Kurtz w Jądrze ciemności – „Zgroza! Zgroza!” – zostałam poddana współczesnej formie tego, co robiono w zakładach dla obłąkanych w czasie najbardziej mrocznych dni najmroczniejszych czasów, kiedy ludzie, którzy nie mieli odpowiednich narzędzi, byli uważani za podludzi i traktowani jak... Traktowani jak...? Właściwe porównanie przyjdzie jej na myśl później.*

Doktor Self uśmiecha się na myśl, w jaki zachwytyt musiał wpaść Marino, gdy zobaczył, że mu odpisała. Prawdopodobnie wierzy, że ona (najsławniejsza psychiatra świata) ucieszyła się, gdy dostała od niego wiadomość. Wciąż jest przekonany, że jej na nim zależy! Nigdy nie zależało. Nawet gdy był jej pacjentem w tych mniej znaczących czasach na Florydzie. Był niczym więcej niż terapeutyczną atrakcją zaprawioną, tak (przyznaje), szczyptą pikanterii, ponieważ uwielbienie dla niej niemal dorównywało jego erotycznej obsesji na punkcie Scarpetty.

Biedna, żałosna Scarpetta. Zdumiewające, czego może dokonać kilka odpowiednich telefonów.

Jej umysł pracuje na wysokich obrotach. Myślami jest bez przerwy w swoim pokoju w Pawilonie, gdzie są podawane posiłki, a personel służy pomocą, gdy ktoś chce się wybrać do teatru, na mecz Red Socksów czy do klubu fitness. Uprzywilejowany pacjent w Pawilonie dostaje wiele z tego, co chce. W jej przypadku jest to konto e-mailowe i pokój, który dziewięć dni temu, gdy została przyjęta do szpitala, zajmowała pacjentka o imieniu Karen.

Doktor Self uznała, że przydzielony jej pokój jest nie do przyjęcia. Załatwiła tę sprawę bez interwencji administracyjnej czy zwłoki już pierwszego dnia pobytu w Szpitalu MacLeana. Przed świtem weszła do pokoju Karen i zbudziła ją delikatnym dmuchaniem w powieki.



– Och! – krzyknęła Karen z ulgą, gdy zrozumiała, że pochyla się nad nią doktor Self, nie gwałciciel. – Miałam dziwny sen.

– Proszę. Przyniosłam ci kawę. Spałaś jak zabita. Może wieczorem za długo wpatrywałaś się w kryształową lampę? – Doktor Self spojrzała na niewyraźny kształt wiktoriańskiego żyrandola nad łóżkiem.

– Co takiego?! – krzyknęła Karen z trwogą, stawiając kawę na antycznej szafce nocnej.

– Trzeba być ostrożnym z patrzeniem na przedmioty z kryształu. Mogą wywierać efekt hipnotyczny i wprawiać w trans. Co ci się śniło?

– Doktor Self, to było takie prawdziwe! Czułam czyjś oddech na twarzy i byłam przerażona.

– Masz pojęcie czyj? Może kogoś z rodziny? Przyjaciela rodziny?

– Mój ojciec tarł wąsami po mojej twarzy, gdy byłam mała. Czułam jego oddech. Zabawne! Właśnie to sobie przypomniałam! A może sobie wyobrażam. Czasami mam problemy z rozpoznaniem, co jest prawdziwe. – W jej głosie zabrzmiało rozczarowanie.

– Stłumione wspomnienia, moja droga. Nie wątp w swoje wewnętrzne ja – powiedziała powoli doktor Self\* [ego, jaźń, własne ja.]. – Tak mówię swoim wszystkim wiernym widzom. W co masz nie wątpić, Karen?

– W wewnętrzne ja.

– Zgadza się. Twoje wewnętrzne ja... – pocieszała doktor Self bardzo powoli – zna prawdę. Twoje wewnętrzne ja wie, co jest prawdziwe.

– Zna prawdę o moim ojcu? Coś, czego nie pamiętam?

– Prawdą nie do zniesienia, nieprawdopodobną rzeczywistość, której wtedy nie mogłaś znieść. Widzisz, moja droga, wszystko tak naprawdę sprowadza się do seksu. Mogę ci pomóc.

– Proszę mi pomóc!

Doktor Self cierpliwie cofnęła ją w czasie do wieku siedmiu lat i wiedzona wnikliwą intuicją, doprowadziła do sceny pierwotnej psychicznej zbrodni. Karen wreszcie, po raz pierwszy w swoim bezcelowym, zmarnowanym życiu opisała, jak ojciec wsunął się do jej łóżka i pocierał penisem w erekcji o jej pośladki, jak czuła na twarzy jego cuchnący alkoholem oddech, a potem ciepłą, lepką wilgoć na spodniach swojej piżamy. Doktor Self doprowadziła biedną Karen do traumatycznego zrozumienia, że to, co się stało, nie było zdarzeniem jednostkowym, ponieważ molestowanie seksualne, z rzadkimi wyjątkami, jest zwykle zachowaniem powtarzanym. Jej matka musiała być tego świadoma, bo przecież widziała, w jakim stanie jest pościel i piżamy, co znaczyło, że przymykała oko na to, co jej mąż robił ich młodszej córce.

– Pamiętam, jak kiedyś ojciec przyniósł mi gorącą czekoladę do łóżka, a ja ją rozlałam – powiedziała w końcu Karen. – Pamiętam lepkie ciepło na spodniach piżamy. Może to pamiętam, a nie...

– Ponieważ myślenie, że to gorąca czekolada, jest bezpieczniejsze. A co się stało potem? – Bez odpowiedzi. – Gdy rozlałaś? Czyja to była wina?

– Rozlałam. To była moja wina – mówi Karen ze łzami w oczach.

– Może dlatego od tamtej pory nadużywałaś alkoholu i narkotyków? Ponieważ czułaś, że to, co się stało, to twoja wina?

– Nie od tamtej pory. Zaczęłam pić i palić trawkę, gdy miałam czternaście lat. Och, sama nie wiem! Nie chcę wchodzić w następny trans, doktor Self! Nie mogę znieść wspomnień! Jeśli nie są prawdziwe, to teraz myślę, że są!

– Właśnie tak Pitres napisał w swoich *Leçons sur l'hystérie et l'hypnotisme* w tysiąc osiemset dziewięćdziesiątym pierwszym – oznajmiła doktor Self, patrząc, jak lasy i trawnik ukazują się w pierwszym świetle dnia. Wkrótce ten piękny widok będzie oglądać codziennie. Wyjaśniła

Karen, na czym polega delirium i histeria, od czasu do czasu spoglądając na kryształową lampę nad jej głową.

– Nie mogę tu zostać! – krzyknęła Karen. – Czy zamieni się pani ze mną na pokoje?



Lucious Meddick strzela gumową opaską na prawym nadgarstku, gdy parkuje lśniący czarny karawan w uliczce za domem doktor Scarpetty.

„Przeznaczony dla koni, nie dla dużych pojazdów”, co to za bzdura? Serce wciąż mu wali. Jest nerwowym wrakiem. Miał cholerne szczęście, że nie zarysował karawanu o drzewa ani o wysoki ceglany mur, który oddziela uliczkę i stojące wzdłuż niej stare domy od parku. Na co też musi się narażać. Jego nowiutki karawan już wydaje się jakby wykrzywiony, ściągał na jedną stronę, gdy podskakiwał na bruku, wzbijając kurz i suche liście. Lucious wysiada, zostawiając mrużący silnik, i zauważa starszą panią, która patrzy na niego z okna na górze. Uśmiecha się do niej z myślą, że niedługo stary babsztyl będzie potrzebować jego usług.

Wciska guzik interkomu na ogromnej żelaznej bramie i oznajmia:

– Meddick.

Po długiej chwili, gdy chce ponownie się zapowiedzieć, w głośniku brzmi silny kobiecy głos:

– Kto tam?

– Dom Pogrzebowy Meddicków. Przywiozłem zwłoki...

– Przywiózł pan je tutaj?

– Zgadza się.

– Proszę zostać w samochodzie. Zaraz tam będę. Południowy urok generała Pattona, myśli Lucious, gdy nieco upokorzony i zirytowany wsiada do karawanu. Podnosi szybko i myśli o zasłyszanych historiach.

Kiedyś doktor Scarpetta była sławna jak Quincy, ale coś się stało, gdy była naczelnym lekarzem sądowym... Nie może sobie przypomnieć gdzie. Została zwolniona albo nie mogła znieść presji. Załamanie. Skandal. Może wszystko naraz. Potem ta szeroko nagłośniona sprawa na Florydzie sprzed paru laty, naga kobieta wisząca u krokwi, torturowana i dręczona, aż w końcu nie mogła znieść tego dłużej i sama się powiesiła.

Pacjentka tej psychiatry z telewizyjnego show. Lucious próbuje odświeżyć sobie pamięć. Możliwe, że nie tylko ona była torturowana, a potem została zabita. Jest całkiem pewien, że doktor Scarpetta zeznawała przed sądem i odegrała kluczową rolę w przekonaniu ławy przysięgłych, iż doktor Self jest czemuś winna. W wielu artykułach, które potem czytał, Self nazywała Scarpettę „niekompetentną i stronniczą”, „nieujawniającą się lesbijką” i „przebrzmiałą sławą”. Pewnie to prawda. Najbardziej wpływowe kobiety są jak mężczyźni albo przynajmniej chciałyby być mężczyznami, i gdy doktor Scarpetta zaczynała karierę, niewiele kobiet pracowało w tym zawodzie. Teraz muszą ich być tysiące. Podaż i popyt, już nie jest wyjątkowa, dziękujemy tej pani, koniec pieśni, kobiety – młode – czerpią pomysły z telewizji i robią to samo co ona. Biorąc pod uwagę to i wszystko inne, co o niej mówią, jasne jak słońce, dlaczego przeniosła się do Lowcountry i pracuje w maleńkiej powozowni – byłej stajni, szczerze mówiąc – choć tego ostatniego Lucious nie jest w stanie pojąć.

Sam mieszka nad zakładem pogrzebowym, który od ponad stu lat należy do rodziny Meddicków w hrabstwie Beaufort. Dwupiętrowy dwór na byłej plantacji, gdzie wciąż stoją baraki dla niewolników, zdecydowanie nie jest jakąś maleńką powozownią przy starej wąskiej uliczce. Szokujące, naprawdę szokujące. Jedną rzeczą jest balsamowanie zwłok i przygotowywanie ich do pochówku w profesjonalnie wyposażonym pomieszczeniu w zakładzie, zupełnie inną przeprowadzanie autopsji w

powozowni, zwłaszcza gdy ma się do czynienia z topielcami – Lucious nazywa ich zielonymi – i innymi, których cholernie trudno doprowadzić do stanu, w jakim można pokazać ich rodzinom, obojętnie, ile proszku dezynfekującego się zużyje, żeby nie zasmrodzili kaplicy.

Za podwójną bramą pojawia się kobieta. Lucious oddaje się ulubionemu zajęciu, podglądactwu, i patrzy na nią uważnie przez przyciemnioną boczną szybę. Brzęka metal, gdy kobieta otwiera i zamyka pierwsze czarne odrzwia, potem drugie, zewnętrzne – wysokie, z płaskich, skręconych sztab z dwoma literami J pośrodku, które wyglądają jak serce. Jakby doktor Scarpetta miała serce. Teraz Lucious jest pewien, że go nie ma. Blondynka, ubrana w garsonkę; ocenia, że ma około stu siedemdziesięciu centymetrów wzrostu, spódnica numer osiem, bluzka rozmiar dziesięć. Jest prawie nieomylny w określaniu, jak człowiek wyglądałby na stole do balsamowania, i żartuje, że ma „rentgen w oczach”.

Ponieważ tak niegrzecznie kazała mu wrócić do wozu, nie wysiada. Gdy kobieta puka w ciemną szybę, zaczyna się denerwować. Jego palce podrygują na kolanie, próbują podskoczyć do ust, jakby miały własną wolę, a on próbuje je powstrzymać. Strzela mocno gumką na nadgarstku i każe rękom zachować spokój. Znowu strzela i zaciska dłoń na drewnopodobnej okleinie kierownicy, żeby utrzymać je z dala od kłopotów.

Ona znów puka.

On ssie miętówkę i opuszcza szybę.

– Wybrała pani dziwne miejsce na założenie firmy – mówi z szerokim wyćwiczonym uśmiechem.

– Trafił pan pod niewłaściwy adres – oznajmia doktor Scarpetta bez „Dzień dobry” czy „Miło pana poznać”. – Do licha, co pan tu robi?

– Niewłaściwe miejsce, niewłaściwy czas. Dzięki temu ludzie tacy jak pani czy ja są w tym biznesie – odpowiada, szczerząc zęby w sztucznym

uśmiechu.

– Skąd pan ma ten adres? – pyta kobieta nieprzyjaznym tonem. Wygląda, jakby się bardzo spieszyła. – To nie jest moje biuro. To zdecydowanie nie jest kostnica. Przepraszam za kłopot, ale musi pan natychmiast odjechać.

– Jestem Lucious Meddick z Domu Pogrzebowego Meddicków w Beaufort, zaraz za Hilton Head. – Nie podaje jej ręki, nikomu nie podaje ręki, jeśli może tego uniknąć. – Przypuszczam, że mogłaby pani nazwać nas pensjonatem wśród domów pogrzebowych. Rodzinny interes, trzech braci, łącznie ze mną. Żart polega na tym, że gdy dzwonisz po Meddicka, to wcale nie znaczy, że pacjent żyje. Łapie pani? – Wskazuje kciukiem tył karawanu, mówi: – Zmarła w domu, pewnie atak serca. Azjatka, stara jak świat. Sądzę, że mamy już wszystkie informacje na jej temat. Pani sąsiadka jest jakimś szpiegiem czy co? – Patrzy na okno.

– Zeszłej nocy rozmawiałam z koronerem o tym przypadku. – Ton Scarpetty nie ulega zmianie. – Skąd pan ma ten adres?

– Koroner...

– On go panu podał? Wie, gdzie mieści się moje biuro...

– Zaraz, chwila. Po pierwsze, jestem nowy, gdy chodzi o przewóz zwłok. Śmiertelnie mnie znudziło siedzenie za biurkiem i zajmowanie się zboląłymi rodzinami, więc zdecydowałem, że pora znowu ruszyć w drogę.

– Nie możemy tutaj rozmawiać. O tak, możemy. Lucious mówi:

– Kupiłem więc sobie tego cadillaca v-dwunastkę z dziewięćdziesiątego ósmego, podwójny gaźnik, koła odlewane z aluminium, proporczyki, fioletowa latarnia i czarny katafalk. Nie mógłby być bardziej wypasiony.

– Panie Meddick, detektyw Marino jest w drodze do kostnicy. Właśnie do niego dzwoniłam.

– Po drugie, nigdy nie dostarczałem zwłok do pani. Nie miałem więc pojęcia, gdzie jest pani biuro, dopóki nie sprawdziłem.

– Czy nie mówił pan, że koroner panu powiedział?

– Nie to mi powiedział.

– Naprawdę musi pan odjechać. Karawan nie może stać za moim domem.

– Widzi pani, rodzina tej Azjatki chce, żebyśmy zajęli się pogrzebem, powiedziałem więc koronerowi, że skoro tak, równie dobrze mogę służyć transportem. Tak czy siak, znalazłem pani adres.

– Znalazł go pan? Gdzie? I dlaczego nie zadzwonił pan do mojego detektywa?

– Zadzwoniłem, ale nie zadał sobie trudu, żeby oddzwonić, musiałem więc sam znaleźć pani adres, jak powiedziałem. – Lucious strzela opaską. – W Internecie. W książce Izby Handlowej. – Rozgryza miętówkę.

– To adres zastrzeżony, nigdy nie był w Internecie i nikt nigdy nie pomylił go z adresem mojego biura, z prosektorium, a pracuję tu od dwóch lat. Jest pan pierwszym człowiekiem, który dokonał tej sztuki.

– Niech się pani na mnie nie wnerwia. Nic na to nie poradzę, co jest w Internecie. – Strzela gumową opaską. – Ale z drugiej strony, gdyby mnie poinformowano o sprawie w tygodniu, gdy znaleziono tego chłopca, dostarczyłbym jego ciało i teraz nie mielibyśmy problemu. Przeszła pani obok mnie na miejscu zdarzenia i zignorowała, a gdybyśmy pracowali razem, jasne jak słońce, że podałyby mi pani właściwy adres. – Pstryka opaską, zły, że Scarpetta nie okazuje mu większego szacunku.

– Dlaczego był pan na miejscu, skoro koroner nie zwrócił się do pana z prośbą o przewóz zwłok? – Staje się bardzo wymagająca, patrząc na niego jak na mąciwodę.

– Moja dewiza brzmi: „Po prostu się zjaw”. Wie pani, jak slogan „Po prostu to zrób” firmy Nike. Cóż, w moim przypadku „Po prostu się zjaw”. Łapie pani? Czasami, jak człowiek pokaże się pierwszy, nic więcej nie trzeba.

Strzela opaską. Doktor Scarpetta patrzy na niego wymownie, potem spogląda na skaner w samochodzie. Lucious przeciąga językiem po przejrzystym aparacie, który nosi na zębach, żeby powstrzymać się od obgryzania paznokci. Strzela gumką na nadgarstku. Strzela mocno, niczym batem, i piecze go jak cholera.

– Proszę jechać do kostnicy. – Scarpetta zerka na obserwującą ich sąsiadkę. – Dopilnuję, żeby detektyw Marino się z panem spotkał. – Odsuwa się od karawanu, nagle zauważając coś z tyłu. Pochyla się, żeby spojrzeć z bliska. – Dzień chyba jednak nie będzie stracony – mówi, kręcąc głową.

Lucious wysiada i nie może uwierzyć własnym oczom.

– Ożeż kurwa! – krzyczy. – Kurwa! Kurwa! Kurwa!



## ROZDZIAŁ 4

*Prywatny zakład medycyny sądowej na  
obrzeżach college'u w Charlestonie.*

Piętrowy ceglany budynek pochodzi sprzed wojny secesyjnej i jest lekko pochylony, gdyż przesunął się na fundamentach w czasie trzęsienia ziemi w roku tysiąc osiemset osiemdziesiątym szóstym. Przynajmniej tak powiedział pośrednik handlu nieruchomościami, gdy Scarpetta kupiła dom z powodów, których Pete Marino wciąż nie rozumie.

Są ładniejsze budynki, nowe, na które mogła sobie pozwolić. Ale z jakiegoś powodu ona, Lucy i Rose zdecydowały się na dom, który wymagał więcej nakładu własnej pracy, niż przypuszczał, gdy przyjął tu robotę. Miesiącami zdrapywali warstwy farby i lakieru, wyburzali ściany, wymieniali okna i płytki łupkowe na dachu. Wyszukiwali sprzęt, głównie w zakładach pogrzebowych, szpitalach i restauracjach, i wreszcie urządzili prosektorium lepsze niż potrzeba, wyposażone w specjalny system wentylacyjny, wyciągi chemiczne, generator awaryjny, chłodnię, pomieszczenie do przeprowadzania sekcji zwłok w stanie rozkładu, wózki chirurgiczne, nosze na kółkach. Ściany i podłogi są izolowane farbą epoksydową, którą można myć węzem, a Lucy zainstalowała bezprzewodowy system alarmowy i komputerowy, dla niego równie tajemniczy jak kod da Vinci.

– Chodzi mi o to, kto, do diabła, chciałby się włamać do tej nory? – mówi do Shandy Snook, gdy wbija kod, żeby wyłączyć alarm na drzwiach prowadzących z garażu do kostnicy.

– Założę się, że mnóstwo ludzi. Pokręcmy się.

– Nie. Nie tutaj. – Prowadzi ją do drugich zabezpieczonych drzwi.

– Chcę zobaczyć paru umarłaków.

– Nie.

– Czego się boisz? Niesamowite, jakiego masz przed nią stracha – drzwi Shandy. Jej buty popiskują, gdy idzie po wyłożonej kafelkami podłodze. – Jakbyś był jej niewolnikiem.

Shandy wciąż to powtarza, co za każdym razem coraz bardziej go złości.

– Gdybym się jej bał, nie wpuściłbym cię tutaj, choćbyś bez końca wierciła mi dziurę w brzuchu. Wszędzie tutaj są kamery, dlaczego więc miałbym to robić, gdybym miał stracha?

Shandy patrzy w obiektyw kamery, uśmiecha się i macha ręką.

– Przestań – mówi Marino.

– A bo co, kto mnie zobaczy? „Nikogo tu nie ma poza nami kurczakami”. Nie ma też powodu, żeby Wielka Szefowa przeglądała taśmy, prawda? Inaczej nie byłoby nas tutaj, prawda? Boisz się jej jak cholera. Niedobrze mi się robi, taki wielki mężczyzna jak ty. Wpuściłeś mnie tylko dlatego, że ten dureń z zakładu pogrzebowego złapał gumę. A Wielkiej Szefowej nie będzie przez jakiś czas i nikt nigdy nie przejrzy taśm. – Znów macha do kamery. – Nie masz jaj, żeby mnie oprowadzić, bo ktoś mógłby się dowiedzieć i naskarzyć Wielkiej Szefowej. – Uśmiecha się i kiwa do drugiej kamery. – Kamera mnie lubi. Byłeś kiedyś w telewizji? Mój tata występował w telewizji przez cały czas, we własnych reklamach. Wystąpiłam w paru z nich, pewnie mogłabym zrobić karierę, ale kto chciałby, żeby ludzie gapili się na niego przez cały czas?

– Poza tobą? – Daje jej klapsa w tyłek.

Biura mieszczą się na parterze, to należące do Marina jest bardziej luksusowe niż wszystkie inne, które dotychczas zajmował, z podłogą z twardej sosny i fantazyjnymi gzymsami.

– Widzisz, w dziewiętnastym wieku – mówi, gdy wchodzi – moje biuro prawdopodobnie było jadalnią.

– Nasza jadalnia w Charlotte była dziesięć razy większa – oznajmia Shandy, rozglądając się i żując gumę.

Nigdy nie była w jego biurze ani w tym budynku. Marino nie śmiałyby prosić o pozwolenie na zaproszenie gościa i z pewnością by go nie dostał. Ale po ostatniej dzikiej nocy z Shandy, gdy znów powiedziała, że jest niewolnikiem Scarpetty, wpadł w mściwy nastrój. Potem Kay zadzwoniła i powiedziała, że Lucious Meddick złapał gumę, więc się spóźni, a wtedy Shandy też się z niego nabijała, że niepotrzebnie się spieszył, i oświadczyła, że równie dobrze może oprowadzić ją po kostnicy, o co prosiła przez cały tydzień. Ostatecznie jest jego dziewczyną i powinna przynajmniej zobaczyć, gdzie pracuje. Wreszcie powiedział, że ma jechać za nim swoim motocyklem na północ w kierunku Meeting Street.

– To prawdziwe antyki – dodaje z przechwałką w głosie. – Ze sklepów ze starzyzną. Doktorka sama je odnowiła. Nie byle co, prawda? Pierwszy raz w życiu siedzę za biurkiem starszym ode mnie.

Shandy sadowi się w skórzanym fotelu za jego biurkiem, zaczyna otwierać łączone na „jaskółczy ogon” szuflady.

– Błąkaliśmy się z Rose przez mnóstwo czasu, próbując rozgryźć, co jest co, i stwierdziliśmy, że jej biuro było kiedyś główną sypialnią. A największe pomieszczenie, gabinet doktorki, kiedyś nazywali bawialnią.

– Głupie. – Shandy zagląda do szuflady. – Jak możesz tu cokolwiek znaleźć? Wygląda na to, że pchasz gówna do szuflad jak popadnie, bo nie chcesz zawracać sobie głowy segregowaniem.

– Dokładnie wiem, gdzie co jest. Mam własny system segregowania, według szuflad. Coś w rodzaju klasyfikacji dziesiętnej Deweya.

– Gdzie zatem są twoje katalogi kart, wielki facecie?

- Tutaj. – Marino stuka w lśniąca ogoloną głowę.
- Masz może jakieś ciekawe sprawy zabójstw? Może jakieś zdjęcia?
- Nie.
- Shandy wstaje, poprawia skórzane spodnie.
- Więc Wielka Szefowa zajmuje bawialnię. Chcę zobaczyć.
- Nie.
- Mam prawo zobaczyć, gdzie pracuje twoja właścicielka.
- Nie jest moją właścicielką, a my tam nie wejdziemy. Nie ma tam nic do oglądania, z wyjątkiem książek i mikroskopu.
- Ale ma w swojej bawialni jakieś ciekawe sprawy zabójstw.
- Nie. Poufne sprawy trzymamy pod kluczem. Innymi słowy, te, które ty uważasz za ciekawe.
- W każdym pokoju można się bawić, prawda? Dlaczego więc ten zwano bawialnią? – Shandy nie chce się zamknąć. – To głupie.
- W dawnych czasach zwano go bawialnią w odróżnieniu od salonu – wyjaśnia Marino, z dumą rozglądając się po swoim biurze. Patrzy na certyfikaty na wyłożonych boazerią ścianach, na wielką książkę telefoniczną, z której nigdy nie korzysta, na wszystkie inne nietknięte publikacje encyklopedyczne, które przekazała mu Scarpetta, gdy dostała nowsze wydania. I, oczywiście, na trofea z gry w kręgle, starannie wypolerowane i ustawione na wbudowanych półkach. – Salon był pokojem o charakterze oficjalnym zaraz za frontowymi drzwiami, gdzie przyjmowano gości, których szybko chciano się pozbyć, podczas gdy bawialnią pełniła rolę dzisiejszego salonu.
- Mówisz tak, jakbyś się cieszył, że dała ci ten pokój. Niezależnie od tego, jak bardzo narzekasz.
- Całkiem niezły jak na starą norę. Chociaż wolałbym coś nowego.

– Moja norka też jest całkiem niezła. Chcesz się przekonać? – Ściska go, aż boli. – Pokaż mi jej biuro. Pokaż mi, gdzie pracuje Wielka Szefowa. – Znowu go chwyta. – „Sztywniejesz”, bo się jej boisz, czy dlatego, że ci się podobam?

– Zamknij się – mówi, odsuwając jej rękę, zirytowany jej kalamburami.

– Pokaż mi, gdzie pracuje.

– Mówiłem, że nie.

– W takim razie pokaż mi kostnicę.

– Nie można.

– Dlaczego? Bo się tak cholernie boisz? Co ci robi? Wezwie trupiarnianą policję? Pokaż – żąda Shandy.

Marino spogląda na maleńką kamerę w kącie korytarza. Nikt nie obejrzy taśm. Shandy ma rację. Kto miałby zawracać sobie głowę? Nie ma powodu. Znowu opada go to uczucie, koktajl złościwości, agresji, mściwości, który sprawia, że chce zrobić coś okropnego.



Palce doktor Self skaczą po klawiaturze laptopa, wciąż dostaje nowe wiadomości (agenci, prawnicy, dyrektorzy handlowi, kierownicy stacji telewizyjnej, wyjątkowi pacjenci i starannie wybrani fani).

Ale od niego nic nowego. Piaskun. Doktor Self ledwo może znieść ten stan rzeczy. On chce jej wmówić, że zrobił coś nie do pomyślenia, aby dręczyć ją niepokojem i strachem, zmuszać do zastanawiania się, czy to prawda. Gdy w tamten brzemienny w skutki piątek otworzyła jego e-mail w czasie przedpołudniowej przerwy w studio, zawartość pliku, ostatniego, który przysłał, odmieniła jej życie. Przynajmniej na jakiś czas. Niech to nie będzie prawdą. Jakże była głupia i naiwna, odpowiadając mu, gdy zeszłej jesieni przysłał pierwszy e-mail na jej prywatne konto. Intrygowało ją, w

jaki sposób zdobył jej nieudostępniany byle komu adres e-mailowy. Musiała się dowiedzieć. Odpisała i zapytała. Nie chciał powiedzieć. Zaczęli korespondować. Jest niezwykły, wyjątkowy. Wrócił do domu z Iraku, gdzie przeżył głęboką traumę. Nosząc się z myślą, że zostanie rewelacyjnym gościem w jednym z jej programów, nawiązała z nim terapeutyczny kontakt on-line. Nie miała pojęcia, że może być zdolny do niewyobrażalnych rzeczy.

Proszę, niech to nie będzie prawdą.

Gdyby tak mogła cofnąć czas. Niepotrzebnie mu odpowiedziała. Niepotrzebnie próbowała mu pomóc. Jest obłąkany, a tego słowa doktor Self rzadko używa. Zdobyła sławę twierdzeniem, że każdy może się zmienić. Nie on. Nie, jeśli zrobił to co nie do pomyślenia.

Proszę, niech to nie będzie prawdą.

Jeśli dopuścił się niewyobrażalnego, jest obmierzłą istotą ludzką, której nie można wyleczyć. Piaskun. Co to znaczy i dlaczego go nie zapytała, grożąc, że jeśli nie odpowie, zerwie z nim kontakt?

Ponieważ jest psychiatrą. Psychiatrzy nie grożą pacjentom.

Proszę, niech to nie będzie prawdą.

Kimkolwiek naprawdę jest, ani ona, ani nikt inny na świecie nie zdoła mu pomóc, a teraz być może zrobił to, czego się nigdy nie spodziewała. Być może zrobił rzecz nie do pomyślenia! Jeśli tak, jest tylko jeden sposób, żeby doktor Self mogła ocalić swoje SELF. Podjęła tę decyzję w studiu w dniu, którego nigdy nie zapomni, gdy zobaczyła przysłane przez niego zdjęcie i zrozumiała, że z niezliczonych powodów może grozić jej niebezpieczeństwo. Dlatego oznajmiła producentom, że ma pilny wyjazd w sprawach rodzinnych, których nie może wyjawić. Zejdzie z anteny, miejmy nadzieję, że nie na dłużej niż kilka tygodni. Zastąpią ją jak zwykle nijakim psychologiem telewizyjnym, który wprawdzie nie stanowi konkurencji, ale

ludzi się, że jest inaczej. Z tego względu doktor Self nie może pozwolić sobie na przerwę dłuższą niż kilka tygodni. Każdy chce zająć jej miejsce. Zadzwoiła do Paula Maroniego (powiedziała, że chodzi o kolejne skierowanie na konsultację, i uzyskała bezpośrednie połączenie), potem (w przebraniu) wsiadła do limuzyny (nie mogła posłużyć się jednym ze swoich wozów), następnie (wciąż w przebraniu) przesiadła się do prywatnego odrzutowca i potajemnie zarejestrowała w Szpitalu MacLeana, gdzie jest bezpieczna, niewidoczna. Ma nadzieję, że niebawem się dowie, iż to co nie do pomyślenia, nie miało miejsca.

To wszystko jest chorym żartem. Szaleńcy zawsze czynią fałszywe wyznania.

(A jeśli nie?).

Musi rozważyć najgorszy scenariusz: Ludzie ją obwinia. Powiedzą, że to przez nią szalenciec sfiksował na punkcie Drew Martin, gdy zeszłej jesieni wygrała US Open i wzięła udział w jej programach. W cieszących się ogromną popularnością programach i wywiadach na prawach wyłączności. Spędziły niezwykle godziny, rozmawiając przed kamerami o pozytywnym myśleniu, o wyposażaniu się w odpowiednie narzędzia, o świadomym podejmowaniu decyzji, by wygrać lub przegrać, i jak to wszystko sprawiło, że zaledwie szesnastoletnia Drew spowodowała jeden z największych przewrotów w historii tenisa. Nagrodzony cykl doktor Self, *Kiedy zwyciężyć*, odniósł fenomenalny sukces.

Jej puls przyspiesza, gdy wraca do drugiej strony koszmaru. Znów otwiera e-mail od Piaskuna, jakby kolejne spojrzenie mogło cokolwiek zmienić. Nie ma wiadomości tekstowej, tylko załącznik, przerażające zdjęcie wysokiej rozdzielczości. Zdjęcie przedstawia Drew, nagą, siedzącą w szarej mozaikowej wannie wtopionej w terakotową podłogę. Woda sięga do pasa. Gdy doktor Self powiększa obraz, jak wiele razy wcześniej, może

zobaczyć gęsią skórkę na ramionach, sine usta i paznokcie sugerujące, że woda płynąca ze starego mosiężnego kranu jest zimna. Włosy ma mokre, minę na ślicznej twarzy trudną do opisanego. Oszołomioną? Żalną? Zszokowaną? Wygląda jak nafaszerowana środkami odurzającymi.

Piaskun we wcześniejszych e-mailach napisał, że upijanie nagich więźniów było w Iraku na porządku dziennym. Pobić ich, upokorzyć, zmusić do oddawania moczu jeden na drugiego. „Człowiek robił, co musiał”, napisał. Po jakimś czasie wszystko stało się normalne i nie miał nic przeciwko fotografowaniu. Niewiele rzeczy mu przeszkadzało, dopóki nie zrobił tej jednej, lecz nigdy nie powiedział, co to było. Doktor Self jest przekonana, że to zapoczątkowało jego przemianę w potwora. Zakładając, że rzeczywiście dopuścił się niewyobrażalnego i że to, co jej przysłał, nie jest chorym żartem.

(Jeśli nawet to żart, Piaskun jest potworem, robiąc jej coś takiego!).

Przygląda się zdjęciu, szukając śladów fałszerstwa, powiększając je i zmniejszając, obracając, uważnie je studiując. Nie, nie, zapewnia się w duchu. Oczywiście, nie jest prawdziwe.

(A jeśli jest?).

Jej umysł trawi sam siebie. Jeśli odpowiedzialność spadnie na nią, natychmiast zdejmą ją z anteny. Miliony widzów okrzykną ją winną, bo powinna przewidzieć, co nadchodzi. Nie powinna dyskutować o Drew w e-mailach z anonimowym pacjentem, który nazwał się Piaskunem i twierdził, że ogląda Drew w telewizji, czyta o niej i uważa ją za uroczą, ale nieznośnie samotną dziewczynę; który był pewien, że kiedyś ją spotka, a wówczas ona go pokocha i ból się skończy.

Jeśli prawda ujrzy światło dzienne, powtórzy się Floryda, tylko w jeszcze gorszej wersji. Uznana za winną. niesprawiedliwie. Przynajmniej tymczasowo.



„Widziałem Drew w twoim programie i czułem jej niewysłowione cierpienie – napisał Piaskun. – Ona mi podziękuje”.

Doktor Self patrzy na ekran. Zostanie publicznie napiętnowana, że nie zadzwoniła na policję natychmiast po odebraniu e-maila, co miało miejsce dokładnie dziewięć dni temu, i nikt nie zaakceptuje jej idealnie logicznego toku rozumowania: jeśli fotografia przysłana przez Piaskuna jest prawdziwa, dla Drew jest już za późno; jeśli chodzi tylko o chory żart (fotomontaż spreparowany za pomocą jednego z tych programów do obróbki zdjęć), jaki sens ma ujawnianie go i być może podsuwanie pomysłu jakiejś innej niepoczytalnej osobie?

Jej ponure myśli wędrują do Marina. Do Bentona.

Do Scarpetty.

I Scarpetta wchodzi jej do głowy.

*Czarna garsonka w bladoniebieskie prążki i harmonizująca z nią niebieska bluzka, która pogłębia błękit jej oczu. Krótkie blond włosy, dyskretny makijaż. Uderzająco piękna i silna, siedzi prosto, ale swobodnie na miejscu dla świadka, twarzą do przysięgłych. Byli jak zahipnotyzowani, gdy odpowiadała na pytania i wyjaśniała. Ani razu nie zajrzała do notatek.*

*– Ale czy nie jest prawdą, że prawie wszystkie przypadki powieszenia mają charakter samobójczy, co tym samym sugeruje, że naprawdę sama odebrała sobie życie? – Jeden z prawników doktor Self krążył po sali sądowej na Florydzie.*

*Doktor Self skończyła zeznawać, została zwolniona jako świadek, ale nie mogła oprzeć się chęci śledzenia postępowania. Obserwowania jej. Scarpetty. Czekań, aż się przejęzyczy albo popełni jakiś błąd.*

*– Statystycznie rzecz ujmując, w dzisiejszych czasach większość przypadków śmierci przez powieszenie ma, o ile wiemy, charakter samobójczy. – Scarpetta zwraca się do przysięgłych, nie patrząc na*

adwokata doktor Self, odpowiadając mu tak, jakby mówiła do interkomu w jakimś innym pomieszczeniu.

– O ile wiemy? Pani Scarpetta, mówi pani, że...

– Doktor Scarpetta. – Uśmiecha się do przysięgłych. Oni odwzajemniają uśmiech, zaabsorbowani, w oczywisty sposób oczarowani. Zadurzeni w niej, gdy rozbija w pył wiarygodność i dobre imię doktor Self, i nikt nie zdaje sobie sprawy, że to tylko manipulacje i nieprawdy. O tak, kłamstwa. Morderstwo, nie samobójstwo. Doktor Scarpetta pośrednio obwiniają o morderstwo! To nie jej wina. Nie mogła wiedzieć, że ci ludzie zostaną zamordowani. Sam fakt, że zniknęli ze swojego domu, nie musiał oznaczać, że spotkało ich coś złego.

A kiedy Scarpetta spowodowała ponowne wezwanie jej na świadka, wspomniawszy o znalezieniu przepisanej przez nią leku, miała absolutne prawo odmówić dyskusowania o pacjencie czy byłym pacjencie. Skąd mogła wiedzieć, że ktoś zginie? Poniesie śmierć w niesłychanie okrutny sposób? To nie jej wina. Gdyby była winna, w grę wchodziłby nie tylko proces wytoczony przez chciwych krewnych. Sprawa miałaby charakter kryminalny. To nie jej wina, a Scarpetta z premedytacją wmówiła przysięgłym co innego.

(Widzi w wyobraźni scenę z sali sądowej).

– Chce pani powiedzieć, że nie można określić, czy powieszenie było samobójstwem, czy zabójstwem? – obrońca doktor Self przemawia coraz głośniej.

– Nie bez świadków albo okoliczności, które wskazałyby, co się stało – mówi Scarpetta.

– To znaczy?

– Że ofiara nie mogła sama sobie tego zrobić.

– Na przykład?

– Na przykład ciało wiszące na wysokiej latarni na parkingu, bez drabiny. Ręce mocno związane za plecami.

– Prawdziwy przypadek czy wymyśliła pani na poczekaniu? – pyta drwiąco prawnik.

– Tysiąc dziewięćset sześćdziesiąty drugi. Lincz w Birmingham w Alabamie – mówi Scarpetta do przysięgłych, z których siedmiu jest czarnych.

Doktor Self wraca z drugiej strony koszmaru i zamyka zdjęcie na ekranie. Sięga po telefon i dzwoni do biura Bentona Wesleya. Instykt natychmiast jej podpowiada, że nieznajoma kobieta, która odbiera, jest młoda, przecenia swoją rolę, ma poczucie wyjątkowych uprawnień, więc tym samym prawdopodobnie pochodzi z bogatej rodziny, została zatrudniona przez szpital w ramach przysługi i jest zadrą w tyłku Bentona.

– A pani imię, doktor Self? – pyta kobieta, jakby nie wiedziała, z kim ma do czynienia, w przeciwieństwie do wszystkich innych w szpitalu.

– Mam nadzieję, że doktor Wesley wreszcie przyjechał – mówi doktor Self. – Spodziewa się mojego telefonu.

– Nie będzie go do jedenastej. – Jakby doktor Self nie była kimś wyjątkowym. – Mogę spytać, w jakiej sprawie?

– Oczywiście. A kim pani jest? Chyba się nie znamy. Zeszłym razem, gdy dzwoniłam, odebrał ktoś inny.

– Już jej tu nie ma.

– Pani nazwisko?

– Jackie Minor. Nowa asystentka. – Jej ton staje się wyniosły. Pewnie jeszcze nie ma doktoratu, o ile w ogóle kiedykolwiek go zrobi.

Doktor Self mówi czarującym tonem:

– Cóż, bardzo dziękuję, Jackie. Zakładam, że przyjąłeś tę pracę, żeby asystować doktorowi w projekcie badawczym, jak oni go nazywają? Ocena

reakcji grzbietowo-bocznej w agresywnym zachowaniu matki?

– ORGAZM? – pyta Jackie z zaskoczeniem. – Kto tak mówi?

– Sądzę, że ty właśnie to zrobiłaś. Akronim nie przyszedł mi na myśl. Ty go wypowiedziałaś. Bystra jesteś. Który wielki poeta... Niech pomyślę, czy zdołam zacytować: Dowcip jest geniuszem postrzegania, a metafora – wyrażania. Coś w tym stylu. Alexander Pope, jak sądę. Niebawem się spotkamy. Bardzo niebawem, Jackie. Jak z pewnością wiesz, biorę udział w projekcie. Tym, który nazwałaś ORGAZM.

– Wiedziałam, że chodzi o kogoś ważnego. Dlatego doktor Wesley został tutaj na weekend i prosił, żebym przyszła. Dla nich liczy się tylko VIP w harmonogramie.

– Praca dla niego musi wymagać poświęceń.

– Zdecydowanie.

– Jest znany na całym świecie.

– Dlatego chciałam być jego asystentką. Zamierzam zostać psychologiem sądowym.

– Brawo! Bardzo dobrze. Może pewnego dnia zaproszę cię do swojego programu.

– Nie przyszło mi to na myśl.

– Cóż, powinno, Jackie. Sporo myślałam o poszerzeniu moich horyzontów o „drugą stronę koszmaru”. O drugą stronę zbrodni, której ludzie nie widzą. Umysł przestępcy.

– To wszystko, co ludzi interesuje – zgadza się Jackie. – Wystarczy włączyć telewizor. Każdy program dotyczy przestępstwa.

– Niedługo zacznę myśleć o konsultantach programu.

– Z przyjemnością porozmawiam z panią na ten temat, w dowolnej chwili.

- Robiłaś już wywiad ze sprawcą przemocy? A może byłaś obecna w czasie jednego z wywiadów doktora Wesleya?
- Jeszcze nie. Ale na pewno będę.
- Do zobaczenia, doktor Minor. Na pewno doktor...?
- Gdy tylko zdobędę kwalifikacje i znajdę czas, żeby skupić się na dysertacji. Już planujemy moją ceremonię przypięcia kaptura do togi.
- Oczywiście. To jedna z najpiękniejszych chwil w naszym życiu.



W minionych stuleciach ozdobione stiukiem laboratorium komputerowe za starym ceglany budynek prosektorium było pomieszczeniem dla koni i stajennych.

Na szczęście zanim powołano radę architektoniczną, która mogłaby tego zakazać, budynek przekształcono w garaż-magazyn, obecnie będący, jak mówi Lucy, jej prowizorycznym laboratorium komputerowym. Jest ceglany. Jest mały. Jest minimalistyczny. Po drugiej stronie Rzeki Coopera trwają prace na wielkiej budowie, gdzie ziemi w bród i gdzie stróżę praw strefowych stracili wilcze kły, jak mówi. Jej nowe laboratorium medycyny sądowej, gdy zostanie ukończone, będzie miało najlepsze pod słońcem wyposażenie i nieograniczone możliwości naukowe. Na razie radzą sobie całkiem dobrze z analizami daktyloskopijnymi, toksykologią, bronią palną, niektórymi dowodami śladowymi i DNA. Federalni jeszcze nawet nie widzieli czegoś takiego. Lucy ich zawstydzi.

W laboratorium ze starymi ceglanyścianami i świerkową podłogą mieści się jej komputerowe królestwo, zabezpieczone przed światem zewnętrznym przez szyby odporne na kule i huragany, z zawsze opuszczonymi roletami. Lucy siedzi przed komputerem, który jest połączony z serwerem o pojemności sześćdziesięciu czterech gigabajtów.

Sama zaprojektowała jądro – czyli system operacyjny sprzęgający software i hardware – w assemblerze najniższego poziomu, mogła więc rozmawiać z płytą główną, gdy tworzyła swój cyberświat – czyli to, co nazywa Nieskończonością Przestrzeni Wewnętrznej. Prototyp sprzedała za niebotyczną sumę, o której nieprzyzwoicie jest wspominać. Lucy nie rozmawia o pieniądzach.

Na ścianach zamontowane są płaskie monitory wyświetlające obrazy z systemu kamer bezprzewodowych, a z głośników płynie zsynchronizowany z nimi dźwięk, wychwytywany przez wbudowane mikrofony. Lucy nie może uwierzyć w to, co widzi i słyszy.

– Ty głupi sukinsynu – mówi głośno do płaskiego ekranu przed sobą.

Marino oprowadza Shandy Snook po kostnicy, kamery śledzą ich pod różnymi kątami, ich głosy brzmią tak wyraźnie, że ma wrażenie, iż im towarzyszy.



Boston, Beacon Street, czwarte piętro kamienicy z połowy dziewiętnastego stulecia. Benton Wesley siedzi za biurkiem, patrząc, jak za oknem płynie nad parkiem balon na gorące powietrze, jak unosi się nad szkockimi wiązami starymi jak Ameryka. Biały balon wznosi się powoli niczym wielki księżyc na tle linii dachów śródmieścia.

Dzwoni telefon komórkowy. Benton wkłada słuchawkę bezprzewodową.

– Wesley – zgłasza się z wielką nadzieją, że nie jest to jakaś pilna sprawa, która ma coś wspólnego z doktor Self, obecnym szpitalnym dopustem bożym, może najgorszym z dotychczasowych.

– To ja – mówi Lucy do jego ucha. – Zaloguj się. Odbędziemy konferencję.

Benton nie pyta dlaczego. Loguje się w sieci bezprzewodowej, która przekazuje wideo, audio i dane w czasie rzeczywistym. Twarz Lucy wypełnia ekran laptopa na jego biurku. Wygląda ładnie, świeżo i dynamicznie jak zwykle, ale w jej oczach skrzy się furia.

– Spróbujemy inaczej. Podłączę cię do kamer ochrony, żebyś mógł widzieć to samo, co ja. Okay? Twój ekran powinien podzielić się na cztery części z widokiem z różnych kamer albo pod różnymi kątami. W zależności od tego, co wybiorę. To powinno wystarczyć, żebyś zobaczył, co robi nasz tak zwany przyjaciel Marino.

– Mam to – mówi Benton, gdy jego ekran się dzieli, pozwalając mu zobaczyć jednocześnie cztery sektory budynku Scarpetty skanowane przez kamery.

Brzęczyk z garażu prosektorium.

W lewym górnym rogu ekranu Marino idzie z jakąś młodą, seksowną, ale ordynarnie wyglądającą kobietą w skórzanym kombinezonie motocyklisty. Są w korytarzu na piętrze, gdzie mieści się gabinet Scarpetty.

– *Zostaniesz tutaj, dopóki ona się nie zjawi.*

– *Dlaczego nie mogę wejść z tobą? Nie boję się.* – Jej głos, chropawy, z ciężkim południowym akcentem, płynie wyraźnie z głośników na biurku Bentona.

– Co, do diabła? – mówi Benton do telefonu.

– Po prostu patrz – odpowiada Lucy. – Jego najnowsza laska.

– Od kiedy?

– Niech pomyślę. Chyba zaczęli sypiać ze sobą w zeszły poniedziałek. Tej samej nocy, gdy się poznali i upili.

Marino i Shandy wsiadają do windy, gdzie przechwytuje ich druga kamera.

– *No dobra. Ale jak powiesz doktorce, będę udupiony* – mówi detektyw.

– *Pokręcona lekarka trzyma cię za jajka – podśpiewuje kpiąco dziewczyna.*

– *Weźmiemy fartuch, żeby zakryć tę twoją skórzaną kurtkę, ale trzymaj buzię na kłódkę i nie kombinuj. Nie świruj ani nic, mówię poważnie.*

– *Jakbym nigdy nie widziała trupa.*

Drzwi windy się otwierają i oboje wychodzą.

– *Mój ojciec zadławił się stekiem, na oczach moich i rodziny – oznajmia Shandy.*

– *Z tyłu jest szatnia. Ta po lewej.* – Marino pokazuje.

– *Lewej? Gdy się patrzy w którą stronę?*

– *Pierwsza za rogiem. Weź fartuch i pospiesz się!*

Shandy biegnie. W jednej części ekranu Benton widzi, jak w szatni – w szatni Scarpetty – wyjmuje niebieski fartuch z szafki – fartuch Scarpetty z szafki Scarpetty – i wkłada go w pośpiechu, tyłem do przodu. Marino czeka w korytarzu. Ona biegnie do niego, w niezawiazanym łopoczącym kitlu.

Kolejne drzwi. Te prowadzą do garażu, gdzie w kącie stoją motocykle Marina i Shandy, zabarykadowane przez pachołki. Karawan już wjechał, warkot silnika odbija się echem od starych ceglanych ścian. Wysiada pracownik zakładu pogrzebowego, niezgrabny chudzielec w garniturze z krawatem czarnym i lśniącym jak jego karawan. Przeciąga swoje kościste członki na podobieństwo noszy, jakby ilustrował swoją profesję. Benton zauważa coś dziwnego w jego rękach; są zaciśnięte jak szpony.

– *Jestem Lucious Meddick.* – Mężczyzna otwiera tylną klapę. – *Poznaliśmy się tego dnia, gdy wyłowili z bagna martwego chłopczyka.* – Wkłada lateksowe rękawiczki i Lucy robi zbliżenie. Benton dostrzega



plastikowy aparat ortodontyczny na zębach mężczyzny i gumową opaskę na prawym nadgarstku.

– Powiększ dłonie – prosi.

Lucy powiększa obraz.

– *Tak, pamiętam* – przyznaje Marino takim tonem, jakby nie znosił tego człowieka.

Benton zwraca uwagę na paznokcie i mówi do Lucy:

– Ogryzanie paznokci. Forma samookaleczenia.

– *Coś nowego w jego sprawie?* – Lucious pyta o zamordowanego chłopca, który, jak Benton wie, wciąż nie został zidentyfikowany.

– *Nie twój interes* – odpowiada Marino. – *Gdyby te informacje były przeznaczone, do rozpowszechnienia, podawano by je w wiadomościach.*

– Jezu. – Benton słyszy w uchu głos Lucy. – Mówi jak Tony Soprano.

– *Wygląda na to, że zgubiłeś dekiel.* – Marino wskazuje lewe tylne koło karawanu.

– *Mam zapasowy.* – Lucious też jest opryskliwy.

– *Psuje efekt, no nie? Odpicowany i błyszczący, a tu koło z brzydkimi nakrętkami.*

Lucious z urażoną miną otwiera tylną klapę i wysuwa z karawanu nosze na kółkach. Składane aluminiowe nóżki opadają i blokują się z trzaskiem. Marino nie proponuje pomocy, gdy Lucious pcha wózek ze zwłokami w czarnym worku po rampie, uderza w futrynę drzwi, klnie.

Marino mruga do Shandy, która wygląda dziwnie w rozchylonym fartuchu chirurgicznym i czarnych skórzanych motocyklowych butach. Zniecierpliwiony Lucious zostawia wózek na środku korytarza, szarpie gumową opaskę na nadgarstku i mówi zirytowanym, podniesionym tonem:

– *Zajmij się jej papierami.*

– *Ciszej* – upomina go Marino. – *Możesz kogoś zbudzić.*

– *Nie mam czasu na komedie.* – Lucious zbiera się do wyjścia.

– *Nigdzie nie pójdziesz, dopóki nie pomożesz mi przenieść ciała na jeden z naszych supernowoczesnych wózków.*

– Popisuje się – mówi Lucy do ucha Bentona. – Chce zrobić wrażenie na tej chipsowej dziwce.

Marino wyprowadza z chłodni wózek, skrzypiący i koślawy, jedno kółko jest lekko przekrzywione jak w zdezelowanym wózku sklepowym. Razem ze złym Luciousem podnoszą zwłoki, kładą je na wózku.

– *Twoja szefowa to niezły numer* – oznajmia Lucious. – *Przychodzi mi na myśl słowo na literę s.*

– *Nikt cię nie pyta o zdanie. Czy słyszałaś, aby ktoś pytał go o zdanie?* – Marino zwraca się do Shandy.

Ona patrzy na worek, jakby go nie słyszała.

– *Nie moja wina, że jej adresy pomieszały się w Internecie. Zachowywała się tak, jakby to był mój problem, gdy przyjechałem, robiąc po prostu to, co do mnie należy. Co nie znaczy, że nie umiem się z ludźmi dogadać. Polecacie jakiś zakład pogrzebowy swoim klientom?*

– *Zamieść pieprzone ogłoszenie w branżowym spisie firm.*

Lucious rusza do małego biura prosektorium szybkim krokiem, ledwo ugina kolana, przywodząc Bentonowi na myśl nożyczki.

Na jednej czwartej ekranu widać, jak wchodzi do biura, zajmuje się papierami, otwiera szuflady, szuka, znajduje pióro.

Na innej ćwiartce Marino pyta Shandy:

– *Nikt nie znał manewru Heimlicha?*

– *Nauczę się wszystkiego, skarbie. Każdego manewru, jaki mi pokażesz.*

– *Poważnie, gdy twój ojciec się dławił...* – Marino zaczyna wyjaśniać.

– *Myśleliśmy, że ma atak serca, wylew albo udar* – przerywa mu. – *To było straszne, złapał się za gardło, upadł na podłogę i rozbił sobie głowę,*

*twarz mu zsiniała. Nikt nie wiedział, co robić, nikt nie miał pojęcia, że się dławi. Nawet gdybyśmy wiedzieli, nie moglibyśmy nic zrobić z wyjątkiem tego, co zrobiliśmy, telefon pod dziewięćset jedenaście.* – Nagle robi taką minę, jakby zbierało się jej na płacz.

*– Przykro mi to mówić, ale mogłaś coś zrobić. Pokażę ci. Odwróć się.*

Lucious skończył papierkową robotę, wypada z biura, mijają Marina i Shandy. Nie zwracają na niego uwagi, gdy sam wchodzi do sali sekcyjnej. Marino obejmuje ją w talii potężnymi rękami, zaciska pięść, przykładając kciuk do brzucha tuż nad pępkiem. Chwyta pięść drugą ręką i pcha w górę, delikatnie, tylko na pokaz. Opuszcza ręce i pieści ją.

*– Dobry Boże – mówi Lucy do ucha Bentona. – Stał mu w pieprzonej kostnicy.*

W sali sekcyjnej Lucious podchodzi do leżącego na ladzie wielkiego czarnego rejestru, który Rose uprzejmie nazywa *Księgą umarłych*. Zaczyna wpisywać dane piórem zabranym z biura.

*– Nie powinien tego robić – podejmuje Lucy. – Tylko ciocia Kay ma prawo dotykać rejestru. To dokument prawny.*

Shandy zwraca się do Marina:

*– Widzisz, wśród sztywnych nic nie musi być sztywne. No, może z wyjątkiem tego.* – Dziewczyna sięga ręką do tyłu, łapie go. *– Umiesz podrajcować dziewczynę. Poważnie. Nie tak prędko!*

Benton mówi do Lucy:

*– To nie do uwierzenia.*

Shandy odwraca się w ramionach Marina i całuje go – całuje w usta w kostnicy – i przez chwilę Benton myśli, że zaraz zaczną uprawiać seks.

Potem:

*– Spróbuj na mnie – proponuje Pete.*

Na innej części ekranu Benton widzi, jak Lucious wertuje rejestr prosektorium.

Kiedy Marino się odwraca, wyraźnie widać, że ma erekcję. Shandy ledwo może go objąć, zaczyna się śmiać. On kładzie wielkie łapska na jej dłoniach, pomaga jej pchnąć.

– *Bez żartów. Jak kiedyś zobaczysz, że się dławię, naciśnij w ten sposób. Mocno!* – Pokazuje jej. – *Celem zabiegu jest wypchnięcie powietrza, żeby to, co utknęło, też wyleciało.* – Shandy opuszcza ręce i łapie go znowu, on ją odpycha i odwraca się plecami do Luciousa, który wychodzi z sali sekcyjnej.

– *Doszła do czegoś z tym małym?* – Lucious strzela gumką na nadgarstku. – *Chyba nie, skoro wpisała w Księdze umarłych „nieznany”*

– *Był nieznany, gdy go przywieźli. Co ty robiłeś, szperalesz w rejestrze?* – Marino wygląda dziwnie, stojąc tyłem do rozmówcy.

– *Najwyraźniej nie może sobie poradzić z takim skomplikowanym przypadkiem. Mógłbym jej pomóc. Wiem więcej o ludzkim ciele niż każdy jeden lekarz.* – Lucious przesuwają się w bok i patrzy na jego krocze. – *A kuku!*

– *Gównu wiesz i przestań gadać o tym martwym chłopcu* – mówi złośliwie Marino. – *I o doktorce. I możesz wynosić się w diabły.*

– *Chodzi ci o tego małego chłopca?* – pyta Shandy.

Lucious grzechocze noszami, zostawiając przywiezione ciało na wózku pośrodku korytarza, przed stalowymi drzwiami chłodni. Marino otwiera je i wpycha stawiający opór wózek do środka, wciąż podniecony.

– *Chryste* – szepcze Benton.

– *Jest na viagrze czy co?* – Głos Lucy w jego uchu.

– *Dlaczego, do diabła, nie kupicie nowego wózka czy jak tam to nazywacie?* – pyta Shandy.

– *Doktorka nie marnuje pieniędzy.*

– *Więc sama też jest tania. Założę się, że gównu ci płaci.*

– *Załatwia wszystko, gdy czegoś potrzebujemy, ale nie szasta gotówką.*

*W przeciwieństwie do Lucy, która mogłaby kupić Chiny.*

– *Zawsze stajesz sztywno w obronie Wielkiej Szefowej, prawda? Ale nie tak sztywno jak dla mnie, skarbie.* – Shandy go pieści.

– *Chyba zaraz się porzygam* – stwierdza Lucy.

Shandy wchodzi do chłodni i rozgląda się po wnętrzu.

Benton słyszy w słuchawkach szum wdmuchiwanego zimnego powietrza.

Na obrazie z kamery w garażu widać, jak Lucious wsuwa się za kierownicę karawanu.

– *Została zamordowana?* – Shandy pyta o ostatnie zwłoki, potem patrzy na inne ciało w worku w kącie. – *Powiedz mi coś o tym dzieciaku.*

Lucious rusza, drzwi garażu zamykają się za karawanem ze szczękiem, jakby zderzyły się samochody.

– *Zmarła z przyczyn naturalnych* – mówi Marino. – *Stara Azjatka. Osiemdziesiąt pięć lat czy coś koło tego.*

– *Jak tu trafiła, skoro zmarła z przyczyn naturalnych?*

– *Bo koroner chciał ją przysłać. Dlaczego? Cholera wie. Doktorka powiedziała tylko, że bym tu był. Niech mnie cholera, jeśli wiem po co. Dla mnie to wygląda na typowy atak serca.*

*Coś czuję.* – Krzywi twarz.

– *Zajrzyjmy do worka* – proponuje Shandy. – *Śmiało. Tylko zerknę.*

Benton obserwuje ich na ekranie, patrzy, jak Marino rozpiną suwak worka. Shandy cofa się z odrazą, odskakuje, zakrywa nos i usta.

– *Masz, na co zasłużyłaś* – mówi Lucy, robiąc zbliżenie zwłok, rozkładających się, rozdętych przez gazy, z zieleniejącym brzuchem.

Benton aż nazbyt dobrze zna ten odór, ohydny smród rozkładu, który jak żaden inny zagęszcza powietrze i przylega do podniebienia.

– *Cholera* – klnie Marino, zasuwając worek. – *Pewnie leżała przez wiele dni i cholerny koroner hrabstwa Beaufort nie chciał się z nią babrać. Zapycha nos, no nie?* – Śmieje się do Shandy. – *A ty myślałaś, że moja robota to bułka z masłem.*

Shandy podchodzi bliżej do małego czarnego worka, który leży samotnie w kącie. Staje nieruchomo, patrząc na zwłoki.

– Nie rób tego. – Lucy zwraca się do Marina na ekranie, choć słyszy ją tylko Benton.

– *Ale wiem, co jest w tym małym worku* – mówi Shandy.

Lucy i Benton ledwo ją rozumieją.

Marino wychodzi z chłodni.

– *Wychodź, Shandy. Natychmiast.*

– *Bo co mi zrobisz? Zamkniesz mnie tutaj? Daj spokój, Pete. Otwórz ten mały worek. Wiem, że to martwy chłopiec, o którym przed chwilą mówiła ta pogrzebowa menda. Słyszałam o nim wszystko w wiadomościach. Wciąż tu jest. Jak to się stało? Biedactwo, zupełnie sam, zmarznięty w tej lodówce.*

– Stracił rozum – komentuje Benton. – Kompletnie mu odbiło.

– *Nie chcesz go oglądać* – mówi Marino, wracając do chłodni.

– *Dlaczego? To mały chłopiec znaleziony na wyspie Hilton Head. Ten, o którym trąbią w wiadomościach* – powtarza. – *Słyszałam o nim. Dlaczego wciąż tu jest? Wiedzą, kto to zrobił?* – Wciąż stoi przy małym czarnym worku na wózku.

– *Nic nie wiemy. Dlatego wciąż tu jest. Chodź.* – Kiwa na nią ręką. Słabo ich słychać.

– *Pozwól mi go zobaczyć.*

– Nie rób tego. – Lucy mówi do Marina na ekranie. – Nie wpierdalaj się, Marino.

– *Nie chcesz tego* – powtarza detektyw.

– *Dam radę. Mam prawo go zobaczyć, bo nie powinieneś mieć przede mną sekretów. To nasza zasada. Udowodnij, że nie masz przede mną sekretów.* – Shandy nie może oderwać oczu od worka.

– *Nie. W takich przypadkach zasada się nie liczy.*

– *Ależ tak. Lepiej się pospiesz, robię się zimna jak nieboszczyk.*

– *Bo jeśli doktorka się dowie...*

– *Znowu zaczynasz. Boisz się jej, jakby była twoją właścicielką. Dlaczego myślisz, że nie dam rady? Co jest takie złe?* – Shandy mówi ze złością, niemal krzyczy, obejmując zziębnięte ramiona. – *Założę się, że nie śmierdzi tak paskudnie jak ta stara.*

– *Został obdarty ze skóry i nie ma oczu* – wyjaśnia Marino.

– No nie – wzdycha Benton, pocierając się po twarzy. Shandy krzyczy:

– *Nie zadzieraj ze mną! Nie próbuj ze mnie żartować! Daj mi go zobaczyć, natychmiast! Mam tego dość, zawsze przemieniasz się w cholernego mięczaka, gdy ona coś ci każe!*

– *Nie ma w tym nic zabawnego, masz rację. To, co tu się dzieje, to nie żarty. Próbuję ci to powiedzieć. Nie masz pojęcia, z czym miałem do czynienia.*

– *Tak, to nie byle co. Pomyśleć, że twoja Wielka Szefowa zrobiła coś takiego. Obdarła dziecko ze skóry i wydłubała mu oczy. Zawsze mówiłeś, że traktuje zmarłych naprawdę z szacunkiem.* – Z nienawiścią: – *Dla mnie wygląda na nazistkę. Oni obdzierali ludzi ze skóry, żeby robić abazury do lamp.*

– *Czasami tylko w jeden sposób można stwierdzić, czy pociemniałe lub zaczerwienione obszary naprawdę są siniakami. Trzeba obejrzeć skórę od*

*spodu, żeby zyskać pewność, że na pewno widzi się wylewy z pękniętych naczyń krwionośnych, czyli siniaki, które my nazywamy stłuczeniami, a nie livor mortis – peroruje Marino.*

*– To nierealne – mówi Lucy do Bentona. – Teraz jest więc głównym lekarzem sądowym.*

*– Nie nierealne – odpowiada Benton. – Czuje się ogromnie niepewny siebie. Zagrożony. Pełen urazy. Rekompensuje i dekompensuje. Nie wiem, co się z nim dzieje.*

*– Ty i ciocia Kay jesteście tego powodem.*

*– A co to takiego? – Shandy patrzy na mały czarny worek. – Gdy ustaje krążenie, krew opada i skóra miejscami robi się czerwona. Livor mortis, czyli plamy opadowe, wyglądają zupełnie jak świeże siniaki. Mogą być różne przyczyny urazów, które przypominają zmiany nazywane przez nas pośmiertnymi. To skomplikowane – mówi Marino z przekonaniem o własnej ważności. – Aby zyskać pewność, odcinasz płat skóry, wiesz, skalpelem... – robi szybki ruch w powietrzu – żeby obejrzeć spodnią stronę. W tym przypadku to były siniaki. Ten dzieciak był posiniaczony od stóp do głów.*

*– Ale po co wyjmować oczy?*

*– Dalsze badania, szukanie wylewów typowych dla zespołu dziecka potrąsanego, takie rzeczy. To samo z mózgiem. Leży w formalinie w wiaderku, nie tutaj, tylko na akademii medycznej, gdzie przeprowadzają specjalistyczne badania.*

*– O Boże. Mózg w wiaderku?*

*– To właśnie robimy. Utrwalanie chemiczne, żeby się nie rozkładał, dzięki czemu można go lepiej obejrzeć. Swego rodzaju balsamowanie.*

*– Sporo wiesz. Ty powinieneś być tutaj doktorem, nie ona. Daj mi zobaczyć.*

*Wciąż rozmawiają w chłodni, drzwi są szeroko otwarte.*



– *Zaczęłam to robić, gdy ciebie jeszcze nie było na świecie* – mówi Marino. – *Jasne, mógłbym być lekarzem, ale kto, u licha, chciałby tak długo chodzić do szkoły? I kto chciałby być nią? Ona nie ma życia. Nikogo poza martwymi ludźmi.*

– *Chcę go zobaczyć* – żąda Shandy.

– *Cholera, nie wiem, z czego się to bierze. Człowiek nie może wejść do cholernej lodówki, żeby nie naszła go chęć na papierosa.*

Shandy sięga pod fartuch do kieszeni skórzanej kamizelki, wyciąga paczkę, zapalniczkę.

– *Nie mogę uwierzyć, że ktoś zrobił coś takiego małemu dziecku. Muszę go zobaczyć. Jestem tutaj, więc mi pokaż.* – Zapala dwa papierosy i oboje palą.

– *Zachowania manipulacyjne, pograniczne zaburzenie osobowości* – stwierdza Benton. – *Tym razem Pete poderwał prawdziwe kłopoty.*

Marino pcha wózek, wytacza go z chłodni.

Rozpina worek. Plastik szeleści. Lucy robi powiększenie: Shandy wydmuchuje dym, wybałusza oczy na martwego chłopca.

Wychudzone drobne ciało przecięte schludnie prostymi liniami od podbródka do genitaliów, od ramion do dłoni, od bioder do stóp, klatka piersiowa otwarta jak wydrążony arbuz. Narządy wewnętrzne zniknęły. Skóra jest oderwana od ciała i rozpostarta w płatach, które ukazują dziesiątki ciemnofioletowych wylewów powstałych w różnym czasie i różnej wielkości, a także rozdarcia i pęknięcia do chrząstek i kości. Oczy są pustymi dziurami, przez które widać wnętrze czaszki.

Shandy wrzeszczy:

– *Nienawidzę tej kobiety! Nienawidzę jej! Jak mogła mu to zrobić! Wypatroszyć i obdrzeć ze skóry jak zastrzelonego jelenia! Jak możesz pracować dla tej psychicznej suki!*

– *Uspokój się. Przestań wrzeszczeć.* – Marino zasuwa worek i wpycha wózek z powrotem do chłodni. Zamyka drzwi. – *Ostrzegalem. Pewnych rzeczy ludzie nie muszą oglądać. Po czymś takim można dostać nerwicy pourazowej.*

– *Teraz zawsze będę widziała go w głowie. Chora suka. Cholerna nazistka.*

– *Nie piknij o tym słowa, słyszysz?*

– *Jak możesz pracować dla kogoś takiego?*

– *Zamknij się, poważnie – mówi Marino. – Pomagałem przy autopsji i za cholerę nie jestem nazistą. Tak to już jest. Ludzie mają przepierdolone dwa razy, gdy zostają zamordowani.* – Bierze od niej fartuch chirurgiczny, składa go szybko. – *Ten mały prawdopodobnie został zamordowany w dniu, w którym się urodził. Wszyscy mieli go w dupie i oto rezultat.*

– *Co ty wiesz o życiu? Myślicie, że wiecie wszystko o wszystkich, podczas gdy widzicie tylko to, co zostaje, gdy potniecie ich jak rzeźnicy.*

– *Ty chciałaś tu przyjść.* – Marino zaczyna się złościć. – *Więc gęba na kłódkę i nie nazywaj mnie rzeźnikiem.*

Zostawia Shandy w korytarzu, odnosi fartuch do szafki Scarpetty. Włącza alarm. Przechwytuje ich kamera w garażu, wielkie drzwi podnoszą się ze zgrzytem.

Głos Lucy. Benton musi poinformować Scarpettę o wycieczce Marina, o zdradzie, która może ją zniszczyć, jeśli dowiedzą się o tym media. Lucy jedzie na lotnisko, nie wróci do jutrzejszego wieczoru. Benton o nic nie pyta. Jest całkiem pewien, że ona już wie, jeśli nawet mu nie powiedziała. Potem Lucy mówi mu o doktor Self, o jej e-mailach do Marina.

Benton nie komentuje. Nie może. Na ekranie wideo Marino i Shandy Snook odjeżdżają na motocyklach.

## ROZDZIAŁ 5

Grzechot metalowych kólek na płytkach.

Drzwi wielkiej chłodni otwierają się z sykiem protestu. Scarpetta jest nieczuła na zimne powietrze, na smród zamarznętej śmierci, gdy pcha stalowy wózek z małym czarnym workiem na zwłoki. Do suwaka przyczepiona jest tekturka z wypisanymi czarnym atramentem informacjami: Nieznany, do tego data, 4/30/07, i podpis pracownika zakładu pogrzebowego, który przywiózł ciało. W rejestrze prosektorium Scarpetta wpisała: Nieznany, płeć męska, pięć do dziesięciu lat, zabójstwo, wyspa Hilton Head, dwie godziny jazdy od Charlestonu. Rasa mieszana: w trzydziestu czterech procentach afrykańska typu subsaharyjskiego, w sześćdziesięciu sześciu procentach europejska.

Zawsze sama robi wpisy do księgi i jest oburzona odkryciem, którego dokonała, gdy parę godzin temu przyjechała i zobaczyła, że poranny przypadek już został wpisany, prawdopodobnie przez Luciousa Meddicka. Nie do wiary, śmiał zdecydować, że przywieziona przez niego starsza kobieta zmarła śmiercią naturalną wskutek zatrzymania oddechu i akcji serca. Bezczelny dureń. Każdy umiera wskutek zatrzymania oddechu i akcji serca. Zastrzelenie, potrącenie przez samochód czy uderzenie kijem baseballowym – śmierć następuje, gdy serce i płuca przestają pracować. Nie miał prawa ani powodu wnioskować o przyczynie śmierci. Kay jeszcze nie przeprowadziła autopsji, a poza tym decydowanie o czymkolwiek nie należy do jego obowiązków ani nie wchodzi w zakres jego kompetencji. Nie jest lekarzem sądowym. Nie powinien dotykać rejestru. Nie ma pojęcia,

dlaczego Marino pozwolił mu wejść do sali sekcyjnej i zostawił go tam samego.

Z jej ust płyną obłoczki pary, gdy zdejmuje tabliczkę z wózka, żeby wpisać godzinę i datę. Jej frustracja jest równie wyczuwalna jak zimno. Wbrew obsesyjnym staraniom nie wie, gdzie zmarł chłopiec, choć podejrzewa, że niedaleko od miejsca znalezienia. Nie może dokładnie określić jego wieku. Nie wie, w jaki sposób zabójca przemieścił ciało, ale stawia hipotezę, że łodzią. Nie pojawili się żadni świadkowie, a jedynym dowodem śladowym, który znalazła, są białe włókna bawełny, przypuszczalnie z płachty, w którą owinął go koroner hrabstwa Beaufort przed włożeniem do worka.

Piasek, sól, kawałki muszli i roślin w otworach i na skórze chłopca pochodzą z bagien, gdzie jego nagie, rozkładające się szczątki leżały na brzuchu w błocie i trzcinach. Przez wiele dni stosowała wszelkie metody, jakie tylko przyszły jej na myśl, żeby skłonić ciało do mówienia, ale dokonała tylko kilku bolesnych odkryć. Anormalnie mały żołądek i wychudzenie mówią, że głodował od tygodni, prawdopodobnie od miesięcy. Umiarkowanie zdeformowane paznokcie sugerują wielokrotne urazy tępe albo jakiś inny rodzaj tortur zadawanych drobnym palcom rąk i stóp. Delikatne czerwonawe wzory na całym ciele krzyczą, że był brutalnie bity, ostatnio szerokim pasem z dużą kwadratową sprzączką. Nacięcia, odwinięcie skóry i analiza mikroskopowa ujawniły krwotoki do tkanki miękkiej od ciemienia do podeszew małych stóp. Zmarł wskutek krwotoku wewnętrznego – wykrwawił się na śmierć, przy czym ani jedna kropla krwi nie wypłynęła na zewnątrz – co jest, jak się zdaje, metaforą jego niewidzialnego, żalosego życia.

Scarpetta umieściła wycinki narządów wewnętrznych i uszkodzonej tkanki w słojach z formaliną, a mózg i oczy wysłała na badanie

specjalistyczne. Zrobiła setki zdjęć i powiadomiła Interpol na wypadek, gdyby zgłoszono zaginięcie chłopca w innym kraju. Jego odciski palców i stóp zostały wprowadzone do Zintegrowanego Systemu Automatycznej Identyfikacji Daktyloskopijnej (IAFIS)\* [Integrated Automated Fingerprint Identification System], a DNA do Połączonego Systemu Katalogowania Profilów DNA (CODIS)\* [CODIS – Combined DNA Index System].

Wszystkie związane z nim informacje trafiły do bazy Krajowego Centrum Dzieci Zaginionych i Wykorzystywanych. Oczywiście, Lucy przeszukuje niewidoczną sieć. Na razie nie ma żadnych tropów, żadnych podobieństw sugerujących uprowadzenie, zgubienie się, ucieczkę i śmierć z rąk sadystycznego nieznajomego. Najprawdopodobniej chłopiec został pobity na śmierć przez rodzica albo jakiegoś innego krewnego, opiekuna lub tak zwanego wychowawcę, który porzucił ciało w odludnym miejscu, żeby ukryć swoją zbrodnię. Takie rzeczy zdarzają się ciągle.

Kay nie może zrobić dla niego nic więcej pod względem medycznym czy naukowym, ale nie chce się poddać. Nie będzie obierania ciała z kości i pakowania ich do pudełka – nie będzie bezimiennej mogiły. Dopóki nie pozna jego tożsamości, chłopiec zostanie u niej, przeniesiony z chłodni do swego rodzaju kapsuły czasu, izolowanej pianką poliuretanową zamrażarki schłodzonej do minus pięćdziesięciu stopni. Jeśli będzie trzeba, zostanie z nią przez lata. Zamyka ciężkie stalowe drzwi chłodni i wychodzi na odświeżony dezodorantem jasny korytarz, rozwiązując niebieski fartuch chirurgiczny i ściągając rękawiczki. Jednorazowe ochraniacze na buty szurają cicho i szybko po nieskazitelnie czystych płytkach podłogi.



Doktor Self w swoim pokoju z widokiem znów rozmawia z Jackie Minor, gdyż Benton nie oddzwonił, a już dochodzi druga.

– Dobrze wie, że musimy się tym zająć. Jak myślisz, dlaczego spędza tu weekend i kazał ci przyjść? Płaci ci za nadgodziny, nawiasem mówiąc? – Doktor Self nie okazuje irytacji.

– Wiedziałam, że znienacka pojawił się jakiś VIP. Tak zwykle mówią, gdy chodzi o kogoś sławnego. Mamy tu mnóstwo sławnych ludzi. Skąd się pani dowiedziała o programie badań? – pyta Jackie. – Pytam, bo muszę prowadzić zapiski, żebyśmy mogli znaleźć najbardziej skuteczną formę reklamy. Wie pani, ogłoszenia w gazetach i radiu, ulotki, wiadomości ustne.

– Ogłoszenie o naborze w budynku rejestracji. Była to pierwsza rzecz, która wpadła mi w oko, gdy się zameldowałam, co miało miejsce bardzo dawno temu, jak się zdaje. I pomyślałam, czemu nie? Ale potem zadecydowałam, że odejdą stąd szybko, bardzo szybko. Przykro mi z powodu pani zepsutego weekendu.

– Prawdę mówiąc, dobrze się stało. Trudno znaleźć ochotników, którzy spełniają kryteria, zwłaszcza tych normalnych. Wielka szkoda. Okazuje się, że co najmniej dwóch na trzech nie jest normalnych. Ale proszę pomyśleć. Gdyby była pani normalna, czy chciałaby pani tu przyjechać i...

– Uczestniczyć w projekcie naukowym? – doktor Self kończy myśl Ptasiego Mózdzka. – Nie sądzę, żebyś ty mogła zapisać się jako normalna.

– Och, nie chciałam sugerować, że pani nie jest...

– Zawsze chętnie się uczę czegoś nowego i mam niezwykły powód, żeby tu przebywać. Zdajesz sobie sprawę, że to poufne.

– Słyszałam, że ukrywa się pani tutaj ze względów bezpieczeństwa.

– Doktor Wesley tak powiedział?

– Pogłoska. A poufność jest zapewniona zgodnie z ustawą o ochronie danych osobowych pacjenta, której musimy przestrzegać. Skoro pani wyjeżdża, to znaczy, że czuje się pani bezpieczna.

– Można tylko mieć nadzieję.

- Zna pani szczegóły badań?
- Pamiętam co nieco z ogłoszenia o naborze ochotników.
- Doktor Wesley nie omówił tego z panią?
  - Został powiadomiony w piątek, gdy poinformowałam doktora Maroniego, tego Włocha, że chcę ochotniczo uczestniczyć w badaniu. Trzeba się tym zająć natychmiast, ponieważ postanowiłam się wymeldować. Jestem pewna, że doktor Wesley wprowadzi mnie w szczegóły. Nie wiem, dlaczego nie zadzwonił. Może jeszcze nie dostał wiadomości.
  - Mówiłam mu, ale jest bardzo zajęty, ważnym człowiekiem. Wiem, że musi dzisiaj nagrać wywiad z matką VIP-a, to znaczy z pani matką. Zakładam, że planuje zrobić to najpierw. Jestem pewna, że zaraz potem z panią porozmawia.
  - To musi się ciężko odbijać na jego życiu osobistym. Te badania i wszystko inne, co zatrzymuje go tu na weekendy. Pewnie ma kochankę. Taki przystojny, sławny mężczyzna na pewno nie jest sam.
  - Ma kogoś na Południu. Jej siostrzenica była tutaj jakiś miesiąc temu.
  - Interesujące.
  - Przyjechała na rezonans. Typ tajnej agentki, przynajmniej na taką pozuje. Wiem, że siedzi w przemyśle komputerowym, przyjaźni się z Joshem.
  - Współpracuje ze służbami wymiaru sprawiedliwości. – Doktor Self duma przez chwilę. – Typ tajnej agentki, wysokie wykształcenie techniczne. I bogata, jak przypuszczam. Fascynujące.
  - Nawet ze mną nie rozmawiała, tylko przedstawiła się jako Lucy, podała mi rękę, powiedziała cześć i na tym koniec. Spotkała się z Joshem, potem jakiś czas spędziła w gabinecie doktora Wesleya. Za zamkniętymi drzwiami – dodaje Jackie z naciskiem.

Zazdrosna. Idealnie.

– To miło – mówi doktor Self. – Muszą być sobie bliscy. Sprawia wrażenie niezwyklej kobiety. Ładna?

– Raczej męska, jeśli pani rozumie, co mam na myśli. Ubrana na czarno, muskularna. Ściska rękę jak facet. I patrzyła mi prosto w oczy tym skupionym spojrzeniem. Oczy ma jak te zielone promienie lasera. Czułam się bardzo skrępowana. Nie chciałam być z nią sam na sam, jak teraz o tym myślę. Takie kobiety...

– Słyszę w twoim głosie, że ją pociągałaś i chciała uprawiać z tobą seks, zanim odleci, co? Niech zgadnę, prywatnym odrzutowcem – mówi doktor Self. – Mówiłaś, że gdzie mieszka?

– W Charlestonie. Jak jej ciotka. Chyba rzeczywiście chciała uprawiać ze mną seks. Mój Boże. Jak mogłam się nie zorientować, gdy potrzasała moją ręką i patrzyła mi w oczy. I tak. Zapytała mnie, czy pracuję do późna, jakby chciała wiedzieć, o której kończę. Pytała, skąd jestem. Pozwoliła sobie na osobiste wycieczki. Po prostu wtedy tego nie zauważyłam.

– Może dlatego, że bałaś się zauważyć, Jackie. Sprawia wrażenie ogromnie czarującej i charyzmatycznej, z rodzaju tych, które niemal hipnotycznie wabią kobiety heteroseksualne do łóżka, a po nadzwyczajnym doświadczeniu seksualnym...? – Pauza. – Rozumiesz, dlaczego dwie kobiety uprawiają seks, jeśli nawet jedna z nich jest heteroseksualna, albo nawet obie, co nie jest wcale rzadkie.

– Nie mam pojęcia.

– Czytasz Freuda?

– Nigdy nie czułam pociągu do innej kobiety. Nawet do koleżanki z pokoju na studiach. A mieszkałyśmy razem. Gdybym miała ukrytą predyspozycję, musiałyby do czegoś dojść.



– Wszystko sprowadza się do seksu, Jackie. Pożądanie seksualne sięga czasów dzieciństwa. Co takiego dostają niemowlęta obu płci, czego później nie mają kobiety?

– Nie wiem.

– Pieszczoty przy piersi matki.

– Nie chcę takich pieszczot, nie pamiętam ich i dbam o cycki tylko dlatego, że mężczyźni je lubią. Z tego powodu są ważne i tylko dlatego je zauważam. Poza tym chyba byłam karmiona z butelki.

– Zgadzam się z tobą. Dość dziwne, że przyleciała taki szmat drogi na rezonans. Mam nadzieję, że nic jej nie jest.

– Wiem tylko, że przyjeżdża kilka razy w roku.

– Kilka razy w roku?

– Tak powiedział jeden z techników.

– To tragiczne, jeśli coś z nią nie w porządku. Obie wiemy, że robienie rezonansu kilka razy w roku nie jest normalne. O ile w ogóle. Co jeszcze muszę wiedzieć o moim badaniu?

– Czy ktoś zadał sobie trud, żeby zapytać, czy ma pani problem z wejściem do aparatu? – pyta Jackie z powagą eksperta.

– Problem?

– Wie pani. Jeśli to może sprawić pani problem.

– Nie, chyba że po wyjęciu z tego magnesu nie będę wiedziała, gdzie północ, a gdzie południe. Ale to kolejna wnikliwa uwaga. Zastanawiam się, jak magnes działa na ludzi. Nie jestem pewna, czy naprawdę zostało to określone. Do niedawna rezonans magnetyczny nie był tak powszechnie stosowany.

– Badanie wykorzystuje funkcjonalny rezonans magnetyczny, będziemy więc mogli obserwować pracę mózgu, podczas gdy będzie pani słuchać nagrania.

– Tak, nagrania. Moja matka będzie zachwycona, robiąc nagranie. Czego jeszcze mam się spodziewać?

– Zgodnie z protokołem zaczyna się od wywiadu. Uściślę, ustrukturyzowany wywiad kliniczny dla DSM\* [Diagnostic and Statistical Manual of Mental Disorders podręcznik diagnostyki i statystyki chorób umysłowych.], wydanie trzecie poprawione.

– Jestem dość obeznana. Zwłaszcza z DSM, cztery. Najnowsze wydanie.

– Czasami doktor Wesley pozwala mi przeprowadzać wywiad. Nie możemy zrobić pani rezonansu, dopóki nie przeprowadzimy wywiadu, a proces przechodzenia przez wszystkie te pytania może być długotrwały.

– Porozmawiam o tym dzisiaj, gdy się z nim zobaczę. I, jeśli wypada, zapytam o Lucy. Nie, chyba nie powinnam. Ale mam nadzieję, że nic jej nie jest. Zwłaszcza że jest, jak się zdaje, kimś dla niego wyjątkowym.

– Mam zajęcia z innymi pacjentami, ale prawdopodobnie mogłabym znaleźć czas, żeby zrobić z panią wywiad.

– Dziękuję, Jackie. Porozmawiam z nim o tym, gdy tylko zadzwoni. Czy jego fascynujący program spotkał się z nieprzychylnymi reakcjami? I kto ufundował grant? Czy mówiłaś, że twój ojciec?

– Mieliśmy parę osób, które cierpiała kłaustrfobię. Z tego powodu nie mogliśmy ich przebadać w aparacie rezonansu. Proszę sobie wyobrazić, zadałam sobie tyle trudu, żeby przeprowadzić z nimi wywiady i nagrać ich matki.

– Przez telefon, jak sądzę. Zdziałała pani całkiem sporo w ciągu jednego krótkiego tygodnia.

– Rozmowy telefoniczne są znacznie tańsze i bardziej efektywne. Nie ma potrzeby widywać się z nimi osobiście.

W czasie nagrania matki wypowiadają się tylko na określony temat. Nie wolno mi rozmawiać o finansach, ale powiem, że mój ojciec zajmuje się

działalnością filantropijną.

– Ten nowy show, nad którym pracuję. Czy wspomniałam, że zastanawiam się nad zatrudnieniem konsultantów produkcji? Czy dałaś mi do zrozumienia, że Lucy ma powiązania ze służbami wymiaru sprawiedliwości? A może jest agentką specjalną? Może będzie kolejną kandydatką do rozważenia. Chyba że coś jest z nią nie w porządku. I ile razy miała robiony rezonans mózgu?

– Z przykrością przyznam, że nieczęsto oglądałam pani program. Z powodu rozkładu zajęć mogę oglądać telewizję tylko wieczorami.

– Moje programy są powtarzane. Rano, w południe i wieczorem.

– Naukowe eksplorowanie umysłu zbrodniarza i jego zachowania w zestawieniu z wywiadami z ludźmi, którzy noszą broń i dokonują aresztowań, jest naprawdę doskonałym pomysłem. Widzowie uwielbiają pani program – mówi Jackie. – Znacznie bardziej niż inne talk-show. Myślę, że wprowadzenie eksperta, który przeprowadziłby wywiad z jednym z tych brutalnych psychopatycznych zabójców na tle seksualnym, znacznie podniosłoby oglądalność.

– Z twoich słów wnioskuję, że psychopata, który gwałci czy wykorzystuje seksualnie i zabija, niekoniecznie musi być brutalny. To nadzwyczaj oryginalna koncepcja, Jackie, która z kolei każe mi się zastanowić, czy na przykład tylko socjopatyczni mordercy seksualni są również brutalni. O co należy zapytać po takich hipotezach?

– Hm...

– Cóż, musimy zapytać, gdzie pasuje kompulsywne zabójstwo na tle seksualnym. A może wszystko sprowadza się do słownictwa? Ja mówię ziemniak, ty mówisz kartofel.

– Cóż...

– Czytałaś Freuda? Zwracasz uwagę na swoje sny? Powinnaś je zapisywać, trzymać dziennik przy łóżku.

– Oczywiście, Freud był w programie zajęć, cóż, ale nie prowadzenie dziennika i spisywanie własnych snów. Nie robiłam tego na zajęciach – mówi Jackie. – W prawdziwym życiu nikt już nie zajmuje się Freudem.



Ósma trzydzieści wieczorem, Rzym. Mewy szybują i krzyczą w noc. Wyglądają jak wielkie białe nietoperze.

W innych miastach na wybrzeżu mewy są utrapieniem za dnia, ale znikają po zmroku. Z pewnością tak jest w Ameryce, gdzie kapitan Poma spędził wiele czasu. Jako młody chłopak odwiedzał obce kraje z rodziną. Miał się stać światowcem, który płynnie włada kilkoma językami, ma nieskazitelne maniere i wybitne wykształcenie. Masz coś osiągnąć, oświadczyli jego rodzice. Teraz patrzy na łąpiące na niego dwie tłuste śnieżnobiałe mewy, które siedzą na parapecie w pobliżu stolika. Może chcą kawioru z białugi.

– Pytam, gdzie ona jest – mówi po włosku. – A ty w odpowiedzi informujesz mnie o człowieku, o którym powinienem wiedzieć? Ale nie podajesz mi szczegółów? To mnie wpędza w głęboką frustrację.

– Powiedziałem, co następuje – odpowiada doktor Paulo Maroni, z którym kapitan zna się od lat. – Jak wiesz, doktor Self gościła w swoim programie Drew Martin. Parę tygodni później zaczęła dostawać e-maile od kogoś bardzo niezrównoważonego. Wiem, bo skierowała go do mnie.

– Paulo, proszę. Muszę znać szczegóły dotyczące tej niezrównoważonej osoby.

– Miałem nadzieję, że ty je znasz.

– Nie ja poruszyłem ten temat.

– Ty pracujesz nad sprawą – mówi doktor Maroni. – Wygląda na to, że mam więcej informacji od ciebie. Przygnębiające. Więc to nic nie da.

– Nie chciałbym przyznać tego publicznie. Nie posuwamy się do przodu. Dlatego musisz mi powiedzieć o tej niezrównoważonej osobie. I mam wrażenie, że bawisz się ze mną w bardzo dziwny sposób.

– Po więcej szczegółów musisz zwrócić się do niej. Nie jest jej pacjentem, może więc mówić o nim swobodnie. Zakładając, że będzie skłonna do współpracy. – Sięga po srebrny talerz z blinami. – A to jest główne założenie.

– W takim razie pomóż mi ją znaleźć – prosi kapitan Poma. – Ponieważ mam wrażenie, że wiesz, gdzie ona jest. Dlatego zadzwoniłeś do mnie tak nagle i wprosiłeś się na bardzo drogą kolację.

Doktor Maroni parska śmiechem. Stać go na cały wagon najlepszego rosyjskiego kawioru. Nie dlatego jedzą razem kolację. Coś wie i ma swoje skomplikowane powody, jakiś plan. To dla niego typowe. Jest niezrównany w pojmowaniu ludzkich skłonności i motywów; kapitan uważa, że prawdopodobnie jest najbardziej błyskotliwym człowiekiem, jakiego zna. Ale stanowi zagadkę i ma własną definicję prawdy.

– Nie mogę ci powiedzieć, gdzie ona jest – oświadcza zdecydowanie doktor Maroni.

– Co nie znaczy, że nie wiesz. Bawisz się ze mną w gierki słowne, Paulo. Przecież nie jestem leniwy. Naprawdę usilnie próbowałem ją znaleźć. Odkąd się dowiedziałem, że znała się z Drew, rozmawiałem z ludźmi, którzy dla niej pracują, i nieodmiennie słyszałem to samo, co podawano w wiadomościach. Tajemnicze nagłe wezwanie w sprawach rodzinnych. Nikt nie wie, gdzie ona jest.

– Logika ci powie, że to niemożliwe, by nikt tego nie wiedział.

– Tak, to mówi mi logika – zgadza się kapitan Poma, rozsmarowując kawior na blinie i podając go doktorowi. – Mam wrażenie, że pomożesz mi ją znaleźć. Ponieważ, jak powiedziałem, wiesz, gdzie ona jest. Dlatego do mnie zadzwoniłeś i teraz gramy w gierki słowne.

– Jej personel przekazał twoje e-maile z prośbą o spotkanie albo przynajmniej rozmowę telefoniczną?

– Tak powiedzieli. – Mewy odlatują, zainteresowane innym stolikiem. – Nie dotrę do niej normalnymi kanałami. Ona mi nie odpowie, bo udział w dochodzeniu jest ostatnią rzeczą, jakiej pragnie. Ludzie mogliby przypisać jej odpowiedzialność za to, co się stało.

– Zapewne powinni. Jest nieodpowiedzialna.

Podchodzi kelner, żeby ponownie napełnić kieliszki. Restauracja na dachu hotelu Hassler należy do ulubionych kapitana Pomy. Ten piękny widok nigdy mu się nie znudzi. Myśli o Kay Scarpetcie i zastanawia się, czy jadła tu kolację z Bentonem. Prawdopodobnie nie. Byli zbyt zajęci. Sprawili na nim wrażenie zbyt zajętych, by mieć czas na to, co liczy się w życiu.

– Widzisz? Im bardziej mnie unika, tym bardziej myślę, że ma powód – dodaje kapitan. – Może jest nim ten niezrównoważony mężczyzna, którego do ciebie skierowała. Proszę, powiedz mi, gdzie ją znaleźć. Jestem pewien, że wiesz.

Doktor Maroni mówi:

– Czy wspomniałem, że w Stanach Zjednoczonych mamy przepisy i zasady, a wytaczanie procesów jest sportem narodowym?

– Jej personel mi nie powie, czy jest pacjentką w twoim szpitalu.

– Ja też ci nie powiem.

– Oczywiście, że nie. – Kapitan się uśmiecha. Teraz wie. Nie ma wątpliwości.

– Cieszę się, że mnie tam nie ma – oznajmia doktor Maroni. – Gościmy w Pawilonie bardzo trudnego VIP-a. Mam nadzieję, że Benton Wesley zajmie się nią odpowiednio.

– Muszę z nią porozmawiać. Co mam zrobić, żeby myślała, że dowiedziałem się nie od ciebie, lecz z innego źródła?

– Ode mnie niczego się nie dowiedziałeś.

– Dowiedziałem się od kogoś. Tak jej powiem, gdy zapyta.

– Ode mnie niczego się nie dowiedziałeś. Tak naprawdę ty to powiedziałeś. Ja niczego nie potwierdziłem.

– Możemy podyskutować o tym hipotetycznie?

Doktor Maroni pije wino.

– Wolę barbaresco, które zamówiłeś ostatnim razem.

– Chciałbyś. Kosztowało trzysta euro.

– O pełnym smaku, chociaż młode.

– Wino? Czy twoje kobiety?

Jak na mężczyznę w jego wieku, który je i pije, co tylko chce, doktor Maroni dobrze wygląda i nie narzeka na brak powodzenia. Kobiety oddają mu się, jakby był bogiem Priapem, a on żadnej nie jest wierny. Gdy jedzie do Rzymu, zwykle zostawia żonę w Massachusetts. Ona chyba nie ma nic przeciwko. Zapewnił jej komfortowe warunki życia. Nie jest wymagający w kwestii potrzeb seksualnych, bo ona już ich nie zaspokaja, a zresztą on już jej nie kocha. Kapitan nie godzi się z takim losem. Jest romantyczny i znów rozmyśla o Scarpencie. O nią nie trzeba się troszczyć i nie pozwoliłaby na takie traktowanie. Jej obecność w jego myślach jest jak blask świec na stolikach i światła miasta za oknem. Zrobiła na nim ogromne wrażenie.

– Mogę skontaktować się z nią w szpitalu. Ale zapyta, skąd się dowiedziałem, że ona tam jest – mówi.

– Masz na myśli VIP-a. – Doktor Maroni zanurza łyżkę z macicy perłowej w kawiorze, nabiera tyle, że wystarczyłoby na dwa bliny. Smaruje jeden i zjada. – Nie wolno ci kontaktować się z nikim w szpitalu.

– A jeśli powiem, że moim źródłem jest Benton Wesley? Niedawno tu był i bierze udział w śledztwie. Teraz ona jest jego pacjentką. Drażni mnie, bo rozmawialiśmy o doktor Self, a on nie wspomniał o tym słowem.

– Chodzi ci o VIP-a. Benton nie jest psychiatrą i formalnie VIP nie jest jego pacjentem. Formalnie VIP jest moim pacjentem.

Kapitan milknie, gdy kelner zjawia się z *primi piatti*. Risotto z grzybami i parmezanem. Przyprawiona bazylią zupa *minestrone* z makaronem *quadrucchi*.

– Poza tym Benton nigdy nie wyjawiałby takiej poufnej informacji. Równie dobrze mógłbyś pytać kamień – kontynuuje doktor Maroni po odejściu kelnera. – Przypuszczam, że VIP niedługo wyjedzie. Dokąd, to ważne dla ciebie pytanie. To, gdzie była, jest ważne tylko z powodu motywu.

– Program doktor Self jest nagrywany w Nowym Jorku.

– VIP-y mogą jeździć, dokąd tylko zechcą. Jeśli się dowiesz, gdzie ona jest i dlaczego, może odkryjesz, dokąd pojedzie. Bardziej prawdopodobnym źródłem byłaby Lucy Farinelli.

– Lucy Farinelli? – Kapitan wygląda na zbitego z tropu.

– Siostrzenica doktor Scarpetty. Tak się składa, że wyświadczam jej przysługę. Lucy dość często przyjeżdża do szpitala. Mogła usłyszeć pogłoski od personelu.

– I co? Powiedziała Kay, która z kolei powiedziała mnie?

– Kay? – Doktor Maroni je z apetytem. – Jesteś z nią na przyjacielskiej stopie?

– Mam nadzieję. Z nim na niezbyt przyjacielskiej. Chyba mnie nie lubi.



– Większość mężczyzn cię nie lubi, Otto. Tylko homoseksualiści. Ale rozumiesz moje stanowisko. Hipotetycznie. Jeśli informacja będzie pochodzić z zewnątrz, od Lucy, która powiedziała doktor Scarpette, która powiedziała tobie... – doktor Maroni z entuzjazmem pałaszuje risotto – wtedy nie będzie problemów natury etycznej czy prawnej. Będziesz mógł ruszyć tym tropem.

– A VIP wie, że Kay pracuje ze mną nad tą sprawą, ponieważ była w Rzymie i mówili o tym w wiadomościach. Więc uwierzy, że pośrednim źródłem jest Kay, a wtedy nic będzie problemu. Bardzo dobrze. Idealnie.

– *Risotto ai funghi* jest prawie idealne. A *minestrone*? Jadłem ją tu wcześniej.

– Wyśmienita. Wracając do VIP-a. Czy bez naruszania tajemnicy lekarskiej możesz mi powiedzieć, dlaczego jest pacjentką w Szpitalu MacLeana?

– Chcesz znać jej powody czy moje zdanie? Jej powodem jest bezpieczeństwo osobiste. Moim zdaniem chciała mnie wykorzystać. Ma zaburzenia osi pierwszej i drugiej, chorobę afektywną dwubiegunową. Nie chce przyjąć tego do wiadomości, co dopiero brać leki zapobiegające wahaniom nastroju. Które zaburzenie osobowości mam ci omówić? Ma ich wiele. Z przykrością powiem, że ludzie z zaburzeniami osobowości rzadko się zmieniają.

– Więc coś spowodowało załamanie. Czy to pierwsza hospitalizacja VIP-a z powodów zaburzeń psychicznych? Zebrałem informacje. Jest przeciwna podawaniu leków i uważa, że wszystkie problemy na świecie można rozwiązać, postępując według jej zaleceń. Stosując coś, co nazywa narzędziami.

– VIP nie był hospitalizowany wcześniej. Teraz zadajesz ważne pytania. Nie, gdzie jest, ale dlaczego. Nie mogę ci powiedzieć, gdzie ona jest. Mogę

ci powiedzieć, gdzie jest VIP.

– VIP miał jakieś traumatyczne przeżycia?

– Otrzymał e-mail od szaleńca. Przypadkiem tego samego, o którym doktor Self powiedziała mi zeszłej jesieni.

– Muszę z nią porozmawiać.

– Z kim?

– W porządku. Możemy podyskutować o doktor Self?

– Zmieniamy temat rozmowy z VIP-a na doktor Self?

– Powiedz mi coś więcej o tym szaleńcu.

– Jak mówiłem, widziałem go kilka razy, w moim gabinecie.

– Nie zapytam o nazwisko.

– I dobrze, bo go nie znam. Zapłacił gotówką. I skłamał.

– Nie znasz jego prawdziwego nazwiska?

– W przeciwieństwie do ciebie, nie sprawdzam przeszłości pacjenta ani nie żądam dowodu tożsamości.

– Jak zatem brzmiało jego fałszywe nazwisko?

– Nie mogę ci powiedzieć.

– Dlaczego doktor Self skontaktowała się z tobą w związku z tym człowiekiem? I kiedy?

– Na początku października. Powiedziała, że przysyła jej e-maile. Uznała, że lepiej skierować go do innego specjalisty. Jak powiedziałem.

– W takim razie jest przynajmniej trochę odpowiedzialna, skoro uznała, że sytuacja ją przerasta – podsumowuje kapitan Poma.

– Ty chyba jej nie rozumiesz. Nigdy nie przyszłoby jej na myśl, że coś ją przerasta. Nie mogła zawracać sobie nim głowy, a pomysł skierowania go do noblisty, sławnego psychiatry, zatrudnionego w Harvardzkiej Szkole Medycznej, przemówił do jej maniakalnego ego. Przysporzenie mi kłopotu sprawiło jej przyjemność, jak wiele razy wcześniej. Miała swoje powody.

Jeśli chodziło o coś innego, prawdopodobnie wiedziała, że poniosę porażkę. To przypadek nieuleczalny. – Doktor Maroni przygląda się winu, jakby w nim kryło się rozwiązanie.

– Powiedz mi jedno. Jeśli jego przypadek jest nieuleczalny, czy w takim razie zgodzisz się, że to również tłumaczy zachowanie, o którym pomyślałem? Jest bardzo nienormalnym człowiekiem, który może robić bardzo nienormalne rzeczy. Przysłała jej e-maile. Mógł przysłać jej e-mail, o którym ci wspomniała, gdy została przyjęta do Szpitala MacLeana.

– Masz na myśli VIP-a. Nie powiedziałem, że doktor Self jest w McLeanie. Ale gdyby była, powinieneś się dowiedzieć dlaczego. Zdaje się, że to ma znaczenie. Powtarzam się jak zacięta płyta.

– Może przysłał jej e-mail, który zaniepokoił ją na tyle, że postanowiła ukryć się w twoim szpitalu. Musimy go zlokalizować i przynajmniej zyskać pewność, że nie jest mordercą.

– Nie mam pojęcia, jak to zrobić. Jak mówiłem, nie mogę ci powiedzieć, kim on jest. Powiem tylko, że jest Amerykaninem i służył w armii w Iraku.

– Powiedział ci, w jakim celu przyjeżdża zobaczyć się z tobą w Rzymie? Musiał udać się w długą drogę jak na wizytę u lekarza.

– Cierpi na zespół stresu pourazowego. Zdaje się, że ma krewnych we Włoszech. Opowiedział bardzo niepokojącą historię o młodej kobiecie, z którą spędził dzień zeszłego lata. Ciało znalezione w pobliżu Bari. Pamiętasz tę sprawę?

– Turystka kanadyjska? – Kapitan nie kryje zaskoczenia. – Cholera!

– Zgadza się. Tylko że nie od razu została zidentyfikowana.

– Była naga, paskudnie okaleczona.

– Nie jak Drew Martin, z tego, co mi mówiłeś. Miała oczy.

– Ale jej również brakowało dużych fragmentów ciała.

– Tak. Z początku założono, że to prostytutka wyrzucona z jadącego samochodu albo potrącona przez samochód, w ten sposób tłumaczono rany na jej ciele – mówi doktor Maroni. – Autopsja wykazała co innego, została przeprowadzona bardzo fachowo, choć w prymitywnych warunkach. Wiesz, jak wyglądają te procedury na głębokiej prowincji, gdzie nie ma pieniędzy na sprzęt i specjalistów.

– Zwłaszcza jeśli to była prostytutka. Sekcję zrobiono na cmentarzu. Gdyby mniej więcej w tym czasie nie zgłoszono zaginięcia kanadyjskiej turystki, być może pochowano by ją tam niezidentyfikowaną – przypomina sobie kapitan Poma.

– Stwierdzono, że fragmenty ciała zostały wycięte jakimś nożem lub piłą.

– Nie powiesz mi wszystkiego, co wiesz o tym pacjencie, który zapłacił gotówką i podał fałszywe nazwisko? Musisz mieć notatki, mógłbyś mi je pokazać.

– Wykluczone. To, co mi powiedział, nie stanowi dowodu.

– A jeśli on jest zabójcą, Paulo?

– Gdybym miał więcej dowodów, powiedziałbym ci. Mam tylko jego pokręcone opowieści i niepokojące uczucie, jak wtedy, gdy skontaktowano się ze mną w sprawie zamordowanej prostytutki, która okazała się zaginioną Kanadyjką.

– Skontaktowano się z tobą? Żeby zasięgnąć opinii? To dla mnie coś nowego.

– Zajmowała się tym policja państwowa. Nie karabinierzy. Udzielam darmowych porad wielu ludziom. Podsumowując, ten pacjent więcej do mnie nie przyszedł, i nie mogę ci powiedzieć, gdzie jest.

– Nie możesz czy nie chcesz?

– Nie mogę.

– Nie rozumiesz, że to możliwe, iż to on jest zabójcą Drew Martin? Został skierowany do ciebie przez doktor Self, która nagle ukrywa się w twoim szpitalu z powodu e-maila od szaleńca.

– Teraz ty jesteś uparty i wciąż wracasz do VIP-a. Nie powiedziałem, że doktor Self jest pacjentką w Szpitalu MacLeana. Ale jej motywy ukrywania się są ważniejsze niż sama kryjówka.

– Gdybym tylko mógł pokopać łopata w twojej głowie, Paulo. Nie wiadomo, co bym znalazł.

– Risotto i wino.

– Jeśli znasz szczegóły, które mogą pomóc w śledztwie, nie akceptuję twojej dyskrecji – oświadcza kapitan, a potem milknie, bo znów zbliża się kelner.

Doktor Maroni jeszcze raz prosi o menu, choć już zna wszystkie potrawy, bo jada tu często. Kapitan, który nie chce karty dań, poleca śródziemnomorską langustę z rusztu, a potem sałatkę i sery włoskie. Samiec mewy wraca samotnie. Patrzy przez okno, strasząc białe pióra. Za nim płoną światła miasta. Złota kopuła Bazyliki Świętego Piotra wygląda jak korona.

– Otto, jeśli z niewidoma dowodami naruszę tajemnicę lekarską i popełnię błąd, moja kariera dobiegnie końca – odzywa się wreszcie doktor Maroni. – Nie mam zasadnego powodu, żeby przekazać policji więcej dotyczących go szczegółów. To byłoby wielce niemądre z mojej strony.

– Więc poruszasz temat człowieka, który może być zabójcą, a potem zamykasz mi drzwi przed nosem? – pyta z rozpaczą kapitan Poma, pochylając się nad stołem.

– Ja nie otworzyłem tych drzwi – mówi doktor Maroni. – Ja tylko ci je wskazałem.



Zaabsorbowana pracą Scarpetta niemal podskakuje, gdy alarm jej zegarka włącza się za kwadrans trzecia.

Kończy zszywać nacięcie w kształcie litery Y na rozkładającym się tułowiu starszej kobiety, której autopsja nie była konieczna. Blaszką miążdżycową. Przyczyną zgonu, jak się spodziewała, była miążdżycowa i choroba wieńcowa. Ściąga rękawiczki i rzuca je do jasnoczerwonego kosza na bioodpady, potem dzwoni do Rose.

– Będę za minutę – mówi. – Skontaktuj się z Meddickami i daj im znać, że można ją zabrać.

– Już miałam zejść, żeby cię poszukać. Martwiłam się, że może przypadkowo zatrzasnęłaś się w chłodni. – Stary żart. – Benton próbuje cię złapać. Chce, żebyś sprawdziła pocztę, gdy, cytuję: „Będziesz sama i spokojna”.

– Mówisz gorzej niż wczoraj. Bardziej przez nos.

– Może jestem lekko przeziębiona.

– Jakiś czas temu słyszałam motocykl Marina. I ktoś tu palił. W chłodni. Nawet mój fartuch chirurgiczny cuchnie dymem.

– To dziwne.

– Gdzie on jest? Byłoby miło, gdyby znalazł czas, żeby mi pomóc tu na dole.

– Jest w kuchni – mówi Rose.

Scarpetta wkłada świeże rękawiczki i przeciąga zwłoki starej kobiety ze stołu sekcyjnego do mocnego winylowego worka na wózku, który wprowadza do chłodni. Zmywa węzłem stanowisko pracy, kładzie do lodówki tubki z cieczą szklistą, moczem, żółcią i krwią, a także karton narzędzi do późniejszego badania toksykologicznego i

histopatologicznego. Tekturki umaczane w krwi trafiają pod wyciąg, żeby wyschły – próbki do testów DNA, dołączane do teczki każdego przypadku. Po wytarciu podłogi mopem, wyczyszczeniu instrumentów chirurgicznych i zlewu, a następnie zabraniu papierów do przedyktowania, jest gotowa zająć się własną higieną.

Na zapleczu sali sekcyjnej są suszarki z wysoko sprawnymi filtrami powietrza i filtrami węglowymi, służące do suszenia zakrwawionych, zabrudzonych ubrań przed zapakowaniem ich jako dowód i wysłaniem do laboratorium. Obok jest magazyn, dalej pralnia i wreszcie szatnia, podzielona ścianą z luksferów. Jedna strona dla mężczyzn, druga dla kobiet. Na tym wczesnym etapie praktyki w Charlestonie tylko Marino asystuje jej w kostnicy. On ma swoją stronę szatni, ona ma swoją. Zawsze czuje się niezręcznie, gdy oboje jednocześnie biorą prysznic. Słyszy go i przez grube zielone szkło widzi zmiany światła, gdy się porusza.

Wchodzi do swojej części szatni, zamyka drzwi na klucz. Zdejmuje jednorazowe ochraniacze na buty, fartuch przedni, czepek i maskę chirurgiczną, rzuca je do kosza na materiały biologiczne, potem wpycha fartuch chirurgiczny do kosza na pranie. Bierze prysznic, szorując się mydłem antybakteryjnym, suszy włosy, wkłada garsonkę i czólenka. Wraca na korytarz, idzie do drzwi. Po drugiej stronie są strome podnieszczony dębowe schody, które prowadzą bezpośrednio do kuchni, gdzie Marino otwiera puszkę dietetycznej pepsi.

Mierzy ją wzrokiem od góry do dołu.

– Aleśmy się wystroili – mówi. – Zapomniałaś, że jest niedziela, i myślisz, że idziesz do sądu? I tyle z mojej przejażdżki do Myrtle Beach. – Jego zarumieniona, nieogolona twarz zdradza, że ma za sobą długą noc hulanki.

– Uważaj to za prezent. Kolejny dzień życia. – Scarpetta nie cierpi motocykli. – Poza tym pogoda jest paskudna i pewnie się pogorszy.

– W końcu posadzę cię za sobą na moim indian chief roadmasterze i dostaniesz bzika, będziesz błagać o więcej.

Myśl, że siedzi okrakiem na jego wielkim motocyklu, obejmuje go rękami i przytula się do niego, budzi w niej głęboką odrazę, i on dobrze o tym wie. Jest jego szefową i pod wieloma względami zawsze nią była przez większą część dwudziestu lat, odkąd się znali. Wydaje się, że ten stan rzeczy już mu nie odpowiada. Z pewnością oboje się zmienili. Z pewnością mieli dobre i złe chwile. Ale od kilku lat, szczególnie w ciągu tych ostatnich, ma coraz mniej szacunku dla niej i do swojej pracy, a teraz to. Kay myśli o e-mailach od doktor Self, zastanawia się, czy Marino przypuszcza, że je widziała. Myśli o grze, w jaką wciąga go doktor Self – o grze, której on nie rozumie i w której skazany jest na przegraną.

– Słyszałam, jak przyjechałeś. Oczywiście znów postawiłeś motocykl w garażu. Jeśli potrąci go karawan czy furgonetka, to będzie twoja wina, a ja nie będę ci współczuć – przypomina mu.

– Jak ktoś go potrąci, jak któraś hiena z zakładu pogrzebowego nie spojrzy, gdzie jedzie, będziesz miała dodatkowe zwłoki.

Motocykl z rurami wydechowymi przekraczającymi barierę dźwięku stał się kolejnym punktem spornym. Marino jeździ nim na miejsca zbrodni, do sądu, do szpitali, do biur prawników, do domów świadków. Nie chce zostawiać go na parkingu i chowa w garażu przeznaczonym do odbierania zwłok, nie do parkowania prywatnych pojazdów.

– Jest już pan Grant? – pyta Scarpetta.

– Przyjechał zasranym pickupem z zasraną łodzią rybacką, sieciami na krewetki, kubelkami i innym gównem na pace. Wielki sukinsyn, czarny jak smoła. Nigdy nie widziałem czarnych ludzi tak czarnych jak tutaj. Ani



kropelki śmietanki w kawie. Nie jak w naszej starej Wirginii, gdzie Thomas Jefferson sypiał ze służbą.

Scarpetta nie jest w nastroju, by dać się sprowokować.

– Jest w moim gabinecie, ponieważ nie chcę, żeby czekał.

– Nie łapię, dlaczego wystroiłaś się dla niego jak na spotkanie z adwokatem czy wyjście do kościoła – mówi Marino, a ona się zastanawia, czy on naprawdę ma nadzieję, że ubrała się dla niego, choćby dlatego, że czytała e-maile doktor Self i jest zazdrosna.

– Spotkanie z nim jest równie ważne jak z każdym innym. Zawsze okazujemy szacunek, pamiętasz?

Marino pachnie papierosami i gorzałą, a gdy „chemia zacznie działać”, jak Kay mówi – ostatnio zbyt często, kompleksy wrzucają go na wysoki bieg i zachowuje się paskudnie, co z uwagi na jego siłę fizyczną jest dość poważnym problemem. Po pięćdziesiątce, goli resztki włosów na głowie, zwykle nosi czarny kombinezon motocyklisty i wielkie buty z cholewami, a od kilku dni kiczowaty naszyjnik ze srebrną dolarówką. Fanatycznie wyciska ciężary i ma tak szeroką klatkę piersiową, że, jak się przechwala, trzeba dwóch aparatów rentgenowskich, żeby zrobić prześwietlenie jego płuc. Z fotografii Scarpetta wie, że w znacznie wcześniejszej fazie życia był przystojny w męski, surowy sposób. Wciąż mógłby być atrakcyjny, gdyby nie sarkazm, niechlujstwo i ciężkie życie, za które na tym etapie nie można winić trudnego dzieciństwa w biednej części stanu New Jersey.

– Nie wiem, dlaczego wciąż się łudzisz, że zdołasz mnie zwieść – mówi Scarpetta, odsuwając rozmowę od głupiego tematu, jak jest ubrana i dlaczego. – Wczorajszy wieczór. Spędzony najwyraźniej w kostnicy.

– Z czym miałbym cię zwodzić? – Marino pociąga kolejny łyk z puszki.

– Gdy zlewasz się wodą kolońską, żeby zamaskować dym papierosowy, przygotowujesz mnie o ból głowy, to wszystko.

- Że jak? – Beka cicho.
  - Niech zgadnę, spędziłeś noc w Kick ‘N Horse.
  - Speluna jest pełna dymu. – Wzrusza potężnymi ramionami.
  - Jestem pewna, że nie dzięki tobie. Paliłeś w kostnicy. W chłodni. Nawet fartuch chirurgiczny cuchnął dymem. Paliłeś w mojej szatni?
  - Pewnie przepłynął z mojej strony. Dym, znaczy się. Może wszedłem z papierosem na swoją stronę. Nie pamiętam.
  - Wiem, że nie chcesz mieć raka płuc.
- Marino odwraca oczy jak zawsze, gdy rozmowa staje się nieprzyjemna, i zmienia temat.
- Znalazłaś coś nowego? Nie chodzi mi o tę starszą panią, której nie powinni tu przysyłać tylko dlatego, że koroner nie chciał mieć do czynienia ze śmierdzącym truchłem. Chodzi o dzieciaka.
  - Umieściłam go w zamrażarce. Nic więcej nie możemy zrobić.
  - Nie cierpię, gdy są to dzieciaki. Dojdę, kto mu to zrobił, i rozszarpie go na kawałki gołymi rękami.
  - Nie mów, że kogoś zabijesz, proszę. – Rose stoi w drzwiach. Ma dziwną minę. Scarpetta nie jest pewna, jak długo tam stała.
  - To nie pogróżka – mówi Marino.
  - Dlatego o tym wspomniałam. – Rose wchodzi do kuchni, ubrana jak z żurnala, to jej staroświeckie wyrażenie, w niebieski kostium, z białymi włosami uczesanymi we francuski kok. Wygląda na zmęczoną i ma skurczone źrenice.
  - Znów prawisz mi kazania? – Marino puszcza do niej oko.
  - Nie zaszkodzi ci jedno lub dwa. Albo trzy lub cztery – mówi Rose, nalewając sobie kubek mocnej czarnej kawy. Zły nawyk, z którym zerwała rok temu i do którego najwyraźniej powróciła. – I na wypadek, gdybyś zapomniał: – patrzy na niego znad krawędzi kubka – zabijałeś ludzi. Nie

powinieneś więc rzucać pogrózek. – Opiera się o ladę i bierze głęboki oddech.

– Mówiłem ci, to nie pogrożka.

– Dobrze się czujesz? – pyta ją Kay. – Może to coś więcej niż drobne przeziębienie. Nie powinnaś przychodzić.

– Odbyłam małą pogawędkę z Lucy – mówi Rose. Do Marina: – Nie chcę, żeby doktor Scarpetta została sama z panem Grantem. Nawet przez chwilę.

– Czy wspomniała, że został dokładnie sprawdzony? – pyta Scarpetta.

– Słyszysz, Marino? Ani na chwilkę nie zostawiaj doktor Scarpetty samej z tym człowiekiem. Mam w nosie sprawdzanie. Jest większy od ciebie – przykazuje Marinowi zawsze opiekuńcza Rose, prawdopodobnie zgodnie z instrukcjami zawsze opiekuńczej Lucy.

Rose, sekretarka Scarpetty od prawie dwudziestu lat, przechodziła z nią z miejsca na miejsce, na dobre i na złe, jak sama mówi. W wieku siedemdziesięciu trzech lat jest atrakcyjną, imponującą kobietą. Wyprostowana i bystra, codziennie krąży po prosektorium z wiadomościami telefonicznymi, z raportami wymagającymi natychmiastowego podpisu, ze wszelkimi sprawami, które trzeba załatwić od razu, albo po prostu z przypomnieniem – nie, z rozkazem – że Kay nie jadła przez cały dzień, że jedzenie na wynos – zdrowe, oczywiście – czeka na nią na górze, więc natychmiast ma pójść jeść i nie dostanie następnej kawy, ponieważ pije jej zbyt wiele.

– Wygląda na to, że brał udział w bójce na noże. – Rose wciąż się martwi.

– Jest to w jego aktach. Był ofiarą – wyjaśnia Scarpetta.

– Sprawia wrażenie niebezpiecznego brutala i jest wielki jak frachtowiec. Niepokoi mnie, że chciał tu przyjść w niedzielne popołudnie,

może w nadziei, że zastanie cię samą. Skąd wiesz, że nie on zabił tego chłopca?

– Posłuchajmy, co ma do powiedzenia.

– W dawnych czasach byłoby inaczej. Byłaby obecna policja.

– To nie są dawne czasy – odpowiada Kay, starając się nie prawić kazania. – To praktyka prywatna. Pod pewnymi względami mamy większą elastyczność, a pod innymi mniejszą. Ale część naszej pracy zawsze polegała na spotykaniu się z każdym, kto może mieć pożyteczne informacje, niezależnie od obecności policji.

– Uważaj – Rose zwraca się do Marina. – Ktokolwiek to zrobił temu biednemu dziecku, cholernie dobrze wie, że ciało jest tutaj i że zajmuje się nim doktor Scarpetta, a gdy ona się czymś zajmuje, zwykle prawda wychodzi na jaw. Może próbuje ją podejść.

Rose nieczęsto bywa taka podenerwowana.

– Palileś – dodaje.

Marino pociąga kolejny wielki łyk dietetycznej pepsi.

– Szkoda, że nie widziałaś mnie zeszłej nocy. Miałem dziesięć fajek w gębie i dwie w dupie, grałem na organkach i bzykałem się z moją nową kobietą.

– Kolejny budujący wieczór w barze dla motocyklistów z panienką, której IQ jest taki sam, jak temperatura w mojej lodówce. Poniżej zera. Proszę, nie pal. Nie chcę, żebyś umarł. – Rose z zatroskaną miną idzie do ekspresu i napełnia dzbanek wodą, żeby zrobić świeżą kawę. – Pan Grant będzie chciał napić się kawy. Nie, doktor Scarpetta, pani nie dostanie.

## ROZDZIAŁ 6

Bulrush Ulysses S. Grant, od zawsze zwany Bykiem, bez zachęty zaczyna rozmowę, wyjaśniając pochodzenie swojego imienia.

– Pewnie zastanawia się pani nad S w moim imieniu. W tym rzecz. Tylko S i kropka – mówi, siedząc na krześle w pobliżu zamkniętych drzwi gabinetu Scarpetty. – Moja mama wie, że S to inicjał imienia generała Granta, Simpson. Ale bała się, że jak wstawi całego Simpsona, to będę miał za dużo do pisania. Dlatego zostawiła samo S. Wyjaśnienie trwa dłużej niż napisanie, jakby się kto pytał.

Jest schludny i czysty w świeżo wyprasowanym szarym ubraniu roboczym, a jego trampki wyglądają jak wyjęte z pralki. Na kolanach trzyma postrzępioną żółtą czapkę baseballową z rybą, a na niej złożone ręce. Reszta jego powierzchni jest przerażająca, twarz, szyję i skórę głowy pokrywają krzyżujące się długie różowe blizny. Jeśli kiedykolwiek widział chirurga plastycznego, to kiepskiego. Będzie paskudnie oszpecony do końca życia, mozaika bliznowców przywodzi Scarpetcie na myśl Queequega z *Moby Dicka*.

– Wiem, że mieszka tu pani od niedawna – mówi Byk ku jej zaskoczeniu. – W tej starej powozowni, która stoi przy uliczce pomiędzy Meeting i King.

– Skąd wiesz, u licha, gdzie ona mieszka i co ci do tego? – wtrąca agresywnie Marino.

– Pracowałem u jednej z pani sąsiadek. – Byk zwraca się do Scarpetty. – Zmarła dawno temu. Ściśle mówiąc, pracowałem dla niej może piętnaście lat, a potem jakieś cztery lata temu zmarł jej mąż. Wtedy pozbyła się

większości służby, chyba ze strachu o pieniądze, i musiałem znaleźć sobie coś innego. Potem ona też zmarła. Chcę pani powiedzieć, że znam okolicę, gdzie pani mieszka, jak swoje pięć palców.

Kay patrzy na różowe blizny na jego rękach.

– Znam pani dom...

– Jak powiedziałem... – zaczyna Marino.

– Daj mu skończyć – mówi Scarpetta.

– Znam całkiem dobrze pani ogród, bo kopałem sadzawkę i wylewałem cement, i czyściłem stojący nad nią posązek anioła. Zbudowałem białe ogrodzenie z kwiatonami po jednej stronie. Ale nie to z ceglanymi słupkami i kutym żelazem po drugiej. To pochodzi sprzed moich czasów i pewnie tak zarosło mirtem i bambusem, że gdy kupiła pani dom, nie wiedziała pani o jego istnieniu. Posadziłem europejskie róże, kalifornijskie maki i chiński jaśmin, naprawiałem też różne rzeczy wokół domu.

Kay nie kryje zdumienia.

– W każdym razie – ciągnie Byk – robiłem różne rzeczy dla połowy mieszkańców pani uliczki i na King Street, Meeting Street, Church Street, wszędzie. Od dzieciństwa. Pani o tym nie wie, bo lubię trzymać język za zębami. Tak trzeba, jak człowiek nie chce, żeby ludzie się do niego uprzedzili.

– Jak do mnie?

Marino obrzuca ją karcącym spojrzeniem. Jest zbyt przyjazna.

– Tak, proszę pani. Tutejsi na pewno – mówi Byk. – Nakleiła pani pajęczyny z kalkomanii na wszystkich oknach w swoim domu, a to nie polepsza sprawy, zwłaszcza gdy się pomyśli, z czego pani żyje. Jedna z sąsiadek, jeśli mam być szczery, nazywa panią Doktor Halloween.

– Niech zgadnę. Pani Grimbball.

– Nie przywiązywałbym do tego wagi. Mnie nazywa Ole. Bo wołają na mnie Byk.

– Pajęczyny są po to, żeby ptaki nie wpadały na szyby.

– Uhm. Nigdy nie doszedłem, skąd wiemy, co widzą ptaki. Może faktycznie widzą to, co ma udawać pajęczynę, i lecą w inną stronę, chociaż nigdy nie widziałem ptaka złapanego w pajęczynę jak jakiś robak czy coś. To jak mówienie, że pies jest ślepy na kolory albo że nie ma poczucia czasu. Skąd to wiemy?

– Czemu kręcisz się przy jej domu? – pyta Marino.

– Szukam pracy. Kiedy byłem mały, pani Whaley też pomagałem. – Byk wciąż zwraca się do Scarpetty. – Jestem pewien, że słyszała pani o ogrodzie pani Whaley, najślynniejszym w Charlestonie, tam przy Church Street. – Uśmiecha się z dumą, wskazując w nieokreślonym kierunku, blizny na jego ręku błyskają różowo.

Dłonie też są poranione. Rany odniesione w czasie obrony, myśli Kay.

– Praca dla pani Whaley była prawdziwym zaszczytem. Była dla mnie naprawdę dobra. Napisała książkę, wie pani. Trzymają egzemplarze w oknie tej księgarni w hotelu Charleston. Kiedyś napisała dedykację na jednej z nich dla mnie. Wciąż ją mam.

– Co tu się dzieje, do cholery? – warczy Marino. – Przyszedłeś, żeby opowiedzieć o martwym chłopcu czy na cholerną rozmowę w sprawie pracy i błądzenie po ścieżkach pamięci?

– Czasami rzeczy łączą się ze sobą w tajemniczy sposób. Moja mama zawsze to powtarza. Może ze złego wyniknie coś dobrego. Może coś dobrego mogłoby wyniknąć z tego, co się stało. A to, co się stało, jest złe, zgadza się. Jak film puszczany przez cały czas w mojej głowie widzę tego martwego chłopca w błocie. Pełzają po nim kraby i muchy. – Oszpeconym palcem wskazującym Byk dotyka oszpeconego, pociętego bruzdami czoła.

– Tutaj widzę, gdy zamykam oczy. Policja w hrabstwie Beaufort mówi, że pani wciąż się urządza. – Rozgląda się po biurze, powoli ogarniając wzrokiem książki i oprawione dyplomy. – Dla mnie wygląda pani na urzędzoną, ale pewnie mógłbym zrobić wszystko lepiej. – Przenosi spojrzenie na niedawno ustawione szafy, gdzie Scarpetta trzyma pod kluczem poufne dokumenty i teczki spraw, które jeszcze nie zostały przekazane do sądu. – Te drzwi z czarnego orzecha są nierówne. Krzywo wiszą. Mógłbym to naprawić. Zauważyła pani jakieś spaczone drzwi w swoim domu w powozowni? Nie, nie mogła pani zauważyć. Nie te, które ja założyłem, gdy tam pomagałem. Umieję robić prawie wszystko, a jak czegoś nie wiem, to chętnie się uczę. Tak więc powiedziałem sobie, może powinienem spytać. Zapytanie nie zaszkodzi.

– Więc może ja powinienem spytać – wtrąca Marino. – Zabiłeś tego chłopca? Zbieg okoliczności, że ty go znalazłeś, prawda?

– Nie, proszę pana. – Byk patrzy na niego, patrzy mu prosto w oczy, napinając mięśnie zuchwy. – Wybrałem się w tamte strony naciąć manny, łowić krewetki, zbierać małże i ostrygi. Pozwoli pan, że spytam... – wytrzymuje jego spojrzenie – gdybym zabił tego chłopca, czemu miałbym go znajdować i wzywać policję?

– Ty mi powiedz. Dlaczego?

– Na pewno bym tego nie zrobił.

– To mi o czymś przypomina. W jaki sposób ich wezwąłeś? – Marino pochyła się na krzesło, wspierając na kolanach dłonie wielkości niedźwiedzich łap. – Masz komórkę? – Jakby biedny czarny człowiek nie mógł mieć komórki.

– Zadzwoń pod dziewięćset jedenaście. I, jak powiedziałem, czemu miałbym to robić, gdybym zabił tego chłopca?



Nie miał powodów. Ponadto, choć Kay nie zamierza mu tego mówić, ofiara to maltretowane dziecko ze starymi zrosniętymi złamaniami, bliznami i oczywistym niedożywieniem. O ile więc Bulrush Ulysses S. Grant nie był opiekunem czy przybranym ojcem chłopca albo go nie porwał, utrzymując przy życiu przez miesiące czy lata, z pewnością nie on jest mordercą.

Marino mówi do Byka:

– Zadzwoń tu, mówiąc, że chcesz nam powiedzieć, co się stało w zeszły poniedziałek rano, prawie tydzień temu. Ale powiedz najpierw, gdzie mieszkasz? Bo jak rozumiem, nie na Hilton Head.

– Nie, jasne, że nie. – Byk się śmieje. – Może mi pan wierzyć, to trochę przekracza moje możliwości finansowe. Mam z rodziną domek na północny zachód stąd, przy międzystanowej pięćset dwadzieścia sześć. Często łowią ryby i robię inne rzeczy w tamtych stronach. Wciągam łódź na ciężarówkę, wiozę gdzie trzeba i spuszcza na wodę. Jak mówiłem, łowią krewetki i ryby, zbieram ostrygi, w zależności od sezonu. Sprawilem sobie jedną z tych płaskodenek, które ważą nie więcej niż piórko, i mogę pływać w górę strumieni, pod warunkiem że znam pływy, aby nie utknąć na mieliźnie ze wszystkimi tymi komarami i kąsającymi muszkami. Mokasynami i grzechotnikami. I aligatorami, ale te gnieźdzą się głównie w kanałach i strumieniach, gdzie są drzewa i słonawa woda.

– Mówisz o tej łodzi na skrzyni pickupa, który stoi na parkingu?

– Zgadza się.

– Aluminiowa? Silnik o mocy pięciu koni mechanicznych?

– Zgadza się.

– Chciałbym rzucić na nią okiem, zanim odjedziesz. Mogę zajrzeć do łodzi i pickupa? Zakładam, że policja już to zrobiła.

– Nie, nie zrobili tego. Jak tam przyjechali i powiedziałem im, co wiedziałem, pozwolili mi odejść. Więc wróciłem do przystani, gdzie stał mój pickup. Wtedy było już tam mnóstwo ludzi. Ale może pan zaglądać, gdzie tylko pan chce. Nie mam nic do ukrycia.

– Dziękuję, ale to nie będzie konieczne. – Kay obrzuca Marina znaczącym spojrzeniem. Pete cholernie dobrze wie, że nie mają prawa przeszukiwać pickupa, łodzi ani niczego innego, co należy do pana Granta. To sprawa policji, a policja nie uznała przeszukania za konieczne.

– Gdzie spuściłeś łódź na wodę sześć dni temu? – pyta Marino.

– W Old House Creek. Jest tam pochylnia do wodowania łodzi i sklepik, gdzie jak mam dobry dzień, sprzedaję część połowu. Zwłaszcza gdy mi się poszczęści z krewetkami i ostrygami.

– Widziałeś kogoś podejrzanego w okolicy, gdy parkowałeś pickupa w zeszły poniedziałek rano?

– Nie powiem, że nie widziałem, ale nie wiem, czemu miałbym widzieć. Wtedy ten chłopczyk już leżał tam, gdzie go znalazłem, i to od paru dni.

– Kto tak powiedział? – pyta Scarpetta.

– Człowiek z zakładu pogrzebowego na parkingu.

– Ten, który przywiózł tu ciało?

– Nie, proszę pani. Inny. Był tam z wielkim karawanem. Nie wiem, co tam robił. Tylko gadał.

– Lucious Meddick?

– Dom Pogrzebowy Meddicków. Tak, proszę pani. Według niego ten mały nie żył od dwóch, trzech dni, gdy go znalazłem.

Cholerny Lucious Meddick. Bezczelny jak cholera, a na dodatek nie ma racji. Dwudziestego dziewiątego i trzydziestego kwietnia temperatura wahała się od dwudziestu czterech do dwudziestu sześciu stopni. Gdyby ciało przeleżało na bagnach cały dzień, zaczęłoby się rozkładać, a

drapieżniki i ryby poczyniłyby znaczne szkody. W nocy nie ma much, ale za dnia złożyłyby jaja i zwłoki roiłyby się od larw. I tak wyglądały, gdy trafiły do kostnicy. Stężenie pośmiertne było zaawansowane, ale niezakończone, choć ta zmiana przebiegała nieco wolniej wskutek niedożywienia i w konsekwencji słabego rozwoju mięśni. Plamy opadowe były niewyraźne, jeszcze nieutralone. Proces gnilny uniemożliwił powstanie odbarwienia. Kraby, krewetki i inne stworzenia już się dobrały do uszu, nosa i warg. Według jej oceny chłopiec był martwy od niespełna dwudziestu czterech godzin. Może krócej.

– Powiedz nam – mówi Marino – jak znalazłeś ciało.

– Zakotwiczylem łódź, włożyłem buty i rękawice, zabrałem kosz i młotek...

– Młotek?

– Do rozbijania szopów.

– Szopów\*? [Coon – szop, także czarnuch.] – pyta Marino z drwiącym uśmiechem.

– Tak nazywamy ostrygi żyjące na brzegu, gdzie mogą zbierać je szopy. Są zbite w ciasne skupiska, trzeba je więc rozbijać i wyrzucać puste skorupy. Jest ich pełno, ale trudno znaleźć wyborowe. – Milknie, po chwili mówi: – Zdaje się, że niewiele pan wie o zbieraniu ostryg. Pozwolę sobie wyjaśnić. Wyborowa ostryga to taka, jaką podają na połówce muszli w restauracji. Na takich człowiekowi zależy, ale znalezienie ich nie jest łatwe. W każdym razie zacząłem zbierać około południa. Odpływ był dość niski. I wtedy zobaczyłem w trawie coś, co wyglądało na ubłocone włosy, podszedłem bliżej i znalazłem martwego chłopca.

– Dotknął go pan albo przesunął? – pyta Scarpetta.

– Nie, proszę pani. – Kręci głową. – Jak zobaczyłem, co to jest, wróciłem do łodzi i zadzwoniłem pod dziewięćset jedenaście.

– Odpływ zaczął się około pierwszej nad ranem.  
– Zgadza się. I o siódmej woda znów była wysoka, najwyższa tego dnia. A jak się tam zjawiłem, znowu opadła dość nisko.

– Gdybyś to był ty – zaczyna Marino – i chciał pozbyć się ciała, używając łodzi, zrobiłbyś to w czasie przyptywu czy odpływu?

– Ktokolwiek to zrobił, pewnie położył go tam, gdy woda była w miarę niska, położył go w błocie i trawie na brzegu tego strumienia. Gdyby woda była naprawdę wysoka, prąd zabrałby ciało. Ale tam, gdzie go znalazłem, mógłby leżeć długo, chyba że byłby wiosenny przyptyw przy pełni, kiedy woda podnosi się na trzy metry. W takim przypadku morze by go zabrało i mógłby trafić wszędzie.

Kay już to sprawdziła. W nocy przed znalezieniem ciała był nów, chmury częściowo przysłaniały niebo.

– Mądre miejsce do porzucenia ciała. Po tygodniu zostałyby po nim rozrzucone kości – podsumowuje Marino. – To cud, że został znaleziony, nie sądzisz?

– Nie trwałoby długo, a zostałyby gołe kości, to prawda, i była duża szansa, że nikt go nigdy nie znajdzie – zgadza się Byk.

– Rzecz w tym, że wspominając o przyptywie i odpływie, nie prosiłem cię o spekulowanie, co zrobiłby ktoś inny. Zapytałem, co ty byś zrobił.

– W czasie odpływu, w małej łodzi o niewielkim zanurzeniu, można dostać się w miejsce głębokie na jakieś pół metra. Tak bym zrobił. Ale nie zrobiłem. – Znowu patrzy w oczy Marina. – Nie zrobiłem temu chłopcu niczego, tylko go znalazłem.

Scarpetta obrzuca Pete'a kolejnym znaczącym spojrzeniem, ma dość tego przesłuchania i zastraszania. Zwraca się do Byka:

– Pamięta pan coś jeszcze? Może widział pan kogoś w okolicy? Kogoś, kto zwrócił pańską uwagę?

– Wciąż o tym myślę i jedyna rzecz, jaka mi się nasuwa, pochodzi sprzed tygodnia, gdy byłem w tym samym miejscu, Old House Creek, na targu, gdzie sprzedają krewetki. Jak wychodziłem, zobaczyłem człowieka cumującego łódź. Łódź rybacką. Zwróciłem na niego uwagę, bo nie miał w niej niczego, co służy do łowienia krewetek, ostryg czy ryb, uznałem więc, że po prostu lubi pływać. Nie dba o łowienie i inne takie, tylko lubi być na wodzie, wie pani. Przyznam, że nie spodobało mi się, jak na mnie patrzył. Przyprawiał mnie o dziwne uczucie. Jakby już mnie gdzieś widział.

– Podasz rysopis? – pyta Marino. – Widziałeś, czym przyjechał? Ciężarówką do holowania łodzi?

– Miał głęboko naciągniętą czapkę, okulary przeciwsłoneczne. Nie wyglądał na zbyt rosnącego, ale niewiele więcej mogę powiedzieć. Nie miałem powodu, żeby mu się przyglądać, i nie chciałem, żeby sobie pomyślał, że na niego patrzę. Wie pan, tak to się zaczyna. Pamiętam, że miał buty z cholewami. Długie spodnie i bawełnianą koszulę z długimi rękawami, na pewno, pamiętam, jak się zdziwiłem, bo dzień był ciepły, słoneczny. Nie widziałem, czym przyjechał, bo odjechałem przed nim, a na parkingu stało wiele ciężarówek i aut. Jak to podczas targu. Ludzie przyjeżdżają, kupują i sprzedają świeżo złowione owoce morza.

– Czy, pańskim zdaniem, ktoś musiałby znać okolicę, żeby akurat tam porzucić zwłoki? – docieka doktor Scarpetta.

– Po zmroku? Boże. Nie znam nikogo, kto zapuszcza się na te rozlewiska po zmroku. Ja bym tego nie zrobił. Ale to nie znaczy, że coś takiego się nie zdarza. Ktokolwiek to zrobił, nie jest taki jak zwykli ludzie. Nie może być, skoro zrobił coś takiego małemu chłopcu.

– Czy przypomina pan sobie jakieś ślady w trawie, w błocie, w kolonii ostryg, gdzie go pan znalazł?

– Nie, proszę pani. Ale jeśli ktoś położył tam ciało w nocy, w czasie odpływu, to przyptyw wygładził błoto jak fala piasek na plaży. Przez jakiś czas chłopiec musiał być pod wodą, ale nie odpłynął, bo leżał w tej wysokiej trawie. A co do kolonii ostryg, nie chciałyby pani nastąpić na coś takiego. Przeskoczyłaby pani albo odeszła jak najdalej. Nic nie rani bardziej niż skorupy ostryg. Jak człowiek wejdzie w środek i straci równowagę, zostanie poważnie poraniony.

– Może to skorupy cię pochlastały – komentuje Marino. – Wpadłeś w kolonię ostryg.

Kay umie na pierwszy rzut oka rozpoznać rany zadane nożem.

– Panie Grant, za bagnem stoją domy z długimi pomostami, jeden niedaleko od miejsca, gdzie znalazł pan chłopca. Czy to możliwe, że został on przywieziony samochodem, potem przeniesiony po pomoście i położony tam, gdzie go pan znalazł?

– Nie wyobrażam sobie, by ktoś schodził po drabinie z któregoś z tych starych pomostów, zwłaszcza po zmroku, niosąc zwłoki i latarkę. I musi pani wiedzieć, że latarka musiała być potężna. Można wpaść po biodra w to błoto, które ściąga buty z nóg. Zostawiłby błotniste ślady na pomoście, gdyby wrócił tą samą drogą, którą przyszedł.

– Skąd wiesz, że nie było błotnistych śladów na pomoście? – pyta Marino.

– Tak mi powiedział człowiek z zakładu pogrzebowego. Czekałem na parkingu, aż przynieśli ciało, a on rozmawiał z policją.

– Znowu Lucious Meddick – mówi Scarpetta.

Byk kiwa głową.

– Ze mną też sporo gadał, był ciekaw, co mam do powiedzenia. Niewiele mu powiedziałem.

Pukanie do drzwi. Wchodzi Rose, stawia kubek z kawą na stoliku obok Byka. Wyraźnie drżą jej ręce.

– Śmietanka i cukier. Przepraszam, że tak długo to trwało. Pierwszy dzbanek się przelał, wszędzie są fusy.

– Dziękuję pani.

– Czy jeszcze coś będzie potrzebne? – Rose rozgląda się, oddycha głęboko. Jest bardziej zmęczona i bledsza niż wcześniej.

– Może wrócisz do domu? – proponuje Kay. – Odpocznij trochę.

– Będę w moim biurze.

Drzwi się zamykają i Byk mówi:

– Chciałbym wyjaśnić swoją sytuację, jeśli pani pozwoli.

– Proszę.

– Trzy tygodnie temu miałem prawdziwą robotę. – Patrzy na kciuki, powoli kręci nimi młynka na kolanach. – Nie będę pani okłamywać. Mam kłopoty. Wystarczy na mnie spojrzeć, żeby to poznać. I wcale nie wpadłem w kolonię ostryg. – Znow napotyka spojrzenie Marina.

– Jakie kłopoty? – pyta Scarpetta.

– Palenie trawki i bójka. Nie paliłem trawki, nigdy, ale wtedy chciałem zapalić.

– Cóż, szkoda – stwierdza Marino. – Tak się składa, że w tej trupiarni obowiązują pewne zasady. Jak ktoś ma ochotę tu pracować, nie wolno mu palić trawy, awanturować się i znajdować zwłok kogoś, kto został zamordowany. To samo odnosi się do ogrodników i złotych rączek w naszych miejscach zamieszkania.

– Wiem, jak to wygląda – mówi do niego Byk. – Ale to nie tak. Pracowałem w porcie.

– Co robiłeś?

– Byłem tak zwanym pomocnikiem mechanika dźwigu. Takie było moje stanowisko. Głównie robiłem to, co kazał brygadzysta. Pomagałem konserwować sprzęt, woziłem i nosiłem. W takiej robocie trzeba umieć gadać przez radio, naprawiać różne rzeczy, robić, co tylko każą. Pewnej nocy, jak odbiłem kartę w zegarze, postanowiłem przysiąc sobie przy tych starych kontenerach, które stoją w stoczni. Te, o których mówię, już nie są używane, są porozwalane i poprzewracane. Jedź pan na Concord Street, a zobaczysz, o czym mówię, zaraz po drugiej stronie siatki. To był długi dzień, a rano, szczerze mówiąc, pokłóciłem się z żoną, toteż byłem nie w humorze i naszła mnie chęć na trawkę. Nie mam tego w nawyku, nawet nie pamiętam, kiedy ostatni raz przypaliłem. Jeszcze nie zapaliłem, gdy z nagłą zjawił się ten człowiek, blisko torów kolejowych. Pociął mnie paskudnie, naprawdę paskudnie.

Podciąga rękawy, podnosi muskularne ramiona, obraca je, pokazując długie blizny, blad różowe na tle czarnej skóry.

– Złapali go? – pyta Scarpetta.

– Pewnie zbytnio się nie starali. Oskarżyli mnie o udział w bójce, powiedzieli, że pewnie wdałem się w nią z człowiekiem, który sprzedał mi zioło. Nie powiedziałem im, od kogo kupiłem, i wiem, że to nie on mnie pociął. Nawet nie pracował w porcie. Jak wyszedłem z pogotowia, parę nocy przesiedziałem w areszcie, aż stanąłem przed sędzią. Sprawa została oddalona, bo nie było podejrzanego i nie znaleziono trawki.

– To ci dopiero. Dlaczego oskarżyli cię o posiadanie marihuany, skoro nic nie znaleziono? – pyta Marino.

– Bo powiedziałem policji, że chciałem zajarać, jak to się stało. Zrobiłem sobie skręta i miałem zapalić, gdy rzucił się na mnie ten człowiek. Może policja nie znalazła trawki. Pewnie im nie zależało, tak wygląda



prawda. A może zabrał ją człowiek, który mnie pokroił, nie wiem. Trzymam się z daleka od marychy. I ani kropli alkoholu. Obiecałem żonie.

– Zwolnili pana z portu – domyśla się Kay.

– Zgadza się.

– Jak pan myśli, w czym właściwie mógłby nam pan pomóc?

– W czym tylko potrzeba. Mogę robić wszystko. Kostnica mnie nie przeraża. Z umarłymi nie miałem kłopotów.

– Może zostawi pan numer telefonu albo adres, żebyśmy mogła się z panem skontaktować.

Byk wyciąga złożoną kartkę z tylnej kieszeni spodni, wstaje i uprzejmym ruchem kładzie karteluszek na biurku.

– Wszystko tam jest. Proszę dzwonić o każdej porze.

– Detektyw Marino wskaże panu drogę. Dziękują za pomoc, panie Grant. – Scarpetta wychodzi zza biurka i ostrożnie ściska mu rękę, pamiętając o obrażeniach.



Kilka kilometrów na południowy zachód na letniskowej wyspie Hilton Head dzień jest pochmurny, a od morza dmucha ciepły wiatr.

Will Rambo idzie po ciemnej, pustej plaży, zmierzając do celu. Niesie zieloną skrzynkę na sprzęt wędkarski i świeci taktyczną latarką surefire gdzie bądź, bo w zasadzie jej nie potrzebuje, żeby znaleźć drogę. Latarka jest dość potężna, żeby kogoś oślepić, przynajmniej na parę sekund, a to wystarczy, gdyby sytuacja tego wymagała. Piasek niesiony wiatrem kłuje go w twarz i stuka o przyciemnione okulary. Piasek wiruje jak dziewczyny tańczące w zwiewnych sukienkach.

*Burza piaskowa ryczała w Al Asad niczym tsunami, pochłonęła humvee i jego, pochłonęła niebo, słońce, pochłonęła wszystko. Krew ciekła przez palce Rogera, jego palce wyglądały jak pomalowane na jasnoczerwony kolor, i piasek przykleił się do nich, gdy próbował wepchnąć wnętrzności do środka. Will nigdy nie widział tak przerażonej, zszokowanej twarzy i nie mógł nic zrobić, jak tylko obiecywać przyjacielowi, że nic mu nie będzie, i pomagać mu wpychać wnętrzności.*

Will słyszy wrzaski Rogera w krzykach mew kołujących nad plażą. Wrzaski paniki i bólu.

*– Will! Will! Will!*

Wrzask, wrzask rozdzierający uszy, i ryk piasku.

*– Will! Will! Błagam, pomóż mi, Will!*

*To było jakiś czas po tym, po Niemczech. Will wrócił do Stanów do bazy sił powietrznych w Charlestonie, a potem pojechał do Włoch, do różnych części Włoch, gdzie się wychowywał. Wędrował, od czasu do czasu cierpiąc na chwilowe zaniki pamięci. Pojechał do Rzymu, żeby spotkać się z ojcem, ponieważ nadszedł czas na spotkanie z ojcem, i pobyt wśród malowanych antemionów i gzymsów trompe l'oeil w jadalni letniego domu jego dzieciństwa na Piazza Navona wydawał mu się snem. Pił z ojcem czerwone wino, czerwone jak krew, i irytował się, słysząc gwar turystów na dole za otwartymi oknami, turystów nie mądrzejszych niż gołębie, robiących zdjęcia i wrzucających monety do bezustannie szemrzącej fontanny Czterech Rzek Berniniego.*

*– Wypowiadaj życzenia, które nigdy się nie spełnią. Bo jeśli się spełnią, twoja strata – powiedział do ojca, który nie zrozumiał, tylko patrzył na*

niego jak na mutanta.

Siedząc przy stole pod żyrandolem, Will widział swoją twarz w weneckim lustrze. To nieprawda. Wyglądał jak Will, nie jak mutant, i patrzył, jak jego usta poruszają się w lustrze, gdy opowiadał ojcu, że Roger chciał wrócić z Iraku jako bohater. Jego życzenie się spełniło, powiedziały usta Willa. Roger wrócił do domu jako bohater w taniej trumnie w brzuchu transportowca c-pięć.

– Nie mieliśmy gogli, sprzętu ochronnego, kamizelek kuloodpornych, nic – powiedział Will ojcu w Rzymie. Miał nadzieję, że ojciec zrozumie, ale wiedział, że nie zrozumie.

– Dlaczego pojechałeś, jeśli teraz tylko się skarżysz?

– Musiałem pisać do ciebie, żebyś mi przysłał baterie do latarki. Musiałem prosić o narzędzia, bo wszystkie śrubokręty się połamały. Dali nam tanie gówno – powiedziały usta Willa w lustrze. – Nic nie mieliśmy, tylko tanie gówno, z powodu cholernych kłamstw, cholernych kłamstw, które mówią politycy.

– W takim razie dlaczego pojechałeś?

– Bo mi, kurwa, kazali, ty głupcze!

– Jak śmiesz tak do mnie mówić! Nie w tym domu, tu masz traktować mnie z szacunkiem. Ja nie wybrałem tej faszystowskiej wojny, ty tak. A teraz nic, tylko narzekasz jak dziecko. Modliłeś się tam kiedyś?

Modlił się, gdy uderzyła w nich ściana piasku i nie widział własnej ręki przed twarzą. Modlił się, gdy wybuch bomby podłożonej na poboczu przewrócił humvee na bok, gdy nic nie widział, a wokół niego wiatr wrzeszczał, jakby znalazł się wewnątrz silnika c-siedemnaście. Modlił się, gdy trzymał Rogera i gdy już nie mógł dłużej znieść jego bólu, i wtedy modlił się po raz ostatni.

– Kiedy się modlimy, tak naprawdę prosimy o pomoc nas samych, nie Boga. Prosimy o naszą własną boską interwencję – powiedziały w lustrze usta Willa do ojca w Rzymie. – Nie muszę się więc modlić do jakiegoś boga na tronie. Ja jestem wolą boską, ponieważ jestem własną wolą \* [Will – wola.]. Nie potrzebuję ciebie ani Boga, bo jestem wolą boską.

– Czy wraz z palcami stóp straciłeś również rozum? – powiedział do niego ojciec w Rzymie, a mówienie czegoś takiego w jadalni, gdzie na złoconej konsoli pod lustrem stała antyczna kamienna stopa ze wszystkimi palcami, było ironią. Ale przecież Will widział oderwane stopy, gdy zamachowcy samobójcy wjeżdżali w tłum, przypuszczał więc, że brak kilku palców jest lepszy niż to, gdy całej stopie brakuje wszystkiego innego.

– Rana już się zagoiła. Ale co ty wiesz? – powiedział do ojca w Rzymie. – Nie przyjechałeś do mnie ani razu przez te wszystkie miesiące w Niemczech czy Charlestonie, ani we wcześniejszych latach. Nigdy nie byłeś w Charlestonie. Ja przyjeżdżałem do Rzymu wiele razy, ale nigdy do ciebie, jeśli nawet myślałeś inaczej. Dzisiejsza wizyta stanowi wyjątek z powodu tego, co muszę zrobić, z powodu misji, rozumiesz. Pozwolono mi żyć, żebym mógł ulżyć innym w cierpieniu. Ty nigdy tego nie pojmiesz, bo jesteś samolubny i bezużyteczny, i nie dbasz o nikogo z wyjątkiem siebie samego. Spójrz na siebie. Bogaty, nieczuły i zimny.

Ciało Willa wstało od stołu. Patrzył, jak ono podchodzi do lustra, do złoconej konsoli. Podniósł antyczną kamienną stopę, gdy fontanna pod oknem pluskała, a turyści hałasowali.

Niesie skrzynkę i aparat zawieszony na ramieniu, gdy idzie plażą na Hilton Head, by spełnić swoją misję. Siada i otwiera skrzynkę, wyjmuje torebkę pełną tego szczególnego piasku, potem małe fiolki jasnofioletowego kleju. Przyświeca sobie latarką, wyciskając klej na dłoń. Zanurza je kolejno w woreczku z piaskiem. Podnosi ręce na wiatr i klej

wysycha szybko, teraz jego dłonie są jak papier ścierny. Bierze kolejne fiołki i robi to samo z podeszwami bosych stóp, dokładnie pokrywając opuszki siedmiu palców. Wrzuca puste fiołki i resztę piasku do skrzynki.

Rozgląda się w przyciemnionych okularach i gasi latarkę.

Jego celem jest tablica „Wstęp wzbroniony”, wbita w piasek plaży na końcu długiego drewnianego chodnika, który wiedzie na ogrodzone podwórze na tyłach willi.

## ROZDZIAŁ 7

Parking za prosektorium Scarpetty.

Był przyczyną wielu sporów, gdy rozpoczęła praktykę, i sąsiedzi wnosili formalny sprzeciw przeciwko prawie wszystkim jej propozycjom. Znalazła sposób na rażące ich ogrodzenie z drutem kolczastym, maskując je iglakami i różami cherokee, ale rośliny przysłoniły oświetlenie parkingu. W nocy jest tutaj o wiele za ciemno.

– Na razie nie widzę powodu, żeby nie przyjąć go na próbę. Naprawdę ktoś by się przydał – mówi Scarpetta.

Palmiczki trzepoczą i rośliny pod płotem szeleszczą, gdy idzie z Rose przez parking.

– Nie mam nikogo do pomocy w ogrodzie, skoro o tym mowa. Nie da się żyć, nie mając do nikogo zaufania – dodaje.

– Nie pozwól, żeby Marino wpakował cię w coś, czego możesz pożałować – przestrzega Rose.

– Nie ufam mu.

– Usiądź z nim i porozmawiaj. Nie w biurze. Zaproś go. Ugotuj coś dla niego. Nie zrobi ci krzywdy.

Podchodzą do volvo Rose.

– Masz coraz gorszy kaszel – zauważa Kay. – Zostań jutro w domu.

– Szkoda, że mu powiedziałaś. Dziwię się, że powiedziałaś komukolwiek z nas.

– Sądzę, że to mój pierścionek zdradził tajemnicę.

– Nie powinnaś niczego wyjaśniać.

– Czas, żeby Marino stanął przed tym, czego unikał, odkąd go znam.

Rose opiera się o wóz, jakby nie mogła stać o własnych siłach albo jakby bolały ją kolana.

– W takim razie powinnaś mu powiedzieć dawno temu. Ale nie powiedziałaś, a on miał nadzieję. Niezaspokojone pragnienia zaczęły jątrzyć ranę. Nie możesz odmawiać ludziom uczuć, wszystko to sprawia...

– Chyba masz gripę. – Scarpetta przyciska grzbiet ręki do policzka Rose. – Jesteś za ciepła.

Rose wyjmuje chusteczkę z torebki, ociera oczy i wzdycha.

– Ten człowiek. Wprost nie mogę uwierzyć, że w ogóle wzięłaś go pod uwagę. – Wraca do Byka.

– Praktyka się rozwija, muszę mieć asystenta w kostnicy, a już straciłam nadzieję na znalezienie kogoś wyszkolonego.

– Nie sądzę, byś mocno się starała albo była otwarta na propozycje. – Volvo jest stare, Rose musi otworzyć drzwi kluczykiem. Zapala się lampka podsufitki. Jej twarz jest ściągnięta i zmęczona, gdy wsuwa się na fotel i skromnie układa spódnicę na udach.

– Najlepiej wyszkoleni asystenci prosektoryjni pochodzą z zakładów pogrzebowych albo z kostnic szpitalnych – mówi Scarpetta, kładąc rękę na drzwiach. – Tak się składa, największe przedsiębiorstwo pogrzebowe w okolicy należy do Henry’ego Hollingsa, korzystającego, jak się składa, z usług Uniwersytetu Medycznego Karoliny Południowej do przeprowadzania autopsji, które podlegają jego kompetencji albo są mu zlecane. Jak myślisz, czy będę miała szczęście, jeśli zadzwonię do niego, żeby mi kogoś polecił? Udzielenie mi pomocy jest ostatnią cholerną rzeczą, jakiej pragnie nasz lokalny koroner.

– Powtarzasz to od dwóch lat. Bez żadnych podstaw.

– On mnie unika.

– Dokładnie to mówiłam o wyrażaniu uczuć. Może powinnaś z nim porozmawiać.

– Skąd wiesz, że nie on jest odpowiedzialny za nagłe pomieszenie adresów mojego domu i biura w Internecie?

– Dlaczego miałby czekać z tym do teraz? Zakładając, że to on.

– Wycucie czasu. Mówili o moim prosektorium w wiadomościach w związku ze sprawą tego maltretowanego dziecka. Hrabstwo Beaufort nie wezwało Hollingsa, tylko zwróciło się do mnie. Jestem zaangażowana w śledztwo w sprawie Drew Martin i dopiero co wróciłam z Rzymu. Doskonały moment, żeby z premedytacją zadzwonić do Izby Handlowej i zgłosić moją praktykę, podając adres domowy jako biurowy. Nawet uiścić opłatę członkowską.

– Oczywiście kazałaś usunąć te informacje. I powinni mieć odnotowane, kto uiścił opłatę.

– Czek bankierski – mówi Scarpetta. – Mogli mi powiedzieć tylko tyle, że zadzwoniła kobieta. Usunęli informacje, zanim rozlały się po całym Internecie.

– Koroner nie jest kobietą.

– To o niczym nie świadczy. Nie odwalałby osobiście brudnej roboty.

– Zadzwonź do niego. Zapytaj wprost, czy próbuje wypędzić cię z miasta. Wypędzić nas wszystkich, tak to powinnam ująć. Wygląda na to, że musisz porozmawiać z wieloma osobami. Zaczynając od Marina. – Rose kaszle i jakby na dany znak lampka podsufitki volvo gaśnie.

– Nie powinien się tu przeprowadzać. – Kay patrzy na tył swojego starego ceglanego budynku, małego, parterowego, z piwnicą, którą przekształciła w kostnicę. – Kochał Florydę – mówi i to znów przypomina jej o doktor Self.



Rose włącza klimatyzację, ustawia w taki sposób, żeby chłodne powietrze dmuchało jej w twarz, i oddycha głęboko.

– Na pewno dasz sobie radę? Pojadę za tobą do domu – proponuje Scarpetta.

– Nie ma mowy.

– Może spędzimy razem jutrzejszy dzień? Przygotuję kolację. *Prosciutto* z figami, a do tego twoja ulubiona pieczeń wieprzowa w piwie i tequili. Dobre toskańskie wino. Wiem, jak bardzo lubisz moje ricottę i krem kawowy.

– Dziękuję, ale mam plany na jutro – mówi Rose z nutką smutku w głosie.



Ciemna sylwetka wieży ciśień na południowym przylądku wyspy, powszechnie zwana Paluchem.

Hilton Head ma kształt buta, jak te, które Will widział w różnych miejscach w Iraku. Biała willa z tabliczką „Wstęp wzbroniony” warta jest co najmniej piętnaście milionów dolarów. Elektroniczne żaluzje są opuszczone, a ona pewnie siedzi na kanapie w wielkim pokoju, oglądając kolejny film na wysuwanym ekranie, który przysłania tafelę szyby od strony morza. Will patrzy z zewnątrz, więc z jego punktu widzenia film jest odwrócony. Rozgląda się po plaży, po sąsiednich pustych domach. Ciemne, zachmurzone niebo wisi nisko, wiatr uderza w porywach.

Wchodzi na chodnik i idzie w kierunku bramy, która oddziela świat zewnętrzny od ogrodu za domem. Obrazy przemykają na wielkim ekranie. Mężczyzna i kobieta się pieprzą. Puls mu przyspiesza, gdy idzie, jego zapiaszczone stopy są ciche na wysuszonych deskach. Aktorzy podrygują na ekranie. Pieprzenie w windzie. Głos jest ściszony. Will ledwo słyszy

łomotanie i jęki, odgłosy, które brzmią tak gwałtownie, gdy bohaterowie filmu pieprzą się w Hollywood. Staje przed drewnianą furką, zamkniętą. Przechodzi przez nią i idzie do swojego zwykłego miejsca z boku domu.

Od miesiący obserwował ją przez szczelinę pomiędzy ramą okna i roletą, obserwował, jak krąży, płacze i wrywa sobie włosy. Nigdy nie śpi w nocy, boi się nocy, boi się burzy. Ogląda filmy przez całą noc, do rana. Ogląda filmy, gdy pada, w czasie burzy zwiększając głośność, a gdy świeci słońce, chowa się przed jego blaskiem. Zwykle sypia na czarnej skórzanej kanapie, gdzie teraz leży, wyciągnięta, oparta na skórzanych poduszkach, okryta kocem. Podnosi pilota i przewija film, wracając do sceny, w której Glenn Close i Michael Douglas pieprzą się w windzie.

Domy po obu stronach są zasłonięte przez wysokie bambusy i drzewa. Puste, bo bogaci właściciele ich nie wynajmują, a bywają tu tylko od czasu do czasu. Często rodziny zaczynają korzystać ze swoich drogich domów na plaży dopiero wtedy, gdy dzieci mają wakacje. Kobieta nie chce, żeby byli tu inni ludzie, i przez całą zimę nie miała sąsiadów. Chce być sama i boi się być sama. Boi się grzmotów i deszczu, boi się czystego nieba i słońca, nie chce już być nigdzie, obojętnie w jakich warunkach.

*Dlatego tu przyszedłem.*

Znów cofa film w odtwarzaczu DVD. Will zna jej rytuały, leżenie w tym samym brudnym różowym dresie, ponowne odtwarzanie pewnych scen filmowych, zwykle gdy się pieprzą. Od czasu do czasu wychodzi nad basen, żeby zapalić i wypuścić z klatki swojego biednego psa. Nigdy po nim nie sprząta, w trawie leży pełno zaschniętego gówna, a meksykański dozorca, który przychodzi co tydzień, też nie sprząta. Pali i patrzy na basen, podczas gdy pies kręci się po ogrodzie, czasami szczekając nisko, gardłowo, a ona woła do niego: „Dobry pies”, albo, częściej, „Zły pies” i „Chodź tu. Chodź tutaj zaraz!”, klaszcząc na niego.

Nie głaszcz go, ledwo może na niego patrzeć. Gdyby nie pies, jej życie byłoby nie do zniesienia. Pies nic nie rozumie. Mało prawdopodobne, żeby pamiętał, co się stało, albo rozumiał to w owym czasie. Zna tylko klatkę w pralni, gdzie śpi, siedzi i szczeka. Kobieta nie myśli o nim, gdy pije wódkę, łyka pigułki i wyrywa sobie włosy, rutyna się nie zmienia, to samo dzień po dniu, dzień po dniu.

*Niedługo wezmę cię w ramiona i zaniosę przez wewnętrzną ciemność do wyższego królestwa, i będziesz oddzielona od fizycznego wymiaru, który teraz jest twoim piekłem. Będziesz mi wdzięczna.*

Will rozgląda się, sprawdzając, czy nikt go nie widzi. Patrzy, jak kobieta wstaje z kanapy i rusza chwiejnym krokiem do rozsuwanych drzwi, żeby wyjść na papierosa, i jak zwykle zapomina, że alarm jest włączony. Podskakuje i klnie, gdy alarm zawodzi i łomocze, potem idzie do tablicy, żeby go wyłączyć. Dzwoni telefon. Przegarnia palcami rzadniejące ciemne włosy, mówi coś, potem wrzeszczy i rzuca słuchawkę. Will przypada do ziemi za krzewami, zastyga w bezruchu. Po paru minutach przyjeżdża policja, dwaj funkcjonariusze w radiowozie szeryfa hrabstwa Beaufort. Will patrzy, niewidzialny, jak policjanci stają na werandzie, nie zwracając sobie głowy wchodzeniem do środka, bo znają panią domu. Znowu zapomniała hasła, a firma obsługująca alarm znowu powiadomiła policję.

– Proszę pani, używanie imienia psa nie jest dobrym pomysłem. – Policjant powtarza to samo, co mówiono jej wcześniej. – Powinna pani wymyślić jakieś inne hasło. Imię domowego zwierzęcia zajmuje jedno z pierwszych miejsc, gdy intruz próbuje wyłączyć alarm.

– Skoro nie pamiętam imienia cholernego psa – bełkocze – jak mam zapamiętać coś innego? Wiem tylko, że hasłem jest imię psa. O cholera. Maślanka. Przypomniałam sobie.

– Tak, ale wciąż uważam, że powinna je pani zmienić.

Jak powiedziałem, niedobrze jest używać imienia domowego zwierzaka, a poza tym pani i tak go nie pamięta. Musi być coś, co pani zapamięta. Mamy tu sporo włamań, zwłaszcza o tej porze roku, gdy wiele domów stoi pustych.

– Nie mogę zapamiętać nowego. – Ledwo może mówić. – Kiedy się włącza, nie mogę myśleć.

– Na pewno chce pani być tutaj sama? Czy ma pani kogoś, do kogo możemy zadzwonić?

– Nie mam już nikogo.

W końcu gliniarze odjeżdżają. Will wychodzi z kryjówki i przez okno patrzy, jak kobieta resetuje alarm. Jeden, dwa, trzy, cztery. Ten sam kod, jedyny, który może zapamiętać. Patrzy, jak siada na kanapie, znów płacząc. Nalewa sobie kolejny kieliszek wódki. Chwila już nie jest odpowiednia. Will wraca po chodniku na plażę.

## ROZDZIAŁ 8

*Nazajutrz rano, ósma czasu letniego  
wybrzeża Oceanu Spokojnego.*

Lucy zatrzymuje się przed Stanfordzkim Centrum Onkologicznym. Ilekroć leci swoim odrzutowcem citation X do San Francisco i wynajmuje ferrari na godzinną jazdę, żeby się spotkać z neurologiem, czuje się taka silna, jak w domu. Dopasowane džinsy i obcisła koszulka eksponują jej muskularną sylwetkę i sprawiają, że czuje się pełna sił witalnych, jak w domu. W czarnych butach z krokodylej skóry, z tytanowym zegarkiem Breitling Emergency z jaskrawo-pomarańczową tarczą wciąż czuje się jak Lucy, nieustraszona i niezrównana, jak wtedy, gdy nie myśli, co jest z nią nie w porządku.

Opuszcza szybę czerwonego f-czterysta trzydzieści spidera przed wejściem nowoczesnego kompleksu budynków z cegły i szkła.

– Może pan go zaparkować? – pyta parkingowego w szarym uniformie, który podchodzi do niej z wahaniem. Nie rozpoznaje go. Musi być nowy. – Biegi Formuły Jeden, te łopatki przy kierownicy. Prawa zmienia bieg na wyższy, lewa na niższy, obie naraz – luz, a tym guzikiem włącza się wsteczny. – Zauważa niepokój w jego oczach. – Tak, przyznają, to trochę skomplikowane – mówi, bo nie chce, żeby zrobiło mu się przykro.

Jest starszym mężczyzną, pewnie nudzi się na emeryturze, parkuje więc samochody w szpitalu. A może ktoś w jego rodzinie ma albo miał raka. Jasne, nigdy nie jeździł ferrari, może nigdy nie widział z bliska takiego wozu. Patrzy na niego, jakby samochód przyleciał z kosmosu. Nie chce go

nawet dotknąć i dobrze, bo gdy się nie wie, jak prowadzić auto, które kosztuje więcej niż niektóre domy, lepiej do niego nie wsiadać.

– Chyba nie dam rady – mówi, porażony widokiem obitego skórą wnętrza i czerwonego guzika „start” na kierownicy z włókna węglowego. Idzie na tył wozu, patrzy na silnik pod szkłem i kręci głową. – Nie byle co. Kabriolet, jak sądzę. Musi mocno dmuchać, gdy opuszcza pani dach, bo domyślałam się, że szybko jeździ. Muszę przyznać, że jest wspaniały. Może pani sama go odstawi. – Pokazuje jej gdzie. – Najlepsze miejsce. To dopiero wóz! – Kręci głową.

Lucy parkuje, zabiera aktówkę i dwie duże koperty ze zdjęciami z rezonansu magnetycznego, ujawniającymi najbardziej druzgoczący sekret jej życia. Chowa do kieszeni kluczyki ferrari, podaje parkingowemu banknot studolarowy i mówi poważnie, ale puszcza oko:

– Proszę go strzec jak swego życia.

Centrum onkologiczne jest pięknym kompleksem medycznym z wielkimi oknami i kilometrami podłóg z polerowanego drewna, wszędzie są otwarte przestrzenie i pełno światła. Ludzie, którzy tu pracują, w tym wielu wolontariuszy, są zawsze uprzedzająco mili. Zeszłym razem, gdy miała wizytę, na korytarzu siedziała harfistka, grając z wdziękiem *Time After Time*. Tego popołudnia ta sama pani gra *What a Wonderful World*. Czyste kpiny. Gdy Lucy idzie szybko, nie patrząc na nikogo, w czapce baseballowej nasuniętej na oczy, uświadamia sobie, że trudno byłoby komukolwiek zagrać utwór, który w tej chwili nie wprowadziłby jej w cyniczny nastrój czy przygnębienie.

Wnętrza kliniki są przestronne i pełne światła, urządzone w kolorach ziemi, na ścianach nie ma obrazów, tylko płaskie ekrany telewizorów, które pokazują kojące sceny natury: łąki i góry, jesienne liście, ośnieżone lasy, ogromne sekwoje, czerwone skały Sedony. Z głośników płynie delikatny

szmer strumieni, pluskanie deszczu, śpiew ptaków, szum wiatru. Na stołach stoją orchidee w doniczkach, oświetlenie jest łagodne, poczekalnie nigdy nie są zatłoczone. Jedynym pacjentem w Klinice D, gdy Lucy dociera do rejestracji, jest kobieta w peruce, która czyta magazyn „Glamour”.

Lucy mówi cicho mężczyźnie za ladą, że przyszła na spotkanie z doktorem Nathanem Dayem, czyli Nate'em, jak go nazywa.

– Nazwisko? – pyta ją z uśmiechem.

Lucy podaje mu pseudonim, którego używa. Recepcjonista wpisuje coś do komputera, znów się uśmiecha i sięga po telefon. Po niespełna minucie Nate otwiera drzwi i gestem zaprasza Lucy do środka. Przytula ją, jak zawsze.

– Miło cię widzieć. Wyglądasz fantastycznie – mówi, gdy wchodzi do gabinetu.

Gabinet jest mały, nie taki, jakiego można by się spodziewać po wykształconym na Harvardzie neuroendokrynologu, uważanym za jednego z najwybitniejszych specjalistów w swojej dziedzinie. Jest tam zagracone biurko, komputer z wielkim monitorem, przepełniona biblioteczka. Na ścianach, gdzie w większości innych biur byłyby okna, są zamontowane liczne negatoskopy. Pod ścianą stoi kanapa, przed biurkiem jedno krzesło. Lucy podaje lekarzowi przywiezione dokumenty.

– Wyniki badań laboratoryjnych. I zdjęcia, które oglądałeś zeszłym razem, oraz te najnowsze.

Nate siada za biurkiem, ona na kanapie.

– Kiedy je wykonano? – Otwiera koperty, czyta jej kartę. Ani jedno słowo nie jest przechowywane elektronicznie, teczka z historią choroby jest zamknięta w jego prywatnym sejfie, opatrzona hasłem, nazwisko Lucy nigdzie nie figuruje.

– Badanie krwi sprzed dwóch tygodni. Ostatnie zdjęcie sprzed miesiąca. Moja ciocia spojrzała, mówi, że wyglądam dobrze, ale zważywszy, na co patrzy przez większość czasu...

– Mówi, że nie wyglądasz na martwą. Co za ulga. Jak ma się Kay?

– Lubi Charleston, ale nie jestem pewna, czy miasto lubi ją. Mnie się podoba... Cóż, zawsze mobilizują mnie miejsca mało odpowiednie.

– Czyli większość miejsc.

– Wiem. Lucy Dziwadło. Mam nadzieję, że wciąż działamy po kryjomu. Na to wygląda, bo facet za biurkiem, ten sam co wcześniej, nie zakwestionował mojego fałszywego nazwiska. Pomimo demokratycznej większości prywatność jest farsą.

– Nie strasz mnie. – Przegląda jej wyniki. – Wiesz, ilu mam pacjentów, którzy chętnie płaciliby do ręki, nie z ubezpieczenia, gdyby było ich stać, żeby tylko ich dane nie znalazły się w naszych bazach?

– Dobra rzecz. Gdybym chciała włamać się do waszej bazy danych, prawdopodobnie zrobiłabym to w pięć minut. Federalnym może to zająć godzinę, ale pewnie już tam zajrzeli. Ja nie. Bo nie popieram naruszania praw obywatelskich, chyba że jest ku temu dobry powód.

– Oni też tak mówią.

– Kłamią i są głupi. Zwłaszcza ci z FBI.

– Wciąż zajmują czołowe miejsce na twojej czarnej liście.

– Wylali mnie nie bez powodu.

– I pomyśleć, że mogłabyś bezkarnie nadużywać ustawy antyterrorystycznej *Patriot Act* i dostawać za to pieniądze. Cóż, niewielkie. Jakie komputerowe bajery sprzedajesz ostatnio za grube miliony?

– Modelowanie danych. Sieci neuronowe, które przyjmują dane wejściowe i zasadniczo wykonują inteligentne zadania w taki sposób, jak



nasze mózgi. Bawię się też pewnym projektem z wykorzystaniem struktury DNA, który może okazać się interesujący.

– Poziom TSH znakomity. Wolne T-cztery piękne, więc metabolizm pracuje. To mogę ci powiedzieć bez wyników badań laboratoryjnych. Trochę straciłaś na wadze, odkąd cię widziałem.

– Może ze dwa kilo.

– Wygląda, że nabrałaś masy mięśniowej. Prawdopodobnie straciłaś więc dobre pięć kilogramów tłuszczu i wody, gdy cofnęło się wzdęcie.

– Pięknie powiedziane.

– Ile ćwiczysz?

– Tyle samo.

– Tak zanotuję, choć prawdopodobnie ćwiczysz jak maniaczka. Poziom prolaktyny wspaniały, spadł do dwa i cztery dziesiąte. Jak miesiączka?

– Normalnie.

– Nie ma białej, przejrzystej albo mlecznej wydzieliny z sutków? Nie żebym spodziewał się laktacji przy tak niskim poziomie prolaktyny.

– Nie. I nie rób sobie nadziei. Nie pozwolę ci sprawdzić.

Nate uśmiecha się, robi notatki w jej aktach.

– Szkoda tylko, że zmały mi piersi.

– Są kobiety, które wiele by dały za to, co masz. I dają – mówi rzeczowo.

– Nie są na sprzedaż. Prawdę mówiąc, ostatnio nie mogę oddać ich nawet za darmo.

– Wiem, że to nieprawda.

Lucy już nie jest skrępowana, może rozmawiać z nim o wszystkim. Na początku było zupełnie inaczej, koszmar i upokorzenie, gdy łagodny makrogruczolak przysadki – guz mózgu – powodował nadprodukcję hormonu prolaktyny, który wmawiał jej organizmowi, że jest w ciąży.

Miesiączki ustały. Przybrała na wadze. Nie miała mlekotoku, ale gdyby w porę nie odkryła, że dzieje się coś złego, gruczoły zaczęłyby produkować mleko.

– Wygląda na to, że z nikim się nie spotykasz. – Nate wyjmuje z kopert zdjęcia z rezonansu i przypina je do negatoskopów.

– Nie.

– Jak twoje libido? – Przygasza światła w gabinecie i podświetla zdjęcia mózgu Lucy. – Dostinex jest czasami zwany narkotykiem seksu, wiesz. Cóż, jeśli można go dostać.

Lucy podchodzi do niego i patrzy na zdjęcia.

– Nie dam się operować, Nate.

Patrzy ponuro na prostokątny obszar hipointensywności u podstawy podwzgórza. Za każdym razem, gdy widzi swoje zdjęcia, czuje, że musiała zrobić jakąś pomyłkę. To nie może być jej mózg. Młody mózg, jak mówi Nate. Anatomicznie wspaniały, mówi, z wyjątkiem jednej małej usterki, guza wielkości połowy centa.

– Nie obchodzi mnie, co piszą w specjalistycznych czasopismach. Nikt nie będzie mnie kroił. Jak to wygląda? Proszę, powiedz, że wszystko w porządku.

Nate porównuje wcześniejsze zdjęcia z nowymi, przygląda im się uważnie.

– Nie ma dramatycznych zmian. Wciąż siedem do ośmiu milimetrów. Nic w zbiorniku nadsiodłowym. Małe przesunięcie z lewej na prawą od lejka przysadki. – Wskazuje piórem. – Skrzyżowanie nerwów wzrokowych jest czyste. – Znów pokazuje. – Wspaniale. – Odkłada pióro i podnosi dwa palce, łączy je, a potem rozsuwa, sprawdzając jej widzenie peryferyjne. – Wspaniale – powtarza. – Prawie identycznie. Guz nie rośnie.

– I nie maleje.

– Usiądź.

Lucy siada na skraju kanapy.

– Wynik nie jest przesądzony. Leki go nie wypaliły, nie obumarł i nigdy nie obumrze, prawda?

– Ale nie rośnie – powtarza Nate. – Leczenie trochę go skurczyło i zahamowało rozwój. W porządku. Rokowanie. Ale co ty chcesz zrobić? Powiem ci, że dostinex i jego generyki mogą wpłynąć na uszkodzenie zastawek serca, ale chyba nie powinnaś się tym martwić. Badania dotyczą ludzi, którzy brali lek w chorobie Parkinsona. Przy twojej niskiej dawce? Na pewno będzie dobrze. Większy problem? Mogę przepisać ci tuzin recept, ale nie sądzę, że znajdziesz choć jedną pigułkę w tym kraju.

– Jest produkowany we Włoszech. Tam mogę dostać. Doktor Maroni powiedział, że to załatwi.

– Świetnie. Ale masz co pół roku robić echokardiogram. Dzwoni telefon. Nate wciska guzik, słucha przez chwilę.

– Dzięki. Wezwij ochronę, gdyby sprawa wymknęła się spod kontroli. Dopilnuj, żeby nikt go nie dotykał. – Rozłącza się i mówi do Lucy: – Najwyraźniej ktoś przyjechał czerwonym ferrari, który przyciąga sporą uwagę.

– Paradoksalne. – Lucy wstaje z kanapy. – Wszystko jest kwestią perspektywy.

– Ja nim pojeżdżę, jak ty nie chcesz.

– Nie żebym nie chciała. Po prostu nic nie wydaje mi się takie samo jak przedtem. W zasadzie nie jest to zupełnie złe. Po prostu inne.

– Rzecz w tym, co masz. Masz coś, czego nie chcesz. Ale coś zyskałaś, ponieważ być może to zmieniło twój sposób patrzenia na świat. – Nate odprowadza ją do drzwi. – Tutaj spotykam się z tym codziennie.

– Jasne.

– Dobrze sobie radzisz. – Przystaje przy drzwiach prowadzących do poczekalni, gdzie nie ma nikogo, kto mógłby ich słyszeć, tylko mężczyzna, który często się uśmiecha i znów rozmawia przez telefon. – Lokuję cię w górnych dziesięciu procentach moich pacjentów pod względem tego, jak dobrze sobie radzisz.

– Górne dziesięć procent. Zdaje się, że to piątka z plusem. Chyba zaczęłam od szóstki.

– Nie. Prawdopodobnie miałaś guza od zawsze, tylko o nim nie wiedziałaś, dopóki nie pojawiły się symptomy. Rozmawiałaś z Rose?

– Nie chce o tym słyszeć. Staram się nie mieć jej tego za złe, ale to trudne. Naprawdę, naprawdę trudne. To niesprawiedliwe. Zwłaszcza dla mojej ciotki.

– Nie daj się jej przepędzić, ponieważ prawdopodobnie próbuje zrobić to dokładnie z takiego powodu, który właśnie podałaś. Nie chce o tym słyszeć.

– Nate wsuwa ręce do kieszeni kitla lekarskiego. – Ona cię potrzebuje. Z pewnością nie będzie rozmawiać o tym z nikim innym.



Chuda kobieta w szalu na głowie i dwaj mali chłopcy chodzą dokoła ferrari przed centrum onkologii. Parkingowy podbiega do Lucy.

– Nie podchodzą za blisko. Patrzyłem. Nikt nie podszedł – mówi niskim, dobitnym głosem.

Lucy patrzy na chłopców i ich chorą matkę. Idzie do wozu, otwiera drzwi pilotem. Chłopcy i matka odsuwają się, na ich twarzach maluje się przestraszonych. Matka wygląda staro, choć ma zapewne nie więcej niż trzydzieści pięć lat.

– Przepraszam – mówi do Lucy. – Oszaleli z zachwyty. Nie dotykali wozu.

– Ile wyciąga? – pyta starszy chłopiec, rudy, może dwunastoletni.

– Niech pomyślę, czterysta dziewięćdziesiąt koni mechanicznych, sześciostopniowa skrzynia biegów, silnik V osiem o pojemności cztery i trzy dziesiąte litra, osiem tysięcy pięćset obrotów na minutę, tylny dyfuzor z włókna węglowego. Przyspieszenie od zera do sześćdziesięciu w niespełna cztery sekundy. Około trzystu dwudziestu kilometrów na godzinę.

– Niemożliwe!

– Jeździłeś kiedy czymś takim? – pyta go Lucy.

– Nigdy nawet takiego nie widziałem.

– A ty? – pyta Lucy jego rudowłosego brata, który ma jakieś osiem, dziewięć lat.

– Nie, proszę pani – szepcze chłopiec nieśmiało. Lucy otwiera drzwi kierowcy i obaj rudzielcy wyciągają szyje, żeby zajrzeć do środka. Jednocześnie głośno wciągają oddech.

– Jak masz na imię? – pyta starszego.

– Fred.

– Siadaj za kółkiem, Fred, a ja ci pokażę, jak się zapuszcza silnik.

– Nie musi pani tego robić – mówi matka. Ma taką minę, jakby zbierało jej się na płacz. – Skarbie, nie zepsuj niczego.

– Ja jestem Johnny – przedstawia się drugi chłopiec.

– Będziesz następny – mówi Lucy. – Stań tu przy mnie i patrz.

Lucy przekręca kluczyk, sprawdza, czy bieg jest na luzie. Chwyta Freda za rękę i kładzie jego palec na czerwonym guziku startowym na kierownicy. Puszczą jego rękę.

– Trzymaj przez dziesięć sekund, a go odpalisz. – Po chwili silnik ferrari budzi się z rykiem.

Lucy funduje chłopcom przejażdżkę po parkingu, podczas gdy ich matka stoi samotnie na środku, uśmiecha się, macha ręką i wyciera oczy.



Benton nagrywa Gladys Self przez biurowy telefon w Laboratorium Neuroobrazowania Kognitywnego w Szpitalu MacLeana. Jak sławnej córce, jej też odpowiada nazwisko Self.

– Jeśli się pan zastanawia, dlaczego moja bogata córka nie ulokowała mnie w jakiejś miłej rezydencji w Boce – mówi pani Self – to powiem, że nie chcę mieszkać w Boce ani w Palm Beach, ani nigdzie indziej, tylko tutaj, w Hollywood, na Florydzie. W moim zapuszczonym mieszkaniu z widokiem na ocean.

– Dlaczego?

– Aby się na niej odegrać. Proszę pomyśleć, jak to będzie wyglądało, gdy pewnego dnia znajdą mnie martwą w takiej norze. Zobaczymy, jak to wpłynie na jej popularność. – Rechocze.

– Wygląda na to, że może mieć pani kłopoty z powiedzeniem czegoś miłego o córce. A ja chciałbym, żeby przez kilka minut pani ją chwaliła, pani Self. Potrzebuję również parominutowej wypowiedzi neutralnej, a potem krytyki.

– Dlaczego ona to robi?

– Wyjaśniłem na początku naszej rozmowy. Zgłosiła się na ochotnika do naukowego projektu badawczego, który realizuję.

– Moja córka za nic nie zgłosiłaby się na ochotnika, chyba że chce wyciągnąć z tego jakąś korzyść. Nigdy nie robiła niczego, żeby bezinteresownie komuś pomóc. Bzdura. Ha! Pilne wezwanie w sprawach rodzinnych. Ma szczęście, że nie zadzwoniłam do CNN-u i nie powiedziałam światu, że kłamie. Niech pomyślę. Zobaczymy, jak wygląda prawda. Pozwoli pan, prześledzę tropy. Jest pan jednym z tych psychologów policyjnych w tym swoim szpitalu, jak on się nazywa?

McLean? Aha, tak. Tam gdzie trafiają wszyscy bogaci i sławni. Miejsce, które by wybrała, gdyby musiała, a ja znam dobry powód, dla którego chciałaby to zrobić. Zwaliliby pana z nóg, gdyby pan wiedział. Bingo! Jest pacjentką, o to chodzi!

– Jak wspomniałem, uczestniczy w moim projekcie. – Cholera. Ostrzegął doktor Self. Powiedział, że gdy zadzwoni do matki, żeby zrobić nagranie, starsza pani zacznie podejrzewać, że córka jest pacjentką. – Nie wolno mi rozmawiać o jej sytuacji, gdzie jest, co robi i dlaczego. Nie mogę wyjawiać informacji o uczestnikach naszych badań.

– Ja natomiast mogę wyjawić panu parę rzeczy. Wiedziałam! Warto ją przebadać, zgadza się. Kto normalny idzie do telewizji i robi to, co ona, grzebiąc ludziom w głowach, w życiu, jak tej tenisistce, która niedawno została zamordowana. Idę o zakład, że Marilyn w jakiś sposób jest temu winna, zaprosiła ją do swojego programu, wyciągnęła od niej wszystkie te osobiste informacje i pokazała je światu. To było żenujące, nie mogę uwierzyć, że rodzina tej małej na to pozwoliła.

Benton widział nagranie. Pani Self ma rację. To był publiczny striptiz, zbyt wielkie obnażenie, Drew stała się bezbronnym, łatwym celem. Jeśli ktoś ją śledził, program ułatwił mu zadanie. Nie jest to celem tej rozmowy, ale nie może się oprzeć i docięka:

– Zastanawiam się, jak to się stało, że pani córka zaprosiła Drew Martin do swojego programu. Znały się?

– Marilyn może mieć u siebie każdego, kogo zechce. Gdy dzwoni do mnie przy wyjątkowych okazjach, głównie się przechwala, że gościła taką czy inną sławę. Mówi, że to oni mają szczęście, że mogą się z nią spotkać, a nie na odwrót.

– Mam wrażenie, że nie widuje jej pani zbyt często.

– Naprawdę sądzi pan, że zadałaby sobie trud, żeby zobaczyć się z rodzoną matką?

– Ale nie jest zupełnie pozbawiona uczuć, prawda?

– Jako mała dziewczynka była słodka. Tak, wiem, trudno w to uwierzyć. Ale coś nawaliło, gdy skończyła szesnaście lat. Uciekła z jakimś playboyem, który złamał jej serce, potem wróciła do domu i naprawdę obie miałyśmy tego dość. Mówiła panu o tym?

– Nie, nie mówiła.

– Tak myślałam. Będzie gadać bez końca, że jej ojciec się zabił, jaka ja jestem okropna i tak dalej. Ale jej własne porażki nie istnieją. To dotyczy innych ludzi. Byłby pan zaskoczony, gdyby wiedział o tych, których pozbyła się ze swojego życia tylko dlatego, że byli niewygodni. Albo pokazywali światu tę stronę jej charakteru, której nikt nie powinien oglądać. To przestępstwo karane śmiercią.

– Zakładam, że nie mówi pani dosłownie.

– To zależy od pańskiej definicji.

– Zaczniemy od jej cech pozytywnych.

– Powiedziała panu, że każe wszystkim podpisywać zobowiązanie do poufności?

– Nawet pani?

– Chce pan wiedzieć, z jakiego powodu naprawdę tak mieszkam? Ponieważ nie mogę sobie pozwolić na jej tak zwaną hojność. Żyję z zasiłku i emerytury, którą mam po przepracowaniu całego życia. Marilyn nigdy nic dla mnie nie zrobiła, a potem miała czelność powiedzieć mi, że muszę podpisać te wszystkie zobowiązania do poufności, widzi pan. Powiedziała, że jeśli tego nie zrobię, będę zdana wyłącznie na siebie, niezależnie od tego, jak będę stara i schorowana. Nie podpisałam. Swoją drogą, nie rozmawiam o niej. Ale mogłabym. Z pewnością.



- Rozmawia pani ze mną.
- Cóż, sama mi kazała, prawda? Dała panu mój numer telefonu, ponieważ to odpowiada jakiemuś jej egoistycznemu celowi. A ja jestem jej słabym punktem. Nie może się oprzeć. Nie może się doczekać, żeby usłyszeć, co powiem. Potwierdzenie własnego zdania o sobie.
- Proszę spróbować wyobrazić sobie, że mówi jej pani, co w niej lubi. Coś musi pani lubić. Na przykład, „Zawsze podziwiałam, jaka jesteś mądra” albo „Jestem dumna z twoich sukcesów” i tak dalej.
- Nawet jeśli jestem innego zdania?
- Jeśli nie może pani powiedzieć czegoś pozytywnego, niestety nie możemy nagrać tego wywiadu. – I to by mu odpowiadało.
- Nie ma obawy. Umieję kłamać równie dobrze jak ona.
- W takim razie komentarze negatywne. Na przykład:  
„Chciałabym, żebyś była bardziej hojna” albo „Proszę, abyś nie zachowywała się tak arogancko”, co tylko przyjdzie pani namyśl.
- Bułka z masłem.
- Na koniec wypowiedzi neutralne. Pogoda, zakupy, co pani robiła, takie rzeczy.
- Niech pan jej nie ufa. Będzie oszukiwać i zepsuje panu badania.
- Mózg nie może oszukiwać – mówi Benton. – Nawet jej.



Godzina później. Doktor Self w lśniącym spodniem z czerwonego jedwabiu, bez butów, siedzi na łóżku oparta o poduszki.

– Rozumiem, że w pani odczuciu to nie jest konieczne – mówi Benton, przewracając kartki bladoniebieskiej broszury *Ustrukturyzowany wywiad kliniczny dla DSMIV, zaburzenia osi I*, wydanie dla pacjentów.

– Potrzebujesz scenariusza, Bentonie?

– Aby zachować spójność w badaniu, przeprowadzamy wywiad według podręcznika. Za każdym razem, z każdym badanym. Nie będę pani pytać o rzeczy oczywiste i nieistotne, takie jak status zawodowy.

– Pomogę ci. Nigdy nie byłam pacjentką szpitala psychiatrycznego. Nie biorę żadnych leków. Nie piję zbyt dużo. Zwykle śpię pięć godzin. Ile godzin śpi Kay?

– Czy ostatnio straciła pani lub przybrała na wadze?

– Idealnie utrzymuję wagę. Ile waży Kay? Czy dużo je, gdy jest samotna albo przygnębiona? Wszystkie te tamtejsze smażone potrawy...

Benton przewraca kartki.

– Dziwne dolegliwości wewnętrzne albo objawy skórne?

– Zależy, z kim jestem.

– Czy kiedykolwiek czuła pani zapach albo smak rzeczy, których inni nie mogą poczuć ani posmakować?

– Robię mnóstwo rzeczy, których nie robią inni.

Benton patrzy na nią.

– Nie sądzę, doktor Self, by udział w badaniu był dobrym pomysłem. To nie jest konstruktywne podejście do sprawy.

– Nie tobie to osądzać.

– Myśli pani, że to jest konstruktywne?

– Nie dotarłeś do chronologii nastroju. Nie zapytasz mnie o ataki paniki?

– Miała je pani?

– Pocenie, drżenie, zawroty głowy, przyspieszone bicie serca. Strach, że mogę umrzeć? – Patrzy na niego z zadumą, jakby to on był pacjentem. – Co moja matka mówi na taśmie?

– A co z pani przyjazdem? Wydawała się pani mocno przestraszona z powodu e-maila. Tego, o którym wspomniała pani doktorowi Maroniemu

zaraz po przyjeździe tutaj i o którym później nic już nie mówiła pani nikomu.

– Wyobraź sobie, ta twoja asystentka myśli, że przeprowadzi ze mną wywiad kliniczny. – Uśmiecha się. – Jestem psychiatrą. Byłoby tak, jakby początkujący grał w tenisa z Drew Martin.

– Co czuje pani w związku z tym, co spotkało tę dziewczynę? Podawali w wiadomościach, że była gościem w pani programie. Niektórzy sugerowali, że zabójca mógł mieć obsesję na jej punkcie z powodu...

– Jak gdyby tylko u mnie wystąpiła w telewizji. Goszczę wiele osób.

– Zamierzałem powiedzieć, z powodu jej wielkiego rozgłosu. Nie udziału w pani programie.

– Prawdopodobnie dzięki temu cyklowi zdobędę następną Nagrodę Emmy. Chyba że to, co się stało...

– Chyba że co?

– To byłaby rażąca niesprawiedliwość – mówi doktor Self. – Gdyby akademia uprzedziła się z powodu tego, co spotkało Drew. Jakby to miało cokolwiek wspólnego z jakością mojej pracy. Co powiedziała moja matka?

– Ważne, żeby pani tego nie słyszała, dopóki nie znajdzie się w skanerze.

– Chciałabym porozmawiać o moim ojcu. Zmarł, gdy byłam jeszcze małym dzieckiem.

– W porządku. – Benton siedzi tak daleko od niej, jak tylko może, plecami do biurka i leżącego na nim laptopa. Na stoliku pomiędzy nimi pracuje magnetofon. – Porozmawiajmy o pani ojcu.

– Miałam dwa lata, gdy zmarł. Niecałe dwa.

– I pamięta go pani na tyle dobrze, żeby czuć się przez niego odrzucona?

– Jak wiesz z prac, które z pewnością czytałeś, dzieci niekarmione piersią są narażone na coraz większy stres i cierpienie w późniejszym życiu.

U więźniarek, które nie mogą karmić piersią, maleje zdolność do zapewnienia swoim dzieciom opieki i ochrony.

– Nie rozumiem związku. Sugeruje pani, że jej matka była w więzieniu?

– Nigdy mnie nie przytulała, nigdy nie karmiła mnie piersią, nigdy nie uspokajała biciem swojego serca, nigdy nie nawiązywała ze mną kontaktu wzrokowego, gdy karmiła mnie z butelki, łyżką, łopata, koparko-ładowarką. Czy powiedziała o tym, gdy ją nagrywałeś? Czy pytałeś ją o naszą przeszłość?

– Gdy nagrywamy wypowiedź matki uczestnika badania, nie musimy znać historii ich wzajemnych stosunków.

– Jej niechęć do związania się ze mną zwiększyła moje poczucie odrzucenia, moją urazę, uczyniła mnie bardziej skłoną do obwiniania jej za to, że ojciec mnie zostawił.

– Chce pani powiedzieć: umarł.

– Interesujące, nie sądzisz? Kay i ja straciłyśmy ojców w młodym wieku i obie zostałyśmy lekarkami. Ale ja lecę umysły żywych, podczas gdy ona kroi ciała martwych. Zawsze się zastanawiałam, jaka jest w łóżku. Biorąc pod uwagę jej zawód.

– Wini pani matkę za śmierć ojca.

– Byłam zazdrosna. Kilka razy nakryłam ich, gdy uprawiali seks. Widziałam. Przez szparę w drzwiach. Matka oddawała mu swoje ciało. Dlaczego jemu, nie mnie? Dlaczego ona, nie ja? Chciałam tego, co sobie dawali, oczywiście nie rozumiejąc znaczenia aktu, bo przecież nie chciałam uprawiać z nimi seksu oralnego czy genitalnego, i nie miałam pojęcia, co się dzieje, gdy sytuacja się rozwijała. Prawdopodobnie myślałam, że cierpią.

– Nakryła pani ich niejeden raz, mając niespełna dwa lata, i pamięta to?

– Benton położył podręcznik diagnostyczny pod krzesłem i teraz zaczął

robić notatki.

Doktor Self poprawia się na łóżku, układa wygodnie i w prowokacyjnej pozie, sprawdzając, czy Benton jest świadom kształtów jej ciała.

– Widziałam rodziców żywych, witalnych, a potem on odszedł w okamgnieniu. Kay natomiast była świadkiem długiej agonii ojca na raka. Ja żyłam ze stratą, ona żyła z umieraniem, i na tym polega różnica. Rozumiesz, Bentonie, jestem psychiatrą, moim celem jest zrozumienie życia pacjenta, podczas gdy celem Kay jest zrozumienie śmierci pacjenta. To musi wywierać na ciebie jakiś wpływ.

– Nie jesteśmy tutaj, żeby rozmawiać o mnie.

– Czyż nie jest cudownie, że Pawilon nie trzyma się sztywnych instytucjonalnych zasad? Jesteśmy tutaj. Pomimo tego, co się stało, gdy zostałam przyjęta. Czy doktor Maroni mówił ci, jak przyszedł do mojego pokoju, nie tego, tylko pierwszego? Jak zamknął drzwi, rozchylił mój szlafrok? Jak mnie dotykał? Czy kiedyś był ginekologiem? Wydajesz się skrepowany, Bentonie.

– Czy czuje pani nadmierny popęd seksualny?

– Więc teraz mam epizod maniakalny. – Uśmiecha się. – Zobaczmy, ile diagnoz możemy postawić tego jednego popołudnia. Nie dlatego tu jestem. Oboje wiemy dlaczego.

– Powiedziała pani, że z powodu e-maila, który dostała, gdy zrobiła sobie przerwę w studiu. W piątek ponad tydzień temu.

– Powiedziałam doktorowi Maroniemu o e-mailu.

– Jak zrozumiałem, powiedziała mu pani tylko, że dostała e-mail – mówi Benton.

– Gdyby to było możliwe, mogłabym podejrzewać was wszystkich o hipnotyczne zwabienie mnie tutaj z powodu tego e-maila. Ale coś takiego byłoby rodem z filmu albo psychozy, nieprawdaż?

– Powiedziała pani doktorowi Maroniemu, że była strasznie zdenerwowana i że boi się o własne życie.

– A potem dostałam leki wbrew mojej woli. A potem on uciekł do Włoch.

– Ma tam praktykę. Zawsze przyjeżdża i wyjeżdża, zwłaszcza o tej porze roku.

– Dipartimento di Scienze Psichiatriche na Uniwersytecie Rzymskim. Ma willę w Rzymie. Apartament w Wenecji. Pochodzi z bardzo zamożnej włoskiej rodziny. Jest również dyrektorem Pawilonu i wszyscy robią, co każe, łącznie z tobą. Trzeba było przed jego wyjazdem ze Stanów przyjrzeć się temu, co zaszło po moim zameldowaniu.

– Zameldowaniu? Mówi pani o Szpitalu MacLeana jak o hotelu.

– Teraz jest za późno.

– Naprawdę pani wierzy, że doktor Maroni dotykał jej w niestosowny sposób?

– Wierzę, że wyraziłam się jasno.

– Więc pani w to wierzy.

– Każdy tutaj temu zaprzeczy.

– Absolutnie nie. Gdyby to była prawda.

– Każdy zaprzeczy.

– Gdy przyjechała pani limuzyną do szpitala, była pani całkiem przytomna, ale roztrzęsiona. Pamięta pani? Czy pani pamięta, jak rozmawiała z doktorem Maronim w izbie przyjęć i mówiła mu, że potrzebuje bezpiecznej kryjówki z powodu pewnego e-maila i że wyjaśni to później? – pyta Benton. – Pamięta pani, jak prowokowała go słownie i fizycznie?

– Masz niezłe podejście do pacjenta. Może powinieneś wrócić do FBI i używać gumowych węży i tym podobnych. Może włamiesz się do mojej

poczty, mojego domu i mojego konta w banku.

– Ważne, żeby przypomniała sobie pani, w jakim stanie tu przyjechała. Próbuję pani w ten sposób pomóc.

– Pamiętam, jak wszedł do mojego pokoju w Pawilonie.

– To było później, wieczorem, gdy nagle zaczęła pani histeryzować i mówić niespójnie.

– Z powodu leków. Jestem bardzo wrażliwa na lekarstwa wszelkiego rodzaju. Nigdy ich nie biorę ani nie wierzę w nie.

– Gdy doktor Maroni wszedł do pani pokoju, była już w nim neuropsycholog i pielęgniarka. Powtarzała pani, że coś nie jest jej winą.

– Byłeś tam?

– Nie.

– Rozumiem. Bo zachowujesz się, jakbyś był.

– Czytałem pani kartę.

– Moją kartę. Przypuszczam, że fantazjujesz o sprzedaniu jej temu, kto da więcej.

– Doktor Maroni zadawał pani pytania, podczas gdy pielęgniarka badała i oceniała parametry życiowe. Podanie środków uspokajających w zastrzyku domięśniowym było konieczne.

– Pięć miligramów haldolu, dwa miligramy ativanu, jeden miligram cogentinu. Osławiony chemiczny środek uspokajający pięć-dwa-jeden podawany agresywnym pensjonariuszom w zakładach karnych. Wyobraź sobie, zostałam potraktowana jak agresywny więzień! Nie pamiętam, co się działo potem.

– Może mi pani powiedzieć, co nie jest jej winą, doktor Self? Czy miało to coś wspólnego z e-mailem?

– To, co zrobił doktor Maroni, nie było moją winą.

– Więc pani skrajne zdenerwowanie nie miało nic wspólnego z e-mailem, który, jak powiedziała pani, spowodował jej przyjazd do Szpitala MacLeana?

– To spisek. Wszyscy bierzecie w nim udział. Dlatego skontaktował się ze mną twój kolega Pete Marino, prawda? A może chce się wycofać. Może chce, żebym go uratowała. Jak na Florydzie. Co wy mu robicie?

– Nie ma żadnego spisku.

– Znowu wychodzi z ciebie śledczy?

– Jest pani tutaj od dziesięciu dni i nikomu nie powiedziała o charakterze tego e-maila.

– Bo tak naprawdę chodzi o osobę, która przysłała mi wiele e-maili. Mówienie „mail” wprowadza w błąd. Chodzi o osobę.

– O kogo?

– O człowieka, któremu doktor Maroni mógł pomóc. Jest bardzo niezrównoważony. Obojętnie, co zrobił albo czego nie zrobił, potrzebuje pomocy. I jeśli coś mi się stanie, mnie albo komuś innemu, to będzie wina doktora Maroniego. Nie moja.

– A co może być pani winą?

– Przecież powiedziałam, że nic.

– I nie pokaże mi pani żadnego e-maila, który pomógłby nam zrozumieć, kim jest ten osobnik, i być może ochronić ją przed nim?

– To interesujące, ale nie pamiętałam, że tu pracujesz. Przypomniałam sobie, gdy zobaczyłam ogłoszenie o twoich badaniach w izbie przyjęć. Z drugiej strony, oczywiście, Marino coś o tym wspomniał, gdy przysłał mi e-mail. Nie ten e-mail. Nie podniecaj się. Jest taki znudzony i seksualnie sfrustrowany, pracując dla Kay.

– Chciałbym porozmawiać o e-mailach, które pani dostała. Albo wysłała.



– Zazdrość. Tak to się zaczyna. – Patrzy na niego. – Kay mi zazdrości, ponieważ sama wie, że żalosną egzystencję. Jest tak rozpaczliwie zazdrosna, że musiała kłamać o mnie w sądzie.

– A nawiązuje pani do...?

– Głównie do niej. – Nienawiść w niej wzbiera. – Jestem absolutnie obiektywna w związku z tym, co się stało w tym rażącym przykładzie sądowej niesprawiedliwości i nigdy nie brałam do siebie, że ty i Kay – głównie Kay – byliście świadkami, kreując się – głównie ona – na bohaterów tego rażącego przykładu sądowego nadużycia. – Jej nienawiść jest tak lodowata, że aż parzy. – Ciekawe, jak by się czuła, gdyby wiedziała, że jesteś w moim pokoju za zamkniętymi drzwiami.

– Gdy powiedziała pani, że musi porozmawiać ze mną sam na sam w swoim pokoju, zawarliśmy umowę. Mam nagrywać nasze sesje jako dodatek do sporządzanych notatek.

– Nagrywaj mnie. Rób notatki. Pewnego dnia ci się przydadzą. Ode mnie wiele się można nauczyć. Porozmawiajmy o twoim eksperymencie.

– Projekcie badawczym. Tym, do którego zgłosiła się pani na ochotnika i uzyskała specjalne zezwolenie, choć ja odradzałem. Nie używamy słowa eksperyment.

– Ciekawe, dlaczego nie chciałeś dopuścić mnie do swojego eksperymentu... chyba że masz coś do ukrycia.

– Szczerze mówiąc, doktor Self, nie jestem przekonany, czy spełnia pani kryteria.

– Szczerze mówiąc, Bentonie, mój udział w eksperymencie jest ostatnią rzeczą, na której ci zależy, prawda? Ale nie masz wyboru, ponieważ zarządzający tym szpitalem są zbyt ostrożni, żeby mnie dyskryminować.

– Czy zdiagnozowano u pani chorobę afektywną dwubiegunową?

– Nigdy nie zdiagnozowano u mnie niczego poza wybitnym talentem.

– Czy u kogoś z pani rodziny zdiagnozowano zaburzenia afektywno-dwubiegunowe?

– To już twoja sprawa, czego to wszystko w końcu dowiedzie. Że w czasie zmian nastroju grzbietowo-boczna kora przedczołowa mózgu rozbłyśnie pod wpływem odpowiedniego bodźca zewnętrznego. No i co z tego? Funkcjonalny rezonans magnetyczny i pozytronowa tomografia emisyjna wyraźnie wykazały anormalny przepływ krwi w obszarach przedczołowych i spadek aktywności w przedczołowej korze grzbietowo-bocznej u ludzi, którzy są przygnębieni. Więc teraz dorzucasz do tej mieszanki agresję. Co chcesz udowodnić i jakie to ma znaczenie? Wiem, że twój mały eksperyment nie został zatwierdzony przez Komisję Nadzoru nad Dokonywaniem Badań na Ludziach przy Uniwersytecie Harvardzkim.

– Nie przeprowadzamy badań, które nie zostały zaaprobowane.

– Ach, ci zdrowi uczestnicy eksperymentu. Czy wciąż są zdrowi, gdy kończysz? Co się dzieje z tym niezbyt zdrowym? Z nieszczęśnikiem z historią depresji, schizofrenii, dwubiegunowości albo innego zaburzenia, krzywdzącym siebie lub innych, próbującym zrobić krzywdę albo obsesyjnie fantazującym, że to robi?

– Zakładam, że Jackie panią poinformowała o projekcie badawczym, w którym bierze udział.

– Niezupełnie. Nie odróżniłaby grzbietowo-bocznej kory przedczołowej od małego dorsza. Już przeprowadzono badania, jak mózg reaguje na matczyną krytykę i pochwałę. Ty teraz dorzucasz agresję do tej mieszanki. Co chcesz udowodnić i dlaczego to ma znaczenie? Wykażesz, jakie są różnice w mózgach osobników agresywnych i nieagresywnych i czego to dowodzi, i jakie ma znaczenie? Czy to powstrzyma Piaskuna?

– Piaskuna?

– Gdybyś spojrział na jego mózg, zobaczyłbyś Irak. I co potem? Magicznie wyłuskałbyś Irak i byłbyś zdrowy?

– Ten e-mail dostała pani od niego?

– Nie wiem, kim on jest.

– Może nieźrównoważoną osobą, którą skierowała pani do doktora Maroniego?

– Nie rozumiem, co ty widzisz w Kay. Czy pachnie kostnicą, gdy wraca do domu? Ale przecież nie ma cię tam, gdy wraca do domu.

– Z pani słów wynika, że dostała e-mail kilka dni po znalezieniu ciała Drew. Zbieg okoliczności? Jeśli ma pani informacje o mordercy, musi mi je pani przekazać – mówi Benton. – Proszę mi powiedzieć. To bardzo poważna sprawa.

Doktor Self pręży nogi i bosymi stopami dotyka stolika między nimi.

– Jak zrzucę magnetofon ze stołu i się zepsuje, co wtedy?

– Ten, kto zabił Drew, znowu zabije.

– Jeśli zrzucę magnetofon... – Dotyka magnetofonu palcem stopy i przesuwa go kawałek dalej. – Co będziemy mogli powiedzieć i zrobić?

Benton wstaje z krzesła.

– Chce pani, żeby znów ktoś został zamordowany, doktor Self? – Podnosi magnetofon, ale go nie wyłącza. – Czyżby nie przechodziła pani przez to wcześniej?

– Otóż to – mówi z łóżka doktor Self. – To spisek. Kay znowu będzie kłamać na mój temat. Jak wcześniej.

Benton otwiera drzwi.

– Nie – mówi. – Tym razem będzie znacznie gorzej.

## ROZDZIAŁ 9

*Ósma wieczorem w Wenecji.*

Maroni nalewa wino do kieliszka, czując nieprzyjemną woń z kanału pod otwartym oknem, gdy gaśnie światło dnia. Chmury przysłaniają połowę nieba grubą, pianistą warstwą, a nad horyzontem widać pierwsze muśnięcie złota.

– Jest maniakalna jak cholera. – Głos Bentona Wesleya jest czysty, jakby mówił tu, nie w Massachusetts. – Nie potrafię być obiektywny wobec niej ani odpowiednio się zachowywać. Nie mogę tam siedzieć i słuchać jej manipulacji i kłamstw. Weź kogoś innego. Skończyłem z nią. Źle tym kieruję, Paulo. Jak glinarz, nie klinicysta.

Doktor Maroni siedzi przy oknie, pijąc bardzo dobre barolo, którego smak psuje ta rozmowa. Nie może uciec od Marilyn Self. Wtargnęła do jego szpitala. Wtargnęła do Rzymu. Teraz podążyła za nim do Wenecji.

– Pytam, czy mogę ją usunąć z programu. Nie chcę jej skanować – oznajmia Benton.

– Z pewnością ja ci nie powiem, co zrobić – odpowiada doktor Maroni. – To twój program. Ale chcesz znać moją radę? Nie olewaj jej. Śmiało, zrób jej rezonans. Postaraj się, żeby doświadczenie było przyjemne, i po prostu załóż, że dane są do niczego. Potem ona wyjedzie.

– Co to znaczy, wyjedzie?

– Widzę, że nie zostałeś poinformowany. Została wypisana i wyjeżdża po rezonansie – wyjaśnia doktor Maroni. Kanał za otwartym oknem ma kolor zielonych oliwek i jest gładki jak szkło. – Rozmawiałeś z Ottem?

– Z Ottem?

- Z kapitanem Pomą.
- Wiem, o kogo chodzi. Dlaczego miałbym z nim rozmawiać?
- Wczoraj jadłem z nim kolację w Rzymie. Dziwię się, że nie skontaktował się z tobą. Jest w samolocie, w drodze do Stanów.
- Jezu Chryste.
- Chce porozmawiać z doktor Self o Drew Martin. Widzisz, czuje, że ona ukrywa jakieś ważne informacje.
- Proszę, powiedz mi, że ty niczego nie zataiłeś.
- Nie zataiłem. W każdym razie on wie.
- Nie rozumiem, jak to możliwe – mówi Benton. – Czy zdajesz sobie sprawę, co ona robi, gdy uzna, że komuś powiedzieliśmy, iż jest tu pacjentką?

Taksówka wodna przepływa powoli i woda chlupocze o mury mieszkania doktora Maroniego.

– Można chyba założyć, że kapitan ma informacje od ciebie. Albo od Kay. Skoro oboje jesteście członkami Międzynarodowego Zespołu Śledczego i prowadzicie dochodzenie w sprawie morderstwa Drew Martin.

- Na pewno nie.
- A Lucy?
- Ani Kay, ani Lucy nie wiedzą, że doktor Self jest tutaj – – zapewnia Benton.

– Lucy przyjaźni się z Joshem.

– Jezu Chryste. Widuje go, gdy przyjeżdża na rezonans. Rozmawiają o komputerach. Czemu miałby jej o tym powiedzieć?

Na dachu po drugiej stronie kanału mewa miauczy jak kot. Milknie, gdy turysta rzuca jej chleb.

- To, co mówię, oczywiście jest hipotetyczne – zaznacza doktor Maroni.
- Wpadło mi do głowy pewnie dlatego, że Josh często do niej dzwoni, gdy

nawali mu komputer albo ma jakiś inny problem tego rodzaju, z którym nie może sobie poradzić. Rozumiesz, ciężko mu być jednocześnie technikiem rezonansu, jak też informatykiem.

– Co?

– Pytanie, dokąd ona pojedzie i jakie dalsze kłopoty spowoduje.

– Do Nowego Jorku, jak sądzę.

– Powiesz mi, jak będziesz wiedział. – Doktor Maroni pije wino. – Wszystko jest hipotetyczne. Mam na myśli Lucy.

– Jeśli nawet Josh jej powiedział, skąd wniosek, że ona potem powiedziała kapitanowi Pomie, którego przecież nie zna?

– Musimy śledzić ruchy doktor Self, gdy wyjedzie. Z pewnością będzie jeszcze sprawiać kłopoty.

– Czego dotyczy ta enigmatyczna rozmowa? Nie rozumiem.

– Już to widzę. Szkoda. Cóż, to nie ma większego znaczenia. Wyjedzie. Powiesz mi dokąd.

– Nie ma większego znaczenia? Jeśli się dowie, że ktoś powiedział kapitanowi Pomie, że jest albo była pacjentką w MacLeanie, uzna to za naruszenie ustawy o ochronie danych osobowych. Będzie sprawiać kłopoty, oczywiście, że tak, i dokładnie tego chce.

– Nie mam żadnej kontroli nad tym, co Otto jej powie ani kiedy. Karabinierzy kierują śledztwem.

– Nie rozumiem, co się tu dzieje, Paulo. Gdy przeprowadzałem z nią wywiad, powiedziała mi o pacjencie, którego skierowała do ciebie. – Głos Bentona zdradza frustrację. – Nie rozumiem, dlaczego mi o tym nie powiedziałaś.

Fasady domów wzdłuż kanału mają przygaszone pastelowe odcienie, a w miejscach, gdzie odpadł tynk, widać cegły. Wypolerowana tekowa łódź przepływa pod garbatym ceglany mostem. Most jest bardzo niski, głowa

stojącego kapitana, który kciukiem przesuwając dźwignię przepustnicy, niemal muska przęsło.

– Tak, skierowała do mnie pacjenta. Otto mnie o to pytał – mówi doktor Maroni. – Wczoraj wieczorem powiedziałem mu, co wiem. Przynajmniej tyle, ile wolno mi było powiedzieć.

– Byłoby miło, gdybyś powiedział mnie.

– Teraz ci mówię. Gdybyś nie poruszył tego tematu, i tak bym ci powiedział. Widziałem go kilka razy w ciągu paru tygodni. W listopadzie.

– Nazywa siebie Piaskunem. Według doktor Self. Czy to brzmi znajomo?

– Nic mi nie mówi.

– Według niej tak podpisuje e-maile.

– Gdy w październiku zadzwoniła do mojego gabinetu i poprosiła, żebym przyjął tego człowieka w Rzymie, nie przekazała mi żadnych e-maili. Nie powiedziała, że posługuje się nickiem Piaskun. On nie wspomniał mi o tym, gdy był w moim gabinecie. Dwa razy, jak sądzę. W Rzymie, jak powiedziałem. Nie posiadam informacji, które prowadziłyby do wniosku, że kogoś zabił, i to samo powiedziałem Ottowi. Nie mogę więc pokazać ci danych pacjenta ani podzielić się swoją opinią na jego temat, i wiem, że to rozumiesz, Bentonie.

Doktor Maroni sięga po karafkę i nalewa wino do kieliszka, gdy słońce chowa się w kanale. Powietrze wpadające przez okno staje się chłodniejsze, a zapach wody mniej dokuczliwy.

– Możesz mi podać jakiegokolwiek informacje? – pyta Benton. – Historia osobista? Rysopis? Wiem, że był w Iraku. To wszystko, co wiem.

– Nie mógłbym, gdybym nawet chciał. Nie mam przy sobie notatek.

– Co znaczy, że mogą zawierać ważne informacje.

– Hipotetycznie.

- Nie sądzisz, że powinieneś to sprawdzić?
- Nie mam ich.
- Jak to: „nie masz ich”?
- To znaczy, nie w Rzymie – mówi doktor Maroni ze swojego tonącego miasta.



Kilka godzin później, Kick ‘N Horse Saloon, trzydzieści kilometrów na północ od Charlestonu.

Marino siedzi naprzeciwko Shandy Snook, oboje jedzą stek w panierce z krakersami, sosem i kaszą kukurydzianą. Dzwoni jego komórka. Patrzy na numer na wyświetlaczu.

- Kto to? – pyta Shandy, sącząc bloody mary przez słomkę.
- Dlaczego ludzie nie zostawią mnie w spokoju?
- Lepiej, żeby to nie było to, co myślę. Cholera, jest siódma, jemy kolację.
- Nie ma mnie. – Marino wciska guzik, żeby uciszyć telefon, zachowuje się, jakby wcale się nie przejmował.
- Tak. – Shandy siorbie głośno, wysączając resztki drinka. Odgłosy przypominają mu przepychanie zlewu. – Nikogo nie ma w domu.

W barze muzyka zespołu Lynyrd Skynyrd aż dudni w głośnikach, mrugają neonowe reklamy budweisera, pod sufitem powoli obracają się wentylatory. Siodła i autografy zdobią ściany, a na parapetach stoją modele motocykli, figurki koni z rodeo i ceramiczne węże. Wokół drewnianych stołów tłoczą się motocykliści. Inni stoją na werandzie, wszyscy jedzą, piją i szykują się na koncert Hed Shop Boys.

- Kurwa mać – mamrocze Marino, patrząc na leżącą obok komórki bezprzewodową słuchawkę Bluetooth. Zignorowanie tego telefonu jest



niemożliwe. To ona. Choć na ekranie widnieje numer zastrzeżony, wie, że to ona. Do tej pory musiała zobaczyć, co jest w jego komputerze. Jest zaskoczony i zirytowany, że trwało to tak długo. Jednocześnie czuje dreszcz upojenia. Wyobraża sobie doktor Self, pragnącą go jak Shandy. Wyzuwającą go z sił jak Shandy. Nie spał od bitego tygodnia.

– Jak zawsze mówię, trup nie stanie się bardziej martwy, racja? – przypomina mu Shandy. – Niech Wielka Szefowa choć raz sama się tym zajmie.

To ona. Shandy o tym nie wie. Przypuszcza, że to jakiś zakład pogrzebowy. Marino sięga po bourbona z piwem imbirowym, wciąż spoglądając na komórkę.

– Niech choć raz sama się tym zajmie – gdera Shandy. – Pieprzyć ją.

Marino nie odpowiada, jego napięcie rośnie, gdy kręci resztką drinka. Gdy nie odbiera telefonów od Scarpetty albo nie oddzwania, niepokój ściska mu pierś. Myśli, co powiedziała mu doktor Self, czuje się oszukany i wykorzystany. Pali go twarz. Przez większą część dwudziestu lat Scarpetta sprawiała, że czuł się nie dość dobry, podczas gdy być może problem leży po jej stronie. Zgadza się. To prawdopodobnie z nią coś jest nie w porządku. Nie lubi mężczyzn. Do diabła, nie. I przez wszystkie te lata kazała mu myśleć, że to jego problem.

– Niech Wielka Szefowa zajmie się najnowszym sztywnym. Nie ma nic lepszego do roboty – mówi Shandy.

– Nic nie wiesz o niej ani o tym, co robi.

– Byłbyś zaskoczony, ile o niej wiem. Lepiej uważaj. – Shandy zamawia następnego drinka.

– Na co?

– Stajesz w jej obronie. To działa mi na nerwy. Jakbyś zapominał, kim jestem w twoim życiu.

– Po całym tygodniu.

– Po prostu pamiętaj, kotku. Jesteś na każde jej zawołanie. Dlaczego? Dlaczego zawsze skaczesz, jak ci zagra? Hop! Hop! – Ze śmiechem pstryka palcami.

– Zamknij się, do cholery!

– Hop! Hop! – Shandy się pochyła, więc Marino może zobaczyć, co ma pod jedwabną kamizelką.

Sięga po telefon, podnosi słuchawkę.

– Prawda? – Nie nosi stanika. – Traktuje cię jak sekretarkę. Popychadło, zero. Nie jestem pierwszą osobą, która tak mówi.

– Nie pozwalam nikomu traktować się w ten sposób. Przekonamy się, kim jest zero. – Marino myśli o doktor Self i wyobraża sobie, jak sam występuje w ogólnokrajowej telewizji.

Shandy wsuwa rękę pod stolik, pociera go. On zagląda w wycięcie jej kamizelki, widzi tyle, ile chce.

– Nie – mruczy, czekając, coraz bardziej zaniepokojony i zły.

Inni motocykliści kręcą się w pobliżu nich, aby popatrzeć, jak Shandy pochyła się nad stołem. Marino obserwuje ją, jej piersi wzbierają, rowek pomiędzy nimi się pogłębia. Shandy wie, jak prowadzić rozmowę, żeby każdy zainteresowany mógł sobie wyobrazić, że pozerają nie tylko wzrokiem. Wielki facet z wielkim brzuchem i łańcuszkiem przypiętym do portfela powoli wstaje z miejsca przy barze. Niespiesznie idzie do ubikacji, podziwiając widok, i Marino czuje się jak zgwałcony.

– Nie lubisz tego? – Shandy go masuje. – Bo ja czuję, że lubisz. Pamiętasz zeszłą noc, kotku? Cholera, jak nastolatek.

– Nie – powtarza.

– Dlaczego? „Sztynniejesz” przeze mnie? – Jest dumna ze swoich gier słownych.

Odsuwa jej rękę.

– Nie teraz.

Oddzwania do Scarpetty.

– Tu Marino – mówi szorstko, jak do obcej osoby, żeby Shandy nie zorientowała się, z kim rozmawia.

– Muszę się z tobą zobaczyć – informuje go Kay.

– Tak. O której? – Marino zachowuje się tak, jakby jej nie znał. Jest podniecony i zazdrosny, gdy motocykliści przechodzą obok stolika, patrząc, jak jego ciemnoskóra, egzotyczna dziewczyna pokazuje swoje wdzięki.

– Jak najszybciej. W moim domu – mówi Scarpetta do jego ucha. Nie jest przyzwyczajony do takiego tonu i wyczuwa jej furię jak nadciągającą burzę. Widziała e-maile, jest tego pewien.

Shandy pyta spojrzeniem: Z kim rozmawiasz?

– Tak, chyba tak. – Marino udaje irytację, zerka na zegarek. – Bądź tam za pół godziny. – Rozłącza się, mówi do Shandy: – Jedzie ciało.

Ona patrzy na niego, jakby próbowała wyczytać prawdę z jego oczu, jakby z jakiegoś powodu wiedziała, że kłamie.

– Z którego zakładu? – Prostuje się na krześle.

– Od Meddicków. Znowu. Co za dziwak. Nic nie robi, tylko jeździ tym cholernym karawanem rano, w południe i wieczorem. Nazywamy takich łowcami skór.

– Aha. Do dupy.

Marino przenosi spojrzenie na mężczyznę, który ma buty ze zdartymi obcasami, a na głowie chustkę z deseniem w płomienie. Nie patrzy na nich, gdy przechodzi obok ich stolika do bankomatu.

Zwrócił na niego uwagę tego wieczoru, ale wcześniej go nie widział. Teraz przygląda się, jak facet wypłaca żalosalne pięć dolców. Na stołku przy

barze śpi jego kundel. Mężczyzna ani razu go nie pogłaskał, nie poprosił barmana o jakiś smakołyk czy choćby o miskę wody.

– Nie wiem, dlaczego to musisz być ty. – Shandy znowu zaczyna, ale głos ma inny. Spokojniejszy, chłodniejszy, jakby ścięty pierwszym mrozem złości. – Jak się pomyśli, co wiesz i co robisz. Wielki detektyw od spraw zabójstw. Ty powinieneś być szefem, nie ona. Ani ta lesba, jej siostrzenica. – Przeciąga ostatnim krakersem przez biały sos rozsmarowany na papierowym talerzu. – Wielka Szefowa zrobiła z ciebie Niewidzialnego Człowieka.

– Mówiłem ci. Nie mów tak o Lucy. Gównu wiesz.

– Prawda to prawda. Nie musisz mi mówić. Każdy w tym barze wie, na jakim siodle ona jeździ.

– Zamknij się! – Marino ze złością dopija drinka. – Dość gadania o Lucy. Znamy się od czasów, gdy była dzieckiem. Nauczyłem ją prowadzić samochód, nauczyłem ją strzelać i nie chcę słyszeć ani słowa więcej. Kapujesz? – Ma ochotę na następnego drinka, wie, że nie powinien, bo już wypił trzy bourbony, mocne. Wypalił dwa papierosy, jeden za Shandy, jeden za siebie. – Zobaczymy, kto jest niewidzialny.

– Prawda to prawda. Miałeś prawdziwy zawód, zanim Wielka Szefowa zaczęła ciągać cię za sobą. Dlaczego się od niej nie odczepiłeś? Ja wiem dlaczego. – Patrzy na niego oskarżycielsko, wydmuchując smugę dymu. – Myślałeś, że na ciebie leci.

– Może powinniśmy wyjechać. Do wielkiego miasta.

– Ja z tobą? – Shandy wydmuchuje więcej dymu.

– Może do Nowego Jorku?

– Nie możemy jechać motocyklami do Nowego cholernego Jorku. Nie ma mowy, nie przeniosę się do miejsca zatłoczonego jak ul, pełnego wszystkich tych nadętych jankesów.

Marino obrzuca ją swoim najbardziej seksownym spojrzeniem i sięga pod stół. Pociera jej udo, bo się boi, że ją traci. Każdy mężczyzna w tym barze jej pragnie, a ona wybrała jego. Pocierając jej udo, myśli o Kay i co ona mu powie. Czytała e-maile od doktor Self. Może zaczyna pojmować, kim on jest i co myślą o nim inne kobiety.

– Chodźmy do ciebie – proponuje Shandy.

– Dlaczego choć raz nie pójdziemy do ciebie? Boisz się ze mną pokazać czy co? Może mieszkasz wśród bogaczy, a ja nie jestem dość dobry?

– Muszę zdecydować, czy chcę cię zatrzymać. Widzisz, nie lubię niewolnictwa. Ona zaorze cię na śmierć jak niewolnika, a ja wiem wszystko o niewolnikach. Mój pradziadek był niewolnikiem, ale mój tata nie. Nikt mu nie mówił, co, do cholery, ma robić. Marino podnosi pusty plastikowy kubek, uśmiecha się do Jess, która wygląda dziś wspaniale w obcisłych dżinsach i koszulce na ramiączkach.

– Jedziesz do domu? – pyta Jess.

– Żaden problem. – Mruga do niej.

– Może powinieneś zostać na kempingu. Mam tam pustą przyczepę. – Ma ich kilka w lesie za barem, na wypadek gdyby goście nie kwalifikowali się do jazdy.

– Nie mógłbym być w lepszej formie.

– Przynieś mi następnego! – Shandy ma brzydki nawyk wyszczekiwania rozkazów ludziom, którzy nie osiągnęli jej pozycji w życiu.

– Wciąż czekam na twoje zwycięstwo w konkursie konstruktorów motocykli, Pete. – Jess ignoruje Shandy, mówi mechanicznie, powoli, wpatrzona w usta Marina.

Trwało to jakiś czas, zanim się przyzwyczaił. Nauczył się patrzeć na Jess, gdy mówi, nigdy za głośno, bez przesadnego artykułowania. Teraz

często zapomina o jej głuchocie i łączy go z nią wyjątkowa bliskość, może dlatego że nie mogą rozmawiać bez patrzenia na siebie.

– Sto dwadzieścia pięć tysięcy dolarów w gotówce za pierwsze miejsce.  
– Jess przeciągle wypowiada oszałamiającą sumę.

– Założę się, że w tym roku wygrają Rzeczne Szczury – mówi Marino, świadom, że Jess tylko się z nim droczy, może trochę flirtuje. Nigdy nie zbudował motocykla ani nie brał udziału w żadnych zawodach, i nigdy to się nie stanie.

– A ja stawiam na Grzmiącą Maszynę. – Shandy wtrąca się w ten swój przemądrzały sposób, czego Marino nienawidzi. – Eddie Trotta jest fantastyczny. Może wtruchtać do mojego łóżka, kiedy tylko zechce.

– Coś ci powiem. – Marino obejmuje Jess w talii, patrząc na nią, żeby widziała, co mówi. – Kiedyś będę miał wielką forszę. Nie będę musiał wygrywać w konkursie konstruktorów motocykli ani babrać się w zaszranej robocie.

– Powinien rzucić swoją zaszraną robotę, przy tych zarobkach tylko traci czas, mój zresztą też – mówi Shandy. – Jest niczym więcej jak popychadłem Wielkiej Szefowej. Poza tym nie musi pracować. Ma mnie.

– Serio? – Marino wie, że nie powinien tego mówić, ale jest pijany i pełen nienawiści. – A jak ci powiem, że dostałem propozycję wystąpienia w telewizji w Nowym Jorku?

– W reklamie płynu na wypadanie włosów? – Shandy śmieje się, gdy Jess próbuje odczytać, co powiedziała.

– Jako konsultant doktor Self. Poprosiła mnie. – Nie może się powstrzymać, chociaż powinien zmienić temat.

Shandy wygląda na szczerze zaskoczoną.

– Kłamiesz! – wybucha. – Czemu miałyby jej na tobie zależeć?

– Łączy nas przeszłość. Chce, żebym dla niej pracował. Myślałem o tym, może zgodziłbym się od razu, ale to by znaczyło przeprowadzkę do Nowego Jorku i zostawienie ciebie, kotku. – Obejmuje ją.

Shandy się odsuwa.

– Wygląda na to, że jej show jest na najlepszej drodze, by zostać komedią.

– Dopisz tego gościa do mojego rachunku – poleca Marino głośno, nagle wspaniałomyślny, ruchem głowy wskazując mężczyznę w płomienistej bandanie, siedzącego przy barze z psem u jego nogi.

Mężczyzna odwraca się i Marino może się przyjrzeć twarzy z dziobami po trądziku. Jego oczy, oczy węża, przywodzą mu na myśl ludzi, którzy odsiadywali wyrok.

– Sam mogę zapłacić za swoje cholerne piwo – mruczy mężczyzna w bandanie.

Shandy wciąż skarży się Jess, nie patrząc jej w twarz, więc równie dobrze może mówić do siebie.

– Nie wyglądało na to, że możesz zapłacić za cokolwiek więcej, ale przepraszam za swoją południową gościnność. – Marino podnosi głos na tyle, żeby słyszeli go wszyscy w barze.

– Chyba nie powinieneś nigdzie jechać. – Jess patrzy na niego, na jego drinka.

– W jego życiu jest miejsce tylko dla jednej kobiety i niedługo sam do tego dojdzie – mówi Shandy do Jess i każdego, kto słucha. – Poza tym co on ma beze mnie? Jak myślisz, kto mu dał ten szalowy naszyjnik?

– Pieprzę cię – warczy mężczyzna w bandanie. – Pieprzę twoją matkę.

Jess podchodzi do baru, krzyżuje ramiona. Mówi do mężczyzny w bandanie:

– Tutaj wyrażamy się grzecznie. Chyba będzie lepiej, jak stąd wyjdiesz.

– Co? – Mężczyzna przykłada rękę do ucha, szydząc z niej. Zgrzyta krzesło i Marino w trzech długich krokach staje pomiędzy nimi.

– Przepróś ją, dupku.

Oczy mężczyzny są ostre jak igły. Mnie pięciodolarowy banknot, który wypłacił z bankomatu, rzuca go na podłogę i rozgniatą obcasem jak niedopałek. Klepie psa po zadzie i idzie do drzwi, rzucając przez ramię:

– Może wyjdiesz ze mną na zewnątrz, jak mężczyzna? Mam ci coś do powiedzenia.

Marino idzie za nim i jego psem przez parking do starego motocykla, pewnie poskładanego w latach siedemdziesiątych; ma cztery biegi z zapłonem mechanicznym, jest pomalowany na ognistą czerwień. Tablica rejestracyjna wygląda dziwnie, przyciąga jego uwagę.

– Tektura – uświadamia sobie głośno. – Domowej roboty. Urocze. Gadaj, co masz do powiedzenia.

– Dlaczego jestem tu dzisiaj? Mam dla ciebie wiadomość – mówi mężczyzna. – Siad! – wrzeszczy do psa, który się kuli, rozpląszcza na ziemi.

– Następnym razem przyślij list. – Marino chwytą go za przód brudnej bluzy dżinsowej. – To tańsze niż pogrzeb.

– Jak mnie nie puścisz, dopadnę cię później i załatwię tak, że popamiętasz. Mam swoje powody, żeby tu być, lepiej posłuchaj.

Marino puszcza go, świadom, że wszyscy wyszli z baru na werandę i patrzą. Pies leży płasko na brzuchu.

– Ta suka, dla której pracujesz, nie jest mile widziana w tych stronach. Niech lepiej wróci tam, skąd przybyła – mówi mężczyzna. – Przekaż jej radę od kogoś, kto może coś z tym zrobić.

– Jak ją nazwałś?!



– Jedno można powiedzieć, ta suka ma niezłe cycki. – Przykłada rozcapierzone palce do piersi i oblizuje powietrze. – Jak nie wyjedzie z miasta, przekonam się, czy są miłe w dotyku.

Marino mocno kopie motor, który z hukiem przewraca się na ziemię. Wyciąga zza paska dzinsów Glocka kaliber czterdzieści i celuje rozmówcy pomiędzy oczy.

– Nie bądź głupi – mówi mężczyzna, gdy motocykliści zaczynają wrzeszczyć z werandy. – Zastrzel mnie, a twoje gówno warte życie będzie skończone, jak dobrze wiesz.

– Hej! Hej! Hej!

– Przestańcie, natychmiast!

– Pete!

Marino ma wrażenie, że odlatuje mu czubek głowy, gdy patrzy w punkt pomiędzy oczami mężczyzny. Odciąga suwadło, wprowadzając nabój do komory.

– Zabij mnie, a sam też będziesz trupem – mówi mężczyzna w bandanie, ale jest przerażony.

Motocykliści krzyczą. Marino niejasno zdaje sobie sprawę, że parę osób zapuszcza się na parking.

– Zabieraj swój zasrany motor – cedzi przez zęby, opuszczając broń. – Zostaw psa.

– Nie zostawię mojego cholernego psa!

– Zostawisz. Traktujesz go jak gówno. A teraz zjeżdżaj stąd, zanim zrobię ci trzecie oko.

Gdy motor odjeżdża z rykiem, Marino wyjmując nabój z komory, wsuwa pistolet za pas, przerażony, nie rozumiejąc, co go napadło. Klepie psa, który wciąż leży płasko na brzuchu i liże go po rękę.

– Znajdziemy kogoś miłego, kto się tobą zajmie – mówi do niego, gdy czyjeś palce wbijają się w jego ramię. Podnosi głowę.

– Chyba czas, żebyś z tym skończył – radzi Jess.

– O czym ty mówisz?

– Wiesz, o czym. Ta kobieta. Ostrzegałam cię. Ona cię tłamsi, przez nią czujesz się nikim, i patrz, co się dzieje. W ciągu jednego krótkiego tygodnia przemieniłeś się w dzikusa.

Ręce drżą mu paskudnie. Patrzy na nią, żeby mogła czytać z jego ust.

– To było głupie, Jess. Co teraz? – Klepie psa.

– Będzie psem barowym, a jeśli ten człowiek wróci, nie wyjdzie mu to na dobre. Ale teraz lepiej uważaj. Coś zacząłeś.

– Widziałaś go kiedyś?

Jess kręci głową.

Marino zauważa Shandy na werandzie, przy poręczy. Zastanawia się, dlaczego nie zeszła na parking. Niemal kogoś zabił, a ona wciąż tam stoi.

## ROZDZIAŁ 10

Gdzieś niedaleko w mroku szczeka pies i ujadanie staje się coraz bardziej natarczywe. Scarpetta słyszy dalekie dudnienie, rytm gaźnika roadmastera Marina. Słyszy to cholerstwo parę przecznic dalej na Meeting Street, gdy kieruje się na południe. Chwilę później ryk rozbrzmiewa w wąskiej uliczce za jej domem. Pił. Poznała po głosie, gdy rozmawiała z nim przez telefon. Jest okropny.

Musi być trzeźwy, żeby mogli odbyć sensowną rozmowę – może najważniejszą z dotychczasowych. Zaczyna parzyć kawę, gdy Marino skręca w lewo na King Street, potem znów w lewo na wąski podjazd, który Kay dzieli ze swoją niemiłą sąsiadką, panią Grimball. Parę razy dodaje gazu, żeby oznajmić swoje przybycie, i gasi silnik.

– Masz coś do picia? – pyta, gdy Scarpetta otwiera frontowe drzwi. – Najlepszy byłby bourbon. Nieprawdaż, pani Grimball?! – krzyczy do okna żółtego drewnianego domu, gdzie porusza się zasłonka. Spina przednie widełki motocykla, wsuwa kluczyk do kieszeni.

– Wejdz, natychmiast. – Kay zdaje sobie sprawę, że jest znacznie bardziej pijany, niż myślała. – Na miłość boską, kto dał ci prawo jeździć tą wąską uliczką, w takim stanie, i wrzeszczeć na moją sąsiadkę?

Marino idzie za nią do kuchni, tupiąc głośno ciężkimi buciorami, jego głowa niemal dotyka górnej części futryny każdych drzwi, przez które przechodzi.

– Kontrola bezpieczeństwa. Chciałem się upewnić, że nic się tu nie dzieje, żadnych zbłąkanych karawanów, żadnych kręcących się bezdomnych.

Wysuwa krzesło, siada przygarbiony. Bucha od niego odór alkoholu, twarz ma czerwoną, oczy nabiegłe krwią.

– Nie mogę długo zostać. Muszę wracać do mojej kobiety. Myśli, że jestem w kostnicy.

Scarpetta podaje mu kawę, czarną.

– Zostaniesz tak długo, aż wytrzeźwiejesz, w przeciwnym razie nawet nie zbliżysz się do motocykla. Nie mogę uwierzyć, że doprowadziłeś się do takiego stanu. To do ciebie niepodobne. Co się z tobą dzieje?

– Wypiłem trochę. Żaden problem. Jestem w formie.

– Jest problem, a ty wcale nie jesteś w formie. Nie obchodzi mnie, jak rzekomo dobrze radzisz sobie z alkoholem. Każdy pijany kierowca myśli, że nie ma problemu, a zaraz potem kończy się śmiercią, kalectwem lub więzieniem.

– Nie przyszedłem tu wysłuchiwać kazań.

– Nie zapraszałam cię pijanego.

– Po co mnie zaprosiłaś? Żeby się ze mnie nabijać? Żeby znaleźć jeszcze coś, co jest ze mną nie w porządku? Jakaś inna moja cecha, która nie dorasta do twoich wygórowanych standardów?

– Nie lubię, gdy tak mówisz.

– Może po prostu nigdy nie słuchałaś.

– Prosiłam, żebyś przyszedł, w nadziei, że odbędziemy szczerą rozmowę, ale pora nie wydaje się odpowiednia. Mam pokój gościnny. Może się prześpisz, pogadamy rano.

– Pora dobra jak każda inna. – Marino ziewa i przeciąga się, nie dotykając kawy. – Mów. Albo gadasz, albo znikam.

– Chodźmy do pokoju, usiądziemy przed kominkiem. – Scarpetta wstaje od kuchennego stołu.

– Na zewnątrz są dwadzieścia cztery pieprzone stopnie. – On też wstaje.

– W takim razie sprawię, że będzie miło i chłodno. – Kay podchodzi do termostatu i włącza klimatyzację. – Zawsze uważałam, że łatwiej jest rozmawiać przy ogniu.

Marino idzie z nią do jej ulubionego pokoju, małego z ceglanym kominkiem, podłogami z twardego drewna, belkami i tynkowanymi ścianami. Scarpetta kładzie w palenisku kłodę nasączoną chemikaliami i podpala ją, przyciąga dwa fotele i gasi lampy.

Marino patrzy, jak płonienie trawia papierowe opakowanie polana, i mówi:

– Nie mogę uwierzyć, że tego używasz. Oryginalne to, oryginalne tamto, a tu raptem sztuczne kłody.



Lucious Meddick okrąża kwartał i jego uraza rośnie.

Widział, jak oboje wchodzili do środka, gdy ten dupowaty detektyw przyjechał pijany na motocyklu, niepokojąc sąsiadów. Podwójna premia, myśli. Jest błogosławiony, bo został niesprawiedliwie potraktowany, a Bóg mu to wynagrodził. Wyruszając z myślą, że da jej nauczkę, przyłapał ich oboje. Powoli jedzie nieoświetloną uliczką, zmartwiony, że znów może złapać gumę, i coraz bardziej zły. Mocno strzela gumową opaską, gdy narasta w nim frustracja. Głosy dyspozytorów policji w skanerze są przytłumione szumem, ledwo je rejestruje.

Nie zadzwonili po niego. Przejechał obok śmiertelnego wypadku samochodowego na William Hilton Highway, widział ciało ładowane do karawanu konkurencji – starego – i znów został zignorowany. Hrabstwo Beaufort jest teraz jej podwórkiem i nikt po niego nie dzwoni. Bojkotuje go, bo pomylił jej adres. Jeśli pomyślała, że naruszył jej prywatność, to jeszcze nie zna znaczenia tego słowa.

Filmowanie kobiet w nocy przez okno jest dla niego nowym doświadczeniem. Zaskakujące, jakie to łatwe, i ile kobiet nie zaciąga zasłon, nie opuszcza rolet albo zostawia wąską na parę centymetrów szczelinę, myśląc: Kto będzie patrzył? Kto wejdzie w krzaki albo na drzewo, żeby patrzeć? Lucious, oto kto. Zobaczymy, czy zadzierająca nosa lekarka spodoba się sobie w filmie amatorskim, który ludzie będą mogli oglądać za frajer, nie wiedząc, kto go nakręcił. Jeszcze lepiej, sfilmuje ich oboje, w trakcie. Lucious myśli o karawanie – ani trochę tak pięknym jak jego – i o wypadku, i ta niesprawiedliwość jest nie do zniesienia.

Kogo wezwali? Nie jego. Nie Luciousa, chociaż zgłosił policji przez radio, że jest w okolicy. W odpowiedzi dyspozytorka nieuprzejmym, opryskliwym tonem oświadczyła, że go nie wywoływała, i spytała, co za jednostka. Odparł, że żadna, a wówczas, nie przebierając w słowach, wytłumaczyła mu, że ma się trzymać z daleka od pasma policyjnego i, skoro o tym mowa, od radia w ogóle. Lucious strzela gumką, aż skóra piecze jak smagnięta batem. Podskakuje na bruku, mija żelazną bramę za ogrodem lekarki i zauważa białego cadillaca tarasującego drogę. Pstryka gumką i klnie. Rozpoznaje owalną nalepkę na tylnym zderzaku.

HH – Hilton Head.

Zostawi cholerny karawan właśnie tutaj. Nikt nie przejedzie tą cholerną uliczką, a on zgłosi cadillaca na policję i będzie się śmiał, gdy wlepią kierowcy mandat. Radośnie myśli o YouTube i kłopotach, jakie sprawi. Ten cholerny detektyw włazi w majtki tej cholernej dziwki. Widział, jak wchodzi do domu, ukradkiem, w niecnym zamiarach. On ma dziewczynę, tę seksowną, z którą był w kostnicy. Widział, jak się obmacywali, nie zwracając na niego uwagi. Z tego, co słyszał, doktor Scarpetta ma faceta na Północy. To nie przelewki. Pomyśleć, że robił z siebie głupca, reklamował swoją firmę, mówił temu chamskiemu detektywowi, że on – Lucious

Meddick – będzie wdzięczny za wezwania od niego i jego szefowej, a ich reakcja? Brak szacunku. Dyskryminacja. Teraz za to zapłacą.

Wyłącza silnik, gasi światła i wysiada, patrząc gniewnie na cadillaca. Otwiera tył karawanu, pusty wózek jest przypięty do podłogi, na nim leżą schludnie złożone prześcieradła i worki na ciała. Znajduje kamerę z magnetowidem i zapasowe baterie w podręcznej skrzynce, zamyka klapę i patrzy na cadillaca. Mija go, zastanawiając się, jak najlepiej zbliżyć się do domu lekarki.

Ktoś porusza się za szybą drzwi kierowcy, Lucious widzi tylko ciemny zarys we wnętrzu samochodu. Uszczęśliwiony, włącza kamerę, żeby sprawdzić, ile ma wolnej pamięci, i cień w cadillacu znowu się przesuwa. Okrąża wóz i filmuje tablicę rejestracyjną.

Pewnie jakaś para się obściskuje. Ta myśl go podnieca. Potem czuje się niemile dotknięty. Widzieli jego światła i nie zjechali z drogi. Brak szacunku. Widzieli, jak parkował karawan w ciemności, bo nie mógł przejechać. Nie mogli być bardziej nieuprzejmi. Pożalują tego. Stuka w szybę. Przestraszy ich, ale to dobrze.

– Mam wasze numery. – Podnosi głos. – Dzwonię na policję.



Trzaska płonąca kłoda. Angielski zegar tyka na kominku.

– Co się z tobą dzieje? – pyta Scarpetta, patrząc na Marina. – Co jest nie w porządku?

– Ty mnie zaprosiłaś, zakładam więc, że to z tobą coś jest nie w porządku.

– Z nami obojgiem. Jak myślisz? Wyglądasz żałośnie. Sprawiasz, że ja czuję się żalosna. Ostatni tydzień wymknął się spod kontroli. Chcesz mi

powiedzieć, co zrobiłeś i dlaczego? A może chcesz, żebym ja ci powiedziała? Trzaskają płomienie.

– Proszę, Marino. Powiedz to.

Marino patrzy w ogień. Przez jakiś czas milczą.

– Wiem o e-mailach – oznajmia Kay. – Ale zapewne wiesz, że wiem, skoro poprosiłeś Lucy, żeby tamtej nocy sprawdziła ten rzekomy alarm.

– Kazałaś więc jej grzebać w moim komputerze. I tyle, jeśli chodzi o zaufanie.

– Och, mówienie o zaufaniu nie jest dobrym pomysłem.

– Będę mówił, co chcę.

– Wycieczka, którą urządziłeś swojej dziewczynie. Wszystko zostało nagrane. Widziałam. Każdą minutę.

Marino krzywi twarz. Oczywiście wie, że w prosektorium są kamery i mikrofony, lecz Scarpetta widzi, że nie przyszło mu na myśl, iż ktoś mógł ich obserwować. Oczywiście wiedział, że kamery i mikrofony zarejestrują każdy ich gest i słowo, ale prawdopodobnie założył, że Lucy nie będzie miała powodu przeglądać zapisu. Miał rację. Nie miała powodu. Był pewny, że sprawa się nie wyda, co czyni jego postępek tym bardziej nagannym.

– Wszędzie są kamery – mówi Kay. – Naprawdę myślałeś, że nikt się nie dowie, co zrobiłeś?

Nie odpowiada.

– Myślałam, że ci zależy. Myślałam, że się zajmujesz tym zamordowanym chłopcem. A jednak rozpiąłeś worek i urządziłeś przedstawienie dla swojej przyjaciółki. Jak mogłeś?

Nie patrzy na nią ani nie odpowiada.

– Marino, jak mogłeś to zrobić? – pyta go znowu.

– To był jej pomysł. To chyba widać na nagraniu.



– Zwiedzanie prosektorium bez mojego pozwolenia jest wystarczająco karygodne. Ale jak mogłeś pokazać jej zwłoki? Zwłaszcza jego.

– Widziałaś nagranie, Lucy mnie szpiegowała. – Patrzy na nią ze złością.

– Shandy nie chciała słyszeć o odmowie. Nie chciała wyjść z chłodni. Próbowałem jej to wyperswadować.

– To żadne wytłumaczenie.

– Szpiegowanie. Mam tego powyżej uszu.

– Zdrada i brak szacunku. Mam tego powyżej uszu.

– I tak myślałem o odejściu – mówi złośliwym tonem. – Skoro wściubiłaś nos w moje e-maile od doktor Self, powinnaś wiedzieć, że mam lepsze widoki niż siedzenie tu z tobą do końca życia.

– Chcesz odejść? A może masz nadzieję, że cię zwolnię? Bo zasłużyłeś na to po tym, co zrobiłeś. Nie organizujemy wycieczek po kostnicy i nie robimy widowiska z biednych ludzi, którzy tam trafiają.

– Jezu, nienawidzę, jak kobiety na wszystko reagują z przesadą. Ponoszą je emocje i zachowują się nieracjonalnie. Śmiało. Wylej mnie. – Marino nadzwyczaj starannie wymawia słowa, jak człowiek, który wie, że jest pijany, ale chce sprawiać wrażenie trzeźwego.

– Tego właśnie chce doktor Self.

– Jesteś po prostu zazdrosna, ponieważ ona jest o niebo ważniejsza od ciebie.

– Nie jesteś Pete'em Marinem, którego znam.

– A ty nie jesteś tą samą doktor Scarpettą. Czytałaś, co jeszcze napisała o tobie?

– Napisała całkiem sporo.

– O kłamstwie, w jakim żyjesz. Dlaczego w końcu się do tego nie przyznasz? Może stąd Lucy to ma. Od ciebie.

– Preferencje seksualne? Czy właśnie tego tak rozpaczliwie chcesz się dowiedzieć?

– Boisz się przyznać.

– Gdyby sugestie doktor Self były prawdą, na pewno nie bałabym się przyznać. Boją się ludzie tacy jak ona, tacy jak ty.

Marino odchyła się w fotelu i przez chwilę jest chyba bliski łez. Potem jego twarz znów twardnieje, gdy patrzy w ogień.

– Twój wczorajszy postępek – zaczyna Kay – nie pasuje do Marina, którego znałam przez wszystkie te lata.

– Może taki byłem, tylko ty nigdy nie chciałaś tego dostrzec.

– Wiem, że nie. Co się z tobą stało?

– Nie wiem, jak się tu znalazłem. Patrzę w przeszłość i widzę faceta, który przez jakiś czas był niezłym bokserem, ale nie chciał mieć papki zamiast mózgu. Miałem dość bycia mundurowym gliną w Nowym Jorku. Poślubiłem Doris, która miała mnie dość, miałem syna czubka, który nie żyje, i wciąż uganiam się za świrami. Nie jestem pewien, dlaczego to robię, i nigdy nie umiałem rozgryźć, dlaczego ty robisz to, co robisz. Prawdopodobnie mi nie powiesz – mówi ponuro.

– Może dlatego, że wychowałam się w domu, gdzie nikt ze mną nie rozmawiał w sposób, który przekazywałby coś, co pragnęłam usłyszeć, albo sprawił, że czułabym się rozumiana i ważna. Może dlatego, że patrzyłam, jak umiera mój ojciec. Wszyscy patrzyliśmy, codziennie. Może przez całe późniejsze życie próbowałam zrozumieć to, co przytłoczyło mnie w dzieciństwie. Śmierć. Nie sądzę, że istnieją proste czy choćby logiczne przyczyny, z powodu których jesteśmy, jacy jesteśmy, i robimy, co robimy.

– Patrzy na niego, ale on nie patrzy na nią. – Może nie ma prostej ani nawet logicznej odpowiedzi, która wyjaśniłaby twoje zachowanie. Ale chciałabym, żeby była.

– W dawnych czasach nie pracowałem dla ciebie. To się zmieniło. –  
Wstaje. – Muszę się napić.

– Nie tego potrzebujesz – sprzeciwia się Kay z niepokojem.

Marino nie słucha, i zna drogę do barku. Scarpetta słyszy, jak otwiera szafkę i wyjmuje szklanę, a potem z drugiej szafki butelkę. Wraca do pokoju ze szklaneczką alkoholu w jednej ręce, z butelką w drugiej. Niepokój ściska ją za gardło. Chciałaby, żeby sobie poszedł, ale nie może odesłać go pijanego, do tego w środku nocy. Marino stawia butelkę na niskim stoliku.

– Umieliśmy całkiem dobrze się dogadać przez wszystkie te lata w Richmond, gdy ja byłem detektywem, a ty szefową. – Podnosi szklanę. Nie sący. Pije wielkimi haustami. – Potem ciebie wylali, a ja odszedłem. Od tej pory nic nie szło tak, jak myślałem. Cholernie lubiłem Florydę. Mieliśmy zajebisty ośrodek szkoleniowy. Ja kierowałem dochodzeniami, nieźle zarabiałem, miałem nawet psychiatrę, i to sławę. Nie żebym potrzebował psychiatry, ale dzięki niej straciłem na wadze, byłem w doskonałej formie. Szło naprawdę dobrze, dopóki nie przestałem się z nią widywać.

– Gdybyś widywał się z doktor Self, zniszczyłaby ci życie. I nie wierzę, że nie zdajesz sobie sprawy, że jej rozmowy z tobą są czymś więcej niż manipulacją. Wiesz, jaka ona jest. Widziałeś, jaka była w sądzie. Słyszałeś ją.

Marino pije kolejny łyk bourbona.

– Choć raz trafiła się kobieta silniejsza od ciebie, a ty nie możesz tego znieść. Niewykluczone, że nie możesz znieść tego, co nas łączy. Dlatego wycierasz sobie nią gębę, bo nic innego nie potrafisz zrobić. Tkwisz tutaj na ziemi niczyjej i masz zamiar zostać kurą domową.

– Nie obrażaj mnie. Nie chcę z tobą walczyć. Znowu pije i teraz jest z premedytacją złośliwy.

– Może z powodu moich dobrych stosunków z nią chciałaś, żebyśmy wynieśli się z Florydy. Teraz to rozumiem.

– Sądziłam, że wynieśliśmy się z Florydy z powodu huraganu Wilma – mówi Scarpetta, czując coraz większy ucisk w żołądku. – Poza tym chciałam mieć prawdziwe biuro, prawdziwą praktykę.

Marino osusza szklanekę, nalewa sobie więcej bourbona.

– Masz dość – oznajmia Kay.

– Masz rację. – Podnosi szklanekę, pije kolejny łyk.

– Chyba czas, żebym wezwała taksówkę, która zabierze cię do domu.

– Może powinnaś otworzyć prawdziwą praktykę gdzieś indziej i wynieść się stąd w diabły. Będiesz miała lepiej.

– Nie tobie osądzać, gdzie będzie mi lepiej. – Patrzy na niego uważnie. Blask ognia pełga po jego pełnej twarzy. – Proszę, nie pij więcej. Masz dość.

– Mam dość, zgadza się.

– Marino, proszę, nie pozwól, żeby doktor Self wbiła klin pomiędzy nas.

– Ona nie musi tego robić. Sama to zrobiłaś.

– Nie róbmy tego.

– Zróbmy – mamrocze z niepokojącym błyskiem w oku, kołysząc się nieco w fotelu. – Nie wiem, ile dni mi zostało. Kto, u licha, może wiedzieć, co się stanie? Dlatego nie zamierzam marnować czasu w miejscu, którego nienawidzę, pracując dla kogoś, kto nie traktuje mnie z szacunkiem, na jaki zasługuję. Jakbyś była lepsza ode mnie. Zwłaszcza że nie jesteś.

– Co masz na myśli, mówiąc, ile dni ci pozostało? Jesteś chory?

– Chory i zmęczony. Właśnie ci to mówię.

Kay nigdy nie widziała go tak pijanego. Drżą mu ręce, rozlewa bourbona, nie trafiając do szklanki. Ma ochotę wyrwać mu butelkę, ale powstrzymuje ją wyraz jego oczu.

– Mieszkasz sama, a to nie jest bezpieczne – mówi do niej. – Nie jest bezpiecznie mieszkać samotnie w tym starym domu.

– Zawsze mieszkałam sama, mniej więcej.

– Tak. Jak to, kurwa, świadczy o Bentonie? Mam nadzieję, że macie przyjemne życie.

Nigdy nie widziała go tak pijanego i tak pełnego nienawiści. Nie wie, co zrobić.

– Znalazłem się w sytuacji, w jakiej muszę podjąć decyzję. Więc teraz powiem ci prawdę. – Marino pryska śliną, gdy mówi ze szklanką bourbona przechyloną w dłoni. – Praca u ciebie nudzi mnie jak cholera.

– Jeśli tak, cieszę się, że mi to mówisz. – Ale im bardziej próbuje go uspokoić, tym bardziej staje się rozdrażniony.

– Benton, bogaty snob. Doktor Wesley. Ja nie jestem doktorem, prawnikiem albo wodzem indiańskim, więc nie jestem dla ciebie dość dobry. Powiem ci jedną cholerną rzecz. Jestem dość dobry dla Shandy, a ona nie jest taka, jak myślisz, ni cholery. Pochodzi z lepszej rodziny niż twoja. Nie wychowała się w biedzie w Miami u jakiegoś świeżo przybyłego imigranta, który tyrał w spożywczaku.

– Jesteś bardzo pijany. Możesz spać w pokoju gościnnym.

– Twoja rodzina jest nie lepsza od mojej. „Włosi prosto z łódki”, niemający do jedzenia nic poza tanim makaronem i sosem pomidorowym przez pięć wieczorów w tygodniu.

– Zamówię ci taksówkę.

Marino z hukiem stawia szklankę na stoliku.

– To chyba dobry pomysł, wsiąść na konia i odjechać. – Przytrzymuje się fotela, żeby nie stracić równowagi.

– Nawet się nie zbliżysz do motocykla.

Idzie, obija się o futrynę. Kay chwyta go za ramię. Niemal wlecze ją w kierunku drzwi, gdy próbuje go powstrzymać i błaga, żeby nie jechał. Szuka w kieszeni kluczyka, a ona wyrywa mu go z ręki.

– Daj mi kluczyk. Mówię naprawdę grzecznie. Scarpetta zaciska kluczyk w pięści za plecami, stojąc w małym holu przy frontowych drzwiach.

– Nie pojedziesz motocyklem. Ledwo możesz chodzić. Bierzesz taksówkę albo zostajesz na noc. Nie pozwolę ci zabić siebie ani nikogo innego. Proszę, posłuchaj mnie.

– Dawaj! – Patrzy na nią tępym wzrokiem. Jest potężnym mężczyzną, którego nie zna, obcym człowiekiem, który może zrobić jej fizyczną krzywdę. – Daj mi go. – Sięga za nią, łapie za nadgarstek.

Paraliżuje ją strach.

– Marino, puść mnie. – Szamocze się, żeby uwolnić rękę, która jest unieruchomiona jak w imadle. – Boli.

Marino sięga drugą ręką i chwyta ją za drugi przegub. Strach zamienia się w przerażenie, gdy pochyla się nad nią, a jego potężne ciało przyciska ją do ściany. Przez jej głowę przemykają desperackie myśli, jak go powstrzymać, zanim posunie się dalej.

– Marino, puść mnie. Sprawiasz mi ból. Usiądźmy z salonie. – Kay stara się nie zdradzać strachu, gdy stoi z boleśnie wykręconymi rękami. On napiera na nią mocno. – Marino, przestań. Nie chcesz tego. Jesteś bardzo pijany.

Całuje ją i przytrzymuje przy sobie, ona odwraca głowę, próbuje odepchnąć jego ręce, szamocze się i powtarza „nie”. Kluczyk od motocykla spada z brzękiem na podłogę, gdy Marino ją całuje, a ona się opiera i

próbuję go nakłonić, żeby jej posłuchał. Rozdziera jej bluzkę. Kay mówi mu, żeby przestał, próbuje go powstrzymać, gdy zdiera z niej ubranie. Usiłuje odepchnąć jego ręce i powtarza, że ją krzywdzi, a potem przestaje z nim walczyć, bo on jest kimś innym. To nie Marino. To obcy, który napastuje ją w jej domu. Widzi pistolet za paskiem dżinsów, gdy Marino pada na kolana, sprawiając jej ból rękami i ustami.

– Marino? Czy tego chcesz? Zgwałcić mnie? Marino? – mówi spokojnie i nieustraszenie, głos zdaje się płynąć spoza jej ciała. – Marino? Czy tego chcesz? Zgwałcić mnie? Wiem, że nie chcesz. Wiem, że tego nie zrobisz.

Nagle ją puszcza. Powietrze się porusza i ziębi jej skórę, wilgotną od jego śliny, obolałą i poobcieraną przez jego zarost i silne ręce. Marino zakrywa twarz rękami, pochyla się, wciąż klęcząc, obejmuje jej nogi i zaczyna szlochać jak dziecko. Scarpetta wysuwa pistolet zza jego pasa.

– Puść. – Próbuje odsunąć się od niego. – Puść mnie. Marino klęczy, zakrywając twarz rękami. Kay wyjmuje magazynek i odciąga suwadło, żeby sprawdzić, czy nie ma naboju w komorze. Wkłada pistolet do szuflady w stoliku przy drzwiach i podnosi kluczyk motocykla. Chowa go wraz z magazynkiem w stojaku na parasole. Pomaga mu wstać, prowadzi go do pokoju gościnnego przy kuchni. Łóżko jest małe, wydaje się, że Marino zapełnia każdy centymetr powierzchni. Scarpetta ściąga mu buty i okrywa go kołdrą.

– Zaraz wrócę – mówi, zostawiając zapalone światło. W gościnnej łazience nalewa wody do szklanki i wytrząsa cztery pigułki advilu z buteleczki. Wkłada szlafrok. Ma obolałe ręce, poturbowane ciało płonie, wspomnienie jego rąk, ust i języka przyprawia ją o mdłości. Pochyla się nad sedesem i krztusi. Opiera się o umywalkę, parę razy oddycha głęboko i patrzy w lustrze na swoją czerwoną twarz. Sama sobie wydaje się bardziej obca niż on. Ochlapuje się zimną wodą, przepłukuje usta, zmywa go z

każdego miejsca, które dotknął. Omywa łzy i po paru minutach odzyskuje panowanie nad sobą. Wraca do pokoju gościnnego, gdzie Marino już chrapie.

– Marino. Zbudź się. Usiądź. – Pomaga mu, spulchnia poduszki. – Masz, weź te pigułki i wypij całą szklanę wody. Musisz wypić mnóstwo wody. Jutro rano będziesz się czuł jak w piekle, ale to ci pomoże.

Pije wodę i łyka advil, potem odwraca się twarzą do ściany, a ona przynosi mu drugą szklanę.

– Zgaś światło – mówi Marino do ściany.

– Nie możesz spać. Nie odpowiada.

– Nie musisz na mnie patrzeć. Ale nie śpij.

Nie patrzy na nią. Cuchnie whisky, papierosami i potem, i jego zapach przypomina jej o wszystkim. Kay czuje ból, czuje jego dotyk i znów robi jej się niedobrze.

– Nie przejmuj się – mówi Marino niewyraźnie. – Odejdę i już nigdy mnie nie zobaczysz. Zniknę na dobre.

– Jesteś bardzo, bardzo pijany i nie wiesz, co robisz. Ale chcę, żebyś to zapamiętał. Nie wolno ci zasnąć, żebyś jutro wszystko pamiętał. Żebyśmy mogli przez to przebrnąć.

– Nie wiem, co mi odbiło. Omal go nie zastrzeliłem. Okropnie chciałem to zrobić. Nie mam pojęcia, co się ze mną dzieje.

– Kogo omal nie zastrzeliłeś?!

– W barze – bełkocze pijacko. – Nie wiem, co we mnie wstąpiło.

– Powiedz mi, co się stało w barze.

W milczeniu wbija oczy w ścianę, znów oddycha ciężko.

– Kogo omal nie zastrzeliłeś? – pyta głośno Scarpetta.

– Powiedział, że go przysłali.

– Przysłali?



– Rzucił pogrożki pod twoim adresem. Omal go nie zastrzeliłem. Potem przyjechałem tutaj i zachowałem się tak samo jak on. Powinienem się zabić.

– Nie zabijesz się.

– Powinienem.

– To byłoby gorsze od tego, co zrobiłeś. Rozumiesz mnie?

Nie odpowiada. Nie patrzy na nią.

– Jeśli się zabijesz, nie będę cię żałować ani ci nie wybaczę. Odbieranie sobie życia jest egoizmem, nikt z nas ci nie wybaczy.

– Nie jestem dla ciebie dość dobry. Nigdy nie będę. Śmiało, powiedz to i raz na zawsze miejmy to z głowy – mamrocze, jakby miał knebel w ustach.

Dzwoni telefon na stoliku przy łóżku. Scarpetta odbiera.

– To ja – mówi Benton. – Widziałaś, co wysłałem? Jak się masz?

– Tak, a ty?

– Kay? Wszystko w porządku? – Tak, a u ciebie?

– Chryste. Jest ktoś u ciebie? – pyta zaniepokojony.

– Wszystko w porządku.

– Kay? Kto tam jest?

– Jutro porozmawiamy. Postanowiłam zostać w domu, popracować w ogrodzie. Poproszę Byka, żeby przyszedł mi pomóc.

– Jesteś pewna? Jesteś pewna, że można mu zaufać?

– Teraz tak.



Czwarta rano, Hilton Head. Biała piana łamiących się fal bryzga na plażę, jakby pieniły się usta wzburzonego morza.

Will Rambo wchodzi cicho po drewnianych schodach, idzie chodnikiem i przechodzi przez zamkniętą furtkę. Pokryta stiukiem willa w

pseudowłoskim stylu ma spadzisty dach z czerwoną dachówką. Z tyłu stoją miedziane latarnie i kamienny stół zastawiony brudnymi popielniczkami i pustymi szklankami, wśród których jeszcze niedawno leżały jej kluczyki do samochodu. Od tamtej pory kobieta używa zapasowych, chociaż jeździ nieczęsto. Przeważnie siedzi w domu. Will porusza się bezszelestnie. Palmiczki i sosny kołyszają się na wietrze.

*Drzewa kiwają się niczym czarnoksiężskie różdżki, rzucające czary na Rzym, i płatki kwiatów dryfują jak śnieg wzdłuż Via di 'Monte Tarpeo. Maki miały kolor krwi, a wistaria pnąca się po starych ceglanych murach była niebieska jak siniaki. Gołębie dreptały po schodach, a wśród ruin kobiety karmiły dziczące koty, dając im whiskas i jajka na plastikowych talerzykach.*

*Piękny dzień zachęcał do spaceru, turystów było niewielu. Dziewczyna, lekko wstawiona i swobodna, czuła się szczęśliwa w jego towarzystwie. Wiedział, że tak będzie.*

*– Chciałbym, żebyś poznała mojego ojca – powiedział do niej, gdy siedzieli na murze i patrzyli na koty, a ona powtarzała, że to biedne zbłąkane koty, skarłate wskutek inbrodu, i że ktoś powinien je ratować.*

*– Nie zbłąkane, tylko dziczące. To różnica. Te dziczące koty chcą tu być i rozdarłyby cię na kawałki, gdybyś spróbowała je ratować. Nie są porzucone ani skrzywdzone, nie chcą niczego poza bieganiem od śmietnika do śmietnika i chowaniem się pod domami, i będą to robić, dopóki ktoś ich nie wyłapie i nie uśpi.*

*– Dlaczego ktoś chciałby je uśpić? – zapytała.*

*– Bo chciałby. Tak by się stało, gdyby zostały stąd zabrane i trafiły w miejsca, gdzie rozjeżdżałyby je samochody i polowałyby na nie psy, gdzie wciąż byłyby zagrożone i ranione w sposób nie do uleczenia. Tutaj jest*

*inaczej. Spójrz na nie. Są zupełnie same i nikt się do nich nie zbliża, chyba że na to pozwolą. Chcą być tutaj, nigdzie indziej, w tych ruinach.*

*– Dziwak – stwierdziła, trącając go łokciem. – Tak pomyślałam, gdy się poznaliśmy, ale jesteś słodki.*

*– Chodź – ponaglił i pomógł jej wstać.*

*– Gorąco mi – poskarżyła się, ponieważ zarzucił jej na ramiona swój długi, czarny płaszcz, kazał jej włożyć czapkę i ciemne okulary, choć dzień nie był zimny ani słoneczny.*

*– Jesteś sławna i ludzie będą się gapić – przypomniał jej. – Wiesz, że będą, a nie chcemy, żeby się gapili.*

*– Muszę znaleźć przyjaciółki, zanim pomyślą, że zostałam porwana.*

*– Chodź. Musisz zobaczyć mieszkanie. Naprawdę warto. Zawiozę cię tam, bo widzę, że jesteś zmęczona. Zadzwońisz do przyjaciółek i zaprosisz je do nas, jeśli będziesz chciała. Zorganizujemy doskonałe wino i sery.*

*Potem zapadła ciemność, jakby światło zgasło mu w głowie, a po przebudzeniu ujrzał sceny w lśniących fragmentach, jak kawałki strzaskanego witraża, który kiedyś przedstawiał zmyśloną historię lub prawdę.*

Schody po północnej stronie domu nie były zamiatane, a drzwi pralni otwierane od czasu ostatniej wizyty gospodyni, prawie dwa miesiące temu. Po obu stronach schodów rosną krzewy hibiskusa. Przez okno przy drzwiach Will może zobaczyć tablicę alarmu z zapalonym czerwonym światłem. Otwiera skrzynkę wędkarza i wyciąga diament z korundowym ostrzem. Wycina nim szybę i kładzie ją na piaszczystej ziemi za krzakami, gdy szczeniak w klatce zaczyna szczekać. Will się waha, ale jest zupełnie spokojny. Sięga do środka i przesuwają rygiel, potem otwiera drzwi. Alarm zaczyna popiskiwać, wprowadza więc kod, żeby go uciszyć.

Jest w domu, który obserwował od miesiący. Wyobrażał to sobie i zaplanował tak szczegółowo, że wszystko jest łatwe, czuje się wręcz zawiedziony. Kuca, wsuwa zapiaszczone palce przez siatkę do klatki i szepcze do basseta:

– W porządku. Wszystko będzie dobrze.

Basset przestaje ujadać i Will pozwala mu polizać grzbiet dłoni, gdzie nie ma kleju i tego szczególnego piasku.

– Dobry piesek – szepcze. – Nie martw się. Zapiaszczone stopy niosą go z pralni do pokoju, z którego płynie dźwięk filmu. Kobieta wychodzi na zewnątrz, żeby zapalić papierosa, ale ma brzydki nawyk zostawiania otwartych drzwi, gdy siedzi na schodach i patrzy na basen o czarnym dnie, ziejącą ranę, i dym wpływa do domu, gdy tak siedzi, pali i patrzy. Dym przesiąknął wszystko, Will czuje stary smród, w którym powietrze wydaje się matowoszare jak jej aura. Aura rychłej śmierci.

Ściany i sufit są pomalowane ochrą i umbrą, kolorami ziemi, a kamienna podłoga ma barwę morza. Wszystkie otwory drzwiowe są zakończone łukami. W pokoju stoją wielkie donice z akantami, zwiędłymi i pożółkłymi, bo nie podlewała ich odpowiednio, a na kamiennej podłodze leżą włosy. Włosy z głowy, włosy łonowe, które szarpie, gdy krąży, czasami nago. Kobieta śpi na kanapie, plecami do niego, łysina na czubku głowy jest biała jak księżyc w pełni.

Jego bosa, zapiaszczone stopy są ciche. Film wciąż trwa. Michael Douglas i Glenn Close piją wino, z hi-fi płynie aria z *Madame Butterfly*. Will stoi w drzwiach i patrzy na *Fatalne zauroczenie*, zna film na pamięć, widział go wiele razy, oglądał z nią przez okno bez jej wiedzy. Słyszy dialog w głowie, zanim bohaterowie wypowiedzą swoje kwestie. Michael Douglas chce odejść, a Glenn Close jest wściekła i zdziera z niego koszulę.

*Szarpanie, rozdzieranie, rozpaczliwe pragnienie dostania się do tego, co było pod spodem. Miał tyle krwi na rękach, że nie widział koloru skóry, gdy próbował wepchnąć wnętrzności Rogera do środka, a wiatr i piasek uderzał w nich obu i ledwo się widzieli.*

Kobieta śpi na kanapie, zbyt pijana i oszołomiona, żeby go słyszeć. Nie czuje, gdy jego widmo krąży w pobliżu, czekając, żeby unieść ją z sobą. Podziękuje mu za to.

*– Will! Pomóż mi! Proszę, pomóż mi! Boże, błagam! – wrzeszczy Roger.  
– Tak boli! Proszę, nie pozwól mi umrzeć!*

*– Nie umrzesz. – Chwyta go za ramiona. – Jestem tutaj. Jestem przy tobie.*

*– Nie wytrzymam!*

*– Bóg nigdy nie da ci więcej, niż możesz znieść. – Tak mówił jego ojciec, odkąd Will był mały.*

*– To nieprawda.*

*– Co? – zapytał go ojciec w Rzymie, gdy pili wino w jadalni i Will dotykał antycznej kamiennej stopy.*

*– Miałem to wszystko na rękach i na twarzy, czułem smak, czułem jego smak. Obiecałem mu, że nie umrze.*

*– Powinniśmy wyjść z domu. Chodźmy na kawę.*

Will przekręca gałkę na ścianie, włącza dźwięk przestrzenny, aż film ryczy, wtedy ona siada i krzyczy, a on ledwo słyszy jej krzyk, gdy pochyla się nad nią, przykłada zapiaszczony palec do jej ust, kręci głową, powoli, żeby ją uciszyć. Nalewa wódkę do kieliszka, podaje jej i ruchem głowy wskazuje, żeby wypić. Stawia skrzynkę, latarkę i kamerę na podłodze, siada obok niej na kanapie i spogląda głęboko w zaczerwienione,

zapuchnięte, przerażone oczy. Nie ma rzes, wszystkie wyskubała. Nie próbuje wstać i uciekać. Każe jej pić, a ona pije. Już pogodziła się z tym, co nieuniknione. Podziękuje mu.

Dom drży od głośnego dźwięku, a jej usta mówią:

– Proszę, nie rób mi krzywdy.

Kiedyś była ładna.

– Sza. – Will kręci głową, znów uciszając ją zapiaszczonym palcem, dotykając jej ust, przyciskając je mocno do zębów. Zapiaszczone palce otwierają skrzynkę. Wewnątrz są butelki kleju i zmywacza, worek z piaskiem, nóż do tapet z czarną rączką i obustronnym, długim na piętnaście centymetrów ząbkowanym ostrzem, a także różne noże tapicerskie.

Potem głos w jego głowie. Roger krzyczy, wrzeszczy, krwawa piana występuje mu na wargi. Tylko że to nie Roger krzyczy, to kobieta błaga zakrwawionymi ustami:

– Proszę, nie rób mi krzywdy!

Glenn Close każe Michaelowi Douglasowi spieprzać i jej głos wprawia wielki pokój w drżenie.

Kobieta panikuje i szlocha, trzęsąc się, jakby miała atak. Will podciąga nogi na kanapę, siada po turecku. Ona patrzy na jego zapiaszczone ręce i zapiaszczone podeszwy okaleczonych stóp, na skrzynkę i kamerę na podłodze, i zrozumienie tego, co nieuchronne, maluje się na jej plamistej, opuchniętej twarzy. On zwraca uwagę na jej zaniedbane paznokcie i ogarnia go to samo uczucie, którego doznaje, gdy duchowo obejmuje cierpiących nieznośnie ludzi i uwalnia ich od bólu.

Czuje w szpiku kości dudnienie subwoofera.

Jej pogryzione, zakrwawione usta się poruszają.

– Proszę, nie rób mi krzywdy, proszę, proszę. – Płacze, cieknie jej z nosa, zwilża językiem zakrwawione wargi. – Czego chcesz? Pieniędzy?

Proszę, nie rób mi krzywdy. – Jej zakrwawione usta się poruszają.

Will zdejmuje koszulę i spodnie khaki, składa je starannie, kładzie na niskim stoliku. Zdejmuje bieliznę, układa na ubraniu. Czuje moc, która przenika jego mózg jak uderzenie prądem, i chwyta ją mocno za rękę.

## ROZDZIAŁ 11

Świt. Zanosi się na deszcz.

Rose wygląda przez okno narożnego mieszkania, fale oceanu uderzają miękko o falochron po drugiej stronie Murray Boulevard. W pobliżu jej budynku – niegdyś wspaniałego hotelu – stoi kilka najdroższych domów w Charlestonie, ogromnych nadbrzeżnych rezydencji, które sfotografowała. Zdjęcia umieściła w albumie z wycinkami, który przegląda od czasu do czasu. Trudno jej uwierzyć, jak to się stało, że żyje pomiędzy koszmarem a snem.

Kiedy przeprowadziła się do Charlestonu, chciała zamieszkać w pobliżu oceanu. „Na tyle blisko, żebym wiedziała, że tam jest”, tak to ujęła. „Przypuszczam, że ostatni raz jadę z tobą – powiedziała do Scarpetty. – W tym wieku nie chcę ogródka, którym musiałabym się zajmować, a zawsze chciałam mieszkać nad wodą, lecz nie na bagnach z tym zapachem zgniłych jaj. Gdybym tylko mogła mieć ocean na tyle blisko, żeby móc nad nim spacerować”.

Szukali długo. W końcu Rose zamieszkała u ujścia Rzeki Ashleya, gdy Kay, Lucy i Marino odnowili zaniedbane mieszkanie. Rose nie zapłaciła ani centa, a potem Scarpetta dała jej podwyżkę. Bez tego nie byłoby jej stać na czynsz, ale nikt nigdy o tym nie wspomniał. Scarpetta powiedziała tylko, że Charleston jest drogim miastem w porównaniu z innymi, w których mieszkali, lecz gdyby nawet nie było, Rose na to zasłużyła.

Robi kawę, ogląda wiadomości i czeka na telefon od Marina. Mija kolejna godzina. Zastanawia się, gdzie on się podziewa. Następną godziną i ani słowa. Jest coraz bardziej sfrustrowana. Zostawiła mu kilka



wiadomości, że nie przyjdzie dziś rano do pracy i czy mógłby wpaść, żeby pomóc jej przesunąć kanapę? Poza tym musi z nim porozmawiać. Obiecała Kay, że to zrobi. Pora równie dobra jak każda inna. Dochodzi dziesiąta. Znowu zadzwoniła na jego komórkę i usłyszała pocztę głosową. Patrzy przez otwarte okno. Chłodne powietrze dmucha zza falochronu, woda jest lekko wzburzona i kapryśna, grafitowa.

Samodzielne przesuwanie kanapy to niemądry pomysł, ale jest tak zniecierpliwiona, że musi to zrobić. Rose kaszle, rozmyślając nad głupotą swego wyczynu, który nie tak dawno temu byłby prosty i łatwy. Siada ze zmęczeniem i zatracą się we wspomnieniach zeszłej nocy, rozmyśla o rozmowie, o trzymaniu się za rękę i całowaniu na tej samej kanapie. Nie przypuszczała, że jest jeszcze zdolna do odczuwania takich uczuć, i przez cały czas zastanawiała się, jak długo to potrwa. Nie może z tego zrezygnować, ale wie, że koniec jest bliski. Opada ją smutek tak głęboki i mroczny, że próba przeanalizowania go nie ma sensu.

Dzwoni telefon. To Lucy.

– Jak poszło? – pyta ją Rose.

– Nate przesyła pozdrowienia.

– Bardziej mnie interesuje, co powiedział o tobie.

– Nic nowego.

– To bardzo dobra wiadomość. – Rose podchodzi do blatu w kuchni i podnosi pilota od telewizora. Bierze głęboki oddech. – Marino miał przyjść, żeby przestawić kanapę, ale jak zwykle...

Pauza, potem Lucy mówi:

– Między innymi dlatego dzwonię. Chciałam wstąpić do cioci Kay, żeby powiedzieć jej o spotkaniu z Nate'em. Nie wie, że tam byłam. Zawsze mówię jej po fakcie, żeby nie wariowała ze zmartwienia. Pod jej domem stoi motocykl Marina.

- Spodziewała się ciebie?
- Nie.
- Która była godzina?
- Około ósmej.
- Niemożliwe – mówi Rose. – Marino o ósmej jest jeszcze w letargu.

Przynajmniej ostatnio.

– Pojechałam do Starbucksa, potem około dziewiętej wróciłam pod jej dom, i zgadniesz? Minęłam jego chipsową laskę w bmw.

– Jesteś pewna?

– Chcesz znać jej numery? Datę urodzenia? A może stan konta, na którym, nawiasem mówiąc, ma niewiele. Wygląda na to, że przepuściła większość pieniędzy. Nie po zmarłym bogatym tatusiu. Czy to, że nic jej nie zostawił, coś ci mówi? Ale dokonuje wielu wpłat, czego nie rozumiem, i wydaje forszę równie szybko, jak dostaje.

– To niedobrze. Widziała cię, jak wracałaś ze Starbucksa?

– Jechałam swoim ferrari. O ile więc nie jest ślepa w dodatku do tego, że jest beznadziejną cipą... Przepraszam...

– Nic się nie stało. Wiem, że jest cipą, i bez wątpienia idealnie spełnia swoją rolę. Marino ma specjalne urządzenie naprowadzające, które kieruje go bezpośrednio do cip.

– Masz kłopoty z mówieniem. Jakby ci było ciężko oddychać – zauważyła Lucy. – Może zajrzę trochę później i przesunę kanapę?

– Będę tutaj. – Rose kaszle, kończąc rozmowę. Włącza telewizor w porę, żeby zobaczyć, jak piłka tenisowa wzbija tuman czerwonego pyłu za linią, Drew Martin serwuje tak szybko i daleko, że jej przeciwniczka nawet nie próbuje odebrać. CNN puszcza materiał filmowy z ubiegłorocznego turnieju French Open, wciąż podają wiadomości o Drew. Powtórki meczów tenisowych, jej życia i śmierci. Na okrągło. Kolejne relacje. Rzym.

Starożytne miasto, potem niewielka budowla otoczona przez kordon policji i ogrodzona żółtą taśmą. Pulsują niebieskie i czerwone światła.

– Wiadomo coś nowego?

– Rzymscy oficjele nabrali wody w usta. Wygląda na to, że nie ma żadnych tropów, żadnych podejrzanych, a tę straszną zbrodnię wciąż okrywa tajemnica. Ludzie pytają dlaczego. Kładą kwiaty na skraju placu budowy, gdzie znaleziono zwłoki.

Kolejne powtórki. Rose nie chce patrzeć. Ale choć widziała to wszystko wiele razy, wciąż patrzy jak zahipnotyzowana.

Drew podcina bekhendem.

Drew podbiega do siatki i lobuje tak mocno, że piłka uderza w trybuny. Tłum zrywa się z miejsc i wiwatuje szaleńczo.

Śliczna twarz Drew w programie doktor Self. Mówi szybko, skacze z tematu na temat, jest podekscytowana, bo właśnie wygrała US Open i nazwano ją Tigerem Woodsem tenisa. Doktor Self pochyla się w jej stronę, zadaje pytania, których nie powinna zadawać.

– Jesteś dziewicą, Drew?

Śmiech, rumieniec, zakrywanie twarzy rękami.

– Śmiało. – Doktor Self uśmiecha się, cholernie zadowolona z siebie. – Z każdym o tym rozmawiam. – Do widowni: – Wstyd. Dlaczego czujemy wstyd, gdy mówimy o seksie?

– Straciłam cnotę, gdy miałam dziesięć lat – wyznaje Drew. – Na rowerze brata.

Tłum w studiu szaleje.

– Drew Martin zmarła w wieku zaledwie szesnastu lat – mówi prezenter.

Rose pcha kanapę przez pokój, ustawia ją pod ścianą. Siada i płacze. Wstaje, chodzi po pokoju i płacze, bo śmierć i przemoc są nie do zniesienia. Nienawidzi tego, nienawidzi wszystkiego. Z szafki w łazience wyjmuje

lekarstwo. W kuchni nalewa kieliszek wina. Bierze tabletkę, popija ją winem, a chwilę później, kaszląc i ledwo mogąc oddychać, połyka drugą tabletkę. Dzwoni telefon. Rose chwiejnym krokiem idzie do aparatu, upuszcza słuchawkę, ma kłopoty, żeby ją podnieść.

– Słucham?

– Rose? – pyta Kay Scarpetta.

– Nie powinnam oglądać wiadomości.

– Płaczesz?

Pokój wiruje. Rose widzi podwójnie.

– To tylko grypa.

– Jadę – mówi Scarpetta.



Marino opiera głowę o zagłówek fotela, ciemne okulary przysłaniają jego oczy, wielkie ręce leżą na udach.

Ma na sobie to samo ubranie, co zeszłej nocy. Spał w nim i wyraźnie to widać. Twarz ma ciemnoczerwoną i cuchnie jak pijak, który dawno się nie kąpał. Jego widok i zapach przywodzą wspomnienia zbyt okropne do opisanego i Kay czuje ból ciała, którego nie powinien być widzieć ani dotykać. Ubrała się w jedwabne i bawełniane rzeczy, delikatne dla skóry, bluzkę ma zapiętą pod szyję, kurtkę zasuniętą. Aby ukryć siniaki. Aby ukryć upokorzenie. Przy nim czuje się bezsilna i naga.

Panuje straszna cisza, gdy prowadzi. Wnętrze wozu wypełnia woń czosnku i ostrego sera. Marino otwiera okno po swojej stronie.

– Światło mnie razi. Nie do wiary, jak okropnie bolą mnie oczy.

Powiedział to wiele razy, oferując odpowiedź na niezadane pytanie, dlaczego na nią nie patrzy ani nie zdejmuje okularów, choć niebo jest zachmurzone i pada deszcz. Gdy niespełna godzinę temu Kay zaparzyła

kawę i razem z tostem przyniosła mu do łóżka, usiadł z jękiem i złapał się za głowę. Nieprzekonująco zapytał:

– Gdzie ja jestem?

– Wczoraj byłeś bardzo pijany. – Postawiła kawę i tost na stoliku przy łóżku. – Pamiętasz?

– Jak coś zjem, to się zrzygam.

– Pamiętasz wczorajszą noc?

Mówi, że nie pamięta niczego po tym, jak pojechał na motorze do jej domu. Jego zachowanie zdradza, że pamięta wszystko. Skarży się, że jest mu niedobrze.

– Szkoda, że nic nie zjadłem. Teraz zapach jedzenia przyprawia mnie o mdłości.

– Trudno. Rose ma grypę.

Scarpetta zatrzymuje wóz na parkingu w pobliżu jej domu.

– Jestem cholernie pewien, że nie chcę złapać grypy.

– W takim razie możesz zostać w samochodzie.

– Chcę wiedzieć, co zrobiłaś z moim pistoletem. – To też już mówił kilka razy.

– Jak powiedziałam, jest w bezpiecznym miejscu. Parkuje. Na tylnym siedzeniu leży karton pełen zamkniętych pojemników na żywność. Nie spała przez całą noc, zajęta gotowaniem. Ugotowała tyle *tagliolini* z *sosefontina*, *lazzanii bolognese* i zupy *minestrone*, że starczyłoby dla dwudziestu osób.

– Wczoraj nie powinieneś nosić załadowanej broni – dodaje.

– Chcę wiedzieć, gdzie on jest. Co z nim zrobiłaś? Wyprzedza ją lekko, nie pytając, czy wziąć pudełko.

– Powtórzę jeszcze raz. Zabrałam ci go zeszłej nocy. Zabrałam też kluczyk do motocykla. Pamiętasz, jak mi go odbierałeś, bo się uparłeś, że

pojedziesz, choć ledwo trzymałeś się na nogach?

– Ten bourbon w twoim domu – mówi Marino, gdy idą w deszczu w stronę białego budynku. – Booker’s. – Jakby to była jej wina. – Nie stać mnie na takiego dobrego bourbona. Wchodzi tak gładko, że zapomniałem, że zawiera ponad sześćdziesiąt procent alkoholu.

– Więc to moja wina.

– Nie wiem, czemu trzymasz w domu taki mocny trunek.

– Przyniosłeś tę butelkę na sylwestra.

– Równie dobrze mógłbym oberwać po głowie łyżką od opon – mruczy Marino, gdy wchodzi po schodach.

Portier wpuszcza ich do środka.

– Dzień dobry, Ed – wita go Scarpetta, słysząc dźwięk telewizora w portierni przy holu. Nadają wiadomości, znów mówią o morderstwie Drew Martin.

Ed spogląda w stronę portierni, kręci głową.

– Straszne. Była miłą dziewczyną, naprawdę miłą. Widywałem ją tutaj niedługo przed śmiercią, dawała mi dwadzieścia dolarów napiwku za każdym razem, jak przechodziła przez drzwi. Straszne. Taka miła dziewczyna. Zachowywała się jak zwyczajna osoba. Wie pani.

– Tutaj się zatrzymywała? – pyta Kay. – Myślałam, że zawsze nocowała w hotelu Charleston Place. Przynajmniej tak podawano w wiadomościach, ilekroć przebywała w okolicy.

– Jej trener ma tu mieszkanie, rzadko kiedy z niego korzysta, ale je zatrzymał – wyjaśnia Ed.

Scarpetta zastanawia się, dlaczego o tym nie słyszała. Teraz nie pora na dopytywanie. Martwi się o Rose. Ed wciska guzik przy windzie i drugi w kabinie, z numerem piętra Rose.

Drzwi się zamykają. Marino w ciemnych okularach patrzy prosto przed siebie.

– Chyba mam migrenę – mówi. – Masz coś na migrenę?

– Już dostałeś osiemset miligramów ibuprofenu. Nie bierz nic innego przez co najmniej pięć godzin.

– To nie pomaga na migrenę. Szkoda, że miałaś w domu alkohol. Jakby ktoś mi coś podsunął, jakbym zażył narkotyk.

– Jediną osobą, która coś ci podsunęła, jesteś ty sam.

– Nie mogę uwierzyć, że zadzwoniłaś do Byka. A jeśli jest niebezpieczny?

Kay nie może uwierzyć, że powiedział coś takiego po tym, co się stało w nocy.

– Mam tylko nadzieję, że następnym razem nie poprosisz go o pomoc w prosektorium – dodaje Pete. – Do diabła, co on wie? Będzie tylko zawadzał.

– Nie myślę o tym teraz. Myślę o Rose. I może najwyższa pora, żebyś ty pomartwił się o kogoś poza sobą. – Wzbiera w niej złość. Idzie szybko korytarzem o ścianach pokrytych starym białym tynkiem, z wyświechtanym dywanem na podłodze.

Dzwoni do mieszkania Rose. Nikt nie podchodzi do drzwi, nikt się nie odzywa, słychać tylko telewizor. Stawia pudełko na podłodze i dzwoni jeszcze raz. I znowu. Telefonuje na komórkę, potem na stacjonarny. Słyszy, jak aparaty dzwonią w mieszkaniu, potem zgłasza się poczta głosowa.

– Rose! – Wali pięścią w drzwi. – Rose!

Słyszy telewizor. Nic, tylko telewizor.

– Musimy zdobyć klucz – mówi do Marina. – Ed ma jeden. Rose!

– Pieprzyć to. – Marino z całej siły kopie w drzwi, drewno pęka, łańcuch antywłamaniowy też, mosiężne ogniwa z brzękiem spadają na podłogę, gdy drzwi się otwierają i uderzają w ścianę.

Rose leży na kanapie bez ruchu, oczy ma zamknięte, twarz popielatą, pasma długich, śnieżnobiałych włosów bezładnie rozrzucone.

– Dzwon pod dziewięćset jedenaście! – Scarpetta kładzie poduszki pod głowę Rose, gdy Marino wzywa pogotowie.

Mierzy puls. Sześćdziesiąt jeden.

– Już jadą – melduje Pete.

– Zejdź do samochodu. W bagażniku mam torbę lekarską.

Detektyw wybiega z mieszkania. Kay spostrzega kieliszek wina i buteleczkę z lekarstwem na podłodze, niemal zasłoniętą przez falbanę kanapy. Z oszołomieniem patrzy na lek. Rose zażywała roxicodone, tak brzmi nazwa handlowa oxycodone hydrochloride, opioidowego środka przeciwbólowego, który silnie uzależnia. Recepta na sto tabletek została wypisana dziesięć dni temu. Scarpetta zdejmuje nakrętkę i liczy piętnastomiligramowe zielone tabletki. Zostało siedemnaście.

– Rose! – Potrząsa nią. Jej skóra jest ciepła i spocona. – Rose, zbudź się! Słyszysz mnie? Rose!

Idzie do łazienki i wraca z zimną myjką, którą kładzie na czole Rose. Trzyma ją za rękę, mówiąc do niej, próbując ją zbudzić. Wraca Marino. Ma zaniepokojoną, przestraszoną minę, gdy podaje jej torbę lekarską.

– Przesunęła kanapę. Ja miałem to zrobić – mówi, jego ciemne okulary patrzą na mebel.

Rose porusza się, gdy w dali brzmi syrena. Kay wyjmuje ciśnieniomierz i słuchawki.

– Obiecałem, że przyjdę i to zrobię – ciągnie Marino. – Sama ją przesunęła. Stała tam. – Ciemne okulary patrzą na puste miejsce przy oknie.

Scarpetta podciąga rękaw Rose, przykładając słuchawkę, owija mankiet ciśnieniomierza tuż nad łokciem, ciasno, żeby zatamować przepływ krwi.

Syrena wyje bardzo głośno.



Kay ściska pompkę, nadmuchuje mankiet, potem otwiera zawór, żeby powoli wypuścić powietrze. Słucha krwi płynącej tętnicą. Powietrze syczy cicho, uciekając z mankietu.

Syrena cichnie. Ambulans już jest.

Ciśnienie skurczowe osiemdziesiąt sześć. Ciśnienie rozkurczowe pięćdziesiąt osiem. Przesuwa słuchawkę po piersi i plecach Rose. Oddech jest płytki, ciśnienie za niskie.

Rose porusza się, kręci głową.

– Rose? – mówi głośno doktor Scarpetta. – Słyszysz mnie?

Otwiera oczy.

– Zmierzę ci temperaturę. – Wsuwa jej pod język termometr cyfrowy i po paru sekundach słyszy sygnał. Trzydzieści siedem i dwa. Podnosi buteleczkę z pigułkami. – Ile wzięłaś? Ile wina wypiałaś?

– To tylko grypa.

– Sama przesunęłaś kanapę? – pyta ją Marino, jakby to miało znaczenie.

Rose kiwa głową.

– Przesorsowałam się. To wszystko.

Szybkie kroki ratowników medycznych i stukot noszy w korytarzu.

– Nie – protestuje Rose. – Odeślij ich.

Dwaj mężczyźni w niebieskich dresach wchodzą do mieszkania i wciągają nosze, na których leży defibrylator i inny sprzęt. Rose kręci głową.

– Nie, nic mi nie jest. Nie pojedę do szpitala. Ed staje w drzwiach ze zmartwioną miną.

– W czym problem, proszę pani? – Jeden z ratowników, blondyn o jasnoniebieskich oczach, podchodzi do kanapy i uważnie przygląda się Rose. Z równą uwagą patrzy na Scarpettę.

– Nie. – Rose jest nieugięta, odsyła ich ruchem ręki. – Poważnie! Proszę odejść. Zemdlałam. To wszystko.

– To nie wszystko – mówi do niej Marino, ale jego ciemne okulary patrzą na blondyna. – Musiałem wyłamać cholerne drzwi.

– I lepiej, żebyś je naprawił, zanim wyjdiesz – mruczy Rose.

Kay przedstawia się. Wyjaśnia, że Rose popiła roxicodone alkoholem i była nieprzytomna, gdy weszli.

– Proszę pani? – Blondyn pochyla się nad Rose. – Ile alkoholu i roxicodone pani przyjęła i kiedy?

– Jedną więcej niż zwykle. Trzy tabletki. I odrobinę wina. Pół kieliszka.

– Musi pani być ze mną szczerą, to bardzo ważne. Scarpetta podaje mu buteleczkę z lekarstwami i mówi do Rose:

– Jedna tabletka co cztery do sześciu godzin. Wzięłaś o dwie więcej. I już masz wysoką dawkę. Pojedziesz do szpitala, upewnimy się, czy wszystko jest w porządku.

– Nie.

– Zgniotłaś je, zgryzłaś czy połknęłaś w całości? – pyta Kay, ponieważ rozkruszone tabletki łatwiej się rozpuszczają i roxicodone szybciej się wchłania.

– Połknęłam w całości, jak zawsze. Kolana mnie bolały, coś okropnego.

– Patrzy na Marina. – Nie powinnam przesuwac kanapy.

– Jeśli nie pojedziesz z tymi miłymi panami, ja cię zawiozę – oświadcza Scarpetta, świadoma spojrzenia blondyna.

– Nie. – Rose uparcie kręci głową.

Marino patrzy na blondyna, który wpatruje się w Kay. Nie przysuwa się do niej, żeby ją chronić, jak postąpiłby w przeszłości. Ona nie zadaje najbardziej niepokojącego pytania – dlaczego Rose bierze roxicodone.

– Nie pojedę do szpitala – powtarza Rose. – Nie ma mowy. Mówię poważnie.

– Wygląda na to, że was nie potrzebujemy – mówi Scarpetta do ratowników. – Ale dzięki.

– Słyszałem pani wykład parę miesięcy temu – odzywa się blondyn. – Sesja poświęcona śmierci dzieci, w Narodowej Akademii Medycyny Sądowej. Wygłosiła pani prelekcję.

Na identyfikatorze widnieje nazwisko T. Turkington. Scarpetta go nie pamięta.

– Co pan tam robił, u licha? – pyta go Marino. – Akademia jest dla glin.

– Jestem detektywem w Biurze Szeryfa hrabstwa Beaufort. Wysłali mnie na studia. Jestem absolwentem.

– Teraz to nie jest takie dziwne. Ale co w takim razie robi pan w Charlestonie, jeżdżąc karetką?

– W wolne dni pracuję jako ratownik.

– To nie jest hrabstwo Beaufort.

– Możemy dorabiać. Medycyna ratunkowa stanowi dobre uzupełniające szkolenie do mojej pracy. Mam tu dziewczynę. A raczej miałem – mówi niefrasobliwie Turkington. Zwraca się do Scarpetty: – Jeśli jest pani pewna, że wszystko w porządku, ruszymy w drogę.

– Dzięki. Będę ją miała na oku.

– Miło było panią znów zobaczyć. – Patrzy na nią jeszcze przez chwilę, potem wychodzi razem z kolegą.

– Zabiorę cię do szpitala, żeby sprawdzić, czy nie stało się nic złego – mówi Scarpetta.

– Nigdzie mnie nie zabierzesz. Raczysz znaleźć mi nowe drzwi? – Rose pyta Marina. – Albo nowy zamek czy co tam trzeba, żeby naprawić bałagan, którego narobiłeś.

– Możesz jechać moim wozem. – Kay rzuca mu kluczyki. – Pójdę do domu pieszo.

– Ja też muszę się tam dostać.

– Z tym nie ma pośpiechu.



Słońce przebłyskuje zza przydymionych chmur, morze bije o brzeg.

Ashley Dooley, urodzony i wychowany w Karolinie Południowej, zdjął wiatrówkę i związał rękawy wokół wielkiego brzucha. Celuje obiektywem nowiutkiej kamery z magnetowidem w swoją żonę, Madelisę, potem przestaje filmować, gdy łaciaty, czarnobiały basset wyłania się z trawy na wydmie. Pies podbiega do Madelisy, jego oklapłe uszy wloką się po piasku. Przyciska się do jej nóg, zziajany.

– Patrz, Ashley! – Kobieta kuca i głaszcze psa. – Biedactwo, cały się trzęsie. O co chodzi, skarbie? Nie bój się. To jeszcze szczeniak.

Psy ją uwielbiają. Zawsze do niej lgną. Nigdy pies na nią nie warknął ani nie zrobił niczego poza okazaniem miłości. W zeszłym roku musieli uśpić Frisbee, gdy zachorował na raka. Madelisa nie mogła tego przeboleć, nie wybaczyła mężowi, że nie zgodził się na leczenie z uwagi na koszty.

– Przesuń się – poleca Ashley. – Możesz mieć psa na filmie, jeśli chcesz. Sfilmuję te wszystkie luksusowe domy w tle. Cholera jasna, popatrz na ten. Coś takiego można zobaczyć w Europie. Do licha, po co komu taka wielka chałupa?

– Szkoda, że nie możemy jechać do Europy.

– Mówię ci, ta kamera to nie byle co.

Madelisa nie może już tego słuchać. Wydał tysiąc trzysta dolarów na kamerę, lecz nie wysupłał ani centa dla Frisbee.

– Popatrz tylko. Wszystkie te balkony i czerwony dach – zachwyca się jej mąż. – Wyobraź sobie, że mieszkasz w czymś takim.

Gdybyśmy mieszkali w czymś takim, myśli Madelisa, nie miałabym nic przeciwko, że kupujesz kosztowne kamery i telewizory plazmowe, i byłoby nas stać na rachunki od weterynarza.

– Nie potrafię sobie wyobrazić – mówi, pozując przed wydmą. Basset siada u jej stóp i ziewa.

– Słyszę, jak trzydzieści milionów dolarów idzie tą drogą. – Wskazuje w stronę domu. – Uśmiechnij się. To nie jest uśmiech. Szeroko. Pomyśl, że ta chata należy do kogoś sławnego, może do założyciela sieci supermarketów Wal-Mart. Dlaczego ten pies tak ziewa? Wcale nie jest gorąco. I drży. Może jest chory, może ma wściekliznę.

– Nie, głuptasie, trzęsie się jak ze strachu. Może chce mu się pić. Mówiłam ci, żebyś zabrał butelkę wody. Człowiek, który założył Wal-Mart, nie żyje – dodaje Madelisa, głaszcząc basseta i rozglądając się po plaży. W pobliżu nie ma nikogo, parę osób w dali łowi ryby. – Chyba się zgubił. Nie widzę tu nikogo, kto mógłby być jego właścicielem.

– Poszukamy, zrobimy parę ujęć.

– Czego poszukamy? – Pies przyciska się do jej nóg, wciąż ziewa i drży. Kobieta ogląda go, zauważa, że warto by go wykąpać i przyciąć mu pazury. Potem dostrzega coś więcej. – O Boże. Chyba jest ranny. – Dotyka psiego karku, patrzy na krew na palcach, rozgarnia sierść, szuka rany, nie znajduje. – To dziwne. Skąd ta krew? Jest więcej. Ale nie wygląda na rannego. Teraz to tylko obrzydliwe.

Wyciera palce w spodenki.

– Może gdzieś leży zagryziony kot. – Ashley nienawidzi kotów. – Chodźmy dalej. O drugiej mamy być w klinice tenisowej, a najpierw muszę coś zjeść. Zostało trochę tej szynki pieczonej w miodzie?

Madelisa ogląda się za siebie. Basset siedzi na piasku, ziewając, i patrzy na nich.



– Wiem, że masz zapasowy klucz w tym pudełeczku, które zagrzebałaś w ogrodzie pod stosem cegieł za krzakami – oznajmia Rose.

– Ma potężnego kaca i nie chcę, żeby jeździł na motorze z cholernym pistoletem kaliber czterdzieści wetkniętym za pasek dżinsów – mówi Scarpetta.

– Co się stało w twoim domu? Jak on w ogóle się tam znalazł?

– Nie chcę o nim mówić. Chcę rozmawiać o tobie.

– Może wstaniesz z kanapy i przysuniesz krzesło. Trudno mi mówić, gdy niemal na mnie siedzisz.

Kay przynosi sobie krzesło z jadalni.

– Twoje leki.

– Nie wykradałam pigułek z prosekatorium, jeśli to sugerujesz. Wszyscy ci biedni ludzie, którzy trafiają tam z tuzinami przepisanych leków, dlaczego? Ponieważ ich nie biorą. Dlaczego? Pigułki niczego nie naprawiają. Gdyby tak było, nie kończyliby w kostnicy.

– Na buteleczce jest twoje nazwisko i nazwisko twojego lekarza. Mam go odszukać, czy sama mi powiesz, co to za lekarz i dlaczego się z nim widzisz?

– Onkolog.

Scarpetta ma wrażenie, że dostała kopniaka w pierś.

– Proszę. Nie utrudniaj mi tego – mówi Rose. – Miałam nadzieję, że się nie dowiesz, dopóki nie nadejdzie pora, by wybrać odpowiednią urnę na moje prochy. Wiem, że źle zrobiłam. – Łapie oddech. – Byłam w złym stanie, zdenerwowana i cała obolała.

Kay bierze ją za rękę.

– Dziwne, jak wpadamy w zasadzkę własnych uczuć. Cechował cię stoycyzm. A może powinnam powiedzieć, że upór? Teraz musisz brać to pod uwagę.

– Umrę – mówi Rose. – Nie cierpię samej myśli, że komuś to zrobię.

– Jaki rodzaj raka? – Scarpetta trzyma jej rękę.

– Płuc. Zanim zaczniesz myśleć, że to z powodu dymu, jaki wdychałam w tych dawnych czasach, gdy kopciłaś w biurze... – zaczyna Rose.

– Żałuję, że paliłam. Brak mi słów, jak bardzo żałuję.

– To, co mnie zabija, nie ma nic wspólnego z tobą. Słowo daję. Zdobyłam to uczciwie.

– Niedrobnokomórkowy czy drobnokomórkowy?

– Niedrobnno.

– Gruczolakorak, płaskonabłonkowy?

– Gruczolakorak. Na to samo zmarła moja ciotka. Jak ja, nigdy nie paliła. Jej dziadek zmarł na raka płaskonabłonkowego. Palił. W życiu bym nie pomyślała, że będę miała raka płuc. Ale też nie przyszło mi na myśl, że umrę. To nie jest śmieszne. – Wzdycha, kolory powoli wracają na jej twarz, a światło do oczu. – Codziennie patrzymy na śmierć i to nie zmienia faktu, że jej zaprzeczamy. Tak, doktor Scarpetta. Dziś uderzyło mnie to jak grom z jasnego nieba. Zupełnie nieoczekiwanie.

– Może pora, żebyś zaczęła mówić mi po imieniu.

Rose kręci głową.

– Dlaczego nie? – pyta Kay. – Nie jesteśmy przyjaciółkami?

– Zawsze przestrzegaliśmy wyznaczonych granic i dobrze nam się one przysłużyły. Pracuję dla kogoś, z kim znajomość jest dla mnie zaszczytem. To doktor Scarpetta. Albo szefowa. – Uśmiecha się. – Nigdy nie mogłabym nazwać cię Kay.

- Więc teraz mnie depersonalizujesz. Chyba że mówisz o kimś innym.
- Ona jest kimś innym. Kimś, kogo naprawdę nie znam. Myślę, że masz o niej gorsze zdanie niż ja. Zwłaszcza ostatnio.
- Przykro mi, nie jestem tą heroiną, którą właśnie opisałaś, ale pomogę ci, na ile zdołam. Zabiorę cię do najlepszego centrum onkologicznego w kraju. Do Stanfordu. Tam, dokąd jeździ Lucy. Zabiorę cię. Zapewnimy ci leczenie, jakie tylko...
- Nie, nie, nie. – Rose powoli kręci głową. – Teraz bądź cicho i posłuchaj. Konsultowałam się ze wszelkiego rodzaju specjalistami. Pamiętasz, jak zeszłego lata wybrałam się w trzytygodniowy rejs? Kłamstwo. To był rejs od specjalisty do specjalisty, a potem Lucy zabrała mnie do Stanfordu, gdzie mam swojego lekarza. Rokowanie takie samo. Moją jedyną szansą jest chemoterapia i lampy. Odmówiłam.
- Powinniśmy spróbować wszystkiego, co możliwe.
- Już mam stadium trzy-B.
- Przerzuty do węzłów chłonnych?
- Do węzłów chłonnych. I do kości. Na najlepszej drodze do stadium czwartego. Operacja niemożliwa.
- Chemoterapia i radioterapia, albo nawet samo naświetlanie. Musimy spróbować. Nie możemy poddać się tak po prostu.
- Przede wszystkim nie my. Ja. I nie. Nie narażę się na to. Niech mnie diabli, jeśli pozwolę, żeby wypadły mi włosy, żebym wymiotowała i była pożałowania godna, gdy wiem, że choroba i tak mnie zabije. Raczej prędzej niż później. Lucy nawet obiecała załatwić marihuanę, żeby chemia nie przyprawiała mnie o mdłości. Wyobraź mnie sobie, jak pałę trawkę.
- Najwyraźniej wie o tym od początku – mówi Kay.
- Rose przytakuje bez słowa.
- Powinnaś mi powiedzieć.



– Powiedziałam Lucy, jest mistrzynią dochowywania sekretów. Sama ma ich tak wiele, że nie jestem pewna, czy któraś z nas wie, co jest rzeczywiście prawdą. Właśnie tego nie chciałam. Nie chciałam, żebyś miała przeze mnie wyrzuty sumienia.

– Powiedz mi tylko, co mogę zrobić. – Żal ściska jej serce.

– Zmień to, co możesz. I nawet nie myśl, że nie możesz.

– Powiedz mi. Zrobię, co tylko chcesz.

– Dopiero gdy człowiek umiera, zaczyna sobie uświadamiać, ile rzeczy w życiu mógł zmienić. Tego zmienić nie mogę. – Rose puka się w klatkę piersiową. – Ty możesz zmienić prawie wszystko, co chcesz.

Wracają obrazy z zeszłej nocy i przez chwilę Scarpetta wyobraża sobie, że czuje zapach Marina, jego dotyk. Stara się nie pokazać, jaka jest zdruzgotana.

– O co chodzi? – Rose ściska jej rękę.

– Co mam zrobić, żeby nie czuć się okropnie?

– Właśnie o kimś myślałaś, i nie o mnie. Marino. Wygląda strasznie i dziwnie się zachowuje.

– Bo spił się jak świnia – oznajmia Kay ze złością.

– Jak świnia. Nie słyszałam, żebyś używała takiego określenia. Ale przecież sama ostatnio staję się wulgarna. Dziś rano naprawdę użyłam słowa cipa, gdy rozmawiałam z Lucy przez telefon o obecnej dziewczynie Marina. Którą, jak się składa, Lucy mijała w twoim sąsiedztwie około ósmej. Gdy jego motor wciąż stał przed twoim domem.

– Mam dla ciebie karton z jedzeniem. Wciąż stoi na korytarzu. Przyniosę go i wypakuję.

Atak kaszlu. Gdy Rose odejmuje chusteczkę od ust, widać plamy jasnoczerwonej krwi.

– Proszę, zabiorę cię do Stanfordu – mówi Scarpetta.

- Powiedz mi, co się stało zeszłej nocy.
- Rozmawialiśmy. – Czuje, że się czerwieni. – Dopóki nie zrobił się za bardzo pijany.
- Nie wierzyłam, że kiedykolwiek zobaczę twój rumieniec.
- Uderzenie krwi do głowy.
- Tak, a ja mam grypę.
- Powiedz mi, co dla ciebie zrobić.
- Daj mi zająć się moimi sprawami jak zwykle. Nie chcę być reanimowana. Nie chcę umrzeć w szpitalu.
- Może zamieszkas z mną?
- Wtedy nie mogłabym zajmować się sobą jak zwykle – zaznacza Rose.
- Pozwolisz mi chociaż porozmawiać z twoim lekarzem?
- Nie ma potrzeby. Już wszystko wiesz. Zapytałaś, czego chcę. Powiem ci. Nie chcę leczenia. Chcę mieć opiekę paliatywną.
- Mam wolny pokój, choć mały. Może powinnam mieć większe mieszkanie – mówi Kay.
- Nie bądź taka bezinteresowna, bo w ten sposób stajesz się samolubna. To będzie egoizm, jeśli przez ciebie poczuję się winna, poczuję się okropnie, bo krzywdzę wszystkich dokoła.
- Mam powiedzieć Bentonowi? – pyta Scarpetta po chwili wahania.
- Możesz mu powiedzieć. Ale nie Marinowi. Nie chcę, żebyś mu mówiła. – Rose siada, stawia stopy na podłodze. Ujmuje jej rękę. – Nie jestem lekarzem sądowym. Ale skąd masz te świeże siniaki na nadgarstkach?



Basset siedzi, gdzie go zostawili, na piasku w pobliżu tablicy „Wstęp wzbroniony”.

– Patrz, to nie jest normalne! – woła Madelisa. – Siedział tutaj ponad godzinę, czekając, aż wrócimy. Tutaj, Droopy. Słodkie maleństwo.

– Kochanie, na pewno wabi się inaczej. Nie nadawaj mu imienia. Obejrzyj obrózkę – mówi Ashley. – Zobacz, czy jest tam napisane, jak się wabi i gdzie mieszka.

Madelisa pochyla się, a basset podchodzi do niej powoli, przytula się, liże ją po rękach. Ona mruży oczy, nie ma okularów do czytania. Ashley też nie.

– Nie widzę. Niewiele mogę rozróżnić. Nie, to nie wygląda na numer telefonu. Zresztą i tak nie zabrałam komórki.

– Ja też nie.

– To głupie. A gdybym skręciła kostkę albo coś? Ktoś piecze mięso na grillu. – Madelisa wciąga powietrze nosem, rozgląda się. Spostrzega pasemko dymu wznoszące się nad wielkim białym domem z balkonami i czerwonym dachem, jednym z tych ze znakami „Wstęp wzbroniony”. – Czemu nie biegniesz, żeby zobaczyć, co pichcą? – mówi do basseta, gładząc go po okłapłych uszach. – Może powinniśmy kupić sobie mały grill i upiec coś na wieczór.

Jeszcze raz próbuje odczytać tabliczkę na obroży psa, ale bez okularów nie ma szans. Wyobraża sobie bogatych ludzi, jakiegoś milionera grillującego na tarasie tego wielkiego domu oddalonego od wydm, częściowo schowanego za wysokimi sosnami.

– Powiedz „Cześć” swojej siostrze, starej pannie – mówi Ashley, filmując. – Opowiedz jej, jaki mamy luksusowy apartament przy Millionaire Row na Hilton Head. Powiedz jej, że następnym razem zatrzymamy się w takiej rezydencji jak ta, gdzie robią grilla.

Madelisa patrzy przez plażę w kierunku domu, nie widząc go za gąszczem drzew. Zwraca spojrzenie na psa.

– Założę się, że tam mieszka. – Wskazuje białą, europejską z wyglądu rezydencję, gdzie ktoś grilluje. – Pójdę i zapytam.

– Idź. Ja trochę pospaceruję, zrobię parę ujęć. Przed chwilą widziałem morświny.

– Chodź, Droopy. Znajdziemy twoją rodzinę. – Madelisa zachęca szczeniaka.

Basset siedzi na piasku, nie chce iść. Madelisa ciągnie go za obrozę, ale pies nie chce ruszyć się z miejsca.

– Niech ci będzie. Zostań, a ja się dowiem, czy mieszkasz w tym wielkim domu. Może wyszedłeś bez niczyjej wiedzy. Ale jedno jest pewne. Ktoś strasznie za tobą tęskni.

Przytula go i całuje. Rusza po twardym piasku, dociera do miękkiego, idzie prosto przez porośniętą trawą wydmy, choć wie, że nie wolno tego robić. Przystaje z wahaniem przy tablicy „Wstęp wzbroniony”, dzielnie wchodzi na drewniany chodnik, kierując się do wielkiego białego domu, gdzie jakaś bogata osoba, może sławna, piecze coś na grillu. Lunch, myśli, oglądając się za siebie z nadzieją, że basset nie ucieknie. Nie widzi go po drugiej stronie wydmy. Nie widzi go też na plaży, tylko Ashleya, małą postać filmującą morświny, które tarzają się w wodzie, tną fale płetwami, potem nikną z pola widzenia. Wejścia na teren posesji strzeże drewniana furtka. Madelisa dziwi się, że nie jest zamknięta na klucz. Nie jest nawet domknięta.

Wchodzi na podwórze, rozglądając się, wołając „Halo!”. Nigdy nie widziała takiego wielkiego basenu, który ma czarne dno, jest wyłożony wymyślnymi kafelkami, pewnie z Włoch, Hiszpanii albo jakiegoś innego egzotycznego, dalekiego miejsca. Rozgląda się, woła „Halo”, przystaje z zaciekawieniem przy dymiącym gazowym grillu, gdzie leży płat nierówno przeciętego mięsa, z jednej strony zwęglony, z drugiej krwiście czerwony.

Przychodzi jej na myśl, że mięso jest dziwne, nie wygląda na stek ani na wieprzowinę, z pewnością nie jest z kurczaka.

– Halo! – woła. – Jest tu kto?

Puka do drzwi werandy. Bez odpowiedzi. Skręca za róg domu, przypuszczając, że może tam znajdzie kogoś, kto robi grilla, ale zarośnięte boczne podwórko jest puste. Zagląda przez szczelinę pomiędzy roletami i skrajem wielkiego okna, widzi pustą kuchnię, wykończoną w kamieniu i stali nierdzewnej. Takie kuchnie oglądała tylko w czasopiśmie. Zwraca uwagę na dwie duże psie miski na macie przy kłocu do rąbania mięsa.

– Halo! – krzyczy. – Chyba znalazłam waszego psa! Halo! – Idzie wzdłuż bocznej ściany domu, nawołując. Wchodzi po stopniach, obok drzwi jest okno, w którym brakuje jednej szyby. Druga jest pęknięta. Myśli o powrocie na plażę, ale dostrzega w pralni pustą dużą klatkę.

– Halo! – Serce bije jej mocno. Weszła bezprawnie na teren prywatny, ale znalazła dom bassetta i musi mu pomóc. Jak by się czuła, gdyby zaginął Frisbee, a nikt by go nie odprowadził?

– Halo! – Naciska kławkę i drzwi się otwierają.

## ROZDZIAŁ 12

Krople wody ściekają z liści dębów.

W głębokich cieniach cisów i osmanthusów Kay układa skorupy na dnie donic, by ułatwić odpływ, żeby rośliny niegniły. Ciepłe powietrze jest parne po ulewie, która zaczęła się nagle i równie nagle skończyła.

Byk niesie drabinę do dębu, którego korona rozpościera się nad większą częścią ogrodu. Scarpetta ubija ziemię w doniczkach i sadi petunie, potem pietruszkę naciową, koper i fenkuł włoski, ponieważ te rośliny przyciągają motyle. Przenosi puszysty czyściec wełnisty i artemizję w lepsze miejsca, gdzie będą miały słońce. Zapach wilgotnej, piaszczysto-ilastej gleby miesza się z gryzącą wonią starych cegieł i mchu, gdy idzie sztywnym krokiem – dają o sobie znać lata stąpania po kafelkowych posadzkach prosektorium – do ceglanego słupka obrośniętego paprotnikiem. Zaczyna diagnozować problem.

– Jeśli wyrwę tę paproć, Byku, mogę zniszczyć cegły. Jak myślisz?

– To charlestońska cegła, pewnie ma ze dwieście lat – odpowiada Byk z czubka drabiny. – Ja bym pociągnął lekko, zobaczył, co się stanie.

Paproć odrywa się bez skargi. Kay napełnia konewkę i stara się nie myśleć o Marinie. Czuje się chora, gdy myśli o Rose.

– Jakiś człowiek przejechał uliczką na motorze tuż przed pani przyjściem – informuje Byk.

Scarpetta przestaje pracować, wbija w niego oczy.

– Marino?

Gdy wróciła do domu od Rose, jego motocykla nie było. Musiał przyjechać jej wozem i zabrać zapasowy klucz.

– Nie, nie on. Byłem na drabinie, przycinałem miszpelnik, i nad ogrodzeniem zobaczyłem mężczyznę na motorze. On mnie nie widział. Może to nic takiego. – Sekator szczęka i boczne pędy zwane wilkami spadają na ziemię. – Jakby ktoś panią niepokoił, chciałbym o tym wiedzieć.

– Co zrobił?

– Skręcił i jechał bardzo wolno do połowy drogi, potem zawrócił i odjechał. Zdaje się, że miał chustkę na głowie, chyba pomarańczowożółtą. Trudno powiedzieć z czubka drabiny. Jego motor miał rury bez tłumików, grzechotał i pluł, jakby zaraz miał zdechnąć. Powinna mi pani powiedzieć, czy mam o czymś wiedzieć. Będę patrzył.

– Widziałeś go tu wcześniej?

– Poznałbym ten motor.

Scarpetta myśli o tym, co Marino powiedział jej zeszłej nocy. Jakiś motocyklista groził mu na parkingu, kazał przekazać, że spotka ją coś złego, jeśli nie wyjedzie z miasta. Komu tak bardzo zależy na jej wyjeździe, że przesłał tego rodzaju wiadomość? Myśl o miejscowym koronerze chodzi jej po głowie.

– Co wiesz o koronerze? – pyta Byka. – O Henrym Hollingsie?

– Tylko to, że jego zakład pogrzebowy jest w rodzinie od wojny, ten wielki dom za wysokim murem na Calhoun, niedaleko stąd. Nie podoba mi się, że ktoś może panią niepokoić. Pani sąsiadka to dopiero jest ciekawa.

Pani Grimbald znów wygląda przez okno.

– Obserwuje mnie jak jastrząb. Jeśli wolno mi wyrazić swoje zdanie, jest nieżyczliwa i nie ma nic przeciwko krzywdzeniu ludzi.

Kay wraca do pracy. Coś gryzie bratki. Skarży się Bykowi.

– W okolicy jest wielki problem ze szczurami – odpowiada. Brzmi to proroczo.

Scarpetta ogląda zniszczone kwiaty.

- Ślimaki – typuje winowajców.
- Można spróbować piwa – radzi Byk, tnąc odrośle. – Wystawić spodki po zmroku. Wpełzną, spiją się i potoną.
- A piwo przyciągnie więcej ślimaków, niż było ich wcześniej. Nie mogłabym utopić żadnego stworzenia.
- Więcej gałązek spada z dębu.
- Tam widziałem odchody szopa. – Byk wskazuje sekatorem. – Może one jedzą bratki.
- Szopy, wiewiórki. Nic na to nie poradzę.
- Może pani, ale nie chce. Nie lubi pani zabijać. Ciekawe, zważywszy, czym się pani zajmuje. Można by założyć, że byle co pani nie zmartwi – mówi Byk z drzewa.
- Zdaje się, że sama przysparzam sobie zmartwień.
- Uhm. Tak się zdarza, jak człowiek za dużo wie. Te hortensje, tam gdzie pani stoi. Gdy rozrzuci pani wokół nich parę zardzewiałych gwoździ, staną się błękitne.
- Sól gorzka działa tak samo.
- Nie słyszałem o tym.
- Scarpetta patrzy przez lupę jubilerską na spód liścia kamelii, zauważa białawe łuski.
- Przytniemy je, a ponieważ są tu patogeny, będziemy musieli zdezynfekować narzędzia, zanim użyjemy ich do czegoś innego. Muszę ściągnąć fitopatologa.
- Uhm. Rośliny chorują jak ludzie.
- Wrony zaczynają hałasować w koronie dębu, którego gałęzie przycina Byk. Kilka z nich nagle odlatuje.





Madelisa stoi sparaliżowana jak ta pani z Biblii, która nie posłuchała Boga, za co On obrócił ją w słup soli. Wkroczyła na cudzy teren, łamie prawo.

– Halo! – krzyczy znowu.

Zbiera się na odwagę, żeby przejść z pralni do okazałej kuchni najbardziej okazałego domu, jaki kiedykolwiek widziała. Wciąż nawołuje „Halo!” i nie jest pewna, co zrobić. Nigdy dotąd tak się nie bała, powinna wyjść stąd jak najszybciej. Zaczyna wędrować po domu, gapiąc się na wszystko, czując się jak włamywacz, martwiąc się, że zostanie przyłapana – prędzej czy później – i pójdzie do więzienia.

Powinna odejść, wyjść. Natychmiast. Z włoskami zjeżonymi na karku woła „Halo!” i „Jest tu kto?”, zastanawiając się, dlaczego, u licha, dom jest otwarty, dlaczego mięso się piecze na grillu, skoro nikogo tu nie ma. Zaczyna wyobrazać sobie, że jest obserwowana, coś ją ostrzega, że powinna uciec stąd jak najszybciej i wrócić do Ashleya. Nie ma prawa się tu kręcić, ale nie może się powstrzymać, skoro już tu weszła. Nigdy nie widziała takiego domu, nie rozumie, dlaczego nikt nie odpowiada, i jest zbyt zaciekawiona, żeby zawrócić, a poza tym czuje, że nie może.

Przechodzi do ogromnego salonu. Podłoga została wyłożona błękitnym kamieniem, który wygląda na szlachetny, gdzieś tam leżą przepiękne orientalne dywaniki. Są tam potężne belki i kominek na tyle duży, żeby upiec w nim świnię. Ekran filmowy przysłania okno od strony oceanu. Pyłki kurzu unoszą się w snopie światła z projektora, ekran jest oświetlony, ale pusty, i nie ma dźwięku. Madelisa patrzy na sofę obitą czarną skórą, zaintrygowana widokiem schludnie złożonego ubrania: ciemna koszulka, ciemne spodnie, męskie slipy. Na dużym szklanym stole leżą paczki papierosów i lekarstwa, a wśród nich stoi prawie pusta butelka wódki Grey Goose.

Madelisa wyobraża sobie, jak ktoś – prawdopodobnie mężczyzna – pił i wpadł w depresję albo się rozchorował, co być może wyjaśnia, dlaczego pies wydostał się na zewnątrz. Ktoś był tutaj niedawno, pił, myśli, i ktokolwiek to był, rozpalił grill i jakby zapadł się pod ziemię. Serce jej wali. Nie może pozbyć się wrażenia, że jest obserwowana, i myśli: Boże, ale tu zimno.

– Halo! Jest tu kto?! – woła chrapliwie.

Jej stopy poruszają się jakby z własnej woli, gdy jak zahipnotyzowana chodzi po domu, a strach buczy w niej jak prąd. Powinna wyjść. Narusza cudzą własność jak włamywacz. Włamała się i weszła. Wpadnie w kłopoty. Czuje, że coś na nią patrzy. Policjanci będą na nią patrzeć, owszem, jeśli – a może raczej – kiedy się dowiedzą, i zaczyna panikować, ale nogi nie chcą jej słuchać. Przenoszą ją z miejsca na miejsce.

– Halo! – woła łamiącym się głosem.

Za salonem, na lewo od holu, jest inny pokój. Słyszy szum bieżącej wody.

– Halo!

Z wahaniem skręca w tamtą stronę, nie może powstrzymać stóp. Idą prosto do wielkiej sypialni z luksusowymi, eleganckimi meblami. Jedwabne zasłony są zaciągnięte, na ścianach wiszą zdjęcia. Śliczna dziewczynka z piękną, szczęśliwą kobietą, która musi być jej matką. Dziewczynka bawi się radośnie w brodziku ze szczeniakiem – bassetem. Ta sama piękna kobieta płacze, siedząc na kanapie, rozmawiając ze słynną psychiatrą z telewizji, doktor Self, wielkie kamery stoją bardzo blisko. Ta sama piękna pani upozowana z Drew Martin i przystojnym mężczyzną o oliwkowej skórze, z bardzo ciemnymi włosami. Drew i mężczyzna są w strojach tenisowych, trzymają rakiety gdzieś na jakimś korcie.

Drew Martin nie żyje. Została zamordowana.

Jasnoniebieska kołdra na łóżku jest skotłowana. Na czarnej marmurowej podłodze w pobliżu wezgłowia leżą ubrania. Różowy kostium do joggingu, para skarpetek, stanik. Szum płynącej wody staje się głośniejszy, gdy stopy niosą ją dalej.

Madelisa mówi im, żeby szły w przeciwną stronę, ale nie chcą. Uciekajcie, mówi, gdy niosą ją do łazienki z czarnego onyksu i miedzi. Uciekaj! Powoli ogarnia wzrokiem mokre, zakrwawione ręczniki w miedzianej umywalce, zakrwawiony nóż z ząbkowanym ostrzem i zakrwawione noże tapicerskie na czarnej toaletce, schludny stosik czystej, blad różowej bielizny na koszu.

Za pręgowanymi jak tygrys zasłonami zaciągniętymi wokół miedzianej wanny płynie woda, spadając na coś, co wydaje odgłos inny niż metal.

## ROZDZIAŁ 13

Po zmroku. Scarpetta świeci latarką na colta z nierdzewnej stali, leżącego pośrodku uliczki za jej domem.

Nie zadzwoniła na policję. Jeśli w ten ostatni groźny obrót wypadków zamieszany był koroner, telefon na policję tylko pogorszyłby sytuację. Nie wiadomo, kto siedzi w jego kieszeni. Byk opowiedział jej, co się stało, a ona nie wie, co o tym myśleć. Gdy wrony odleciały z dębu w ogrodzie, uznał, że to coś oznacza, dlatego skłamał, powiedział, że musi pójść do domu, podczas gdy zamierzał trochę powęszyć – tak to ujął. Czekał przez prawie pięć godzin. Kay nie miała o niczym pojęcia.

Zajmowała się swoimi sprawami. Skończyła to, co miała do zrobienia w ogrodzie. Wzięła prysznic. Pracowała w gabinecie na górze. Dzwoniła. Sprawdziła, co u Rose. Sprawdziła, co u Lucy. Sprawdziła, co u Bentona. Nie wiedziała, że przez cały czas Byk ukrywał się pomiędzy podwójną bramą za domem. Powiedział, że to jak łowienie ryb. Nie złapiesz niczego, dopóki ryba nie uwierzy, że odszedłeś. Siedział na ciemnych, chłodnych ceglach pomiędzy bramami przez całe popołudnie, a gdy słońce się zniżyło i cienie wydłużyły, zobaczył mężczyznę w uliczce. Mężczyzna podszedł prosto do zewnętrznej bramy i próbował wcisnąć rękę pomiędzy pręty, żeby ją otworzyć. Gdy nie zdołał, zaczął się wspinać, a wtedy Byk otworzył bramę i wdał się z nim w bójkę. Sądzi, że to jego widział na motorze. Ktokolwiek to był, knuł coś poważnego, bo gdy doszło do szamotaniny, upuścił pistolet.

– Zostań tutaj – mówi Kay do Byka w ciemnej uliczce. – Gdyby zjawił się któryś z sąsiadów albo ktoś inny, niech się nie zbliża. Niech nikt niczego

nie dotyka. Na szczęście nie sędzę, żeby ktoś zobaczył, co robimy.

Promień latarki Byka błądzi po nierównych ceglach, gdy Scarpetta idzie do domu. Wchodzi po schodach na piętro, a po paru minutach jest z powrotem w uliczce z aparatem fotograficznym i walizką ze sprzętem kryminalistycznym. Robi zdjęcia. Wciąga rękawiczki lateksowe. Podnosi rewolwer, otwiera bębenek, wyjmuje sześć nabołów kaliber trzydzieści osiem, wkłada je do jednej torebki, a broń do drugiej. Zakleja torebki jasnożółtą taśmą, którą opisuje markerem.

Byk kontynuuje poszukiwania, latarka podskakuje, gdy chodzi, zatrzymuje się, kuca, potem znów chodzi bardzo powoli. Po paru minutach mówi:

– Tu coś jest. Niech pani zobaczy.

Kay podchodzi do niego, patrząc pod nogi. Około trzydziestu metrów od bramy na zasłanym liśćmi asfalcie leży mała złota moneta z pękniętym łańcuszkiem. Naszyjnik lśni w świetle latarki, złoto jest jasne jak księżyc.

– Byłeś tak daleko od bramy, gdy z nim walczyłeś? – pyta z powątpiewaniem. – W takim razie dlaczego pistolet leżał tam? – Wskazuje ciemne zarysy bram i muru ogrodu.

– Trudno powiedzieć, gdzie byłem. Takie rzeczy szybko się dzieją. Chyba nie byłem tak daleko, ale nie dam głowy.

Scarpetta spogląda w stronę domu.

– Stamtąd dotąd jest dość daleko. Jesteś pewien, że go nie goniłeś, gdy upuścił pistolet?

– Mogę tylko powiedzieć, że złoty łańcuszek ze złotą monetą nie leżałyby tu długo. Może faktycznie go ściągałem z bramy i łańcuszek pękł, gdy się szamotaliśmy. Nie wydaje mi się, że bym go gonił, ale gdy idzie na śmierć i życie, nie zawsze można zmierzyć czas i odległość.

– Nie zawsze – zgadza się z nim Kay.

Wciąga nowe rękawiczki i podnosi pęknięty naszyjnik, chwytając za łańcuszek. Bez lupy nie może stwierdzić, co to za moneta, rozróżnia tylko koronowaną głowę z jednej strony, wieniec i cyfrę jeden po drugiej.

– Musiał pęknąć, jak zaczęliśmy się bić – decyduje Byk, jakby przekonywał sam siebie. – Mam nadzieję, że nie każą pani tego oddać. Policja, znaczy się.

– Nie trzeba niczego oddawać. Na razie nie popełniono przestępstwa. To tylko bijatyka z jakimś nieznanym. Nikomu o tym nie wspomnę, z wyjątkiem Lucy. Zobaczmy, co jutro zdiagnozujemy w laboratorium.

Byk już miał kłopoty. Nie pozwoli, żeby wpadł w następne, zwłaszcza przez nią.

– Jak człowiek znajdzie leżący na ziemi pistolet, powinien zadzwonić na policję – mówi Byk.

– Ja nie zadzwonię. – Scarpetta pakuje to, co przyniosła z domu.

– Przejmuje się pani, bo uznają, że byłem w coś zamieszany, i mnie zgarną. Niech się pani nie pakuje w tarapaty z mojego powodu, doktor Kay.

– Nikt cię nie zgarnie.



Czarne porsche dziewięćset jedenaście carrera Gianniego Lupana wciąż stoi w Charlestonie, choć trener rzadko tu bywa.

– Gdzie on jest? – Lucy pyta Eda.

– Nie widziałem go.

– Ale wciąż przebywa w mieście?

– Wczoraj z nim rozmawiałem. Zadzwonił i prosił, żebym zajął się wozem, bo klimatyzacja szwankuje. Jak go nie było, a nie wiem, dokąd poszedł, zmienili filtr. Lupano jest zamknięty w sobie. Wiem o jego przyjazdach i wyjazdach, bo każe mi raz w tygodniu zapuszczać silnik,

żeby akumulator nie padł. – Ed otwiera piankowe pudełko z jedzeniem na wynos i w jego małym biurze rozchodzi się zapach frytek. – Pozwoli pani? Nie chcę, żeby wystygły. Kto pani powiedział o jego wozie?

– Rose nie wiedziała, że Lupano ma tu mieszkanie – mówi Lucy z drzwi portierni, patrząc na hol i obserwując wchodzących. – Gdy się dowiedziała, doszła, kim on jest, i powiedziała mi, że jeździ drogim sportowym wozem. Uznała, że to porsche.

– Sama ma volvo stare jak mój kot.

– Zawsze uwielbiałam samochody, więc Rose sporo o nich wie, czy je lubi, czy nie. Zapytaj ją o porsche, ferrari, lamborghini, a wszystko ci o nich opowie. Tutaj ludzie nie wypożyczają porsche. Może mercedesy, ale nie porsche. Więc pomyślałam, że może trzyma je tutaj.

– Co u niej? – Ed siada za biurkiem, jedząc cheeseburgera ze Sweetwater Cafe. – Ostatnio nie było najlepiej.

– Cóż. Nie czuje się zbyt dobrze.

– W tym roku dałem sobie zrobić zastrzyk przeciwko grypie. Złapałem wirusa dwa razy, do tego przeziębienie. To jak dawanie dziecku cukierka, żeby nie miało dziurawych zębów. Ostatni raz się szczepiłem.

– Gianni Lupano był tutaj, gdy Drew została zamordowana w Rzymie? Powiedziano mi, że przebywał w Nowym Jorku, ale to niekoniecznie musi być prawda.

– Drew wygrała tu turniej, w Charlestonie, w niedzielę w środku miesiąca. – Ed wyciera usta papierową serwetką, podnosi duży kubek wody sodowej i pije przez słomkę. – Wiem, że tamtej nocy Gianni wyjechał z miasta, bo prosił, żebym zajął się jego wozem. Powiedział, że nie wie, kiedy wróci, a potem z nagłą się zjawił.

– Ale go nie widziałeś.

– Prawie wcale go nie widuję.

- Rozmawiasz z nim przez telefon.
- Zazwyczaj.
- Nie rozumiem – mówi Lucy. – Gdy Drew nie gra w Family Circle Cup, co on robi w Charlestonie? Jak długo trwa turniej? Jeden tydzień w roku?
- Byłaby pani zaskoczona, kto ma mieszkania w okolicy. Nawet gwiazdy filmowe.
- Jego wóz ma GPS?
- Ma wszystko. To wóz super.
- Muszę pożyczyć kluczyk.
- Ed wkłada cheeseburgera do pojemnika.
- Nie mogę.
- Nie ma obawy. Nigdzie nie pojedę, tylko coś sprawdzę i wiem, że nie piśniesz o tym słowa.
- Nie mogę dać kluczyka. – Przystaje jeść. – Jak Lupano się dowie...
- Potrzebuję tego kluczyka na dziesięć minut, najwyżej piętnaście. Nigdy się nie dowie, obiecuję.
- Może mogłaby go pani zapuścić, jak już tam pani będzie. Nic w tym złego. – Rozdziera pakiecik z keczupem.
- Dobrze.

Lucy wychodzi tylnymi drzwiami i znajduje porsche w odizolowanym kącie parkingu. Włącza silnik i otwiera schowek, żeby sprawdzić rejestrację. Carrera pochodzi z dwa tysiące szóstego i jest zarejestrowana na Lupana. Włącza GPS, sprawdza i spisuje zapisane w pamięci cele podróży.



Szybka cyrkulacja powietrza w magnesie utrzymuje chłód.



W pokoju rezonansu Benton patrzy przez szybę na owinięte prześcieradłem stopy doktor Self, która leży na suwanym stole we wnętrzu wążącego czternaście ton magnesu. Taśma na podbródku przypomina jej, żeby nie poruszała głową, umieszczoną wewnątrz cewki odbierającej impulsy wysokiej częstotliwości, konieczne do zobrazowania mózgu. Na uszach ma słuchawki. Nieco później, gdy zacznie się obrazowanie funkcjonalne, usłyszy w nich nagranie głosu matki.

– Jak dotąd wszystko w porządku – mówi Benton do doktor Susan Lane.  
– Z wyjątkiem jej fochów i gierek. Strasznie mi przykro, że przez nią wszyscy czekają. – Do technika: – Josh? Co z tobą? Śpisz?

– Nie masz pojęcia, jak się wyrywam, żeby to zrobić – odzywa się Josh zza swojej konsoli. – Moja córka wymiotowała przez cały dzień. Zapytaj moją żonę, jak bardzo chciałyby mnie zabić w tej chwili.

– Nigdy nie znałem osoby, która tak bardzo uszczęśliwiłaby świat. – Benton ma na myśli doktor Self, oko cyklonu. Patrzy przez szybę na jej stopy, dostrzega pończochy. – Ma pończochy?

– Masz szczęście, że ma cokolwiek na sobie. Gdy ją przyprowadziłem, upierała się, żeby zdjąć wszystko – mówi doktor Lane.

– Nie jestem zaskoczony. – Benton jest ostrożny. Wprawdzie doktor Self nie może ich słyszeć, o ile nie używają interkomu, ale może ich widzieć. – Ma fazę maniacką jak cholera. Odkąd się tu zjawiała. To był owocny pobyt. Zapytaj ją. Jest zdrowa jak ryba.

– Zapytałam, czy ma na sobie coś metalowego. Zapytałam, czy nie nosi biustonosza z metalowymi fiszbinami. Wyjaśniłam, że pole magnetyczne w skanerze jest sześć tysięcy razy większe od ziemskiego i nie można mieć na sobie niczego, co zawiera żelazo. Palenie stanika zyskałoby inne znaczenie, gdyby był w nim metalowy usztywniacz. Powiedziała, że ma taki biustonosz, była z tego całkiem dumna i mówiła bez końca o – ach i och –

brzemieniu dużych piersi. Oczywiście, kazałam jej zdjąć stanik, a ona na to, że woli zdjąć wszystko, i poprosiła o koszulę szpitalną.

– Nie mam nic do dodania.

– Dostała koszulę, ale przekonałam ją, żeby zostawiła majtki. I pończochy.

– Dobra robota, Susan. Miejmy to za sobą. Doktor Lane wciska klawisz interkomu i mówi:

– Zaczniemy od lokalizowania obrazów, innymi słowy, od obrazowania strukturalnego. Pierwszy etap będzie trwał około sześciu minut. Będzie pani słyszała dość głośne, dziwne hałasy urządzenia. Jak samopoczucie?

– Możemy zacząć? – pyta doktor Self.

Doktor Lane wyłącza interkom i zwraca się do Bentona:

– Jesteś gotów na PANAS\*?[Positive and Negative Affect scale Rates – skala do badania afektu pozytywnego i negatywnego.]

Benton wciska guzik interkomu.

– Doktor Self, zacznę od serii pytań o pani odczucia. Będę powtarzał te pytania kilka razy w czasie naszej sesji, zgoda?

– Wiem, co to jest PANAS.

Benton i doktor Lane wymieniają spojrzenia. Ich twarze są odprężone, niczego nie zdradzają, gdy doktor Lane cedzi sarkastycznie:

– Cudownie.

– Nie zwracaj na nią uwagi – radzi Benton. – Zaczynajmy.

Josh patrzy na Bentona, gotów zacząć. Benton myśli o rozmowie z doktorem Maronim i zasugerowanym oskarżeniu, że Josh powiedział Lucy o ich pacjentce, a potem Lucy powiedziała Scarpeticie. To wciąż go intryguje. Co doktor Maroni próbował mu przekazać? Gdy patrzy przez szybę na doktor Self, coś wpada mu do głowy. Akta, których nie ma w Rzymie. Notatki dotyczące Piaskuna. Może są tutaj, w MacLeanie.

Monitor wyświetla parametry funkcji życiowych doktor Self, przekazywane drogą radiową z klipsa palcowego i mankietu ciśnieniomierza.

– Ciśnienie sto dwanaście na siedemdziesiąt osiem – mówi Benton i zapisuje odczyt. – Tętno siedemdziesiąt dwa.

– Jakie ma SpO-dwa? – pyta doktor Lane. Informuje ją, że saturacja, czyli wysycenie krwi tętniczej tlenem, wynosi dziewięćdziesiąt dziewięć procent. W normie. Wciska klawisz interkomu i zaczyna PANAS.

– Doktor Self? Czy jest pani gotowa odpowiedzieć na kilka pytań?

– Nareszcie. – Głos z interkomu.

– Będę zadawać pytania i chciałbym, żeby oceniała pani swoje uczucia w skali od jeden do pięciu. Jeden oznacza, że nic pani nie czuje. Dwa, że ma pani słabe odczucia. Trzy to średnie, cztery silne, a pięć bardzo silne. Rozumie pani?

– Znam PANAS. Jestem psychiatrą.

– Wygląda na to, że jest również neurobiologiem – komentuje doktor Lane. – Będzie oszukiwać.

– Nie dbam o to. – Benton wciska klawisz i zadaje pytania, te same, które zadał jej kilka razy w czasie testów. Czy czuje zdenerwowanie, zawstydzenie, zmartwienie, wrogość, irytację, poczucie winy? A może zaciekawienie, dumę, determinację, aktywność, siłę, pobudzenie, ekscytację, entuzjizm, czujność? Doktor Self przypisuje po jednym punkcie wszystkim emocjom, twierdząc, że nic nie czuje.

Benton sprawdza i zapisuje parametry czynności życiowych. Są normalne, niezmienione.

– Josh? – Doktor Lane daje znak, że pora zaczynać.

Rozpoczyna się obrazowanie strukturalne, któremu towarzyszą dźwięki głośnego łomotania. Na ekranie komputera Josha ukazują się obrazy mózgu

doktor Self. Niewiele ujawniają. O ile nie ma jakiejś dużej zmiany w rodzaju guza, nie zobaczą niczego, dopóki tysiące obrazów rezonansu nie zostaną przeanalizowane.

– Jesteśmy gotowi – mówi doktor Lane przez interkom. – Wszystko w porządku?

– Tak. – Jej głos zdradza zniecierpliwienie.

– Przez pierwsze trzydzieści sekund będzie panowała cisza – uprzedza doktor Lane. – Proszę nic nie mówić i odprężyć się. Potem usłyszycie pani nagranie głosu matki i chcę, żeby pani tylko słuchała. Proszę leżeć w absolutnym bezruchu i słuchać.

Parametry doktor Self są wciąż takie same.

Rozlega się dziwny dźwięk, który przywodzi na myśl sonar okrętu podwodnego, gdy Benton patrzy na okryte kocem stopy po drugiej stronie szyby.

– *Pogoda była dziś idealnie cudowna, Marilyn.* – To nagrany głos Gladys Self. – *Nawet nie zwracałam sobie głowy włączaniem klimatyzacji, co nie znaczy, że jest sprawna. Grzechocze jak wielki owad. Po prostu mam otwarte drzwi i okna, ponieważ temperatura jest znośna.*

Chociaż to faza neutralna, najbardziej niewinna ze wszystkich, parametry życiowe doktor Self uległy zmianie.

– Tętno siedemdziesiąt trzy, siedemdziesiąt cztery – mówi Benton, zapisując dane.

– Powiedziałabym, że nie jest to dla niej obojętne – komentuje doktor Lane.

– *Myślałam o wszystkich tych zachwycających drzewach owocowych, które tu rosły, gdy tu mieszkałaś, Marilyn, o tych, które Departament Rolnictwa kazał wyciąć z powodu bakteriozy. Uwielbiałam śliczny ogródek. Będziesz zadowolona, gdy się dowiesz, że w końcu zakończono ten głupi*

*program zwalczania zarazy, bo się nie sprawdził. Taka strata. Wszystko w życiu ma swój czas, prawda?*

– Tętno siedemdziesiąt pięć, siedemdziesiąt sześć, SpO-dwa dziewięćdziesiąt osiem – mówi Benton.

– ... *To cholerstwo, Marilyn. Ten okręt podwodny przez cały dzień pływa jakąś milę od brzegu. Mała amerykańska flaga powiewa na tym czymś, jak to się nazywa... Wieża, gdzie jest peryskop? Musi być wojna. W tę i z powrotem, w tę i z powrotem, jakieś ćwiczenia, mała flaga powiewa. Mówię znajomym, po co te ćwiczenia? Czy nikt im nie powiedział, że nie potrzebują okrętów podwodnych w Iraku...?*

Pierwszy neutralny etap dobiega końca i w czasie trzydziestosekundowego okresu odpoczynku znów jest mierzone ciśnienie krwi doktor Self. Podskoczyło do stu szesnastu na osiemdziesiąt dwa. Powraca głos jej matki. Gladys Self mówi, gdzie ostatnio lubi robić zakupy, opowiada o niekończących się budowach, o wyrastających wszędzie drapaczach chmur. Mnóstwo z nich świeci pustkami, bo rynek nieruchomości diabli wzięli. Głównie z powodu wojny w Iraku. Wszyscy cierpią z powodu tej wojny.

Doktor Self reaguje tak samo.

– O rany – mruczy doktor Lane. – Coś musiało przykuć jej uwagę. Spójrz tylko na jej SpO-dwa.

Saturacja spadła do dziewięćdziesięciu siedmiu.

Znów głos matki. Wypowiedzi pozytywne. Potem krytycyzm.

– ... *Jesteś patologiczną kłamczynią, Marilyn. Od czasu, gdy nauczyłaś się mówić, nie słyszałam od ciebie słowa prawdy. A potem? Co się stało?*

*Skąd masz tę swoją moralność? Nie po kimś z rodziny. Ty i te twoje brudne małe sekrety. To odrażające i karygodne. Co się stało z twoim sercem, Marilyn? Gdyby to tylko wiedzieli twoi fani! Wstydz się, Marilyn...*

Wysycenie tlenem spadło do dziewięćdziesięciu sześciu procent, oddech doktor Self jest przyspieszony, spłycony, słyszalny przez interkom.

*– ... Ludzie, których odtrąciłaś. Wiesz, kogo mam na myśli. Kłamiesz, jakbyś mówiła prawdę. To martwiło mnie przez całe twoje życie i to pewnego dnia zemści się na tobie...*

– Tętno sto dwadzieścia trzy – informuje doktor Lane.

– Właśnie poruszyła głowę – mówi Josh.

– Oprogramowanie to skoryguje?

– Nie wiem.

*– ... I myślisz, że pieniądze wszystko załatwią. Wysyłasz mi wdowi grosz i rozgrzeszasz się z odpowiedzialności. Spłacasz ludzi. Aha, zobaczymy. Pewnego dnia zbierzesz, co zasiałaś. Nie chcę twoich pieniędzy. Piją drinki w barze tiki z przyjaciółmi, którzy nawet nie wiedzą, kim dla mnie jesteś...*

Tętno sto trzydzieści cztery. Saturacja spada do dziewięćdziesięciu pięciu. Stopy są niespokojne. Zostało dziewięć sekund. Matka mówi, aktywując neurony w mózgu córki. Krew płynie do tych neuronów, a z jej zwiększonym dopływem wzrasta ilość krwi odtlenionej, którą wykrywa skaner. Trwa obrazowanie funkcjonalne. Doktor Self cierpi fizycznie i emocjonalnie. To nie jest gra.

– Nie podobają mi się jej parametry. Wystarczy – mówi Benton do doktor Lane.

– Zgadza się. Włącza interkom.

– Doktor Self, kończymy.



Z zamkniętej szafki w laboratorium komputerowym Lucy wyjmuje zestaw narzędzi, pendrive i małe czarne pudełko, gdy rozmawia z Bentonem przez telefon.

– Nie pytaj o nic – mówi Benton. – Właśnie skończyliśmy rezonans. Ściśle mówiąc, musieliśmy przerwać. Nie mogę ci o tym opowiedzieć, ale czegoś potrzebuję.

– W porządku. – Lucy siada przed komputerem.

– Chcę, żebyś porozmawiała z Joshem. Musisz coś zrobić.

– Co?

– Pewien pacjent ma pocztę na serwerze w Pawilonie.

– I?

– Na tym samym serwerze są pliki elektroniczne. Dotyczą osoby, która spotykała się z dyrektorem Pawilonu. Wiesz, o kogo mi chodzi.

– I?

– Spotkania odbywały się w Rzymie w listopadzie ubiegłego roku – mówi Benton przez telefon. – Mogę ci tylko powiedzieć, że rzeczony pacjent służył w Iraku. Zdaje się, że skierowała go doktor Self.

– I? – Lucy loguje się w Internecie.

– Josh właśnie skończył rezonans. Ten przerwany. Badana osoba wyjeżdża dziś wieczorem, co znaczy, że nie będzie więcej e-maili. Liczy się czas.

– Wciąż tam jest? Osoba, która wyjeżdża?

– Tak. Josh już wyszedł, ma w domu chore dziecko. Spieszy się.

– Jeśli podasz mi hasło, mogę wejść do sieci – oznajmia Lucy. – Tak będzie łatwiej. Ale musisz być wyłączony przez jakąś godzinę.

Łapie Josha przez komórkę. Jest w drodze, jedzie ze szpitala. To nawet lepiej. Mówi mu, że Benton nie może sprawdzić poczty, że coś się dzieje z serwerem, że natychmiast trzeba to naprawić. Proponuje, że zrobi to ze swojego komputera, ale musi mieć hasło administratora systemu, chyba że Josh chce zawrócić i sam się tym zająć. Josh nie chce, mówi o żonie, o dziecku. Zapewnia, że będzie cudownie, jeśli ona się tym zajmie. Przez cały czas rozwiązywali problemy techniczne i nigdy nie przyszłoby mu na myśl, że Lucy zamierza dostać się do prywatnego konta e-mailowego pacjenta i prywatnych plików doktora Maroniego. Gdyby nawet podejrzewał najgorsze, założyłby, że Lucy się włamie, a nie będzie prosić o hasło. Przecież zna jej możliwości, wie, z czego żyje.

Lucy nie chce włamywać się do szpitala, w którym pracuje Benton. Poza tym trwałoby to zbyt długo. Godzinę później dzwoni do Bentona:

– Nie mam czasu, żeby to przejrzeć. Zostawiam to tobie. Przesłałam wszystko. Twoja poczta działa.

Wychodzi z laboratorium i odjeżdża na swoim motocyklu Agusta Brutale, przepelniona niepokojem i złością. Doktor Self jest w Szpitalu MacLeana. Prawie od dwóch tygodni. Cholera jasna. Benton o tym wiedział.

Jedzie szybko, ciepły wiatr uderza w kask, jakby chciał ją ocucić.

Rozumie, dlaczego Benton nie mógł powiedzieć ani słowa, ale to nie w porządku. Doktor Self i Marino piszą do siebie e-maile, a Benton przez cały czas miał ją pod nosem w MacLeanie. Nie ostrzegł Marina ani Kay. Jej też nie ostrzegł, gdy oboje obserwowali, jak Marino oprowadza Shandy po prosektorium. Lucy rzucała komentarze pod jego adresem, mówiła o e-mailach do doktor Self, a Benton tylko słuchał. Teraz jest jej głupio, czuje się zdradzona. On nie miał żadnych skrupułów, żeby prosić ją o włamanie do poufnych szpitalnych plików elektronicznych, ale nie mógł jej



powiedzieć, że doktor Self jest pacjentką i siedzi w swoim prywatnym pokoju w bardzo prywatnym Pawilonie, płacąc trzy tysiące pieprzonych dolarów za dzień i robiąc wszystkich w konia.

Wrzuca szósty bieg, mijając samochody na moście Arthura Ravenela ze strzelistymi pylonami i skośnymi kablami, które przywodzą jej na myśl Stanfordzkie Centrum Onkologii i kobietę z harfą, grającą niestosownie dobrane utwory. Marino już namieszał, ale nie mógł przewidzieć chaosu, jaki spowoduje doktor Self. Jest zbyt prosty, żeby zrozumieć budowę bomby neuronowej. W porównaniu z doktor Self jest wielkim dzieciakiem z procą w tylnej kieszeni spodni. Może on zaczął, wysyłając jej e-mail, ale ona wie, jak skończyć. Wie, jak wykończyć jego.

Przemyka obok kutrów krewetkowych zacumowanych w Shem Creek, jedzie przez most Bena Sawy era na Wyspę Sullivana, gdzie Marino mieszka w czymś, co kiedyś nazwał swoim wymarzonym domem. Jest to maleńka, zaniedbana chata rybacka na palach z czerwonym metalowym dachem. Okna są ciemne, nie pali się nawet światło na werandzie. Za chatą bardzo długi pomost wychodzi na bagna i kończy się przy wąskim strumieniu, który płynie kręto do Śródlądowej Drogi Wodnej. Kiedy się tu sprowadził, kupił łódź i lubił penetrować strumienie, łowił ryby albo po prostu pływał, popijając piwo. Lucy nie jest pewna, co się stało. Dokąd sobie poszedł? Kto zamieszkał w jego ciele?

Podwórko przed domem jest piaszczyste i zarośnięte badylastymi chwastami. Lucy kluczy wśród rupieci. Stare lodówki turystyczne, rdzewiejący grill, pojemniki na kraby, butwiejące sieci rybackie, kosze na śmieci, które cuchną jak bagno. Wchodzi po spaczonych drewnianych stopniach i próbuje otworzyć drzwi, z których łuszczy się farba. Zamek jest kiepski, ale nie chce go wyważać. Lepiej zdjąć drzwi z zawiasów i wejść w ten sposób. Parę ruchów śrubokrętem i jest w domu marzeń Marina. Nie ma

systemu alarmowego, Marino uważa, że jego pistolety są wystarczająco alarmujące.

Lucy pociąga za sznurek zwisający koło żarówki. Rozgląda się w ostrym blasku i cieniach, ciekawa, co uległo zmianie, odkąd tu była ostatni raz. Kiedy? Pół roku temu? Nie zrobił nic nowego, jakby po krótkim czasie przestał tu mieszkać. W pokoju jest goła drewniana podłoga, tania kraciasta kanapa, dwa krzesła, telewizor z wielkim ekranem, komputer i drukarka. Pod ścianą stoi mała kuchenka, na ladzie kilka pustych puszek po piwie i butelka jacka danielsa. Lodówka zawiera zapas wędlin, sera i piwa.

Siada przy biurku i z portu USB wyjmuje pendrive o pojemności dwustu pięćdziesięciu sześciu megabajtów z doczepioną smyczą. Otwiera swój komplet narzędzi i wybiera szczypczyki, śrubokręt, wiertarkę akumulatorową – maleńką, jakiej mógłby używać jubiler. W małym czarnym pudełku ma cztery mikrofony dookólne o średnicy może ośmiu milimetrów, wielkości aspiryny dla dzieci. Otwiera plastikową obudowę pendrive'a, odpina smycz i umieszcza wewnątrz mikrofon. Metalowa siateczka jest niezauważalna w otworku, w którym przymocowana była smycz. Wiertarka mruczy cicho, gdy wierci drugą dziurkę przy podstawie obudowy, żeby z powrotem założyć kółko smyczy.

Następnie sięga do kieszeni spodni, wyjmując drugi pendrive – ten, który zabrała z laboratorium – i wsuwa go do portu USB. Wgrywa do komputera Marina własną wersję programu szpiegowskiego, który prześle na jej konto e-mailowe każde uderzenie w klawisze. Przegląda zawartość twardego dysku, szukając dokumentów. Prawie nic, z wyjątkiem e-maili od doktor Self, które Marino skopiował do komputera w swoim biurze. Żadna niespodzianka. Lucy nie wyobraża sobie, żeby pisał powieść czy artykuły do specjalistycznego czasopisma. Miał dość papierkowej roboty. Lucy wsuwa do portu jego pendrive i zaczyna szybki przegląd, otwierając

szuflady. Papierosy, parę magazynów „Playboy”, smith & wesson . 357 magnum, kilka dolarów i drobnych, rachunki, przesyłki reklamowe.

Nigdy nie mogła zrozumieć, jak Marino mieści się w sypialni, gdzie rolę szafy pełni pręt przymocowany pomiędzy ścianami w nogach łóżka, ubrania są ściśnięte i wiszą byle jak, inne rzeczy leżą na podłodze, łącznie z jego wielkimi bokserkami i skarpetami. Zauważa koronkowy czerwony stanik, nabijany ćwiekami czarny skórzany pas i drugi, z krokodylej skóry, o wiele za mały na niego, a także plastikowy pojemnik po maśle pełen prezerwatyw i obręczek na penisa. Łóżko jest nieposłane. Bóg wie, kiedy ostatni raz prana była pościel.

Obok drzwi jest łazienka wielkości budki telefonicznej. Sedes, prysznic, umywalka. Lucy zagląda do apteczki, znajduje przybory toaletowe i lekarstwa na kaca. Wyjmuje buteleczkę fiorinalu z kodeiną, przepisanego na Shandy Snook. Jest prawie pusta. Na drugiej półce leży tubka testodermu z nazwiskiem kogoś, o kim nigdy nie słyszała. Wprowadza informacje do swojego iPhone'a. Mocuje drzwi na zawiasach i schodzi po ciemnych, rozklekotanych schodach. Wiatr się wzmógł, z pomostu dobiegają ciche odgłosy. Lucy wyjmuje glocka, nasłuchuje, świecąc latarką w stronę źródła hałasu, ale snop sięga niedaleko, większa część pomostu tonie w gęstym mroku.

Wchodzi po schodach na stary pomost, w którym brakuje kilku desek, a inne są spaczone. Spowija ją silna woń błota. Odpędzając gryzące muszki, przypomina sobie, co powiedział jej pewien antropolog. Wszystko zależy od grupy krwi. Owady w rodzaju komarów lubią grupę zero. Ona ma taką, ale nigdy nie była pewna, jak muszki mogą wyczuć jej krew, gdy nie krwawi. Roją się wokół niej, atakują, kęsają po głowie.

Jej kroki są ciche, gdy idzie i słucha płynącego z dali stukotu. Krąg blasku latarki podskakuje nad zniszczonymi deskami i pokrzywionymi

zardzewiałymi gwoździami. Podmuch wiatru kołysze trawą, szepcze w niej. Światła Charlestonu wydają się dalekie w cuchnącym siarką, wilgotnym powietrzu, księżyc chowa się za grubymi chmurami. Na końcu pomostu Lucy patrzy z góry na źródło niepokojących odgłosów. Łódź Marina znikła i jasnopomarańczowe obijacze uderzają głucho o pale.

## ROZDZIAŁ 14

Karen i doktor Self na schodach Pawilonu, zapada zmierzch.

Światło na werandzie jest niezbyt jasne. Doktor Self wysuwa złożoną kartkę z kieszeni płaszcza przeciwdeszczowego. Rozkłada ją, wyjmując pióro. W lesie za nimi brzęczą owady. Z dali płynie wycie kojotów.

– Co to? – pyta Karen.

– Ilekroć zapraszam gości do mojego show, podpisują coś takiego. To zgoda na udział w programie. Na rozmowę o nich. Nikt nie może ci pomóc, Karen. To jasne, prawda?

– Czuję się trochę lepiej.

– Jak zawsze. Bo cię programują. Jak próbowali zaprogramować mnie. To spisek. Dlatego kazali mi słuchać mojej matki.

Karen bierze od niej umowę dotyczącą dochowania tajemnicy, próbuje przeczytać. Za słabe światło.

– Chciałabym kontynuować nasze cudowne rozmowy. Płynące z nich wnioski mogą pomóc milionom widzów na całym świecie. Muszę mieć twoją zgodę. Chyba że wolisz wystąpić pod przybranym nazwiskiem.

– O nie! Z przyjemnością porozmawiam z tobą o sobie i użyję prawdziwego nazwiska. Sam udział w twoim programie, Marilyn! Jaki spisek? Myślisz, że mnie też obejmuje?

– Musisz to podpisać. – Doktor Self podaje jej pióro.

Karen składa podpis.

– Dasz mi znać, gdy będziesz chciała o mnie porozmawiać, żebym mogła to obejrzeć. To znaczy, jeśli się zdecydujesz. Myślisz, że tak?

– Na pewno nie w pierwszym programie, Karen. Pierwszy będzie o Frankensteinie i szokujących eksperymentach. Podano mi leki wbrew mojej woli. Torturowano mnie i poniżano w magnesie. Niech powtórzę, w ogromnym magnesie, gdzie słuchałam mojej matki, gdzie zmuszali mnie do wysłuchiwania kłamstw na mój temat i zrzucania na mnie winy. Mogą minąć tygodnie, zanim cię zaproszę. Mam nadzieję, że wciąż tu będziesz.

– W szpitalu? Wyjeżdżam z samego rana.

– Tutaj.

– Gdzie?

– Czy wciąż chcesz być na tym świecie, Karen? Albo czy kiedykolwiek chciałaś? To poważne pytanie.

Karen zapala papierosa drżącymi rękami.

– Widziałaś mój cykl z Drew Martin – podejmuje doktor Self.

– To takie smutne.

– Powinam powiedzieć wszystkim prawdę o jej – trenerze. Próbowałam powiedzieć jej.

– Co zrobił?

– Zaglądałaś kiedy na moją stronę internetową?

– Nie. Wiem, że powinam. – Karen siedzi zgarbiona na zimnym kamiennym stopniu, paląc.

– Chciałabyś się tam znaleźć? Przed wystąpieniem w moim programie?

– Na stronie? To znaczy, że przedstawiś tam moją historię?

– Pokróćce. Mamy dział zatytułowany „Self talk”. Ludzie prowadzą błogi, opowiadają o sobie, rozmawiają między sobą. Oczywiście, niektórzy nie umieją dobrze pisać. Mam zespół, który redaguje teksty, notuje pod dyktando, przeprowadza wywiady. Pamiętasz, jak się poznałyśmy? Dałam ci wizytówkę?

– Wciąż ją mam.

– Prześlij swoją historię na adres e-mailowy z wizytówki, a my ją zamieścimy. Może być inspirująca. W przeciwieństwie do historii biednej siostrzenicy doktora Wesleya.

– Kogo?

– Tak naprawdę nie jest jego siostrzenicą. Ma guz mózgu. Kogoś takiego nie mogą uleczyć nawet moje narzędzia.

– No nie. To straszne. Przypuszczam, że guz mózgu może doprowadzić człowieka do szaleństwa, i nie ma dla niego ratunku.

– Przeczytasz sobie o niej wszystko, gdy się zalogujesz. Zobaczysz jej historię i wszystkie błogi. Zdziwisz się. – Doktor Self siedzi o stopień wyżej, wiatr działa na jej korzyść, dym papierosowy płynie w drugą stronę.

– Twoja historia? To będzie niezłe przesłanie. Ile razy byłaś hospitalizowana? Co najmniej dziesięć. Skąd ta porażka?

Doktor Self wyobraża sobie, jak pyta widownię, gdy kamery skupiają się na jej twarzy – jednej z najbardziej rozpoznawalnych twarzy na świecie. Uwielbia swoje nazwisko. Stanowi ono część jej niezwykłego przeznaczenia. Self. Nigdy nie chciała z niego zrezygnować. Nie zmieniłaby go dla nikogo i nigdy się nim nie podzieli. Każdy, kto go nie chce, jest przeklęty, bo grzechem niewybaczalnym wcale nie jest seks. Jest nim porażka.

– Wystąpię w twoim programie, kiedy tylko zechcesz. Zadzwoń do mnie, proszę, a zjawię się natychmiast – mówi Karen. – Dopóki nie będę musiała opowiadać o... Nie mogę powiedzieć.

Ale nawet wówczas, gdy fantazje były najbardziej żywe, gdy jej myślenie stało się magiczne i zaczęły się przeczucia, doktor Self nigdy nie marzyła, że spotka ją coś takiego.

*Jestem doktor Marilyn Self. Witajcie w programie „Self on Self”. SOS. Potrzebujesz pomocy?* – Słowa te powtarza na początku każdego programu,

przy szaleńczym aplauzie publiczności w studiu, gdy miliony widzów oglądają ją na całym świecie.

– Nie zmusisz mnie, żebym to powiedziała, prawda? Moja rodzina nigdy by mi nie wybaczyła. Dlatego nie mogę przestać pić. Powiem ci, jeśli nie każesz mi wyznać tego w telewizji ani na swojej stronie – plecie Karen, zagubiona we wspomnieniach.

– *Dziękuję. Dziękuję.* – Czasami doktor Self nie może skłonić widzów, żeby przestali klaskać. – *Ja też was uwielbiam.*

– Moja suczka boston terier, Bandytka. Wypuściłam ją późno w nocy i zapomniałam wpuścić, bo byłam pijana. Była zima.

Brawa huczą jak ulewa, jak tysiące klaszczących rąk.

– Nazajutrz rano znalazłam ją martwą przy tylnych drzwiach, drewno było podrapane. Moja biedna Bandytka z krótką sierścią. Trzęsa się, skomlała i szczekała, jestem pewna. Drapała w drzwi, bo było lodowato. – Karen szlocha. – Po prostu uśmiercam mózg, żeby nie myśleć. Powiedzieli, że mam wszystkie te białe obszary i rozszerzenie... cóż, i atrofię. Jasne jak słońce, możesz zobaczyć, że nie jestem normalna. – Dotyka skroni. – Było go widać na podświetlonych zdjęciach w gabinecie neurologa, mój nienormalny mózg, wielki jak świat. Mam prawie sześćdziesiątkę i co się stało, to się nie odstanie.

– Ludzie są bezlitośni dla psów – komentuje doktor Self, zatopiona w swoich myślach.

– Wiem, że ja tak. Co mam zrobić, żeby się z tego otrząsnąć? Proszę, powiedz mi.

– Ludzie z chorobą umysłową mają szczególny kształt czaszki. Obłąkani mają mniejsze albo zdeformowane głowy. Maniacy mają rozmiękczone mózgi. Takie naukowe wnioski wynikły z badań przeprowadzonych w



Paryżu w roku tysiąc osiemset dwudziestym czwartym. Z przebadanych stu idiotów i imbecyli tylko czternastu miało normalne głowy.

– Mówisz, że jestem imbecylem?

– Czym to stwierdzenie różni się od tego, co mówili ci lekarze? Że twoja głowa jest jakaś inna, co znaczy, że ty też jesteś jakaś inna?

– Jestem imbecylem? Zabiłam swojego psa.

– Te przesady i manipulacje trwają od stuleci. Mierzenie czaszek ludzi zamkniętych w zakładach dla obłąkanych, robienie sekcji mózgów idiotów czy imbecyli.

– Jestem imbecylem?

– Dziś pakują cię do jakiejś magicznej rury, do magnesu, i mówią, że masz zdeformowany mózg, i każą ci słuchać swojej matki. – Doktor Self milknie, gdy z ciemności wyłania się wysoka postać.

– Karen, jeśli nie masz nic przeciwko temu, chciałbym porozmawiać z doktor Self – mówi Benton Wesley.

– Jestem imbecylem? – pyta Karen, podnosząc się ze stopnia.

– Nie jesteś imbecylem – zapewnia Benton życzliwie.

Karen żegna się z nim.

– Zawsze był pan dla mnie miły. Lecę do domu i już nie wrócę.

Doktor Self zaprasza Bentona na stopień obok siebie, ale spotyka się z odmową. Wyczuwa jego gniew, i to jej kolejny triumf.

– Czuję się znacznie lepiej – mówi do niego. Odmieniają go cienie walczące ze światłem lamp. Doktor Self dotąd nie widziała go w ciemności i jest zafascynowana.

– Zastanawiam się, co powiedziałyby teraz doktor Maroni. Zastanawiam się, co powiedziałyby Kay. Przychodzą mi na myśl wiosenne ferie na plaży. Dziewczyna zauważa przystojnego młodego mężczyznę, i co potem? On zwraca uwagę na nią. Siedzą na piasku, brodzą w wodzie, chlapią się i do

wschodu słońca robią, co tylko chcą. Nie przejmują się, że są mokrzy i lepią się od soli. Gdzie się podziała magia, Bentonie? Starość przychodzi wtedy, gdy czujesz ciągły niedosyt i wiesz, że już nigdy nie zaznasz magii. Wiem, czym jest śmierć, i ty też wiesz. Usiądź obok mnie, Bentonie. Cieszę się, że chcesz ze mną porozmawiać przed moim wyjazdem.

– Rozmawiałem z twoją matką. Jeszcze raz.

– Musiałeś ją polubić.

– Usłyszałem coś bardzo interesującego, co sprawia, że cofam słowa, które powiedziałem, doktor Self.

– Przeprosiny zawsze są mile widziane. Twoje stanowią dość przyjemną niespodziankę.

– Miałaś rację co do doktora Maroniego. O uprawianiu z nim seksu.

– Nie mówiłam, że uprawiałam z nim seks. – Doktor Self ziębnie wewnątrz. – Kiedy miałyby się to stać? W moim cholernym pokoju z cholernym widokiem? Byłam oszołomiona lekami. Nie mogłabym uprawiać seksu z nikim, chyba że wbrew własnej woli. Podał mi środki usypiające.

– Nie o tym mówię.

– Gdy byłam półprzytomna, rozwiązał mój szlafrok i pieścił mnie. Powiedział, że kocha moje ciało.

– Bo je pamiętał.

– Kto powiedział, że uprawiałam z nim seks? Ta cholerna suka? Co ona może wiedzieć, co zaszło, gdy się zameldowałam? Musiałeś jej powiedzieć, że jestem pacjentką. Podam cię do sądu. Powiedziałam, że nie mogłam się opanować, nie mogłam się oprzeć, a potem uciekł. Powiedziałam, że wiedział, iż postąpił źle, dlatego uciekł do Włoch. Nie mówiłam, że uprawiałam z nim seks. Nigdy tego nie powiedziałam. Podał mi leki i wykorzystał mnie, a ja powinnam wiedzieć, że to zrobi. Dlaczego miałyby nie zrobić?

To ją podnieca. Podniecało wtedy i wciąż podnieca. Nie miała pojęcia, że tak będzie. Przez chwilę go beształa, ale nie kazała mu przestać. Zapytała: „Dlaczego badasz mnie z takim entuzjazmem?”. On na to: „Ponieważ to ważne”. Ona: „Tak. Powinieneś wiedzieć, co nie jest twoje”. A on, eksplorując: „To jak wyjątkowe miejsce, które człowiek kiedyś odwiedził i którego nie widział przez wiele lat. Chce się dowiedzieć, co uległo zmianie, a co nie, i czy może znów tam zamieszkać”. „Mógłbyś?” – zapytała. „Nie”. Potem uciekł, i to było najgorsze, ponieważ zrobił to już wcześniej.

– Mówię o dawnej przeszłości – mówi Benton.



Woda pluska cicho.

Willa Rambo otacza woda i noc, gdy płynie z Wyspy Sullivan, gdzie w ustronnym miejscu niedaleko wypożyczalni łodzi zostawił cadillaca. Pożyczył łódź już wcześniej. Gdy trzeba, używa silnika przyczepnego. Gdy chce ciszy, wiosłuje. Woda pluska w ciemności.

*W Grotta Bianca, w miejscu, dokąd zabrał tę pierwszą. Uczucie swojskości, gdy fragmenty dopasowywały się do siebie w głębokiej jaskini jego umysłu, wśród wapiennych nacieków i mchu w miejscach, gdzie zagląda słońce. Poprowadził ją za Kolumnę Herkulesa do podziemnego świata kamiennych korytarzy z pryzmami minerałów i bezustannym pluskiem kapiącej wody.*

*Tego pięknego jak marzenie dnia byli zupełnie sami, tylko raz minęli ich podekscytowani uczniowie w ciepłych kurtkach i czapkach. Powiedział do niej:*

*– Hałasują jak stado nietoperzy.*

Roześmiała się i żartowała z nim, chwyciła go za rękę i przytuliła się do niego, a on znów poczuł jej miękkość. Ciszę mąciło tylko kapanie wody. Zabrał ją do Tunelu Węży pod kamiennymi kandelabrami. Przechodzili obok przejrzystej kurtyny kamienia do Korytarza Pustyni.

– Gdybyś mnie tu zostawił, nigdy nie znalazłabym wyjścia – oznajmiła.

– Czemu miałbym cię zostawić? Jestem twoim przewodnikiem. Na pustyni nie przeżyjesz bez przewodnika, chyba że znasz drogę.

A burza piaskowa wzniosła się na kształt potężnej ściany, i przetarł oczy, próbując tego dnia nie widzieć jej oczyma duszy.

– Skąd znasz drogę? Musisz tu często przychodzić – powiedziała, a wtedy zostawił burzę piaskową i wrócił do jaskini. Jej twarz była taka piękna, blada i wyrazista, jak wyrzeźbiona z kwarcu, ale smutna, ponieważ kochanek rzucił ją dla innej. – Musisz być wyjątkowy, skoro znasz takie miejsce. Trzy kilometry pod ziemią, bezkresny labirynt wilgotnego kamienia. Strasznie byłoby tutaj zabłądzić. Ciekawe, czy ktoś się kiedyś zgubił. Po godzinach, gdy gaszą światła, musi tu być ciemno i zimno jak w głębokiej piwnicy.

Nie widział własnej ręki przed twarzą. Widział tylko jasną czerwień, gdy ziarna piasku uderzały w nich z taką siłą, że myślał, iż zedrą mu skórę.

– Will! O Boże! Pomóż mi, Will! – Wrzaski Rogera stały się krzykami uczniów w sąsiednim korytarzu i ryk burzy ucichł.

Woda kapła, buty mlaskały w błocie.

– Dlaczego wciąż trzesz oczy? – zapytała.

– Mógłbym znaleźć drogę nawet po omacku. Doskonale widzę w ciemności i przychodziłem tu często, jak byłem mały. Jestem twoim przewodnikiem. – Był dla niej bardzo miły, bardzo delikatny, bo rozumiał, że poniesiona przez nią strata jest nie do zniesienia. – Widzisz, jaki kamień jest przejrzysty w świetle? Jest płaski i silny jak ścięgno, a kryształy są

woskowożółtą kością. A za tym wąskim korytarzem znajduje się Kopuła Mediolanu, szara, wilgotna i zimna niczym tkanka i naczynia bardzo starego ciała.

– *Moje buty i mankiety spodni są zbryzgane wilgotnym wapieniem. Zniszczyłeś mi ubranie.*

*Jej skargi go irytują. Pokazał jej naturalną sadzawkę z dnem zasłanym zielonymi monetami i zastanawiał się na głos, czy czyjeś życzenie się spełniło, a ona wrzuciła pieniędzy, który plusnął i opadł na dno.*

– *Pomyśl życzenie, jakie tylko chcesz – powiedział. – Ale wiedz, że się nie spełni, a jeśli tak, nie wyjdzie ci to na dobre.*

– *Mówisz straszne rzeczy. Jak możesz mówić, że będzie źle, gdy życzenie się spełni? Nie wiesz, co pomyślałam. A jeśli życzyłam sobie, żeby się z tobą kochać? Jesteś kiepskim kochankiem?*

*Nie odpowiedział, coraz bardziej zły, bo gdyby się kochali, zobaczyłaby jego bose stopy. Ostatni raz kochał się w Iraku, z dwunastoletnią dziewczynką, która wrzeszczała, płakała i tłukła go drobnymi piąstkami. Potem uspokoiła się i zasnęła, a on nigdy nie czuł w związku z tym wydarzeniem niczego negatywnego, bo ona nie miała życia, nie czekało jej nic z wyjątkiem oglądania niekończących się zniszczeń własnego kraju i niekończącej się śmierci. Jej twarz zaciera się w jego wspomnieniach, gdy woda kapie. Will trzyma pistolet w ręce, gdy Roger krzyczy, bo ból jest zbyt wielki.*

*W Grocie Kopuły kamienie były okrągłe jak czaszki, a woda kapiała, kapiała, kapiała, jakby padał deszcz, a potem były formacje kamiennego szronu, sopli i ostróg, które płonęły jak świece. Przestrzegł ją, żeby ich nie dotykała.*

– *Jeśli dotkniesz, poczernieją jak sadza.*

– *Historia mojego życia. Czego bym nie dotknęła, przemienia się w gówno.*

– *Podziękujesz mi.*

– *Za co?*

*W Korytarzu Powrotu było ciepło i wilgotno, a woda spływała po ścianach jak krew. Trzymał pistolet i jeden ruch palca dzielił go od kresu wiedzy o sobie. Gdyby Roger mógł mu podziękować, zrobiłby to.*

*Wystarczyłoby zwykłe podziękowanie, a nie musiałby robić tego ponownie. Ludzie są niewdzięczni i zabierają wszystko, co ma znaczenie. Potem nikt się tym nie przejmuje. Nie może.*

Latarnia morska w czerwone i białe pasy, wzniesiona niedługo po wojnie, stoi sto metrów od brzegu i już nie świeci.

Ramiona go pałą od wiosłowania, a pośladki od ławki z włókna szklanego. Pociąganie wiosłami jest ciężką pracą, bo ładunek waży prawie tyle, co sama płaskodenna łódź, a teraz, blisko swojego miejsca, nie chce używać silnika. Nigdy tego nie robi. Silnik hałasuje, a on nie chce hałasu, nawet gdyby nikt nie usłyszał. Nikt tu nie mieszka. Nikt tu nie przychodzi, tylko czasami, w dzień i w czasie ładnej pogody. Nikt jednak nie wie, że to jego miejsce. Miłość do latarni morskiej i wiaderka piasku. Ilu małych chłopców ma własną wyspę? Rękawica i piłka, piknik i biwak. Wszystko znikło. Umarło. Żałosna przeprawa w łodzi na drugą stronę.

Za wodą płoną światła Mount Pleasant, światła Wyspy Jamesa i Charlestonu. Na południowym wschodzie leży Folly Beach. Jutro będzie ciepło i pochmurno, a przed wieczorem zaczną się odpływy. Dno szoruje o skorupy ostryg, gdy wyciąga łódź na plażę.

# ROZDZIAŁ 15

*W laboratorium fotograficznym,  
nazajutrz wczesnym rankiem.*

*Jest środa.*

Scarpetta układa rzeczy, jakich może potrzebować; tym razem sztuka jest prosta. Z szaf i szuflad wyjmuje miski ceramiczne, papier i styropianowe kubki, papierowe ręczniki, sterylne waciki, koperty, modelinę, wodę destylowaną, butelkę gun blue (płyn do oksydacji na zimno, dwutlenek selenu, który nadaje powierzchniom metalowym kolor granatowy bądź czarny), butelkę RTX (trójtlenek rutenu), tubki superglue i mały aluminiowy rondel. Zakłada obiektyw do zdjęć makro i zdalny przycisk wyzwiania migawki do aparatu cyfrowego zamontowanego na statywie. Nakrywa blat grubym szarym papierem.

Ma do wyboru różne mieszaniny, żeby uwidocznić ukryte odciski na nieporowatych powierzchniach, takich jak metal, ale standardowa metoda polega na poddawaniu badanego obiektu działaniu oparów kleju. Żadna magia, tylko chemia. Superglue składa się prawie wyłącznie z cyjanoakrylu, żywicy akrylowej, która reaguje z aminokwasami, glukozą, sodem, kwasem mlekowym i innymi związkami chemicznymi wydzielanymi przez pory skóry. Kiedy opary superglue wchodzą w kontakt z utajonym odciskiem (niewidocznym dla gołego oka), wskutek reakcji chemicznej powstaje nowy związek – trzeba mieć nadzieję, że bardzo trwałe i dobrze widoczny biały ślad daktyloskopijny.

Kay zastanawia się nad kolejnością zadań. Pobranie próbki DNA, ale nie w tym laboratorium, poza tym to nie powinno i nie musi być robione na

samym początku, ponieważ ani RTX, ani superglue nie mszczą DNA. Superglue, decyduje. Wyjmuje rewolwer z papierowej torby i spisuje numer seryjny. Otwiera pusty bębenek i zatyka oba końce lufy kulkami papierowego ręcznika. Z drugiej torebki wyjmuje naboje . 38 special, ustawia je w komorze cyjano-akrylowej, która jest niczym więcej jak szklanym pojemnikiem ze źródłem ciepła. Wieszka rewolwer za spust na drucie wewnątrz komory. Wstawia do środka kubek wody, żeby zapewnić wilgotność, wyciska superglue do aluminiowego rondelka i zakrywa komorę pokrywką. Włącza wentylator.

Zmienia rękawiczki i wyjmuje plastikowy woreczek ze złotym naszyjnikiem. Złoty łańcuszek jest prawdopodobnie źródłem DNA, więc kładzie go osobno i opisuje. Moneta również może być źródłem DNA, a także odcisków palców. Ujmuje ją lekko za skraje i spogląda przez lupę, gdy słyszy szcęk biometrycznego zamka frontowych drzwi laboratorium. Wchodzi Lucy. Kay odgaduje jej nastrój.

– Szkoda, że nie mamy programu identyfikacji zdjęć – mówi, ponieważ wie, kiedy nie należy pytać siostrzenicy, jak się czuje i dlaczego.

– Mamy – odpowiada Lucy, nie patrząc jej w oczy. – Ale trzeba mieć z czym je porównać. Niewiele wydziałów posiada zdatne do przeszukania bazy danych zdjęć policyjnych, a te, które mają... Bez znaczenia. Nic nie jest zintegrowane. Kimkolwiek jest ten dupek, prawdopodobnie poznamy jego tożsamość w jakiś inny sposób. I niekoniecznie mam na myśli tego dupka na motorze, który ponoć pokazał się w twojej uliczce.

– W takim razie kogo?

– Kogoś, kto nosił naszyjnik i miał broń. Chodzi mi o to, że nie możesz wiedzieć, że to nie Byk.

– To nie miałyby sensu.



– Jasne jak słońce, że chciał, byś widziała w nim bohatera. Albo ma jakieś inne ukryte motywy. Nie wiesz, kto miał broń albo naszyjnik, ponieważ nie widziałaś, kto je zgubił.

– O ile dowody nie wskażą inaczej – mówi Scarpetta – będę mu wierzyć na słowo i jestem wdzięczna, że narażał się, żeby mnie chronić.

– Wierz, w co chcesz.

Kay patrzy jej w twarz.

– Wierzę, że coś jest nie w porządku.

– Tylko podkreślam, że nie ma świadków rzekomej sprzeczki Byka z tym facetem na motocyklu, kimkolwiek mógł być. To wszystko.

Scarpetta spogląda na zegarek. Podchodzi do komory cyjano-akrylowej.

– Pięć minut. Powinno wystarczyć. – Zdejmuje pokrywę, żeby zahamować proces. – Musimy sprawdzić numer seryjny rewolweru.

Lucy podchodzi bliżej, zagląda do szklanego pojemnika. Wkłada rękawiczki, sięga do środka, odczepia drut i wyjmuje rewolwer.

– Ślad daktyloskopijny. Niewielki. Tutaj, na lufie. – Obraca broń na wszystkie strony, kładzie na przykrytym papierem blacie. Sięga do pojemnika i wyjmuje naboje. – Parę odcisków częściowych. Chyba jest dość szczegółów. – Naboje też odkłada.

– Sfotografuję je, a ty zeskanuj zdjęcia, żebyśmy mogły wyodrębnić cechy charakterystyczne i przepuścić je przez IAFIS.

Kay podnosi telefon, dzwoni do laboratorium daktyloskopijnego, wyjaśnia, co robią.

– Zajmę się nimi najpierw, żeby zaoszczędzić na czasie – mówi Lucy. Jej ton nie jest życzliwy. – Zmień kanał koloru, żeby biel stała się czernią, i niech sprawdzą piorunem.

– Coś się stało. Przypuszczam, że mi powiesz, gdy będziesz gotowa.

Lucy nie słucha.

– „Śmieci na wejściu, śmieci na wyjściu” – warczy ze złością.

Jej ulubiona maksyma, gdy jest w cynicznym nastroju. Zeskanowany odcisk trafia do IAFIS i komputer nie wie, czy patrzy na skałę, czy na rybę. Zautomatyzowany system nie myśli. Nic nie wie. Nakłada punkty charakterystyczne jednego odcisku na odpowiednie punkty drugiego, co znaczy, że jeśli któregoś brakuje, jeśli są zamazane albo zostały niewłaściwie zakodowane przez wykwalifikowanego biegłego sądowego, istnieje ryzyko, że poszukiwanie skończy się fiaskiem. IAFIS nie stanowi problemu. Problemem są ludzie. To samo odnosi się do DNA. Wyniki są na tyle dobre, na ile dobre są pobrane i opracowane próbki.

– Wiesz, jak rzadko odciski palców pobierane są właściwie? – piekli się Lucy. Jej ton jest jadowity. – Jakiś zastępca szeryfa Bubby pobiera w więzieniu dziesięć odcisków, używając stuletniej gównianej metody atramentowej, odciski trafiają do IAFIS i są gównem warte. Nie byłyby, gdybyśmy używali optycznego skanowania biometrycznego. Ale żadne więzienie nie ma pieniędzy. W tym pieprzonym kraju na nic nie ma pieniędzy.

Kay zostawia złotą monetę w przejrzystej plastikowej kopercie i ogląda ją przez lupę.

– Powiesz mi, dlaczego jesteś w takim paskudnym nastroju? – Boi się odpowiedzi.

– Gdzie numer seryjny? Bez tego nie mogę wprowadzić broni do NCIC\*

[National Crime Information Center – Krajowe Centrum Informacji Kryminalistycznej.].

– Tamta kartka na ladzie. Rozmawiałaś z Rose?

Lucy bierze kartkę, siada przed komputerem. Stuka w klawiaturę.

– Zadzwońłam, żeby spytać, co u niej. Powiedziała, że trzeba spytać, co u ciebie.

– Amerykańska dolarówka. – Scarpetta mówi o monecie, bo nie chce podjąć tematu. – Tysiąc osiemset siedemdziesiąty trzeci. – Zauważa coś, czego dotąd nie widziała na dowodzie, który nie był uprzednio badany.

– Chciałabym oddać strzały porównawcze do zbiornika z wodą. I przepuścić wyniki testów balistycznych przez NIBIN\* [National Integrated Ballistic Information Center – Krajowa Zintegrowana Sieć Identyfikacji Balistycznej].

– Sprawdzę, czy rewolwer został użyty w czasie jakiegoś innego przestępstwa – mówi Lucy. – Choć ty uważasz, że to, co się stało, nie jest przestępstwem, i nie chcesz wciągać w sprawę policji.

– Jak wyjaśniłam – Kay stara się nie mówić obronnym tonem – Byk walczył z niedoszłym intruzem i wytrącił mu broń z ręki. – Przygląda się monecie, zwiększa powiększenie. – Nie mogę udowodnić, że mężczyzna na motocyklu chciał mnie skrzywdzić. Nie wszedł na mój teren, tylko próbował.

– Tak mówi Byk.

– Gdybym nie znała się na tym lepiej, pomyślałabym, że ta moneta już była poddawana działaniu par superglue w celu ujawnienia linii papilarnych. – Przez lupę patrzy na coś, co wygląda jak białe ślady daktyloskopijne po obu stronach.

– Co to znaczy: „gdybyś nie znała się na tym lepiej”? Nie znasz się lepiej. Nic o niej nie wiesz z wyjątkiem tego, że Byk znalazł ją za twoim domem. Kto ją zgubił to zupełnie inna historia.

– To wygląda jak resztki polimeru. Jak superglue. Nie rozumiem. – Scarpetta niesie monetę w torebce w kierunku statywu do zdjęć makro. – Nie rozumiem mnóstwa rzeczy. – Spogląda gniewnie na Lucy. – Przypuszczam, że gdy będziesz gotowa ze mną porozmawiać, to porozmawiasz. – Zdejmuje rękawiczki, wkłada nową parę i maskę.

– Wygląda na to, że wystarczy tylko je sfotografować. Bez gun blue czy RTX. – Lucy nawiązuje do śladów linii papilarnych na monecie.

– Może co najwyżej czarny proszek daktyloskopijny. Ale podejrzewam, że nie potrzebujemy nawet tego. – Kay nastawia aparat zamontowany na statywie. Manipuluje ramionami czterech lamp. – Sfotografuję to. Potem wszystko może iść do badania DNA.

Oddziera kawałek szarego papieru, umieszcza pod aparatem, wyjmuje monetę z koperty i kładzie ją na papierze awerssem do góry. Przecina piankowy kubek na pół, ustawia nad monetą część bez denka. Wykonana domowym sposobem osłona minimalizuje blask i ślad daktyloskopijny jest znacznie lepiej widoczny. Scarpetta sięga po zdalny przycisk wyzwalania migawki i zaczyna robić zdjęcia.

– Superglue – mówi Lucy. – Może to dowód przestępstwa, który jakimś sposobem znów trafił do obiegu, że tak powiem.

– Z pewnością wyjaśniałoby to obecność kleju. Nie wiem, czy tak wygląda prawda, ale takie mogłoby być wyjaśnienie.

Lucy szybko stuka w klawisze.

– Żłota dolarówka. Amerykańska, tysiąc osiemset siedemdziesiąty trzeci. Zobaczmy, czego się można dowiedzieć. – Uderza w kolejne klawisze. – Dlaczego ktoś miałby brać fiorinal z kodeiną? I co to właściwie jest?

– Butalbital plus fosforan kodeiny, aspiryna, kofeina – wyjaśnia Scarpetta, ostrożnie odwracając monetę, żeby sfotografować drugą stronę. – Silny narkotyczny analgetyk. Często przepisywany na dotkliwe napięciowe bóle głowy. – Pstryka migawka. – Dlaczego?

– A testoderm?

– Żel z testosteronem do wcierania w skórę.

– Słyszałaś o niejakim Stephenie Siegelu?

Kay zastanawia się przez chwilę, nikt nie przychodzi jej na myśl, nazwisko nie budzi oddźwięku.

– Nie przypominam sobie.

– Przepisał testoderm i, tak się składa, że jest szemranym proktologiem z Charlotte, skąd pochodzi Shandy Snook. I, tak się składa, że jej ojciec był jego pacjentem, co sugeruje, że Shandy go zna i może dostać recepty, kiedy tylko chce.

– Gdzie została zrealizowana recepta?

– W aptece na Wyspie Sullivana, gdzie, tak się składa, Shandy ma chatę wartą dwa miliony, zapisaną na jakąś spółkę z ograniczoną odpowiedzialnością – mówi Lucy, znów pisząc. – Może warto zapytać Marina, co się, u licha, dzieje. Myślę, że z nas wszystkich to on powinien się martwić najbardziej.

– Mnie najbardziej martwi to, że jesteś na mnie zła.

– Jakbyś nie wiedziała, jaka jestem, gdy naprawdę się złościę. – Lucy stuka w klawiaturę, szybko, mocno, ze złością. – Marino jest więc przeuroczy i bierze prochy. Nieprzepisane. Pewnie nakłada żel z testosteronem jak emulsję do opalania i łyka pigułki jak szalony, żeby radzić sobie z kacem, bo nagle się przemienił w obłąkanego pijanego King Konga. – Głośny stukot klawiszy. – Prawdopodobnie cierpi na priapizm i może dostać ataku serca. Albo zrobi się taki agresywny, że straci panowanie nad sobą, chociaż już nad sobą nie panuje z powodu chlania. Zdumiewające, jaki wpływ jedna osoba może wyrzucić na drugą w ciągu zaledwie tygodnia.

– Najwyraźniej ta nowa dziewczyna to wielkie utrapienie.

– Nie chodzi mi o nią. Musiałaś przekazać mu nowiny.

– Tak, przekazałam. I tobie, i Rose – przyznaje Kay cicho.

– Twoja złota moneta jest warta około sześciuset dolarów – mówi Lucy, zamykając plik w komputerze. – Bez łańcuszka.



Doktor Maroni siedzi przed kominkiem w swoim mieszkaniu na południe od bazyliki Świętego Marka, kopuły lśnią ponuro w deszczu. Ludzie, głównie miejscowi, mają zielone kalosze, podczas gdy turyści noszą żółte, tańsze. Nie ma czasu, woda wdziera się na ulice Wenecji.

– Po prostu usłyszałem o zwłokach – mówi przez telefon do Bentona.

– Skąd? Z początku sprawa nie była ważna. Jak to się stało, że o niej usłyszałeś?

– Otto mi powiedział.

– To znaczy kapitan Poma.

Benton z determinacją dystansuje się od kapitana, nie może się nawet zmusić do używania jego imienia.

– Otto zadzwonił w innej sprawie i wspomniał o tym przy okazji – wyjaśnia doktor Maroni.

– Skąd wiedział? Z początku niewiele podawano w wiadomościach.

– Wiedział, bo jest karabinierem.

– I to go czyni wszechwiedzącym?

– Żywisz do niego urazę.

– Jestem zaskoczony – mówi Benton. – Jest *medico legale* w karabinierach. Ta sprawa podlegała jurysdykcji policji państwowej, nie karabinierom. Zresztą tylko dlatego, że gliniarze pierwsi zjawili się na miejscu zdarzenia. Gdy byłem mały, mówiło się „zaklepane”. Stróże prawa mówią „niesłychane”.

– Co mam powiedzieć? We Włoszech już tak jest. Jurysdykcja zależy od tego, kto zjawi się pierwszy albo kto zostanie wezwany. Ale nie to cię

irytuje.

– Nie jestem zirytowany.

– Mówisz psychiatrze, że nie jesteś zirytowany. – Doktor Maroni zapala fajkę. – Wyczuwam twoje wzburzenie, ale to nic ma znaczenia. Jesteś zirytowany. Powiedz mi, dlaczego to ważne, skąd się dowiedziałem o tej martwej kobiecie z okolic Bari?

– Teraz sugerujesz, że nie jestem obiektywny.

– Sugeruję, że czujesz się zagrożony przez Otta. Pozwól, spróbuję jaśniej przedstawić ci kolejność wypadków. Zwłoki znaleziono na poboczu autostrady pod Bari, a ja, gdy się dowiedziałem, z początku nic o tym nie myślałem. Nikt nie miał pojęcia, kim jest ofiara, uznano, że to prostytutka. Policja spekulowała, że zabójstwo miało związek z Sacra Corona Unita, mafią z Apulii. Otto powiedział, iż był zadowolony, że karabinierzy nie brali udziału w sprawie, bo nie lubi mieć do czynienia z gangsterami. Nie ma nic chwalebego w ofiarach, które są równie zepsute jak ich zabójcy, tak to ujął. Na drugi dzień poinformował mnie, że rozmawiał z lekarzem sądowym z Sezione di Medicina Legale w Bari. Wyszło na to, że ofiarą jest zaginiona turystka kanadyjska, ostatni raz widziana na dyskotecę w Ostuni. Była pijana. Wyszła z mężczyzną. Młodą kobietę pasującą do jej rysopisu widziano następnego dnia w Grotta Bianca w Apulii. W Białej Grocie.

– Kapitan Poma znowu jest wszechwiedzący i, jak się zdaje, cały świat składa mu raporty.

– A ty znowu masz do niego urazę.

– Porozmawiajmy o Białej Grocie. Musimy założyć, że zabójca dokonuje skojarzeń symbolicznych – proponuje Benton.

– Głębsze poziomy podświadomości. Pogrzebane wspomnienia z dzieciństwa. Stłumione wspomnienia traumy i bólu. Możemy interpretować eksplorację jaskini jako mitologiczną podróż do tajemnic jego własnych

neuroz i psychoz, jego własnych lęków. Spotkało go coś strasznego, co prawdopodobnie poprzedza to, co sam uważa za swoje najbardziej traumatyczne przeżycie.

– Pamiętasz, jak wyglądał? Czy ludzie, którzy widzieli go z ofiarą na dyskotecę, w grocie czy gdzieś indziej, podali rysopis?

– Młody, w czapce. To wszystko.

– To wszystko? Kolor skóry?

– W dyskotecę i jaskini jest bardzo ciemno.

– W twoich notatkach, mam je przed sobą, twój pacjent napomknął o spotkaniu z Kanadyjką na dyskotecę. Powiedział to dzień po znalezieniu ciała. Potem więcej go nie widziałeś. Jakiej jest rasy?

– Biały.

– Zanotowałeś, że powiedział, cytuję: „Zostawiłem dziewczynę na poboczu w Bari”.

– W tym czasie nie było wiadomo, że ofiarą jest Kanadyjka. Jeszcze nie została zidentyfikowana. Zakładano, że to prostytutka, jak powiedziałem.

– Gdy się dowiedziałeś, że to kanadyjska turystka, nie dostrzegłeś analogii?

– Naturalnie, byłem zaniepokojony. Ale nie miałem żadnego dowodu.

– Tak, Paulo, ochrona pacjenta. Każdy miał w dupie ochronę kanadyjskiej turystki, której jedynym przestępstwem było to, że zaszła na dyskotecę, gdzie poznała kogoś, kogo najwyraźniej polubiła, i uznała, że może mu zaufać. Jej wakacje na południu Włoch skończyły się autopsją na cmentarzu. Szczęście, że nie została pogrzebana w bezimiennej mogile.

– Jesteś bardzo niecierpliwy i zdenerwowany – stwierdza doktor Maroni.

– Może teraz, gdy masz przed sobą notatki, Paulo, to odświeży ci pamięć.



– Nie przekazałem ci tych notatek. Nie mam pojęcia, skąd je masz. –  
Wciąż to powtarza, a Benton udaje głupiego.

– Jeśli przechowujesz notki o pacjentach w pliku elektronicznym na szpitalnym serwerze, pamiętaj o wyłączaniu funkcji udostępniania plików. Bo jeśli ktoś dojdzie, na którym twardym dysku są bardzo poufne pliki, może uzyskać do nich dostęp.

– Internet to zdradliwe miejsce.

– Turystka kanadyjska została zamordowana prawie rok temu. Ten sam rodzaj okaleczenia. Powiedz mi, dlaczego nie pomyślałeś o tej sprawie, dlaczego nie pomyślałeś o swoim pacjencie po tym, co zrobił Drew Martin? Płaty mięsa wycięte z tych samych obszarów ciała. Naga, porzucona w miejscu, gdzie szybko zostanie znaleziona i wywoła szok. I żadnych dowodów.

– Nie wydaje się, żeby je gwałcił.

– Nie wiemy, co robi. Zwłaszcza jeśli zmusza je do siedzenia w wannie z zimną wodą Bóg wie, jak długo. Chciałbym porozmawiać z Kay. Dzwoniłem do niej zaraz przed telefonem do ciebie. Miejmy nadzieję, że przynajmniej rzuciła okiem na to, co jej wysłałem.

Doktor Maroni czeka. Patrzy na obraz na ekranie, gdy na zewnątrz leje deszcz i woda wzbiera w kanale. Otwiera żaluzje, żeby zobaczyć, czy na chodnikach jest więcej niż trzydzieści centymetrów wody. Cieszy się, że dziś nie musi wychodzić. Dla niego powódź nie jest przygodą jak dla turystów.

– Paulo? – odzywa się Benton. – Kay?

– Jestem.

– Ma pliki – mówi Benton do doktora Maroniego. – Patrzysz na dwa zdjęcia? – pyta Kay. – I inne pliki?

– Oczy Drew Martin – oświadcza Scarpetta bez wstępów. – Nic nie wskazuje, że zrobił coś podobnego kobiecie zamordowanej w pobliżu Bari. Przeglądam raport z autopsji. Po włosku. Radzę sobie, jak mogę. I zastanawiam się, dlaczego włączył pan ten raport do pliku pacjenta, Piaskuna, jak przypuszczam.

– Najwyraźniej tak siebie nazwał – mówi doktor Maroni. – Tak wynika z e-maili doktor Self. Widziała je pani?

– Teraz przeglądam.

– Dlaczego raport z autopsji był w pliku twojego pacjenta – przypomina mu Benton. – W pliku Piaskuna.

– Bo byłem zaniepokojony. Ale nie miałem żadnego dowodu.

– Uduśnienie? – pyta Scarpetta. – Na to wskazują wybroczyny i brak innych śladów.

– Czy mogła zostać utopiona? – pyta doktor Maroni, trzymając na kolanach przysłane przez Bentona i wydrukowane pliki. – Czy Drew też?

– Nie. Drew nie utonęła. Została uduszona ligaturą.

– Pomyślałem o utopieniu z powodu wanny w sprawie Drew – wyjaśnia doktor Maroni. – A teraz to ostatnie zdjęcie, kobieta w miedzianej wannie. Ale mogę się mylić, to zrozumiałe.

– Co do Drew na pewno się pan myli. Ale zgadzam się z panem w przypadku ofiar sfotografowanych w wannach przed śmiercią. Musimy wziąć pod rozwagę utopienie, jeśli nie mamy dowodów wskazujących na coś innego. Jestem pewna, że Drew nie utonęła – powtarza Scarpetta. – Ale to nie znaczy, że ofiara z Bari nie została utopiona. I nie wiadomo, co się stało z tą kobietą w miedzianej wannie. Nie wiemy, czy żyje, choć obawiam się, że nie.

– Wygląda na odurzoną – zauważa Benton.

– Podejrzewam, że to łączy te trzy kobiety – oznajmia Kay. – Ofiara z Bari była upojona, o czym świadczy poziom alkoholu, trzykrotnie wyższy od stężenia dopuszczalnego. U Drew stężenie było ponad dwa razy większe.

– Upija je, żeby zyskać nad nimi kontrolę – mówi Benton. – Nic ci więc nie sugeruje, że ofiara z Bari została utopiona? Nic w całym raporcie? A co z okrzemkami?

– Z okrzemkami? – pyta doktor Maroni.

– Mikroskopijne glony – wyjaśnia Scarpetta. – Po pierwsze, ktoś musiałby to sprawdzić, co jest niemożliwe, gdy nie podejrzewa się utopienia.

– Dlaczego ktoś miałby to podejrzewać? Znalezione ją przy drodze – wtrąca doktor Maroni.

– Po drugie, okrzemki są wszechobecne. Są w wodzie. Przenosi je wiatr. Tylko badania szpiku kostnego albo narządów wewnętrznych mogą dostarczyć znaczących informacji. I ma pan rację, doktorze Maroni. Dlaczego mieliby je przeprowadzać? Co do kobiety z Bari, podejrzewam, że morderca skorzystał z nadarzającej się okazji. Może Piaskun, od teraz tak będę go nazywać...

– Nie wiemy, jak nazywał się wtedy – zaznacza doktor Maroni. – Mój pacjent nie wspominał tego imienia.

– Będę go nazywać Piaskunem dla jasności. Może krążył po barach, dyskotekach i innych atrakcjach turystycznych i to tragiczny pech, że ta turystka znalazła się w niewłaściwym miejscu w niewłaściwym czasie. Drew Martin, z drugiej strony, nie sprawia wrażenia przypadkowej ofiary.

– Tego też nie wiemy. – Doktor Maroni pali fajkę.

– Myślę, że ja to wiem. Zaczął pisać o Drew w e-mailach do doktor Self zeszłej jesieni.

- Zakładając, że jest zabójcą.
  - Przesłał doktor Self zdjęcie Drew w wannie, zrobione parę godzin przed jej śmiercią. Moim zdaniem to dowód na to, że on jest zabójcą.
  - Niech mi pani powie coś więcej o jej oczach – prosi doktor Maroni.
  - Jak wynika z tego raportu, zabójca nie usunął oczu kanadyjskiej ofierze. Oczy Drew zostały usunięte, oczodoły wypełnione piaskiem, powieki sklezione klejem. Jednak, z tego, co wiem, zrobiono to po śmierci.
  - Nie sadyzm, ale symbolizm – stwierdza Benton.
  - Piaskun sypie ci piasek do oczu i sprawia, że zasypiasz – mówi Scarpetta.
  - To mitologia, zwracam wam uwagę – zaznacza doktor Maroni. – Freudowska, jungowska, ale ma znaczenie. Jeśli zignorujemy psychologię głębi w tej sprawie, zrobimy to na własne ryzyko.
  - Ja niczego nie ignoruję. Szkoda, że ty zignorowałeś znane ci informacje o swoim pacjencie. Obawiałeś się, że może mieć jakiś związek z morderstwem turystki i nic nie powiedziałeś – zarzuca mu Benton.
- Debatowanie, wytykanie błędów i obwinianie. Rozmowa trwa, gdy powódź zalewa Wenecję. Wreszcie Kay mówi, że ma pracę w laboratorium i jeśli nic więcej od niej nie potrzebują, to zakończy rozmowę. Rozłącza się, a doktor Maroni podejmuje na nowo swoją obronę.
- To byłoby naruszeniem praw pacjenta. Nie miałem żadnego dowodu, jakiegokolwiek – mówi do Bentona. – Znasz zasady. Co się stanie, jeśli zaczniemy biegać na policję za każdym razem, gdy pacjent będzie robił aluzje do aktów przemocy albo opowiadał o aktach przemocy, których nie mamy powodu uważać za prawdziwe? Codziennie musiałbym zgłaszać pacjentów na policję.
  - Uważam, że twój pacjent powinien zostać zgłoszony i że powinieneś wypytać o niego doktor Self.

– Ja uważam, Bentonie, że już nie jesteś agentem FBI, który może aresztować ludzi. Jesteś psychologiem sądowym w szpitalu psychiatrycznym. Masz etat na wydziale Harvardzkiej Szkoły Medycznej. Twoim pierwszym obowiązkiem jest lojalność wobec pacjenta.

– Może już nie jestem do tego zdolny. Dwa tygodnie z doktor Self zmieniły mój stosunek do wszystkiego. Łącznie z tobą, Paulo. Chroniłeś pacjenta, a teraz co najmniej dwie kobiety nie żyją.

– Jeśli on to zrobił.

– Zrobił.

– Powiedz mi, jak się zachowała doktor Self, gdy pokazałeś jej zdjęcia. To z Drew w wannie. Pokój wygląda na włoski i stary stwierdza doktor Maroni.

– Musi znajdować się w Rzymie albo gdzieś pod miastem. Niewątpliwie – mówi Benton. – Możemy założyć, że została zamordowana w Rzymie.

– A to drugie zdjęcie? – Klika na drugi plik, który był w e-mailu doktor Self. Kobieta w wannie, miedzianej. Po trzydziestce, ma długie, ciemne włosy. Usta są obrzękłe i zakrwawione, prawe oko opuchnięte i zamknięte.

– Co powiedziała doktor Self, gdy pokazałeś jej ostatnie zdjęcie, które przysłał Piaskun?

– Była w magnecie, gdy przyszło. Zobaczyła je po raz pierwszy po rezonansie. Przejęła się głównie tym, że shakowaliśmy – to jej wyrażenie – prywatną pocztę, pogwałciliśmy przysługujące jej prawa i złamaliśmy zasady ochrony prywatności pacjenta, ponieważ hakerem była Lucy – to nadal oskarżenie doktor Self – a to znaczy, że ludzie z zewnątrz wiedzieli, że doktor Self była pacjentką w Szpitalu MacLeana. Jak to się stało, że obwiniła Lucy? Ciekawe.

– Zgadza się, to ciekawe, że bez wahania wskazała ją palcem.

– Widziałeś, co doktor Self umieściła na swojej stronie? Rzekomą spowiedź Lucy, która opowiada o swoim guzie mózgu. Jest wszędzie.

– Lucy to zrobiła? – Doktor Maroni nie kryje zaskoczenia. O tym nie wiedział.

– Z całą pewnością nie. Mogę tylko założyć, że doktor Self skądś się dowiedziała, że Lucy regularnie przyjeżdża do Szpitala MacLeana na rezonans, i w ramach nienasyconego apetytu na nękanie sprokurowała tę spowiedź na swojej stronie.

– Co na to Lucy?

– Jak myślisz?

– Co jeszcze doktor Self powiedziała o tym drugim zdjęciu? Z kobietą w miedzianej wannie. Wiemy, kim ona jest?

– Ktoś musiał podsunąć jej myśl, że Lucy włamała się do jej poczty. Bardzo dziwne.

– Kobieta w miedzianej wannie – powtarza doktor Maroni. – Co zrobiła doktor Self, gdy rozmawiałeś z nią na schodach w ciemności? To musiało być coś. – Czeka. Rozpala fajkę.

– Nie powiedziałem, że była na schodach.

Doktor Maroni z uśmiechem wydmuchuje dym, tytoń żarzy się w główce fajki.

– Jeszcze raz, co powiedziała, gdy jej to pokazałeś?

– Zapytała, czy zdjęcie jest prawdziwe. Odparłem, że nie można tego stwierdzić bez przejrzenia plików w komputerze osoby, która je przysłała. Ale wygląda na prawdziwe. Nie dostrzegłem charakterystycznych cech fałszerstwa. Brakujący cień. Błąd w perspektywie. Oświetlenie albo pogoda, która nie ma sensu.

– Nie, nie wygląda na sfabrykowane – stwierdza doktor Maroni, przyglądając się zdjęciu na ekranie, gdy deszcz pada za oknem i woda

kanalu chlupocze o mur. – O ile mogę wypowiadać się na ten temat.

– Upierała się, że to może być jakiś podstęp. Chory żart. Powiedziałem, że zdjęcie Drew Martin jest prawdziwe, że to coś więcej niż chory żart. Drew nie żyje. Wyraziłem obawę, że kobieta z tego drugiego zdjęcia również jest martwa. Zdaje się, że ktoś bezkrytycznie rozmawia z doktor Self, nie tylko o tej sprawie. Zastanawiam się, kto to taki.

– Co powiedziała?

– Powiedziała, że to nie jej wina.

– A teraz, gdy Lucy dostarczyła nam te informacje, może wiedzieć... – zaczyna doktor Maroni, ale Benton wchodzi mu w słowo:

– ... skąd zostały przysłane. Lucy to wyjaśniła. Dostęp do poczty doktor Self umożliwił wyśledzenie adresu IP Piaskuna. Kolejny dowód, że jej to nie obchodzi. Mogła sama wytropić adres albo zlecić to komuś. Ale tego nie zrobiła. Pewnie nie wpadło jej to do głowy. Adres jest zarejestrowany w domenie w Charlestonie, a dokładnie w porcie.

– To wielce interesujące.

– Jesteś taki szeroko otwarty i wylewny, Paulo.

– Nie jestem pewien, co przez to rozumiesz. Szeroko otwarty i wylewny?

– Lucy rozmawiała z informatykiem portu, z facetem, który zarządza wszystkimi komputerami, siecią bezprzewodową i tak dalej – mówi Benton.

– Ważne, według niej, że IP Piaskuna nie koresponduje z żadnym MAC-iem w porcie. MAC to adres karty sieciowej. Niezależnie, jakiego komputera Piaskun używa do wysyłania e-maili, nie jest to żaden z portowych, co znaczy, że najprawdopodobniej nie jest tam zatrudniony. Lucy przedstawiła kilka możliwych scenariuszy. Może to ktoś, kto wpływa do portu na statku wycieczkowym albo towarowym i gdy schodzi na ląd, bezprawnie korzysta z sieci portu. W takim przypadku musiałby pływać na

statku, który stał w porcie Charleston za każdym razem, gdy wysyłał e-maile do doktor Self. Każdy z jego e-maili, dwudziestu siedmiu, które Lucy znalazła w skrzynce odbiorczej doktor Self, został wysłany z sieci bezprzewodowej portu. Łącznie z tym ostatnim. Kobieta w miedzianej wannie.

– A zatem musi być teraz w Charlestonie – podsumowuje doktor Maroni. – Mam nadzieję, że kazałeś obserwować port. To może być sposób, żeby go złapać.

– Musimy być ostrożni, cokolwiek robimy. Nie można w tej chwili angażować policji. To go spłoszy.

– Statki towarowe i wycieczkowe muszą mieć jakiś rozkład. Czy daty postojów któregoś z nich pokrywają się z datami wysyłania e-maili do doktor Self?

– Tak i nie. Niektóre daty konkretnego statku wycieczkowego, mówię tutaj o czasie pomiędzy wejściem do portu i wyjściem w morze, odpowiadają datom na e-mailach. Ale inne nie. Z tego względu jestem prawie pewien, że zabójca z jakiegoś powodu przebywa w Charlestonie, może nawet tam mieszka, i wchodzi do sieci portu, na przykład z zaparkowanego w pobliżu auta.

– Nie nadążam. Żyję w staromodnym świecie. – Doktor Maroni znowu zapala fajkę. Jedynym powodem, z jakiego lubi fajkę, jest przyjemność jej rozpalania.

– Analogicznie do jeżdżenia ze skanerem i monitorowania rozmów komórkowych – wyjaśnia Benton.

– Przypuszczam, że to też nie jest wina doktor Self – mówi doktor Maroni z żalem. – Zabójca od jesieni wysyłał e-maile z Charlestonu, a ona mogła o tym wiedzieć i komuś powiedzieć.

– Mogła powiedzieć tobie, Paulo, gdy wspominała ci o Piaskunie.



- A wie o związku z Charlestonem?
- Powiedziałem jej. Miałem nadzieję, że może to skłoni ją do przypomnienia sobie czegoś albo do wyjawienia jakichś informacji, które mogą nam pomóc.
- A co powiedziała, gdy usłyszała, że Piaskun przez cały czas wysyłał jej e-maile z Charlestonu?
- Powiedziała, że to nie jej wina – odpowiada Benton. – Potem pojechała limuzyną na lotnisko i wsiadła do prywatnego samolotu.

## ROZDZIAŁ 16

Aplauz, muzyka i głos doktor Self. Jej strona internetowa.

Scarpetta nie może ukryć głębokiego zdenerwowania, gdy czyta zmyślane wyznanie Lucy o rezonansie mózgu w Szpitalu MacLeana, dlaczego poddaje się badaniom i jak wygląda życie z guzem. Czyta błogi o wiele za długo i Lucy zaczyna myśleć, że zmartwienie ciotki jest lepsze od tego, co sama powinna czuć.

– Nic nie mogę zrobić. Co się stało, to się nie odstanie – mówi, gdy skanuje częściowe odciski palców do systemu obrazowania cyfrowego. – Nawet ja nie mogę tego odkręcić. Skoro jest po fakcie, można spojrzeć na to tylko w jeden sposób. Dzięki temu już nie muszę się bać ujawnienia.

– Ujawnienia? Trafnie to ujęłaś.

– Według mojej definicji, posiadanie ułomności fizycznej jest gorsze niż wszystko inne, co mogłabym ujawnić. Może więc lepiej, że ludzie w końcu się dowiedzieli. Mam to z głowy. Prawda niesie ulgę. Lepiej niczego nie ukrywać, nie sądzisz? Zabawne, gdy ludzie wiedzą, to otwiera drzwi przed niespodziewanymi darami. Ludzie wyciągają rękę, gdy sądziłaś, że to ich nie obchodzi. Odzywają się głosy z przeszłości. Inne na zawsze milkną. Niektóre osoby wreszcie znikają z twojego życia.

– O kim mówisz?

– Powiedzmy tylko, że nie byłam zaskoczona.

– Dary czy nie, doktor Self nie miała prawa – oznajmia Kay.

– Powinnaś posłuchać, co mówisz. Scarpetta milczy.

– Zaczynasz się zastanawiać, czy to nie twoja wina. Rozumiesz, gdybym nie była siostrzenicą sławnej doktor Scarpetty, nie byłoby zainteresowania.

Masz niesłabnącą potrzebę brania całej winy na siebie i podejmowania prób naprawienia sytuacji.

– Już nie mogę na to patrzeć. – Kay wyłącza komputer.

– To twoja wada. Ta, która mnie męczy, jeśli chcesz wiedzieć.

– Musimy znaleźć prawnika, który specjalizuje się w takich sprawach. Internetowa obraza godności osobistej. Zniesławienie w Internecie, korzystanie z którego jest tak nieuregulowane pod względem prawnym, że przypomina stan anarchii.

– Spróbuj udowodnić, że nie ja to napisałam. Spróbuj dowieść czegokolwiek. Nie skupiaj uwagi na mnie dlatego, że nie chcesz się skupić na sobie. Zostawiałam cię w spokoju przez cały ranek, ale teraz już dość. Dłużej nie wytrzymam.

Kay zaczyna czyścić blat, chowa przybory.

– Siedzę tutaj i słucham, jak spokojnie rozmawiasz przez telefon z Bentonem. Z doktorem Maronim. Jak możesz to robić, nie dławiąc się zaprzeczaniem i unikami?

Scarpetta puszcza wodę do stalowego zlewu w pobliżu stanowiska przemywania oczu. Szoruje ręce, jakby skończyła autopsję, a nie pracę w nieskazitelnie czystym laboratorium, gdzie zajmowała się tylko fotografowaniem. Lucy widzi siniaki na nadgarstkach ciotki. Może próbować wszystkiego, co chce, ale nie zdoła ich ukryć.

– Zamierzasz chronić tego drania do końca życia? – Lucy ma na myśli Marina. – W porządku. Nie odpowiadaj. Może największą różnicą pomiędzy nim i mną nie jest wcale to, co oczywiste. Ja nie pozwolę doktor Self, żeby doprowadziła mnie do zrobienia sobie czegoś fatalnego.

– Fatalnego? Mam nadzieję, że nie. Nie lubię, gdy używasz tego słowa. – Kay zajmuje się przepakowaniem złotej monety i łańcuszka. – O czym ty mówisz? Czego fatalnego?

Lucy zdejmuje kitel laboratoryjny, wiesz go na zamkniętych drzwiach.

– Nie zamierzam sprawić jej przyjemności, nie dam się sprowokować do zrobienia czegoś nieodwracalnego. Nie jestem Marinem.

– Musimy natychmiast dać to do badania DNA. – Scarpetta odrywa taśmę, żeby zabezpieczyć koperty. – Przekażę je bezpośrednio, żeby łańcuch dowodowy nie został naruszony, i może za trzydzieści sześć godzin będą wyniki. Może szybciej. Jeśli nie będzie nieprzewidzianych komplikacji. Nie chcę czekać z analizą. Z pewnością rozumiesz dlaczego. Jeśli ktoś przyszedł złożyć mi wizytę z bronią...

– Pamiętam święta w Richmond. Boże Narodzenie, spędzałam je z tobą. Przywiozłam z uniwerku przyjaciółkę. Dowalał się do niej na moich oczach.

– Kiedy to było? Zrobił to niejeden raz. – Ciotka ma taką minę, jakiej Lucy jeszcze u niej nie widziała.

Kay zajmuje się papierkową robotą, robi jedną rzecz po drugiej, cokolwiek, byle na nią nie patrzeć, ponieważ nie może. Lucy nie pamięta, kiedy ciotka wydawała się taka zła i zawstydzona. Może zła, ale nigdy zawstydzona. Ma w związku z tym coraz gorsze przeczucia.

– Ponieważ nie mógł znieść, że przebywał z kobietami, na których rozpaczliwie pragnął zrobić wrażenie, a nie dość, że nie zrobił, przynajmniej nie takie, jakie chciał, to byłyśmy nim zainteresowane tylko w sposób, z jakim nigdy nie był w stanie sobie poradzić – mówi. – Chciałyśmy traktować go jak człowieka, a on co? Próbował obmacywać moją przyjaciółkę na moich oczach. Oczywiście, był pijany.

Wstaje od komputera i podchodzi do blatu stołu, gdzie ciotka wyjmuje z szuflady markery, zdejmuje nasadki, sprawdza po kolei, czy tusz się nie zużył albo nie zasechł.

– Nie mogłam tego znieść – kontynuuje Lucy. – Odpowiedziałam na atak. Miałam tylko osiemnaście lat, ale powiedziałam mu, co o tym myślę, i miał szczęście, że nie zrobiłam czegoś gorszego. Wciąż będziesz odwracać się plecami do problemu, jakby to w jakiś sposób mogło go rozwiązać?

Bierze ciotkę za rękę i ostrożnie podciąga rękawy. Nadgarstki są zaczerwienione. Głębokie urazy tkanki, jakby nosiła mocno zapięte żelazne kajdany.

– Nie wchodźmy w to – mówi Scarpetta. – Wiem, że się przejmujesz. – Zabiera rękę, opuszcza rękawy. – Ale proszę, Lucy, daj mi spokój.

– Co on ci zrobił?

Kay siada.

– Lepiej wszystko mi powiedz – nalega siostrzenica. – Nie obchodzi mnie, co zrobiła doktor Self, żeby go sprowokować, a obie wiemy, że nie trzeba wiele. Posunął się za daleko, nie ma odwrotu i nie ma wyjątków od reguły. Ja go ukarzę.

– Proszę. Pozwól mnie to załatwić.

– Nie, ty niczego nie załatwisz. Zawsze znajdujesz mu jakąś wymówkę.

– Nie. Ale karanie go nie jest rozwiązaniem. Co dobrego to da?

– Co się dokładnie stało? – Lucy mówi cicho, spokojnie, ale wewnątrz jest odrętwiała, jak wtedy, gdy wie, że nie ma na coś wpływu. – Był w twoim domu przez całą noc. Co zrobił? Nic, czego chciałaś, to jasne, inaczej nie miałybyś siniaków. Poza tym niczego od niego nie chciałaś, więc cię zmusił, prawda? Złapał cię za rękę. Co zrobił? Masz otartą szyję. Co jeszcze? Co ten sukinsyn ci zrobił? Wszystkie te miernoty, z którymi sypia, nie mówiąc, jakie choroby...

– Nie zaszło tak daleko.

– A jak daleko jest „tak daleko”? Co zrobił. – Lucy nie pyta, tylko stwierdza fakt, który wymaga dalszego wyjaśnienia.

– Był pijany – mówi Scarpetta. – Odkryliśmy, że prawdopodobnie stosuje suplement testosteronu, co może czynić go bardzo agresywnym, w zależności od tego, ile go używa, a on nie zna umiaru. Jego ekscesy. Za wiele. Za wiele. Masz rację, picie przez cały tydzień, palenie. Zawsze miał kłopoty z wytyczeniem granic, ale teraz już nie zna żadnych. Przypuszczam, że wszystko prowadziło do tego.

– Wszystko prowadziło do tego? Wszystkie te lata waszej znajomości prowadziły do napaści seksualnej na ciebie?

– Nigdy nie widziałam go w takim stanie. Był kimś, kogo nie znałam. Agresywny i zły, kompletnie stracił panowanie nad sobą. Może powinniśmy martwić się bardziej o niego niż o mnie.

– Nie zaczynaj.

– Proszę, spróbuj zrozumieć.

– Zrozumiem lepiej, gdy mi powiesz, co zrobił. – Głos Lucy jest bezdźwięczny, jak zawsze, gdy czuje się bezsilna. – Co zrobił? Im bardziej unikasz odpowiedzi, tym bardziej chcę go ukarać, i będzie gorzej, gdy to zrobię. I wiesz dość, żeby traktować mnie poważnie, ciociu Kay.

– Posunął się tylko trochę za daleko, a potem przestał i zaczął płakać.

– Jak daleko jest „tylko trochę za daleko”?

– Nie mogę o tym rozmawiać.

– Poważnie? A gdybyś zadzwoniła na policję? Zażądałiby szczegółów. Wiesz, jak się to odbywa. Po pierwotnym gwałcie następuje drugi, gdy opowiadasz, a jakiś glina zaczyna sobie wyobrażać, jak to było, i w głębi duszy to go rajcuje. Ci zboczeńcy, którzy chodzą z jednej sali sądowej do drugiej, szukając rozpraw o gwałt, żeby usiąść z tyłu i słuchać szczegółów.

– Dlaczego przeskakujesz na ten temat? To nie ma nic wspólnego ze mną.

– Jak myślisz, co by się stało, gdybyś wezwała policję i Marino zostałby oskarżony o napaść na tle seksualnym? Co najmniej? Trafiałabyś do sądu i Bóg wie, jakie to byłoby widowisko. Ludzie wysłuchują szczegółów, wyobrażają sobie wszystko, a ty w pewnym sensie rozbierasz się publicznie, jesteś postrzegana jako obiekt seksualny, poniżona. Wielka doktor Kay Scarpetta, naga i sponiewierana na oczach całego świata.

– To nie zaszło tak daleko.

– Naprawdę? Rozepnij bluzkę. Co ukrywasz? Widzę otarcia na szyi. – Lucy sięga do bluzki ciotki, zaczyna rozpinąć guzik pod szyją.

Scarpetta odsuwa jej rękę.

– Nie jesteś pielęgniarzką sądową, a ja dość usłyszałam. Nie zmuszaj mnie, żebym złościła się na ciebie.

Złość zaczyna wypływać na powierzchnię. Lucy czuje ją w sercu, w stopach, w rękach.

– Ja się tym zajmę.

– Nie chcę, żebyś się tym zajmowała. Najwyraźniej już włamałaś się do jego domu i zrobiłaś przeszukanie. Wiem, w jaki sposób się wszystkim zajmujesz, i wiem, jak zatroszczyć się o siebie. Niepotrzebna mi żadna konfrontacja pomiędzy wami.

– Co on zrobił? Co dokładnie zrobił ci ten pijak, ten głupi sukinsyn?

Kay milczy.

– Urządził tej taniej dziwce wycieczkę po twoim budynku. Benton i ja oglądaliśmy każdą sekundę i jest jasne jak słońce, że stanął mu w kostnicy. Nic dziwnego. Chodzi z erekcją, napakowany jakimś hormonalnym żelem, by mógł zadowolić tę pieprzoną sukę, która jest więcej niż o połowę od niego młodsza. A potem robi to z tobą.

– Przestań.

– Nie przestanę. Co zrobił? Zdarł z ciebie ubranie? Gdzie ono jest? Stanowi dowód. Gdzie twoje ubranie?

– Przestań, Lucy.

– Gdzie? Chcę je mieć. Chcę dostać ubranie, jakie miałaś na sobie. Co z nim zrobiłaś?

– Wszystko pogarszasz.

– Wyrzuciłaś, prawda?

– Daj temu spokój.

– Napaść na tle seksualnym. Ciężkie przestępstwo. A ty nie masz zamiaru powiedzieć Bentonowi, bo inaczej już byś to zrobiła. I nie miałaś zamiaru powiedzieć mnie. Rose musiała mi powiedzieć, przynajmniej to, co podejrzewa. Co się z tobą dzieje? Myślałam, że jesteś silną kobietą. Myślałam, że masz nad wszystkim kontrolę. Przez całe życie w to wierzyłam. I oto jest. Skaza. Pozwalasz mu robić takie rzeczy i nic nie mówisz. Dlaczego mu pozwoliłaś?

– I o to chodzi.

– Dlaczego?

– O to chodzi – powtarza Scarpetta. – Porozmawiajmy o twojej wadzie.

– Nie zmieniaj tematu.

– Mogłam wezwać policję. Miałam w zasięgu jego broń, mogłabym go zabić i zostałabym uniewinniona. Mogłam zrobić mnóstwo rzeczy.

– W takim razie dlaczego tego nie zrobiłaś?

– Wybrałam mniejsze zło. Wszystko będzie dobrze. Wszystkie inne możliwości nie były dobre. Wiesz, dlaczego to robisz.

– Nie chodzi o to, co ja robię. Chodzi o to, co ty zrobiłaś.

– Z powodu twojej matki, mojej żalostnej siostry. Przeprowadzanie jednego faceta po drugim do domu. Gorsze niż zależność od jednego mężczyzny. Ona jest uzależniona od mężczyzn jako takich. Pamiętasz, o co



mnie kiedyś zapytałaś? Zapytałaś, dlaczego jej faceci zawsze byli ważniejsi niż ty.

Lucy zaciska ręce.

– Powiedziałaś, że każdy mężczyzna w życiu twojej matki był ważniejszy od ciebie. I miałaś rację. Pamiętasz, jak ci tłumaczyłam dlaczego? Dorothy jest pustym naczyniem. Nie chodzi o ciebie, tylko o nią. Zawsze czułaś się sponiewierana z powodu tego, co się działo w waszym domu... – Głos Kay się wycisza, a cień nadaje jej oczom głębszy ton błękitu. – Co się stało? Coś jeszcze? Czy któryś z jej facetów kiedykolwiek potraktował cię niestosownie?

– Pewnie chciałam przyciągnąć uwagę.

– Co się stało?

– Dajmy temu spokój.

– Co się stało, Lucy? – pyta Scarpetta.

– Daj spokój. Teraz nie chodzi o mnie. A ja byłam mała. Ty nie jesteś mała.

– Równie dobrze mogłam być. Czy zdołałabym go pokonać?

Milczą przez jakiś czas. Napięcie pomiędzy nimi nagle opada. Lucy już nie chce z nią walczyć i gardzi Marinem jak nikim innym w życiu, bo przez niego była niemiła dla ciotki. Nie okazała jej współczucia, choć Kay przecież cierpiała. Nic nie zrobiła, tylko cierpiała. Marino zadał jej ranę, która się nie zagoi, nie do końca, a ona ją rozdrapała.

– To nie było fair – oświadcza. – Żałuję tylko, że mnie tam nie było.

– Nie zawsze można wszystko naprawić. Jesteśmy do siebie bardziej podobne, niż chciłybyśmy to przyznać.

– Trener Drew Martin był w Domu Pogrzebowym Henry’ego Hollingsa – mówi Lucy, ponieważ nie powinny więcej rozmawiać o Marinie. – Adres

jest w GPS-ie jego porsche. Mogę to sprawdzić, jeśli wolisz trzymać się z daleka od koronera.

– Nie. Chyba nadszedł czas na spotkanie.



Gabinet gustownie wyposażony w piękne antyki i adamaszkowe story, rozsunięte, żeby wpuścić świeże powietrze. Na mahoniowej boazerii wiszą portrety olejne przodków Henry’ego Hollingsa, rząd ponurych mężczyzn strzegących swojej przeszłości.

Fotel za biurkiem jest odwrócony, gdyż Hollings patrzy przez okno. Rozciąga się za nim kolejny idealnie utrzymany charlestoński ogród. Przedsiębiorca pogrzebowy wydaje się nieświadom, że Scarpetta stoi w drzwiach.

– Mam propozycję, która może się panu spodobać – mówi do telefonu kojącym tonem z wyraźną południową intonacją. – Mamy urny właśnie do tego celu, doskonała innowacja, o której nie wie większość ludzi. Ulegają biodegradacji, rozpuszczają się w wodzie, niedrogie, bez przesadnych ozdób... Tak, jeśli planuje pan pogrzeb morski... To prawda... Rozrzucenie prochów na morzu... W istocie. Wystarczy zanurzyć urnę, żeby prochy się nie rozwiały. Rozumiem, to może nie wydawać się tym samym. Oczywiście, może pan wybrać, co jest dla pana ważne, a ja pomogę w każdy możliwy sposób... Tak, tak, polecam... Nie, nie chce pan, żeby się rozwiały. Jak mam to ująć delikatnie? Prochy rozniesione po całej łodzi. Nie do przyjęcia.

Dodaje kilka pełnych współczucia fraz i kończy rozmowę. Kiedy się odwraca, nie okazuje zaskoczenia na widok Scarpetty. Spodziewał się jej. Zadzwoniła. Jeśli odgadł, że słyszała rozmowę, nie wydaje się przejęty czy choćby trochę urażony. Kay jest speszona, bo Hollings wygląda na szczerze

zatroskanego i życzliwego. Założenia zawsze niosą pewną pociechę, a ona zawsze zakładała, że jest chciwy, nadskakujący i ma wysokie mniemanie o sobie.

– Doktor Scarpetta. – Koroner uśmiecha się i obchodzi swoje idealnie zorganizowane biurko, żeby uścisnąć jej dłoń.

– Jestem wdzięczna, że zechciał pan się ze mną spotkać, zwłaszcza tak szybko po moim telefonie – mówi Kay, siadając w fotelu, podczas gdy on sadowi się na kanapie. Wybór miejsca jest znaczący. Gdyby chciał pokazać swoją przewagę albo lekceważenie, pozostałby w majestacie za wielkim biurkiem. Henry Hollings jest dystyngowanym mężczyzną w jasnoniebieskiej koszuli i pięknym, szytym na miarę garniturze ze spodniami w kant, z czarną jednorzędową marynarką z jedwabną podszewką. Jego włosy mają ten sam odcień srebra, co jedwabny krawat, twarz jest pomarszczona, ale nie w surowy sposób, zmarszczki wskazują, że częściej się uśmiecha niż krzywi. Oczy są miłe. Scarpettę wciąż niepokoi myśl, że nie pasuje do wizerunku chytrego polityka, jaki spodziewała się zobaczyć, i przypomina sobie, że na tym polega problem z chytrymi politykami. Oszukują ludzi, żeby zaraz potem ich wykorzystać.

– Powiem wprost – mówi. – Miał pan mnóstwo okazji, żeby się dowiedzieć o mojej obecności. Minęły prawie dwa lata. Pozwoli pan, że to powiem, i przejdziemy dalej.

– Składanie pani wizyty byłoby nietaktem z mojej strony.

– Byłoby uprzejmością. Jestem nową osobą w mieście. Mamy ten sam program. Albo powinniśmy mieć.

– Dziękuję pani za szczerość. To daje mi okazję do złożenia wyjaśnień. My, mieszkańcy Charlestonu, jesteśmy etnocentryczni, nie przepadamy za pośpiechem, cierpliwie czekamy, żeby zobaczyć co i jak. Przypuszczam, że do tej pory musiała pani zauważyć, iż wszystko u nas dzieje się nieprędko.

Ludzie nawet nie lubią szybko chodzić. – Uśmiecha się. – Czekałem więc, aż pani podejmie inicjatywę, o ile się pani zdecyduje. Nie sądziłem, że się doczekam. Pozwoli pani na dalsze wyjaśnienia? Jest pani lekarzem sądowym. O dobrej reputacji, mogę dodać. Ludzie tacy jak pani mają na ogół złe zdanie o obieralnych koronerach. Z reguły nie jesteśmy lekarzami ani ekspertami sądowymi. Przypuszczam, że czuła się pani zagrożona, gdy otworzyła tu praktykę.

– Wygląda na to, że oboje przyjęliśmy założenia. – Scarpetta wierzy mu na słowo. Albo przynajmniej udaje.

– W Charlestonie nie brakuje plotek. Wiele z nich jest złośliwych i małostkowych.

Kay myśli, że Hollings przypomina jej fotografię zrobioną przez Matthew Brady'ego – siedzi prosto, nogi ma skrzyżowane, ręce złożone na kolanie.

– Jestem pewna, że możemy dojść do porozumienia jako profesjoniści.  
– Wcale nie jest tego pewna.

– Zna pani bliżej swoją sąsiadkę, panią Grimball?

– Widuję ją głównie wtedy, gdy patrzy na mnie przez okno.

– Skarżyła się, że w uliczce za pani domem stał karawan. Dwa razy.

– Wiem o jednym przypadku. – Nie przypomina sobie drugiego. – Lucious Meddick. Zagadkowe, błędne podanie mojego adresu, co, jak mam nadzieję, już zostało wyjaśnione.

– Wniosła skargę do ludzi, którzy mogą sprawić pani mnóstwo kłopotów. Dostałem telefon w tej sprawie i interweniowałem. Powiedziałem, iż wiem na pewno, że nie nakazała pani dostawy zwłok do swojego domu i że musiało zajść jakieś nieporozumienie.

– Zastanawiam się, czy powiedziała mi pan o tym, gdybym do pana nie zadzwoniła.

– Gdybym koniecznie chciał zrobić pani na złość, czemu miałbym panią chronić?

– Nie wiem.

– Moim zdaniem wokół jest dostatecznie dużo śmierci i tragedii. Ale nie każdy podziela tę opinię. W Karolinie Południowej nie ma takiego zakładu pogrzebowego, który nie chciałby zaszkodzić mojej działalności. Łącznie z Luciousem Meddickiem. Ani przez moment nie sądziłem, by naprawdę myślał, że w pani powozowni jest kostnica. Nawet jeśli wyczytał gdzieś zły adres.

– Dlaczego chciałby mi zaszkodzić? Nawet go nie znam.

– To pani odpowiedź. Nie postrzega pani jako źródła dochodów, ponieważ nie robi pani nic, żeby mu pomóc. Zaznaczam, to tylko moje domysły.

– Nie rozumiem.

– Jeśli pani pozwoli, wyślę e-mail do każdego koronera, zakładu pogrzebowego i usług przewozowych, z jakimi może pani mieć do czynienia, i podam pani właściwy adres.

– To nie jest konieczne. Sama mogę to zrobić. – Im jest miłszy, tym mniej mu ufa.

– Szczerze mówiąc, lepiej, gdy to wyjdzie ode mnie. To będzie sygnałem, że współpracujemy. Czy nie dlatego pani tu przyszła?

– Gianni Lupano – mówi Scarpetta.

Hollings ma skonsternowaną minę.

– Trener Drew Martin – precyzuje Kay.

– Z pewnością pani wie, że w jej sprawie nie mam absolutnie żadnych kompetencji. I żadnych informacji poza tym, co było w wiadomościach – mówi Hollings.

– Odwiedził pański zakład pogrzebowy, co najmniej raz.

– Gdyby tu był, żeby o nią dopytywać, zapewniam panią, byłbym tego świadom.

– Zjawił się tutaj z jakiegoś powodu.

– Mogę spytać, skąd pani wie o tym fakcie? Może słyszy pani więcej charlestońskich plotek niż ja.

– Był przynajmniej na pańskim parkingu, ujmę to w ten sposób.

– Rozumiem. – Koroner kiwa głową. – Przypuszczam, że policja albo ktoś inny sprawdził GPS w jego wozie i znalazł mój adres. A to prowadzi mnie do pytania, czy jest podejrzany o morderstwo.

– Przypuszczam, że każdy, kto miał z nią powiązania, jest przesłuchiwany. Albo będzie. A pan wspomniał o jego wozie. Skąd pan wie, że Lupano ma wóz w Charlestonie?

– Ponieważ przypadkiem wiem, że ma tu mieszkanie.

– Większość ludzi, łącznie z tymi, którzy mieszkają w tym samym budynku, nie ma o tym pojęcia. Ciekawe, jak to się stało, że pan wie.

– Mamy księgę pamiątkową. Zawsze leży na pulpicie przed kaplicą, więc ci, którzy przychodzą na czuwanie albo nabożeństwo, mogą się wpisać. Niewykluczone, że brał udział w czymś pogrzebie. Może pani przejrzeć księgę. Albo księgi, tak daleko wstecz, jak pani sobie życzy.

– Dwa lata wystarczą – mówi Scarpetta.



Kajdanki przypięte do drewnianego krzesła w pokoju przesłuchań.

Madelisa Dooley zastanawia się, czy w niedalekiej przyszłości nie trafi do tego pokoju. Za kłamstwo.

– Mnóstwo narkotyków, ale mamy też wszystko inne – mówi detektyw Turkington, gdy Dooleyowie mijają jeden niepokojący pokój po drugim w

południowym oddziale Biura Szeryfa hrabstwa Beaufort. – Włamania, rabunki, zabójstwa.

To więcej, niż Madelisa sobie wyobrażała. Nigdy nie przyszło jej do głowy, że na Hilton Head zdarzają się przestępstwa. Ale według Turkingtona na południe od Broad River jest ich tyle, że sześćdziesięciu funkcjonariuszy, łącznie z ośmioma detektywami, ma pełne ręce roboty przez dwadzieścia cztery godziny na dobę.

– W zeszłym roku mieliśmy ponad sześćset poważnych przestępstw.

Madelisa zastanawia się, ile z nich to bezprawne wkroczenia na tereny prywatne i składanie fałszywych zeznań.

– Jestem zszokowana, brak mi słów – mówi nerwowo. – Myśleliśmy, że tam jest bezpiecznie, nawet nie zamykaliśmy drzwi na klucz.

Detektyw prowadzi ich do pokoju konferencyjnego.

– Byłaby pani zdumiona, ilu ludzi myśli, że bogactwo chroni ich przed złem.

Madelisie pochlebia, że policjant uważa ją i Ashleya za bogatych. Nie przychodzi jej na myśl nikt, kto mógłby tak o nich pomyśleć, i przez chwilę jest szczęśliwa, dopóki nie przypomina sobie, dlaczego tu są. Lada moment ten młody człowiek w eleganckim garniturze i krawacie pozna prawdę o finansach państwa Dooleyów. Doda dwa do dwóch, gdy się dowie, że mieszkają w północnej części Charlestonu, w tanim wynajętym domu, tak daleko wśród sosen, że nie widać nawet skrawka oceanu.

– Proszę spocząć. – Turkington podsuwa jej krzesło.

– Z pewnością ma pan rację – zgadza się Madelisa. – Pieniądze nie dają szczęścia ani nie pomagają się ludziom dogadać ze sobą. – Jakby wiedziała.

– Niezła kamera. – Detektyw zwraca się do jej męża. – Ile kosztowała? Co najmniej tysiąc. – Gestem daje znać, żeby Ashley mu ją podał.

– Nie rozumiem, dlaczego mi ją pan zabiera. Nie może pan szybko obejrzeć tego, co nakręciłem?

– Wciąż nie wiem... – jasne oczy Turkingtona patrzą na Madelisę – dlaczego weszła pani do tego domu. Dlaczego weszła pani na teren prywatny, chociaż jest tam tablica „Wstęp wzbroniony”.

– Szukała właścicieli – mówi Ashley, jakby do kamery na stole.

– Panie Dooley, proszę nie odpowiadać za żonę. Z jej słów wynika, że nie jest pan świadkiem, był pan na plaży, gdy znalazła w tym domu to, co znalazła.

– Nie rozumiem, dlaczego chce pan ją zatrzymać. – Ashley ma bzika na punkcie swojej kamery, podczas gdy Madelisie nie daje spokoju myśl o bassecie, zupełnie samym w samochodzie.

Zostawiła uchylone okno, żeby miał czym oddychać, i dzięki Bogu dzień nie jest zbyt gorący. Och, proszę, niech tylko nie szczeka. Już kocha tego psa. Biedactwo. Przez co ono przeszło. Wspomina, jak poczuła pod palcami lepką krew na sierści. Nie może pisać o nim słowa, nawet gdyby to pomogło wyjaśnić, dlaczego weszła do tego domu. Zrobiła to tylko dlatego, żeby znaleźć jego właściciela. Jeśli policjanci się dowiedzą, że ma tego biednego, słodkiego szczeniaka, zabiorą go i oddadzą do schroniska, gdzie w końcu zostanie uśpiony jak Frisbee.

– Szukała pani właścicieli domu. Mówiła to pani wiele razy. Wciąż jest dla mnie niejasne, z jakiego powodu. – Turkington wciąż się w nią wpatruje. Jego pióro spoczywa na notesie, gdzie zapisuje jej kłamstwa.

– To taki piękny dom – mówi Madelisa. – Chciałam, żeby Ashley go sfilmował, ale uznałam, że to nie jest możliwe bez zezwolenia. Dlatego szukałam ludzi przy basenie, szukałam kogoś, kto mógł być w domu.

– O tej porze roku mieszka tu niewiele osób, nie tam, gdzie byliście. Wiele z tych rezydencji to drugie, trzecie domy bardzo bogatych ludzi. Nie



wynajmują ich, a sezon jeszcze się nie zaczął.

– To prawda.

– Ale pani założyła, że ktoś jest w domu, bo zobaczyła pani, że coś się piecze na grillu?

– To prawda.

– Zobaczyła to pani z plaży?

– Widziałam dym.

– Widziała pani dym z grilla i może poczuła zapach. – Zapisuje to.

– Zgadza się.

– Co to było?

– Co?

– Co piekło się na grillu?

– Mięso. Może wieprzowina. Chociaż mógł to być stek London Broil.

– I postanowiła pani wejść prosto do domu. – Znów notuje, potem pióro nieruchomości, gdy na nią patrzy. – Wie pani, tej części wciąż nie mogę rozgryźć.

Ona też miała z tym kłopot, choć długo się nad tym zastanawiała. Jakie kłamstwo ma powiedzieć, żeby miało wydźwięk prawdy?

– Jak mówiłam przez telefon, szukałam właścicieli, a w pewnym momencie zaczęłam się martwić. Zaczęłam sobie wyobrazać, że jakaś starsza bogata osoba robiła grilla i nagle dostała ataku serca. Dlaczego ktoś miałby kłaść mięso na grillu, a potem zniknąć? Dlatego wołałam: „Jest tu kto?!”. Potem znalazłam otwarte drzwi pralni.

– To znaczy, niezamknięte na klucz.

– Tak.

– Drzwi przy oknie, w którym, jak pani powiedziała, brakowało jednej szyby, a druga była pęknięta – mówi detektyw Turkington, notując.

– I weszłam, choć wiedziałam, że nie powinnam. Ale wciąż chodziło mi po głowie: A jeśli ta bogata starsza osoba leży na podłodze, powalona przez atak?

– O to chodzi, człowiek podejmuje w życiu trudne decyzje – wtrąca Ashley, jego oczy skaczą z detektywa na kamerę. – Nie wejść? A co będzie, gdy później przeczytasz w gazecie, że mogłeś komuś pomóc? Nie wybaczysz sobie do końca życia.

– Sfilmował pan dom?

– Sfilmowałem kilka morświnów, gdy czekałem na powrót Madelisy.

– Pytałem, czy sfilmował pan dom.

– Niech pomyślę. Chyba trochę. Wcześniej, gdy Madelisa przed nim stała.

– Rozumiem. Zależało panu na pozwoleniu na sfilmowanie domu, ale sfilmował go pan bez pozwolenia.

– A gdy nie dostaliśmy pozwolenia, skasowałem nagranie.

– Poważnie? – pyta Turkington, patrząc na niego przez długą chwilę. – Pańska żona wybiega z domu, pełna obaw, że ktoś został tam zamordowany, a pan myśli o skasowaniu filmu, bo nie dostał pan pozwolenia od osoby, która mogła zostać zamordowana?

– Wiem, że to brzmi dziwnie – przyznaje Madelisa – ale liczy się to, że nie chciałam narobić żadnych szkód.

– Kiedy Madelisa przybiegła, ogromnie zaniepokojona tym, co zobaczyła, chciałem zadzwonić pod dziewięćset jedenaście, ale nie miałem telefonu – wyjaśnia Ashley. – Ona też nie.

– A nie przyszło panu na myśl, żeby skorzystać z aparatu w domu?

– Nie po tym, co tam zobaczyłam! – Madelisa podnosi głos. – Czułam, że on wciąż tam jest!

– On?

– To było straszne uczucie. Nigdy w życiu tak się nie bałam. Chyba nie sądzi pan, że po tym, co zobaczyłam, mogłabym tam wrócić, żeby skorzystać z telefonu. Czułam, że ktoś mnie obserwował. – Szuka chusteczki w torebce.

– Dlatego pobiegliśmy do naszego domu, a ona tak histeryzowała, że musiałem ją uspokajać – dodaje Ashley. – Płakała jak dziecko i nie pojechaliśmy do naszej kliniki tenisowej. Płakała do późnej nocy. W końcu powiedziałem: Skarbie, może to prześpisz, porozmawiamy rano. Prawda jest taka, że nie bardzo jej wierzyłem. Moja żona ma bujną wyobraźnię. Czyta te wszystkie powieści detektywistyczne, ogląda kryminały, wie pan. Ale gdy nie przestawała płakać, zacząłem się martwić, że może coś w tym jest. Dlatego do was zadzwoniłem.

– Dopiero po kolejnej wizycie w klinice tenisowej – zaznacza Turkington. – Pani Dooley wciąż była zdenerwowana, a jednak rano pojechaliście zagrać w tenisa, później wróciliście do mieszkania, wzięliście prysznic, przebraliście się i spakowaliście, żeby wrócić do Charlestonu. Wtedy w końcu zadzwonił pan na policję? Przykro mi, ale czy mam w to wierzyć?

– Gdyby to nie była prawda, czemu mielibyśmy skracać urlop o dwa dni? Planowaliśmy go przez cały rok. Przyszło mi na myśl, że może zwrócą nam pieniądze z uwagi na wyjątkową sytuację. Może wstawi się pan za nami u pośrednika wynajmu?

– Jeśli dlatego wezwał pan policję, to tylko stracił pan czas.

– Wolałbym, żeby nie zatrzymywał pan mojej kamery. Wykasowałem ten fragment nakręcony przed domem. Nie ma nic do oglądania. Tylko Madelisa na tle domu, mówiąca do swojej siostry może przez dziesięć sekund.

– Siostra była z wami?

– Madelisa mówi do kamery. Nie wiem, jak mógłby pan zobaczyć cokolwiek przydatnego, bo to skasowałem.

Madelisa kazała mu skasować ten fragment z powodu psa. Filmował, jak go głaskała.

– Może gdybym obejrzał nagranie – mówi Turkington – zobaczyłbym dym wznoszący się z grilla. Powiedział pan, że widzieliście to z plaży, prawda? Jeśli więc sfilmował pan dom, czy nie byłoby tam dymu?

Ashley daje się zaskoczyć.

– Cóż, chyba tego nie złapałem, kierowałem kamerę w inną stronę. Nie może pan po prostu zobaczyć, co nagrałem, i oddać mi kamerę? Jest tam głównie Madelisa, poza tym parę morświnów i to, co sfilmowałem w domu. Nie rozumiem, dlaczego chce pan zatrzymać moją kamerę.

– Musimy sprawdzić, czy nie nagrał pan czegoś, co pozwoli nam wyjaśnić, co się stało. Może jakieś szczegóły, jakich nie musi pan być świadom.

– Na przykład? – pyta Ashley, zaniepokojony.

– Na przykład, czy mówi pan prawdę, że nie wszedł do domu po tym, jak żona powiedziała, co zrobiła. – Detektyw Turkington jest coraz bardziej nieprzyjazny. – Dziwne, że pan tam nie poszedł, żeby zweryfikować jej opowieść.

– Jeśli powiedziała prawdę, nie wszedłbym tam za skarby świata. A gdyby zabójca nadal się gdzieś ukrywał?

Madelisa pamięta szum płynącej wody, krew, ubrania, fotografie martwej tenisistki. Wyobraża sobie bałagan w wielkim salonie, buteleczki z lekarstwami i wódką. I włączony projektor, rzucający światło na ekran filmowy. Detektyw jej nie wierzy. Wpadła w ogromne kłopoty. Włamanie i wtargnięcie. Kradzież psa. Kłamstwa. Policja nie może się dowiedzieć o

psie. Zabiorą go i uśpią. Ona go kocha. Pal diabli kłamstwa. Dla tego psa będzie kłamać stąd do samego piekła.

– Wiem, że to nie moja sprawa – zaczyna i zbiera się na odwagę, żeby spytać: – ale czy pan wie, kto mieszka w tym domu i czy stało się coś złego?

– Wiemy, kto tam mieszka. Kobieta, której nazwiska nie mogę wyjawić. Tak się składa, że nie ma jej w domu, nie ma też psa i samochodu.

– Nie ma samochodu? – Madelisie zaczyna drżeć dolna warga.

– Wygląda na to, że wyjechała i zabrała psa, prawda? I wie pani, co jeszcze myślę? Chciała pani zrobić sobie darmową wycieczkę po jej rezydencji, a potem się pani zmartwiła, że ktoś mógł ją widzieć. Wymyśliła pani tę niedorzeczną historyjkę, żeby chronić własny tyłek. Sprytnie.

– Jeśli zadacie sobie trochę trudu i zajrzycie do jej domu, poznacie prawdę – mówi Madelisa drżącym głosem.

– Zadaliśmy sobie, proszę pani. Wysłałem kilku policjantów. Nie znaleźli tego, co rzekomo pani widziała. W oknie przy drzwiach pralni nie brakuje szyby. Żadna inna nie jest pęknięta. Nie ma śladu krwi. Nie ma noży. Grill jest wygaszony, czysty jak łąza. Projektor nie był włączony – mówi Turkington.



W biurze, gdy Hollings i jego personel spotykają się z rodzinami, Scarpetta siedzi na sofie w złote i kremowe pasy, zajęta przeglądaniem drugiej książki.

Z jej dotychczasowych spostrzeżeń wynika, że Hollings jest eleganckim, życzliwym człowiekiem. Książki pamiątkowe, wielkie i grube, oprawione w czarną skórę, z liniowanymi kremowymi stronicami, świadczą o skali jego interesów. Na jeden rok potrzebne są trzy, cztery egzemplarze. Żmudne

przeglądanie czterech pierwszych miesięcy ubiegłego roku nie wykazało, że Gianni Lupano brał udział w jakimś pogrzebie.

Kay bierze następną księgę i sunie palcem po kolejnych stronach, rozpoznając nazwiska znanych charlestońskich rodzin. Od stycznia do marca nie ma śladu Gianniego Lupana. W kwietniu też nie. Jest coraz bardziej zawiedziona. W maju i czerwcu również nic. Nagle palec zatrzymuje się na zamaszystym, łatwym do odczytania podpisie. Dwunastego lipca zeszłego roku Lupano uczestniczył w nabożeństwie żałobnym pamięci niejakiej Holly Webster. Wygląda na to, że zjawilo się niewielu żałobników – w księdze są podpisy tylko jedenastu osób. Scarpetta spisuje nazwiska i wstaje. Mija kaplicę, gdzie dwie kobiety układają kwiaty wokół trumny z polerowanego brązu. Po mahoniowych schodach wraca do gabinetu Henry'ego Hollingsa, który znów siedzi plecami do drzwi i rozmawia przez telefon.

– Niektórzy wolą składać flagę w trójkąt i kłaść za głową – mówi łagodnym, melodyjnym głosem. – No tak, z pewnością. Możemy udrapować trumnę. Co polecam? – Podnosi kartkę. – Zdaje się, że skłaniał się pan ku orzechowi ze słomkowym atłasem. Do tego trumna z blachy stalowej o grubości numer dwadzieścia... Oczywiście, wiem. Wszyscy mówią to samo... To ciężkie. Równie ciężkie jak podjęcie takiej decyzji. Jeśli mam być szczery, polecałbym stal.

Rozmawia jeszcze przez parę minut, odwraca się i znowu widzi Scarpettę w drzwiach.

– Niektóre przypadki są takie trudne – mówi do niej. – Siedemdziesięciodwuletni weteran, niedawno stracił żonę, bardzo przygnębiony. Wkłada pistolet w usta. Zrobiliśmy, co w naszej mocy, ale ani kosmetyka, ani żadne inne procedury poprawiania wyglądu nie sprawią

cudu. Wiem, że pani rozumie, o czym mówię. Trumna nie może być otwarta, lecz rodzina nie chce o tym słyszeć.

– Kim była Holly Webster? – pyta Kay.

– Straszna tragedia. – Hollings nie okazuje wahania. – Jedna z tych spraw, których się nie zapomina.

– Pamięta pan, czy Gianni Lupano brał udział w jej pogrzebie?

– Nie znałbym go wtedy – odpowiada dziwnie.

– Był przyjacielem rodziny?

Wstaje zza biurka i wysuwa szufladę szafki z wiśniowego drewna. Przegląda teczki, wyjmując jedną.

– Mam tutaj szczegóły przygotowań pogrzebu, kopie faktur i tak dalej. Nie mogę tego pani pokazać z szacunku dla prywatności rodziny. Ale może pani przejrzeć wycinki z gazet. – Podaje jej. – Zachowuję je w przypadkach wszystkich zmarłych, którymi się zajmuję. Jak pani wie, jedynym źródłem akt prawnych będzie policja, lekarz sądowy i koroner, który zlecił sekcję, ponieważ w hrabstwie Beaufort nie ma zakładu medycyny sądowej. Ale przecież wie pani o tym wszystko, skoro teraz zlecają pani swoje sprawy. Gdy zmarła Holly, jeszcze nie korzystali z pani usług. W przeciwnym przypadku, jak przypuszczam, ta smutna sprawa spadłaby na pani głowę, nie moją.

Kay nie wykrywa śladu urazy. Zdaje się, że jest mu to obojętne.

– Śmierć miała miejsce na wyspie Hilton Head, w bardzo bogatej rodzinie.

Scarpetta otwiera teczkę. Jest tam tylko parę wycinków, najbardziej szczegółowy z „Island Packet”, gazety wydawanej na Hilton Head. Z artykułu wynika, że rankiem dziesiątego lipca dwa tysiące szóstego Holly Webster bawiła się na tarasie ze szczeniakiem, bassetem. Nie powinna zbliżyć się do basenu o olimpijskich wymiarach bez osoby dorosłej, ale

tego ranka nie miała opieki. W gazecie napisano, że rodzice wyjechali z miasta, a w domu zatrzymali się przyjaciele. Bez wzmianki, dokąd udali się rodzice ani jak nazywali się ci znajomi. Przed południem ktoś poszedł powiedzieć Holly, że pora na lunch. Nigdzie nie było jej widać, szczeniak kręcił się przy basenie, sięgając łapką do wody. Ciało dziewczynki znaleziono na dnie, jej długie, ciemne włosy uwięzły w odpływie. W pobliżu leżała gumowa kość. Policja przypuszcza, że dziecko próbowało wyłowić ją dla pieska.

Kolejny wycinek, krótki. Niespełna dwa miesiące później matka, Lydia Webster, gościła w programie doktor Self.

– Pamiętam, że słyszałam o tej sprawie – mówi Scarpetta. – Byłam chyba w Massachusetts, gdy to się stało.

– Złe wieści, ale nienagłośnione. Policja wyciszyła je, na ile mogła. Z jednego powodu, miejscowościom wypoczynkowym nieszczególnie zależy na rozgłaszaniu, nazwijmy to, negatywnych wypadków. – Hollings sięga po telefon. – Nie sądzę, żeby coś pani powiedział... Mam na myśli lekarza, który robił sekcję. Ale przekonajmy się. – Po chwili mówi do telefonu: – Tu Henry Hollings... Dobrze, dobrze... Po uszy wiem, wiem... Naprawdę potrzebuję trochę pomocy... Nie, od jakiegoś czasu nie byłem na łodzi... Racja... Jestem ci winny wyprawę na ryby. A ty jesteś mi winien za prelekcję dla wszystkich tych dzieciaków, które myślą, że dochodzenie przyczyny śmierci to zabawa... Sprawa Holly Webster. Mam tutaj doktor Scarpettę. Mógłbyś porozmawiać z nią przez chwilę?

Hollings podaje jej telefon. Kay wyjaśnia asystentowi głównego lekarza sądowego z Medycznego Uniwersytetu Karoliny Południowej, że została powołana jako konsultant w sprawie, która może być powiązana z utonięciem Holly Webster.

– Jakiej sprawie? – pyta lekarz.



– Przykro mi, nie mogę o tym rozmawiać. To dochodzenie w sprawie zabójstwa.

– Cieszę się, że pani rozumie, jak to działa. Ja nie mogę rozmawiać o sprawie Webster.

Co znaczy, że nic nie powie.

– Nie próbują robić trudności – przekonuje Scarpetta. – Niech mi pan pomoże. Jestem u koronera Hollingsa, ponieważ wygląda na to, że trener Drew Martin, Gianni Lupano, uczestniczył w pogrzebie Holly Webster. Próbuję dojść dlaczego, i nie mogę powiedzieć nic więcej.

– Nie znam go. Nigdy o nim nie słyszałem.

– To było jedno z moich pytań: Czy orientuje się pan, co mogło go łączyć z rodziną Websterów?

– Nie mam pojęcia.

– Co może mi pan powiedzieć o śmierci Holly?

– Utonięcie. Wypadek, i nic nie wskazuje, że było inaczej.

– To znaczy, że nie dokonał pan żadnych odkryć patomorfologicznych. Diagnoza postawiona na podstawie okoliczności. Oparta głównie na tym, gdzie ją znaleziono.

– Zgadza się.

– Czy mógłby pan podać mi nazwisko oficera prowadzącego dochodzenie?

– Nie ma problemu. Proszę zaczekać. – Słysząc kłopot klawiszy komputera. – Niech sprawdzę. Zgadza się, tak myślałem. Turkington z Biura Szeryfa hrabstwa Beaufort. Jeśli chce pani wiedzieć coś więcej, proszę dzwonić do niego.

Scarpetta dziękuje mu i mówi do Hollingsa:

– Czy pan wie, że matka, Lydia Webster, wystąpiła w programie doktor Self niespełna dwa miesiące po śmierci dziecka?

– Nie oglądałem tego programu, w ogóle ich nie oglądam. Tę kobietę powinno się zastrzelić.

– Może pan wie, jak pani Webster tam trafiła?

– Przypuszczam, że doktor Self ma zespół zajmujący się gromadzeniem materiałów. Szeregujący gości. Moim zdaniem występowanie przed całym światem było psychicznie destruktywne dla pani Webster, gdy nie mogła poradzić sobie z tym, co się stało. Rozumiem, że podobna sytuacja miała miejsce w przypadku Drew Martin.

– Nawiązuje pan do jej wystąpienia u doktor Self zeszłej jesieni?

– Wiele słyszę, co się tu dzieje, czy chcę, czy nie. Gdy przyjeżdżała do miasta, zawsze zatrzymywała się w hotelu Charleston Place. Ostatnim razem, niespełna trzy tygodnie temu, rzadko bywała w pokoju, na pewno ani razu tam nie nocowała. Obsługa wchodziła i widziała zasłane łóżko, a jej ani śladu, tylko rzeczy, przynajmniej niektóre.

– Skąd pan wie to wszystko?

– Moja serdeczna przyjaciółka jest szefem ochrony. Kiedy krewni i przyjaciele zmarłych przyjeżdżają do miasta, polecam Charleston Place. Pod warunkiem że ich stać.

Scarpetta przypomina sobie, co powiedział portier Ed. Drew bywała w budynku, zawsze dawała mu dwadzieścia dolarów. Może było to coś więcej niż hojność. Może przypomnienie, żeby trzymał język za zębami.

# ROZDZIAŁ 17

*Sea Pines, najbardziej ekskluzywna plantacja na wyspie  
Hilton Head.*

Za pięć dolarów można wykupić przepustkę dzienną przy bramie ochrony i strażnicy w szaroniebieskich mundurach nie zażądają dowodu tożsamości. Scarpetta narzekała na to, gdy mieszkała tu z Bentonem, i wspomnienia tych dni nadal są bolesne.

– Kupiła cadillaca w Savannah – mówi detektyw Turkington, wioząc Kay i Lucy w nieoznakowanym radiowozie. – Białego. Niestety. Ma pani pojęcie, ile jest tutaj białych cadillaców i lincolnów? Pewnie dwa na trzy wozy z wypożyczalni są białe.

– A strażnicy przy bramie nie pamiętają, czy widzieli wóz, o niezwyklej porze? Kamery niczego nie zarejestrowały? – pyta Lucy z przedniego fotela.

– Nic pożytecznego. Wie pani, jak to jest. Jedna osoba mówi, że może go widziała. Inna mówi, że nie. Myślę, że nie zwrócili uwagi, bo wyjeżdżał, nie wjeżdżał.

– Zależy, kiedy go zabrał – mówi Lucy. – Trzymała go w garażu?

– Z reguły stał na jej podjeździe. Moim zdaniem mało prawdopodobne, by ukradł go dawno temu. Co? – Śledczy spogląda na nią, gdy prowadzi. – W jakiś sposób zdobył kluczyki i zabrał jej wóz, a ona tego nie zauważyła?

– Nie wiadomo, co zauważyła. Albo czego nie zauważyła.

– Wciąż jest pani pewna, że zdarzyło się najgorsze.

– Tak. Na podstawie faktów i zdrowego rozsądku. – Lucy pastwi się nad nim, odkąd zabrał je z lotniska i rzucił ironiczną uwagę pod adresem jej

śmigłowca.

Nazwał go trzepaczką. Ona nazwała go luddystą. Nie wiedział, co to znaczy, wciąż nie wie. Nie wyjaśniła mu.

– Ale to nie wyklucza możliwości, że została uprowadzona dla okupu – dodaje. – Nie twierdzę, że tak się stało. Nie wierzę w to, ale coś takiego na pewno jest możliwe, i powinniśmy robić dokładnie to, co robimy. Niech każda agencja detektywistyczna szuka tego wozu.

– Jasne jak słońce, że nie zdołamy utrzymać złych wieści w tajemnicy przed prasą. Becky mówi, że przez cały rano przepędzali ludzi spod domu.

– Kto to jest Becky?

– Szefowa zespołu kryminologów. Jak ja, ma też etat w pogotowiu.

Scarpetta zastanawia się, dlaczego to ważne. Może Turkington się wstydzi, że musi dorabiać.

– Pani, jak sądzę, nie musi się martwić o płacenie czynszu – mówi detektyw.

– Jasne. Tylko że mój jest trochę wyższy niż pański.

– Tak, trochę. Nie wyobrażam sobie, ile kosztują panią te laboratoria. Albo pięćdziesiąt domów i ferrari.

– Niezupełnie pięćdziesiąt, i skąd pan wie, co mam?

– Ile wydziałów korzysta z pani laboratoriów?

– Kilka. Wciąż są w budowie, ale podstawy już mamy. I jesteśmy akredytowani. Ma pan wybór. My albo wydział policji stanowej. Jesteśmy szybsi. Gdyby potrzebował pan czegoś, czego nie zawiera ich menu, mamy przyjaciół w ośrodkach stosujących najnowsze techniki. Oak Ridge. Y-dwanaście.

– Myślałem, że zajmują się produkcją broni jądrowej.

– To nie wszystko, co robią.

– Pani żartuje. Zajmują się kryminalistyką i medycyną sądową?

- To tajemnica.
- Mniejsza z tym. Nie stać nas na panią.
- Jasne, że nie. Co nie znaczy, że nie pomożemy.

Jego ciemne okulary pojawiają się w lusterku wstecznym. Mówi do Scarpetty, pewnie dlatego że ma dość rozmowy z Lucy:

- Jest tam pani?

Ma kremowy garnitur i Kay zastanawia się, jak udaje mu się go nie pobrudzić w miejscach popełnienia przestępstwa. Podchwytuje co ważniejsze wątki, jakie porusza z Lucy, przypomina im, że nikt nie powinien niczego zakładać, łącznie z tym, kiedy zniknął cadillac Lydii Webster, ponieważ wygląda na to, że rzadko nim jeździła, tylko od czasu do czasu po papierosy, wódkę, trochę jedzenia. Smutne, prowadzenie wozu to nie był dobry pomysł. Była zbyt rozbita. Samochód mógł zniknąć wiele dni temu i nie musi się to wiązać ze zniknięciem psa. Następnie kwestia zdjęć, które Piaskun przysłał doktor Self. Drew Martin i Lydia Webster zostały sfotografowane w wannach napełnionych zimną wodą. Obie wyglądały na odurzone. A co z tym, co widziała pani Dooley? Tę sprawę należy rozpatrywać jak zabójstwo, niezależnie od tego, jak wygląda prawda, ponieważ – Scarpetta głosi to od ponad dwudziestu lat – nie ma odwrotu.

Potem powraca do swojego prywatnego świata. Nie może nic na to poradzić. Jej myśli wędrują do czasu, gdy ostatni raz była na Hilton Head, zajęta opróżnianiem mieszkania Bentona. W tych najmroczniejszych z mrocznych chwil nie przyszło jej do głowy, że morderstwo zostało upozorowane, żeby ukryć go przed tymi, którzy z pewnością by go zabili, gdyby tylko mieli okazję. Gdzie są teraz ci niedoszli zabójcy? Czy stracili zainteresowanie, czy zdecydowali, że Benton już nie stanowi zagrożenia albo nie jest wart zemsty? Pytała go. Nie chciał o tym mówić, powiedział, że nie może. Kay opuszcza szybę wozu Turkingtona i pierścionek mruga w

słońcu, ale ten widok nie podnosi jej na duchu, a dobra pogoda długo się nie utrzyma. Przed wieczorem przetoczy się kolejna burza.

Droga wije się wśród pól golfowych i biegnie przez krótkie mostki, które spinają brzegi wąskich kanałów i stawów. Aligator na trawiastym brzegu wygląda jak kłoda, żółwie są ciche w błocie, a śnieżnobiała czapla stoi na sztywnych nogach w płytkiej wodzie. Rozmowa na przednich fotelach przez chwilę skupia się na doktor Self, gdy słońce ustępuje cieniom pod koronami ogromnych dębów. Hiszpański mech przypomina martwe, szare włosy. Niewiele się zmieniło, tu i ówdzie zbudowano parę nowych domów. Scarpetta przypomina sobie długie spacery, słone powietrze i wiatr, i zachody słońca na balkonie, i chwilę, gdy wszystko to się skończyło. Wyobraża sobie Bentona w osmalonych ruinach budynku, gdzie rzekomo zginął. Widzi jego srebrne włosy i spaloną skórę wśród poczerniałych belek i brudu po pożarze, który wciąż się tlił, gdy przyjechała. Twarz znikła, tylko spalona kość, a raporty z autopsji zostały sfałszowane. Została oszukana. Zdruzgotana. Została zniszczona, a to, co zrobił Benton, na zawsze ją odmieniło – o wiele bardziej niż postępek Marina.

Parkują na podjeździe ogromnej białej willi Lydii Webster. Kay przypomina sobie, że widziała ją wcześniej, z plaży, i teraz rezydencja wydaje się surrealistyczna z uwagi na przyczynę ich przyjazdu. Wzdłuż ulicy stoją wozy policyjne.

– Kupili dom rok temu. Wcześniej należał do jakiegoś potentata z Dubaju – wyjaśnia Turkington, otwierając drzwi. – Naprawdę smutne. Skończyli remont generalny i zdążyli się wprowadzić, gdy ta mała utonęła. Nie wiem, jak pani Webster mogła tu zostać.

– Czasami ludzie nie mogą odejść – mówi Scarpetta, gdy idą chodnikiem w kierunku dwuskrzydłowych tekowych drzwi na szczycie kamiennych

schodów. – Zostają więc, zapuszczają korzenie w to miejsce i związane z nim wspomnienia.

– Dostała dom na mocy porozumienia? – pyta Lucy.

– Prawdopodobnie dostałaby. – Jakby naprawdę nie było wątpliwości, że pani Webster nie żyje. – Sprawa rozwodowa jest w toku. Jej mąż zajmuje się funduszami hedgingowymi, inwestycjami i tak dalej. Jest prawie taki bogaty jak pani.

– Może przestaniemy do tego wracać – mówi Lucy z rozdrażnieniem.

Turkington otwiera frontowe drzwi. Wewnątrz pracują technicy kryminalistyki. W holu, oparte o ścianę, stoi okno z pękniętą szybą.

– Ta kobieta na wakacjach. – Detektyw zwraca się do Scarpetty. – To Madelisa Dooley. Zeznała, że w oknie brakowało szyby, gdy weszła przez drzwi pralni. Tej szyby. – Kuca i wskazuje szybę na dole po prawej stronie okna. – Wyjął i przykleił z powrotem. Klej ledwo widać. Powiedziałem jej, że policjanci nie znaleźli wytłuczonej szyby, kiedy tu zajrzeli. Chciałem zobaczyć, czy zmieni swoją wersję, dlatego skłamałem, że szyba nie była pęknięta.

– Widzę, że szkło nie zostało pokryte pianką – zauważa Scarpetta.

– Słyszałem o tej metodzie. Musimy zacząć ją stosować. Moja teoria brzmi następująco: jeśli pani Dooley powiedziała prawdę, to coś się działo w domu po jej odejściu.

– My to zrobimy przed opakowaniem i przewiezieniem, żeby pęknięta szyba nie wypadła.

– Proszę bardzo. – Turkington idzie w stronę salonu, gdzie jeden technik fotografuje bałagan na stole, a drugi podnosi poduszki z kanapy.

Kay i Lucy otwierają czarne walizki. Wkładają rękawiczki i ochraniacze na buty. Z salonu wychodzi filigranowa kobieta w bojówkach i koszulce polo z nadrukiem ZAKŁAD MEDYCYNY SĄDOWEJ na plecach. Jest po

czterdziestce, ma brązowe oczy i krótkie ciemne włosy. Scarpencie trudno uwierzyć, że taka nieduża, szczupła kobieta chciała wstąpić do policji.

– Ty musisz być Becky – mówi, po czym przedstawia siebie i Lucy.

Becky wskazuje okno pod ścianą.

– Prawa dolna szyba. Tommy już musiał wyjaśnić. – Ma na myśli Turkingtona. Wskazuje palcem w rękawiczce. – Użyto diamentu, a potem szyba została przyklejona. Z jakiego powodu to zauważyłam? – Jest dumna z siebie. – W kleju jest piasek. Widzicie?

Patrzą. Widzą.

– Wygląda więc na to, że gdy pani Dooley weszła do domu, szukając właściciela – mówi Becky – szyba mogła być wyjęta z okna i leżeć na ziemi. Moim zdaniem można jej wierzyć. Według mnie jej słowa brzmią wiarygodnie. Gdy wyniosła się stąd w diabły, zabójca posprzątał po sobie.

Lucy wsuwa dwa pojemniki ciśnieniowe do uchwytu pistoletu z komorą mieszania.

– Strach pomyśleć – kontynuuje Becky. – Biedaczka prawdopodobnie była tu razem z nim. Powiedziała, że czuła, iż ktoś ją obserwuje. To klej w sprayu? Słyszałam o tym. Unieruchamia pęknięte szkło. Z czego się składa?

– Głównie poliuretan i sprężony gaz – wyjaśnia Kay. – Zrobiłaś zdjęcia? Zebrałaś odciski palców? Próbki DNA?

Lucy fotografuje okno, ze skalą i bez.

– Zdjęcia, próbki. Nie ma odcisków palców. Zobaczymy, co z DNA, ale byłam zdumiona, jak tu czysto. Najwyraźniej wyczyścił okno, całe okno. Nie wiem, jak pękła szyba. Wygląda, jakby uderzył w nią duży ptak. Pelikan albo myszołów.

Lucy okleja taśmą ramę okna i pyta:

– Jak myślisz, z której strony?



– Moim zdaniem od środka – mówi Scarpetta. – Możemy odwrócić? Musimy spryskać drugą stronę.

Razem z Lucy ostrożnie podnosi i obraca okno. Opierają je o ścianę, robią zdjęcia i notatki, podczas gdy Becky stoi z daleka i patrzy.

– Potrzebuję pomocy. Możesz tu podejść? – prosi ją Kay.

Becky staje obok niej.

– Pokaż mi na ścianie, na jakiej wysokości znajdowała się pęknięta szyba, gdy okno było na swoim miejscu. Za chwilę zajrzę tam, skąd zostało wyjęte, ale na razie wyróbmy sobie pogląd, jak to wyglądało.

Becky dotyka ściany.

– Oczywiście, jestem niska.

– Mniej więcej na wysokości mojej głowy – stwierdza Scarpetta, przyglądając się stłuczonej szybie. – Pęknięcie jest podobne do tych, jakie widuje się w wypadkach samochodowych, gdy człowiek nie jest przypięty pasem i głowa uderza w szybę. W tym miejscu – wskazuje dziurę w szkle – została przyłożona największa siła. Założę się, że na podłodze leżą kawałki szkła. W pralni. Może też na parapecie.

– Zebrałam je. Myślisz, że ktoś uderzył głową w szybę? Nie sądzisz, że byłaby krew?

– Niekoniecznie.

Lucy okleja szarym papierem jedną stronę okna. Otwiera drzwi i prosi, żeby Kay i Becky wyszły na zewnątrz, bo będzie nakładać klej.

– Poznałam Lydię Webster – mówi Becky, gdy stoją na werandzie. – Gdy utonęła jej mała i musiałam zrobić zdjęcia. Nie masz pojęcia, jak to mną wstrząsnęło, bo sama mam dziewczynkę. Wciąż widzę Holly w fioletowym stroju kąpielowym, unoszącą się pod wodą do góry nogami, z włosami w odpływie. Nawiasem mówiąc, mamy prawo jazdy Lydii, rozesłaliśmy informacje, ale nie liczyłabym na wiele. Ona jest mniej więcej

twojego wzrostu. To by się zgadzało, jeśli wpadła na okno i stłukła szybę. Nie wiem, czy Tommy ci powiedział, ale w kuchni był jej portfel. Wygląda na nietknięty. Nie sądzę, by intruz miał na celu rabunek.

Nawet na zewnątrz Scarpetta czuje zapach poliuretanu. Patrzy na wielkie dęby udrapowane hiszpańskim mchem i na niebieską wieżę ciśnień widoczną nad sosnami. Dwoje ludzi na rowerach przejeżdża powoli, gapiąc się na dom.

– Możecie wrócić. – Lucy stoi w drzwiach, zdejmując okulary ochronne i maskę.

Pęknięta szyba jest pokryta grubą warstwą żółtawej pianki.

– Co z tym zrobimy? – pyta Becky, patrząc na Lucy.

– Chciałabym je zapakować i zabrać – mówi Kay.

– I sprawdzić pod jakim kątem?

– Kleju. Mikroskopijnych drobin, które są przyklejone. Składu chemicznego albo pierwiastkowego. Czasami człowiek nie wie, czego szuka, dopóki tego nie znajdzie.

– Życzę powodzenia przy wciskaniu okna pod mikroskop – żartuje Becky.

– Chcę również zabrać kawałki szyby, które pozbierałaś.

– Ślady DNA?

– Wszystko, co chcesz, żebyśmy zbadały w laboratorium. Możemy rzucić okiem na pralnię?

Pralnia mieści się obok kuchni. Na prawo od drzwi jest otwór okienny zaklejony szarym papierem. Scarpetta ostrożnie zbliża się do drzwi, przez które prawdopodobnie wszedł zabójca. Robi to, co zawsze – zatrzymuje się przed progiem i zagląda do środka, lustrując każdy cal. Pyta, czy pralnia została sfotografowana. Tak, została również sprawdzona pod kątem odcisków stóp, butów, palców. Pod jedną ścianą stoją cztery bardzo drogie

pralki i suszarki, a pod przeciwną jest pusta klatka dla psa. Są tam szafy i wielki stół. W kącie wiklinowy kosz pełen brudnych ubrań.

– Te drzwi były zamknięte, gdy przyszliście? – pyta, wskazując rzeźbione tekowe drzwi zewnętrzne.

– Nie, i pani Dooley mówi, że gdy tu przyszła, też były otwarte, dlatego mogła wejść. Sądzę, że wyjął szybę i wsunął rękę do środka. Możesz zobaczyć... – Becky podchodzi do zasłoniętego papierem otworu okiennego – z tego miejsca łatwo sięgnąć do zasuwki. Dlatego mówimy ludziom, żeby nie montowali zasuwek w pobliżu szyb, gdy drzwi nie są zamykane na klucz. Oczywiście, gdyby alarm antywłamaniowy był włączony...

– Wiemy, że nie był?

– Nie był, gdy weszła pani Dooley.

– Ale nie wiemy, czy był włączony, czy wyłączony, gdy wszedł zabójca?

– Myślałam o tym. Ma czujnik hałasu. Wydaje się, że gdyby był włączony, cięcie szyby... – zaczyna Becky, po czym zmienia zdanie. – Nie, jednak nie sądzę, by cięcie szkła go uruchomiło.

– Co sugeruje, że alarm nie był włączony, gdy pękła druga szyba. Co sugeruje, że w tym momencie zabójca przebywał w domu. Chyba że szkło zostało stłuczone wcześniej. W co wątpię.

– Ja też – zgadza się Becky. – Każdy normalny człowiek kazałby wprawić nową szybę, żeby deszcz i owady nie wpadały przez dziurę. Albo przynajmniej pozbierał wybite szkło. Zwłaszcza że trzymała tu psa. Zastanawiam się, czy Lydia nie walczyła z intruzem. Może biegła do drzwi, żeby uciec. Poprzedniej nocy uruchomiła alarm. Nie wiem, czy o tym wiesz. To zdarzało się dość często, bo piła i zapominała, że alarm jest włączony, i otwierała rozsuwane drzwi, co natychmiast go aktywowało. Nie pamiętała hasła, gdy dzwonili do niej z firmy obsługującej alarmy. Musieliśmy wysyłać ludzi.

– Od tamtej pory alarm się nie uruchomił? – pyta Scarpetta. – Sprawdziliście w tej firmie? Na przykład, kiedy ostatnio się włączył? Kiedy ostatnio został aktywowany i dezaktywowany?

– Fałszywy alarm, o którym wspomniałam, to ostatni taki przypadek.

– Gdy przyjechali policjanci, czy widzieli jej białego cadillaca?

Becky mówi, że nie przypominają sobie samochodu na podjeździe. Ale mógł stać w garażu.

– Wygląda na to – dodaje – że włączyła alarm w poniedziałek o zmierzchu. Około dziewiątej alarm został wyłączony, a potem zresetowany. I ponownie wyłączony o czwartej czternaście nazajutrz rano. To znaczy wczoraj.

– Bez resetu? – pyta Kay.

– Bez. To tylko moje zdanie, ale gdy ludzie piją i ćpają, nie trzymają się normalnych godzin. Sypiają z przerwami w ciągu dnia. Wstają o dziwnych porach. Może więc wyłączyła alarm o czwartej czternaście, żeby wypuścić psa albo zapalić, a facet ją obserwował, może obserwował ją od jakiegoś czasu. Śledził. Być może już wyciął szybę i po prostu czekał w ciemności. Z tej strony domu rosną bambusy i krzewy, nie ma sąsiadów, mógłby się więc tu chować nawet z zapaloną latarką i nikt by go nie zobaczył. Dziwna sprawa z tym psem. Gdzie on jest?

– Każę komuś to sprawdzić.

– Może umie mówić i rozwikła tę sprawę – żartuje Becky.

– Musimy go znaleźć. Nigdy nie wiadomo, co może się przyczynić do rozwikłania sprawy.

– Jeśli uciekł, ktoś go znajdzie. Niecodziennie widuje się bassety, a tutaj ludzie zwracają uwagę na biegające swobodnie psy. Inna sprawa, jeśli pani Dooley mówi prawdę, intruz spędził z panią Webster jakiś czas, może nawet kilka godzin. Alarm został wyłączony wczoraj o czwartej

czternaście, a pani Dooley znalazła krew i wszystko inne w porze lunchu, mniej więcej osiem godzin później, gdy sprawca prawdopodobnie nadal przebywał w domu.

Scarpetta ogląda brudne ubrania w koszu. Na wierzchu leży byle jak złożona bawełniana koszulka. Podnosi ją dłonią w rękawiczce i rozkłada. Jest wilgotna i brudna. Zagląda do zlewu. Na nierdzewnej stali widać plamy po wodzie, trochę wody zebrało się wokół odpływu.

– Zastanawiam się, czy tym czyścił okno. Koszulka wciąż jest wilgotna, jakby ktoś używał jej jako szmaty do czyszczenia. Zapięczętuję ją w papierowej torbie, przekażę do laboratorium.

– Co spodziewasz się znaleźć? – pyta Becky.

– Jeśli ją trzymał, możemy zdobyć jego DNA. Mogą być mikroślady. Lepiej zastanówmy się nad wyborem laboratorium.

– Stanowe jest niezłe, ale to potrwa wieki. A twoje? Możesz nam pomóc?

– Po to je mamy. – Scarpetta patrzy na tablicę alarmu przy drzwiach, które prowadzą na korytarz. – Może wyłączył alarm, gdy się włamał. Nie należy zakładać, że tego nie zrobił. Panel dotykowy zamiast klawiszy. Dobra powierzchnia do zdjęcia odcisków. I może DNA.

– Skoro wyłączył alarm, to by znaczyło, że znał Lydię. To ma sens, gdy się weźmie pod uwagę, jak długo był w domu.

– To by znaczyło, że zna to miejsce. Niekoniecznie ją. Jaki jest kod?

– „Jeden, dwa, trzy, cztery, zapraszamy do kwatery”!, tak go nazywamy. Pewnie ustawienie fabryczne, a ona nigdy nie zadała sobie trudu, żeby to zmienić. Daj mi znać w kwestii laboratorium, zanim zaczniemy wystawiać rachunki na ciebie. Muszę zapytać Tommy’ego.

Turkington jest w holu z Lucy. Becky pyta go o laboratorium, a on mówi, że to zdumiewające, co się prywatyzuje w dzisiejszych czasach.

Niektóre wydziały zatrudniają nawet prywatnych gliniarzy.

– My będziemy – mówi Lucy, podając Kay okulary ochronne z żółtymi szklami. – Mieliśmy ich na Florydzie.

Becky interesuje się walizką, która leży na podłodze. Patrzy na pięć latarek emitujących silne światło o różnej długości fali, dziewięciowoltowe baterie niklowe, okulary, ładowarkę z wieloma portami. – Prosiłam szeryfa, żeby załatwił nam taki przenośny zestaw oświetlaczy specjalistycznych. Każdy ma inną szerokość pasma, prawda?

– Widmo fioletowe, niebieskie, niebieskozielone i zielone – wyjaśnia Lucy. – A ta daje szerokopasmowe światło białe – podnosi latarkę – z wymiennymi filtrami, niebieski, zielony i czerwony dla wzmocnienia kontrastu.

– Dobrze się sprawia?

– Płyny organiczne, odciski palców, resztki narkotyków, włókna, inne ślady kryminalistyczne. Tak. Dobrze się sprawia.

Lucy wybiera światło fioletowe o długości czterystu – czterystu trzydziestu nanometrów, następnie razem z Becky i Scarpettą wchodzi do salonu. Rolety są podniesione, za oknem rozciąga się basen o czarnym dnie, gdzie utonąła Holly Webster, a dalej wydmy, trawa, plaża. Ocean jest spokojny, światło słoneczne błyska na falach niczym srebrne rybki.

– Tu też jest mnóstwo odcisków stóp – oznajmia Becky, gdy się rozglądają. – Bose stopy, ślady butów, wszystkie małe, prawdopodobnie jej. Dziwne, bo nic nie wskazuje, że zabójca wytarł podłogę przed wyjściem, jak okno. Człowiek spodziewałby się śladów butów. Ten lśniący kamień, co to jest? Nigdy nie widziałam takich niebieskich płytek. Podłoga wygląda jak ocean.

– Zapewne takie było zamierzenie – mówi Kay. – Sodalit, niebieski marmur, może lapis-lazuli.

– Bez żartów. Miałam kiedyś pierścionek z lapisem. Nie mogę uwierzyć, że ktoś ma z tego całą podłogę. Całkiem dobrze maskuje brud, ale to pewne jak w banku, że nie sprzątno tu za ludzkiej pamięci. Mnóstwo kurzu i tak dalej, cały dom jest w takim stanie. Zaświeć latarką pod kątem, a zobaczysz, o co mi chodzi. Nie rozumiem, dlaczego nie zostawił ani jednego odcisku buta, nawet w pralni, przez którą wszedł.

– Pokręcę się – oznajmia Lucy. – Co jest na górze?

– Chyba nie korzystała z góry. Wątpię, czy on tam był. Nieskazitelny porządek. Tylko pokoje gościnne, galeria sztuki i pokój gier. Nigdy nie widziałam takiego domu. Przyjemnie tu mieszkać.

– Nie dla niej – mówi Scarpetta, patrząc na długie, ciemne włosy leżące na całej podłodze, na puste kieliszki i butelkę wódki na stoliku przed kanapą. – Nie sędzę, żeby to miejsce dało jej chwilę szczęścia.



Madelisa jest w domu niespełna od godziny, gdy ktoś dzwoni do drzwi.

W przeszłości nie zawracała sobie głowy pytaniem, „Kto to?”.

– Kto tam?! – woła zza zamkniętych drzwi.

– Detektyw Pete Marino z Biura Lekarza Sądowego – mówi ktoś niskim głosem z akcentem, który przywodzi jej na myśl Północ, jankesów.

Madelisa podejrzewa, że sprawdziły się jej obawy. Pani z Hilton Head nie żyje. Dlaczego inaczej przychodziłby tu ktoś z Biura Lekarza Sądowego? Szkoda, że Ashley poszedł coś załatwić, gdy tylko wrócili do domu, i zostawił ją samą po tym, przez co przeszła. Nasłuchuje basseta. Na szczęście siedzi cicho w zapasowej sypialni. Otwiera drzwi i zamiera. Ogromny mężczyzna jest ubrany jak członek gangu motocyklowego. On jest potworem, który zabił tę biedną kobietę, i śledził ją do domu, żeby zrobić z nią to samo.

– Nic nie wiem – mówi, próbując zamknąć drzwi. Zbir blokuje drzwi stopą, wdziera się do mieszkania.

– Spokojnie. – Otwiera portfel, pokazuje jej odznakę. – Jak powiedziałem, jestem Pete Marino z Biura Lekarza Sądowego.

Madelisa nie wie, co zrobić. Jeśli spróbuje wezwać policję, bandyta zabije ją na miejscu. W dzisiejszych czasach każdy może kupić odznakę.

– Usiądźmy i pogadajmy – proponuje mężczyzna. – Właśnie dostałem wiadomość o pani wizycie w Biurze Szeryfa hrabstwa Beaufort na wyspie w Hilton Head.

– Kto panu o tym powiedział? – Madelisa czuje się trochę pewniej. – Czy skontaktował się z panem ten oficer śledczy, i dlaczego? Powiedziałam mu wszystko, co wiem. Nie uwierzył mi. Dlaczego powiedział panu, gdzie mieszkam? To mnie niepokoi. Współpracuję z władzami, a oni podają mój adres domowy.

– Mamy mały problem z pani historią – mówi Pete Marino.



Żółte gogle Lucy patrzą na Scarpette.

Stoją w głównej sypialni, rolety są opuszczone. Na brązowej jedwabnej kapie łóżka, oświetlonej silnym fioletowym światłem, jarzy się neonową zielenią kilka plam.

– To może być nasienie – mówi Lucy. – Może być również coś innego. – Omiata łóżko latarką.

– Ślina, mocz, łój, pot. – Kay pochyla się nad dużą rozjarzoną plamą. – Nic nie czuję. Poświeć tutaj. Problem w tym, że nie wiadomo, kiedy okrycie było ostatnio czyszczone. Nie sądzę, by prowadzenie domu było tu sprawą priorytetową. Typowe dla ludzi w depresji. Kapa pójdzie do



laboratorium. Musimy zabrać jej szczoteczkę do zębów, szczotkę do włosów. Oczywiście, szklaneczki ze stolika w salonie.

– Na tylnych schodach jest popielniczka pełna niedopałków – informuje Lucy. – Z jej DNA nie będzie problemu. Ani z jej odciskami stóp i palców. Problem z nim. Facet wie, co robi. W dzisiejszych czasach każdy jest ekspertem.

– Nie. Tylko tak myślą.

Scarpetta zdejmuje gogle i zielona fluorescencja na kapie znika. Lucy wyłącza latarkę i też zdejmuje okulary.

– Co robimy? – pyta.

Kay przygląda się zdjęciu, które zauważyła po wejściu do sypialni. Doktor Self siedzi na kanapie, a naprzeciwko niej ładna kobieta z długimi, ciemnymi włosami. Kamery telewizyjne stoją blisko. Uśmiechnięci ludzie na widowni biją brawo.

– Była w programie doktor Self – mówi Scarpetta. – Ale tego się nie spodziewałam.

Lydia z Drew Martin i ciemnowłosym, smagłym mężczyzną, który, zakłada Kay, jest trenerem Drew, Giannim Lupanem. Wszyscy troje uśmiechają się i mrużą oczy na korcie w ośrodku tenisowym Family Circle Cup na Wyspie Daniela, parę kilometrów od centrum Charlestonu.

– Jaki jest więc wspólny mianownik? – pyta Lucy.

– Niech zgadnę. Doktor Self.

– Zdjęcie nie pochodzi z czasów ostatniego turnieju. Popatrz na różnice. – Wskazuje zdjęcie Lydii z Drew, a potem z doktor Self. – Na tym drugim wygląda wyraźnie gorzej. Spójrz na jej oczy.

Lucy zapala światło.

– Gdy zrobiono to zdjęcie na kortach Family Circle Cup, Lydia zdecydowanie nie wyglądała na osobę chronicznie nadużywającą alkoholu i

leków.

– I wrywającą sobie włosy – dodaje Lucy. – Nie rozumiem, dlaczego ktoś to robi. Włosy z głowy, włosy łonowe. Na tym zdjęciu w wannie wygląda, jakby brakowało jej połowy włosów. Brwi, rzęs.

– Trichotillomania – wyjaśnia Scarpetta. – Zaburzenie obsesyjno-kompulsywne. Niepokój. Depresja. Jej życie było istnym piekłem.

– Jeśli doktor Self jest wspólnym mianownikiem, to co z kobietą zamordowaną w Bari? Z tą kanadyjską turystką. Nic nie świadczy, że kiedykolwiek wystąpiła w programie doktor Self albo że ją znała.

– Myślę, że być może wtedy poznał nowy smak.

– Smak czego?

– Smak zabijania cywilów.

– To nie wyjaśnia związku z doktor Self.

– Wysyłanie do niej zdjęć wskazuje, że stworzył psychiczny krajobraz i rytuał dla swoich zbrodni. To również staje się grą, służy jakiemuś celowi. Odsuwa go od koszmaru własnych poczynań, ponieważ nie zdołałby pogodzić się z faktem, że sadystycznie zadaje ból i śmierć. Dlatego nadaje sens swoim poczynaniom. Musi to robić przebiegle. – Kay wyjmuje ze swojej walizki nieprofesjonalny, ale praktyczny pakiet karteczek samoprzylepnych. – Możliwe, że powołuje się na religię. Jeśli robisz coś w imię Boga, to wszystko w porządku. Kamienowanie ludzi na śmierć. Palenie na stosie. Inkwizycja. Krucjaty. Prześladowanie tych, którzy są inni. Zabójca nadaje sens temu, co robi. Takie jest moje zdanie.

Oświetla łóżko białym światłem i używa lepkiej strony karteczki, żeby zebrać włókna, włosy, brud, ziarenka piasku.

– Czy w takim razie sądzisz, że doktor Self nie ma dla niego osobistego znaczenia? Że tylko jest rekwizytem w jego dramacie? Że uczepił się jej tylko dlatego, że jest? W telewizji. Powszechnie znana.

Scarpetta umieszcza karteczki w plastikowej torebce na dowody i pieczętuje ją żółtą taśmą, którą opisuje markerem. Razem z Lucy składa narzutę.

– Myślę, że ona ma wyjątkowe znaczenie – odpowiada. – Nie umieszczasz kogoś w scenariuszu swojej gry albo dramatu psychologicznego, jeśli nie masz do niego osobistego stosunku. Nie wiem tylko dlaczego.

Lucy oddziera z rolki duży arkusz szarego papieru.

– Na przykład, może nigdy jej nie spotkał – podejmuje Scarpetta. – Podobnie postępują prześladowcy. Albo spotkał. Z tego, co wiemy, mógł być w jej programie albo spędzić z nią trochę czasu.

Kładą narzutę na papierze.

– Masz rację. Tak czy inaczej, to sprawa osobista – decyduje Lucy. – Może zabił kobietę w Bari i niemal wyznał to doktorowi Maroniemu, być może z myślą, że doktor Scif się dowie. Cóż, nie dowiedziała się. I co teraz?

– Poczul się jeszcze bardziej zlekceważony.

– A potem?

– Eskalacja.

– Co się dzieje, gdy matka nie zwraca uwagi na swoje emocjonalnie rozbite, skrzywdzone dziecko? – pyta Kay, pakując narzutę.

– Niech pomyślę. Dziecko wyrasta na mnie?

Scarpetta odcina kawałek żółtej taśmy i mówi:

– Straszne. Torturuje i zabija kobiety, które gościły w twoim programie. Być może robi to, żeby przyciągnąć twoją uwagę.



Sześćdziesięciocalowy płaski ekran telewizora mówi do Marina. Mówi mu coś o Madelisie, coś, co może wykorzystać przeciwko niej.

– To plazma? – pyta. – Największa, jaką widziałem.

Pani Dooley ma nadwagę, ciężkie powieki i nie zaszkodziłaby jej wizyta u dobrego dentysty. Jej sztuczna szczęka przypomina mu białe sztachety płotu, a jej fryzjer powinien zostać odstrzelony. Siedzi na kwiciastej kanapie, jej ręce są niespokojne.

– Mój mąż i jego zabawki – mówi. – Nie wiem, co to jest, z wyjątkiem tego, że wielkie i drogie.

– Oglądanie meczu na czymś takim musi być super. Pewnie gdybym raz tu usiadł, nigdy więcej nic bym nie zrobił.

Prawdopodobnie tak wygląda prawda w jej przypadku. Siedzi przed telewizorem jak zombi.

– Co pani lubi oglądać?

– Lubię filmy i programy kryminalne, bo zwykle rozwiązują zagadkę. Ale po tym, co mnie spotkało, nie jestem pewna, czy chcę oglądać coś, co ma związek z przemocą.

– Po obejrzeniu tych programów o przestępstwach musi pani sporo wiedzieć o kryminalistyce.

– Jakiś rok temu zasiadałam na ławie przysięgłych i wiedziałam o tych sprawach więcej niż sędzia. To nie najlepiej świadczy o sędzie. Przyznam, że znam się na paru rzeczach.

– Takich jak odzyskiwanie plików graficznych.

– Słyszałam o tym.

– Skasowanych z kasety wideo, z karty pamięci aparatu fotograficznego czy kamery cyfrowej.

– Napije się pan mrożonej herbaty? Mogę zrobić.

– Nie w tej chwili.

– Myślę, że Ashley przyniesie coś do jedzenia z restauracji Jimmy’ego Dengate’a. Jadł pan kiedyś ich pieczone kurczaki? Będzie w domu lada chwila, może pan spróbuje.

– Chciałbym, żeby pani zmieniła temat. Widzi pani, są programy umożliwiające odzyskanie skasowanego pliku graficznego z dysku, karty pamięci i tak dalej. Może pani kasować plik przez cały dzień, a my i tak go odzyskamy. – Nie jest to do końca prawdą, ale Marino kłamie bez zmruczenia oka.

Madelisa wyglądała jak mysz zagoniona w róg pokoju.

– Rozumie pani, do czego zmierzam, prawda? – mówi Marino. Ma ją jak na widelcu, ale to mu się niezbyt podoba i w gruncie rzeczy sam nie jest pewien, do czego zmierza.

Scarpetta zadzwoniła do niego jakiś czas temu i powiedziała, że Turkington ma podejrzenia dotyczące nagrania skasowanego przez pana Dooleya, ponieważ stale o tym wspominał w czasie przesłuchania. Obiecał jej, że zdobędzie odpowiedź. Teraz bardziej niż kiedykolwiek chce sprawić jej przyjemność, aby wiedziała, że jest coś wart. Był zszokowany, gdy zatelefonowała.

– Dlaczego pan mnie wypytuje? – Madelisa zaczyna płakać. – Mówiłam, nie wiem nic więcej poza tym, co powiedziałam śledczemu.

Wciąż się ogląda, patrząc w głąb małego, żółtego domu. Żółta tapeta, żółty dywan. Marino nigdy nie widział tylu żółcieni lilii w jednym miejscu. Wygląda tak, jakby dekorator wnętrz nasikał na wszystko, co mają Dooleyowie.

– Wspominam o odzyskiwaniu plików, bo jak rozumiem, pani mąż wykasował część nagrania z plaży – mówi, niewzruszony jej łzami.

– Stałam przed domem, zanim poszłam spytać o pozwolenie. Tylko to skasował. Oczywiście, nie dostałam pozwolenia, no bo jak? Co nie znaczy,

że nie próbowałam. Umiem się zachować.

– Naprawdę głównie mnie obchodzi pani zachowanie. Interesuje mnie, co pani ukrywa przede mną i wszystkimi innymi. – Pochyla się w fotelu. – Cholernie dobrze wiem, że nie jest pani ze mną absolutnie szczerą. Skąd wiem? Dzięki nauce.

Nic nie wie. Odzyskanie skasowanego zapisu z nośnika cyfrowego wcale nie jest pewne. O ile w ogóle można to zrobić, proces jest trudny i czasochłonny.

– Proszę – błaga Madelisa – przepraszam, ale nie zabierajcie go, proszę. Tak bardzo go kocham.

Marino nie ma pojęcia, o czym ona mówi. Wpada mu do głowy, że o mężu, ale nie jest pewien.

– Jeśli go nie zabiorę, co wtedy? Jak to wyjaśnię, gdy pozwolę mu zostać, a będą mnie pytać?

– Niech pan udaje, że o niczym nie wie. – Madelisa zalewa się łzami. – Co za różnica? On nic nie zrobił. Biedne maleństwo. Kto wie, przez co przeszedł. Trząśł się i był zakrwawiony. Nic nie zrobił, przestraszył się i uciekł, to wszystko. Wie pan, co się stanie, jak go pan zabierze. Uśpią go. Błagam, niech pan pozwoli mi go zatrzymać. Proszę! Proszę! Proszę!

– Dlaczego był zakrwawiony? – pyta Marino.



W głównej łazience Kay oświetla pod kątem onyksową posadzkę.

– Ślady bosych stóp – mówi z drzwi. – Małe. Może znowu jej. I więcej włosów.

– Jeśli wierzyć Madelisie Dooley, musiał się tu kręcić. Jakie to dziwne – mówi Becky, gdy Lucy zjawia się z niewielkim niebiesko-żółtym pudełkiem i butelką wody sterylnej.

Scarpetta wchodzi do łazienki. Odsuwa zasłonkę w tygrysie pręgi i świeci latarką w głąb głębokiej miedzianej wanny. Nic, ale zaraz potem coś przykuwa jej uwagę. Podnosi coś, co przypomina okruch białej porcelany, który z jakiegoś powodu znalazł się pomiędzy kostką białego mydła i mydelniczką przymocowaną z boku wanny. Ogląda go uważnie. Wyjmuje lupę jubilerską.

– Fragment korony. Nie porcelanowa. Tymczasowa, która jakoś została wyłamana.

– Ciekawe, gdzie jest reszta. – Becky kuca w drzwiach i patrzy na podłogę, świecąc latarką we wszystkie strony. – Chyba że pękła dawno temu.

– Mogła spłynąć. Trzeba sprawdzić syfon. Może być wszędzie. – Kay myśli, że widzi zaschniętą krew na tym, co według niej jest połówką korony z przedniego zęba. – Możemy się dowiedzieć, czy Lydia Webster była niedawno u dentysty?

– Mogę sprawdzić. Na wyspie jest niewielu dentystów. O ile nie poszła gdzieś indziej, zdobycie informacji nie powinno być trudne.

– Musiała pęknąć niedawno, bardzo niedawno. Człowiek może nie dbać o higienę jamy ustnej, ale z reguły nie ignoruje pękniętej korony, zwłaszcza na przednich zębach.

– Może to jego – wtrąca Lucy.

– Byłoby jeszcze lepiej – mówi Scarpetta. – Potrzebna mi mała papierowa koperta.

– Przyniosę.

– Nic nie widzę. Jeśli pękła tutaj, nigdzie nie ma reszty. Może nadal tkwi na zębie. Kiedyś pękła mi korona i część została na guzku, który kiedyś był zębem. – Becky patrzy na miedzianą wannę. – To będzie największy wynik fałszywie pozytywny pod słońcem. Warto zapamiętać. Jeden z nielicznych

przypadków, gdy muszę użyć luminolu, a ta cholerna wanna i umywalka są z miedzi. Cóż, możemy sobie darować.

– Już nie używam luminolu – oświadcza Scarpetta takim tonem, jakby utleniająca się w określonych warunkach substancja była nielojalnym przyjacielem.

Do niedawna środek ten stanowił podstawę kryminalistyki i Kay nigdy nie kwestionowała jego przydatności do wykrywania niewidocznych śladów krwi. Jeśli krew została zmyta albo nawet zamalowana, wystarczyło spryskać podejrzone miejsca luminolem i zobaczyć, czy pojawią się świecące ślady. Problemów nigdy nie brakowało. Jak pies, który merda ogonem do wszystkich sąsiadów, luminol jest pobudzany nie tylko przez hemoglobinę i reaguje w kontakcie z wieloma innymi czynnikami, takimi jak: farba, lakier, środek do czyszczenia odpływów, wybielacz, mniszek lekarski, oset, barwinek, kukurydza. I oczywiście miedź.

Lucy wyjmuje niewielki pojemnik hemastiksu, żeby przeprowadzić test domniemania, szukając śladów wyszorowanej krwi. Test wykaże, czy rzeczywiście może tu być krew. Scarpetta otwiera pudełko odczynnika Bluestar Magnum, wyjmuje szklaną brązową butelkę, foliowy pakiecik i pojemnik sprayu.

– Silniejszy, bardziej długotrwały i nie trzeba go używać w zupełnych ciemnościach – wyjaśnia, zwracając się do Becky. – Nie zawiera nadboranu sodu czterowodnego, więc nie jest toksyczny. Można stosować go na miedzi, bo reakcja z metalem ma inną intensywność, inny kolor i czas wywołania reakcji niż z krwią.

Musi jednak zobaczyć krew w łazience. Na przekór temu, co mówiła Madelisa, najbardziej intensywne światło białe nie ujawniło ani jednej plamy. Ale to już nie jest niespodzianką.



Wszystko wskazuje na to, że po jej ucieczce z domu zabójca skrupulatnie po sobie posprzątał. Kay wybiera najcieńszy zawór rozpylacza i wlewa do butelki cztery uncje wody. Do tego dodaje dwie tabletki. Ostrożnie miesza pipetą przez parę chwil, potem otwiera brązową szklaną butelkę i wlewa do niej roztwór wodorotlenku sodu.

Zaczyna spryskiwać łazienkę i wszędzie pojawiają się plamy, smugi, kształty i wzory jaskrawego kobaltowego błękitu. Becky robi zdjęcia. Nieco później, gdy Scarpetta skończyła sprzątać i pakuje walizkę, dzwoni jej komórka. To technik daktyloskopijny z laboratorium Lucy.

– Nie uwierzysz – mówi.

– Nigdy nie zaczynaj rozmowy ze mną w ten sposób, o ile nie mówisz poważnie. – Kay nie żartuje.

– Ślad na złotej monecie. – Jest podekscytowany, mówi szybko. – Mamy trafienie, niezidentyfikowany chłopiec znaleziony w zeszłym tygodniu. Dzieciak z Hilton Head.

– Jesteś pewien? Niemożliwe. To nie ma sensu.

– Może nie ma sensu, ale też żadnych wątpliwości.

– Nie mów tak, o ile nie mówisz poważnie. Moją pierwszą reakcją jest myśl, że to błąd.

– Nie. Wyciągnąłem kartę z odciskami palców, które Marino pobrał w kostnicy. Zweryfikowałem wizualnie. Niewątpliwie ślad daktyloskopijny częściowego odcisku na monecie pasuje do odcisku prawego kciuka niezidentyfikowanego dziecka. Nie ma żadnej pomyłki.

– Odcisk palca na monecie, która była poddana działaniu oparów kleju? Nie rozumiem.

– Proszę mi wierzyć, ja też nie. Wiemy tylko, że odciski palców dzieci przed okresem pokwitania nie utrzymują się dostatecznie długo, by poddać je działaniu oparów. Składają się głównie z wody. Czysty pot bez olejów,

aminokwasów i całej reszty, która przychodzi z pokwitaniem. Nigdy nie zdejmowałem odcisków dzieci za pomocą superglue i nie sądzę, żeby pani mogła to zrobić. Ale niewątpliwie jest to odcisk palca dziecka, i to dziecka z pani kostnicy.

– Może było inaczej. Może moneta nigdy nie była w oparach kleju.

– Musiała być. Ślad daktyloskopijny jest w tym, co na pewno wygląda na superglue, zupełnie jak po działaniu oparów.

– Może miał klej na palcu i dotknął monety – mówi Scarpetta. – I w ten sposób zostawił odcisk.

## ROZDZIAŁ 18

Dziewiąta wieczorem. Ulewa tłucze w ulicę przed chatą rybacką Marina. Lucy jest przemoknięta, gdy włącza bezprzewodowy odbiornik nagrywarki minidysków udający i-Poda. Dokładnie za sześć minut jej ciotka zadzwoni do Marina, który w tej chwili kłóci się z Shandy. Mikrofon dookólny ukryty w pendriwie podłączonym do komputera Marina wychwytuje każde ich słowo.

Lucy słyszy w słuchawce ciężkie kroki, szmer otwieranych drzwi lodówki, trzask otwieranej puszki, zapewne piwa.

Zły głos Shandy:

*– Nie kłam. Ostrzegałam. Nagle? Nagle decydujesz, że nie chcesz stałego związku? I nawiasem mówiąc, kto ci powiedział, że jestem ci oddana? Jedyłą pieprzoną rzeczą, która powinna zostać oddana, jesteś ty, do pieprzonego wariatkowa. Może narzeczony Wielkiej Szefowej da ci zniżkę na pokój.*

Powiedział jej o zaręczynach Scarpetty z Bentonem. Shandy uderza w czułe miejsce, co znaczy, że dobrze wie, co go zabol. Lucy zastanawia się, jak często używała tego argumentu, jak bardzo z niego szydziła.

*– Nie jestem twoją własnością. Nie zależało ci na mnie, dopóki nie zaczęło ci to odpowiadać, może więc pozbędę się ciebie pierwszy! – ryczy Marino. – Jesteś dla mnie niedobra. Kazesz mi jechać na tym hormonalnym gównie, dziwne, że nie dostałem udaru albo czegoś podobnego. Za ledwie po tygodniu znajomości. Co będzie po miesiącu? Wybrałaś już pieprzony*

*cmentarz? A może skończę w pieprzonym więzieniu, bo stracę rozum i coś odwalę.*

*– Może już odwaliłeś.*

*– Idź do diabła!*

*– Dlaczego miałabym się wiazać z takim starym grubym kutasem, któremu nawet nie staje bez tego hormonalnego gówna?*

*– Przestań, Shandy. Poniżałaś mnie, słyszysz? Skoro jestem takim zerem, co tutaj robisz? Potrzebuję trochę przestrzeni, czasu do namysłu. Wszystko się popierdoliło. W robocie mam syf. Palę, nie chodzę na siłownię, za dużo piję, biorę jakieś świństwa. Wszystko poszło w diabły, a ty tylko pakujesz mnie w coraz większe kłopoty.*

Dzwoni komórka. Nie odbiera. Dzwoni i dzwoni.

– Odbierz! – mówi głośno Lucy w ciężkim, jednostajnym deszczu. Słyszy w uchu głos Marina:

*– Taa.*

Dzięki Bogu. Marino przez chwilę milczy, słuchając, potem mówi do Scarpetty:

*– To nie może być prawda.*

Lucy nie słyszy ciotki, ale wie, co mu powiedziała. Powiedziała, że sprawdzenie numeru seryjnego colta trzydziestkiósemki w NIBIN-ie i IAFIS-ie nic nie dało, a na broni i nabojach, które Byk znalazł w uliczce za jej domem, nie ma odcisków palców ani nawet częściowych śladów papilarnych.

*– Co z nim? – pyta Marino.*

Ma na myśli Byka. Scarpetta nie może na to odpowiedzieć. Odcisków Byka nie ma w IAFIS-ie, ponieważ nigdy nie był skazany, a aresztowanie sprzed kilku tygodni się nie liczy. Jeśli colt należy do niego, lecz nie został skradziony ani użyty do popełnienia przestępstwa, by potem wrócić na

ulicę, nie będzie go w NIBIN-ie. Już powiedziała Bykowi, że warto byłoby pobrać mu odciski w celu wykluczenia, ale nie wziął się za to. Nie może mu przypomnieć, bo nie ma z nim kontaktu. Próbowwała razem z Lucy, gdy opuściły dom Lydii Webster. Matka Byka mówi, że popłynął łodzią zbierać ostrygi. Nie wiadomo, dlaczego wybrał się w taką pogodę.

– *Uhm, uhm.* – Głos brzmi w uchu Lucy.

Marino znowu chodzi, wyraźnie pilnując, co mówić przy Shandy.

Kay ma mu też powiedzieć o częściowym odcisku na złotej monecie. Może teraz to mówi, bo Marino chrząka ze zdziwienia.

– *Dobrze wiedzieć.*

Znowu milknie. Lucy słyszy jego kroki. Podchodzi do komputera, do pendrive'a, krzesło zgrzyta po drewnianej podłodze, gdy siada. Shandy milczy, prawdopodobnie próbując dojść, o czym rozmawia i z kim.

– *W porządku* – mówi w końcu Marino. – *Mozemy zająć się tym później? Akurat coś robię.*

Nie. Lucy jest pewna, że ciotka zmusi go do mówienia, o czym chce, albo przynajmniej do słuchania. Nie zakończy rozmowy bez przypomnienia mu, że w zeszłym tygodniu zaczął nosić stary srebrny dolar Morgana na łańcuszku. To nie musi mieć związku z naszymi z naszyjnikami ze złotą monetą, który miał w ręku martwy chłopiec z zamrażarki Scarpetty. Ale skąd Marino wziął ten jarmarczny wisiorek? Jeśli zapytała, nie odpowiedział. Nie może. Shandy słucha. W ciemności, w deszczu, który moczy jej czapkę i wsącza się pod kołnierz płaszcza przeciwdeszczowego, Lucy rozmyśla o tym, co Marino zrobił jej ciotce, i wraca do niej to samo uczucie. Nieustraszone, beznamiętne.

– *Tak, tak, żaden problem* – mówi Marino. – *Jak dojrzałe jabłko spadające z drzewa.*

Lucy domyśla się, że ciotka mu dziękuje. Co za ironia, myśli, ona mu dziękuje. Jak, kurwa, może dziękować mu za cokolwiek. Lucy wie dlaczego, ale wciąż się przeciwko temu buntuje. Kay dziękuje mu za rozmowę z Madelisą, za rozmowę, która zaowocowała wyznaniem, że zabrała basseta. Potem pokazała mu zakrwawione spodenki. Krew była na psie. Madelisą wytarła ją w spodenki, co świadczy, że musiała zjawić się na miejscu zdarzenia niedługo po tym, jak ktoś został ranny lub zabity, ponieważ krew na sierści nie zdążyła zaschnąć. Marino zabrał spodenki. Pozwolił jej zatrzymać psa. Obiecał, że powie, iż według niego zabójca ukradł basseta, prawdopodobnie go zabił i gdzieś zakopał. Zdumiewające, jaki miły i przyzwoity potrafi być wobec kobiet, których nie zna.

Deszcz jest zimnymi palcami, które bezustannie bębnią po czubku głowy. Lucy krąży, trzymając się poza polem widzenia, na wypadek gdyby Marino albo Shandy podeszli do okna. Jest ciemno, ale woli nie ryzykować. Marino skończył rozmawiać przez telefon.

*– Myślisz, że jestem głupia i nie wiem, z kim, do diabła, rozmawiałeś, chociaż uważałeś, żebym się nie połapała, o czym mówisz? Mówiłeś zagadkami!* – wrzeszczy Shandy. *– Jakbym była głupia i dała się nabrać. Dzwoniła Wielka Szefowa, oto kto!*

*– Nie twoja sprawa. Ile razy mam ci to mówić? Mogę rozmawiać, z kim tylko chcę, cholera.*

*– Wszystko jest moją sprawą! Spędziłeś z nią całą noc, załgany fiucie! Wczesnym rankiem widziałam tam twój cholerny motocykl! Myślisz, że jestem głupia? Dobrze było? Wiem, że pragnąłeś jej przez pół życia! I co, dobrze było, ty wielki, tłusty kutasie?*

*– Nie wiem, zepsuta bogata dziewczyno, kto ci wbił do głowy, że wszystko w życiu to twoja sprawa. Ale posłuchaj. Wcale tak nie jest.*

Po kolejnych wyzwiskach i pogróżkach Shandy wybiega z domu i trzaska drzwiami. Lucy ze swojej kryjówki patrzy, jak maszeruje ze złością do motocykla, ze złością przejeżdża przez małe piaszczyste podwórko przed chatą, potem pędzi z rykiem w kierunku mostu Bena Sawy era. Lucy czeka parę minut, nasłuchując, czy Shandy nie wraca. Cisza. Słyszy tylko daleki pomruk samochodów i głośny szum deszczu. Wchodzi na werandę, puka do drzwi. Marino otwiera je gwałtownie, na jego pełnej złości twarzy nagle odbija się konsternacja, miny zmieniają się jak obrazki w automacie do gry.

– Co tutaj robisz? – pyta, patrząc nad jej ramieniem, jakby się martwił, że Shandy wróci.

Lucy wchodzi do zapuszczonego pokoju, który zna lepiej, niż Marino mógłby przypuszczać. Patrzy na komputer z wciąż wsuniętym pendrive'em. Jej fałszywy i-Pod i słuchawka są schowane w kieszeni płaszcza. Marino zamyka drzwi, staje przed nimi, z sekundy na sekundę coraz bardziej skrępowany, gdy Lucy siada na kraciastej, pachnącej pleśnią kanapie.

– Słyszałem, że szpiegowałaś mnie i Shandy, gdy byliśmy w kostnicy, jakbyś była cholernym ucieleśnieniem ustawy antyterrorystycznej. – Zaczyna pierwszy, może zakładając, że przyszła z tego powodu. – Czyżbyś nie wiedziała, że nie ze mną takie numery?

Próbuje ją zastraszyć, chociaż cholernie dobrze wie, że nigdy się go nie bała, nawet w dzieciństwie. Nawet gdy była nastolatką, a on się z niej naśmiewał i drwił, a czasami unikał z powodu jej skłonności.

– Już rozmawiałem o tym z doktorką – mówi. – Nie miała nic do powiedzenia, więc nie zaczynaj.

– I to wszystko, co z nią robiłeś? Rozmawiałeś? – Lucy pochyla się, wysuwa glocka z kabury na kostce i celuje w niego. – Podaj mi jeden dobry powód, dlaczego nie miałabym cię zabić – mówi bez emocji.

Marino nie odpowiada.

– Jeden dobry powód – powtarza Lucy. – Przed chwilą żarłeś się z Shandy jak cholera. Słyszałam jej wrzaski na ulicy.

Wstaje z kanapy, podchodzi do stołu i wysuwa szufladę. Wyjmuje rewolwer smith & wesson . 357, który widziała zeszłej nocy, siada, wsuwa glocka z powrotem do kabury. Celuje do Marina z jego broni.

– Wszędzie są odciski palców Shandy. Domyślam się, że jest też pełno jej DNA. Walczyliście, strzeliła i odjechała na swoim motorze. Patologicznie zazdrosna dziwka.

Odciąga kurek rewolweru. Marino ani drgnie. Wydaje się, że jest mu obojętne, czy strzeli.

– Jeden dobry powód – mówi Lucy.

– Nie mam dobrego powodu. Śmiało. Ja chciałem, a ona nie chciała. – Ma na myśli Scarpette. – Powinna. Nie chciała, co miałem więc zrobić? Gówno mnie obchodzi, czy wina spadnie na Shandy. Nawet ci pomogę. W moim pokoju jest jej bielizna. Weź sobie jej DNA. Znajdą je na broni, nic więcej nie potrzeba. Wszyscy w barze wiedzą, jaka jest. Zapytaj Jess. Nikt nie będzie zdziwiony.

Potem milknie. Przez chwilę oboje trwają w bezruchu. Marino stoi przed drzwiami, ręce ma opuszczone. Lucy siedzi na kanapie, z rewolwerem wycelowanym w jego głowę. Nie potrzebuje większego celu, klatki piersiowej. On dobrze o tym wie.

Opuszcza pistolet.

– Siadaj.

Marino siada na krześle przy komputerze.

– Powinienem przewidzieć, że Kay ci powie.

– Powinieneś się domyślić, że mi nie powiedziała. Wiesz, co zrobiłeś z jej rękami?



Jego odpowiedzią jest nagły błysk w przekrwionych oczach. Lucy nigdy nie widziała, by Marino płakał.

– Rose zauważyła – podejmuje pewny wątek. – Powiedziała mi. Rano, gdy byliśmy w laboratorium, sama to zobaczyłam, siniaki na rękach cioci Kay. Co zamierzasz w związku z tym zrobić?

Próbuje nie wyobrazić sobie, co Marino mógł zrobić ciotce. Na samą myśl, że ją widział, dotykał, czuje się zgwałcona, czuje się znacznie gorzej, niż gdyby to ona była ofiarą. Patrzy na jego wielkie ręce i ramiona, na jego usta, i stara się nie myśleć, co zrobił.

– Co się stało, to się nie odstanie. Jasne i proste. Obiecuję, że się do niej nie zbliżę. Do żadnej z was. Albo możesz mnie zastrzelić, jak powiedziałaś, i ujdzie ci to na sucho, jak zawsze. Jak wcześniej. Tobie wszystko uchodzi na sucho. Śmiało. Gdyby ktoś inny zrobił jej to, co ja zrobiłem, zabiłbym go. Już byłby trupem.

– Żałosny tchórz. Przynajmniej ją przeproś, zamiast uciekać albo popełniać samobójstwo ze sprowokowanym udziałem policjanta.

– Co to da? Sprawa zamknięta. Dlatego dowiaduję się o wszystkim po fakcie. Nikt do mnie nie zadzwonił, żebym przyjechał na Hilton Head.

– Nie bądź dzieckiem. Ciocia Kay prosiła, żebyś zobaczył się z Madelisą Dooley. Nie mogłam w to uwierzyć. Chciało mi się rzygać.

– Więcej o nic mnie nie poprosi. Nie po twojej wizycie. Nie chcę, żebyś ty mnie o cokolwiek prosiła. To koniec.

– Pamiętasz, co zrobiłeś?

Nie odpowiada. Pamięta.

– Powiedz, że przepraszasz. Powiedz jej, że nie byłeś na tyle pijany, żeby nie pamiętać, co zrobiłeś. Powiedz jej, że pamiętasz i przepraszasz, i że nie możesz niczego zmienić, ale żałujesz. Przekonasz się, co robi. Nie zastrzeli cię. Nawet cię nie odprawi. Jest lepszym człowiekiem niż ja. –

Lucy zaciska rękę na broni. – Dlaczego? Powiedz mi tylko dlaczego. Bywałeś już przy niej pijany. Miliony razy byłeś z nią sam na sam, nawet w pokojach hotelowych. Dlaczego? Jak mogłeś?

Marino zapala papierosa, okropnie drżą mu ręce.

– To wszystko. Wiem, że nie ma żadnego usprawiedliwienia. Byłem na wpół szalony. To wszystko, i wiem, że to nie ma znaczenia. Wróciła z pierścionkiem i sam nie wiem.

– Tak, wiesz.

– Nie powinienem korespondować z doktor Self. Popierdoliła mi w głowie. Potem Shandy. Prochy. Gorzała. Jakby zbudził się we mnie potwór. Nie wiem, skąd się wziął.

Lucy wstaje, zde gustowana, rzuca rewolwer na kanapę. Mija Marina, idąc do drzwi.

– Posłuchaj mnie – mówi do niej. – Shandy dała mi to świństwo. Nie jestem pierwszym facetem, którego tym uraczyła. Ostatnim razem stał mi przez trzy dni. Uważała, że to zabawne.

– Co ci dała? – pyta Lucy, chociaż wie.

– Żel hormonalny. Doprowadzał mnie do szaleństwa, jakbym chciał każdego przelecieć, każdego zabić. Jej nic nie wystarcza. Nie pamiętam, bym kiedykolwiek przedtem był z kobietą, która nigdy nie miałaby dość.

Lucy opiera się o drzwi, krzyżuje ręce.

– Testosteron przepisany przez wszawego proktologa z Charlotte.

Marino nie kryje zaskoczenia.

– Skąd... – Twarz mu ciemnieje. – Aha, kapuję. Byłaś tu. Wszystko pasuje.

– Kim jest ten dupek na motorze, Marino? Kim jest kutas, którego omal nie zabiłeś na parkingu w Kick ‘N Horse? Ten, który rzekomo chce śmierci cioci Kay albo jej wyjazdu z miasta?

- Chciałbym wiedzieć.
  - Sądzę, że wiesz.
  - Mówię prawdę, przysięgam. Shandy musi go znać. To ona próbuje wypędzić doktorkę z miasta. Zazdrosna pierdolona suka.
  - A może to doktor Self.
  - Niech mnie diabli, jeśli wiem.
  - Może powinieneś sprawdzić tę swoją zazdrosną pierdoloną sukę – mówi Lucy. – Może wysyłanie e-maili do doktor Self, żeby wzbudzić zazdrość cioci Kay, było wtykaniem kija w mrowisko. Ale przypuszczam, że byłeś zbyt zajęty seksem na testosteronie i gwałceniem mojej ciotki, żeby to zauważyć.
  - Nie zrobiłem tego.
  - A jak to nazwiesz?
  - Najgorszą rzeczą, jaką zrobiłem.
- Lucy patrzy mu w oczy.
- Co z tym twoim naszyjnikiem ze srebrnym dolarem? Skąd go masz?
  - Wiesz skąd.
  - Shandy powiedziała ci, że było włamanie do domu jej chipsowego tatusia niedługo przed tym, zanim się tu sprowadziła? Zaraz po jego śmierci. Miał kolekcję monet, trochę gotówki. Wszystko znikło. Policja podejrzewała, że to robota kogoś z kręgu rodziny, ale nie mogli niczego udowodnić.
  - Złota moneta, którą znalazł Byk. Shandy nie wspominała o złotej monecie. Jedyłą, którą widziałem, jest ten srebrny dolar. Skąd wiesz, że Byk jej nie zgubił? On znalazł tego dzieciaka, a na monecie są odciski palców chłopca, prawda?
  - A jeśli moneta została ukradziona martwemu tatusiowi Shandy? Co ci to mówi?

– Ona nie zabiła dzieciaka – mówi Marino z nutką powątpiewania. – To znaczy, nigdy nie wspominała, że ma dzieci. Jeśli moneta ma coś z nią wspólnego, to pewnie komuś ją dała. Gdy dała mi moją, śmiała się, że to identyfikator, który ma mi przypominać, że jestem jednym z jej żołnierzy. Należę do niej. Nie miałem pojęcia, że rozumie to dosłownie.

– Pobranie jej DNA to dobry pomysł.

Marino wstaje i wychodzi. Wraca z czerwonymi majtkami. Wkłada je do papierowej torebki i podaje Lucy, która mówi:

– Trochę dziwne, że nie wiesz, gdzie mieszka.

– Nic o niej nie wiem. Tak wygląda cholerna prawda.

– Powiem ci, gdzie mieszka. Na tej samej wyspie. Przytulny domek nad wodą. Wygląda romantycznie. Aha, byłabym zapomniała. Gdy go oglądałam, przypadkiem zauważyłam motocykl.

Stary motor z tekturową tablicą rejestracyjną, schowany pod wiatą. Nikogo nie było w domu.

– Nie miałem pojęcia, co się stanie. Kiedyś nie byłem taki.

– Facet nie zbliży się do cioci Kay nawet na milion kilometrów. Zajął się nim, bo nie ufam tobie. Jego motor jest stary. Rzęch z wysoką kierownicą. Nie sądzę, żeby jazda na nim była bezpieczna.

Marino nie patrzy na nią.

– Nie byłem taki – mówi.

Lucy otwiera drzwi.

– Dlaczego po prostu nie wyniesiesz się z naszego życia? – pyta z werandy, z deszczu. – Gównu mnie obchodzi, jaki byłeś.



Stary ceglany budynek obserwuje go pustymi oczami okien, liczne szyby są wytłuczone. W opuszczonej firmie importującej cygara nie ma świateł,

parking jest zupełnie ciemny.

Z laptopem położonym na udach Benton loguje się w bezprzewodowej sieci portu i czeka w należącym do Lucy czarnym suwie subaru, wozie niezupełnie kojarzonym z organami ścigania. Od czasu do czasu spogląda przez okno. Deszcz powoli spływa po szybie, jakby noc płakała. Patrzy na siatkowe ogrodzenie wokół pustej stoczni po drugiej stronie ulicy, na zarysy kontenerów porozrzucanych jak wykolejone wagony.

– Brak aktywności – mówi.

Głos Lucy brzmi w jego słuchawce.

– Utrzymuj łączność, jak długo możesz. Częstotliwość jest bezpieczna. Pod względem uzdolnień technicznych Lucy jest lepsza od niego, ale on nie jest naiwny. Lucy ma szyfratory i zna sposoby, żeby zabezpieczyć to i tamto, i uważa, że to fajnie, gdy może szpiegować innych, a oni nie mogą szpiegować jej. Benton ma nadzieję, że Lucy się nie myli. W tej sprawie i wielu innych, łącznie z jej ciotką. Gdy poprosił ją o przysłanie samolotu, powiedział, że nie chce, by Kay wiedziała o jego przylocie do Charlestonu.

– Dlaczego? – zapytała.

– Bo prawdopodobnie będę musiał siedzieć przez całą noc w samochodzie, obserwując cholerny port – odparł.

Byłoby gorzej, gdyby Kay wiedziała, że on tu jest, ledwie parę kilometrów od jej domu. Mogłaby się uprzeć, żeby siedzieć razem z nim. Lucy stwierdziła, że chyba zwariował. Nie ma mowy, żeby ciotka chciała obserwować z nim port. To nie jej robota. Nie jest tajnym agentem. Nieszczerólnie lubi broń, chociaż na pewno wie, jak się nią posługiwać. Woli zajmować się ofiarami, a wszystkich innych zostawić jej i Bentonowi. Tak naprawdę Lucy chodziło o to, że siedzenie w porcie może być niebezpieczne, i nie chciała, żeby Scarpetta to robiła.

Dziwne, nie wspomniała o Marinie. Że mógłby pomóc.

Benton siedzi w ciemnym subaru, który pachnie nowością – pachnie jak skóra. Patrzy na deszcz i na ulicę. Spogląda na monitor laptopa. Nic nie wskazuje, że Piaskun zalogował się w bezprzewodowej sieci portu. Ale gdzie miałyby to zrobić? Nie na parkingu. Nie na ulicy, bo chyba nie odważy się siedzieć na widoku, żeby wysłać jeszcze jeden piekielny e-mail do demonicznej doktor Self, która prawdopodobnie już wróciła do Nowego Jorku, do swojego apartamentu w penthousie na Central Park West. To irytujące. To niesprawiedliwość wołająca o pomstę do nieba. Jeśli nawet w końcu Piaskun zapłaci za morderstwo, jej najpewniej ujdzie to na sucho, chociaż jest równie winna jak on, bo miała informacje, ale ich nie wykorzystwała, miała wszystko w nosie. Benton jej nienawidzi. Nie chce tego, ale nienawidzi jej bardziej niż kogokolwiek w swoim życiu.

Deszcz bębni po dachu suwa, mgła spowija dalekie latarnie. Nie można odróżnić horyzontu od nieba, port zlewa się z chmurami. W takiej pogodzie niczego nie można być pewnym, dopóki coś się nie poruszy. Benton siedzi nieruchomo, serce mu wali, gdy ciemna sylwetka powoli przesuwa się wzdłuż ogrodzenia po drugiej stronie ulicy.

– Mam aktywność – informuje Lucy. – Ktoś wszedł? Bo ja nie widzę.

– Nikt nie wszedł. – Lucy potwierdza, że Piaskun nie zalogował się w sieci portu. – Jaka aktywność?

– Przy ogrodzeniu. Na trzeciej, teraz się nie rusza. Stoi na trzeciej.

– Jestem dziesięć minut dalej. Nie zdążę.

– Wsiadam. – Benton powoli otwiera drzwi wozu, wewnętrzne światło jest wyłączone. Kompletne ciemności, deszcz szumi głośniej.

Sięga w zanadrze, wyjmuje pistolet i przymyka drzwi. Porusza się bezszelestnie. Umie to robić, robił to więcej razy, niż chciałby pamiętać. Sunie jak duch, ciemny i bezgłośny, przez kałuże, przez deszcz. Zatrzymuje się co krok. Jest pewien, że człowiek po drugiej stronie ulicy go nie widzi.

Co robi? Stoi przy ogrodzeniu, nie rusza się. Benton podchodzi bliżej. Ledwo widzi zarys sylwetki w ruchliwych płachtach deszczu i nie słyszy niczego prócz szumu ulewy.

– Wszystko gra? – Głos Lucy w jego głowie.

Nie odpowiada. Przystaje za słupem telefonicznym i czuje woń kreozotu. Postać przy ogrodzeniu przesuwa się w lewo, na pozycję na godzinie pierwszej, i rusza przez ulicę.

– W porządku? – pyta Lucy.

Benton nie odpowiada. Postać jest tak blisko, że widzi ciemną plamę twarzy, wyraźny zarys kapelusza, poruszające się ręce i nogi. Wysuwa się zza słupa i podnosi pistolet.

– Nie ruszaj się – rozkazuje cicho tonem nieznoszącym sprzeciwu. – Celuję z dziewiątki prosto w twoją głowę, więc stój naprawdę spokojnie.

Mężczyzna – Benton czuje, że to mężczyzna – przemienia się w posąg. Milczy.

– Zejdź z jezdni, ale nie w moją stronę. Przesuń się w lewo.

Bardzo powoli. Teraz na kolana i ręce na głowę. – Do Lucy mówi: – Mam go. Możesz podejść. Jakby była o rzut kamieniem stąd.

– Trzymaj się. – Jej głos jest napięty. – Trzymaj się. Idę. Benton wie, że jest daleko – zbyt daleko, żeby mu pomóc, gdyby wyniknął problem.

Mężczyzna trzyma ręce na głowie i klęczy na spękany, mokrym asfalcie.

– Proszę, nie strzelaj – mówi.

– Kim jesteś? Gadaj, kim jesteś.

– Nie strzelaj.

– Kim jesteś? – Benton podnosi głowę w szumie deszczu. – Co tutaj robisz? Mów, kim jesteś.

– Nie strzelaj.

– Cholera jasna. Gadaj, kim jesteś. Co robisz w porcie? Nie zmuszaj mnie, żebym spytał jeszcze raz.

– Ja wiem, kim ty jesteś. Rozpoznałem cię. Trzymam ręce na głowie, nie ma potrzeby strzelać. – Benton słyszy głos mężczyzny w plusku deszczu i wykrywa obcy akcent. – Jestem tu, żeby złapać zabójcę, jak ty. Mam rację, Bentonie Wesleyu? Proszę, schowaj pistolet. Jestem Otto Poma. Przybyłem tu z tego samego powodu co ty. Kapitan Otto Poma. Proszę, schowaj broń.



Tawerna Poego, kilka minut jazdy od chaty Marina. Parę piw dobrze mu zrobi.

Jezdnia jest wilgotna i lśniąco czarna, wiatr niesie zapach deszczu, morza i bagien. Uspokojony, jedzie na swoim roadmasterze przez ciemną, deszczową noc, świadom, że nie powinien pić, ale nie wie, jak się powstrzymać, a poza tym czy to ma znaczenie? Odkąd to się stało, ma chorą duszę, jest przerażony. Bestia się zbudziła, potwór pokazał pazury, a wprost przed sobą ma to, czego zawsze się obawiał.

Peter Rocco Marino nie jest przyzwoitym człowiekiem. Jak większość przestępców, których złapał, wierzył, że niewiele rzeczy w życiu jest jego winą, że jest z natury dobry, dzielny i pełen dobrych chęci, podczas gdy prawda wygląda zupełnie inaczej. Jest samolubny, chory i zły. Zły, zły, zły. Dlatego żona go zostawiła. Dlatego jego karierę diabli wzięli. Dlatego Lucy go nienawidzi. Dlatego zniszczył najlepsze, co kiedykolwiek miał. Jego związek ze Scarpettą jest martwy. On go zabił. Zbrutalizował. Zdradzał ją bez końca z powodu czegoś, czemu nie mogła zaradzić. Nigdy go nie chciała, i dlaczego miałaby chcieć? Nigdy jej nie pociągał. Jak mógłby? Więc ją ukarał.



Wrzuca wyższy bieg i dodaje gazu. Jedzie o wiele za szybko, deszcz boleśnie uderza w odsłoniętą skórę, gdy pędzi do ciągu, jak nazywa knajpy na Wyspie Sullivana. Samochody stoją, gdzie tylko jest miejsce. Z powodu pogody nie ma innych motocykli. Jest przemarznięty, ma sztywne ręce, czuje nieznośny ból i wstyd, i splecioną z nimi jadowią złość. Zdejmuje kask, bezużyteczne wiaderko na mózg, wiesza go na kierownicy i spina przednie widełki. Jego kombinezon przeciwdeszczowy szeleści, gdy wchodzi do restauracji pełnej surowego podniszczonego drewna, podsufitowych wentylatorów, oprawionych plakatów z filmów takich jak *Kruk* i pewnie wszystkich innych, które nakręcono na podstawie nowel Edgara Allana Poeego. Przy barze panuje tłok. Serce wali mu mocno i trzepocze jak przestraszony ptak, gdy dostrzega Shandy pomiędzy dwoma mężczyznami, jeden z nich ma bandanę – facet, którego omal nie zastrzelił. Shandy rozmawia z nim, przytulając się do jego ramienia.

Marino stoi przy drzwiach, woda ścieka na wyszorowaną podłogę. Patrzy, zastanawiając się, co zrobić, gdy wewnętrzne rany puchną, a serce wali jak szalone, jakby konie galopowały mu w karku. Shandy i mężczyzna w bandanie piją piwo i tequilę, jedzą *tortilla chips z chili eon queso*, to samo, co zamawia z nim, gdy tu przychodzą. Przychodzili. W przeszłości. Koniec i kropka. Rano nie użył tego żelu hormonalnego. Wyrzucił go z odrazą, gdy żyjące w nim wstrętne stworzenie szeptało szyderstwa. Nie może uwierzyć, że Shandy miała czelność przyjść tutaj z tym facetem. Teraz rozumie. Namówiła go, żeby groził doktorce. Shandy jest zła, ten facet jest zły, oboje są źli, ale on, Marino, jest gorszy.

To, co próbowali zrobić doktorce, jest niczym w porównaniu z tym, co on zrobił.

Podchodzi do baru, nie patrząc w ich stronę, udając, że ich nie widzi, zastanawiając się, dlaczego nie zauważył bmw Shandy. Pewnie

zaparkowała w bocznej ulicy, zawsze się martwi, że ktoś wgniecie drzwi. Zastanawia się, gdzie jest motor mężczyzny w chustce, i przypomina sobie, co powiedziała Lucy. Że nie wygląda na bezpieczny. Coś zmajstrowała. Pewnie następnym razem zrobi coś z jego motocyklem.

– Co podać, skarbie? Gdzie się podziewałeś? – Barmanka wygląda może na piętnaście lat. Ostatnio wszyscy młodzi ludzie tak wyglądają w jego oczach.

Jest taki przygnębiony i zdekoncentrowany, że nie może przypomnieć sobie jej imienia. Myśli, że Shelly, ale woli nie ryzykować. Może Kelly.

– Bud lite. – Pochyla się w jej stronę. – Nie patrz. Ten facet jest z Shandy?

– Tak, bywali tu wcześniej.

– Od kiedy? – pyta, gdy dziewczyna podsuwa mu piwo z beczki, a on podaje jej piątkę.

– Dwa w cenie jednego. Zaraz będzie drugie, skarbie. O rany. Od czasu do czasu, odkąd tylko tu pracuję, skarbie. Cały zeszły rok, jak się zdaje. Nie lubię ich, ale niech to zostanie między nami. Nie pytaj mnie o nazwisko. Nie znam. Nie tylko z nim tu przychodzi. Chyba jest mężatką.

– Nie chrzań.

– Mam nadzieję, że się rozeszliście. Na dobre, skarbie.

– Zerwałem z nią – mówi Marino, pijąc piwo. – Nic mi po niej.

– Nic, tylko kłopoty, jak sądzę – mówi Shelly czy Kelly.

Marino czuje na sobie spojrzenie Shandy. Przestała rozmawiać z mężczyzną w bandanie. Marino musi się zastanowić, czy od początku uprawiała z nim seks. Zastanawia się nad skradzionymi monetami i skąd Shandy ma pieniądze. Może ojciec nic jej nie zostawił i uznała, że musi kraść. Marino zastanawia się nad wieloma rzeczami i żałuje, że nie zastanowił się nad nimi wcześniej. Shandy patrzy na niego, podnosi

oszronioną szklaneczkę, pociąga łyk. Jej gniewne oczy są na wpół szalone. Marino chciałby do niej podejść, ale nie może się zmusić.

Wie, że nic mu nie powiedzą. Jest pewien, że go wyśmieją. Shandy trąca łokciem mężczyznę w bandanie. Facet patrzy na niego i uśmiecha się drwiąco, pewnie myśli, że to naprawdę zabawne, obmacywać Shandy i wiedzieć, że nigdy nie była kobietą Marina. Z kim jeszcze, do diabła, sypiała?

Marino zrywa naszyjnik ze srebrnym dolarem i wrzuca go do piwa. Moneta z pluskiem opada na dno. Przesuwa kufel po barze, a gdy zatrzymuje się przed nimi, wychodzi z nadzieją, że facet wyjdzie za nim. Przestało padać i nawierzchnia paruje w świetle latarni. Marino siada na mokrym siodełku motocykla i czeka, mając nadzieję, że mężczyzna przyjdzie. Obserwuje drzwi Tawerny Poego, czeka i ma nadzieję. Może on zacznie bijatykę. Może oni ją skończą. Chciałby, żeby serce zwolniło i ból w piersi zelżał. Może będzie miał atak serca. Serce powinno go zaatakować, skoro jest taki zły. Czeka, patrząc na drzwi, patrząc na ludzi po drugiej stronie oświetlonych okien, wszyscy są szczęśliwi z wyjątkiem niego. Czeka i pali papierosa, siedzi na mokrym motocyklu w mokrym kombinezonie, paląc i czekając.

Jest takim zerem, że już nawet nie może nikogo rozzłościć. Nie może zmusić nikogo do walki. Jest zerem, siedząc w deszczowej ciemności, paląc i patrząc na drzwi, pragnąc, żeby ktoś wyszedł, Shandy, mężczyzna w bandanie albo oboje, żeby ktoś wyszedł i sprawił, by poczuł, że wciąż ma w sobie coś wartościowego. Ale drzwi się nie otwierają. Mają go gdzieś. Nie boją się. Jest dla nich tylko pośmiewiskiem. Czeka i pali. Rozpina przednie widełki motocykla i zapuszcza silnik.

Dodaje gazu, guma piszczy, gdy pędzi po mokrych ulicach. Zostawia motor pod swoją chatą, z kluczykiem w stacyjce, bo już nie będzie go

potrzebował. Tam, dokąd się udaje, nie będzie jeździł na motocyklach. Idzie szybko, ale nie tak szybko, jak bije jego serce. Po ciemku wchodzi po schodkach na pomost i myśli o Shandy, jak się naśmiewała z jego starego, rozklekotanego pomostu, jak mówiła, że jest długi, chudy i pokrzywiony jak patyczak. Uznał, że jest zabawna, że umie bawić się słowami, gdy przyprowadził ją tu pierwszy raz i kochali się przez całą noc. Dziesięć dni temu. O to chodziło. Musi wziąć pod uwagę, że go ustawiła, że nie przez przypadek flirtowała z nim wieczorem tego dnia, gdy znaleziono martwego chłopca. Może chciała go wykorzystać do uzyskania informacji. Pozwolił jej na to. Wszystko z powodu pierścionka. Doktorka dostała pierścionek, a on stracił rozum. Wielkie buty dudnią głośno po pomoście, podniszczone deski dygoczą pod jego ciężarem, muszki roją się wokół niego jak na filmie rysunkowym.

Marino staje na końcu pomostu, oddychając ciężko, zżerany żywcem przez coś, co sprawia wrażenie miliona niewidzialnych zębów. Łzy zalewają mu oczy, pierś szybko podnosi się i opada; widział kiedyś coś takiego u człowieka, który dostał zastrzyk z trucizną, a zaraz potem zsiniał i umarł. Jest ciemno i pochmurno, woda zlewa się z niebem, pod nim dudnią obijacze i woda chlupocze cicho, uderzając w pale.

Krzycząc coś, co zdaje się płynąć skądinąd, z całej siły rzuca komórkę i słuchawkę w powietrze. Ciska je tak daleko, że nie słyszy plusku, gdy spadają do wody.

## ROZDZIAŁ 19

Kompleks Bezpieczeństwa Narodowego Y-dwanaście. Scarpetta zatrzymuje wypożyczony wóz w punkcie kontrolnym wśród betonowych zapór i ogrodzeń zwieńczonych drutem kolczastym.

Opuszcza szybę drugi raz w ciągu piętnastu minut i podaje odznakę. Strażnik wchodzi do budki, żeby zadzwonić, a drugi przeszukuje bagażnik czerwonego dodge'a stratusa, który ku jej niezadowoleniu czekał na nią w wypożyczalni Hertz, gdy godzinę temu wylądowała w Knoxville. Prosiła o suwa. Nie jeździ niczym czerwonym. Nawet nie nosi czerwieni. Strażnicy wydają się bardziej czujni niż dawniej, jakby przez ten samochód, choć nigdy nie można było zarzucić im niedbalstwa. W obiekcie Y-dwanaście znajduje się największy w kraju zapas wzbogaconego uranu. Kontrola jest bardzo dokładna. Scarpetta nigdy nie przeszkadza pracującym tu naukowcom, o ile nie zachodzi wyjątkowa potrzeba, która osiągnęła, jak mówi, masę krytyczną.

Z tyłu wozu leży zapakowane w szary papier okno z pralni Lydii Webster i małe pudełko ze złotą monetą z odciskiem palca niezidentyfikowanego zamordowanego chłopca. W głębi kompleksu stoi budynek laboratorium z czerwonej cegły, który wygląda jak wszystkie inne, ale mieści największy na świecie elektronowy mikroskop skaningowy.

– Może pani tam podjechać. – Strażnik wskazuje ręką. – On zaraz się tam zjawi. Może pani jechać za nim.

Kay wjeżdża i parkuje, czekając na czarnego tahoe kierowanego przez doktora Franza, dyrektora laboratorium materiałów naukowych. Zawsze za nim jeździ. Obojętnie, ile razy tu była, nie tylko nie umiała znaleźć drogi,

ale nie śmiała próbować. Lepiej nie gubić się na terenie obiektu, który produkuje broń nuklearną. Tahoe podjeżdża i zawraca, doktor Franz wysuwa rękę przez okno i kiwa, żeby jechała za nim. Przejeżdżają obok nijakich budynków o nijakich nazwach, potem teren zmienia się diametralnie, otaczają ich lasy i otwarte pola, i w końcu zatrzymują się przed parterowymi laboratoriami znanymi jako „Technologia 2020”. Otoczenie jest złudnie sielankowe. Scarpetta i doktor Franz wysiadają z pojazdów. Ona odpina pas bezpieczeństwa i wyjmuje z tylnego siedzenia okno zapakowane w szary papier.

– Spotykamy się dzięki przedziwnym rekwizytom – mówi doktor Franz.  
– Ostatnim razem były to całe drzwi.

– I znaleźliśmy odcisk buta, prawda? Podczas gdy nikt nie przypuszczał, że coś tam może być.

– Zawsze coś się znajdzie.

Mniej więcej w jej wieku, ubrany w koszulę polo i workowate dżinsy, niezupełnie pasuje do wyobrażenia inżyniera metalurgii nuklearnej, którego pasjonuje powiększanie ostrzy narzędzi tnących, brodawki przedniej pająka i fragmentów promu kosmicznego czy okrętu podwodnego. Kay wchodzi za nim do czegoś, co wyglądałoby jak zwyczajne laboratorium, gdyby nie wielka metalowa komora wsparta na czterech kolumnach łagodzących drgania, mających średnicę pni drzew. Skaningowy mikroskop elektronowy VisiTech z wielką komorą – LC-SEM – waży dziesięć ton i zainstalowanie go wymagało wózka widłowego o udźwigu czterdziestu ton. Innymi słowy, to największy mikroskop na świecie, przeznaczony do analizy wad takich materiałów jak metale używane do budowy broni. Pierwotnie nie miał zastosowań kryminalistycznych, ale technologia jest technologią, o ile chodzi o Scarpettę, i obecnie Y-dwanaście ulega jej bezwstydnym prośbom.

Doktor Franz rozpakowuje okno. Kładzie je wraz z monetą na grubym na osiem centymetrów stalowym blacie stołu obrotowego, a następnie ustawia działo elektronowe wielkości małego pocisku i przyczajone za nim detektory, opuszczając je jak najniżej nad podejrzanymi obszarami piasku, kleju i pękniętej szyby. Przesuwa detektory i nachyla je za pomocą pilota. Słyszc szumy i trzaski. Wyznacza przystanki końcowe – czyli pętle – żeby zapobiec uderzeniom cennych części w próbki, zderzeniom jednej z drugą albo wysunięciu się za skraj. Zamyka drzwi, żeby wypompować powietrze z komory do dziesięć do minus szóstej. Potem dopełni ciśnienie do dziesięć do minus drugiej. Nie otworzyłabyś drzwi, gdybyś chciała, mówi. Pokazuje jej. Wyjaśnia, że w zasadzie mają tutaj warunki, jakie panują w kosmosie. Bez wilgoci, bez tlenu, tylko molekuly przestępstwa.

Dźwięk pomp próżniowych, zapach elektryczności, temperatura podnosi się w tak zwanym czystym pomieszczeniu. Scarpetta i doktor Franz wychodzą, zamykając zewnętrzne drzwi. Wracają do laboratorium, gdzie kolumna czerwonych, żółtych, zielonych i białych świateł informuje ich, że w komorze nie ma nikogo. Gdyby ktoś tam przebywał, spotkałaby go prawie natychmiastowa śmierć. Byłoby to jak pobyt w kosmosie bez skafandra, wyjaśnia doktor Franz.

Siada przed komputerem z licznymi dużymi płaskimi ekranami.

– Zobaczmy. Jakie powiększenie? Możemy dojść do dwustu tysięcy. – Mogliby, ale żartuje.

– Ziarnko piasku będzie wyglądało jak planeta i może odkrywamy na nim maleńkie ludziki.

– Dokładnie o tym myślałem. – Klika, przechodząc przez warstwy menu.

Kay siada obok niego. Wielkie hałasujące pompy próżniowe przywodzą jej na myśl skaner rezonansu magnetycznego. W końcu pompy turbo

milkną i zapada cisza, zakłócana od czasu do czasu przez westchnienia osuszaczy powietrza, potężne jak oddechy wieloryba. Po chwili zapala się zielone światło i na ekranach ukazuje się to, co widzą instrumenty, gdy wiązki elektronów uderzają w szybę.

– Piasek – mówi doktor Franz. – A co to takiego? Wśród ziaren piasku różnych kształtów i rozmiarów, w tym powiększeniu wyglądających jak odłamki skał, znajdują się kulki pokryte kraterami, jak mikroskopijne meteoryty czy księżyce. Analiza pierwiastków wykazuje, że poza krzemem jest tutaj bar, antymon i ołów.

– Czy ta sprawa ma związek ze strzelaniem? – pyta doktor Franz.

– Nic o tym nie wiem – odpowiada Scarpetta i dodaje: – Jak w Rzymie.

– Mogą to być cząstki związane ze środowiskiem albo miejscem pracy. Najwięcej oczywiście jest krzemu. Do tego śladowe ilości potasu, sodu, wapnia i, nie wiem dlaczego, aluminium. Odejmę tło, jakie stanowi szyba. – Teraz mówi do siebie.

– Podobne, bardzo podobne do tego, co znaleźli w Rzymie – powtarza Kay. – Piasek w oczodołach Drew Martin. Taki sam. Powtarzam się, bo ledwo mogę w to uwierzyć. A już z pewnością tego nie rozumiem. To wygląda na pozostałości po strzale z broni palnej. A te zacienione obszary? Te warstwy?

– Klej. Zaryzykuję twierdzenie, że piasek nie pochodzi stamtąd, z Rzymu czy okolic. Co z piaskiem w sprawie Drew Martin? Skoro nie było bazaltu, nic nie wskazuje na aktywność wulkaniczną, jakiej człowiek spodziewałby się na tym obszarze. Czyżby więc przywiózł piasek z sobą do Rzymu?

– Wiem, że nigdy nie zakładano, że piasek pochodzi stamtąd. Przynajmniej nie z pobliskich plaż w Ostii. Nie wiem, co zrobił. Może



piasek jest symbolem, ma jakieś znaczenie. Ale oglądałam piasek pod mikroskopem. Oglądałam glebę. I nigdy nie widziałam czegoś takiego.

Doktor Franz zmienia kontrast i powiększenie.

– A teraz coś jeszcze dziwniejszego.

– Może komórki nabłonka. Skóra? – Scarpetta uważnie wpatruje się w ekran. – Nie było o tym wzmianki w sprawie Drew Martin. Muszę zadzwonić do kapitana Pomy. Wszystko zależy od tego, co uznano za ważne. Albo na co zwrócono uwagę. I niezależnie od tego, jak nowoczesne jest laboratorium policyjne, nie posiada instrumentów klasy badawczo-rozwojowej. Na pewno nie takie. – Ma na myśli elektronowy mikroskop skaningowy.

– Mam nadzieję, że nie użyli spektrometru masowego i nie strawili całej próbki kwasem. Jeśli tak, nic nie zostało do ponownych badań.

– Nie. Analiza rentgenowska w stanie stałym. Spektroskopia Ramana. W piasku wciąż powinny być komórki skóry, ale jak powiedziałam, nic mi o tym nie wiadomo. W raporcie nie ma słowa na ten temat. Nikt o tym nie wspomniał. Muszę zadzwonić do kapitana Pomy.

– Tam jest siódma wieczorem.

– Jest tutaj. W Charlestonie.

– Teraz jestem jeszcze bardziej zdezorientowany. Czy nie mówiła pani, że jest karabinierem? Nie służy w charlestońskiej policji.

– Zjawił się dość niespodziewanie. Wczoraj w nocy. Niech pan mnie nie pyta. Jestem bardziej zdezorientowana niż pan.

Wciąż czuje się niemile dotknięta. To nie była przyjemna niespodzianka, gdy w nocy Benton zjawił się w jej domu z kapitanem Pomą. Zdumienie na chwilę odebrało jej mowę. Jakiś czas później, po kawie i zupie, obaj wyszli równie nagle, jak przyszli. Od tej pory nie widziała Bentona, czuje się nieszczęśliwa, zraniona i niepewna, co ma mu powiedzieć, gdy go zobaczy

– gdziekolwiek jest. Zanim przyleciała tutaj rano, zastanawiała się, czy nie zdjąć pierścionka.

– DNA – mówi doktor Franz. – Nie chcemy schrzanić go wybielaczem. Ale sygnał będzie lepszy, jeśli zdołamy pozbyć się zanieczyszczeń i olei pochodzących ze skóry. Jeśli to rzeczywiście nabłonek.

Obraz na ekranie wygląda jak konstelacja gwiazd. Przypominają zwierzęta czy chochlę? Czy księżyc ma twarz? Co naprawdę widzi? Kay wyrzuca Bentona z myśli, żeby się skoncentrować.

– Żadnego wybielacza, i na wszelki wypadek zdecydowanie powinniśmy spróbować badania DNA – mówi. – Komórki nabłonka są pospolite w GSR, ale tylko wtedy, gdy ręce podejrzanego zostaną przetarte dwustronną lepłą taśmą węglową. Jeśli więc widzimy skórę, to nie ma sensu, chyba że komórki pochodzą z dłoni zabójcy. Albo już były na szybie. Lecz w tym ostatnim przypadku byłoby to dziwne, bo szkło zostało wyczyszczone, dokładnie wytarte. Widzimy włókna, białe włókna bawełny. Brudna koszulka, którą znalazłam w koszu w pralni, jest z białej bawełny, ale co to oznacza? Naprawdę niewiele. Pralnia jest składowiskiem mikroskopijnych włókien.

– W takim powiększeniu wszystko staje się wysypiskiem odpadków. – Doktor Franz klika myszką, manewruje aparaturą i zmienia pozycję działła, i wiązka elektronów uderza w obszar pękniętej szyby.

Pod pianką poliuretanową, która po zaschnięciu jest przejrzysta, pęknięcia wyglądają jak kaniony. Niewyraźne białe kształty mogą być komórkami naskórka, a zmarszczki i pory są odciskiem skóry tej części ciała, która zderzyła się z szybą. Widać fragmenty włosów.

– Ktoś wpadł na szybę albo ją uderzył? – pyta doktor Franz. – Może w ten sposób pękła?

– Nie ręką ani podeszwą stopy – zaznacza Scarpetta. – Nie ma śladów papilarnych. – Nie może przestać myśleć o Rzymie. – Może GSR nie zostały przeniesione z rąk, tylko były w piasku.

– Zanim go dotknął?

– Niewykluczone. Drew Martin nie została zastrzelona. Wiemy to na pewno. A jednak w piasku znalezionym w jej oczodołach są ślady baru, antymonu, ołowiu. – Powtarza to jeszcze raz, próbując uporządkować fakty. – Wkłada piasek, potem skleja powieki. Więc to, co wygląda na GSR, mogło być na jego rękach i zostało przeniesione do piasku, ponieważ na pewno go dotykał. Ale jeśli GSR są w piasku, ponieważ były tam wcześniej?

– Pierwszy raz słyszę, by ktoś zrobił coś takiego. Na jakim świecie żyjemy?

– Mam nadzieję, że słyszymy o czymś takim ostatni raz, i to samo pytanie zadawałam sobie przez większą część życia.

– Nic nie świadczy, że ich tam nie było. Inaczej mówiąc, w tym przypadku – doktor Franz wskazuje obrazy na ekranie – jest piasek na kleju czy klej na piasku? I czy piasek był na jego rękach, czy jego ręce były na piasku? Klej w Rzymie. Powiedziała pani, że nie używali spektrometru masowego. Analizowali metodą FTIR\*? [Fourier Transform Infrared Spectroscopy – spektroskopia w podczerwieni z transformacją Fouriera.]

– Chyba nie. To klej cyjano-akrylowy. Tyle wiem. Jeśli można, spróbujemy FTIR i zobaczymy, jaki molekularny odcisk palca otrzymamy.

– Doskonale.

– Zbadamy klej z okna i klej na monecie?

– Oczywiście.

Transformacja Fouriera w podczerwieni jest prostsza, niż sugeruje nazwa. Wiązania chemiczne cząsteczki absorbują długości fali światła i

dają przypisane jej widmo, unikatowe jak odcisk palca. Na pierwszy rzut oka to, co znaleźli, nie stanowi niespodzianki. Widma są takie same w przypadku kleju z okna i kleju na monecie: cyjano-akryl, ale inny, niż zna Scarpetta czy doktor Franz. Struktura molekularna nie odpowiada cyjano-akrylanowi etylu ze zwyczajnego superglue. To coś innego.

– Cyjano-akrylan dwuoktylu – oznajmia doktor Franz. Czas ucieka. Jest wpół do trzeciej. – Nie mam pojęcia, co to jest, poza tym, że oczywiście klej. A klej w Rzymie? Jego struktura molekularna?

– Nie jestem pewna, czy ktoś o to spytał – odpowiada Kay.



Zabytkowe budynki są łagodnie oświetlone, a iglica białej wieży kościoła Świętego Michała wskazuje księżyc.

Ze swojego wspaniałego pokoju doktor Self nie może odróżnić portu i oceanu od nieba, ponieważ nie ma gwiazd. Przestało padać, lecz nie na długo.

– Uwielbiam Fontannę Ananasową, co nie znaczy, że mogę ją stąd zobaczyć – mówi do świateł miasta za oknem, ponieważ jest to przyjemniejsze niż zwracanie się do Shandy. – Nad wodą, poniżej rynku. Małe dzieci, tak wiele z nich społecznie upośledzonych, chlapią się w niej latem. Powiem jedno, gdybyś zajmowała któreś z tych drogich mieszkań, hałas psulby ci nastrój. O, słyszę śmigłowiec. Słyszysz? Straż przybrzeżna. I te wielkie wojskowe samoloty. Wyglądają jak latające pancerniki, przelatują co minutę, ale przecież wiesz o tych wielkich samolotach. Na co marnują pieniądze podatników?

– Nie powiedziałałabym ci, gdybym sądziła, że przestaniesz mi płacić – mówi Shandy. Siedzi w fotelu przy oknie, ale nie jest zainteresowana widokiem.

– Na jeszcze większe zniszczenia i śmierć – ciągnie doktor Self. – Wiem, co się dzieje, kiedy ci chłopcy i dziewczęta wracają do domu. Doskonale to wiemy, prawda, Shandy?

– Daj mi, o czym rozmawialiśmy, i może zostawię cię w spokoju. Chcę tylko tego, co wszyscy inni. Nic w tym złego. Gównu mnie obchodzi Irak. Nie interesuje mnie siedzenie tutaj godzinami i gadanie o twojej polityce. Chcesz posłuchać o prawdziwej polityce, posiedź przy barze. – Śmieje się niezbyt przyjemnie. – To jest myśl, ty przy barze. Ty na wielkim, obciążonym skórą stołku, dyskutująca o pomysłach Busha. – Grzechocze lodem w drinku. – Buszowanie w kraju Busha.

– Sądzę, że to ty lubisz buszować.

– Ponieważ nienawidzimy Arabów i pedałów i nie wierzymy w splukiwanie noworodków w toalecie albo sprzedawanie ich w kawałkach akademiom medycznym. Kochamy szarlotkę, skrzydełka kurczaka, budweisera i Jezusa. O tak, i dymanie. Daj mi, po co przyszłam, a się zamknę i pójdę do domu.

– Jako psychiatra zawsze mówiłam: „Poznaj siebie”. Ale nie w twoim przypadku, moja droga. Radzę ci, rób wszystko, co w swojej mocy, żeby siebie nie poznać.

– Jedno jest pewne – mówi Shandy drwiąco – Marino skończył z tobą, kiedy zaczął ze mną.

– Zrobił dokładnie to, co przewidziałam. Myślał niewłaściwą głową.

– Możesz być bogata i sławna jak Oprah, ale cała twoja władza i sława nie podniecą mężczyzny jak ja. Jestem młoda i słodka i wiem, czego chcą, i mogę jechać tak długo jak oni, i zmuszać ich, żeby jechali znacznie dłużej niż kiedykolwiek uważali za możliwe.

– Mówisz o seksie czy o gonitwie Kentucky Derby?

– Mówię o tym, że się starzejesz.

– Może powinnam zaprosić cię do mojego programu. Umiem zadawać frapujące pytania. Co mężczyźni w tobie widzą. Jakie magiczne piżmo musisz wydzielać, że ciągną za tobą jak twoja własna okrągła dupa. Pokażemy cię taką, jak teraz, w czarnych skórzanych spodniach, obcisłych niczym skórka na śliwce, i w dżinsowej kurtce na gołym ciele. Oczywiście, buty. I perełka: bandana, która wygląda, jakby zajęła się ogniem. Znoszona, łagodnie mówiąc, ale należy do twojego biednego przyjaciela, który niedawno uległ strasznemu wypadkowi. Moja widownia uzna, że to wzruszające, iż nosisz jego chustkę na szyi i nie zdejmiesz jej, dopóki mu się nie polepszy. Z przykrością powiem, że gdy głowa pęka jak jajko i mózg ma kontakt z otoczeniem, takim jak chodnik, sprawa jest dość poważna.

Shandy pije drinka.

– Podejrzewam, że pod koniec godziny, bo nie widzę tutaj cyklu, tylko mały fragment jednego programu, dojdziemy do wniosku, iż jesteś ponętna i śliczna, niezaprzeczalnie gibka i prowokacyjna – mówi doktor Self. – Przypuszczalnie twoje niskie skłonności na razie uchodzą ci na sucho, ale gdy będziesz taka stara, jak według ciebie ja jestem, grawitacja zmusi cię do szczerości. Co mówię w swoim programie? Dopadnie cię siła ciężenia. Życie zmierza ku upadkowi. Nie z lotu, nie z pozycji stojącej, zaledwie siedzącej. Ale upadek będzie równie twardy jak w przypadku Marina. Gdy cię namówiłam, żebyś znalazła go po tym, jak okazał się na tyle głupi, żeby odszukać mnie, potencjalny upadek wydawał się w miarę łagodny. Zależny tylko od kłopotów, jakie ty mogłaś sprawić, moja droga. Poza tym, skoro Marino nigdy nie wznosił się wysoko, czy mógłby długo spadać?

– Daj mi pieniądze. A może to ja powinnam ci zapłacić, żebym nie musiała cię więcej słuchać. Nic dziwnego, że twój...

– Nie mów tego – warczy doktor Self, ale z uśmiechem. – Uzgodniłyśmy, o kim nie rozmawiamy i czyich nazwisk nie należy

wymieniać. To dla twojego dobra. Nie wolno ci o tym zapomnieć. Masz znacznie więcej zmartwień niż ja.

– Powinnaś być zadowolona. Jak wygląda prawda? Wyświadczam ci przysługę, bo teraz zniknę z twojego życia, a prawdopodobnie lubisz mnie nawet mniej niż doktora Phila z konkurencyjnego show.

– Był w moim programie.

– Daj mi jego autograf.

– Nie jestem zadowolona. Wolałabym, żebyś nie dzwoniła do mnie i nie dzieliła się ze mną swoimi obrzydliwymi wieściami. Zrobiłaś to, żebym ci zapłaciła za milczenie i uchroniła cię przed więzieniem. Jesteś bystrą dziewczyną. Twój pobyt za kratkami nie wyszedłby mi na dobre.

– Żałuję, że zadzwoniłam. Nie wiedziałam, że przestaniesz wysyłać czeki, bo...

– Bo co? Za co miałam płacić? To, za co płaciłam, już nie potrzebuje mojego wsparcia.

– Nie powinnam ci mówić. Ale zawsze powtarzałaś, że muszę być szczerą.

– Jeśli tak, szkoda moich słów.

– I zastanawiasz się dlaczego...?

– Zastanawiam się, dlaczego chcesz mnie zdenerwować, łamiąc naszą zasadę. Są pewne tematy, których nie powinnyśmy poruszać.

– Mogę poruszyć temat Marina. Niewątpliwie. – Shandy uśmiecha się drwiąco. – Mówiłam ci? Wciąż chce się pieprzyć z Wielką Szefową. To powinno cię przygnębiać, bo obie jesteście mniej więcej w tym samym wieku.

Shandy pożera wykwintną przystawkę jak danie z KFC.

– Może przeleci ciebie, gdy naprawdę ładnie go poprosisz. Ale ją przeleciałby nawet przede mną, jakby miał taką możliwość. Wyobrażasz

sobie?

Gdyby bourbon był powietrzem, w pokoju nie byłoby czym oddychać. Shandy piła bez opamiętania w salonie Club Level, podczas gdy doktor Self zamówiła filiżankę herbaty rumiankowej i patrzyła w inną stronę.

– Musi być naprawdę wyjątkowa – dodaje Shandy. – Nic dziwnego, że tak bardzo jej nienawidzisz.

To metaforyczne. Wszystko, co reprezentuje Shandy, sprawia, iż doktor Self patrzy w inną stronę, i patrzyła w inną stronę tak długo, że nie zobaczyła nadciągającej katastrofy.

– Oto, co zrobimy – mówi. – Opuścisz to śliczne miasteczko i nigdy tu nie wrócisz. Wiem, będziesz tęsknić za swoim domem na plaży, ale ponieważ tylko ja jestem na tyle uprzejma, żeby nazywać go twoim, przewiduję, że szybko przebolejesz stratę. Zanim się spakujesz, ogołocisz go do cna. Pamiętasz historie o apartamencie księżnej Diany? Co się tam działo po jej śmierci? Zdarte tapety i wykładziny, nawet żarówki wykręcone, jej wóz sprasowany w kostkę.

– Nikt nie tknie mojego bmw ani mojego motocykla.

– Zacznieś dziś wieczorem. Szorowanie, malowanie, używanie wybielacza. Możesz spalić rzeczy, mnie to nie obchodzi. Nie może zostać ani jedna kropla krwi, nasienia czy śliny, ani jedna sztuka ubrania, nawet włos, włókno czy kęs jedzenia. Powinnaś wrócić do Charlotte, gdzie twoje miejsce. Wstąp do Kościoła Pubów Sportowych i czcij boga pieniędzy. Twój zmarły ojciec był mądrzejszy niż ja. Nic ci nie zapisał, a ja z całą pewnością muszę ci coś zostawić. Mam to w kieszeni. A potem znikniesz z mojego życia.

– To ty powiedziałaś, że powinnam zamieszkać tutaj, w Charlestonie, żebym mogła...

– A teraz mam przywilej zmiany zdania.



– Nic mi nie możesz kazać. Gównu mnie obchodzi, kim jesteś, i mam dość wysłuchiwania, co mam mówić. Albo czego nie mówić.

– Jestem, jaka jestem, i mogę robić, co chcę – oświadcza doktor Self. – Nadszedł odpowiedni moment, żebyś była dla mnie miła. Poprosiłaś mnie o pomoc i oto jestem. Powiedziałam ci tylko, co zrobić, żebyś nie poniosła kary za swoje grzechy. Powinnaś powiedzieć: „Dziękuję” i „Twoje życzenie jest dla mnie rozkazem”, a także „Nigdy nie zrobię nic, co mogłoby cię zdenerwować albo sprawić ci kłopot”.

– W takim razie daj mi, co masz dać. Wypiłam za dużo i tracę głowę. Przez ciebie czuję się bardziej zwariowana niż szczur w sraczu.

– Nie tak prędko. Jeszcze nie skończyłyśmy naszej małej pogawędki przy kominku. Co zrobiłaś Marinowi?

– To *gonzo*\* [ciołek, debil; także gatunek dziennikarstwa, programowo mieszający prawdę z fikcją, zacierający granice, pomiędzy fikcją i reportażem.].

– *Gonzo*. Jesteś więc czytana. Fikcja naprawdę jest najlepszym faktem, a dziennikarstwo *gonzo* jest prawdziwsze niż prawda. Wyjątek stanowi wojna, skoro fikcja nas w nią wpakowała. I wojna doprowadziła do tego, co zrobiłaś, do tej nieopisanej potwornej rzeczy – mówi doktor Self. – Siedzisz tu w tej chwili i na tym krześle z powodu George’a W. Busha. Ja też jestem tu przez niego. Służenie ci za widowieństwo jest poniżej mojej godności i naprawdę ostatni raz spieszę ci na ratunek.

– Muszę mieć nowy dom. Nie mogę wyprowadzić się i nie mieć domu.

– Nie jestem pewna, czy kiedykolwiek otrząsnę się po tej ironii. Poprosiłam, żebyś zabawiła się z Marinem, ponieważ chciałam podręczyć Wielką Szefową, jak ją nazywasz. Nie prosiłam o całą resztę. Nie znałam reszty. Cóż, teraz znam. Bardzo niewiele osób jest lepszych ode mnie, a nie znam nikogo, kto byłby gorszy niż ty. Zanim się spakujesz, posprzątasz i pójdziesz tam, dokąd chodzą osoby twojego pokroju. Ostatnie pytanie. Czy

to cię trapiło choćby przez minutę? Nie mówimy o słabej kontroli impulsów, moja droga. Nie wtedy, gdy taka potworność trwa, trwa i trwa. Jak mogłaś na to patrzeć dzień po dniu? Ja nie mogę patrzeć nawet na maltretowanie psa.

– Daj mi, po co przyszłam, dobrze? Marino zniknął. – Tym razem Shandy powstrzymuje się od nazwania go *gonzo*. – Zrobiłam, co mi kazałaś...

– Nie kazałam ci zrobić tego, co zmusiło mnie do przyjazdu do Charlestonu w czasie, gdy mam o wiele lepsze zajęcia. I nie wyjadę, dopóki wiem, że tu jesteś.

– Jesteś mi coś winna.

– Czy mamy policzyć, ile mnie kosztowałaś przez wszystkie te lata?

– Tak, jesteś mi winna, bo ja nie chciałam tego zatrzymać, a ty mnie zmusiłaś. Mam dość życia twoją przeszłością. Robienia draństw, bo to poprawia ci samopoczucie w związku z twoimi draństwami. Mogłaś w każdej chwili uwolnić mnie od kłopotu, ale ty też go nie chciałaś. W końcu do tego doszłam. Ty też go nie chciałaś. Więc dlaczego ja mam cierpieć?

– Czy wiesz, że ten piękny hotel stoi przy Meeting Street? Gdyby mój apartament wychodził na północ, nie na wschód, byłoby niemal widać kostnicę.

– To ona jest nazistką, a ja jestem całkiem pewna, że on się z nią pieprzył, nie tylko chciał, ale naprawdę to zrobił. Okłamał mnie, żeby spędzić noc w jej domu. Jak się teraz czujesz? Musi być niezła, prawda? Marino ma taką szajbę na jej punkcie, że szczekałby jak pies albo lał do kuwety, gdyby mu kazała. Jesteś mi winna za znoszenie tego wszystkiego. Nie doszłoby do tego, gdybyś nie odstawiła jednej ze swoich sztuczek. „Shandy? Jest taki wielki, głupi glina, może wyświadczysz mi przysługę?”.

– Sobie wyświadczyłaś przysługę. Zdobyłaś informacje, które, o czym nie wiedziałam, były ci potrzebne – stwierdza doktor Self. – Ja wprawdzie wysunęłam propozycję, ale ty poszłaś mi na rękę wcale nie ze względu na mnie. Skorzystałaś z okazji. Zawsze byłaś w tym dobra, wręcz genialna. A teraz ta nadzwyczajna wiadomość. Może to nagroda za wszystkie straty, na jakie mnie naraziłaś. Zdradziła? Doktor Kay Scarpetta zdradziła? Zastanawiam się, czy wie o tym jej narzeczony.

– A co ze mną? Ten dupek mnie zdradził. Nikt tego nie robi. Mogę mieć każdego faceta, a ten gruby kutas puszcza mnie kantem?

– Oto, co zrobisz. – Doktor Self wyjmuje kopertę z kieszeni szlafroka z czerwonego jedwabiu. – Powiesz Bentonowi Wesleyowi.

– Jesteś niezrównana.

– To uczciwe, powinien wiedzieć. Twój czek bankierski. Zanim zapomnę. – Podnosi kopertę.

– Więc teraz zamierzasz wciągnąć mnie w kolejną grę.

– Och, to nie gra, moja droga. I przypadkiem mam adres e-mailowy Bentona – mówi doktor Self. – Moj laptop leży na biurku.



Pokój konferencyjny Scarpetty.

– Nic niezwykłego – mówi Lucy. – Wyglądał tak samo.

– Tak samo? – pyta Benton. – To znaczy jak? Siedzą w czwórce wokół stolika w pomieszczeniu, kiedyś będącym służbówką, zajmowaną prawdopodobnie przez młodą kobietę o imieniu Mary, wyzwoloną niewolnicę, która nie opuściła rodziny po wojnie. Scarpetta zadała sobie wiele trudu, żeby poznać historię budynku. W tej chwili żałuje, że go kupiła.

– Zapytam jeszcze raz – mówi kapitan Poma. – Stwarzał problemy? Może miał kłopoty w pracy?

– A kiedy nie miał kłopotów z jakąkolwiek pracą? – pyta Lucy.

Nikt nie ma wieści o Marinie. Kay dzwoniła do niego pół tuzina razy, może więcej, a on nie oddzwonił. W drodze do prosektorium Lucy zatrzymała się przy jego chacie. Motocykl stał pod ścianą, ale ciężarówka zniknęła. Zapukała do drzwi. Nie zastała go. Mówi, że zajrzała przez okno, ale Scarpetta wie swoje. Zna siostrzenicę.

– Tak, chyba tak – mówi. – Powiedziałabym, że był nieszczęśliwy. Tęsknił za Florydą i żałował, że się tu przeprowadził, i pewnie nie lubi dla mnie pracować. Ale to zła pora na rozmyślanie o problemach i kłopotach Marina.

Czuje na sobie oczy Bentona. Robi notatki i sprawdza te, które już sporządziła. Przegląda wstępne raporty laboratoryjne, choć dokładnie wie, co zawierają.

– Nie wyprowadził się – oznajmia Lucy. – A jeśli tak, zostawił wszystkie swoje rzeczy.

– Zobaczyłaś to przez okno? – Kapitan Poma jest nią wyraźnie zainteresowany. Obserwuje ją, odkąd zebrali się w tym pokoju. Wydaje się, że Lucy trochę go bawi, a ona w odpowiedzi go ignoruje. Na Kay patrzy w taki w sposób, jak w Rzymie. – Jak się zdaje, sporo można zobaczyć przez okno – mówi do niej, choć rozmawia z jej siostrzenicą.

– Nie zaglądał też do swojej poczty – dodaje Lucy. – Może podejrzewa, że ją monitoruje. Żadnej wymiany e-maili z doktor Self.

– Innymi słowy – zaczyna Scarpetta – jak kamień w wodę. Bez śladu.

Wstaje i opuszcza rolety, bo zrobiło się ciemno. Nie przestało padać, odkąd Lucy zabrała ją z Knoxville, gdy góry znikły we mgle. Lucy musiała zmieniać kierunek, gdzie tylko mogła, lecąc powoli wzdłuż rzek i niżej

położonych miejsc. Szczęście, a może łaska boska, że nie musiały przymusowo lądować. Poszukiwania nie zostały wstrzymane, z wyjątkiem tych prowadzonych na ziemi. Lydia Webster nie została znaleziona, żywa czy martwa. Jej cadillaca nigdzie nie widziano.

– Uporządkujmy informacje – proponuje Kay, bo nie chce rozmawiać o Marinie. Boi się, że Benton przejrzy jej uczucia.

Czuje się winna i zła, jest coraz bardziej zaniepokojona. Wydaje się, że Marino wyciął numer ze znikaniem – wsiadł do ciężarówki i wyjechał bez uprzedzenia, bez jakiegokolwiek próby naprawienia wyrządzonych szkód. Nigdy dobrze nie radził sobie ze słowami i nigdy nie podjął większego wysiłku, żeby zrozumieć swoje skomplikowane emocje, i tym razem naprawienie sytuacji też przekroczyło jego możliwości. Scarpetta próbowała zapomnieć o Marinie, mieć go gdzieś, ale myśli o nim przypominają upartą mgłę. Przysłaniają to, co ją otacza, i jedno kłamstwo przechodzi w drugie. Powiedziała Bentonowi, że ma siniaki, bo kłapa suva przypadkowo przytrzasnęła jej rękę. Nie rozebrała się przy nim.

– Spróbujmy zrozumieć, co wiemy – mówi do wszystkich. – Chciałabym porozmawiać o piasku. Kwarc, inaczej dwutlenek krzemu, i wapień, a w dużym powiększeniu fragmenty muszli i koralu, piasek typowy dla obszarów podzwrotnikowych, jak ten. Do tego najbardziej interesujące i jednocześnie zbijające z tropu komponenty charakterystyczne dla pozostałości po wystrzale. W istocie będę mówić konkretnie o pozostałościach po wystrzale, ponieważ w żaden inny sposób nie możemy wyjaśnić obecności śladów baru, antymonu i ołowiu w piasku z plaży.

– O ile to piasek z plaży – zaznacza kapitan Poma. – Może nie. Według doktora Maroniego, odwiedzający go pacjent twierdził, że właśnie wrócił z Iraku. Spodziewałbym się śladów powystrzałowych w wielu rejonach tego

kraju. Może przywiózł piasek z Iraku, bo tam wpadł w obłąd, i piasek o czymś mu przypomina.

– Nie znaleźliśmy gipsu, a gips występuje powszechnie w piasku pustynnym – podkreśla Scarpetta. – Choć tak naprawdę zależy to od rejonu Iraku, a nie sądzę, by doktor Maroni znał odpowiedź.

– Nie powiedział mi, gdzie dokładnie stacjonował pacjent.

– A jego notatki? – pyta Lucy.

– Tego w nich nie ma.

– Piasek w różnych regionach Iraku ma różny skład i morfologię – mówi Kay. – Wszystko zależy od sedymentacji i choć wysoka zawartość soli nie dowodzi, że piasek pochodzi z plaży, obie nasze próbki, z ciała Drew Martin i z domu Lydii Webster, mają wysoką zawartość soli.

– Moim zdaniem to istotne, dlaczego piasek jest dla niego ważny – odzywa się Benton. – Co piasek o nim mówi? Nazwał siebie Piaskunem. Symbolika układania ludzi do snu? Może. Rodzaj eutanazji, który może być powiązany z klejem, z jakimś składnikiem medycznym? Możliwe.

Klej. Cyjano-akrylan dwuoktylu. Klej chirurgiczny, używany przez chirurgów plastycznych i innych lekarzy do zamykania małych nacięć, a w wojsku do zasklepiania pęcherzy.

– Może ma klej chirurgiczny z powodu tego, kim jest i czym się zajmuje – sugeruje Scarpetta. – Nie musi chodzić o prostą symbolikę.

– Ma jakieś zalety? – pyta kapitan Poma. – Jakaś przewagę nad zwyczajnym superglue? Nie znam się na tym, co robią chirurdzy plastyczni.

– Klej chirurgiczny ulega biodegradacji. Nie jest rakotwórczy.

– Zdrowy klej. – Uśmiecha się do niej.

– Można tak powiedzieć.

– Czy zabójca wierzy, że niesie ulgę w cierpieniu? Możliwe – podejmuje Benton, jakby ich ignorował.

– Mówiłeś o tle seksualnym – przypomina kapitan Poma.

W granatowym garniturze, czarnej koszuli i czarnym krawacie wygląda, jakby wyszedł z hollywoodzkiej premiery albo z planu reklamy ubrań od Armaniego. Nie wygląda na mieszkańca Charlestonu i Benton lubi go nie bardziej niż w Rzymie.

– Nie powiedziałem, że tło jest wyłącznie seksualne – odpowiada. – Powiedziałem, że jest element seksualny. Powiem również, że zabójca nie musi być tego świadom, a my nie wiemy, czy napastuje ofiary seksualnie, czy tylko je torturuje.

– A ja nie jestem pewien, czy na pewno torturuje.

– Widziałeś zdjęcia, które on przysłał do doktor Self. Jak to nazwiesz, gdy ktoś zmusza kobietę do siedzenia nago w wannie pełnej zimnej wody? I prawdopodobnie ją upija?

– Nie wiem, jak bym to nazwał, bo nie było mnie przy tym, gdy to robił.

– Gdybyś był, nie byłoby nas tutaj, ponieważ sprawa zostałaby wyjaśniona. – Oczy Bentona przypominają stal.

– Uważam pomysł, że niesie im ulgę w cierpieniach, za nieprawdopodobny – mówi do niego kapitan Poma. – Zwłaszcza jeśli twoja teoria jest poprawna i zabójca torturuje ofiary. W takim przypadku zadaje im cierpienie. Nie niesie ulgi.

– Oczywiście, zadaje. Ale nie mamy do czynienia z umysłem racjonalnym, tylko zorganizowanym. Jest wyrachowany i działa w przemyślany sposób. Jest inteligentny i wyrafinowany. Wie, w jaki sposób się włamać, wejść do środka i nie zostawić śladów. Prawdopodobnie jest kanibalem i wierzy, że jednoczy się ze swoimi ofiarami, czyniąc je częścią siebie. Że łączy go z nimi ważna więź i że jest miłosierny.

– Dowód. – Lucy jest znacznie bardziej zainteresowana konkretnymi. – Myślisz, że wie o obecności śladów powystrzałowych w piasku?

– Możliwe – odpowiada Benton.

– Poważnie w to wątpię – oświadcza Scarpetta. – Bardzo poważnie. Jeśli nawet piasek pochodzi z jakiegoś pola bitwy, że tak powiem, z jakiegoś miejsca, które jest dla niego ważne, to wcale nie znaczy, że zna skład pierwiastkowy. Dlaczego miałyby znać?

– Trafna uwaga. Zgadzam się. Prawdopodobnie nosi z sobą piasek – mówi Benton. – Bardzo prawdopodobne, że ma własne narzędzia i sprzęt do cięcia. Cokolwiek zabiera, nie robi tego z przyczyn praktycznych. Jego świat jest pełen symboli. Zabójca działa pod wpływem impulsów, które nabiorą dla nas sensu dopiero wtedy, gdy zrozumiemy te symbole.

– Naprawdę nie obchodzi mnie jego symbole – oznajmia Lucy. – Najbardziej interesuje mnie fakt, że wysyłał e-maile do doktor Self. Moim zdaniem to podstawa. Dlaczego do niej? I dlaczego włamuje się do sieci bezprzewodowej portu? Dlaczego przełazi przez płot, jak zakładamy? Dlaczego korzysta z porzuconego kontenera? Uważa się za ładunek?

Lucy jak zwykle pokazała, co potrafi. Wcześniej tego wieczoru przeszła przez ogrodzenie i rozejrzała się po stoczni, bo miała przeczucie. Gdzie można włamać się do sieci portu, nie będąc widocznym? Odpowiedzi udzielił porzucony kontener, w którym znalazła stół, krzesło i ruter bezprzewodowy. Kay wiele myślała o Byku, o nocy, gdy postanowił zapalić trawkę w pobliżu kontenerów i został pocięty. Czy natknął się na Piaskuna? Czy podszedł za blisko? Chciałaby go o to zapytać, ale nie widziała go od czasu, gdy razem przeszukiwali uliczkę, gdzie znaleźli broń i złotą monetę.

– Zostawiłam wszystko na miejscu – mówi Lucy. – W nadziei, że się nie zorientuje, że tam byłam. Ale mógł się połapać. Nie wiem. Nie wysłał żadnych e-maili, lecz z drugiej strony nie wysyłał ich od jakiegoś czasu.

– Co z pogodą? – pyta Scarpetta, świadoma, że czas ucieka.



– Do północy powinna się poprawić. Wstąpię do laboratorium, potem jadę na lotnisko.

Lucy wstaje. Kapitan Poma też. Benton siedzi. Kay napotyka jego spojrzenie i jej lęki wracają. Mówi do niej:

– Chciałbym z tobą porozmawiać.

Lucy i kapitan Poma wychodzą, Scarpetta zamyka drzwi.

– Może ja powinnam zacząć. Zjawiłeś się w Charlestonie bez zapowiedzi. Nie zadzwoniłeś. Nie odzywasz się przez wiele dni, a potem nagle zjawiasz się niespodziewanie z nim...

– Kay – Benton bierze torbę i kładzie ją na kolanach – nie powinniśmy teraz tego robić.

– Prawie się do mnie nie odzywałeś.

– Może...?

– Nie, nie możemy odkładać tego na później. Ledwo mogę się skupić. Muszę jechać do Rose, mam tyle do zrobienia, wszystko się sypie i wiem, o czym chcesz ze mną rozmawiać. Nie umiem ci powiedzieć, co czuję. Może naprawdę nie potrafię. Nie winię cię, jeśli podjąłeś decyzję. Na pewno zrozumie.

– Nie zamierzałem sugerować, że możemy odłożyć to na później. Chciałem powiedzieć, że może przestaniemy sobie przerywać.

To zbija ją z tropu. Światło w jego oczach. Zawsze wierzyła, że to coś w jego oczach jest tylko dla niej, a teraz się boi, że nie jest i nigdy nie było. On patrzy na nią, ona odwraca wzrok.

– O czym chcesz ze mną pomówić, Bentonie?

– O nim.

– O Otcie?

– Nie ufam mu. Czekał na Piaskuna, żeby się pokazał i wysłał kolejny e-mail? Pieszko? Na deszczu? W ciemności? Powiedział ci, że tu jedzie?

– Przypuszczam, że ktoś go poinformował, co się dzieje. Powiązał sprawę Drew Martin z Charlestonem, z Hilton Head.

– Może rozmawiał z nim doktor Maroni – zastanawia się Benton. – Nie wiem. Jest jak duch. – Ma na myśli kapitana. – Wszędzie go pełno. Nie ufam mu.

– Może to mnie nie ufasz. Powiedz to wreszcie i miej to z głowy.

– Nie ufam mu ani trochę.

– W takim razie nie powinieneś spędzać z nim tyle czasu.

– Nie spędzam. Nie wiem, co robi ani gdzie. Ale myślę, że przyjechał do Charlestonu z twojego powodu. To jasne, na czym mu zależy. Chce zostać bohaterem. Kochać się z tobą. Nie mogę powiedzieć, że cię winię. Jest przystojny i czarujący, trzeba mu to oddać.

– Dlaczego jesteś o niego zazdrosny? W porównaniu z tobą jest taki malutki. Nie zrobiłam niczego, żeby dać ci podstawy do zazdrości. To ty mieszkasz daleko, zostawiasz mnie samą. Rozumiem, że chcesz zakończyć nasz związek. – Scarpetta patrzy na swoją lewą rękę, na pierścionek. – Mam go zdjąć? – Zaczyna zdejmować.

– Nie – mówi Benton. – Proszę, nie. Nie wierzę, że tego chcesz.

– Nie ma znaczenia, czego chcę. Liczy się, na co zasługuję.

– Nie winię mężczyzn, którzy się w tobie zakochują. Ani że chcą cię zaciągnąć do łóżka. Wiesz, co się stało?

– Powinam oddać ci pierścionek.

– Pozwól mi powiedzieć, co się stało. Czas, żebyś wiedziała. Gdy zmarł twój ojciec, zabrał z sobą część ciebie.

– Proszę, nie bądź okrutny.

– Bo cię uwielbiał – mówi Benton. – Jak mógł nie uwielbiać? Jego piękna mała dziewczynka. Jego mądra dziewczynka. Jego grzeczna dziewczynka.

- Nie rań mnie w ten sposób.
- Mówię ci prawdę, Kay. Bardzo ważną prawdę. – Znów to światło w jego oczach.
- Kay nie może na niego patrzeć.
- Tego dnia część ciebie zdecydowała, że zauważanie, jak ktoś na ciebie patrzy, gdy cię uwielbia albo pożąda seksualnie, jest dla ciebie niebezpieczne. Bo jeśli cię uwielbia i umrze? Jesteś przekonana, że nie zniesiesz tego ponownie. Pragnie cię seksualnie? Jak zatem możesz pracować z glinami i prokuratorami okręgowymi, jeśli myślisz, że wyobrażają sobie, co masz pod ubraniem i co mogliby z tym zrobić?
- Przestań. Nie zasługuję na takie traktowanie.
- Zgadza się.
- Sam fakt, że postanowiłam czegoś nie zauważać, nie oznacza, że zasługuję na to, co zrobił.
- Absolutnie.
- Już nie chcę tu mieszkać. Powinnam zwrócić ci pierścionek. Należał do twojej prababki.
- I uciec z domu? Jak wtedy, gdy nie miałaś nikogo, tylko matkę i Dorothy? Uciekłaś, choć nie fizycznie. Zatraciłaś się w nauce i karierze zawodowej. Uciekałaś szybko, zbyt zajęta, żeby cokolwiek odczuwać. Teraz chcesz uciec jak Marino.
- Nie powinnam wpuszczać go do domu.
- Robiłaś to przez dwadzieścia lat. Czemu miałabyś nie zrobić tego tamtej nocy? Zwłaszcza że był pijany i niebezpieczny dla samego siebie. Rzecz w tym, że jesteś zbyt uprzejma.
- Rose ci powiedziała. Albo Lucy.
- E-mail od doktor Self, pośrednio. Masz romans z Markiem. Reszty dowiedziałem się od Lucy. Prawdy. Spójrz na mnie, Kay. Ja na ciebie

patrzę.

– Obiecuj mi, że nic mu nie zrobisz. Nie pogorszysz sprawy, bo wtedy będziesz taki jak on. Dlatego mnie unikałeś, dlatego nie uprzedziłeś, że przyjeżdżasz do Charlestonu. Prawie nie dzwoniłeś.

– Nie unikałem cię. Od czego mam zacząć? Jest tego tyle.

– Co jeszcze?

– Mieliśmy pacjentkę. Doktor Self zaprzyjaźniła się z nią, choć przyjaźń to zbyt wielkie słowo. Właściwie nazwała ją imbecylem, a z jej ust to nie było wyzwisko czy żart. To był osąd, diagnoza. Najgorsze, że pacjentka usłyszała to właśnie od niej. Pojechała do domu, gdzie nie była bezpieczna. Weszła do pierwszego napotkanego sklepu monopolowego. Wygląda na to, że wypłała prawie pół litra wódki, a potem się powiesiła. Zajmowałem się tą sprawą. I nie wiesz o tylu innych. Dlatego trzymałem się na dystans. Dlatego rozmawiałem z tobą niewiele przez te siedem dni.

Otwiera zatrzaski torby i wyjmuję z niej laptop.

– Nie chciałem korzystać z telefonów ani Internetu w szpitalu, byłem bardzo ostrożny. Wszędzie. Nawet w domu. Między innymi dlatego chciałem się stamtąd wydostać. Pewnie chcesz zapytać, co się dzieje. Powiem ci, że nie wiem. Ale ma to związek z plikami elektronicznymi Paula. Tymi, które zdobyła Lucy, bo zostawił je tam, gdzie byle kto mógł je znaleźć.

– Łatwo znaleźć, gdy się umie szukać. Lucy nie jest byle kim.

– I miała utrudnione zadanie, ponieważ musiała wejść do jego komputera zdalnie. – Benton włącza laptop. Wsuwa CD do napędu. – Podejdź bliżej.

Scarpetta przysuwa krzesło do jego krzesła i patrzy, co on robi. Po chwili na ekranie pojawia się dokument.

– Widziałam już te notatki – mówi, rozpoznając plik elektroniczny, który znalazła Lucy.

– Niezupełnie. Z całym szacunkiem dla Lucy, ja też mam kontakty z paroma bystrymi hakerami. Nie tak bystrymi jak ona, ale radzą sobie w razie konieczności. Patrzysz na plik, który został wykasowany, a następnie odzyskany. To nie ten, który widziałas, nie ten, który Lucy zdobyła po wyciągnięciu od Josha hasła administratora systemu. Ten konkretny plik został utworzony wcześniej, a po nim było jeszcze kilka późniejszych kopii.

Kay przewija dokument i czyta.

– Wygląda na ten sam.

– Tekst niewiele się różni. Chodzi o to. – Benton wskazuje strzałką nazwę pliku u góry ekranu. – Zauważyłaś to samo, co ja, gdy Josh mi to pokazał?

– Josh? Mam nadzieję, że mu ufasz.

– Ufam, i nie bez powodu. Zrobił to samo, co Lucy. Wszedł w coś, w co nie powinien, i ciągnie swój do swego. Na szczęście są sojusznikami, Josh jej wybaczył, że go nabrała. Prawdę mówiąc, był pod wrażeniem.

– Nazwa pliku to PNotatka-dziesięć-dwadzieścia-jeden-zero-sześć – czyta Scarpetta. – Domyślam się, że P w PNotatki to inicjał pacjenta, a liczby oznaczają datę, dwudziesty pierwszy października dwa tysiące szóstego.

– Zgadza się. Powiedziałaś PNotatki, a nazwa pliku brzmi Notatka. – Dotyka ekranu. – Plik został skopiowany co najmniej raz, i przypadkiem nazwa uległa zmianie. Błąd w druku. Dokładnie nie wiem jak. A może zrobił to świadomie, żeby nie kopiować wciąż tego samego pliku. Sam to czasami robię, gdy nie chcę stracić wcześniejszej wersji. Ważne, że gdy Josh odzyskał wszystkie skasowane pliki dotyczące tego pacjenta, znaleźliśmy najwcześniejszy, napisany dwa tygodnie temu.

– Może to tylko najwcześniejsza wersja, którą zachował na tym konkretnym twardym dysku? – sugeruje Scarpetta. – Albo może otworzył plik dwa tygodnie temu i nagrał go ponownie, co spowodowało zmianę daty? Chociaż w takim przypadku nasuwa się pytanie, dlaczego miałyby przeglądać notatki, gdy jeszcze nie wiedzieliśmy, że Piaskun był jego pacjentem? Kiedy doktor Maroni wyjechał do Rzymu, nawet nie słyszeliśmy o Piaskunie.

– O to chodzi – mówi Benton. – Fałszerstwo. Plik został sfabrykowany. Tak, Paulo napisał te notatki tuż przed wyjazdem do Rzymu. Napisał je tego samego dnia, gdy doktor Self została przyjęta do MacLeana, dwudziestego siódmego kwietnia. Faktycznie kilka godzin przed jej przyjazdem do szpitala. Jestem o tym przekonany, ponieważ Paulo mógł opróżnić Kosz, ale usunięte pliki nie zniknęły. Josh je odzyskał.

Otwiera kolejny plik, szkic notatek, które Kay czytała, ale w tej wersji inicjały pacjenta są inne. Nie P, ale WR.

– Zatem wygląda na to, że doktor Self musiała zadzwonić do Paula. Zresztą możemy przyjąć takie założenie, bo przecież nie mogła zjawić się w szpitalu bez zapowiedzi. Cokolwiek powiedziała mu przez telefon, to zainspirowało go do napisania tych notatek – mówi Scarpetta.

– Kolejny dowód fałszerstwa. Umieszczenie inicjałów pacjenta w nazwie pliku. Nie wolno nam tego robić. Nawet jeśli odłożysz na bok zasady i zdrowy rozsądek, zmienianie inicjałów pacjenta nie ma sensu. Dlaczego to zrobił? Żeby nadać mu pseudonim? Paulo jest za mądry, żeby robić takie rzeczy.

– Może ten pacjent nie istnieje.

– Zaraz zobaczysz, do czego zmierzam – mówi Benton. – Nie sądzę, by Piaskun kiedykolwiek był pacjentem Paula.

## ROZDZIAŁ 20

Portiera nigdzie nie widać, gdy Scarpetta przed dziesiątą dociera do domu Rose. Mży i podnosi się gęsta mgła, i chmury pędzą po niebie, gdy front burzowy przesuwa się nad morze.

Wchodzi do portierni i rozgląda się. Na biurku leży niewiele przedmiotów: kartoteka obrotowa, notes z napisem „Mieszkańcy” na okładce, stos nieotwartej korespondencji – Eda i dwóch innych portierów – pióra, zszywacz, drobiazgi osobiste: pamiątkowa plakietka z zegarkiem, nagroda z klubu wędkarskiego, telefon komórkowy, kółko z kluczami, portfel. Sprawdza portfel. Należy do Eda. Dziś pełni dyżur z jakimiś trzema dolarami do towarzystwa.

Scarpetta wychodzi, rozgląda się, wciąż ani znaku Eda. Wraca do portierni i przegląda spis mieszkańców. Gianni Lupano mieszka na najwyższym piętrze. Jedzie windą i przystaje pod jego drzwiami, nasłuchując. Gra muzyka, ale nie głośno. Dzwoni i słyszy, że ktoś jest w mieszkaniu. Dzwoni jeszcze raz i puka. Po chwili drzwi się otwierają i Scarpetta staje twarzą w twarz z Edem.

– Gdzie jest Gianni Lupano? – Mija go, wchodzi w dźwięk przestrzenny Santany.

Wiatr wpada przez szeroko otwarte okno w salonie.

Ed ma panikę w oczach, gdy mówi chaotycznie:

– Nie wiedziałem, co zrobić. To straszne. Nie wiedziałem, co zrobić.

Kay wygląda przez okno. Patrzy w dół, ale w ciemności widzi tylko gęste krzewy, chodnik i ulicę. Odsuwa się i omiata wzrokiem przepyszenie urządzony apartament pełen marmurów, ozdobnych gzymsów, włoskich

mebli ze skórzanym obiciem i śmiałej sztuki. Półki są pełne pięknie oprawionych starych książek, które jakiś dekorator wewnątrz kupił pewnie na metry. Jedną ścianę zajmuje zestaw kina domowego, zbyt rozbudowany jak na tak małą przestrzeń.

– Co się stało? – pyta Eda.

– Dostałem telefon może dwadzieścia minut temu – mówi portier podnieconym głosem. – „Cześć, Ed, zapuścisz mój wóz?” – zapytał. „Jasne, czemu nie?” – odparłem, ale byłem cały w nerwach.

Scarpetta zauważa pół tuzina rakiet tenisowych w futerałach opartych o ścianę za kanapą, stos butów tenisowych w pudełkach. Na szklanym stoliku z włoskiego szkła leży stos magazynów tenisowych. Na okładce górnego widnieje zdjęcie Drew Martin, zamierzającej się do lobu.

– Dlaczego byłeś zdenerwowany?

– Ta młoda pani, Lucy, zapuściła jego wóz, bo chciała coś sprawdzić. Bałem się, że mógł to jakoś odkryć. Ale nie odkrył, nie sądzę, bo potem powiedział: „Zawsze się nim dobrze zajmowałaś, więc go sobie weź”. Spytałem: „Co? O czym pan mówi, panie Lupano? Nie wezmę pańskiego wozu. Dlaczego chce mi pan dać taki piękny wóz?”. A wtedy powiedział: „Ed, napiszę to na papierze, żeby ludzie wiedzieli, że ci go dałem”. Przybiegłem tu więc jak najszybciej. Drzwi nie były zamknięte na klucz, jakby chciał, żeby każdy mógł tu łatwo wejść. A potem zobaczyłem otwarte okno.

Podchodzi i pokazuje, jakby Scarpetta sama nie mogła zobaczyć.

Kay dzwoni pod dziewięćset jedenaście, gdy biegną korytarzem. Mówi dyspozytorowi, że ktoś mógł wyskoczyć z okna, i podaje adres. W windzie Ed opowiada chaotycznie, że dla pewności przeszukał mieszkanie Lupana i znalazł kartkę, ale zostawił ją tam, gdzie leżała, na łóżku. Nawoływał go i miał wezwać policję, gdy zjawiała się Scarpetta.



W holu starsza kobieta kuśtyka o lasce po marmurowej posadzce. Kay i Ed mijają ją i wybiegają z budynku. Biegną w ciemności wokół narożnika budynku, zatrzymują się wprost pod otwartym oknem Lupana, pełnym światła na szczycie budynku. Scarpetta przedziera się przez wysoki żywopłot, gałęzie smagają i drapią, i znajduje to, czego się obawiała. Ciało pod ceglanym murem jest nagie i powykręcane, kończyny i szyja nienaturalnie wykrzywione, krew połyskuje w ciemności. Kay przyciska dwa palce do arterii szyjnej. Nie czuje tętna. Układa ciało płasko na plecach i przystępuje do reanimacji. Po chwili jednak daje za wygraną. Patrzy na Lupana, wyciera krew z jego twarzy, z ust. Zawodzą syreny, niebieskie i czerwone światła błyskają parę przecznic dalej na East Bay. Wstaje i wraca na chodnik.

– Idź tam – mówi do Eda. – Rzuć okiem i powiedz mi, czy to on.

– Czy on...?

– Tylko spójrz.

Ed przedziera się przez krzaki w tę i z powrotem.

– Boże w niebie – szepcze. – O nie. O Boże.

– To on?

Portier kiwa głową.

W jakimś zakamarku umysłu kołacze jej się myśl, że właśnie zrobiła resuscytację metodą usta-usta bez żadnego zabezpieczenia.

– Gdzie byłeś tuż przed telefonem, gdy ci powiedział o porsche?

– Siedziałem za biurkiem. – Ed jest przerażony, ma rozbiegane spojrzenie. Poci się, oblizuje usta i chrząka.

– Czy ktoś w tym czasie albo trochę wcześniej wszedł do budynku?

Syreny wyją, wozy policyjne i ambulans zatrzymują się na ulicy. Czerwone i niebieskie światła pulsują na twarzy Eda.

– Nie. Z wyjątkiem kilku mieszkańców tego domu nie widziałem nikogo.

Trzask drzwi, głosy z radia, warkot diesli. Policjanci i ratownicy wysiadają z pojazdów. Scarpetta zwraca się do Eda:

– Na biurku leży twój portfel. Może wyjąłeś go, a potem zadzwonił telefon? Mam rację? – Potem do policjanta po cywilnemu: – Tutaj. – Wskazuje żywo płot. – Wypadł stamtąd. – Wskazuje na oświetlone okno na najwyższym piętrze.

– Pani jest tym nowym lekarzem sądowym? – Detektyw patrzy na nią, nie całkiem pewien.

– Tak.

– Stwierdziła pani zgon?

– To robota koronera.

Kay mówi mu, że mężczyzna – Lupano, jak się zdaje – nie żyje. Detektyw rusza w stronę żywo płotu.

– Będzie mi potrzebne pani zeznanie, proszę więc nie odchodzić! – woła do niej. Łamane gałązki krzewów trzaskają i szeleszczą, gdy się przez nie przedziera.

– Nie rozumiem, o co chodzi z tym moim portfelem – mówi Ed.

Scarpetta schodzi z drogi ratownikom z noszami i sprzętem. Zmierzają do rogu budynku, żeby obejść żywo płot zamiast się przedzierać.

– Twój portfel leży na biurku. Przy otwartych drzwiach. Czy taki masz zwyczaj?

– Możemy wejść do środka?

– Złożmy zeznanie detektywowi. Potem wejdziemy do środka.

Spostrzega, że ktoś idzie chodnikiem w ich stronę. Kobieta w podomce. Wygląda znajomo. To Rose. Kay zatrzymuje ją szybko.

– Nie chodź tam.

– Jakbym mogła zobaczyć coś, czego jeszcze nie widziałam. – Rose spogląda na oświetlone otwarte okno. – Tam mieszkał, prawda?

– Kto?

– Czego byś się spodziewała po tym, co się wydarzyło? – Rose kaszle, bierze głęboki oddech. – Co mu pozostało?

– Pytanie, dlaczego teraz.

– Może przez Lydię Webster. Wciąż mówią o niej w wiadomościach. Obie wiemy, że nie żyje.

Scarpetta słucha, zastanawiając się nad intrygującymi faktami. Dlaczego Rose zakłada, że Łupano mógł być wstrząśnięty tym, co spotkało Lydię Webster? I skąd wie, że Łupano nie żyje?

– Sprawiał wrażenie zarozumialca, gdy się z nim widziałam – mówi Rose, patrząc w kierunku ciemnych krzewów pod oknem.

– Nie miałam pojęcia, że się znacie.

– Spotkaliśmy się tylko raz. Nie wiedziałam, że to on, dopóki Ed czegoś nie powiedział. Rozmawiali w portierni i tam go zobaczyłam, dość dawno temu. Wyglądał raczej topornie. Pomyślałam, że jest konserwatorem windy, nie miałam pojęcia, że to trener Drew Martin.

Kay patrzy na ciemny chodnik, gdzie Ed rozmawia z detektywem. Ratownicy ładują nosze do ambulansu, błyskają koguty, gliniarze kręcą się z latarkami.

– Taka Drew Martin pojawia się raz w życiu. Co mu pozostało? – ciągnie Rose. – Pewnie nic. Ludzie umierają, gdy nic im nie zostaje. Wcale się nie dziwię.

– Chodź. Nie powinnaś stać na wilgotnym powietrzu. Pójdę z tobą.

Skręcają za róg budynku, gdy po schodach schodzi Henry Hollings. Nie spogląda w ich stronę, idąc szybkim, zdecydowanym krokiem. Scarpetta

patrzy, jak roztapia się w ciemnościach wzdłuż falochronu, zmierzając ku East Bay Street.

– Zjawił się tutaj przed policją?

– Mieszka pięć minut drogi stąd – wyjaśnia Rose. – Ma niezłe mieszkanie na Bartery.

Scarpetta patrzy za Hollingsem, który już zniknął w oddali. Dwa oświetlone statki na horyzoncie wyglądają jak żółte klocki lego. Pogoda się poprawia, na niebie mruga parę gwiazd. Kay nie mówi Rose, że koroner hrabstwa Charleston właśnie przeszedł obok zwłok i nie zadał sobie trudu, żeby na nie spojrzeć. Nie stwierdził zgonu. Nie zrobił niczego. W budynku, gdy wsiadają do windy, Rose kiepsko się stara, żeby ukryć, że nie pragnie teraz jej towarzystwa.

– Nic mi nie jest – mówi, przytrzymując otwarte drzwi, żeby winda nie ruszyła. – Wracam do łóżka. Jestem pewna, że na dole są ludzie, którzy chcą z tobą porozmawiać.

– To nie moja sprawa.

– Ludzie zawsze chcą z tobą rozmawiać.

– Pójdę, gdy tylko odprowadzę cię do mieszkania.

– Skoro tu jesteś, może przyjął, że ty się tym zajmiesz – mówi Rose, gdy drzwi się zamykają i Scarpetta wciska guzik z numerem jej piętra.

– Masz na myśli koronera. – Dziwne, bo Kay wcale o nim nie mówiła i nie wspomniała, że z niewiadomego powodu odszedł, nie robiąc tego, co do niego należy.

Rose jest zbyt zadyszana, żeby rozmawiać, gdy idą korytarzem do jej mieszkania. Zatrzymuje się przed drzwiami i klepie ją po ramieniu.

– Otwórz drzwi, a pójdę sobie – mówi Kay.

Rose wyjmuje klucz. Wyraźnie nie chce otworzyć drzwi.

– Wchodź – nalega Scarpetta.

Rose nie wchodzi. Im bardziej się ociąga, tym Kay jest bardziej uparta. W końcu zabiera jej klucz i otwiera drzwi.

Dwa fotele stoją przy oknie, które wychodzi na port, a na stoliku pomiędzy nimi są dwa kieliszki do wina i miseczka orzechów.

– Człowiek, z którym się widzisz – mówi Scarpetta, wpraszając się do środka. – Henry Hollings. – Zamyka drzwi i patrzy Rose w oczy. – Dlatego wybiegł w takim pośpiechu. Policja zadzwoniła do niego w sprawie Lupana, on ci o tym powiedział, a potem wyszedł. Wróci, ale nikt nie będzie wiedział, że już tu był.

Podchodzi do okna, jakby mogła zobaczyć go na ulicy. Patrzy w dół. Mieszkanie Rose jest niedaleko od apartamentu Lupana.

– Jest postacią publiczną i musi być ostrożny – wyjaśnia Rose, siadając na kanapie, wyczerpana i blada. – Nie mamy potajemnego romansu. Jego żona nie żyje.

– Dlatego się skrada? – Kay siada obok niej. – Wybacz, to nie ma sensu.

– Aby mnie chronić. – Rose bierze głęboki oddech.

– Przed czym?

– Gdyby wyszło na jaw, że koroner spotyka się z twoją sekretarką, ktoś mógłby to rozdmuchać. Usłyszałabyś o tym w wiadomościach.

– Rozumiem.

– Nie, nie rozumiesz.

– Cokolwiek uszczęśliwia ciebie, uszczęśliwia mnie.

– Dopóki go nie odwiedziłaś, był przekonany, że go nienawidzisz. To nie pomagało.

– W takim razie to moja wina, że nie dałam mu szansy.

– Nie mogłam go zapewnić, że jest inaczej, prawda? Spodziewałaś się po nim najgorszego, podobnie jak on po tobie. – Rose oddycha z trudem,

jest z nią coraz gorzej. Rak wyniszcza ją w błyskawicznym tempie. Dzieje się to niemal na oczach Scarpetty.

– Teraz będzie inaczej.

– Był taki zadowolony, że się u niego zjawiałaś – mówi Rose, sięgając po chusteczkę, kaszląc. – Dlatego przyszedł tu dzisiaj. Żeby mi wszystko opowiedzieć. Nie mówił o niczym innym. Lubi cię. Chce pracować z tobą. Nie przeciwko tobie. – Kaszle, chusteczka jest poplamiona krwią.

– On wie?

– Oczywiście. Od początku. – Rose ma zboląły wyraz twarzy. – W tej małej winiarni na East Bay. Tam się poznaliśmy. Zaczęliśmy rozmawiać o zaletach burgunda i bordeaux. Jakbym się znała na winach. Zmienacka zaproponował, żebyśmy spróbowali. Nie wiedział, gdzie pracuję, nie o to więc chodziło. Dopiero od niedawna wie, że pracuję u ciebie.

– Nieważne, co wiedział. Nie to mnie interesuje.

– On mnie kocha. Mówię mu, nie. On mówi, że gdy się kogoś kocha, to nie ma innego wyjścia. I kto może powiedzieć, jak długo jeszcze tu będziemy? Oto, jak Henry pojmuje życie.

– Jestem więc jego przyjacielem – podsumowuje Scarpetta.

Zostawia Rose i wychodzi z budynku. Hollings rozmawia z detektywem, stoją niedaleko krzewów, gdzie znalazła zwłoki. Ambulans i wóz strażacki odjechały, w pobliżu parkuje tylko nieoznakowane auto i radiowóz.

– Myślałem, że się pani wymknieła – wita ją detektyw, gdy do nich podchodzi.

Kay wyjaśnia Hollingsowi:

– Dopilnowałam, żeby Rose bezpiecznie wróciła do siebie.

– Pozwoli pani, że szybko zorientuję ją w sytuacji – proponuje Hollings.

– Ciało jest w drodze do szpitala uniwersyteckiego i rano zostanie poddane autopsji. Może pani w niej uczestniczyć, jeśli i jak tylko pani sobie życzy.

– Na razie nic nie wskazuje, że to nie było samobójstwo – oznajmia detektyw. – Zastanawia mnie tylko, dlaczego nie miał na sobie ubrania. Jeśli skoczył, dlaczego nago?

– Może toksykologia da panu odpowiedź – mówi Scarpetta. – Portier mówi, że Lupano sprawiał wrażenie odurzonego, gdy zadzwonił do niego niedługo przed śmiercią. Moim zdaniem każde z nas widziało dość, by wiedzieć, że gdy człowiek postanowi popełnić samobójstwo, robi wiele rzeczy, które wydają się nielogiczne, nawet podejrzane. Czy znalazł pan jego ubranie?

– W tej chwili mam tam paru facetów. Ubranie leży na łóżku. Dżinsy, koszula. Nic niezwykłego. Nic nie wskazuje, że nie był sam, gdy wyskoczył przez okno.

– Ed nie wspomniał, że widział nieznanego wchodzącego do budynku? – pyta ją Hollings. – Albo może kogoś, kto wpadł z wizytą do Lupana? A powiem pani, Ed jest prawdziwym pedantem, gdy chodzi o wpuszczanie ludzi.

– Nie pytałam go o to – odpowiada Scarpetta. – Zapytałam go, dlaczego zostawił portfel na widoku na biurku. Odparł, że tam leżał, gdy dostał telefon od Lupana, a potem popędził na górę.

– Zamówił pizzę – wyjaśnia detektyw. – Powiedział, że akurat wyjął studolarowy banknot z portfela, gdy zadzwonił Lupano. Ed zamówił pizzę. Z Mama Mia's. Nie miał kto odebrać i dostawca odjechał. Mam kłopot z tą setką. Czyżby Ed myślał, że dostawca pizzy będzie miał wydać resztę ze stu dolarów?

– Może powinien pan go zapytać, kto zadzwonił pierwszy.

– Dobry pomysł – zgadza się Hollings. – Lupano znany był z rozrzutnego stylu życia, ze swoich drogich upodobań i noszenia mnóstwa gotówki. Jeśli wrócił do budynku podczas dyżuru Eda, ten wiedziałby, że

jest w domu. Złożył zamówienie na pizzę, potem uświadomił sobie, że ma tylko trzy dolary i banknot studolarowy.

Kay nie zamierza ich uświadamiać, że wczoraj Lucy siedziała w samochodzie Lupana i sprawdziła jego GPS.

– Tak mogło być, Ed zadzwonił do Lupana, żeby rozmienić setkę – mówi. – W tym czasie Lupano był pijany, może naćpany, zachowywał się irracjonalnie. Ed, zaniepokojony, pospieszył na górę.

– A może poszedł tam, żeby rozmienić banknot – sugeruje Hollings.

– To wciąż sugeruje, że Ed zadzwonił pierwszy.

– Zapytam go – oświadcza detektyw i odchodzi.

– Mam wrażenie, że powinniśmy wyjaśnić parę spraw – mówi Hollings. Scarpetta patrzy w niebo i myśli o lataniu.

– Może znajdziemy jakieś spokojne miejsce i porozmawiamy – proponuje koroner.

Po drugiej stronie ulicy są ogrody White Point: kilka akrów pomników upamiętniających wojnę secesyjną, dęby i zagwożdżona armata wycelowana w Fort Sumter. Siadają na ławce.

– Wiem o Rose – oznajmia Kay.

– Domyśliłem się.

– Pod warunkiem że będzie się pan o nią troszczyć.

– Zdaje się, że pani wykonuje świetną robotę, jeśli o to chodzi. Jadłem dziś pani potrawkę.

– Zanim pan wyszedł i wrócił. Żeby nikt nie wiedział, że był pan w budynku.

– Więc nie ma pani nic przeciwko – mówi, jakby potrzebował jej aprobaty.

– Dopóki będzie pan dla niej dobry. Bo jak nie, coś z tym zrobię.

– Wierzę.



– Muszę pana spytać o Gianniego Lupana. Zastanawiam się, czy może skontaktował się pan z nim po mojej dzisiejszej wizycie w pańskim zakładzie pogrzebowym.

– Mogę spytać, dlaczego się pani nad tym zastanawia?

– Ponieważ o nim rozmawialiśmy. Zapytałam, dlaczego brał udział w pogrzebie Holly Webster. Chyba pan wie, co przyszło mi na myśl.

– Że zapytam go o to.

– Zapytał pan?

– Tak.

– W wiadomościach podają, że Lydia Webster zaginęła i przypuszczalnie nie żyje.

– Znał ją. Bardzo dobrze. Rozmawialiśmy długi czas. Był bardzo zdenerwowany.

– Czy z jej powodu miał tutaj mieszkanie?

– Kay... Mam nadzieję, że nie masz nic przeciwko, że tak się do ciebie zwracam... dobrze wiedziałem, że Gianni był na pogrzebie Holly zeszłego lata. Nie mogłem zdradzić, że wiem. Zawiódłbym jego zaufanie.

– Jestem coraz bardziej zmęczona ludźmi i ich zaufaniem.

– Nie próbowałem ci utrudniać. Gdybyś dowiedziała się na własną...

– Tym też jestem zmęczona. Dowiadywaniem się na własną rękę.

– Gdybyś dowiedziała się na własną rękę, że był na pogrzebie Holly, to byłoby dość uczciwe. Dlatego udostępniłem ci księgi pamiątkowe. Rozumiem twoją frustrację. Ale ty postępujesz podobnie. Nie chciałabyś zawieść czyjegoś zaufania, prawda?

– Zależy. Mam zamiar.

Hollings patrzy na oświetlone okna apartamentowca.

– Teraz się martwię, że w jakiś sposób ja jestem odpowiedzialny za jego śmierć.

– Czyjego zaufania nie chciałbyś zawieść? Rozmawiamy o nich. Zdaje się, że znasz jakieś sekrety.

– Poznał Lydię kilka lat temu, gdy na Hilton Head rozgrywano turniej Family Circle Cup. Mieli romans, długotrwały, dlatego miał tu mieszkanie. Potem tego dnia w czerwcu spotkała ich kara. Był z Lydią w sypialni, resztę możesz sobie dopowiedzieć. Nikt nie pilnował Holly i mała utonęła. Zerwali ze sobą. Mąż ją zostawił. Rozsypała się kompletnie.

– A on zaczął sypiać z Drew?

– Bóg wie, z iloma kobietami sypiał, Kay.

– Dlaczego zatrzymał mieszkanie? Przecież romans z Lydią się skończył.

– Może chciał mieć sekretne miejsce na spotkania z Drew. Pod przykrywką trenowania. A może, jak mówił, świeże liście, pogoda, kute żelazo i stare domy przypominały mu Włochy. Twierdził, że przyjaźnił się z Lydią. Widywał ją od czasu do czasu.

– Kiedy ostatni raz? Powiedział?

– Kilka tygodni temu. Wyjechał z Charlestonu, gdy Drew wygrała turniej, potem wrócił.

– Może po prostu nie umiem właściwie poskładać tych elementów. – Dzwoni komórka Scarpetty. – Dlaczego wrócił? Dlaczego nie pojechał z Drew do Rzymu? A może pojechał? Zbliżał się Italian Open i Wimbledon. Nie mogę zrozumieć, dlaczego nagle postanowiła wyjechać z koleżankami zamiast trenować, żeby odnieść być może największe zwycięstwa w swojej karierze. Jedzie do Rzymu? Nie po to, żeby trenować przed Italian Open, ale żeby się zabawić? Nie rozumiem.

Kay nie odbiera telefonu. Nawet nie sprawdza, kto dzwoni.

– Powiedział mi, że pojechał do Nowego Jorku zaraz po tym, jak Drew wygrała tutaj turniej – dodaje Hollings. – Niespełna miesiąc temu. Wprost

trudno uwierzyć.

Komórka cichnie.

– Gianni nie pojechał z Drew, bo go zwolniła.

– Zwolniła go? Czy to pewna wiadomość?

– Nie.

– Dlaczego go zwolniła?

Komórka znów dzwoni.

– Bo doktor Self jej kazała. Dlatego pojechał do Nowego Jorku. Chciał z nią porozmawiać. Próbował ją namówić, żeby nakłoniła Drew do zmiany zdania.

– Lepiej sprawdzę kto to. – Scarpetta odbiera telefon.

– Musisz wstąpić do mnie w drodze na lotnisko – mówi Lucy.

– Niezupełnie mi po drodze.

– Jeszcze godzina, półtorej, a chyba będziemy mogły wystartować. Pogoda powinna się już poprawić. Musisz wstąpić do laboratorium. – Lucy mówi, gdzie się spotkają, i dodaje: – Nie chcę rozmawiać o tym przez telefon.

Kay obiecuje, że przyjedzie. Do Henry'ego Hollingsa mówi:

– Zakładam, że Drew nie zmieniła zdania.

– Nie chciała z nim rozmawiać.

– A doktor Self?

– Rozmawiał z nią. W jej mieszkaniu. Zaznaczam, to jego słowa. Powiedziała mu, że jest niedobry dla Drew, że wywiera na nią niezdrowy wpływ, że doradzi jej, aby trzymała się od niego z daleka. Wpadał w coraz większą rozpacz i złość, gdy mi o tym opowiadał, i teraz rozumiem, że powinienem przewidzieć, co może się stać. Powinienem natychmiast tu przyjechać, posiedzieć z nim. Coś zrobić.

– Co jeszcze zaszło u doktor Self? – pyta Scarpetta. – Drew poleciała do Nowego Jorku, a następnego dnia do Rzymu. Niespełna dwadzieścia cztery godziny później zniknęła i została zamordowana, całkiem możliwe, że przez tę samą osobę, która zabiła Lydię. Muszę jechać na lotnisko. Zapraszam. Jeśli dopisze nam szczęście, i tak będziesz potrzebny.

– Na lotnisko? – Hollings podnosi się z ławki. – Teraz?

– Nie chcę dłużej czekać, mija kolejny dzień. Ciało z godziny na godzinę jest w coraz gorszym stanie.

Ruszają.

– Teraz? Mam z tobą lecieć w środku nocy, choć nie mam pojęcia, o czym mówisz? – Hollings nie kryje zdumienia.

– Ślady ciepłe. Podczerwień. Różnice ciepła lepiej widać w ciemności, a larwy mogą podnieść temperaturę rozkładających się zwłok nawet o dwadzieścia stopni. Minęły ponad dwa dni, bo jestem pewna, że gdy zabójca wyszedł z jej domu, ona już nie żyła. Oczywiście, na razie nie mamy na to żadnych dowodów. Co jeszcze się stało u doktor Self? Czy Lupano powiedział ci coś więcej? Są prawie przy jej wozie.

– Powiedział, że czuł się niesłychanie obrażony – mówi Hollings. – Usłyszał od niej wiele upokarzających słów i nie chciała mu powiedzieć, jak znaleźć Drew. Po wyjściu znów do niej zadzwonił. To miała być najwspanialsza chwila w jego karierze, a ona ją zniszczyła. Potem padł ostateczny cios. Powiedziała mu, że Drew zatrzymała się u niej, że była w mieszkaniu przez cały czas, gdy ją błagał, aby naprawiła to, co zepsuła. Nie polecę z tobą. Nie potrzebujesz mnie, a poza tym, cóż, chcę zajrzeć do Rose.

Scarpetta otwiera drzwi samochodu i myśli o czasie. Drew spędziła noc w penthousie doktor Self, a nazajutrz poleciała do Rzymu. Dzień później, siedemnastego, zniknęła. Osiemnastego znaleziono jej zwłoki.

Dwudziestego siódmego ona była z Bentonem w Rzymie, biorąc udział w dochodzeniu w sprawie śmierci Drew. Tego samego dnia doktor Self została przyjęta do Szpitala MacLeana, a doktor Maroni sfabrykował plik, który miał uchodzić za notatki sporządzone wtedy, gdy spotykał się z Piaskunem jako pacjentem, co według Bentona jest kłamstwem.

Kay wsuwa się za kierownicę. Hollings jest dżentelmenem i nie odejdzie, dopóki nie zapuści silnika i nie zamknie drzwi.

– Gdy Lupano złożył wizytę doktor Self, czy był tam ktoś jeszcze? – pyta go.

– Drew.

– Chodzi mi o kogoś innego, o kim Lupano mógł wiedzieć. Po chwili namysłu jej rozmówca odpowiada:

– Możliwe. – Waha się. – Powiedział, że jadł coś u niej. Chyba lunch. Zdaje się, że wspomniał o kucharzu doktor Self.

# ROZDZIAŁ 21

## *Laboratoria Kryminalistyczne.*

Główny budynek z czerwonej cegły i betonu ma drogie okna z lustrzanymi szybami, które nie przepuszczają promieniowania ultrafioletowego. Dzięki nim świat widzi swoje odbicie, a wewnątrz jest chronione przed ciekawskimi oczami i szkodliwymi promieniami słońca. Mniejszy budynek nie jest ukończony i otacza go błoto. Scarpetta siedzi w samochodzie i patrzy, jak podnoszą się wielkie drzwi strefy ładunkowej. Wolałaby, żeby te u niej były mniej hałaśliwe. Drzwi, skrzypiące i zgrzytające jak most zwodzony, pogarszają i tak smutny nastrój kostnicy.

Wewnątrz wszystko jest nowe i nieskazitelnie czyste, jasno oświetlone, białe i w odcieniach szarości. Mija kolejne pokoje, niektóre puste, inne w pełni wyposażone. Stoły są niezagracone, stanowiska pracy uprzątnięte. Nie może się doczekać dnia, kiedy laboratoria zaczną wyglądać na używane. Oczywiście, jest po godzinach, ale nawet w czasie pracy przebywa tutaj co najwyżej dwadzieścia osób; połowa z nich przysłała za Lucy z jej dawnych laboratoriów na Florydzie. W końcu siostrzenica będzie miała najlepszy prywatny zakład kryminalistyczny w kraju. Scarpetta uświadamia sobie, dlaczego to bardziej ją niepokoi, niż cieszy. Pod względem zawodowym Lucy odnosi wielkie sukcesy, ale ma smutne życie, podobnie zresztą jak ona. Obie mają kłopoty z nawiązaniem czy utrzymaniem związków osobistych i do tej chwili Kay nie chciała dopuścić do siebie myśli, że to je łączy.

Pomimo życzliwości Bentona cała rozmowa z nim sprowadzała się do przypomnienia, dlaczego jej potrzebowała. To, co powiedział Benton, jest

przygnębiająco prawdziwe. Uciekała tak szybko przez pięćdziesiąt lat, że nie ma się czym pochwalić poza niezwykłą zdolnością do radzenia sobie z bólem i stresem, które są skutkami wszystkich problemów, z jakimi się mierzy. Znacznie łatwiej robić swoje i przeżywać kolejne dni wypełnione długimi godzinami pracy i długimi godzinami pustki. W rzeczywistości, jeśli ma być uczciwa w ocenie siebie, nie poczuła się szczęśliwa ani bezpieczna, gdy Benton dał jej pierścionek. Pierścionek symbolizuje to, czego potwornie się boi. Dał go jej, ale równie łatwo może go odebrać albo uświadomić sobie, że nie chciał jej go dawać.

Nic dziwnego, że Marino w końcu pękł. Tak, pił i pobudzał się hormonami, prawdopodobnie Shandy i doktor Self pomogły mu doprowadzić się do takiego stanu. Ale Kay dochodzi do wniosku, że gdyby dobrze mu się przyglądała przez wszystkie te lata, zapewne mogłaby ochronić go przed nim samym i zapobiec przemocy, której się dopuścił, chociaż sama nie była bez winy. Zrobiła mu krzywdę, bo nie była wiernym ani godnym zaufania przyjacielem. Nie powiedziała mu „nie”, dopóki w końcu nie posunął się za daleko, a powinna to zrobić ze dwadzieścia lat temu.

Nie kocham cię, Marino, i nigdy nie pokocham. Nie jesteś w moim typie, Marino. Co nie znaczy, że uważam się za lepszą od ciebie, Marino. To po prostu znaczy, że nie mogę.

Myśli o tym, co powinna powiedzieć, i zastanawia się, dlaczego tego nie zrobiła. Bała się, że ją zostawi. Że go straci, choć jego obecność czasami była irytująca. Że narazi go dokładnie na to, czego sama tak zrećcznie unikała: odrzucenie i stratę. Teraz ma jedno i drugie, podobnie jak on.

Drzwi windy otwierają się na piętrze. Scarpetta idzie pustym korytarzem do szeregu laboratoriów, wyposażonych w metalowe drzwi i śluzy. W zewnętrznym pomieszczeniu wkłada jednorazowy fartuch, siatkę na włosy i

czepek, ochraniacze na buty i osłonę twarzy. Przechodzi przez śluzę, gdzie następuje dekontaminacja światłem ultrafioletowym, i stamtąd wchodzi do w pełni zautomatyzowanego laboratorium, gdzie odbywa się wyodrębnianie i replikowanie DNA. Lucy kazała jej tu przyjść z niewiadomego powodu. Siedzi w pobliżu wyciągu, rozmawiając z jakimś naukowcem. Oboje są od stóp do głów ubrani w białe piankowe kombinezony, więc na pierwszy rzut oka trudno go rozpoznać.

– Ciociu Kay? – odzywa się Lucy. – Na pewno pamiętasz Aarona. Nasz tymczasowy dyrektor.

Twarz za plastikową osłoną uśmiecha się i nagle staje się znajoma. Siadają we trójkę.

– Wiem, że jest pan lekarzem sądowym – mówi Scarpetta. – Ale nie wiedziałam, że ma pan nowe stanowisko. – Pyta, co się stało z poprzednim dyrektorem laboratorium.

– Odszedł. Z powodu tego, co doktor Self zamieściła w Internecie – wyjaśnia Lucy z gniewem w oczach.

– Odszedł? – Kay nie kryje zaskoczenia. – Tak po prostu?

– Uznał, że niedługo umrę, i zwał do innej roboty. Tak czy siak, był kutasem i czekałam na okazję, żeby się go pozbyć. Co za ironia. Ta suka wyświadczyła mi przysługę. Ale nie o tym mamy mówić. Mamy wyniki badań laboratoryjnych.

– Krew, ślina, komórki nabłonka – mówi Aaron. – Zaczęliśmy od szczoteczki do zębów Lydii Webster i krwi na podłodze łazienki. Mamy dobre pojęcie o jej DNA, co jest ważne głównie dlatego, że dzięki temu możemy eliminować jej ślady. Albo w końcu zidentyfikować. – Jakby nie było wątpliwości, że Lydia Webster nie żyje. – Następnie drugi profil z komórek skóry, piasku i kleju ze zbitej szyby w pralni. Z klawiatury alarmu



antywłamaniowego. Z brudnej koszulki z kosza. Wszędzie jest jej DNA, jak można się było spodziewać. Ale też profil kogoś innego.

– A co z krwią na spodenkach Madelisy Dooley? – pyta Scarpetta.

– Ten sam dawca, co w trzech wymienionych miejscach.

– Zabójca, jak myślimy – mówi Lucy. – Albo człowiek, który włamał się do jej domu.

– Chyba powinniśmy być ostrożni z wygłaszaniem takich sądów – zaznacza Kay. – W domu były inne osoby, łącznie z jej mężem.

– To nie jego DNA i za chwilę wyjaśnimy, dlaczego tak uważamy.

– Zrobiliśmy to, co było pani pomysłem – zaczyna Aaron. – Wyszliśmy poza zwykłe dopasowywanie profili w CODIS i rozszerzyliśmy poszukiwania przez użycie technologii DNAPrint, o której rozmawiała pani z Lucy. Analiza wykorzystująca wskaźniki ojcostwa i rodzeństwa, żeby ustalić prawdopodobieństwo pokrewieństwa.

– Pierwsze pytanie – mówi Lucy. – Dlaczego jej były mąż miałby zostawić krew na spodenkach Madelisy Dooley?

– W porządku – zgadza się Scarpetta. – Trafna uwaga. A jeśli to krew Piaskuna, dla jasności tak będę go nazywać, w takim razie jakoś musiał się zranić.

– Być może wiemy jak. I zaczynamy się domyślać, kim jest. Aaron podnosi teczkę. Wyjmuje raport i podaje Kay.

– Niezidentyfikowany chłopiec i Piaskun – mówi. – Wiedząc, że ojciec i matka przekazują dziecku w przybliżeniu po połowie swojego materiału genetycznego, możemy się spodziewać, że próbki DNA rodzica i dziecka wykażą pokrewieństwo. W przypadku Piaskuna i niezidentyfikowanego chłopca było ono bardzo bliskie.

Scarpetta patrzy na wyniki testów.

– Powiedziałaś to samo, gdy dopasowaliśmy odcisk palca. Czy to na pewno nie błąd? Spowodowany na przykład przez zanieczyszczenie próbki?

– Nie popełniamy błędów. Nie tego rodzaju – mówi Lucy. – Zrobisz choć jeden i po tobie.

– Chłopiec był synem Piaskuna? – Kay chce się upewnić.

– Wolałbym punkty odniesienia i śledztwo, ale takie są moje podejrzenia – odpowiada Aaron. – Jak powiedziałem, byli blisko spokrewnieni.

– Wspomniałaś, że się zranił – przypomina Lucy. – Krew Piaskuna na spodenkach? Jest również na pękniętej koronie, którą znalazłaś w wannie Lydii Webster.

– Może go ugryzła – podsuwa Scarpetta.

– Całkiem możliwe.

– Wróćmy do chłopca. Jeśli sugerujemy, że Piaskun zabił własnego syna, nie jestem pewna, co myśleć. Dziecko było maltretowane przez długi czas. Ktoś musiał się nim zajmować, gdy Piaskun był w Iraku, we Włoszech, jeśli nasze informacje są prawdziwe.

– Mogę ci opowiedzieć o matce tego chłopca – oznajmia Lucy. – Mamy punkty odniesienia, chyba że DNA na bieliźnie Shandy Snook pochodzi od kogoś innego. To by wyjaśniało, dlaczego tak jej zależało na wycieczce po kostnicy, na obejrzeniu zwłok i sprawdzeniu, co możesz wiedzieć o sprawie. Co może wiedzieć Marino.

– Powiadomiłaś policję? I czy powinnam spytać, skąd masz jej bieliznę?

Aaron się uśmiecha. Kay uświadamia sobie, że jej pytanie mogło zabrzmieć zabawnie.

– Od Marina – mówi Lucy. – I jasne jak słońce, że to nie jego DNA. Mamy jego profil dla celów wykluczania, podobnie jak twój i mój. Policja będzie potrzebowała czegoś więcej niż bielizna znaleziona na podłodze u

Marina, ale jeśli nawet Shandy nie zakatowała syna, to musi wiedzieć, kto to zrobił.

– Zastanawiam się, czy Marino wiedział.

– Widziałaś nagranie, gdy był z nią w kostnicy. Moim zdaniem nie miał pojęcia. Poza tym wiele można mu zarzucić, ale nigdy nie chroniłby kogoś, kto zrobił coś takiego dziecku.

Są inne zbieżności. Wszystkie wskazują na Piaskuna i ujawniają kolejny zdumiewający fakt. DNA pozyskane spod paznokci Drew pochodzi z dwóch źródeł: jednym jest Piaskun, a drugim ktoś blisko z nim spokrewniony.

– Mężczyzna – wyjaśnia Aaron. – Według analiz zrobionych we Włoszech na dziewięćdziesiąt dziewięć procent Europejczyk. Może drugi syn? Może brat Piaskuna? Może jego ojciec?

– Trzy źródła DNA pochodzące z jednej rodziny? – zdumiewa się Scarpetta.

– I kolejne przestępstwo – dodaje Lucy.

Aaron podaje Kay drugi raport.

– Odpowiada próbce biologicznej zachowanej z niewyjaśnionej sprawy, której nikt nie wiązał z Drew czy Lydią ani z żadną inną sprawą.

– Z gwałtu w dwa tysiące czwartym – precyzuje Lucy. – Wszystko wskazuje na to, że facet, który włamał się do domu Lydii Webster i prawdopodobnie również zamordował Drew Martin, trzy lata temu zgwałcił turystkę w Wenecji. Profil DNA z tamtej próbki jest we włoskiej bazie danych, którą postanowiliśmy przeszukać. Oczywiście, nie ma podejrzanego, ponieważ do chwili obecnej nie wprowadzili profili wszystkich znanych przestępców. Innymi słowy, nie mamy nazwiska. Tylko nasienie.

– Ochrona prywatności gwałcicieli i morderców za wszelką cenę – komentuje Aaron.

– Informacje w prasie są szkicowe – kontynuuje Lucy. – Dwudziestoletnia studentka w Wenecji, letni kurs historii sztuki. Wyszła z baru późno w nocy i szła do hotelu w pobliżu Mostu Westchnień, gdy została zaatakowana. Na razie to wszystko, co wiemy o tej sprawie. Ale ponieważ zajmowali się nią karabinierzy, twój przyjaciel kapitan powinien mieć dostęp do informacji.

– Prawdopodobnie to pierwsze brutalne przestępstwo Piaskuna – mówi Scarpetta. – Przynajmniej w cywilu. Zakładając, że facet rzeczywiście służył w Iraku. Często początkujący przestępca zostawia dowody, a potem robi się sprytny. Ten facet jest sprytny, a jego *modus operandi* znacznie się zmienił. Uważa, żeby nie zostawić dowodów, ma swoje rytuały i stał się znacznie bardziej brutalny, a gdy kończy, jego ofiary nie mogą nic powiedzieć. Nie żyją. Na szczęście nie przyszło mu na myśl, że może zostawić DNA w kleju chirurgicznym. Czy Benton wie o tym?

– Tak. Jest też świadom, że mamy problem z twoją złotą monetą. – Lucy rozwija temat: – DNA z monety i łańcuszka również należy do Piaskuna, co wskazuje, że był za twoim domem tej nocy, gdy razem z Bykiem znaleźliście rewolwer w uliczce. Muszę spytać, co to mówi o Byku. Naszyjnik mógł należeć do niego. Zadałam to pytanie wcześniej. Nie mamy jego DNA, żeby to potwierdzić lub temu zaprzeczyć.

– Że on jest Piaskunem? – Scarpetta nie wierzy w to ani przez chwilę.

– Mówię tylko, że nie mamy jego DNA.

– A rewolwer? Naboje?

– Nie ma na nich DNA Piaskuna – oznajmia Lucy. – Ale to niekoniecznie musi coś oznaczać. Jego DNA na naszyjniku to jedna sprawa. Zostawienie go na rewolwerze to druga, ponieważ Byk mógł dostać

broń od kogoś innego. Mógł uważać, żeby nie zostawić śladów DNA czy odcisków palców z powodu historyjki, którą podał: że zgubił go dupek, który ci groził, podczas gdy nie mamy pewności, czy facet kiedykolwiek zbliżył się do twojego domu. To słowo Byka, bo nikt inny go nie widział.

– Sugerujesz, że Byk, zakładając, że jest Piaskunem, w co nie wierzę, mógł rozmyślnie, cytuję: „zgubić rewolwer”. Ale to nie znaczy, że zgubił naszyjnik – zaznacza Kay. – To nie ma sensu z dwóch powodów. Dlaczego naszyjnik pękł? I po drugie, jeśli nie wiedział, że pękł i spadł na ziemię, dopóki go nie znalazł, dlaczego mi go pokazał? Dlaczego po prostu nie schował do kieszeni? Mogę dodać trzeci powód. Pomysł, że w ogóle miał naszyjnik ze złotą monetą, przypominający naszyjnik ze srebrnym dolarem, który Shandy dała Marinowi, uważam za dość dziwny.

– Z pewnością byłoby dobrze mieć odciski Byka – wtrąca Aaron. – Z pewnością byłoby dobrze mieć jego DNA. Z pewnością niepokoi mnie, że zniknął.

– Nic straconego. Pracujemy nad sklonowaniem go. Stworzymy kopię w szalce Petriego, żebyśmy wiedzieli, kto to jest – żartuje Lucy.

– Pamiętam, jak nie tak dawno temu czekało się tygodnie, miesiące na badanie DNA. – Scarpetta przeklina tamte czasy, boleśnie świadoma, jak wielu ludzi zostało z maltretowanych i zamordowanych, ponieważ nie można było szybko zidentyfikować brutalnego napastnika.

– Pułap na stu metrach, widoczność pięć kilometrów – informuje ją Lucy. – Lot z widocznością ziemi. Spotkamy się na lotnisku.



W biurze Marina trofea z gry w kręgle rysują się na tle starej tynkowanej ściany i pustka wisi w powietrzu.

Benton zamyka drzwi i nie zapala światła. Siada po ciemku za biurkiem i po raz pierwszy uświadamia sobie, że bez względu na to, co mówił, nigdy nie traktował Marina poważnie ani nie był dla niego szczególnie uprzejmy. Jeśli ma być szczerzy, zawsze uważał go tylko za pomocnika Kay – ciemnego, prostackiego gliniarza, który nie pasuje do nowoczesnego świata, a wskutek tego oraz wielu innych czynników jest gburowaty i niezupełnie przydatny. Benton musiał go znosić. Nie doceniał go pod pewnymi względami i rozumiał doskonale pod innymi, ale nie udało mu się dostrzec tego co oczywiste. Gdy siedzi przy nieczęsto używanym biurku i patrzy przez okno na światła Charlestonu, żałuje, że nie zwracał większej uwagi na niego, na wszystko inne. To, co Benton powinien wiedzieć, jest i zawsze było tuż przed jego nosem.

W Wenecji jest prawie czwarta rano. Nic dziwnego, że Paulo Maroni wyjechał ze Szpitala MacLeana, a potem z Rzymu.

– *Pronto* – mówi do telefonu.

– Spałeś? – pyta Benton.

– Gdybyś się tym przejmował, nie dzwoniłbyś. Co takiego się stało, że dzwonicz o tej nieprzyzwoitej porze? Jakież postępy w sprawie, mam nadzieję?

– Niekoniecznie dobre.

– Zatem co? – W głosie doktora Maroniego pobrzmiewa nutka niechęci, a może rezygnacja.

– Pacjent, którym się zajmowałeś.

– Mówiłem ci o nim.

– Powiedziałeś mi, Paulo, co chciałeś powiedzieć.

– Jak jeszcze mógłbym ci pomóc? Poza tym, co usłyszałeś ode mnie, czytałeś moje notatki. Zachowałem się po przyjacielsku i nie dociekałem, w jaki sposób wpadły ci w ręce. Nie obwiniłem Lucy, na przykład.

– Może obwinisz siebie? Myślisz, że się nie domyśliłem, że chciałeś, abyśmy zdobyli plik twojego pacjenta? Zostawiłeś go w sieci komputerowej szpitala. Nie wyłączyłeś opcji udostępniania pliku, co znaczyło, że każdy, kto go znajdzie, z łatwością go odczyta. Tak, dla Lucy to nie był problem. A ty nie popełniłeś błędu. Jesteś na to za mądry.

– A więc przyznajesz, że Lucy włamała się do moich poufnych plików elektronicznych.

– Wiedziałeś, że będziemy chcieli przejrzeć twoje notatki o pacjencie. Dlatego załatwiłeś to przed wyjazdem do Rzymu. Wcześniej, niż planowałeś, nawiasem mówiąc. Przypadkiem zaraz po tym, jak się dowiedziałeś, że doktor Self ma zamiar zostać pacjentką w MacLeanie. Wyraziłeś zgodę. Bez tego nie zostałyby przyjęta do Pawilonu.

– Była w fazie maniakalnej.

– Była wyrachowana. Wie?

– Co wie?

– Nie próbuj mnie okłamywać.

– Ciekawe, w związku z czym według ciebie miałbym kłamać – mówi doktor Maroni.

– Rozmawiałem z matką doktor Self.

– Wciąż jest taką nieprzyjemną kobietą?

– Przypuszczam, że się nie zmieniła.

– Osoby takie jak ona rzadko się zmieniają. Czasami wypalają się z wiekiem. W jej przypadku pewnie się pogorszyło. Marilyn też taka będzie. Już jest.

– Wyobrażam sobie, że też niewiele się zmieniła. Chociaż matka wini ciebie za zaburzenie osobowości córki – mówi Benton.

– A my wiemy, że to nieprawda. Nie ma wywołanego przez Paula zaburzenia osobowości. Uczciwie na nie sama zapracowała.

- To nie jest zabawne.
- Zdecydowanie nie.
- Gdzie on jest? – pyta Benton. – Doskonale wiesz, kogo mam na myśli.
- W tamtych zamierzchłych czasach osoba w wieku szesnastu lat wciąż była nieletnia. Rozumiesz?
- A ty miałeś dwadzieścia dziewięć.
- Dwadzieścia dwa. Gladys celowo przydała mi lat, chcąc mnie obrazić. Jestem pewien, że rozumiesz, dlaczego musiałem odejść.
- Odejść czy uciec? Jeśli spytasz doktor Self, wyjdzie na to drugie, gdy opisze, w jakim pośpiechu wyjechałeś parę tygodni temu. Zachowałeś się wobec niej niestosownie i uciekłeś do Włoch. Gdzie on jest, Paulo? Nie rób tego sobie, nie rób nikomu innemu.
- Uwierzysz, gdy ci powiem, że to ona zachowała się niestosownie?
- To nie ma znaczenia. Nic mnie to nie obchodzi. Gdzie on jest? – powtarza Benton.
- Nazwaliby to uwiedzeniem nieletniej, wiesz. Jej matka groziła mi i faktycznie chciała wierzyć, że Marilyn nie uprawiała seksu z mężczyzną, którego poznała w czasie ferii wiosennych. Była taka piękna i ekscytująca, zaoferowała mi swoje dziewictwo, a ja je wziąłem. Kochałem ją. Uciekłem od niej, to prawda. Już wtedy rozpoznałem, że jest toksyczna. Ale nie wróciłem do Włoch, jak kazałem jej wierzyć. Wróciłem na Harvard, żeby skończyć studia medyczne. Nie dowiedziała się, że nie wyjechałem z Ameryki.
- Zrobiliśmy badania DNA, Paulo.
- Po urodzeniu dziecka nadal nie wiedziała. Pisałem do niej listy, rozumiesz. A potem e-maile z Rzymu.
- Gdzie on jest, Paulo? Gdzie jest twój syn?



– Błagałem, żeby nie przerywała ciąży, ponieważ to wbrew moim przekonaniom religijnym. Powiedziała, że jak będzie miała dziecko, to ja będę musiał je wychować. Robiłem, co mogłem, z tym, co wyrosło na szubrawca, diabła z wysokim IQ. Większą część życia spędził we Włoszech, trochę mieszkał u niej, dopóki nie skończył osiemnastu lat. On ma dwadzieścia dziewięć. Może to zwykłe gierki Gladys... Cóż. Pod wieloma względami on nie należy do nikogo z nas i nienawidzi nas oboje. Marilyn bardziej niż mnie, choć gdy widziałem go ostatnio, bałem się o swoje bezpieczeństwo. Może o życie. Myślałem, że zaatakuje mnie kawałkiem starożytniej rzeźby, ale zdołałem go uspokoić.

– Kiedy to było?

– Zaraz po moim przyjeździe tutaj. Był w Rzymie.

– I był w Rzymie, gdy została zamordowana Drew Martin. W pewnym momencie wrócił do Charlestonu. Wiemy, że był na Hilton Head.

– Co mam powiedzieć, Bentonie? Znasz odpowiedź. Wanna na zdjęciu jest wanną z mojego mieszkania na Piazza Navona, ale wtedy nie wiedziałeś, że tam mieszkam. Gdybyś wiedział, mógłbyś mnie wypytywać, bo mieszkam blisko budowy, gdzie znaleziono zwłoki Drew. Mogłaby cię zaintrygować moja lancia, czarna, tak się składa. Prawdopodobnie zabił ją w moim mieszkaniu i przewiózł w moim samochodzie, niezbyt daleko. Może jedną przecnicę. W gruncie rzeczy jestem pewien, że tak postąpił. Może więc byłoby dla mnie lepiej, gdyby walnął mnie w głowę tą antyczną marmurową stopą. To, co zrobił, jest niewyobrażalne, karygodne. Ale przecież jest synem Marilyn.

– Jest twoim synem.

– Jest obywatelem amerykańskim, który nie chciał studiować i jeszcze dobitniej dowiódł swojej głupoty, wstępując do Sił Powietrznych USA, żeby być fotografem na waszej faszystowskiej wojnie, gdzie został ranny.

W stopę. Sądzę, że sam się okaleczył po tym, jak skrócił cierpienia swojego przyjaciela, strzelając mu w głowę. Ale jeśli nawet był niezrównoważony przed wyjazdem, to po powrocie był kognitywnie i psychicznie nie do poznania. Przyznaję, nie byłem ojcem idealnym. Posyłałem mu różne rzeczy. Narzędzia, baterie, podstawowe lekarstwa. Ale nie pojechałem się z nim zobaczyć, gdy wrócił. Nie obchodził mnie. Przyznaję.

– Gdzie on jest?

– Kiedy wstąpił do wojska, umyłem ręce. Przyznaję. Był nic niewart. Po tym wszystkim, po moim poświęceniu, żeby zachować go przy życiu, na przekór woli Marilyn, do niczego nie doszedł. Pomyśl tylko, co za ironia. Ocaliłem mu życie, bo Kościół mówi, że aborcja to morderstwo, i spójrz, co się dzieje. Zabija ludzi. Zabijał ich tam, bo to była jego praca, a teraz zabija ich tutaj, bo jest obłąkany.

– A jego dziecko?

– Marilyn i jej modele. Kiedy raz stworzy wzorzec, spróbuj go przełamać... kazała matce zatrzymać dziecko, jak ja kazałem jej zatrzymać naszego syna. Prawdopodobnie to był błąd. Nasz syn nie nadaje się na ojca, jeśli nawet bardzo kocha swego syna.

– Jego chłopiec nie żyje – mówi Benton. – Zagłodzony, zakatowany, wyrzucony na bagna, larwom i krabom na pożarcie.

– Przykro mi to słyszeć. Nigdy go nie poznałem.

– Okazujesz wielkie współczucie, Paulo. Gdzie jest twój syn?

– Nie wiem.

– Musisz rozumieć powagę sytuacji. Chcesz iść do więzienia?

– Ostatnim razem, gdy tu był, wyprowadziłem go na ulicę, bo tylko tam mogłem bezpiecznie mu powiedzieć, że nie chcę go więcej widzieć. Na budowie, gdzie znaleziono zwłoki Drew, byli turyści. Stosy kwiatów i pluszowych zwierzątek. Widziałem to wszystko, gdy kazałem mu iść precz

i nigdy nie wracać. Dodałem, że jeśli nie uszanuje mojego życzenia, pójdę na policję. Potem kazałem dokładnie posprzątać mieszkanie. Pozbyłem się wozu. I zadzwoniłem do Otta, żeby zaproponować mu pomoc w sprawie, bo chciałem, bo musiałem wiedzieć, co wie policja.

– Nie wierzę, że nie wiesz, gdzie on jest – mówi Benton. – Nie wierzę, że nie wiesz, gdzie się zatrzymał, gdzie mieszka albo, co w tej chwili jest bardziej prawdopodobne, gdzie się ukrywa. Nie chcę się zwracać do twojej żony. Przypuszczam, że nie ma o niczym pojęcia.

– Proszę, nie mieszaj jej w to. Ona nic nie wie.

– Może ty wiesz coś o matce twojego martwego wnuka. Wciąż jest z twoim synem?

– Sytuacja taka sama, jak ze mną i Marilyn. Czasami przez całe życie płacimy za seks. Te kobiety? Zachodzą w ciążę celowo, wiesz. Żeby cię trzymać na smyczy. Dziwna rzecz. Robią to, a potem nie chcą dziecka, bo tak naprawdę zależało im nie na nim, lecz na tobie.

– Nie o to pytałem.

– Nigdy jej nie poznałem. Marilyn mówi, że ma na imię Shandy, może Sandy, i jest kurwą. Głupią kurwą.

– Twój syn nadal z nią jest? O to pytałem.

– Mieli dziecko. Ale to wszystko. Znów to samo. Grzechy ojca. Historia się powtarza. Powiem szczerze, wolałbym, żeby mój syn nigdy się nie urodził.

– Najwyraźniej Marilyn zna Shandy – stwierdza Benton. – To prowadzi mnie do Marina.

– Nie znam go ani nie wiem, co ma z tym wspólnego. Benton wyjaśnia. Mówi doktorowi Maroniemu o wszystkim z wyjątkiem tego, co Marino zrobił Kay.

– Chcesz więc, żebym przeanalizował to dla ciebie – mówi doktor Maroni. – Na podstawie mojej znajomości Marilyn, na podstawie tego, co właśnie powiedziałaś, zaryzykowałbym domysł, że Marino popełnił bardzo wielki błąd, wysyłając e-mail do Marilyn. To otworzyło jej oczy na możliwości, rozumiesz, które nie miały nic wspólnego z przyczyną jej pobytu w MacLeanie. Teraz może zemścić się na jedynej osobie, której naprawdę nienawidzi. Na Kay, oczywiście. To lepsze niż dręczenie ludzi, których kocha.

– Więc to z jej powodu Marino poznał Shandy?

– Tak sądzę. Ale Shandy zainteresowała się nim nie tylko dlatego, że ona jej kazała. Chodziło o chłopca. Marilyn nie wie. Albo nie wiedziała. Powiedziała by mi. Nie byłaby wstrząśnięta, że ktoś zrobił coś takiego.

– Ma mniej więcej tyle współczucia dla tego biednego chłopca, co ty – mówi Benton. – Jest tutaj, nawiasem mówiąc.

– Masz na myśli Nowy Jork?

– Mam na myśli Charleston. Dostałem anonimowy e-mail z informacją, o której nie będę rozmawiać. Wytropiłem IP do hotelu Charleston Place, rozpoznałem adres MAC. Zgadnij, kto się tam zatrzymał.

– Ostrzegam, żebyś uważał, co jej mówisz. Ona nie wie o Willu.

– O Willu?

– Will Rambo. Gdy Marilyn zaczęła zdobywać sławę, zmienił nazwisko. Willard Self stał się Willem Rambo. Wybrał Rambo, dość ładne szwedzkie nazwisko. W niczym nie przypomina filmowego Rambo i na tym polega przynajmniej część jego problemu. Will jest niski. To przystojny chłopiec, ale niewysoki.

– Gdy doktor Self dostawała e-maile od Piaskuna, nie zdawała sobie sprawy, że jest on jej synem? – pyta Benton. Irytuje go, gdy słyszy, jak Piaskun nazywany jest chłopcem.

– Nie. O ile wiem, wciąż nie ma o tym pojęcia. W każdym razie świadomie, ale czy mogę wiedzieć, co się dzieje w głębokich jaskiniach jej umysłu? Gdy została przyjęta do Szpitala MacLeana i powiedziała mi o e-mailu, o zdjęciu Drew Martin...

– Powiedziała ci?

– Oczywiście.

Benton żałuje, że nie może skoczyć przez telefon i złapać go za gardło. Drań powinien trafić do więzienia. Powinien smażyć się w piekle.

– Gdy patrzę wstecz, to jest tragicznie jasne. Oczywiście, od początku miałem podejrzenia, lecz o nich nie wspominałem. To znaczy od chwili, gdy Marilyn zadzwoniła do mnie w sprawie skierowania na konsultację. Will wiedział, że ona to zrobi. Manipulował nią. Oczywiście, miał jej adres e-mailowy. Marilyn chętnie podaje go ludziom, z którymi nie ma czasu się spotykać. Zaczął wysyłać te dość dziwne wiadomości i wiedział, że będzie zafascynowana, ponieważ jest na tyle chory, żeby doskonale ją rozumieć. Z pewnością był rozbawiony, gdy skierowała go do mnie. Potem, gdy zadzwonił do mojego gabinetu w Rzymie, żeby się umówić, oczywiście spotkanie skończyło się kolacją, a nie wywiadem klinicznym. Martwiłem się o jego zdrowie psychiczne, nigdy jednak nie przyszło mi na myśl, że może kogoś zabić. Gdy usłyszałem o zamordowanej turystce w Bari, wyparłem tę myśl z mojej świadomości.

– Zgwałcił też kobietę w Wenecji. Inną turystkę.

– Nie jestem zaskoczony. Niech zgadnę. Po wybuchu wojny. Za każdym razem, gdy przyjeżdżał na urlop, było z nim coraz gorzej.

– A więc tak naprawdę notatki nie pochodzą ze spotkań, które z nim odbyłeś. Jest twoim synem i nigdy nie był pacjentem.

– Sfabrykowałem notatki. Spodziewałem się, że to odgadniesz.

– Dlaczego?

– Żebyś to zrobił. Znalazł go sam, bo ja nie mógłbym go wydać. Chciałem, żebyś zadawał pytania, żebym mógł na nie odpowiedzieć, i teraz to robię.

– Jeśli nie znajdziemy go szybko, Paulo, on znowu zabije. Musisz coś wiedzieć. Masz jego zdjęcie?

– Nieaktualne.

– Przyślij e-mailem, co masz.

– Zwróć się do Sił Powietrznych USA. Powinni mieć jego odciski palców i DNA. Na pewno zdjęcie. Lepiej, żebyś ty wystąpił do nich po takie dane.

– Ale gdy będę pokonywać te wszystkie przeszkody, zrobi się mocno za późno.

– Nie wrócę, nawiasem mówiąc. Jestem pewien, że nie będziesz próbował mnie ściągnąć. Zostawisz mnie w spokoju, bo okazałem ci szacunek, więc się zrewanżujesz. Poza tym wszelkie starania byłyby daremne – mówi doktor Maroni. – Mam tu wielu przyjaciół.

## ROZDZIAŁ 22

Lucy przebiega listę kontrolną czynności przed startem.

Światła lądowania, ruch sterów, klapy, zawory paliwowe. Sprawdza wskazania przyrządów, nastawia wysokościomierz, włącza akumulator. Zapuszcza pierwszy silnik, gdy Scarpetta wychodzi z budynku na lotnisku i idzie przez płytę. Kay otwiera tylne drzwi śmigłowca, kładzie na podłodze walizkę technika kryminalistyki i aparat, potem otwiera lewe drzwi z przodu. Staje na płozie i wsiada.

Z silnikiem numer jeden na jałowym biegu, Lucy odpala numer dwa. Zawodzenie turbiny i dudnienie staje się głośniejsze. Scarpetta zapina pasy bezpieczeństwa i wkłada słuchawki. Sygnalista truchta po rampie, machając pałkami.

– Na miłość boską – mówi Lucy do mikrofonu. – Hej! – Jakby sygnalista mógł ją usłyszeć. – Nie potrzebujemy twojej pomocy. Będzie stał tam jak sęp. – Otwiera drzwi, macha ręką, każąc mu odejść. – To nie samolot – mówi, choć mężczyzna jej nie słyszy. – Nie potrzebujemy twojej pomocy, żeby wystartować. Odejdź!

– Jesteś strasznie spięta. – Głos ciotki brzmi w jej słuchawkach. – Jakieś wieści od poszukiwaczy?

– Nic. Nad Hilton Head jeszcze nie pojawił się żaden śmigłowiec, mgła wciąż jest za gęsta. Poszukiwania na ziemi nie dały rezultatu. Kamera na podczerwień w gotowości. – Lucy przekręca włącznik zasilania. – Trzeba około ośmiu minut, żeby się ochłodziła. Potem lecimy. Hej! – woła do sygnalisty, jakby też miał słuchawki i mógł ją słyszeć. – Spływaj. Jesteśmy zajęte. Cholera, musi być nowy.

Mężczyzna stoi z pomarańczowymi pałkami u boków, nikogo nigdzie nie kieruje. Wieża do Lucy:

– Masz ciężki c-siedemnaście na zawietrznej... Wojskowy transportowiec jest skupiskiem dużych, jasnych świateł i wydaje się prawie nieruchomy, gdy wisi w powietrzu. Lucy odpowiada przez radio, że go widzi. „Ciężki c-siedemnaście” i jego „silne zawirowania za skrzydłem” nie są ważne, bo Lucy chce lecieć w kierunku centrum, w kierunku mostu na Rzece Coopera. W kierunku mostu Arthura Ravenela. W takim kierunku, w którym zechce. Robiąc ósemki, jeśli będzie chciała. Tuż nad wodą albo ziemią, jak przyjdzie jej ochota. Bo nie siedzi za sterami samolotu. W rozmowie przez radio ujmuje to inaczej, ale o to jej chodzi.

– Dzwoniłam do Turkingtona – mówi potem do Kay. – Wprowadziłam go w sytuację. Benton do mnie dzwonił, przypuszczam więc, że z nim rozmawiałaś i że cię o wszystkim poinformował. Powinien się zjawić lada chwila, przynajmniej mam taką nadzieję. Nie będę tu tkwiła w nieskończoność. Wiemy, kim jest ten dupek.

– Nie wiemy tylko gdzie. I domyślam się, że wciąż nie wiadomo, gdzie jest Marino.

– Jeśli chcesz znać moje zdanie, powinniśmy szukać Piaskuna, a nie zwłok.

– Za godzinę wszyscy będą go szukać. Benton zawiadomił policję, miejscową i wojskową. Ktoś musi szukać jej. To moja robota i zamierzam ją wykonać. Masz siatkę do ładunków? I mamy jakieś wiadomości o Marinie? Cokolwiek?

– Mam siatkę.

– Zabrałaś zwykły sprzęt?

Benton idzie w stronę sygnalisty. Daje mu napiwek, a wówczas Lucy parska śmiechem.



– Postanowiłaś więc ignorować mnie za każdym razem, gdy spytam o Marina – stwierdza Scarpetta, gdy Benton się zbliża.

– Może powinnaś być szczerą z człowiekiem, którego masz poślubić. – Lucy patrzy na Bentona.

– Dlaczego sądzisz, że nie byłam?

– Chciałabym wiedzieć, co zrobiłaś.

– Rozmawiałam z Bentonem – oznajmia Kay, patrząc na nią. – Masz rację, powinnam być szczerą. I byłam.

Benton rozsuwa tylne drzwi i wsiada.

– Dobrze. Bo im bardziej komuś ufasz, tym bardziej karygodne jest kłamstwo. Łącznie z przemilczeniem – mówi Lucy.

Słyszą trzaski i skrobanie, gdy Benton wkłada słuchawki.

– Muszę się z tym uporać – dodaje Lucy.

– To ja powinnam się z tym uporać. I nie możemy o tym teraz rozmawiać.

– O czym nie możemy rozmawiać? – pyta Benton.

– O jasnowidztwie cioci Kay. Jest przekonana, że wie, gdzie jest ciało. Na wszelki wypadek zabrałam sprzęt i środki do odkażenia. I worki na zwłoki, gdybyśmy musieli je podwiesić. Przepraszam za nieczułość, ale rozkładający się trup nie będzie leciał z tyłu.

– Nie jasnowidztwo, tylko pozostałości po wystrzale – koryguje Scarpetta. – Poza tym zabójca chce, żeby ją znaleziono.

– W takim razie powinien to ułatwić. – Lucy przesuwa dźwignie przepustnicy.

– Co z tymi pozostałościami? – pyta Benton.

– Mam pewien pomysł. Jaki piasek tutaj może zawierać ślady GSR?

– Jezu – mruczy Lucy. – Facet zaraz odleci. Patrzcie na niego. Stoi z tymi pałkami jak skamieniały sędzia na meczu. Cieszę się, Benton, że dałeś

mu napiwek. Gość się stara.

– Tak, napiwek. Mam nadzieję, że nie banknot studolarowy – mówi Scarpetta, gdy Lucy czeka na połączenie z wieżą.

Ruch powietrzny jest utrudniony, bo loty były opóźnione przez cały dzień i teraz wieża się nie wyrabia.

– Kiedy pojechałam na studia, co robiłaś? – pyta Lucy ciotkę. – Co jakiś czas podsyłałaś mi sto dolców. Bez powodu. Tak zawsze pisałaś na dole czeku.

– Nic wielkiego. – Głos Kay płynie prosto do jej głowy.

– Książki. Jedzenie. Komputer.

Rozmawiają urywanie przez mikrofony aktywowane głosem.

– Cóż – mówi Scarpetta. – To było miłe z twojej strony. Setka to dużo pieniędzy dla kogoś takiego jak Ed.

– Może go więc przekupiłam. – Lucy pochyla się w jej stronę, żeby sprawdzić ekran kamery na podczerwień. – Gotowa i czeka. Polecimy, gdy tylko nas wypuścicie. – Jakby wieża mogła ją słyszeć. – Jesteśmy cholernym śmigłowcem, na litość boską. Nie potrzebujemy cholernego pasa. Nie potrzebujemy wektorawania. Doprowadzają mnie do szafu.

– Nie jesteś zbyt rozkojarzona, żeby lecieć? – odzywa się Benton.

Lucy kontaktuje się z wieżą. Wreszcie otrzymuje zezwolenie na start i lot na południowy wschód.

– Lecimy, póki można – mówi. Płozy helikoptera odrywają się od ziemi. Sygnalista macha rękami, jakby chciał ich zatrzymać. – Może powinien się najać jako pacholek na jezdni. – Wążąca trzy i ćwierć tony maszyna unosi się nad pasem. – Polecimy kawałek nad Rzeką Ashleya, potem skręcimy na wschód wzdłuż linii brzegowej ku Folly Beach. – Śmigłowiec zawisa nad skrzyżowaniem dwóch dróg do kołowania. – Wysuwam kamerę.

Przełącza kamerę z czuwania na tryb pracy i ekran robi się ciemnoszary, pokryty jaskrawymi białymi plamami miejsc, które emitują ciepło. Ciesiedemnaście wykonuje grzmiący konwojer, długie pióropusze białego ognia buchają z silników. Widać oświetlone okno budynku na lotnisku. Światła na pasach. W podczerwieni wszystko wygląda surrealistycznie.

– Nisko i powoli, skanujemy wszystko po drodze. Robimy siatkę? – pyta Lucy.

Scarpetta podnosi pilota z uchwytu, sprzęga kamerę z reflektorem, ale jeszcze go nie włącza. Na monitorze przy lewym kolanie widzi białe plamy na szarym tle. Mijają port. Różnobarwne kontenery przypominają spiętrzone klocki, dźwigi rysują się na tle nocy jak kolosalne modliszki. Helikopter przesuwa się powoli nad światłami miasta, jakby płynąc nad nimi. Z przodu czernieje zatoka. Nie ma gwiazd, księżyc jest grafitową smugą za grubymi chmurami, płaskimi jak kowadła.

– Dokąd dokładnie lecimy? – pyta Benton. Scarpetta zmienia ustawienie kamery, obrazy przesuwiają się po ekranie. Lucy zwalnia do ośmiu węzłów, zachowując wysokość stu pięćdziesięciu metrów.

– Wyobraź sobie, co byś znalazł, gdybyś zrobił analizę mikroskopową piasku z Iwo-jimy – mówi Kay. – Pod warunkiem że nie został przemyty przez wszystkie te lata.

– Z dala od linii przyływu – sugeruje Lucy. – Na przykład na wydmach.

– Iwo-jima? Lecimy do Japonii? – pyta ironicznie Benton.

Mijają rezydencje Bartery, w podczerwieni ich światła wyglądają jak białe smugi. Scarpetta myśli o Henrym Hollingsie. Myśli o Rose. Światła stają się coraz rzadsze, gdy zbliżają się do Wyspy Jamesa i mijają ją powoli.

– Środowisko plaży, które pozostało nienaruszone od czasów wojny secesyjnej. W takim miejscu, jeśli piasek jest chroniony,

najprawdopodobniej znajdziesz pozostałości po wystrzałach. Tak sędzę. – Zwraca się do Lucy: – Prawie pod nami.

Lucy zwalnia, aż prawie zawisa w powietrzu, i schodzi na wysokość dziewięćdziesięciu metrów nad północnym cyplem Wyspy Morrisa. Wyspa jest niezamieszкана. Można się tam dostać helikopterem albo łodzią, a w czasie bardzo niskiego odpływu przejść pieszo z Folly Beach. Patrzy w dół na ponad trzysta hektarów pustkowia, które w czasie wojny secesyjnej było sceną zaciekłych walk.

– Pewnie niewiele się tu zmieniło przez sto czterdzieści lat – mówi Scarpetta, gdy Lucy zmniejsza wysokość o kolejne trzydzieści metrów.

– Tutaj został zmasakrowany Pięćdziesiąty Czwarty Ochotniczy Pułk Piechoty Massachusetts. Walczyli w nim sami Murzyni. – Przypomina sobie Benton. – Zrobili o tym film, jaki był tytuł?

– Patrz po swojej stronie – poleca Lucy. – Mów, gdy coś zobaczysz, a oblecę to z reflektorem.

– *Chwała*. Jeszcze nie włączaj reflektora – mówi Kay. – Zakłóci podczerwień.

Na ekranie widać cętkowany szary teren i falisty obszar wody. Woda lśni jak płynny ołów, płynąc do brzegu, łamiąc się w półokrągłych białych grzywaczach.

– Widzę tylko ciemne zarysy wydm i tę cholerną latarnię – dodaje.

– Byłoby miło, gdyby ją odnowiono, żeby tacy jak my się o nią nie rozbili – mówi Lucy.

– Poprawiłaś mi samopoczucie – odparł Benton.

– Zacznę robić siatkę. Sześć węzłów, sześćdziesiąt metrów. Zlustrujemy wyspę centymetr po centymetrze.

Nie musieli długo latać.

– Możesz tam zawisnąć? – Scarpetta wskazuje coś, co Lucy też zauważyła. – Właśnie to minęliśmy. Ta część plaży. Nie, nie, cofnij. Wyrażna różnica temperatur.

Lucy obraca śmigłowiec. Teraz latarnia jest od strony drzewiczek pilota, przysadzista i pasiasta w podczerwieni, otoczona przez falującą, ołowianą wodę zewnętrznych partii zatoki. Dalej statek wycieczkowy wygląda jak okręt widmo z iluminatorami stojącymi w białym ogniu i z wielkim pióropuszem buchającym z komina.

– Tam. Dwadzieścia stopni w lewo od tej wydmy – naprowadza ją Kay.  
– Chyba coś widzę.

– Ja też.

Obiekt jarzy się bielą na tle ciemnej, cętkowanej szarości. Lucy patrzy w dół, próbując zająć właściwą pozycję. Krąży, schodząc niżej.

Scarpetta robi najazd i połyskująca biała plama na ekranie przemienia się w ludzkie ciało, nieziemsko jasne – jasne jak gwiazda – na skraju wąskiego pasa wody, która lśni niczym szkło.

Lucy chowa kamerę i zapala reflektor jasny jak dziesięć milionów świec. Trawa gnie się do ziemi i piasek wiruje, gdy lądują.



Czarny krawat powiewa w podmuchu zwalniających łopat.

Scarpetta spogląda przez okno. Niedaleko na piasku białe zęby lśnią w rozdętej twarzy, zdeformowanej do tego stopnia, że nie sposób rozpoznać płci. Gdyby nie garnitur i krawat, nie miałyby pojęcia, czy to zwłoki mężczyzny, czy kobiety.

– Co jest, do licha? – Odzywa się głos Bentona w słuchawkach.

– To nie ona – mówi Lucy, pstrykając przełącznikami. – Nie wiem jak wy, ale ja zabieram broń. Coś tu nie gra.

Wyłącza silnik, wysiadają na miękkim piasku. Smród jest nie do wytrzymania, dopóki nie przechodzą na odwiezniętą. Omiatają teren latarkami, z bronią w pogotowiu. Śmigłowiec tkwi na plaży jak niezgrabna ważka, słychać tylko szum fal. Kay przesuwa latarkę i oświetla szeroki ślad, który wiedzie do wydmy i urywa się tuż przed nią.

– Ktoś ciągnął łódź po piasku – stwierdza Lucy i rusza w kierunku wydmy. – Płaskodenną.

Wydmy, porośnięte trawą i innymi roślinami, ciągną się jak okiem sięgnąć, nietknięte przez fale przyływu. Scarpetta myśli o stoczonych tutaj bitwach i krwi przelanej dla sprawy, która nie mogłaby bardziej się różnić od interesów Południa. Zło niewolnictwa. Pogrom czarnych jankeskich żołnierzy. Wyobraża sobie, że słyszy ich jęki i szepty w wysokiej trawie, dlatego mówi Lucy i Bentonowi, żeby nie odchodzili daleko. Patrzy, jak światła ich latarek tną ciemny teren niczym długie, jasne ostrza.

– Tutaj! – woła Lucy z mroku pomiędzy wydmy. – Matko Boska! Ciociu Kay, możesz przynieść maski?

Scarpetta otwiera luk bagażowy i wyjmuję dużą walizkę technika kryminalistyki. Stawia ją na piasku i szuka masek. Musi być naprawdę paskudnie, skoro Lucy o nie poprosiła.

– Nie możemy zabrać stąd obojga. – Wiatr niesie głos Bentona.

– Do licha, co tu się święci? – pyta Lucy. – Słyszysz? Coś łopocze daleko na wydmach.

Kay idzie w kierunku świateł i smród staje się coraz gorszy. Zagęszcza powietrze, aż pieką ją oczy. Wkłada maskę, bo trudno jest oddychać. Podchodzi do Lucy i Bentona, którzy stoją w niewidocznym z plaży obniżeniu pomiędzy wydmy. Kobieta jest naga, okropnie wzdęta. Na zwłokach roją się larwy, twarz jest pogryziona, usta i oczy zniknęły, zęby są

odsłonięte. W świetle latarki Scarpetta widzi tytanowy sztyft, na którym była korona. Skóra oderwała się od czaszki, długie włosy leżą na piasku.

Lucy idzie przez trawę w stronę, z której dobiega łopotanie. Kay też je słyszy i nie jest pewna, co zrobić. Myśli o pozostałościach po wystrzale, o piasku i o tym miejscu. Zastanawia się, co ono dla niego oznacza. Stworzył własne pole bitwy. Ile więcej zwłok by je zasłało, gdyby nie trafiła tutaj dzięki śladom baru, antymonu i ołowiu, o których prawdopodobnie nie wiedział? Teraz niemal czuje jego obecność, ma wrażenie, że jego chory duch unosi się w powietrzu.

– Namiot! – krzyczy Lucy.

Jest za następną wydumą, które toczą się niczym ciemne fale, porośnięte krzewinkami i trawą. Zabójca, a może ktoś inny, urządził sobie tutaj dom. Aluminiowe słupki i plandeka, skrzydła przy wejściu łopoczą na wietrze. W namiocie jest legowisko, materac starannie zasłany kocem, i latarnia. Lucy otwiera nogą lodówkę turystyczną. Wewnątrz jest woda. Zanurza palec i oznajmia, że woda jest letnia.

– Mam w śmigłowcu jedną deskę do transportu – mówi. – Jak chcesz to zorganizować, ciociu Kay?

– Musimy wszystko sfotografować. Zrobić pomiary. Natychmiast ściągnąć policję. – Jest tyle do zrobienia. – Możemy podwiesić oba ciała?

– Nie na jednej desce.

– Chcę tu wszystko przejrzeć – mówi Benton.

– W takim razie zapakujemy je do worków i zabierzesz po jednym na raz – decyduje Scarpetta. – Dokąd je odstawisz, Lucy? W jakieś dyskretne miejsce, nie na lotnisko, gdzie twój pracowity sygnalista pewnie kieruje komarami. Zadzwoń do Hollingsa i zapytam, kto może cię przyjąć.

Milczą, słuchając łopotania prowizorycznego namiotu, szumu trawy, trzasku fal. Latarnia morska wygląda jak wielki, ciemny pionek szachowy,

otoczona przez równinę falującego czarnego morza. Zabójca jest gdzieś tam, i to wydaje się surrealistyczne. Skrzywdzony przez los, ale Kay nie czuje litości.

– Do roboty – mówi i sięga po komórkę. Oczywiście, nie ma zasięgu.

– Będziesz musiała spróbować z powietrza – mówi do Lucy. – Może zadzwoń do Rosc.

– Do Rose?

– Zadzwoń.

– Po co?

– Przypuszczam, że będzie wiedziała, gdzie go znaleźć.

Wyjmują deskę i worki na zwłoki, płachty powlekane plastikiem i cały sprzęt chroniący przed zagrożeniem biologicznym, jaki stanowią rozkładające się zwłoki. Zaczynają od niej. Jest wiotka, bo *rigor mortis* przeminął, jakby ofiara zrezygnowała z upartego protestu przeciwko śmierci. Władzę przejęły owady i drobne stworzenia wodne w rodzaju krabów. Zjadły wszystko, co było miękkie i poranione. Twarz jest spuchnięta, tułów wzdęty przez gazy, zielonkawoczną skórę pokrywa rozgałęziony wzór naczyń krwionośnych. Lewy pośladek i podudzie zostały wycięte, ale nie ma innych oczywistych ran czy znaków okaleczenia i żadnej wskazówki, w jaki sposób ofiara została uśmiercona. Podnoszą ją i kładą na płachcie, a potem umieszczają w worku, który Scarpetta zasuwa.

Przechodzą na plażę, do mężczyzny z przezroczystym plastikowym aparatem na zębach i gumową opaską na prawym przegubie. Ma czarny garnitur i krawat, a biała koszula jest ciemna od krwi. Liczne wąskie rozcięcia na przodzie marynarki i plecach sugerują, że zadano mu wiele ciosów ostrym narzędziem. Larwy roją się w ranach i tworzą ruchliwą masę pod ubraniem. W kieszeni spodni jest portfel z dokumentami Luciousa



Meddicka. Nie wygląda na to, żeby zabójca był zainteresowany kartami kredytowymi czy gotówką.

Po zrobieniu zdjęć i notatek Scarpetta z pomocą Bentona przypina do deski zwłoki kobiety, Lydii Webster, podczas gdy Lucy wyjmuje ze śmigłowca piętnastometrową linkę i siatkę. Podaje ciotce swój pistolet.

– Potrzebujesz go bardziej niż ja.

Wsiada i zapuszcza silnik. Łopaty huczą w powietrzu, błyskają światła. Helikopter unosi się łagodnie, bardzo wolno, aż lina naprężyła się i siatka z makabrycznym ciężarem odrywa się od piasku. Odlatuje z ładunkiem, który kołysze się jak wahadło. Scarpetta i Benton wracają do namiotu. Gdyby był dzień, muchy tworzyłyby brzęczącą burzę, powietrze byłoby gęste i głośne.

– Sypia tutaj – mówi Benton. – Niekoniecznie codziennie.

Trąca nogą poduszkę. Pod nią jest brzeg koca, a pod nim materac. Torba termoizolacyjna zawiera pudełko zapalek, ale książki w miękkich okładkach chyba niewiele dla niego znaczą. Przemoczone, z posklejаныmi kartkami – sagi rodzinne i romanse, które można kupić w kiosku, gdy człowiek chce coś poczytać dla zabicia czasu. Przed małym prowizorycznym namiotem jest dołek, gdzie rozpałał ognisko, używając węgla drzewnego i zardzewiałej kratki z grilla ułożonej na kamieniach. Na ziemi leżą puszki piwa korzennego. Scarpetta i Benton niczego nie dotykają. Wracają na plażę, gdzie głębokie ślady płóz na piasku przypominają, że stał tu śmigłowiec. Na niebie świeci więcej gwiazd. Smród zatruwa powietrze, ale już nie dławi.

– Z początku myślałaś, że to on. Poznałem to po twojej minie – mówi Benton.

– Mam nadzieję, że nic mu nie jest i że nie zrobił niczego głupiego. Kolejna rzecz, która będzie winą doktor Self. Niszczenie wszystkiego, co

mieliśmy. Rozdzielanie nas. Nie powiedziałaś mi, w jaki sposób się dowiedziałeś. – Kay jest zła. Wzbiera w niej złość, stara i nowa.

– To jej ulubione zajęcie. Rozdzielanie ludzi. Czeka ją w pobliżu wody, po odwiezniętej od czarnego kokonu Luciousa Meddicka. Wiatr unosi smród. Scarpetta czuje zapach morza i słyszy, jak ono oddycha i łamie się miękko na brzegu. Horyzont jest czarny, latarnia już nie ostrzega przed niczym.

Chwilę później widzą w dali mrugające światła helikoptera. Odwracają się od tumanów wzbitego piasku, gdy Lucy ląduje. Ze zwłokami Luciousa Meddicka w siatce ładunkowej ponownie wznoszą się w powietrze i lecą do Charlestonu. Światła policyjne pulsują na rampie, a Henry Hollings i kapitan Poma stoją w pobliżu vana bez okien.

Scarpetta podchodzi do nich. Niesie ją gniew. Prawie nie słucha rozmowy. Karawan Luciousa Meddicka znaleziono za Domem Pogrzebowym Hollingsa, z kluczykami w stacyjce. Jak się tu znalazł? Podstawił go zabójca, a może Shandy. Bonnie i Clyde, tak nazywa ich kapitan Poma, potem porusza temat Byka. Gdzie jest i co może wiedzieć? Matka Byka mówi, że nie ma go w domu od kilku dni. Marino też przepadł bez śladu i teraz policja go szuka. Hollings mówi, że ciała pojedą prosto do prosektorium. Nie Scarpetty. Do szpitala uniwersyteckiego, gdzie dwaj lekarze sądowi czekają po zakończeniu sekcji Gianniego Lupana.

– Możemy skorzystać z twoich usług, jeśli chcesz – mówi Hollings do Kay. – Ty ich znalazłaś, powinnaś się więc nimi zająć. Jeśli nie masz nic przeciwko.

– Policja musi dostać się na Wyspę Morrisa i zabezpieczyć miejsce zdarzenia.

– Pontony są w drodze. Powiem ci, jak dojechać do kostnicy.

– Już tam byłam. Wspomniałeś, że szefowa ochrony jest twoją przyjaciółką. W hotelu Charleston Place. Jak się nazywa? Idą.

– Samobójstwo – mówi Hollings. – Uraz tępy po skoku lub upadku. Nic nie wskazuje na przestępstwo. Chyba że można oskarżyć kogoś o doprowadzenie drugiej osoby do samobójstwa. W takim przypadku doktor Self powinna zostać skazana. Moja przyjaciółka z hotelu ma na imię Ruth.

W budynku obsługi na lotnisku płoną jasne światła. Kay wchodzi do toalety, żeby umyć ręce, twarz i wnętrze nosa. Pryska odświeżaczem powietrza i wchodzi w mgłę, a potem szczotkuje zęby. Kiedy wychodzi, czeka na nią Benton.

– Powinnaś jechać do domu.

– Jakbym mogła zasnąć.

Idzie z nią, gdy podjeżdża van bez okien. Hollings rozmawia z kapitanem Pomą i Lucy.

– Mam jeszcze coś do zrobienia – oznajmia Scarpetta.

Benton pozwala jej odejść. Sama idzie do swojego suwa.



Biuro Ruth mieści się w pobliżu kuchni, gdzie hotel miewa liczne problemy z kradzieżą.

W szczególności krewetek. Chytrzy drobni przestępcy w przebraniu szefów kuchni. Ruth opowiada jedną zabawną historyjkę po drugiej. Scarpetta słucha uważnie, ponieważ czegoś chce, a jedynym sposobem osiągnięcia celu jest odgrywanie widowni w przedstawieniu szefowej ochrony. Ruth, elegancka starsza pani, jest kapitanem straży przybrzeżnej, ale wygląda jak skromna bibliotekarka. W rzeczywistości trochę przypomina Rose.

– Ale przecież nie przyszła pani do mnie, by tego wysłuchiwać – mówi zza biurka, które zapewne pochodzi z hotelowych nadwyżek. – Chce pani wypytać mnie o Drew Martin. Prawdopodobnie pan Hollings powiedział pani, że gdy ostatnim razem się tu zatrzymała, nie nocowała w pokoju.

– W istocie. – Kay patrzy na pistolet pod żakietem w tureckie wzory. – Czy jej trener tu bywał?

– Od czasu do czasu zaglądał do restauracji Grill. Zawsze zamawiał to samo, kawior i szampana Dom Perignon. Nie słyszałam, by ona tam jadała, ale też nie wyobrażam sobie, by zawodowa tenisistka chciała jeść wysokokaloryczne potrawy czy pić szampana w noc przed wielkim meczem. Jak powiedziałam, najwyraźniej miała drugie życie i nigdy tu nie była.

– Macie tu innych sławnych gości.

– Przez cały czas mamy sławnych gości.

– Mogłabym przejść od drzwi do drzwi i pukać.

– Nie może pani wejść na zamknięte piętro bez klucza. Jest tu czterdzieści apartamentów. To mnóstwo drzwi.

– Moje pierwsze pytanie, czy ona wciąż tu jest. Przypuszczam, że rezerwacja nie została dokonana na jej nazwisko. W przeciwnym razie zadzwoniłabym do niej.

– Mamy całodobową obsługę pokoi. Jestem tak blisko kuchni, że słyszę tylko grzechot przejeżdżających wózków.

– A zatem już wstała. Dobrze. Nie chciałabym jej budzić. – Wściekłość rodzi się w głębi czaszki Kay i spływa, ogarniając ją całą.

– Kawa codziennie rano o piątej. Daje niewielkie napiwki. Nie przepadamy za nią.

Doktor Self zajmuje narożny apartament na siódmym piętrze. Scarpetta wsuwa kartę magnetyczną do czytnika windy i parę minut później stoi

przed jej drzwiami. Czuje, że doktor Self patrzy przez wizjer.

Otwiera drzwi i mówi:

– Widzę, że ktoś był niedyskretny. Witaj, Kay.

Ma jaskrawoczerwony jedwabny szlafrok, luźno przewiązany w pasie, i czarne jedwabne pantofle.

– Jakże przyjemna niespodzianka. Ciekawe, kto ci powiedział. Proszę. – Odsuwa się, żeby ją wpuścić. – Jakby los tego chciał, przynieśli dwie filiżanki i dodatkowy dzbanek kawy. Niech zgadnę, jak mnie tu znalazłaś. Chodzi mi nie tylko o ten cudowny pokój. – Doktor Self siada na kanapie i podkula nogi. – Shandy. Wygląda na to, że dając jej, co chciała, straciłam przewagę. Taki w każdym razie byłby jej śliczny punkt widzenia.

– Nie spotkałam Shandy – mówi Scarpetta z fotela przy oknie, z którego roztacza się widok na oświetlone stare miasto.

– To znaczy, nie osobiście. Ale sądzę, że ją widziałaś. Jej jednoosobowa wycieczka z przewodnikiem po kostnicy. Wracam myślą do tych nieszczęsnych dni w sądzie, Kay, i zastanawiam się, jak potoczyłyby się wypadki, gdyby świat wiedział, jaka jesteś naprawdę. Że urządzasz wycieczki po kostnicy i robisz ze zwłok widowisko. Zwłaszcza z tego małego chłopca, którego odarłaś ze skóry i pocięłaś na filety. Dlaczego wyjęłaś mu oczy? Ile obrażeń musisz udokumentować, zanim zadecydujesz, co go zabiło? Oczy? Doprawdy, Kay.

– Kto ci powiedział o wycieczce?

– Shandy się przechwalała. Wyobraź sobie, co powiedziałyby ława przysięgłych. Wyobraź sobie, co powiedzieliby na Florydzie, gdyby wiedzieli, jaka jesteś.

– Ich werdykt cię nie skrzywdził – mówi Scarpetta. – Nic nie skrzywdzi cię w sposób, w jaki tobie udaje się krzywdzić wszystkich innych.

Słyszałam, że twoja przyjaciółka Karen odebrała sobie życie ledwie dwadzieścia cztery godziny po wyjeździe ze Szpitala MacLeana.

Twarz doktor Self jaśnieje.

– Zatem jej smutna historia zyskała odpowiedni finał. – Patrzy Kay w oczy. – Nie myśl, że będę udawać. Byłabym zdenerwowana, gdybym usłyszała, że Karen znów wróciła na odwyk. „Mnóstwo ludzi żyje w cichej desperacji”. Thoreau. Część świata Bentona. A jednak ty mieszkasz tutaj. Jak sobie poradzisz, gdy wyjdiesz za mąż? – Jej oczy zatrzymują się na pierścionku na jej lewej ręce. – Na pewno się zdecydujesz? Nie jesteście zbyt zaangażowani. Cóż, Benton jest. Ale to inny rodzaj zaangażowania. Jego mały eksperyment był wyjątkową gratką i nie mogę się doczekać, żeby o nim opowiedzieć.

– Proces na Florydzie niczego cię nie pozbawił z wyjątkiem pieniędzy, które prawdopodobnie zostały wypłacone z ubezpieczenia od skutków pomyłki lekarskiej. Składki muszą być wysokie. Powinny być niebotyczne. Dziwię się, że jakieś towarzystwo ubezpieczeniowe chciało cię przyjąć.

– Muszę się spakować. Wracam do Nowego Jorku, wracam na antenę. Mówiłam ci? Nowiutki show o umyśle przestępcy. Nie martw się. Ciebie nie zaproszę.

– Shandy prawdopodobnie zabiła swojego syna – mówi Scarpetta. – Ciekawe, co zamierzasz z tym zrobić.

– Unikałam jej, jak długo mogłam. Sytuacja bardzo podobna do twojej, Kay. Wiedziałaś o niej. Dlaczego ludzie wplątują się w macki kogoś jadownego? Słyszę swoje słowa i każdy komentarz sugeruje mi pomysł na show. To wyczerpujące i porywające, gdy człowiek sobie uświadamia, że przedstawienie nigdy się nie skończy. Marino powinien być mądrzejszy. Jest takim prostakiem. Masz wiadomości od niego?

– To ty zaczęłaś i ty skończyłaś z nim. Dlaczego nie zostawiłaś go w spokoju?

– On pierwszy się ze mną skontaktował.

– Wysyłał e-maile człowieka zrozpaczonego, nieszczęśliwego i przestraszonego. Byłaś jego psychiatrą.

– Przed laty. Ledwo to pamiętam.

– Kto jak kto, ale ty powinnaś wiedzieć, jaki on jest. Wiedziałaś i wykorzystwałaś go. Posłużyłaś się nim, ponieważ chciałaś mnie skrzywdzić. Nie dbam, czy mnie skrzywdziłaś, ale nie powinnaś krzywdzić jego. Potem znów spróbowałaś, prawda? Skrzywdzić Bentona. Dlaczego? Żeby odpłacić mi za rozprawę sądową z Florydy? Myślałam, że masz lepsze rzeczy do zrobienia.

– Jestem w impasie, Kay. Widzisz, Shandy powinna dostać, na co zasługuje, a Paulo już odbył długą rozmowę z Bentonem, prawda? Paulo zadzwonił do mnie, oczywiście. Udało mi się zrozumieć parę elementów.

– Zadzwonił, żeby powiedzieć, że Piaskun jest twoim synem – mówi Scarpetta. – Paulo zadzwonił, żeby ci to powiedzieć.

– Jednym elementem jest Shandy. Drugim elementem jest Will. Kolejnym Mały Will, jak zawsze go nazywałam. Mój Will wrócił do domu z wojny i natychmiast trafił na drugą, znacznie bardziej brutalną. Myślisz, że to nie popychało go coraz dalej i dalej? Nie żeby był normalny. Pierwsza powiem, że nawet moje narzędzia nie naprawiłyby niczego pod jego maską. To było rok, półtora roku temu, Kay. Przyszedł i znalazł swojego syna na wpół zagłodzonego, posiniaczonego, pobitego.

– Shandy.

– Will tego nie zrobił. Niezależnie, co zrobił teraz, tego nie zrobił. Mój syn nigdy nie skrzywdziłby dziecka. Shandy pewnie myślała, że bardzo

fajnie maltretować tego chłopca tylko dlatego, że może. Był utrapieniem. Tak ci powie. Niemowlę ze skłonnością do kolki, potem marudny malec.

– I udało jej się ukryć to przed światem?

– Will służył w wojskach lotniczych. Do śmierci ojca mieszkała z synem w Charlotte. Potem zachęciłam ją, żeby przeniosła się tutaj, gdzie zaczęła go maltretować. Poważnie.

– Ona pozbyła się ciała na bagnach? W nocy?

– Ona? Nie sądzę. Nawet nie ma łodzi.

– Skąd wiesz, że została użyta łódź? Nie pamiętam, żeby zostało to uznane za fakt.

– Nie zna strumieni i pływów, nigdy w nocy nie wypłynęłaby na wodę. Mały sekret: nie umie pływać. Oczywiście, potrzebowała pomocy.

– Czy twój syn ma łódź, zna strumienie i pływy?

– Miał łódź i uwielbiał zabierać swojego chłopca na „przygody”. Pikniki. Biwaki na bezludnych wyspach. Obdarzony bujną wyobraźnią, melancholijny, sam był dzieckiem, naprawdę. Wydaje się, że gdy ostatni raz przyjechał na urlop, Shandy sprzedała mnóstwo jego rzeczy. Nadzwyczaj taktowna z niej kobieta. Nie jestem pewna, czy Will ma jeszcze samochód. Ale jest pomysłowy. Lekki i szybki. I niewątpliwie umie działać ukradkowo. Prawdopodobnie nauczył się tam. – Chodzi jej o Irak.

Scarpetta myśli o płaskodennej łodzi rybackiej z potężnym silnikiem przyczepnym, zamontowanym na dziobie silnikiem do trollingu i wiosłami. Łodzi, której Marino nie używał od miesięcy i o której chyba nawet nie myślał. Zwłaszcza ostatnio. Zwłaszcza od czasu poznania Shandy. Musiała wiedzieć o łodzi, nawet jeśli ani razu nianie płynęli. Mogła powiedzieć Willowi. Może ją pożyczył. Trzeba przeszukać łódź Marina. Scarpetta zastanawia się, jak wyjaśni to wszystko policji.



– Kto miał zająć się małym kłopotem Shandy? Ciałem. Co miał zrobić mój syn? – pyta doktor Self. – Tak się zdarza, prawda? Cudze grzechy stają się naszymi. Will kochał swojego syna. Ale kiedy tatuś pomaszerował na wojnę, mamusia musiała pełnić rolę obojga rodziców. I mamusia stała się potworem. Zawsze nią gardziłam.

– Wspierałaś ją. Hojnie, mogę dodać.

– Niech pomyślę. I wiesz co? Niech zgadnę. Lucy naruszyła jej prywatność, prawdopodobnie wie, co ma albo miała w banku. Nie wiedziałabym o śmierci wnuka, gdyby Shandy nie zadzwoniła. Zapewne tego dnia, gdy znaleziono ciało. Chciała pieniędzy. Więcej pieniędzy. I mojej rady.

– Czy jesteś tutaj z jej powodu i tego, co ci powiedziała?

– Shandy pięknie wykonywała robotę, szantażując mnie przez wszystkie te lata. Ludzie nie wiedzą, że mam syna. Na pewno nie wiedzą, że miałam wnuka. Gdyby te fakty wyszły na jaw, postrzegano by mnie jako osobę zaniedbującą swoje obowiązki. Wyrodną matką. Wyrodną babką. Wszystkie te rzeczy, które mówi o mnie moja droga matka. Gdy zyskałam sławę, było o wiele za późno na odwrót i naprawienie mojej dobrze przemyślanej izolacji. Nie miałam innego wyboru, jak to kontynuować. Najdroższa mamusia, mam na myśli Shandy, dochowywała mojego sekretu w zamian ze czeki bankierskie.

– A teraz ty zamierzasz utrzymać jej sekret w zamian za co? – pyta Scarpetta. – Zakatowała syna, a ty pozwolisz, żeby uszło jej to na sucho, w zamian za co?

– Przypuszczam, że ława przysięgłych z przyjemnością zobaczyłaby nagranie, jak Shandy w twojej kostnicy, w twojej chłodni patrzy na swojego martwego syna. Morderczyni w twoim prosektorium. Wyobraź sobie, co to byłaby za historia. Powiedziałabym, że oznaczałaby koniec twojej kariery,

skromnie mówiąc. Mając to na względzie, Kay, powinnaś mi dziękować. Zachowanie mojej prywatności zagwarantuje twoją.

– W takim razie mnie nie znasz.

– Zapomniałam zaproponować ci kawę. Serwis dla dwóch osób. – Uśmiecha się.

– Nie zapomnę, co zrobiłaś – mówi Kay, wstając. – Co zrobiłaś Lucy, Bentonowi, mnie. Nie jestem pewna, co zrobiłaś Marinowi.

– Nie jestem pewna, co on zrobił tobie. Ale wiem dość. Jak radzi sobie z tym Benton? – Doktor Self nalewa sobie kawy. – Szczególna sprawa do rozważenia. – Odchyła się na poduszki. – Wiesz, gdy Marino widywał się ze mną na Florydzie, jego żądza nie mogłaby być bardziej ewidentna, chyba że złapałby mnie i zdarł ze mnie ubranie. Kompleks Edypa, żalosne. Chce się pieprzyć z matką, najważniejszą osobą w swoim życiu, i do końca świata będzie ścigał koniec swojej edypowej tęczy. Nie wierzę, aby kiedykolwiek posiadał ten upragniony skarb, chociaż uprawiał z tobą seks. Wreszcie! Brawo dla niego. Cud, że się nie zabił.

Scarpetta staje przy drzwiach, patrząc na nią.

– Jakim jest kochankiem? – pyta doktor Self. – Benton, to mogę zrozumieć. Ale Marino? Od wielu dni nie miałam od niego wiadomości. Obmyśliliście to? I co mówi Benton?

– Jeśli Marino ci nie powiedział, to kto? – pyta cicho Kay.

– Marino? O nie. Zdecydowanie nie. Nie powiedział mi o waszym numerku. Ktoś go śledził do twojego domu z... jak się nazywa ten bar? Kolejny zbir Shandy, ten, który miał ci dać do zrozumienia, że powinnaś poważnie się zastanowić nad przeprowadzką.

– Zatem to twoja sprawka. Tak myślałam.

– Aby ci pomóc.

– Tak mało dostałaś od życia, że musisz gnębić ludzi?

– Charleston nie jest dla ciebie dobrym miejscem, Kay. Scarpetta zamyka za sobą drzwi. Wychodzi z hotelu. Idzie chodnikiem obok pluskającej fontanny i wchodzi do hotelowego garażu. Słońce jeszcze nie wzeszło, powinna zadzwonić na policję, ale jest w stanie myśleć tylko o nieszczęściach, jakie może spowodować jedna osoba. Pierwszy cień strachu napada ją na pustym poziomie parkingu, wśród betonowych ścian i samochodów. Myśli o jednej uwadze rzuconej przez doktor Self.

„Cud, że się nie zabił”.

Prorokowała, wyrażała nadzieję czy napomykała o kolejnym znanym jej strasznym sekrecie? Kay nie może myśleć o niczym innym i nie może zadzwonić do Lucy ani do Bentona. Prawdę mówiąc, oboje nie darzą go sympatią, może nawet mają nadzieję, że strzelił sobie w usta albo zjechał z mostu, i teraz wyobraża sobie zwłoki Marina w ciężarówce na dnie Rzeki Coopera.

Decyduje, że zadzwoni do Rose, i wyjmuje komórkę, ale nie ma zasięgu. Idzie do swojego suwa, nie zwracając większej uwagi na zaparkowanego obok białego cadillaca. Jej oczy zatrzymują się na owalnej nalepce na tylnym zderzaku, HH, Hilton Head. Wyczuwa, co zaraz się wydarzy, zanim jeszcze to sobie uświadomi. Ogląda się, gdy kapitan Poma wyskakuje zza betonowego filara. Czuje, a może słyszy ruch powietrza za plecami, odwraca się, gdy ktoś chwyta ją za ramię. Przez zamrożoną w czasie sekundę widzi przed sobą twarz, twarz młodego człowieka z krótkimi włosami, czerwonym spuchniętym uchem i dzikim wzrokiem. Mężczyzna wpada na suwa, nóż brzęczy u jej stóp, kapitan z wrzaskiem bije pięściami napastnika.

## ROZDZIAŁ 23

Byk trzyma czapkę w rękach.

Garbi się trochę na przednim fotelu, świadom, że jego głowa dotknie dachu, gdy usiądzie prosto, do czego ma skłonność. Byk nosi się dumnie, nawet teraz, po zwolnieniu za kaucją z miejskiego aresztu, gdzie został zamknięty za przestępstwo, którego nie popełnił.

– Dziękuję za podwiezienie, doktor Kay – mówi, gdy Scarpetta zatrzymuje się przed swoim domem. – Przepraszam, że sprawiłem pani kłopot.

– Przestań to powtarzać, Byku. Jestem już naprawdę zła.

– Wiem, i naprawdę mi przykro, bo przecież pani nic złego nie zrobiła. – Otwiera drzwi i powoli, bo jest naprawdę wielki, wysuwa się z auta. – Próbowałem otupać buty, ale wygląda na to, że trochę zabrudziłem pani wycieraczkę, więc lepiej ją wyczyszczę albo przynajmniej wytrzępię.

– Przestań przeproszać, Byku. Robisz to od wyjścia z aresztu, a ja jestem taka wściekła, że mogłabym tryskać jadem. Gdy następnym razem stanie się coś takiego, a ty od razu nie zadzwonisz, na ciebie też będę wściekła.

– Tego bym nie chciał. – Byk trzępie wycieraczkę i Kay zaczyna zdawać sobie sprawę, że jest równie uparty jak ona.

Był to długi dzień pełen bolesnych obrazów, porażek i brzydkich zapachów, a potem zadzwoniła Rose. Scarpetta pracowała nad rozkładającymi się zwłokami Lydii Webster, gdy Hollings stanął przy stole sekcyjnym i powiedział, że ma nowiny, których powinna wysłuchać. Nie jest całkiem jasne, jak Rose się dowiedziała, ale jej sąsiadka, która z kolei zna sąsiadkę sąsiadki Scarpetty – której Kay nie miała okazji poznać –

słyszała plotkę, że sąsiadka, którą Scarpetta zna – pani Grimball – kazała aresztować Byka za wkroczenie na teren prywatny i próbę włamania.

Ukrywał się za pospornicą na lewo od frontowej werandy Scarpetty i pani Grimball zauważyła go przypadkiem, gdy wyjrzała przez okno na piętrze. Była noc. Scarpetta nie może winić sąsiadki, że zaalarmował ją taki widok, chyba że sąsiadką jest, tak się składa, pani Grimball. Telefon pod dziewięćset jedenaście i zgłoszenie intruza nie wystarczyło. Musiała ubarwić swoją historię i oświadczyła, że Byk czał się na terenie jej posesji, nie Scarpetty. Krótko mówiąc, Byk – który już był wcześniej aresztowany – trafił do więzienia, gdzie siedział od połowy tygodnia i gdzie prawdopodobnie wciąż by przebywał, gdyby Rose nie przerwała autopsji. Po ataku na Kay w garażu.

Teraz w więzieniu siedzi Will Rambo, nie Byk.

Matka Byka może się uspokoić. Nie musi kłamać, że Byk zbiera ostrygi albo po prostu gdzieś wyszedł, bo zwolnienie z kolejnej pracy jest ostatnią rzeczą, jakiej dla niego pragnie.

– Rozmroziłam potrawkę – mówi Scarpetta, otwierając drzwi domu. – Mam jej mnóstwo, a mogę tylko sobie wyobrazać, co jadłeś przez ostatnie dni.

Byk wchodzi za nią do holu. Uwagę Kay przykuwa stojak na parasole, zatrzymuje się przy nim z okropnym samopoczuciem. Sięga do środka i wyjmuje kluczyk do motocykla Marina i magazynek z jego glocka, a potem sam pistolet z szuflady. Jest taka zdenerwowana, że niemal ją mdli. Byk nic nie mówi, ale Scarpetta czuje, że zastanawia się nad tym, co właśnie wyjęła ze stojaka na parasole, dlaczego te rzeczy tam były. Mija chwila, zanim odzyskuje mowę. Zamyka kluczyk, magazynek i pistolet w tej samej metalowej kasetce, w której trzyma butelkę chloroformu.

Podgrzewa potrawkę i chleb domowego wypieku, nakrywa do stołu, nalewa do szklanki brzoskwińskiej mrożonej herbaty, dorzuca gałązkę świeżej mięty. Mówi Bykowi, że ma siadać i jeść, że ona będzie na górze na werandzie z Bentonem, że ma ją wołać, gdyby czegoś potrzebował. Przypomina mu, że za dużo wody, a będzie po wawrzynku, i że trzeba oberwać zwiędnięte bratki. Byk siada, a ona mu służy.

– Nie wiem, dlaczego ci to mówię. Znasz się na pracy w ogrodzie lepiej niż ja.

– Przypomnienie nie zaszkodzi.

– Może powinnam posadzić parę wawrzynek przy bramie od frontu, żeby pani Grimball mogła poczuć ten śliczny zapach. Może stanie się miłsza.

– Chciała dobrze. – Byk rozkłada serwetkę i wtyka ją za kołnierzyk koszuli. – Nie powinienem się chować, ale jak w uliczce pojawił się ten motocyklista z bronią, miałem oczy szeroko otwarte. Miałem przecucie.

– Wierzę w przecucia.

– Ja na pewno. Człowiek je miewa nie bez powodu. – Smakuje herbatę. – I coś mi mówiło, że mam czekać w krzakach tamtej nocy. Obserwowałem pani drzwi, ale dziwna rzecz, powinienem obserwować uliczkę. Sama pani mi powiedziała, że pewnie tam stał karawan, gdy Lucious został zabity, co znaczy, że tam był zabójca.

– Cieszę się, że cię tam nie było. – Kay myśli o Wyspie Morrisa i co tam znaleźli.

– Ano, ja żałuję.

– Byłoby miło, gdyby pani Grimball zadała sobie trochę trudu i powiadomiła policję o tym karawanie. Wpakowała cię do więzienia, a nie pokwapiła się wspomnieć o karawanie, który stał późno w nocy w mojej uliczce.

– Widziałem, jak przyprowadzili go do mamra – opowiada Byk. – Zamknęli go, a on nie przestawał lamentować nad swoim uchem. Jak jeden ze strażników spytał, co się stało, powiedział, że ugryzł go pies, rana uległa zakażeniu i potrzebuje lekarza. Dużo o nim gadali, o jego cadillacu ze skradzionymi tablicami, i słyszałem, jak policjant powiedział, że gość upiekł jakąś panią na grillu. – Pije herbatę. – Pomyślałem, że pani Grimball mogła widzieć tego cadillaca, ale nie powiedziała o nim, tak jak nie wspomniała nikomu o karawanie. W każdym razie nie policji. Zabawne, jak ludzie jedną zauważoną rzecz uznają za ważną, a inną nie. Można by pomyśleć, że karawan nocą w zacisznej uliczce oznacza, że ktoś umarł, i że może warto byłoby się zainteresować. No bo jeśli zmarła znajoma osoba? Nie spodoba jej się wizyta w sądzie.

– Nikt z nas tego nie lubi.

– Ano, jej się mocno nie spodoba. – Byk podnosi łyżkę, ale jest zbyt dobrze wychowany, żeby jeść w czasie rozmowy. – Będzie myślała, że zdoła przechytryć sędziego. Kupiłbym sobie bilet, żeby to zobaczyć. Parę lat temu pracowałem w tym ogrodzie i widziałem, jak wylała wiadro wody na kotkę, która chowała się pod jej domem, bo właśnie się okociła.

– Nie mów nic więcej, Byku. Nie mogę tego znieść. Kay idzie na górę i przez sypialnię wychodzi na małą werandę od strony ogrodu. Benton rozmawia przez telefon; pewnie rozmawiał przez cały czas, odkąd się ostatnio widzieli. Przebrał się w spodnie khaki i koszulę polo, pachnie czystością i ma wilgotne włosy. Za nim jest kratownica z miedzianych rurek, którą skonstruowała, żeby passiflora mogła się wspinać po nich niczym kochanek do jej okna. Poniżej rozciąga się taras wyłożony kamiennymi płytami, a dalej sadzawka, którą napełnia starym ciekącym węzem. W zależności od pory roku, ogród jest symfonią. Lagerstroemie, kamelie, imbirowce, hiacynty, żonkile i dalie. Posadziła mnóstwo

pospornicy i wawrzynka, ponieważ wszystko, co ma ładny zapach, jest jej przyjacielem.

Słońce zaszło i nagle ogarnia ją takie zmęczenie, że mąci jej się w oczach.

– To był kapitan – mówi Benton, odkładając telefon na szklany blat stołu.

– Jesteś głodny? Chcesz herbaty?

– A może ja coś ci dam. – Patrzy na nią.

– Zdejmij okulary, żebym mogła zobaczyć twoje oczy. Nie czuję się na siłach, by patrzeć w te ciemne szkła. Jestem ogromnie zmęczona. Nie wiem dlaczego. Nie jestem przyzwyczajona do takiego zmęczenia.

Benton zdejmuje okulary, składa je i kładzie na stole.

– Paulo złożył rezygnację i nie wróci z Włoch, i nie sądzę, żeby stała mu się jakaś krzywda. Dyrektor szpitala nie robi nic poza bilansem strat, bo nasza przyjaciółka doktor Self właśnie wystąpiła w programie Howarda Sterna, mówiąc o eksperymentach rodem z *Frankensteina* Mary Shelley. Mam nadzieję, że Stern ją zapyta, jakie duże ma piersi i czy są prawdziwe. Zresztą nie ma o czym mówić. Sama mu powiedziała. I pewnie pokazała.

– Przypuszczam, że nie ma żadnych wiadomości o Marinie.

– Słuchaj. Daj mi trochę czasu, Kay. I nic ci nie zarzucam. Wypracujemy sposób, żeby o tym zapomnieć. Chcę znów cię dotykać i nie myśleć o nim. Tak, powiedziałem to. Tak, to cholernie mnie dręczy. – Sięga po jej rękę. – Ponieważ czuję się częściowo winny. Może bardziej niż częściowo. Nic by się nie stało, gdybym tu był. Zamierzam to zmienić. Chyba że nie chcesz.

– Oczywiście, że chcę.

– Będę szczęśliwy, jeśli Marino będzie trzymać się z daleka. Ale nie życzę mu źle i mam nadzieję, że nic mu się nie stało. Próbuję pogodzić się z faktem, że go bronisz, martwisz się o niego, wciąż ci na nim zależy.



– Za godzinę przyjdzie fitopatolog. Mamy przedziorki.  
– A ja myślałem, że to tylko ból głowy.  
– Jeśli coś mu się stało, zwłaszcza jeśli sam to sobie zrobił, nigdy tego nie przeboleję – oznajmia Scarpetta. – Może moja najgorsza wada. Wybaczam ludziom, na których mi zależy, a potem oni znowu robią to samo. Znajdź go, proszę.

– Wszyscy próbują go znaleźć, Kay.

Długa cisza, słychać tylko ptaki. Byk wychodzi do ogrodu. Zaczyna rozwijać szlauch.

– Muszę wziąć prysznic – mówi Scarpetta. – Jestem w koszmarnym stanie, nie wzięłam prysznic w prosektorium. Szatnia była niezamykana i nie miałam się w co przebrać. Nigdy nie zrozumiem, dlaczego cierpliwie mnie znosisz. Nie martw się o doktor Self. Parę miesięcy w więzieniu wyjdzie jej na dobre.

– Sfilmuje swoje więzienne programy i zarobi jeszcze więcej milionów. Niektóre więźniarki zostaną jej niewolnicami i zrobią jej szal na drutach.

Byk podlewa bratki i tęcza mieni się w kropelkach wody ze szlauchu.

Znów dzwoni telefon.

– O Boże – wzdycha Benton i odbiera. Słucha, bo umie słuchać, i jeśli coś można mu zarzucić, to właśnie małomówność. Scarpetta wypomina mu to, gdy czuje się samotna. – Nie. Jestem wdzięczny, ale zgadzam się, nie ma powodu, żebyśmy tam byli. Nie będę się wypowiadać za Kay, lecz nie sądzę, że zrobilibyśmy cokolwiek poza wchodzeniem w drogę.

Kończy rozmowę i mówi do niej:

– Kapitan. Twój rycerz w lśniącej zbroi.

– Nie mów tak. Nie bądź taki cyniczny. Nie zasłużył na twój gniew. Powinieneś być mu wdzięczny.

– Jest w drodze do Nowego Jorku. Zamierzają przeszukać penthouse doktor Self.

– Żeby co znaleźć?

– Drew tam była w noc przed odlotem do Rzymu. Kto jeszcze? Prawdopodobnie syn doktor Self. Prawdopodobnie człowiek, który, jak zasugerował Hollings, był kucharzem. Najprostsza odpowiedź jest często właściwa. Sprawdziłem lot. Alitalia. Zgadnij, kto leciał tym samym samolotem co Drew?

– Mówisz, że czekała na niego na Schodach Hiszpańskich?

– Nie zainteresował jej pomalowany na złoty kolor mim. To był wybieg, bo czekała na Willa i nie chciała, żeby jej koleżanki się o tym dowiedziały. Taka jest moja teoria.

– Niedawno rozstała się z trenerem. – Kay patrzy, jak Byk napełnia płytką sadzawkę. – Po praniu mózgu przez doktor Self. Kolejna teoria? Will chciał spotkać Drew, a jego matka dodała dwa do dwóch i zrozumiała, że to on przysyłał obsesyjne e-maile podpisane Piaskun. Nieumyślnie zeswatała Drew z zabójcą.

– Jeden z tych szczegółów, których być może nigdy nie poznamy. Ludzie nie mówią prawdy. Po jakimś czasie nawet nie są tego świadomi.

Byk pochyla się nad zwiędniętymi bratkami. Podnosi głowę w tym samym czasie, gdy pani Grimball wygląda przez okno na górze. Byk przysuwa torbę na liście i zajmuje się pracą w ogrodzie. Scarpetta widzi, że wścibska sąsiadka podnosi telefon do ucha.

– I o to chodzi. – Wstaje i macha ręką z uśmiechem.

Pani Grimball patrzy w ich stronę i otwiera okno. Benton przygląda się z obojętnym wyrazem twarzy, a Kay kiwa do sąsiadki, jakby miała coś pilnego do powiedzenia.

– Właśnie wyszedł z aresztu! – woła. – Jeśli znowu go pani tam pośle, spalę pani dom!

Okno zamyka się szybko. Twarz pani Grimball znika zza szyby.

– Nie mów takich rzeczy – upomina ją Benton.

– Będę mówić, do licha, co tylko zechcę! – oświadcza Kay. – Jestem u siebie.